

*Mistrzynie suspensu, szybkiej akcji i zawilej fabuły
powraca z nową bestsellerową książką*
„The Washington Post”

LISA SCOTTOLINE

MÓW DO MNIE



Prószyński i S-ka

LISA
SCOTTOLINE
MÓW DO MNIE

Przełożyła
Magdalena Rychlik

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
EVERY FIFTEEN MINUTES

Copyright © 2015 by Smart Blonde, LLC.
All rights reserved.

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Mark Owen/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Lucyna Łuczyńska

Korekta
Bożena Maliszewska
Sylwia Kozak-Śmiech

ISBN 978-83-8097-639-9

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Sandy,
z wyrazami miłości i wdzięczności

*Niewyrażone emocje nigdy nie umrą.
Są zakopane żywcem i objawią się później
w brzydszej postaci.*

ZYGMUNT FREUD

ROZDZIAŁ 1

Takie osoby jak ja nazywa się potocznie socjopatami lub psychopatami. Wyglądam normalnie, ale to pozory. Cechuje mnie większa inteligencja, wywyższanie się i wolność, nieskrępowanie moralnością, prawem, emocjami czy szacunkiem dla ciebie.

Potrafię cię przejrzeć niemal natychmiast, zdobyć twój numer i manipulować tobą tak, aby uzyskać cokolwiek zechcę. Nie lubię cię, lecz potrafię doskonale udawać, więc właściwie nie ma różnicy. Dla ciebie.

Oszukuję cię.

Potrafię oszukać każdego.

Podobno jedna na dwadzieścia cztery osoby jest socjopatą. W takim razie pozostałe dwadzieścia trzy mają powody do obaw. Jedna na dwadzieścia cztery osoby to cztery procent populacji, bardzo dużo. Anorektycy stanowią zaledwie trzy procent, a wszyscy o nich mówią. Schizofrenicy – marny jeden procent – ściągają na siebie więcej uwagi. Mało kto interesuje się socjopatami, panuje błędne przekonanie, że wszyscy zabijamy.

Strach przed nami nie jest objawem paranoi. Za mało się boicie. Przeciętna matka martwi się nieustannie, lecz na jej liście potencjalnych zagrożeń nie ma mnie.

Ponieważ nie odczuwa przede mną lęku.

Ludzie wyobrażają sobie, że zły człowiek to terrorysta, morderca, bezwzględny dyktator, ale nie „normalna” osoba taka jak ja. Nie zdają sobie sprawy, że zło mieszka po sąsiedzku, pracuje przy biurku obok, gawędzi z nimi w kolejce, jeździ tym samym pociągiem i czyta książkę, korzysta z osiedlowej siłowni.

Żeni się z ich córką.

Jesteśmy tu i polujemy na ciebie.

Obłaskawiamy cię i oswajamy.

Opracowany przez Roberta Hare’a test, badający skalę psychopatii, jest dostępny jedynie dla profesjonalistów, ale udało mi się znaleźć jego wersję online. Oto pierwsze dwa pytania:

1. Jestem lepszy/a od innych:

a) nie

b) być może

c) zdecydowanie tak

2. Nie czuł(a)bym się źle, gdyby komuś innemu wymierzono karę za moje przewinienie:

a) fałsz

b) częściowo prawdziwe

c) prawda

Test składa się z dwudziestu pytań. Należy mi się świadectwo z czerwonym paskiem za uzyskanie trzydziestu ośmiu punktów na czterdzieści.

Właściwie nie było mi potrzebne potwierdzenie, że jestem tym, kim jestem. Ta świadomość towarzyszyła mi od zawsze.

Nie posiadam żadnych uczuć. Nie odczuwam miłości, nienawiści, sympatii, antypatii, nawet takich powierzchownych jak na Facebooku.

Oczywiście mam konto na Facebooku oraz całkiem liczne grono znajomych.

Zapytaj, czy mnie obchodzą.

To zabawne, iż nie mają pojęcia, z kim nawiązali znajomość. Moja twarz jest tylko maską. Nie ujawniam swoich myśli. Ważę słowa, każde z nich służy jakiemuś celowi: aby poniżyć, oczarować albo zadowolić. Dostosowuję swój poziom inteligencji do ciebie i twoich oczekiwań. Moje czyny służą moim interesom.

Nie jestem twoim przyjacielem ani wrogiem, chyba że masz coś, czego chcę.

W takim wypadku jestem nie tylko wrogiem, ale największym koszmarem.

Szybko się nudzę.

Nie potrafię czekać.

Czekanie wprawia mnie w nerwowy nastrój. Siedzę w tym pokoju od wielu godzin, nawet gra komputerowa jest już nudna. Bóg raczy wiedzieć, jacy idioci grają w nią teraz online, formują swoje przyszczate szeregi, eksplorują podziemia, wyruszają na wyprawy, zabijają smoki, dziwki i nazistów, każdy z nich odgrywa jakąś rolę.

Ciekawe, czy twórca *World of Warcraft* zdaje sobie sprawę, że to doskonały trening dla socjopatów.

KillerCobra, SwordofDeath, Slice&Dice – awatary moich internetowych współgraczy. Założę się, że chodzą do gimnazjum. Albo studiują prawo.

Skoro jedna na dwadzieścia cztery osoby wykazuje skłonności socjopatyczne, z pewnością mam tu towarzyszy.

Gram pod pseudonimem GodnyPrzeciwnik.

Codziennie uprawiam jakieś gierki, więc nie brakuje mi wprawy.

Zawsze o krok do przodu, co najmniej.

Planuję, wprawiam wszystkich w ruch i uderzam w odpowiednim momencie.

Wygrywam za każdym razem.

Nigdy nie widzą mojego nadejścia.

Wiesz dlaczego?

Bo już tam jestem.

ROZDZIAŁ 2

Doktor Eric Parrish właśnie wychodził do domu, kiedy wezwano go na szpitalny oddział ratunkowy. Poczuł się niepewnie, mimo pięcioletniego doświadczenia na stanowisku ordynatora oddziału psychiatrycznego w Havemeyer General. Konsultacje tego rodzaju zawsze wiązały się z pewnym ryzykiem. W zeszłym roku w pobliskim Delaware szpitalny psychiatra został postrzelony, a pracownik opieki społecznej stracił życie z rąk psychotycznego pacjenta. Lekarz miał przy sobie broń, oddał strzał w obronie własnej i zabił pacjenta.

Ordynator przemierzał korytarz szybkim krokiem, tuż za nim podążało dwoje stażystów, rozmawiając między sobą. Był pewien, że w razie konieczności potrafi ochronić ich i siebie bez użycia broni. Po strzelaninie w Delaware dykcja wzmocniła środki ostrożności, przeszkoliła personel w zakresie technik samoobrony i procedur ewakuacyjnych. Eric nigdy nie wniósłby broni palnej na teren szpitala. Był uzdrowicielem z powołania i jak podejrzewał, kiepskim strzelcem.

Ze szpitalnych głośników popłynęły dźwięki kołysanki, znak, że w szpitalu przyszło na świat kolejne dziecko. Eric skrzywił się, wiedział, że ta melodia wywoła na jego oddziale zamieszanie. Jedna z pacjentek cierpiała z powodu depresji po urodzeniu martwego dziecka i kołysanka za każdym razem uruchamiała w niej lawinę emocji. Dlatego poprosił administrację o wyłączenie głośników na ich piętrze, lecz odmówili – z powodu zbyt dużych kosztów. Chciał nawet zapłacić z własnej kieszeni, ale nic z tego.

Kołysanka dźwięczała mu w uszach, przypominając o bezsilności w zderzeniu ze szpitalną biurokracją. To, że nie chcieli go słuchać, stanowiło objaw większego problemu. Chorób psychicznych nadal nie traktowano tak poważnie, jak cierpienia fizycznego; Eric prowadził jednoosobową kampanię, aby taki stan rzeczy zmienić. Był najlepszym dowodem skuteczności leczenia psychiatrycznego. Podczas studiów medycznych rozwinęła się u niego depresja lękowa, nad którą zdołał całkowicie zapanować, korzystając z psychoterapii. Przez pewien czas brał leki, ale już ich nie potrzebował, objawy ustąpiły. Został wyleczony.

Otworzył dwuskrzydłowe drzwi na pękający w szwach piątkowego wieczoru SOR. Pielęgniarki we wzorzystych fartuchach wpadały i wypadały z zatłoczonych pokoi badań, felczer przesuwiał biurko z komputerem, a grupka sanitariuszy w czarnych fartuchach rozmawiała nieopodal pustych noszy.

Eric podszedł do stanowiska pielęgniarek; siedząca tam młoda blondynka oderwała wzrok od komputera, uśmiechnęła się i wskazała pokój D. Wszyscy rozpoznawali szpitalnych psychiatrów po jaskrawoczerwonej literze „W” na plakietkach identyfikacyjnych. „W” ponieważ oddział psychiatryczny mieścił się w skrzydle imienia Wrighta. „W” jak wariat, podśmiewał się personel. Eric słyszał już chyba wszystkie dowcipy o psychiatrach. *Czym różni się psychiatra od pacjenta? Pacjentowi się polepsza i wychodzi do domu.* Sam opowiadał najlepsze, ale wystrzegał się tych o dzieciach psychiatrów. Nie bawiły go. Za bardzo przypominały jego rzeczywistość.

Stażysty ucichli. Eric podszedł do rozchylonej kotary i odetchnął z ulgą. Na łóżku leżała wygodnie

miło wyglądająca starsza pani z ostrzyżonymi krótko srebrzystymi włosami, ubrana w szpitalną koszulę. Obok niej siedział młody chłopak o zatroskanej twarzy, trzymał kobietę za rękę. Za nim stała niewysoka, atrakcyjna doktor Laurie Fortunato w śnieżnobiałym fartuchu, ze stetoskopem ozdobionym kolorowymi naklejkami. Eric i Laurie przyjaźnili się od czasów studenckich. Biegali razem po pracy, choć źle znosił, że jest od niego szybsza.

– Cześć, Laurie. Miło cię widzieć. – Przedstawił krótko stażystów, którzy stanęli pod ścianą i dyskretnie obserwowali sytuację.

– Ciebie też, Ericu. Dzięki, że przyszedłeś. – Lekarka się uśmiechnęła. Była pogodna i energiczna. Miała ciepłe, brązowe oczy, orli nos, pucołowate policzki i duże usta, które nigdy nie przestawały się poruszać: kiedy mówiła, śmiała się, robiła miny. Wyglądała ładnie bez makijażu, niewiele kobiet pracujących w szpitalu go nosiło, ale Laurie cechował szczególny prostolinijny brak próżności. Kręcone włosy spinała czymkolwiek, co jej wpadło w ręce: ołówkiem, długopisem lub łopatką do przytrzymywania języka podczas badania gardła.

– Nie ma sprawy. W czym mogę pomóc?

Laurie wskazała pacjentkę.

– To Virginia Teichner i jej wnuk, Max Jakubowski.

– Eric Parrish, miło mi poznać. – Postąpił krok w stronę łóżka, kobieta uśmiechnęła się szelmowsko, uniosła brązowe oczy i nawiązała bezpośredni kontakt wzrokowy. Dobry znak. Chociaż nie miała widocznych obrażeń fizycznych, była podłączona do kroplówki i monitora funkcji życiowych. Eric popatrzył na ekran: wszystko w normie.

– Uch, ależ z doktora przystojniaczek – powiedziała pani Teichner chrapliwie i obrzuciła go wymownym spojrzeniem. – Możesz mi mówić Virginia. Albo kochanie.

– To mi się podoba. – Przysunął sobie taboret na kółkach i usiadł obok łóżka. Lubił pracować z pacjentami geriatrycznymi, jednym z jego pierwszych zadań było nawiązanie przyjacielskiej relacji z chorym, w czym zazwyczaj pomagało poczucie humoru. Uśmiechnął się. – Ma pani doskonały wzrok.

– Nic podobnego. Mam zwyrodnienie plamki żółtej. A może jestem ogólnie zwyrodniała!

Roześmiał się.

Pani Teichner uczyniła gest w stronę Laurie.

– Czemu nie nosi doktor białego fartucha, jak ona?

– Pogrubia mnie – odparł. Wielu psychiatrów nie nosiło fartuchów, aby nie stwarzać bariery między sobą a pacjentem. Eric miał na sobie niebieską koszulę bez krawata, spodnie koloru khaki i półbuty. Chciał wyglądać jak przyjazny tata z prowincji, którym zresztą istotnie był, ale podejrzewał, że bardziej przypomina faceta z reklamy viagry.

– Ha! – Pani Teichner się roześmiała. – Ma pan poczucie humoru!

Laurie przewróciła oczami.

– Proszę go nie zachęcać, pani Teichner. Pacjentki za bardzo go rozpieszczają.

W oczach staruszki pojawiły się iskierki rozbawienia.

– Jest pani zwyczajnie zazdrosna – oświadczyła.

– Zgadzam się. – Eric uśmiechnął się do Laurie. – Zazdrosna totalnie.

– Też coś – prychnęła lekarka.

Pani Teichner parsknęła śmiechem.

– Zawstydziała się.

– Bingo. – Podczas rozmowy z każdym pacjentem oceniał jego kontakt z rzeczywistością, wygląd, zachowanie, sposób mówienia, poruszania się, nastrój, afekt, zdolność myślenia i percepcji, nastawienie, samoświadomość, zdolności poznawcze, a także swoją reakcję na nowo poznaną osobę. Pani Teichner uzyskała już sporo punktów w każdej kategorii. Na podstawie własnej gestaltowskiej reakcji ocenił jej nastrój jako eutymiczny lub zupełnie normalny. – W czym mogę pomóc, pani Virginio?

– Ericu – odezwała się Laurie urzędowym tonem. Jej twarz przybrała wyraz powagi. – Niestety pani Teichner choruje na zastoinową niewydolność serca oraz zaawansowany nowotwór płuc. Dwa miesiące temu przyjęto ją na oddział kardiologiczny, gdzie spędziła trzy dni. Niebawem rozpocznie paliatywne leczenie w domu.

Eric słuchał, nie okazując emocji. To były najgorsze z możliwych rokowań i bardzo współczuł pani Teichner.

– Dziś wieczorem podczas kolacji zaczęła się krztusić, dlatego przyjechała do nas. Prześwietlenie wykazało, że przełykanie utrudnia umiejscowiony w gardle guz.

– Bardzo mi przykro – powiedział szczerze. Był nieco zdziwiony spokojem i pogodą ducha pacjentki, biorąc pod uwagę bardzo zły stan jej zdrowia. Nie wyglądała na poruszoną ani przygnębną. Nie miała nawet najmniejszych objawów demencji ani innych problemów związanych z podeszłym wiekiem, chociaż zamierzał jeszcze przeprowadzić dokładniejsze badania, aby to potwierdzić.

– Dziękuję, doktorze. Wiem, że mam raka, to dla mnie żadna nowina – stwierdziła rzeczowym tonem. – Mój wnuk, Max, nalegał, żeby pana wezwać. Ma siedemnaście lat, więc wszystko wie najlepiej. Powtarza mi, że zwariowałam i...

– Nie zwariowałaś, tylko cierpisz na depresję, Buniu – sprostował nastolatek. – Myślę, że masz depresję i że pan doktor może ci pomóc. Przepisać antydepresanty lub coś takiego.

Eric popatrzył na niskiego, szczupłego chłopca. Max miał około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu i nie mógł ważyć więcej niż sześćdziesiąt kilogramów. Nie wyglądał na swoje siedemnaście lat. Okrągła twarz, mały, prosty nos, jasnoniebieskie oczy, nieśmiały uśmiech, pojedynczy dołeczek. Długie, wycieniowane jasnobrązowe włosy, luźne džinsy i czarna koszulka z krótkim rękawem odsłaniająca cherlawe ramiona nienawykłe do dźwigania ciężarów większych niż iPhone.

Babcia machnęła zniekształconą artretyzmem ręką.

– Nazywa mnie Bunią, Bubą, Bu i innymi zdrobnieniami tego typu. Nie umiał powiedzieć „babcia”, kiedy był mały. Lubi gry słowne. Jest piekielnie inteligentny, ma państwowe stypendium, same szóstki, najlepszy w klasie. Dlatego tak się wymądrza...

– Buniu, proszę – przerwał jej delikatnie. – Musimy porozmawiać o tobie, nie o mnie. O tym, dlaczego nie jesz. – Max popatrzył wprost na Erica swoimi jasnoniebieskimi oczami podobnymi do oczu babci. – Doktorze Parrish, kardiolog powiedział nam, że jeśli będzie jadła, zachowa siły do walki z chorobą. Zaproponował założenie cewnika dojelitowego, ale ona nie chce cewnika i odmawia jedzenia. To musi być depresja. Powinna się zgodzić na odżywianie dojelitowe, nie ma innego wyjścia.

Eric zrozumiał, czemu Laurie go wezwała. Opieka nad chorym u kresu jego życia wiązała się z ogromnym obciążeniem psychicznym dla pacjenta i rodziny. Potrafił pomóc.

– Dziękuję za ważne informacje, Max. Mógłbyś poczekać na korytarzu? Chciałbym zbadać twoją babcię.

– Dobrze, świetnie. – Wstał, uśmiechnął się do babci i puścił jej dłoń. – Zachowuj się przyzwoicie, Bubu.

– Nie dyryguj mną – napomniała go ze śmiechem. Głęboka więź między babką a wnukiem była widoczna gołym okiem. Po wyjściu Maksa Eric popatrzył na Laurie.

– Porozmawiamy później, kiedy zbadam panią Teichner.

– Dobrze, znajdź mnie. – Laurie poklepała staruszkę po ramieniu. – Jest pani w doskonałych rękach, moja droga.

– Niemożliwe. To proszę nas wreszcie zostawić samych. – Pani Teichner zaśmiała się i wskazała stojących pod ścianą stażystów. – Oni chyba też mogą wyjść? Nie potrzebuję widowni.

– Oni muszą zostać – odparł z rozbawieniem Eric. – Proszę spróbować nie zwracać na nich uwagi.

– Niby jak, kiedy się na mnie gapią?

– Ja ich ignoruję przez cały dzień bez najmniejszego trudu, pani też się uda. No dobrze, ale żarty na bok. Jak się pani czuje? Odczuwa pani spadek nastroju? Brak energii?

– Nie, czuję się doskonale. – Pani Teichner potrząsnęła białymi włosami.

– Jest pani pewna? Byłoby to naturalne, biorąc pod uwagę stan pani zdrowia.

– Przecież mówię, że nic mi nie jest – zachnęła się. – Z moją głową wszystko w porządku, ale gdzie pan był, kiedy brałam ślub z drugim mężem?

Na twarzy Erica pojawił się uśmiech.

– Jeżeli pani pozwoli, zadam kilka pytań. Może mi pani podać dzisiejszą datę?

– Po co?

– Potrzebuję tych odpowiedzi do przeprowadzenia badania. Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

– Kogo to obchodzi? Wszyscy politycy są jednakowymi oszustami.

Eric uśmiechnął się po raz kolejny, nalegał wyłącznie dlatego, że tak nakazywał regulamin.

– Teraz wypowiem trzy słowa, proszę uważnie słuchać.

– Bardzo panią kocham?

Roześmiał się.

– Te trzy słowa to: banan, truskawka, koktajl. Może pani powtórzyć?

– Oczywiście! Banan, truskawka, koktajl! Panie doktorze, mój mózg funkcjonuje prawidłowo. – Naznaczona głębokimi zmarszczkami mimicznymi – dowód dobrze przeżytego życia – twarz pani Teichner spoważniała. – Nie mam depresji, po prostu się martwię.

– Co panią martwi?

– Przyszłość mojego wnuka, Maksa. Mieszka ze mną, ja go wychowałam. To on popadł w depresję i nie wiem, jak sobie poradzi po mojej śmierci. – Zmarszczyła czoło. – Max jest inny. Nie ma przyjaciół, większość czasu spędza w samotności.

– Rozumiem, ale to pani jest moją pacjentką. – Eric postanowił przekierować uwagę na pacjentkę, która zdawała się sama siebie lekceważyć. – Pani szuka pomocy lekarskiej i panią chciałbym dziś przebadać oraz w razie potrzeby zalecić odpowiednią terapię.

– Nie proszę o pomoc dla siebie. Max pana wezwał, nie ja. Zgodziłam się, ponieważ uważam, że to on potrzebuje pomocy. Nie mam innej możliwości skontaktowania go z psychiatrą, nie pójdzie na wizytę.

– Chce pani powiedzieć, że zostałam wezwany do Maksa? – Eric zaczynał rozumieć. To była jedna z sytuacji, w których pacjentem jest ktoś inny, niż się na początku wydaje.

– Tak. Wie, że umieram, ale nie potrafi się z tym pogodzić, a po mojej śmierci zostanie całkiem sam. Można mu jakoś pomóc? – Chwyciła lekarza za rękaw koszuli. – Proszę mu pomóc, doktorze.

– Dłaczego uważa pani, że Max potrzebuje pomocy?

– Powtarza, że jeśli tylko zacznę jeść, poczuję się lepiej albo dłużej pożyję, co jest nieprawdą. Umieram i on nie umie się z tym pogodzić. – Patrzyła Ericowi prosto w oczy. Emanowała spokojem i wydawała się w pełni świadoma swojego położenia. – Nie chcę rurki w gardle. Mam dziewięćdziesiąt lat, za sobą długie życie. Kiedy leki przeciwbólowe przestają działać, odczuwam ból w każdej komórce ciała. Chcę odejść w domu, w naturalny sposób.

– Rozumiem. – Miał nadzieję, że kiedy nadejdzie jego kolej, też będzie odważny. Zdecydował, iż dalsza diagnostyka jest zbędna. Pani Teichner prezentowała imponującą jasność umysłu, a ponieważ odmawiała leczenia, mógł z nią porozmawiać o wnuku.

– Co na to rodzice Maksa? Gdzie teraz są?

– Jego matka jest moją córką. Wstyd przyznać, ale niewiele z niej pożytku. Rzadko bywa w domu, mieszka u mnie. Ma problem z alkoholem i utrzymaniem jakiegokolwiek pracy. Z ostatniej, w firmie telefonicznej, została zwolniona za nieobecności.

– A ojciec?

– Odszedł, kiedy Max miał dwa lata. Też pił.

– Trudna sytuacja. – Poczł ukłucie złości, która utkwiała w nim na zawsze. Jego ojciec był alkoholikiem, pracował jako mechanik samochodowy. Pewnego dnia wsiadł pijany za kierownicę i uderzył w drzewo, zabił na miejscu siebie i matkę Erica. On studiował wtedy na pierwszym roku w Amherst, nie było go w domu. Odsunął wspomnienia, musiał się skupić na terażniejszości. – Czy Max ma rodzeństwo?

– Nie, jest jedynakiem. Nie ma nawet kolegów. Cały czas spędza przed komputerem, grając w jakieś gry, wychodzi ze swojego pokoju tylko wtedy, kiedy się mną zajmuje, i na posiłki. Ma tylko mnie. – Oczy staruszki zasły łzami, zamrugowała. – Co się z nim stanie? Może sobie zrobić krzywdę.

– Proszę. – Eric wyjął chusteczkę higieniczną z opakowania na stoliku i podał pani Teichner. Jako lekarz psychiatra często wykonywał ten gest. Mimo to nie uodpornił się na płacz kobiet, zwłaszcza starszych. Przypominały mu o matce; wspominał ją codziennie.

– Nie wiem już, co robić. Bardzo się o niego boję.

– Pani zdaniem mógłby sobie zrobić krzywdę?

– Tak. – Wytarła zaczerwieniony nos. Ericowi przemknęło przez myśl, iż czerwone plamki są najprawdopodobniej objawem niedotlenienia. – Można powiedzieć, że jest dziwakiem, ale to dobry dzieciak. Ma złote serce.

– Wspominał kiedyś o myślach samobójczych? Albo próbował popełnić samobójstwo?

– Nie, on nie mówi o sobie ani o uczuciach. Ten pijaczyna, jego ojciec, był taki sam.

Postanowił nie drążyć tematu.

– Zasięgał porady szkolnego pedagoga lub psychologa?

– Nie, wstydzi się. Twierdzi, że koledzy go wyśmiejają, jeśli się dowiedzą. – Pani Teichner pociągnęła nosem ukrytym w chusteczce. – Cały czas się o niego modlę, wariuję ze zmartwienia. Rozpytywałam wokół, szukając dla niego pomocy, ale jak na razie bez skutku. Bardzo na pana liczę.

– Cóż, przyjmuję prywatnie... – powiedział bez zastanowienia, choć nie potrzebował nowego klienta. – Mógłbym się z nim umówić, gdyby chciał.

– Naprawdę? – Oczy staruszki rozbłysły nadzieją. – Przyjmie go pan?

– Jeżeli on zechce.

– Bardzo dziękuję! – Odetchnęła z ulgą.

– Nie ma za co. – Eric był zadowolony, że mógł jej choć trochę pomóc. – Jednak muszę podkreślić, iż terapia jest ciężką pracą, która przynosi efekty jedynie wtedy, gdy pacjent jest do niej przekonany. Złożę Maksowi propozycję, lecz decyzja należy do niego.

– Zgodzi się, na pewno. Zdjął pan ze mnie ogromny ciężar. – Pani Teichner złożyła zdeformowane reumatyzmem dłonie, ściskając chusteczkę. – Ten chłopiec znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek na tym świecie. Odejdę w spokoju, wiedząc, że jest bezpieczny. Pewnie mnie pan doktor rozumie, jeżeli sam ma dzieci.

– Owszem. – Pomyślał o swojej córce, ale zachował to dla siebie. Hannah miała tylko siedem lat i martwił się, co z nią będzie, kiedy go zabraknie. Niepokój przybrał na sile, odkąd rozstał się z żoną.

– Oczywiście zapłacę za terapię. Nie ma problemu. Ile pan bierze za sesję? Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt dolarów za godzinę?

– Mniej więcej.

Godzinna sesja kosztowała trzysta dolarów, oferował zniżki mniej zamożnym klientom, ale nigdy nie schodził poniżej dwustu pięćdziesięciu. Robił wyjątki tylko dla zapłakanych umierających staruszek. Psychiatria należy do najtańszych dziedzin medycyny, ponieważ nie wymaga właściwie żadnych zabiegów. Największe koszty generuje ortopedia: endoprotezy stawów biodrowych, rekonstrukcje więzadeł, oraz chirurgia plastyczna: liftingi twarzy, korekcje nosów, implanty piersi. Przy czym chirurgia kosmetyczna jest jedną z najbardziej rentownych specjalizacji. Ludzie mają nadzieję rozwiązać problemy psychiki, zmieniając wygląd twarzy, cóż za nieporozumienie.

– Umowa stoi. Dziękuję.

– Cieszę się, że mogę pomóc. – Eric wstał i wygładził spodnie khaki. – Czy jest pani pewna, że nie chce porozmawiać o sobie, zanim wyjdę? Mam doświadczenie z pacjentami w pani sytuacji. Często potrzebna jest pomoc.

– E tam. Jestem dzielną staruszką. Nic mi nie dolega poza rakiem. – Pani Teichner uśmiechnęła się przekornie i machnęła ręką.

– Było mi niezmiernie miło panią poznać, Virginio. – Wyjął z portfela wizytówkę i położył ją na szpitalnej szafce. – Proszę zadzwonić, jeśli zmieni pani zdanie. Bez wahania. Jest pani bardzo dzielna.

– No pewnie – odparowała pani Teichner.

Eric odpowiedział uśmiechem. Nie wiedział, czy jeszcze się spotkają, ale nie chciał o tym myśleć. Pomachał jej na pożegnanie i dał znak stażystom, żeby wyszli.

– Do widzenia, pani Teichner. Przyślę doktor Fortunato. Wszystkiego dobrego.

Wyszedł z sali tuż za stażystami. Laurie była w pokoju pielęgniarek, a Max podążył w stronę automatów z jedzeniem. Chciał do niego podejść, kiedy poczuł czyjś dotyk na ramieniu.

– Tak, Kristine? – Odwrócił się w stronę stażystki, Kristine Malin.

– To było bardzo miłe, co pan zrobił, doktorze Parrish – powiedziała, nie cofając dłoni. Miała przepiękną twarz, wielkie niebieskie oczy, długie ciemne włosy i olśniewający uśmiech, niczym modelka z reklamy pasty do zębów.

– Dzięki – odparł nieco zdziwiony, że stoi tak blisko i jeszcze go dotyka, ale nie miał teraz czasu nad tym się zastanawiać. Myślał o Maksie, zauważył go w małym przeszklonym pokoju obok poczekalni.

– Przepraszam. Spieszę się.

ROZDZIAŁ 3

– Max, cześć. – Podeszedł do stojącego samotnie chłopaka, który wpatrywał się błędnym wzrokiem w automat. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowała się poczekalnia oddziału dziecięcego. Kolorowe ściany i pudła pełne zabawek stanowiły niestosownie radosny kontrast ze smutnymi okolicznościami.

Max odwrócił się.

– Jak można jej pomóc? Przepisze pan coś na poprawę nastroju?

– Rozumiem, że twoim zdaniem babcia choruje na depresję. Nie potwierdzam tego.

– Jak to?

– Po przeprowadzeniu wywiadu stwierdzam, że jest w dobrej kondycji psychicznej, zważywszy na okoliczności. To wyjątkowa osoba...

– A cewnik? – Max patrzył na niego błagalnie. – Dlaczego nie chce się na niego zgodzić, skoro nie ma depresji? To przecież niemal równoznaczne z samobójstwem. Nie zależy jej na życiu.

– Wielu pacjentów w podobnej sytuacji nie wyraża zgody na założenie rurki. To nie jest irracjonalna decyzja – mówił łagodnie Eric. – Wiesz, są dwie metody: można wprowadzić cewnik przez nos lub bezpośrednio do żołądka. Każda z nich jest bardzo inwazyjna i...

– Przecież ona umrze. Musi jeść. – W oczach nastolatka malowało się cierpienie. Eric poczuł ogromne współczucie, Max był zbyt młody, aby poradzić sobie sam z odchodzeniem najbliższej osoby.

– Rozumiem. Ona także jest tego świadoma. Zostawiłem swoją wizytówkę, zadzwoni, jeśli będzie mnie potrzebować. Zaakceptowała diagnozę...

– Nie pozwolę, żeby umarła z głodu. Musi zgodzić się na karmienie przez rurkę. Nie mogę jej jakoś zmusić?

– Max. Wiem, że jest ci trudno, ale decyzja nie należy do ciebie. Tylko twoja babcia może ją podjąć. Wraz z lekarzami i personelem hospicjum.

– Podjęła złą decyzję.

– Musisz zaakceptować jej wybór. To jej życie. – Eric widział, że chłopak walczy o zapanowanie nad emocjami.

– A jeśli zmieni zdanie? Będzie można przeprowadzić zabieg w hospicjum? Nawet w domu?

– Tak, ale to już nie moja dziedzina. – Przerwał. – Widać, że bardzo ją kochasz. W hospicjum dostanie najlepszą opiekę. Zadzwonią do mnie, jeśli zauważą objawy depresji lub inne problemy emocjonalne.

– Naprawdę? – Max zmarszczył brwi pod postrzępioną grzywką.

– Naprawdę. Mają ogromne doświadczenie. – Położył dłoń na ramieniu chłopaka. Nagle, pod wpływem tego gestu, kontaktu fizycznego, pomyślał, jak by to było, gdyby miał syna. Nie miewał takich myśli, odkąd na świat przyszła Hannah. – Max, czekają was oboje ciężkie chwile. Twoja

babcia uważa, że terapia mogłaby ci pomóc przez nie przejść. Przyjmuję prywatnie wieczorami i w weekendy. – Podał chłopakowi wizytówkę. – Proszę. Dzwoni śmiało, jeśli postanowisz umówić się na sesję.

Max przyjął wizytówkę i zerknął na nią, mrugając.

– Dobrze. Dziękuję bardzo.

– Nie usiłuję cię przekonywać, decyzja musi być tylko twoja. Ale jeżeli się nie zdecydujesz, skorzystaj, proszę, z jednej z grup wsparcia działających przy hospicjum. Najlepsze, co możesz zrobić dla swojej babci, to zadbać o siebie.

– Ona też tak mówi.

– Mam nadzieję, że jej posłuchasz. – Cofnął dłoń z ramienia Maksa. – Wszystkiego dobrego.

Chłopak uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Dzięki.

– Trzymaj się. – Odchodząc, Eric nie potrafił odpędzić myśli, że oto odwraca się plecami do dzieciaka, który sobie nie radzi. Najtrudniejsza w jego profesji była świadomość, iż może pomóc jedynie tym, którzy po tę pomoc przyjdą.

Wrócił do Laurie, czekała na niego ze smutnym uśmiechem.

– Wiedziałaś, że dotrzesz do tego biednego dzieciaka. Dzięki, mam u ciebie dług.

– Ty też byłaś w znowie?

– Tak, zorientowałam się, że jej największym problemem jest niepokój o wnuka. Dzięki za konsultację.

– Nie ma sprawy. – Rozejrzał się w poszukiwaniu stażystów. – Gdzie...?

– Wrócili na górę. Dziewczyna dostała wezwanie na pager. Jak ona ma na imię? Kristine?

Człowieku, ależ ona na ciebie leci.

– Nieprawda. – Stęsknił się za bezpośredniością koleżanki. Nie biegali razem od kilku tygodni, ponieważ Eric pochłonięty był bez reszty trudnym rozstaniem z żoną.

– Wychwalała cię pod niebiosa, kiedy rozmawiałeś z Makssem. Działa mi na nerwy. To jedna z nich.

– Z nich?

– Dziewczyn, które ubierają się zbyt seksownie do pracy. Każda zmiana ma przynajmniej jedną, prawdopodobnie każde miejsce pracy.

Eric nie zwrócił uwagi na garderobę Kristine, natomiast na jej urodę jak najbardziej. Nie był ślepy.

– A widziałeś Sandy w pokoju pielęgniarek? Była bardzo podekscytowana, że cię wezwałam. Na wieść o twoim rozwodzie zaczyna się ustawiać kolejka.

– Nie mam jeszcze rozwodu.

– Proszę cię. Złożyłeś pozew.

– Owszem, ale nic nie jest przesądzone.

– Trzeba odczekać jakiś czas. Zwykła formalność.

Nie rozumiał własnego uporu.

– Uszanuj moją fazę zaprzeczenia. Jestem profesjonalistą.

– Cóż, dobra wiadomość jest taka, że wolny lekarz nie będzie długo sam.

Eric zerknął na zegarek.

– Mogę już iść? Jestem spóźniony.

– A dokąd?

– Do domu – odparł odruchowo.

– Do mieszkania twojej przyszłej byłej żony? – zadrwiła Laurie. – Po co?

– Podrzucić czek.

– Słyszałeś o czymś takim jak poczta? – Uniosła do góry brew. – Wkładasz czek w coś, co nazywamy kopertą, i ktoś dostarcza go pod jej drzwi.

– Obiecałem skosić trawnik.

– Po ciemku?

– Ciemno robi się dopiero o dziewiątej. – Spodziewał się wykładu. Zaobserwował, że szpitalni lekarze często odzwierciedlają swoją specjalizację sposobem bycia. Na przykład on miał skłonności do nadmiernego analizowania i troski o uczucia innych, natomiast Laurie, która pracowała na oddziale ratunkowym, eksponowała ranę i czyściła ją niezależnie od tego, ile bólu tym sprawiała.

– Nie może sama przystrzyć swojego przekłętego trawnika? Albo zapłacić komuś?

– Lubię kosić, a poza tym będzie okazja, by zobaczyć się z Hannah. – Nie miał ochoty słuchać pouczeń, nie teraz. – Czym się zajmujesz?

– Wkurza mnie, że ciebie wykorzystuje. To nie w porządku.

– Nie wykorzystuje mnie.

– Dobra, dobra. Zawsze uważałam ją za żonę.

– Daj spokój. – Eric nie lubił słuchać negatywnych komentarzy na temat Caitlin. Nadal nie do końca rozumiał, dlaczego zażądała rozwodu właśnie teraz. Poznali się w Amherst, pobrali tuż po studiach. Potem zachorował na depresję lękową i już wtedy wyczuwał, że przestał być dla niej atrakcyjny. Oczekiwała od niego męskiej siły i pewności siebie. Chciała, aby był facetem, którego udawał na studiach, najlepszym we wszystkim. Zakochała się w fikcyjnej postaci, nie w żywym człowieku. Los ich związku został przesądzony, gdy pojawiły się pierwsze skazy na wizerunku, kiedy okazał słabość. Poradził sobie z chorobą, urodziło im się dziecko, ale ona nigdy już nie patrzyła na niego w ten sam sposób. Przyjście na świat dziecka tylko pogorszyło sprawy.

– Dobra, przepraszam, już przestaję. – Laurie westchnęła. – Rozstanie z Hannah musi być dla ciebie okropnie trudne. Jesteś świetnym ojcem, mała jest związana z tobą bardziej niż z matką.

– Dzięki. – Nie pozwalał sobie na takie myśli, a co dopiero słowa, ale Laurie miała rację. Hannah była związana bardziej z nim niż z Caitlin. Wiele go łączyło z córeczką. Zbyt wiele, zdaniem jego żony. Byłej żony. Wolał zmienić temat. – Powiedz lepiej, co u ciebie.

– Nic. – Laurie wzruszyła szerokimi ramionami. – Cały czas spędzam w szpitalu. Odeszło dwóch lekarzy, biorę dodatkowe dyżury.

– Przechłapanie. – Podziwiał pracowitość Laurie. Była niesłychanie zaangażowana w to, co robiła.

– A jak twój nowy chłopak?

– Który?

– Ten, z którym się ostatnio umawiałaś.

– Ten, który pisał za dużo SMS-ów, czy ten, który pisał za mało?

Eric uśmiechnął się. Opowieści randkowe Laurie były legendarne.

– Chyba nie jestem na bieżąco. Miałem na myśli profesora etyki.

– Musisz pytać? Profesor etyki. To mówi samo za siebie.

– O co ci chodzi? Moim zdaniem brzmi bardzo dobrze.

– Mogłoby się człowiekowi zdawać. – Laurie przewróciła oczami.

– Kolejne rozczarowanie, tak? – powiedział ze współczuciem. Laurie była zbyt atrakcyjna, aby mieć takie problemy ze znalezieniem kogoś: inteligentna, zabawna, wspaniała kompan. – Na pewno

spotkasz kogoś odpowiedniego. Jesteś super.

– Pewnie, że jestem super. – Uśmiechnęła się szeroko. – Co ci mogę powiedzieć? Mężczyźni boją się mojej wspaniałości.

– Za krótko to trwa, żeby mieli czas ciebie poznać i zacząć się bać.

– Moja wspaniałość onieśmiela już na pierwszym spotkaniu. Nie chcę udawać kogoś gorszego, żeby jakiś koleś mógł poczuć się lepszy. Kapujesz?

Uśmiechnął się.

– Dobrze ci z tym?

– Nie pytaj – odparła ze śmiechem. – Koniec gadania. Kiedy idziemy biegać?

Eric jęknął.

– Nie biegałem od czasu przeprowadzki.

– Zaczniemy spokojnie. Może w przyszłym tygodniu po pracy? Poniedziałek mam zajęty. Może być wtorek? – Wzrok Laurie powędrował w stronę otwartych drzwi pokoju lekarskiego. Eric odwrócił się i zobaczył, że Max rozmawia ze swoją babcią.

– Biedny dzieciak – powiedział, patrząc, jak chłopiec ujmuje staruszkę za rękę. – Ile czasu jej zostało?

– Trudno powiedzieć. Nie jadła od trzech dni. Starsi ludzie potrzebują mniej kalorii, ale jest odwodniona. Płyn fizjologiczny, który dostała w kroplówkach, starczy na dzień, dwa.

Odpowiedziała wymijająco. On też tak czasem robił w reakcji na pytania zmartwionych rodzin pacjentów. Wyzdrowieje? A jeśli znowu spróbuje się zabić? Co zrobić, żeby przestała się ciąć? Czy klonazepam zadziała? Naprawdę musi zostać w szpitalu?

– Ile czasu jej zostało? – powtórzył.

– Najwyżej dwa tygodnie.

Posłał Maksowi i jego babci pełne współczucia spojrzenie.

ROZDZIAŁ 4

Skreślił w swoją dawną ulicę, zostawił za sobą korki, szpital, pacjentów, a nawet panią Teichner i jej wnuka. Zwolnił i usłyszał kojący chrzęst żwiru pod kołami bmw. Cieszył się na spotkanie z Hannah, poza tym Caitlin zaprosiła go na domową kolację, co uznał za bardzo dobry znak.

Jechał powoli krętą drogą otoczoną dębami i kasztanowcami. Przyglądał się drzewom, rejestrując, które puszczają pąki, a które tracą korę. Wrodził się w swoją matkę, zapaloną ogrodniczkę i wielbicielkę natury, znał wszystkie drzewa, całą florę i faunę w okolicy: forsycje Daleyów, które niestety miały krótki żywot, krzewy pachnącego bzu na podjeździe Menghettich i ligustry rosnące wzwyż, nieprzycinane przez Palumbosów. Wątle sylwetki ligustrów przypominały starych ludzi, Ericowi skojarzyły się z panią Teichner.

„Najwyżej dwa tygodnie”, przypomniał sobie słowa Laurie i poczuł potworny ciężar w trzewiach. Nigdy nie zdołał przywyknąć do bliskości śmierci. Jedną z zalet jego specjalizacji była niska umieralność pacjentów, największy koszmar psychiatry to samobójstwo chorego. Doświadczył go tylko raz, podczas stażu; pacjent, który popełnił samobójstwo, był uzależniony od heroiny, ale wciąż o tym myślał w bezsenne noce. Pewien nielubiany przez niego wykładowca zwykł mawiać, że „nigdy nie zapomina się swojego pierwszego samobójcy”. Eric nie uważał tego za zabawne.

Również z tego powodu cenił sobie prywatną praktykę, mógł starannie wybierać klientów. W domu nie zajmował się chorymi z tendencją do psychozy i agresji. Podręcznik DSM dzieli zaburzenia osobowości na typy. Typ A to zaburzenia ekscentryczne, typ B – dramatyczne, typ C – lękowe. Pozostał wierny typowi C, do którego sam kiedyś należał, lista prywatnych klientów składała się niemal wyłącznie z osób cierpiących na zaburzenia lękowe, co sprawiało, że wracając do domu, czuł się odprężony. Jeszcze nie przywykł do prowadzenia sesji w nowym miejscu. Podobnie jak pacjenci, nie lubił zmian. Typ C lubił, kiedy wszystko pozostawało niezmiennie, na zawsze.

Pomachał sąsiadowi, Bobowi Jeffriesowi, który właśnie wysiadał ze swojej białej acury. Bob odwzajemnił pozdrowienie uśmiechem, jakby nieco zdziwiony. Eric zastanawiał się, czy wie o ich separacji. Caitlin nie bywała w domu na tyle często, żeby poznać sąsiadów, ale Eric – owszem. Załatwił marnotrawnemu bratu Boba miejsce w ekskluzywnej klinice odwykowej, pisząc mu kwiecistą rekomendację godną najlepszych uczelni.

Skreślił za róg, w stronę domu, wiedząc, co za chwilę zobaczy: krzewy abelii, które zasadził po urodzeniu Hannah, delikatne różowe kwiatki na cześć małej dziewczynki. Przypomniał sobie moment, kiedy położył Maksowi rękę na ramieniu, i pomyślał o synu. Odepchnął od siebie ten obraz. Cieszył się, że ma córeczkę. Hannah była ideałem w jego oczach.

Rzeczywiście – ukazały się krzewy abelii, ale za nimi coś, co widział po raz pierwszy: znak, a na nim duże czerwone litery tworzące napis: NA SPRZEDAŻ. Nic nie rozumiał. Przecież dom nie był wystawiony na sprzedaż. Uniósł do góry daszek czapki, zatrzymał samochód i z niedowierzaniem wpatrywał się w znak. Musiała zajść jakaś pomyłka. Wyłączył silnik i wysiadł. Drzwi domu

otworzyły się gwałtownie i wypadła przez nie Caitlin ubrana w dżinsowe szorty i białą koszulkę z krótkim rękawem. Zniosła kilka toreb do zaparkowanego na podjeździe srebrnego lexusa. W pośpiechu nie zauważyła Erica, otworzyła bagażnik i wrzuciła do niego reklamówki. Jej zadbane i wysportowane ciało wyglądało niesamowicie powabnie. W każdych innych okolicznościach poczułby przypływ pożądania.

– Caitlin. – Zamaszyście odwróciła głowę w jego stronę, koński ogon przeciął powietrze. Uniosła z zaskoczeniem brwi.

– Eric! O nie, zapomniałam, że przychodzisz. Przepraszam cię, musimy wyjść.

– Co się dzieje? – Zorientował się, że nie chciała, aby zobaczył znak przed domem. – Sprzedajesz dom?

– Tak. – Zaciśnęła wargi, robiąc smutną, ale stanowczą minę. Była silną, inteligentną kobietą. Pracowała jako zastępca prokuratora.

– Nie możesz tego zrobić.

– Owszem, mogę.

– Nie. – Nie podniósł głosu tylko dlatego, że Hannah mogła go usłyszeć przez uchylone drzwi.

– Jest mój, zapomniałeś? – Zmrużyła błękitne oczy. – Spłaciłam cię.

– Zgodziłem się, ponieważ uzgodniliśmy, że zamieszkas tu z Hannah. – Nie mógł uwierzyć, że musi jej o tym przypominać. Pomysł wyszedł od Caitlin. – Doszliśmy do porozumienia, że będzie dla niej najlepiej, jeżeli zostanie w domu, w którym mieszka od urodzenia. A ty masz stąd bliżej do pracy, dlatego mnie łatwiej było się przeprowadzić, chociaż miałem tu gabinet. Zrobiliśmy to dla Hannah.

– Żadna z tych rzeczy nie została zawarta w umowie.

– A musiała? – Nie wierzył własnym uszom. – Oboje wiedzieliśmy, co robimy i dlaczego. Przeprowadziliśmy rozmowę z prawnikami. Doszliśmy do porozumienia. Nawet nie jesteśmy jeszcze rozwiedzeni.

– I co z tego?

– Nie możesz tak po prostu zmienić zdania, odwrócić się na pięcie i sprzedać dom. – Sprzedaż domu znaczyłaby, że to naprawdę koniec, nie ma odwrotu, nie wrócą do siebie. Ich małżeństwo przestało istnieć. Nie chciał tego powiedzieć, ani nawet o tym myśleć, wypierał rzeczywistość.

– Jest mój i zamierzam go sprzedać. Zresztą, już to zrobiłam. – Wsparła ręce na biodrach. – Nie podnoś głosu, sąsiedzi usłyszą.

– Caitlin, dlaczego? – Nie rozumiał. – To wspomniały dom i Hannah go kocha. To jest jej dom. Jak zareagowała na wiadomość o sprzedaży?

– Nie wie.

– Widziała przecież znak? Umie czytać.

– Nie widziała. Zasnęła w samochodzie w drodze powrotnej z galerii.

– Z galerii?

– Wzięłam wolne i pojechałyśmy do centrum handlowego. Nie widziała tablicy. Kupiec znalazł się jeszcze przed oficjalnym wystawieniem domu na sprzedaż. Agencja postawiła znak jako reklamę dla firmy.

– Kiedy zamierzałaś jej powiedzieć? A mnie? – Nie pamiętał, żeby Caitlin kiedykolwiek zwalniała się z pracy, ale powstrzymał się od komentarza.

– Słuchaj, sama dowiedziałam się dzisiaj. Agencja znalazła kupca od ręki. Nie odmówiłam. Wiesz, jak wygląda sytuacja na rynku nieruchomości.

– Ale czemu nie powiedziałaś, że zatrudniasz agencję?

– Nie wiedziałam, kiedy znajdą kupca i czy w ogóle – zachnęła się. – Co jej miałam powiedzieć?

Że pewnego dnia mamusia sprzeda dom?

– Mogłaś mnie powiedzieć!

– Nie potrzebowałam twojej zgody, a wiedziałam, że nie będziesz zachwycony. Tak zdecydowałam.

Nie chcę mieszkać wśród tych wszystkich wspomnień. To nie byłoby dobre dla Hannah.

– Jestem jej ojcem, Caitlin. Nie umarłem. – Obawiał się, że jego żona postradała zmysły. –

Przenosisz ją do innej szkoły? Nie możesz tego zrobić. Chodzi dopiero do drugiej klasy.

– Nie, nie przenoszę.

Odetchnął z ulgą. Przynajmniej tyle.

– Dokąd się przeprowadzacie? Kiedy spotkanie w sprawie podpisania ugody?

– Nie muszę ci mówić.

– Co? Dlaczego?

– Powiem ci, kiedy zapadnie ostateczna decyzja. Tu chodzi o ciebie, nie o nią.

– Ale ja się o nią martwię. Nie rozumiesz, jaki to może mieć wpływ na Hannah? Tak wiele zmian naraz? Jeszcze przeżywa nasze rozstanie.

– Nic jej nie będzie.

– Niekoniecznie. Jest wrażliwa. – Równowaga emocjonalna Hannah stanowiła ogromny problem podczas trwania ich małżeństwa. Eric obawiał się, że odziedziczyła po nim skłonność do zaburzeń lękowych, która jest uwarunkowana genetycznie. Natomiast Caitlin twierdziła, że on wzmacnia lęki małej. Nie mogła uwierzyć, że jej córka nie jest ideałem, jak mama.

– Zaczniemy od nowa.

Eric zmienił taktykę.

– Mogę odkupić od ciebie dom? Odkupię go, chociaż to mój dom.

– Nie. Umowa została sfinalizowana, płatność w gotówce, cała suma.

Zastanawiał się, czemu mówi jak agent nieruchomości.

– Ile? Dam więcej.

– Nie, już po wszystkim. – Uniosła ręce do góry. – Opuść. Nigdy niczego nie odpuszczasz.

Ogarnęła go wściekłość, ale zachował kontrolę nad sobą.

– Gdzie jest Hannah? Mieliśmy zjeść dziś razem kolację.

– Nie możemy. Ma trening softballowy.

– Od kiedy gra w softball? – Sytuacja stawała się coraz bardziej absurdalna. Hannah nie interesowała się sportem. Nie przejawiała najmniejszych „atletycznych skłonności”. Lubiła pisać, rysować i czytać. Była mołem książkowym, jak on.

– To pierwszy trening letniej ligi.

– Nie możesz jej zapisać na zajęcia sportowe bez porozumienia ze mną. Musimy rozmawiać o takich rzeczach.

– Idziemy na próbę. Nie potrzebuję twojej zgody, żeby spróbować. – Machnęła wypielegnowaną dłonią.

– Owszem, potrzebujesz. Mamy równorzędne prawo do opieki. – Eric poczuł, że wszystko zaczyna mu się wymykać z rąk. Życie, dom, żona, córka. Kontrola. Tak, potrafił to przyznać.

– Dlaczego miałbyś się sprzeciwić?

– Dobrze wiesz. Wywierasz na nią presję. Zależy ci, żeby też uprawiała sport, jak ty. Nie interesuje

cię, czy naprawdę tego chce.

– O co taka afera? Rany boskie, pozwól jej być normalnym dzieciakiem. – Opędziła się od niego ręką jak od muchy. – Normalne dzieci lubią grać w piłkę. Nie chcesz, żeby była normalna?

– Chcę, żeby była sobą...

– Nieprawda. – Caitlin się zdenerwowała. – Ma być taka jak ty.

– Albo jak ty – odwzajemnił się Eric. „Mam nadzieję, że będzie podobna do ciebie”, mówili sobie kiedyś. Kiedy to się zmieniło? Nie pamiętał. Dziś oboje mieli nadzieję, że córka będzie całkowitym przeciwieństwem tego drugiego.

– Odejdź, Ericu. Nie masz prawa tu być.

– Gdzie Hannah? Chcę się z nią zobaczyć.

– Nie. Musi się przebrać. Jesteśmy spóźnione.

– Nie pozwalasz mi się z nią spotkać? Naprawdę? – Postąpił w stronę drzwi, Caitlin zagroziła mu drogę, krzyżując ramiona. Był postawnym facetem, ale nie miał zamiaru wykorzystywać swojej przewagi fizycznej i ona doskonale o tym wiedziała. To ostatnia rzecz, jaką by kiedykolwiek uczynił.

– Mam korki i strój. Jest bardzo podekscytowana. Nie psuj jej zabawy.

– Nie mam zamiaru, chcę się tylko przywitać. Spodziewała się, że przyjdę...

– Nie możesz się z nią zobaczyć. – Posłała mu zimne spojrzenie błękitnych oczu. – Dziś nie jest twój dzień odwiedzin.

– To moje dziecko. – Nie znosił ustalonych dni odwiedzin. Twój dzień, mój dzień – chciał widywać córkę każdego dnia. Tymczasem miał wyznaczony co drugi weekend i jedną kolację w tygodniu. Prawnicy twierdzili, że to standardowy plan opieki, Eric próbował się do niego dostosować od trzech miesięcy i stwierdzał, że w miarę upływu czasu nie jest mu ani trochę łatwiej.

– Dzwonię do Daniela. – Caitlin wyjęła z kieszeni telefon. – Radzę ci zadzwonić do Susan.

– Bitwa prawników? Nie, dziękuję. Przesuń się, proszę.

– Niech ci będzie. – Przepuściła go i powiedziała do słuchawki: – Danielu, mam problem...

Eric wszedł do domu i pobiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Przybrał pogodny wyraz twarzy.

– Tatusiu, to ty? – zawołała radośnie Hannah ze swojego pokoju.

ROZDZIAŁ 5

– Tatusiu! – Podbiegła do niego przez wyściełany wykładziną hol. Otworzył ramiona, uniósł ją do góry i mocno uściskał, wdychając zapach szamponu Disney Princess zmieszanego z dziwną chemiczną wonią wydzielaną przez żółtą poliestrową koszulkę z napisem „Przychodnia Dentystyczna dla Dzieci U Davida”.

– Skąd wiedziałaś, że przyszedłem? – Ugryzł się w język, zanim powiedział „do domu”. Nie miał pojęcia, gdzie jest jego dom. Wystawiony na sprzedaż. Sprzedany. Nie ma.

– Słyszałam cię na schodach. Masz wielkie stopy. – Objęła go za szyję odsłoniętymi ramionami i wtuliła się mocno, jak kociak. Proste, sięgające za uszy, jasnobrązowe włosy okalały pyzată buzię. Reszta ciała była szczuplutka. Hannah miała na sobie spodenki pasujące do koszulki i bose stopy.

– Kocham cię, maleńka. – Pocałował córkę w policzek.

– Ja ciebie też kocham.

– Pani Williams spodobała się twoja diorama? – Postawił ją na dywanie. Wyglądała uroczo w żółtym stroju sportowym i plastikowych różowych okularkach. Była dalekowiedzem, szkła powiększały jej błękitne oczy. Małe dziewczynki w okularach zawsze go wzruszały.

– Bardzo! – Hannah się rozpromieniła, pokazując prawie równe ząbki. Brakowało tylko jednego, u góry po lewej stronie. – Powiedziała, że to jedna z najlepszych prac w całej klasie.

– Wiedziałem. Wspaniale.

– Troje innych dzieci zrobiło prace o *Kubie i ogromnej brzoskwini*, ale tylko ja pokazałam magiczne kryształy.

– Brawo. – Przykląkł i dotknął jej koszulki. – Hej, podoba mi się ten czadowy strój. Słyszałem, że zamierzasz dziś grać w piłkę. Na pewno będzie świetnie.

Hannah nagle zamilkła i zmarszczyła brwi. Nie chciał projektować na nią własnych odczuć, więc ponowił próbę.

– Podobno masz też korki. Korki są super.

– Nie znoszę ich. Są dziwne. Nie da się w nich normalnie chodzić, tylko po trawie. Pojechaliśmy po nie do galerii. – Zmarszczyła zadarty nosek, miniaturową kopię nosa Caitlin. – Mama miała kiedyś korki. Grała w nich w hokeja na ławie.

Eric ukrył uśmiech. Caitlin grała na studiach w hokeja na trawie, w hokeju na ławie nie była już tak dobra.

– Poszliśmy też na lody i mamusia kupiła mi jeszcze taką rękawicę, którą się łapie piłkę. – Dziewczynka odgarnęła grzywkę z czoła. – I gumki do okularów, żeby mi nie spadły. Żółte, pod kolor stroju.

– Super! – Caitlin wyciągnęła ciężkie działa: lody i zakupy. – Jesteś dobrze przygotowana do treningu. Chyba będzie fajnie, co?

– Nie. – Popatrzyła na niego spod grzywki zboląłym wzrokiem. Była do niego bardzo podobna. Nie

fizycznie, fizycznie bardziej przypominała Caitlin, miała taki sam kolor włosów i oczu. Jednak sposób bycia, manieryzmy, jej gestalt – nie mógł się powstrzymać przed używaniem zawodowego słownictwa – to był wykapany tata.

– Dlaczego nie? Wydaje się super.

– Nie jestem w tym dobra. Za trudne.

– Dlaczego? – zapytał pogodnym tonem, choć doskonale rozumiał jej udrękę.

– Po prostu trudno się w to gra. – Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Ale co sprawia ci największą trudność? – Pomagał wyrazić córeczce odczucia, wiedział, że to o wiele zdrowsze niż tłumienie negatywnych emocji. Zawsze używał swojej zawodowej wiedzy, żeby pomóc Hannah. Był jej domowym terapeutą.

– Masz tylko trzy szanse, żeby trafić w piłkę. Potem trzeba zejść z boiska na ławkę.

– Po prostu baw się tym, skarbie. Na treningu możesz sprawdzić, czy ci się spodoba. Chyba warto spróbować.

– Będą na mnie źli. Dzieciaki ze szkoły już i tak mnie nie lubią. – Ze smutkiem popatrzyła mu w oczy. – Nie jestem wystarczająco dobra, żeby grać w drużynie. Nigdy nie trafiam w piłkę, łapać też nie potrafię. Tylko jeden jedyny raz udało mi się złapać, na przerwie, ale Sarah T. uderzyła we mnie i ją upuściłam. Co będzie, jeśli upuszczę piłkę i wszyscy zaczną się śmiać? A potem będą stroić żarty?

Wysłuchiwał litanii potencjalnych katastrof. Hannah już jako dwulatka miała wyraźne objawy zaburzeń lękowych. Wstydziała się innych dzieci w przedszkolu, bała się pszczoł, much, ciemności, okien po zapadnięciu zmroku, a nawet motyli. Z wiekiem stawała się coraz bardziej ostrożna, lękliwa, skłonna do zamartwiania się. Jej lęki były nieracjonalne. Eric ścisnął delikatnie ramię córeczki.

– Spróbuj się po prostu dobrze bawić.

– Jak?

– Powiedz sobie: Bardzo miło jest pobiegać na powietrzu. Jak Kuba z Panią Pająkową i gąsienicą. Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Mamusia mówi, że muszę próbować przez całe lato, zanim pozwoli mi zrezygnować.

– Aha. – Zachował swoje myśli dla siebie. Tyle jeśli chodzi o jeden próbny trening. – Mama chce, żebyś zażyła trochę ruchu na świeżym powietrzu i miała z tego frajdę.

– A jeśli nie zrozumieję zasad?

– Nauczysz się.

– Pani Pinto musi mi wytłumaczyć w szkole. – Hannah zaczęła bawić się kosmykami włosów. Robiła tak, kiedy była zdenerwowana, a Eric modlił się, żeby ten zwyczaj nie przerodził się w trichotillomanię, częstą wśród jego pacjentów w szpitalu. Dzieciaki wyrwały sobie całe pukiły włosów. Niedawno leczył licealistkę, która wyrwała sobie wszystkie brwi i rzęsy.

– Hannah, posłuchaj mnie. Pomogą ci zrozumieć zasady. Nikt nie spodziewa się, że będziesz je od razu znała. Od tego jest trening, żeby się uczyć.

– Wszyscy inni już je znają. – Hannah zawijała na palec kosmyk włosów. – Tylko ja nie. Emily została kapitanem drużyny i mówi, że jestem beznadziejna.

– Nie jesteś beznadziejna, skarbie. – Przytulił ją i pocałował. – Emily jest niemiła. A co wiemy o niemiłych ludziach?

– Mają niską samoocenę.

– Otóż to. – Uśmiechnął się. – Mają niską samoocenę. Półgłówki.

Córeczka zachichotała, po czym oboje się odwrócili, słysząc odgłos kroków Caitlin na schodach.

– Hannah, jesteś gotowa? – zawołała z fałszywą beztróską. – Nie chcemy się spóźnić.

– Wiesz co, mamusiu? – odchrząknęła dziewczynka, śmiejąc się. – Tatuś nazwał Emily półgłówkiem.

Caitlin podeszła do nich, zaciskając usta.

– Nie przezywaj innych dzieci, Hannah. Emily to bardzo fajna dziewczynka.

Eric wstał i zmierzwił włosy córki. Jej głowa była przyjemnie ciepła.

– Wydaje się raczej niemiła. Przezywa Hannah.

– Naśladowanie złego zachowania nie rozwiązuje problemu – odrzekła chłodno Caitlin, podając mu swój telefon. – Proszę. Myślę, że powinieneś porozmawiać z Danielem.

– Dzięki. – Wziął telefon, nacisnął przycisk kończący połączenie i oddał go jej. – Proszę. Pozdrów ode mnie Daniela.

– Jak chcesz. – Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, ale nie mogła nic powiedzieć w obecności Hannah.

Dziewczynka popatrzyła na ojca, z jej buzi zniknął uśmiech.

– Tatusiu, pojedziesz ze mną na trening?

– Pewnie. Z wielką przy...

– Tata nie może – przerwała mu Caitlin, utrzymując pozory uprzejmości. – Dziś nie ma prawdziwego meczu, tylko trening, a tatuś musi naprawić płot i skosić trawę. Damy mu harmonogram twoich meczów, żeby następnym razem mógł popatrzeć, jak grasz. – Wskazała białe stopy córki. – Gdzie są buty i skarpetki? Spieszmy się.

Mała poprawiła okulary.

– W moim pokoju. Sznurowadła są za długie. Nie umiem ich przewlec przez dziurki.

Nakazała gestem, żeby po nie poszła.

– Zasznurowujemy buty w samochodzie. Szybciutko.

– Dobrze. – Hannah pobiegła do pokoju.

– Tak jak podejrzewałem – zwrócił się do Caitlin po odejściu córki. – Nie chce grać w softball, ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś spróbowała ją przekonać. Chciałbym pojechać i popatrzeć, jak trenuje. Mam do tego prawo.

– Gdybyś porozmawiał z Danielem, wiedziałbyś, że tak nie jest.

– Parafrazując twoje słowa: Dlaczego miałabyś mieć coś przeciwko temu? Skoro softball jest taki wspaniały, czemu nie mogę popatrzeć, jak świetnie się bawi moja córka?

– Nie będzie się świetnie bawić w twojej obecności. Uda pokrzywdzoną, żeby zaskarbić sobie twoje współczucie.

– Nieprawda. – Poczł się urażony w imieniu Hannah. – To mały dzieciak, którego przerastają duże emocje. Mamy obowiązek pomagać jej radzić sobie z nimi, nawet jeśli wolelibyśmy, aby ich w ogóle nie miała. Nawet jeśli są dla nas niewygodne.

– Daj spokój, Freudzie. Dlaczego musisz wszystko komplikować? Dlaczego każdy drobiazg musi być taki ciężki?

– Decyzja zawsze pociąga za sobą jakieś konsekwencje, Caitlin. Ludzie mają prawo reagować emocjonalnie, zwłaszcza dzieci.

– Oszczędź mi tego. – Zacisnęła swoje idealne zęby. – Dzieci grają w softball. Życie składa się ze złych i dobrych chwil. Ludzie się rozwodzą, a ono toczy się dalej. – Zniżyła głos, ponieważ

dziewczynka właśnie wracała, ciągnąc za sobą zbyt długie sznurowadła.

– Mamusiu, przyniosłam buty!

– Nie możesz iść szybciej? – Caitlin podeszła do córki i poprowadziła ją w stronę schodów. Telefon Erica zadzwonił w kieszeni. Pospieszenie po niego sięgnął, odruch lekarza. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko adwokatki, Susan Grimes. Wsunął aparat z powrotem do kieszeni, po czym podążył za Caitlin i Hannah. Na dole dostał polecenie zanieśienia do samochodu torby ze zdrowymi przekąskami, podczas gdy Caitlin zajęła się nawlekaniem sznurowadeł.

Pomachał im na pożegnanie, kiedy odjeżdżały. Rozejrzał się po podwórku i dostrzegł, że tablica z napisem NA SPRZEDAŻ zniknęła. Caitlin musiała ją zdjąć, gdy poszedł na górę. Zajrzał do garażu: leżała za leżakami. Zabrał ją stamtąd i wyrzucił do śmietnika za domem. Bezrefleksyjnie, po prostu to zrobił i czuł się wspaniale, chociaż nieco dziecinnie.

Wrócił do garażu, przebrał się w robocze dżinsy i koszulkę, które przechowywał razem z narzędziami. Naprawiał płot o zmroku, ignorując ucisk w klatce piersiowej. To tylko nadaktywne ciało migdałowe, powtarzał sobie. Ten ośrodek mózgowy odpowiada za generowanie negatywnych emocji i jest nadmiernie pobudliwy u osób z zaburzeniami lękowymi. Wyobraził sobie mapę mózgu z podręcznika neurobiologii. Ciało migdałowe zaznaczone na czerwono-pomarańczowo, kolory symbolizujące maksymalny stopień aktywności.

Odłożył narzędzia, uruchomił kosiarkę. Podczas koszenia trawy zdołał się wreszcie uspokoić. Jeździł w tę i z powrotem, prościutko, jak najbliżej drzew, żeby potem nie kosić ręcznie. Pielęgnował trawnik, na którym jego córka już nie będzie się bawić, obok domu, który przestał być jego domem.

Nie zauważył, kiedy słońce zniknęło za horyzontem. Ciemność w nim zapadła wcześniej.

Odczytał wiadomość dopiero po powrocie do domu.

ROZDZIAŁ 6

Położył klucze i list na stoliku w korytarzu, następnie wyjął z kieszeni telefon. Dostał SMS-a, którego wcześniej nie zauważył. Zajęty koszeniem trawy, nie poczuł wibracji telefonu, a w samochodzie od razu zadzwonił do swojej adwokatki, z którą nie zdołał się połączyć, następnie do agencji nieruchomości, tam także nikt nie odbierał telefonu. Potem odpowiedział na wiadomości od prywatnych pacjentów. Na szczęście nie wydarzyło się nic alarmującego. Ktoś wymagał pocieszenia, ktoś zmienił sobie dawkę leku. Jeden telefon do apteki i powrót do domu. Do nowego domu.

Był zmęczony, spocony i głodny, pokryty grubą żółto-zieloną warstwą pyłków. Koszulka przywarła mu do ciała, do trampek i dżinsów przyczepiły się źdźbła trawy. Otworzył wiadomość przysłaną z obcego numeru:

Chciałeś porozmawiać o Jacobsie. Nie zdążyłam Cię złapać, zanim wyszedłeś. Jestem wolna dziś wieczorem. Kristine

Zamrugał, był zaskoczony, napisała do niego stażystka, Kristine Malin. Nigdy nie dostał wiadomości od żadnego stażysty. Nie miał pojęcia, skąd wzięła jego numer. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że musiała mieć dostęp do szpitalnej internetowej bazy danych. Istotnie wspomniał, iż chciałby z nią porozmawiać o jednym z pacjentów. Armand Jacobs miał ponad siedemdziesiąt lat, borderline i problem alkoholowy. Zapomniał o tym po rozmowie z Laurie i poszedł do domu. Omówienie przypadku Jacobsa mogło poczekać do jutra.

„Leci na ciebie”.

Przyszło mu do głowy, iż Kristine próbuje wykorzystać pracę jako pretekst, żeby zaprosić go na randkę. Nigdy nie umówiłby się z podwładną, tym bardziej ze stażystką, ale poczuł pokusę. Cisza odbijała się echem od ścian. Miał tylko kilka podstawowych mebli, ponieważ do dziś karmił się nadzieją, że Caitlin pozwoli mu wrócić do starego domu. Nie uprawiał seksu od ośmiu miesięcy i trzech tygodni. Mimo wszystko bardziej potrzebował adwokata niż nowej kobiety.

Wyszukał nazwisko wśród kontaktów i zadzwonił. Przeszedł do kuchni, czekając na połączenie.

– Susan? Cześć. Dostałaś moją wiadomość?

– Tak, cześć. – Ledwie ją słyszał przez hałas w tle. – Jestem na meczu koszykówki u syna.

Przepraszam, nie miałam czasu oddzwonić.

Powróciły do niego słowa Caitlin: „Normalne dzieci lubią sport”. Odepchnął je od siebie.

– Możesz rozmawiać? To ważne. Jestem teraz jednym z tych klientów, którzy dzwonią o każdej porze dnia i nocy.

Roześmiała się.

– O co chodzi? Wiem od Daniela, że miałeś jakiś problem. Co się stało?

Opowiedział jej najzwyczajniej, jak potrafił.

– Czy ona może to zrobić? Sprzedać dom bez mojej zgody?

– Niestety. Zgodziliśmy się, że oddasz jej dom dla dobra Hannah, ale nie zawarliśmy tego w umowie. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że takich rzeczy nigdy się nie pisze.

– Cholera. – Otworzył lodówkę.

– Mogłam najwyżej spróbować zagwarantować ci prawo pierwokupu. Przypuszczam, że od początku wiedziała, że sprzeda dom, co zresztą powiedziałam Danielowi. Nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

– Możemy zmodyfikować umowę tak, żebym miał prawo pierwokupu? – Przyjrzał się zawartości lodówki: przeterminowane mleko, sześciopak piwa, resztki jedzenia na wynos z Chipotle, Saladworks i Outback Steakhouse. Śniły mu się opakowania po jedzeniu na wynos, tyle go ostatnio pochłaniał.

– Nie, nie zgodzą się na poprawki. Wcześniej też nie zgodziliby się na ten punkt.

– Rozumiem. – Nie zamierzał się poddać. – Chyba możemy coś zrobić, żeby ją powstrzymać?

– Przykro mi, ale nie.

– Mogę odkupić dom od obecnego właściciela? Dzwoniłem do agencji, ale jeszcze do mnie nie oddzwonili.

– Odradzam, Ericu.

– Dlaczego? Kto może mi zabronić odkupić własny dom?

– Jeżeli transakcja jest w toku, a ty ją przerwiesz, może ci wytoczyć proces.

Prychnął z niedowierzaniem.

– Za co? Za próbę kupienia domu, który należał do mnie?

– To się nazywa odpowiedzialność deliktowa za zerwanie umowy.

– A jeśli zapłacę więcej? Twierdzi, że dostała całą cenę wywoławczą. Nie wiem ile, ale nieważne, mogę dać więcej. Przecież wtedy nie poniesie żadnej straty finansowej.

– Nie tak szybko. Wątpię, czy zdołasz ją przebić. Mam kuzyna w branży nieruchomości. Przeprowadził dla mnie mały wywiad. Caitlin sprzedała dom za pięćset dziesięć tysięcy dolarów.

– Co takiego?! – Chwycił butelkę piwa i zatrzaskał lodówkę. – Niemożliwe. Rzeczoznawca wycenił go na czterysta pięćdziesiąt. Jakim cudem dostała aż tyle?

– Kuzyn podejrzewa, że znalazła zagranicznego kupca.

– Zagranicznego kupca? To przedmieścia Filadelfii, a nie Londyn.

– Podobno nieruchomości w twojej okolicy są kupowane przez japońskich biznesmenów po połączeniu Centennial Tech z tą japońską firmą. Sporo przepłacili. Pięćset dziesięć za trzy sypialnie i dwie łazienki? Na takiej działce?

Poczuł się dotknięty. Uwielbiał tę działkę.

– Cóż, nie mam tyle pieniędzy.

– Szczególnie, że sprzedałeś jej dom za stówę. Caitlin świetnie zarabia, powinna była zapłacić połowę wartości. – Susan cmoknęła z dezaprobatą. – Próbowałam cię ostrzec. Żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie, Ericu.

– To był dom mojego dziecka. – Przytrzymał słuchawkę ramieniem, otworzył szufladę, wyjął otwieracz do butelek i otworzył piwo.

– Tak, a Caitlin nieźle na nim zarobiła.

Nie odpowiedział, przetwarzał informacje. Nie rozumiał, jak Caitlin mogła sprzedać dom, nawet jeśli trafiła jej się wyjątkowa okazja. Nie rozumiał, jak mogła go zostawić. Nadal ją kochał, a ona po prostu odeszła, zabierając wszystko – Hannah i dom z idealnie skoszonym trawnikiem. Napił się

gorzkiego piwa.

– Jesteś tam, Ericu?

– Tak. Mam myśli samobójcze. Na szczęście znam dobrego psychiatrę.

Susan zachichotała.

– Okej, zmieńmy nieco temat. Caitlin twierdzi, że nie mam prawa chodzić na treningi softballowe Hannah. To prawda?

– Nie, chciała się ciebie pozbyć, podobnie jak Daniel. Dobrze, że nie odebrałeś telefonu od niego. Nie powinien z tobą rozmawiać. Dobrze wie, kto ciebie reprezentuje. Trening to publiczne wydarzenie, nikt ci nie może zabronić pójść.

– Ale chyba powinna zapytać mnie o zgodę, zanim zapisze naszą córkę na jakiegokolwiek zajęcia pozalekcyjne? Czy nie na tym polega wspólne sprawowanie opieki nad dzieckiem, że razem podejmujemy wszelkie istotne decyzje?

– Wspólne sprawowanie opieki dotyczy naprawdę ważnych spraw, takich jak wybór religii czy zmiana szkoły.

– Co robimy w sprawie tych zajęć?

– Nic. Moglibyśmy pójść do sądu, ale przegralibyśmy. Sędzia uznałby, że się czepiasz drobiazgów. Usiłujesz sprawować nadmierną kontrolę.

– Bagatelizujesz problem, a prawda jest taka, że Hannah nie nadaje się do tego typu aktywności. Mówiłem ci – jest bardzo nieśmiała, nie chce grać w piłkę. Kiepsko jej idzie i inne dziewczynki jej dokuczają. Nie możemy tego wyjaśnić w sądzie?

– Nie. Sądy rodzinne nie chcą podejmować za rodziców decyzji, czy ich dziecko powinno, czy nie powinno grać w softball. Hannah nie ma oficjalnie zdiagnozowanych zaburzeń lękowych, które u niej podejrzewasz.

– Owszem, ja stawiam taką diagnozę.

– Sędzia nie uzna diagnozy członka rodziny. Jeżeli chcesz, mogę was umówić z niezależnym specjalistą.

– Nie będę narażał dziecka na dodatkowy stres tylko po to, żeby coś udowodnić przed sądem. – Eric nie cierpiał tej całej prawniczej otoczki. Jakiś obcy sędzia miał decydować o tym, co jest najlepsze dla dziecka, które on, ojciec, znał lepiej i kochał bardziej niż życie? – Przeżywa nasze rozstanie, a teraz jeszcze przeprowadzka...

– Dzieci są odporne, naprawdę.

– Nie do tego stopnia. – Irytował go sceptyczny ton Susan. Dzieci z zaburzeniami lękowymi cierpiały psychiczne katusze, wiedział o tym najlepiej. Każdego można złamać w odpowiednich okolicznościach. Do ilu tragedii musi jeszcze dojść, zanim ludzie przejrzą na oczy? Do ilu strzelanin w szkołach?

– Mam propozycję. Oczekajmy parę treningów, poobserwujmy sytuację. Jeśli trzeba, pójdziemy do sądu, ale będziesz wtedy wyglądać bardziej wiarygodnie.

W głowie Erica kiełkował nowy, odważny pomysł.

– Posłuchaj, sprawa ze sprzedażą domu mnie zszokowała. Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem, odstępując Caitlin funkcję głównego opiekuna. Jeżeli moja żona ma zamiar wprowadzać tyle zmian, Hannah, tak czy inaczej, nie będzie miała stabilizacji, na którą liczyłem.

– Do czego zmierzasz?

– Chciałbym wystąpić do sądu o wyznaczenie mnie jako głównego opiekuna.

– Mówisz poważnie? – Susan była zaskoczona.

– Tak. Dlaczego nie?

– Ustaliliście z Caitlin co innego. Na mocy podpisanej umowy Hannah zostaje z nią.

– Zanim dowiedziałem się o sprzedaży domu. – Wypił kolejny łyk piwa. Alkohol pomagał mu myśleć. Niewykluczone, że był wstawiony. – Dlaczego moja córka nie mogłaby zamieszkać ze mną? Mam bardziej elastyczne godziny pracy niż Caitlin i mogę pracować mniej. Do cholery, gdybym chciał, mógłbym rzucić robotę w szpitalu i przyjmować tylko prywatnie.

– Spokojnie, Ericu. Ta decyzja zmieni twoje życie.

– Może powinienem zmienić swoje życie. – Od razu poczuł się lepiej. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo przybiło go kilka miesięcy z dala od córki. – Pora zacząć działać agresywnie. Wszak Caitlin nie przebiera w środkach, prawda?

– To nie są zawody, Ericu. Na pierwszym miejscu stoi dobro Hannah.

– Wiem i uważam, że ze mną będzie jej lepiej.

– Tylko dlatego, że Caitlin sprzedaje dom?

– W pewnym sensie tak, choć nie dosłownie. Zależało mi, żeby nie wprowadzać dodatkowego zamieszania w życie Hannah, a Caitlin tego nie uszanowała. Jeśli mała i tak musi się przeprowadzić, niech się wprowadzi do mnie. – Napił się piwa. – Uznałem, że zaszkodzimy dziecku, kłócąc się o opiekę nad nim, więc za wszelką cenę usiłowałem uniknąć konfrontacji. To był błąd. Powinienem walczyć.

– Dziewczynki najczęściej zostają z matkami. Czemu uważasz, że w tym wypadku powinno być inaczej?

– Hannah jest ze mną mocniej związana. Rozumiem ją lepiej od Caitlin. – Był o tym przekonany całym sercem, choć wiedział, iż żona nigdy by tego nie potwierdziła. – Wolałbym, żeby nie musiała odpowiadać na pytanie, z kim chce mieszkać, ale wybrałaby mnie. Będzie musiała zdecydować?

– Nie. Możliwe, że to pytanie padnie z ust sędziego, lecz odpowiedź o niczym nie zdecyduje. Hannah jest za mała. Skoro zamierzasz walczyć o opiekę, natychmiast wycofam dokumenty, które złożyliśmy wcześniej.

– A potem?

– Będziemy negocjować. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, pójdziemy do sądu. To nie są przyjemne sprawy, ale skoro tego właśnie chcesz, tak zrobimy. – Zawahała się. – Istnieje możliwość kompromisu.

– Jakiego?

– Moglibyśmy zaproponować opiekę naprzemienną. Hannah spędzałaby jeden tydzień u ciebie i jeden u Caitlin.

– Nie podoba mi się pomysł. Nie sędzę, żeby to było dobre dla małej. Musiałyby przywyknąć do dwóch nowych domów. Dzieci z zaburzeniami lękowymi źle znoszą wszelkie zmiany, brak stabilizacji. Trudniej się adaptują, a takie sytuacje stwarzają dodatkowe problemy.

– Dobra. Prześpij się z tym i zadzwoń do mnie w poniedziałek rano.

– Mamy szansę wygrać w sądzie?

– Jakieś pięćdziesiąt procent. Mogę jedynie obiecać, że dam z siebie wszystko.

– Dzięki – powiedział. Ogarnęła go ciepła fala wdzięczności.

– Tymczasem zachowaj powściągliwość. Nie dzwoń do Caitlin, nie wpytuj o treningi. Hannah też nie wpytuj, jak było. Wycofaj się. Niech to pozostanie między nimi.

– Ale mogę chyba rozmawiać z córką? Co wieczór gadamy przez telefon. Daliśmy jej telefon komórkowy specjalnie, żeby mogła się ze mną kontaktować.

– Możesz, ale nie wyciągaj od Hannah informacji. Sąd krzywo na to patrzy.

– Nie miałem i nie mam takiego zamiaru.

– Na razie. Wkrótce wejdziecie z Caitlin w otwarty konflikt. Ona nie należy do osób, które poddają się bez walki. Chyba rozumiesz, co to znaczy?

Rozumiał.

– Wszystko, co zrobisz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie przed sądem. Jasne?

– Tak. Dzięki.

– Proszę. Muszę kończyć. Pogadamy w poniedziałek. Mój syn właśnie schodzi z boiska.

– Wygrali?

– Gdyby wygrali, tobym wiwatowała. Dobranoc.

– Super, na razie. Cześć. – Rozłączył się, opróżnił butelkę, odstawił ją na blat obok telefonu. Dostał kolejną wiadomość od Kristine.

Poszedł pod prysznic, aby przemyśleć swoją decyzję.

ROZDZIAŁ 7

Eric namydlił całe ciało, gorąca woda rozluźniała napięte mięśnie karku. Pozwolił swobodnie płynąć myślom, czego zazwyczaj nie robił. Entuzjizm, jaki czuł na myśl, że zawałczy o opiekę nad Hannah, wydał mu się nie na miejscu. Narażał przecież dziecko na stres rozprawy sądowej, w której stronami będą mama i tata. Jeżeli sędzia zapyta dziewczynkę, z kim chce mieszkać, a ona wybierze jego, będzie musiała się zmagać z poczuciem winy wobec Caitlin.

Staął plecami do strumienia wody. W przypadku, kiedy oboje rodzice są zdolni do sprawowania opieki, dziecko stoi na przegranej pozycji, tak czy inaczej, traci codzienny kontakt z jednym z nich. Eric nie chciał być niedzielnym tatusiem, ale uważał, że poradzi sobie z przegraną lepiej od byłej żony. Jeżeli Caitlin przegra, nigdy mu tego nie wybaczy. Straci ją bezpowrotnie, nawet jako przyjaciółkę. Zatem on również przegra, niezależnie od wyniku.

Zakręcił wodę. Znał słabe punkty Caitlin – z wzajemnością, jak to w małżeństwie – wiele z nich miało związek z macierzyństwem. Jej matka, nazywana przez nich ironicznie Matką Teresą, była osobą chłodną i zdystansowaną. Caitlin miała wyrzuty sumienia, ponieważ nie umiała okazywać uczuć wobec Hannah, w ich relacji brakowało ciepła. Czowała się też winna, że kocha swoją pracę w biurze prokuratora. Tuż po porodzie zapadła na depresję i nie była całkiem przekonana, że problem miał podłoże czysto biologiczne. Siedzenie w domu z noworodkiem uważała za przykry obowiązek, nie wytrzymała nawet miesiąca. Karmienie piersią zarzuciła po dwóch tygodniach.

Eric otworzył przeszkłone drzwi kabiny prysznicowej, wyszedł, sięgnął po ręcznik i osuszył ciało. Nabierał coraz większej pewności, że będzie lepszym opiekunem dla Hannah. Fakt, iż jest ojcem, a nie matką, nie powinien mieć nic do rzeczy. Co definiuje mężczyznę? Ojca? Czy ma odwagę zrezygnować z pracy w szpitalu i pracować tylko w domu? Jak duża część jego poczucia własnej wartości opiera się na sprawowaniu funkcji ordynatora w Havemeyer General? Jaki wpływ wywrze na jego karierę taka decyzja? Czy nie opuszczą go prywatni pacjenci?

Przewiązał się ręcznikiem i zerknął w lustro. Popatrzył w swoje blisko i głęboko osadzone oczy w wyrazistym niebieskim kolorze. „Melancholijne”, mówiła Caitlin. On sam wolał mniej symptomatyczne określenia, na przykład „przenikliwe”. Krótkie jasne włosy nawet po zmoczeniu były nastroszone, jak u jeża, żona uważała kiedyś, że to urocze. Wąski nos z małym garbem i wąskie usta. Uśmiech, który podobał się Caitlin. Wysoka, barczysta sylwetka z wyraźnie zarysowanymi mięśniami brzucha.

„Mój mąż ma najlepsze ciało ze wszystkich mężów na świecie”, mawiała.

Uświadomił sobie, że nie potrafi spojrzeć w lustro i nie pomyśleć o niej. Czy wszyscy żonaci faceci zaczynają na siebie patrzeć oczami swoich żon? Caitlin najpierw była jego dziewczyną, potem najlepszą przyjaciółką, następnie żoną, wreszcie matką jego dziecka. Jediną rodziną, jaką miał. Teraz być może będą walczyć o wspólną, jedyną córkę, ale nie wiedział, czy potrafi zepchnąć Caitlin do roli weekendowej matki, zabrać jej Hannah i narazić na ból, którego sam doświadczał.

Wyszedł z łazienki, przytrzymując ręcznik. Nie chadzał po domu nagi, ponieważ nie kupił jeszcze zasłon, tymczasem starsza pani z naprzeciwka podglądała go przez lornetkę, na czym przyłapał ją po dwóch tygodniach mieszkania tutaj. Caitlin zawsze twierdziła, iż staruszki mają do niego słabość. Przypomniawszy sobie o biednej pani Teichner i jej wnuku, ale na razie nie chciał o nich myśleć.

Idąc bosy po drewnianym parkiecie wąskiego przedpokoju pomalowanego na kremowy kolor, wyobrażał sobie Hannah mieszkającą tu na stałe. W uroczym małym domku w Devon z brązowym dachem i zielonymi okiennicami, oddalonym jedynie dziesięć minut drogi od ich dawnego domu, wciąż blisko szkoły. Dwie sypialnie były mniej więcej tej samej wielkości: jedna z oknami od północy dla niego i południowa dla Hannah. Uwielbiała swój nowy pokój i nigdy nie płakała za domem, kiedy zostawała na noc. Nocowała u niego tylko w weekendy, w dni nauki szkolnej byłoby to zbyt trudne. Bawiła się na tym samym placu zabaw, chodziła na lody do tej samej cukierni i wypożyczała książki w tej samej bibliotece. Zabierał ją do tych samych ulubionych księgarń.

Stanął na progu sypialni córki, oceniając pokój nowym spojrzeniem. Był przestronny, mieścił podwójne łóżko, białą komodę, regał z książkami i biurko pod dużym oknem otwierającym się na ogródek. W ciągu dnia skąpany w promieniach słońca sprawiał przytulne wrażenie, jednak w tej chwili wydał mu się niedokończony i nieprzyjazny, przy łóżku brakowało wezglowia, w oknach – zasłon. W miejsce kwiecistej kołderki, którą miała w domu, kupił jej zwykły beżowy koc. Ściany pokoju dzieciennego w dawnym domu pomalowali na jej ulubiony różowy kolor, tutaj były białe jak w całej reszcie pomieszczeń. Trzeba będzie ocieplić ten pokój, jeśli Hannah ma w nim zamieszkać na stałe.

Poczuł przypływ świeżej energii. Dorabiał sobie malowaniem w liceum, bez trudu zamienił sypialnię córki w różowy pałac. Zerknął na zegarek. Dziesiąta, market budowlany jeszcze otwarty. Kupi farbę i mnóstwo różowych dodatków: kołdrę, jakieś poduszki, maskotki i gry, więcej książek, różowe zasłony w kwiatki.

Już widział nowy wystrój oczami wyobraźni. Hannah wspominała, że tęskni za Peachy, szarą kotką, która zmarła w zeszłym roku. Może nadszedł czas na wzięcie nowego kociaka ze schroniska. W przeciwieństwie do Caitlin, Eric kochał zwierzęta i nie wstydził się mówić, że jest kociarzem.

Zadzwoił telefon, pozostawiony w łazience, więc pospieszył, by odebrać. Na wyświetlaczu widniał nieznaną numer, nie był to numer Kristine.

– Panie doktorze? Mówi Max Jakubowski. – W głosie chłopaka wyczuł przejęcie. – Poznaliśmy się dziś w szpitalu. Byłem z babcią.

– Oczywiście, pamiętam. Jak się masz, Max? – Serce podeszło mu do gardła w oczekiwaniu najgorszych wieści. – Jak się czuje babcia?

– Dobrze, zasnęła. Ale... rozmawialiśmy o mnie. Chciałbym się umówić na wizytę.

– To bardzo dobrze – powiedział z ulgą. Chłopak przechodził ciężkie chwile, potrzebował pomocy. Świetnie, że umiał o nią poprosić. – Kiedy chciałbyś przyjść?

– Jak najszybciej. Przyjmuje pan w soboty i niedziele?

– Tak.

– Mógłbym przyjść jutro?

– Wydaje mi się, że tak. Zaczekaj, sprawdzę. – Otworzył kalendarz w telefonie. Był zajęty od dziewiątej do piętnastej. – Mogę cię przyjąć pierwszego, o ósmej rano. Odpowiada ci ta godzina?

– Jak najbardziej. Wielkie dzięki.

– Świetnie. Masz mój adres na wizytówce, tak?

– Zgadza się.

– Do gabinetu prowadzi wejście po lewej stronie. – Nowy, słoneczny gabinet Erica mieścił się na tyłach domu. Kiedyś przyjmował w nim ortodonta, miał oddzielne wejście i podjazd.

– Dobrze, dziękuję. Do zobaczenia jutro o ósmej.

– Świetnie. Dobranoc. Pozdrowienia dla babci.

– Dziękuję, przekażę. – Głos Maksy brzmiał już spokojniej. – Dobranoc.

Eric wszedł w menu wiadomości, wykasował SMS-a od Kristine i poszedł się przebrać do wyjścia. Sam nie mógł w to uwierzyć, ale przedłożył zakupy w markecie budowlanym ponad randkę z apetyczną stażystką.

Jeśli tak dalej pójdzie, może na zawsze pożegnać się z seksem.

ROZDZIAŁ 8

3. Potrafię dobrze kłamać i często to robię:

- a) nie
- b) czasami
- c) tak

Nie mogę zasnąć z powodu zbyt dużego pobudzenia. Pierwsza, być może największa przeszkoda została usunięta. Potrzeba było na to trochę czasu, ale zadziałało.

Wróg chwycił przynętę.

Nie mogę się wyciszyć. Odczuwam nerwowy dreszcz podniecenia.

Zegar przy łóżku wskazuje godzinę trzecią dwie, a ja wciąż przewracam się z boku na bok. Wstaję i przekręcam gałkę ogrzewania. MAX, potem MIN. Dlaczego nie mogą pisać normalnie?

Idioci.

Włączam komputer i zaczynam grać online, ale po chwili wracam do łóżka. Nie mogę się skupić. Nudzą mnie te żałosne kreatury, nie mam dziś ochoty być ich GodnymPrzeciwnikiem. Pogram sobie w realu, moja postać zniszczy kogoś, kto na to zasługuje, ponieważ jest słaby i żałosny.

Czuję się jednocześnie źle i dobrze, już dawno tak nie było. Leżę w ciemnym pokoju, pościel dotyka skóry, niemal parzy nagie ciało, wprawiając je w lekkie drżenie.

Wszystko inne błędnie w porównaniu z uczuciem, jakie towarzyszy rozpoczęciu nowego projektu. Niczym piątek przed długo oczekiwanym weekendem.

Obracam się i poprawiam poduszkę. Spokój nie nadchodzi. Wokół panuje mrok, a ja leżę nieruchomo. Mimo to noc wydaje się tętnić życiem, moje ciało fruwa w powietrzu, nerwy są naładowane elektrycznością, serce pompuje krew, w żyłach krąży adrenalina, neurony trawi ogień.

Sssss! Bum!

Jestem w samym środku gry wideo.

Nie znam większej ekscytacji. Socjopaci mają niedoczynność ciała migdałowatego, ośrodka mózgowego, które stanowi centrum powstawania ludzkich emocji. Można sobie sprawdzić w internecie. U zdrowego człowieka przeżywającego silne emocje ta część mózgu podczas termowizyjnego rezonansu magnetycznego będzie zaznaczona na czerwono i pomarańczowo, podczas gdy ciało migdałowate socjopaty pozostaje zimne, czarne jak noc.

Uważam, że to świetnie.

Moje myśli biegną swobodnie wstecz, do samego początku, kiedy to uczucie pojawiło się po raz pierwszy.

Wspominam tamten dzień z perspektywy siedmioletniego dziecka.

Matka zaprosiła swojego chłopaka z synem, tłuściochem o imieniu Jimmy. Kazała nam się bawić na podwórku i weszła z facetem do domu. Doskonale wiedzieliśmy, co tam robią. Już wtedy. Zresztą

można się było zorientować po odgłosach.

Przy okazji muszę wspomnieć, że moja socjopatia nie jest winą matki.

Ani tym bardziej zasługą.

To wrodzone.

Moja inność była dla mnie widoczna już od początku. Matka także zdawała sobie z niej sprawę, dlatego utrzymywała dystans. Patrzyła na mnie z lękiem. Potrafiła wyczytać prawdę z mojego spojrzenia. Wiedziała, kim jestem.

Szybko stało się dla mnie jasne, że są gorsi, głupszy, daleko im do mojej wyjątkowości. Mimo wszystko wtapianie się w tło nigdy nie było dla mnie problemem. Już wtedy doskonale mi wychodziło. Na przykład tamtego dnia, kiedy Prosiak Jimmy przyszedł w odwiedziny i został sam na podwórku.

Na stole w pokoju dziennym leżała niebieska zapalniczka jego ojca, z sypialni dobiegały odgłosy świadczące o tym, że matka nadal jest zajęta. Gazeta na kanapie stanęła w płomieniach, a narzędzie zbrodni powędrowało do plecaka z Żółwiami Ninja należącego do Prosiaka. Ten przez cały czas był na podwórku, po moim wyjściu z domu pisał swoje imię patykiem na ziemi.

Po pięciu minutach matka i jej facet wybiegli z domu zdyszani i na wpół rozebrani. Przerażeni, bo wyglądało, iż cały dom pójdzie z dymem. Ona sądziła, że zostawiła niezgaszony niedopałek papierosa, ale facet odkrył podpalenie i oskarżył nas.

Oczywiście zaprzeczyliśmy.

Nie minęło wiele czasu, nim matczyzny absztyfikant odkrył brak zapalniczki i przystąpił do poszukiwań. Gdzie się znalazła, jeśli nie pod opieką Donatella, Leonarda, Michała Anioła i tego czwartego, nie pamiętam imienia?

Ojciec Prosiaka błyskawicznie chwycił go za szyję i zdzielił z całej siły w twarz, aż się zatoczył.

Moje dłonie zakrywające twarz w imitacji gestu przerażenia skrywały uśmiech.

Dziś czuję się podobnie.

Rewelacyjnie.

ROZDZIAŁ 9

Rankiem następnego dnia Eric zastał Maksa w poczekalni. Chłopak siedział zgarbiony na drewnianym krześle, skupiony na swoim telefonie.

– Max? Dzień dobry.

– O, dzień dobry. – Podniósł wzrok, szybko schował telefon do kieszeni i poderwał się na nogi.

– Trafiłeś bez problemu?

– Tak, mam GPS-a.

– Dobrze. Zapraszam. – Otworzył drzwi do gabinetu i wpuścił chłopaka, który zdawał się jeszcze bardziej załamany niż w szpitalu. Spuszczona głowa i ciemne sińce wokół oczu świadczyły o bezsenności. Ogólnie depresyjny nastrój.

– Dziękuję, że mnie pan przyjął, doktorze Parrish. – Stał na środku pomieszczenia, w jego oczach malowały się wdzięczność i odrobina nieufności. Na białej, gładkiej skórze nie było śladu zarostu.

– Nie ma za co. Siadaj, proszę. – Wskazał duży zielony fotel naprzeciwko swojego.

– Dzięki. – Max zgiął nogi w kolanach i usiadł sztywno, jak figurka zrobiona z patyków. Miał na sobie luźne spodnie dżinsowe, kolejną czarną koszulkę z krótkimi rękawami i znoszone conversy. –

Nie wiedziałem, że jest pan taką szyczą w szpitalu. Sprawdziłem w sieci.

– Oto ja, wielka szycza – zażartował Eric, próbując przełamać lody.

– A więc tak wygląda gabinet psychiatry. – Rozejrzał się, przekręcając roztrzepaną głowę.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Wcześniej przyjmował w nim ortodonta.

Max, zmieszany, uśmiechnął się, nie przerywając oględzin. Eric skorzystał z okazji, żeby jeszcze raz omieść wzrokiem jasnozielone ściany z czterema oknami rozmieszczonymi na trzech z nich. Po prawej stronie stało nowoczesne biurko z klonowego drewna, przy którym siedział. Utrzymywał na nim porządek. Zielonoszary fotel obrotowy i niska szafka z drewna orzechowego wypchana po brzegi książkami z dziedziny psychiatrii, branżowymi czasopismami i podręcznikami DSM. Na blacie stał ekspres do kawy, obok kilka czystych kubków, stetoskop i ciśnieniomierz. Trzy duże fotele z taką samą zieloną tapicerką zajmowały miejsce na środku pokoju. Nie miał czasu powiesić niczego na ścianie, zresztą nie było na to zbyt wiele miejsca, a wszystkie dyplomy miał w szpitalu.

– Nie ma kozetki – zauważył Max.

– Tylko psychoanalitycy używają kozetek – odpowiedział z uśmiechem. Pacjenci często zwracali uwagę na brak kozetki. – Będziemy rozmawiać na siedząco.

– O. – Max wskazał widok za oknem ocienionym przez krzewy omżynów. Na zewnątrz panowała cisza poza trelami kilku hałaśliwych sójek i silnikiem odkurzacza do liści gdzieś w oddali. – Ładne podwórko, drzewa i w ogóle.

– Mnie też się podoba.

– To pana rodzina? – Wzrok chłopaka zatrzymał się na fotografiach Caitlin i Hannah.

– Tak. – Nie rozwijał tematu. Oszczędnie udzielał informacji o sobie, przede wszystkim dlatego,

żeby nie zabierać czasu pacjentom. Nie wszyscy psychiatrzy mieli w gabinetach rodzinne zdjęcia, ale Eric uważał, że może sobie na to pozwolić w domowym gabinecie. Jego prywatni klienci nie byli niebezpieczni.

– Jak mam się do pana zwracać? Tak samo jak w szpitalu? Doktor Parrish?

– Tak. Może być doktor Parrish. – Sięgnął po tablet i otworzył go na kolanach. Zawsze robił to na początku sesji, aby pacjenci nie przypisywali temu gestowi dodatkowego znaczenia.

– Mam pisemną zgodę babci na terapię.

– Nie jest konieczna, twoja zgoda wystarczy.

– Babcia myślała, że może być potrzebna. Tak jak w szkole. W środku jest czek. – Max wyjął z kieszeni kawałek papieru listowego i podał Ericowi.

Drogi Panie Doktorze Parrish!

Niech Pana Bóg błogosławi za opiekę nad moim Maksem.

Napisane drżącą starczą dłonią. Eric poczuł dławiący ucisk w gardle. Odłożył na bok liścik wraz z czekiem.

– Doskonale. Dziękuję. Cieszę się, że postanowiłeś przyjść do mnie. – Wpisał dzisiejszą datę i nazwisko Maksa. *Max Jakubowski*. Potem wydrukuje notatki i dołączy do akt, przechowywanych w zamkniętej szafie. Nigdy nie nagrywał sesji.

– Babcia nalegała. Bardzo pana polubiła. – Max położył splecione dłonie na kolanach. Wydawał się spięty.

– Z wzajemnością. Jak się dzisiaj czuje?

– Szczerze mówiąc, niespecjalnie. Obudziła się zmęczona. Zwykle wypija kawę o siódmej rano. Lubi rozpuszczalną, taką granulowaną czy coś – ale nie dziś. Wstała na chwilę, a potem znowu poszła spać, bez swojej porannej kawy. – Chłopiec zagryzł wargi. – Przestraszyłem się, bo pomyślałem sobie, że któregoś dnia pójde ją obudzić, a ona w ogóle nie wstanie. I że to się może stać w każdej chwili.

– To bardzo bolesna świadomość.

– Tak. To znaczy... Nie wiem, czy lepiej jest wiedzieć, czy nie wiedzieć. Wciąż nie do końca wierzę, że to się naprawdę dzieje.

Przypomniał sobie rozmowę z Laurie. Nie mógł powiedzieć Maksowi, że jego babci zostały dwa tygodnie życia.

– Rozumiem. Trudno sobie poradzić z emocjami w takiej sytuacji.

– Właśnie. Musiałem do pana przyjść, ale nie dlatego, że babcia tego chciała. Ona nie wie, co się ze mną dzieje. Nie powiedziałem jej. – Zamrugnął i zamilkł na krótką chwilę. – Panu chyba muszę powiedzieć, to znaczy chcę... Po to tutaj przyszedłem, wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał. Moje objawy się nasilają.

– Objawy czego?

– Cierpię na zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne.

– Opowiedz mi o tych objawach. – Nie mógł uznać słów Maksa za fakt, musiał chłopaka lepiej poznać, zanim postawi diagnozę. Przede wszystkim historię jego rodziny, co pomoże zdeterminować czynniki biologiczne. Okres dorastania i wczesnej dorosłości jest bardzo niebezpieczny, szczególnie u chłopców. Pierwsze symptomy wielu chorób pojawiają się właśnie w wieku, w którym jest Max, między innymi choroba afektywna dwubiegunowa i schizofrenia podnoszą wtedy swoje groźne łby.

– Panie doktorze, będę potrzebował leków. Trochę czytałem na temat tych zaburzeń i wiem, że

leczenie farmakologiczne pomaga. To prawda?

– Prawda. – Eric często spotykał się z takim podejściem pacjentów. Chcieli załatwiać wszystko łykaniem tabletek. Nie był oczywiście przeciwnikiem leczenia farmakologicznego, ale wypisywał recepty tylko wtedy, kiedy istotnie zachodziła konieczność. Zwłaszcza nastolatkom.

– Czytałem, że na zaburzenia kompulsyjne najlepiej działają levoxa i paroksetyna. Czy dostanę właśnie te leki?

– Zanim przejdziemy do leków, porozmawiajmy najpierw o objawach. – Pacjentom z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi przepisywał najczęściej selektywne inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny, takie jak fluoksetyna, citalopram, zoloft i levoxa. Każdy z nich był potencjalnie niebezpieczny, zwłaszcza dla nastolatków, z powodu zwiększonego ryzyka samobójstwa w pierwszych tygodniach zażywania.

– O czym konkretnie?

– Jak się manifestują twoje zaburzenia? – Celem pierwszej sesji było nakłonienie pacjenta do mówienia. – Wiele osób błędnie diagnozuje nerwicę natręctw u siebie lub u innych. Chciałbym poznać twoje symptomy.

– Co piętnaście minut muszę się klepać w głowę i coś powiedzieć, dokładnie o wyznaczonej porze. – Max zmarszczył czoło. – Przeczytałem w sieci, że to są rytuały.

– Tak, inaczej kompulsje.

– Właśnie. – Pokiwał głową, stremowany. – Kiedyś w pracy mimowolnie wypowiedziałem na głos słowa i szef usłyszał. To było straszne.

Eric nie przerywał, ale zanotował sobie pytanie: *W pracy?*

– Nikt nie wie, nawet Bunia, znaczy moja babcia. – Splótł palce, jego twarz wyrażała napięcie. – Taki sekret bardzo mężczy. Jestem wariatem i nikt o tym nie wie. Prowadzę podwójne życie.

– Rozumiem. Powiedz mi, kiedy się zaczęły rytuały. – Potrafił doskonale się wczuć w sytuację Maksa, ale nie powie mu o swoich zaburzeniach lękowych, jeszcze nie. Kiedyś kwestionował swoją zdolność do wykonywania zawodu psychiatry – jak mógł leczyć innych, sam będąc chory? Później stwierdził, iż każdy z jego kolegów ma jakieś mniejsze lub większe problemy. Nie zostaje się psychiatrą bez powodu. Dziś uważał wręcz, że epizod lękowy go wzbogacił, dzięki niemu potrafił lepiej zrozumieć swoich pacjentów.

– Kilka lat temu, może dwa lata. Nasiliło się, jest naprawdę źle. Odczuwam przymus dotykania prawej skroni dokładnie co piętnaście minut.

– Przez całą dobę?

– Tak, muszę to robić co piętnaście minut zawsze, kiedy nie śpię. – Zademontrował: uderzył szczupłym palcem wskazującym w skroń po prawej stronie. – Nie mogę się spóźnić. W szkole albo w pracy jakoś to maskuję, udając, że poprawiam włosy, dotykam przyszcza albo coś w tym stylu.

– A więc musisz patrzeć na zegarek.

– Tak, bez przerwy. Czasami odliczam w myślach. Nigdy nie przestaję o tym myśleć. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Eric wyobrażał sobie uciążliwość takiego funkcjonowania.

– Liczysz inne rzeczy?

– Na przykład jakie?

– Panele sufitowe, płyty chodnikowe, ile razy zaciskasz zęby podczas żucia?

– Nie.

– Robisz różne rzeczy w seriach, przykładowo po trzy razy?

– Nie. – Max pokręcił głową.

– Masz obsesję poprawiania, jeśli coś nie jest symetryczne?

– Nie.

Eric robił notatki.

– Jakie słowa wypowiadasz, kiedy dotykasz skroni?

– Czerwony-pomarańczowy-żółty-zielony-niebieski-fioletowy-brązowy-czarny. Bardzo szybko, jako jedno słowo. – Wymienił kolory jednym tchem. – Zerkam na zegarek, żeby mieć pewność, że nadeszła właściwa chwila. Doprowadza mnie to do szału.

– Nie dziwię się. Czy kolory mają jakieś szczególne znaczenie?

– Nie wiem. – Przerwał. – Ale mam w głowie obraz farb plakatowych, którymi malowałem jako dziecko. Takich zwykłych, jakich wszyscy używają, z liniejącym pędzlem.

– Pamiętam. – Hannah też takich używała.

– Przychodzi mi to do głowy i muszę powiedzieć.

– Wiesz, dlaczego właśnie w odstępach piętnastominutowych?

– Nie, ale piętnastka to dobra liczba. Kocham liczby i lubię piętnastkę. – Wzruszył z rezygnacją wąskimi ramionami. – W szesnaste urodziny bardzo żałowałem, że muszę się rozstać z piętnastką.

Eric zanotował.

– Kiedy miałeś piętnaście lat, spotkało cię coś szczególnego?

– Nie, nic.

– Te rytuały zapoczątkowało jakieś konkretne wydarzenie?

– Nie. – Chłopiec pokręcił głową skonsternowany.

– Dwa lata temu zdiagnozowano chorobę babci, prawda? Wspominałeś o tym wczoraj.

– Tak. – Zamrugał.

– Dwa lata temu miałeś piętnaście lat.

– Zgadza się. To ma jakieś znaczenie?

– Możliwe. – Jednak byłoby zbyt proste, dodał w myślach. – Objawy nerwicy natręctw nierzadko pojawiają się lub nasilają pod wpływem stresu.

– O – odparł z ulgą. – A więc to dlatego?

– Nie, jeszcze nie wiemy. – Eric przystopował go ruchem dłoni. – Czy ty sam masz jakieś przypuszczenia, co może być powodem?

– Nie.

– Kompulsje są bardziej nasilone rano czy wieczorem?

– Bez przerwy, niezależnie od okoliczności, i trudno mi je ukryć. Czasami upuszczam coś dla niepoznaki. Prawie nie wychodzę z domu, bo w miejscach publicznych jest gorzej. – Twarz chłopca wyrażała ogromny smutek. – Chcę skończyć z tymi bzdurami. Nie mam już siły. Wciąż o tym myślę, patrzę na zegarek, zerkam na telefon. Cały czas. Chcę być normalny, taki jak wszyscy.

Słowa Maksy trafiły w czuły punkt, przypominając mu o Caitlin, która wywierała presję na Hannah, żeby zachowywała się zgodnie z normami. A także o tym, jak bardzo sam pragnął być normalny, kiedy cierpiał z powodu nerwicy lękowej. Każdy chory psychicznie chciał być normalny. Normalność była czymś, co wszyscy inni traktowali jako rzecz oczywistą. Eric znał obie perspektywy i wiedział, że normalność jest iluzją.

– Czy obawiasz się, że jeśli nie dotkniesz skroni i nie wypowiesz właściwych słów, wydarzy się

coś złego?

– Tak.

– Co by się stało?

– Nie wiem, nie zniósłbym tego, nie chcę sprawdzać. Po prostu wiem, że muszę.

Eric uzupełnił notatki.

– Ktoś w rodzinie przejawia tego typu tendencje?

Max przewrócił oczami.

– Moja mama jest flejtuchem. Ma wszystko w nosie.

– Nie każdy, kto cierpi na nerwicę natręctw, przejawia zamiłowanie do porządku, to stereotyp. Na przykład zbieractwo jest jednym z przejawów tej choroby. – Eric domyślał się, że chłopak nie ma najlepszej relacji z matką, na podstawie tego, co usłyszał w szpitalu od pani Teichner, lecz nie chciał teraz zmieniać tematu.

– Aha, rozumiem. Nic mi nie wiadomo, żeby ktoś jeszcze w mojej rodzinie borykał się z takimi problemami. Mam wspaniałą babcię. – Na jego twarzy zagościł przelotny uśmiech. – O niesamowitej osobowości.

– Rzeczywiście. – Eric odwzajemnił uśmiech. – Opowiedz mi o waszej relacji. Wydajecie się sobie bardzo bliscy.

– Jest wspaniała, sam pan widział. Opiekuję się nią, pomagam, jak umiem. Słabo widzi, więc przygotowuję dla niej posiłki, rano przed wyjściem do pracy. – Max znów posmutniał. – Robiłem to, kiedy jeszcze jadła. Teraz podaję tylko kawę, ale – tak jak mówiłem – nie tknęła dzisiejszej.

Eric zapisał sobie coś na tablecie.

– Wspominasz o pracy. Gdzie pracujesz?

– Udzielam korepetycji z matematyki w PerfectScore. Pomagam ludziom przygotować się do egzaminów na studia. Swój zaliczyłem z maksymalną liczbą punktów. – Uśmiechnął się przelotnie po raz kolejny.

– Naprawdę? – Eric nie ukrywał podziwu. Pani Teichner wspominała o wysokim ilorazie inteligencji wnuka. – Do której szkoły chodzisz?

– Do Pioneer High. Jestem w ostatniej klasie. Prawdopodobnie będę witał gości na ceremonii rozdania dyplomów. Na szczęście mowę wygłosi ktoś inny. Nie dałbym rady wystąpić publicznie przed całą szkołą i tymi wszystkimi ludźmi.

– Serdeczne gratulacje. – Wysoki iloraz inteligencji nie był niczym nadzwyczajnym u pacjentów z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi. W tej chwili zależało mu przede wszystkim na pogłębieniu wywiadu rodzinnego. – W trakcie roku szkolnego też zajmujesz się babcią?

– Tak samo, każdego ranka przed wyjściem. Od kilku miesięcy nie może jeść stałych pokarmów, więc wszystko miksuję. – Zakręcił dłonią w powietrzu. – Nie może nic przełknąć bez środka zagęszczającego, nawet wody. Dodaję saszetkę.

Eric pomyślał, że to duże obciążenie dla nastolatka. Wiedział, jak wyglądają poranki w trakcie roku szkolnego. Tęsknił za nimi.

– A wieczorem? W porze kolacji?

– Wieczorem też.

– Twoja mama pomaga?

– Chyba pan żartuje – odpowiedział z niechęcią w głosie. – Ona pije. Pracuje dorywczo, ale kiedy nie jest w pracy, spędza czas w mieszkaniu swojego faceta, w centrum.

– Masz kontakt z tatą? – Rozmawiał o tym z panią Teichner, jednak chciał usłyszeć odpowiedź od Maksa.

– Nie. – Przeczesał włosy szczupłymi palcami o obgryzionych paznokciach. – Odszedł, kiedy byłem mały, ledwie go pamiętam. Też pił.

Klasyczna sytuacja odwrócenia ról, w której rodzice zaniedbywali swoje obowiązki, a na dziecku spoczywała nadmierna odpowiedzialność, pomyślał Eric.

– Nie masz rodzeństwa?

– Nie, jestem tylko ja. – Uśmiechnął się krzywo. – Dużo tego, co? Porzucenie, nieobecny ojciec, niewydolna matka?

Chłopak miał tendencję do samodiagnozowania, Eric postanowił odwrócić jego uwagę.

– Pijesz lub zażywasz jakieś inne substancje?

– Nie.

Odszukał jego wzrok.

– Możesz być ze mną szczery.

– No dobrze, czasami. Trochę piję i kiedyś zjadłem ciastko z marihuaną, ale zwymiotowałem po nim.

Eric odnotował to sobie w karcie.

– Jako osoba z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi powinieneś unikać wszelkich używek, rozumiesz?

– Spoko, proszę się nie denerwować. – Oczy chłopaka rozblęły gniewem. – Nie wiedziałem o tym. Poza tym trawka jest już legalna.

– Prawo nie ma tu nic do rzeczy, jak zwykle pozostaje w tyle za medycyną. Opowiedz mi o swoich przyjaciółach.

– O kim? Nie mam żadnych przyjaciół. – Max zachichotał ponuro.

– Znajomych? – Zrobiło mu się żal dzieciaka, mimo wszystko musiał zachować maskę profesjonalizmu.

– Właściwie też nie. To znaczy rzadko rozmawiam z ludźmi w realu.

– W realu?

– Poza siecią. Mam znajomych w internecie. Jestem graczem. Ekstremalnym.

– Co to znaczy ekstremalnym? Ile godzin dziennie? – Babcia wspominała o zamykaniu się w pokoju i grach komputerowych.

– Dużo. – Zerknął na zegarek.

– Ile to jest dużo? Pamiętaj, że tutaj nikt cię nie ocenia.

Uśmiechnął się z przymusem.

– Do późnej nocy, jakieś sześć godzin każdego wieczoru.

Gracz, napisał Eric.

– Chodzisz na jakieś zajęcia pozalekcyjne? Uprawiasz sport?

– Wyglądam, jakbym uprawiał sport? – Zachichotał nerwowo.

– Należysz do jakichś klubów, kółek zainteresowań?

– Matematycznego. Szkoda, że nie przyznają nam stypendiów jak sportowcom, co? – Eric odwzajemnił ironiczny uśmiech chłopaka i spróbował podtrzymać kontakt wzrokowy. Po chwili Max odwrócił głowę.

– Jak sobie radzisz w szkole?

– To znaczy?

– Jak się czujesz w trakcie typowego dnia nauki? Jesteś samotny?

– Jestem sam, ale nie mam nic przeciwko temu. Wolę, kiedy nikogo przy mnie nie ma i nie muszę ukrywać swoich dziwactw.

Poczuł głębokie współczucie. Wiedział z własnego doświadczenia, jak łatwo popaść w izolację z powodu zaburzenia psychicznego. Chorzy mieli tendencję do ukrywania się.

– Ktoś ci dokucza?

– Raczej nie. – Po raz kolejny popatrzył na zegarek. – Po prostu mnie ignorują.

– Podaj jakiś przykład.

– Moja klasa organizowała w Halloween bal przebierańców i poszedłem jako Niewidzialny Człowiek, postać z tego starego filmu. Bunia mnie namówiła, uwielbia go. W każdym razie... Włożyłem prochowiec i ciemne okulary, omotałem twarz bandażem. – Zakręcił dłonią wokół głowy.

– Nikt nie zwrócił uwagi. Można paść ze śmiechu, co?

Dojmująca samotność, jaka przebijała z tej opowieści, nie umknęła uwadze Erica.

– A nauczyciele? Masz jakiegoś ulubionego albo takiego, z którym czujesz się bliżej związany?

– Nie, wszyscy są w porządku. Poza babką od literatury, która jest prawdziwą suką. – Zakrył usta drobną dłonią. – Przepraszam, mogę tak powiedzieć?

– Oczywiście.

– W każdym razie... Cóż mogę więcej dodać? Nie mam nikogo.

– Gdyby nie było nic więcej do powiedzenia na temat samotności, straciłbym pracę – żartował Eric, usiłując rozbawić chłopaka. Na próżno. – Jak się czujesz z tym, że nikogo nie masz?

– Proste, nieciekawie, ale nic na to nie poradzę. Już za późno. – Spochmurniał i zerknął na zegarek.

– Chyba zaczęło się od kiepskiej sytuacji w domu. Nie mogłem nikogo zaprosić, kiedy mama była pijana. Unikałem też odwiedzania innych, bo wiedziałem, że nie będę się mógł zrewanżować. W liceum ludzie podzielili się na grupy: sportowcy, ćpuny, hipsterzy, dzieciaki bogatych rodziców, kujony, ciemnoskórzy, atrakcyjne dziewczyny, puszczalskie, które uważają, że są atrakcyjne... Nie pasuję do żadnej z tych kategorii, więc wylądowałem na marginesie.

Eric zanotował, iż Max zlekceważył własne uczucia i skupił się na wyjaśnieniu przyczyn swojej izolacji.

– Jest grupa graczy?

– W szkole? Nie, to w sieci.

– Co z dziewczynami? Umawiasz się na randki?

– Nie. – Na białej skórze zakwitł rumieniec. – Znam kilka dziewczyn, ale zawsze ląduję we friendzonie.

– Jesteś którąś szczególnie zainteresowany?

– Nie za bardzo. Staram się nie robić sobie nadziei.

Po raz kolejny Erica zabolalo serce. Postanowił spróbować innego sposobu.

– Czy miałeś kiedyś myśli, które mógłbyś określić jako homoseksualne lub biseksualne?

– Nie, człowieku! – zawołał w osłupieniu. – Jestem hetero!

Eric przez chwilę notował w milczeniu. Cisza pełniła ważną funkcję w psychoterapii. Wyczuwał, że pacjent taki jak Max będzie chciał ją jak najszybciej wypełnić.

– Doktorze Parrish, naprawdę nie jestem gejem. – Zacisnął usta. – Ale pan chyba mi nie wierzy.

– Wierzę. – Dostrzegł szansę i postanowił z niej skorzystać. – Nie kwestionuję niczego, co mówisz,

i też jestem z tobą szczerzy. Wszystko, o czym tutaj rozmawiamy, jest poufne. Możemy mówić prawdę bez obaw, ponieważ nic nie wyjdzie poza te cztery ściany. Jasne?

– Tak. – Zawahał się. – Mimo że babcia płaci za sesje?

– Tak. Przy okazji – po powrocie do domu nie czuj się zobowiązany do opowiadania jej o przebiegu naszego spotkania.

– Okej. – Przełknął ślinę, wyraźnie zarysowane na cienkiej szyi jabłko Adama powędrowało w górę i w dół. – Właściwie to jest taka jedna dziewczyna.

Eric świętował w duchu drobne zwycięstwo.

– Jak ma na imię?

– Renée. Bevilacqua. Widuję ją w pracy. Chodzi do innej szkoły, ale przychodzi do nas na korepetycje.

– Długo się znacie?

– Zgłosiła się do nas miesiąc temu.

Renée Bevilacqua, zapisał.

– Co ci się w niej podoba?

– Wszystko. – Zarumienił się i parsknął śmiechem, który na co dzień był mu obcy. – Jest przepiękna, ma rude loki i mnóstwo piegów. Bardzo mi się podobają jej piegi, chociaż ona ich chyba nie lubi i próbuje je zakrywać makijażem. – Max ożywił się po raz pierwszy od początku sesji. – Ma niebieskie oczy. Takie naprawdę mocno niebieskie; i ssie koniuszek języka, kiedy się nad czymś zastanawia. Nie radzi sobie z trygonometrią, ale to z powodu blokady psychicznej, tak w ogóle jest bardzo inteligentna.

Przez moment Max sprawiał wrażenie naprawdę szczęśliwego, jak zwykły zakochany nastolatek. Eric pozwolił mu mówić.

– Chciałbyś ją dokądś zaprosić?

– Nie! – Chłopak otworzył szeroko oczy, słysząc tę nedorzeczną propozycję. – Ma chłopaka, ale nie podoba mi się, jak ją traktuje. Któregoś dnia przyszła na lekcję z podpuchniętymi oczami, było widać, że płakała. Zapytałem, co się stało. Nie chciała powiedzieć nic więcej, napomknęła tylko, że sprawił jej przykrość. – Westchnął. – Nie pojmuję, w jaki sposób opowiadanie o tym ma mi pomóc zapanować nad natręctwami. Dostanę receptę czy nie?

– Najpierw muszę lepiej ciebie poznać i więcej zrozumieć. – Rzeczywiście wyglądało na to, że dzieciak cierpi na dość typową nerwicę natręctw, chorobę na szczęście łatwą do leczenia. Pacjenci z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi dobrze współpracują, cechuje ich duża samoświadomość, zdają sobie sprawę z problemu i mają do niego stosunek egodystoniczny, czyli sprzyjający zmianie.

– Co zrozumieć?

– Natręctwa, w twoim przypadku liczenie i dotykanie skroni, powstają jako mechanizm radzenia sobie z obsesją. Innymi słowy, rytuał przynosi ukojenie lęku wywołanego przez obsesyjne myśli. Pytanie brzmi, co stanowi przedmiot twojej obsesji?

Max zmarszczył czoło.

– Myśli pan, że chodzi o Renée?

– Ty mi powiedz. Często o niej myślisz?

– Tak, ale... – Sprawiał wrażenie dotkniętego. – To nie są przyjemne myśli, tylko dziwne i niepokojące.

– Myśli natrętne z definicji są nieprzyjemne i pojawiają się wbrew woli danej osoby.

– Nie wiedziałem.

Obsesja na punkcie Renée, zapisał Eric.

– Czego dotyczą te myśli?

– Ogarnia mnie dziwna obawa, że zrobię jej jakąś krzywdę. Nigdy, przenigdy bym tego nie zrobił celowo, ale boję się, że coś mogłoby się wydarzyć przez przypadek. – Max przerwał i przeczesał włosy dłonią. – To naprawdę cudowna dziewczyna. Miła i kochana. Nie chciałbym, żeby spotkało ją cokolwiek złego.

Eric notował.

– Lęk przed nieumyślnym skrzywdzeniem kogoś jest dość częstym objawem w tym rodzaju zaburzeń.

– Naprawdę? – Nastolatek otworzył szerzej oczy. – Niewiarygodne.

– Tak, bardzo częstym.

– Myślałem, że tylko ja tak mam. Czuję się przez to złym człowiekiem.

– Zastanów się chwilę, nie masz realnej kontroli nad myślami. Pojawiają się i tyle. Bez twojego świadomego udziału. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Nie wywołujesz ich i nie masz wpływu na to, kiedy znikną. Po prostu są, jak chmury.

– Aha.

– Co innego działanie. Myśli i czyny to dwie oddzielne rzeczy. Możesz mieć różne myśli: niepokojące, złe, perwersyjne. Nie musisz ich wprowadzać w życie. Większość ludzi nigdy tego nie robi, ale nie ma powodu, żebyś czuł się winny przez myśli, jakie ciebie nachodzą. Tak samo mógłbyś się obwiniać za to, że oddychasz. Jesteś człowiekiem, więc masz różne myśli. Czy wszystko jest dla ciebie jasne do tej pory?

– Tak. – Chłopiec uśmiechnął się lekko. Eric potraktował to jako dobry znak, że zdołał stworzyć bezpieczną atmosferę, liczył, że Max wreszcie się otworzy.

– Obwinianie się z powodu myśli sprawia, że tracisz kontakt ze sobą. To nie jest zdrowe. Pozwól im przepływać, będziemy pracować, abyś z czasem potrafił powiedzieć sobie: „Nie jestem złą osobą, to tylko myśli. Nie muszę ich realizować”.

– Dobrze. – Max popatrzył na zegarek. Zapewne odliczał minuty do kolejnego rytuału.

– Terapia jest procesem, który wymaga czasu. Da ci możliwość przyjrzenia się swoim myślom, przeanalizowania ich. Otworzysz się przed samym sobą, aby odkryć, kim naprawdę jesteś, poznać swoje najskrytsze zamiary, motywacje, schematy, reakcje. Trochę tak, jakbyś zszedł do jaskini z latarką w dłoni. Będę ci w tym towarzyszył i trzymał za rękę. Tak w skrócie opisałbym terapię.

– Jestem jaskinią? – Max się uśmiechnął.

– Tak.

– A czym jest latarka?

– Symbolem fallicznym.

Chłopak parsknął śmiechem, wywołując tym uśmiech na twarzy Erica.

– Czasami latarka to po prostu latarka, jak mawiał Zygmunt Freud. – Krok po kroku nawiązywał więź z Maksem, z czego był bardzo zadowolony. – Powróćmy do rozmowy na temat natrętnych myśli. Spróbuj sobie jak najwięcej przypomnieć, ale bez oceniania i poczucia winy. Po prostu mi o nich opowiedz. I pamiętaj, że to tylko myśli.

– Dobrze. One są okropne. – Sposepniał. – Początek jest zawsze taki sam, obawa o bezpieczeństwo Renée. Boję się, że coś jej się stanie.

– Co na przykład?

– Ona nie jest najlepszym kierowcą, rozmawia przez telefon podczas jazdy. Przyjeżdża na korepetycje własnym samochodem, widuję ją przez okno, jak wjeżdża na parking, prawie nie zwalniając. Boję się, że będzie miała wypadek.

– W którym momencie stajesz się częścią tych wyobrażeń?

– Widzę ją za kierownicą, z tymi ślicznymi, kręconymi włosami. Skupiam wzrok na jej twarzy, potem na szyi. Nosi taki śmieszny wisior, złoty prostokąt z napisem FEARLESS. I zaczyna się robić dziwnie. – Max zacisnął dłonie. – Nie wiem nawet, jak to się zaczyna, ale widzę oczami wyobraźni swoje ręce; dotykam jej twarzy, odgarniam włosy, dotykam wisiora, a potem – to zabrmi strasznie – zaciskam palce na jej szyi i zaczynam dusić.

Zapadła cisza; Eric pozwolił, by wybrzmiała, spokojnie czekając na dalszy ciąg.

– Zaciskam ręce na gardle Renée, coraz mocniej, nie mogę przestać i nagle... – Na twarzy Maksa pojawił się wyraz niechęci. – Widzę ją martwą.

– Powiedz mi o tym coś więcej. – Nie robił notatek, aby utrzymać kontakt wzrokowy.

– O czym tu mówić? – Podniósł do góry ręce, jego chłopiące rysy wykrzywił bolesny grymas. – Nie żyje. Uduśliłem ją. Mam w głowie makabryczny obraz martwego ciała z otwartymi oczami, jak w *Kryminalnych zagadkach*... Nie mógłbym zrobić czegoś takiego naprawdę. Nigdy w życiu. Nie chcę. To tylko natrętna myśl, której nie umiem się pozbyć, chociaż naprawdę chcę. Okropne uczucie.

– Spróbuj się odprężyć, Max. Weź wdech, a potem wydech.

– Umiem oddychać!

– Widzę, że jesteś zdenerwowany. Rozumiem. Takie myśli każdego wyprowadziłyby z równowagi...

– Są potworne! Najgorsze! Nie pojmuję, skąd się biorą. Przecież ja bardzo lubię Renée. Jest urocza, nigdy bym jej nie skrzywdził! – Sprawdził godzinę. – Chwileczkę. Muszę przerwać. Bez sprawdzania wiem, że minęło prawie piętnaście minut. – Wpatrywał się z napięciem w zegarek. – Muszę odczekać jeszcze dziesięć sekund. W telefonie nie mam sekundnika, dlatego potrzebuję zegarka – wyjaśnił. – Muszę być precyzyjny. Teraz. Dokładnie piętnaście minut. – Postukał palcem wskazującym w prawą skroń, poruszając bezgłośnie ustami. – Już, wymieniłem wszystkie kolory.

Eric obserwował ze współczuciem przebieg rytuału. Wyobrażał sobie, jak uciążliwe musi być życie, którym rządzi wstydlivy przymus wiecznego kontrolowania czasu; przysłania wszystko inne, odbiera radość życia.

– Jak się teraz czujesz?

– Dobrze. Lepiej, ale tylko trochę. – Max westchnął. – Poczułem nieznaczną ulgę. Napięcie się zmniejszyło na moment, zaraz znów się skumuluje. Musi mi pan pomóc. Potrzebuję leków.

– Masturbujesz się, myśląc o Renée?

– Panie doktorze, nie spodziewałem się takiego pytania!

– Nie ma się czego wstydzić, Max. Ludzka rzecz.

– No dobrze... Tak. Głupio się czuję, rozmawiając o takich sprawach.

– Masz jej zdjęcie lub zdjęcie innej osoby czy używasz wyobraźni?

– No... jedno i drugie – wydukał.

– Skąd masz zdjęcia?

– Z jej konta na Facebooku i Instagramie. – Max splótł dłonie. – A kiedyś... wziąłem jej telefon.

W głowie Erica rozbrzmiał sygnał alarmowy.

– Co masz na myśli? – zapytał, starannie modulując głos.

– Hm, nie dosłownie. Nie ukradłem ani nic w tym stylu. Zapomniała zabrać, został na krześle, a ja go zatrzymałem. Jej mama zadzwoniła na telefon stacjonarny biura, pytając, czy ktoś go znalazł, ale zaprzeczyłem.

– Nadal masz ten telefon? – Niedobrze, pomyślał, robiąc notatkę. To było wyraźne przekroczenie granicy. Osoba z tendencjami do obsesji nie powinna posiadać żadnych przedmiotów dotyczących obiektu swoich pragnień.

– Mam. – Chłopiec spuścił głowę.

– Gdzie teraz jest?

– Schowany w moim pokoju.

– Zaglądasz do niego?

– Zaglądałem. – Zapadł się głębiej w fotel, poduszki ugięły się, jakby miały go za chwilę pochłonąć.

– Na co patrzysz?

– Na jej kontakty, maile... Ale już przestałem. Jest wyłączony, boję się, że ma jakąś aplikację, która mnie namierzy. Nawet nie wiem... po co wziąłem ten telefon. Ale teraz leży u mnie.

Ma jej telefon, zanotował Eric.

– Symptomy nasilają się, kiedy Renée jest w pobliżu? A może czujesz się wtedy lepiej?

– Mniej więcej tak samo jak zawsze. Jestem zdenerwowany, ale jakoś się trzymam.

– Udzielasz jej korepetycji.

– Z matematyki. Dość dużo o niej myślę. Możliwe, że mam jakąś obsesję na jej punkcie. Pomoże mi pan?

– Tak, chętnie podejmę się pracy z tobą. Myślę, że razem poradzimy sobie z twoim problemem. Oczywiście potrzeba na to czasu. Proponuję ci terapię poznawczo-behawioralną.

– Co to takiego?

– Leczenie nerwicy natręctw metodą behawioralną. Tak zwana terapia restrukturalizująca. Pomogę ci stawić czoło lękom i wygasić nieprawidłowe reakcje.

– Myśli pan, że zadziała?

– Tak. – Osobiście próbował formy tej terapii zwanej zanurzaniem, ale nie pomogła na jego zaburzenia lękowe. Ćwiczenia wymagające zmierzenia się z lękiem tylko go wzmacniały. Na szczęście u pacjentów z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi odnotowuje się o wiele większą skuteczność.

– A leki?

Eric obawiał się, że po śmierci babci stan chłopca ulegnie znacznemu pogorszeniu.

– Leki mają skutki uboczne. Czasem lepiej sobie poradzić bez nich. Spotkajmy się jutro. Przedyskutujemy to jeszcze raz.

– Jutro? W niedzielę?

– Tak, z samego rana, jak dziś. Możesz przychodzić na sesje dwa razy w tygodniu?

– Mogę.

– Świetnie. – Nie mógł przestać myśleć o skradzionym telefonie.

ROZDZIAŁ 10

Jeszcze tego samego dnia po południu stał na przykrytej folią podłodze i sprawdzał, czy pierwsza warstwa farby już wyschła. Ściany w pokoju Hannah były różowe jak skóra noworodka, powietrze przesycone zapachem chemikaliów przywodziło na myśl zaczynanie od nowa. Pomieszczenie tonęło w popołudniowym słońcu, stojący na podłodze wiatrak przyspieszał suszenie. Z sąsiedniego domu przez otwarte okna dobiegały dźwięki transmisji meczu golfowego.

Miał za sobą długi i pracowity dzień, jednak żaden z późniejszych pacjentów nie zaprzętał jego myśli na równi z Makssem. Chłopiec chorował na typową nerwicę natręctw, potrafił mu pomóc, ale najgorsze dopiero przed nimi. Po śmierci babci objawy się nasiliły i dobrze by było, gdyby do tego czasu udało się go trochę ustabilizować. Eric poprosił, aby przyszedł w niedzielę, także dlatego, że odczuwał lekki niepokój o bezpieczeństwo Renée Bevilacqua, choć nie sądził, by istniały ku temu realne podstawy. Zwykle nerwy.

Omiótł ściany roztargnionym spojrzeniem. Jeszcze nie zdecydował, czy będzie się domagał przejęcia opieki nad Hannah, niemniej jednak odczuwał zadowolenie, że pomalował jej pokój. W sklepie z farbami mieli wystarczający wybór odcieni różu, aby zaspokoić potrzeby wszystkich małych dziewczynek w całym stanie i w kilku sąsiednich. Eric wahał się pomiędzy Różową Księżniczką, Różanym Pudrem i Różowym Ogrodem. Wreszcie wybrał Różany Puder, który ładując przypominał kolorem popularny syrop.

Dotknął ściany. Jeszcze nie wyschła na tyle, aby mógł położyć kolejną warstwę, więc żeby nie tracić czasu, postanowił pojechać po kółdę i pozostałe dodatki. Kiedy schodził na dół, zadzwonił telefon. Wyjął go z kieszeni swoich zielonkawych spodni i popatrzył na wyświetlacz. Telefonował jego kolega, Martin Baumgartner.

– Martin, czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Hej, stary, jak się masz? Przepraszam, że tak długo nie dzwoniłem. Wiesz, jak to jest z łokciem tenisisty, rehabilitacja zajmuje całą wieczność.

– Jak długo musisz się jeszcze oszczędzać? – Podniósł kluczyki ze stolika w korytarzu. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie miał czasu na grę w tenisa, jeśli Hannah z nim zamieszka. Jakoś przeżyje.

– Dwa tygodnie, już zamówiłem kort. Nie mogę się doczekać, żeby ci skopać tyłek.

– Oto słowa prawdziwego przyjaciela. – Wyszedł z domu i zamknął za sobą drzwi. Na zewnątrz było słonecznie, wilgotno i duszno. Odgłosy turnieju golfowego przybrały na sile.

– Jak się czuje Hannah?

– Dobrze. Czemu pytasz? – zdziwił się. Przypomniawszy sobie, iż nie widzieli się od dłuższego czasu, i Martin nie ma pojęcia o jego separacji z Caitlin.

– Widziałem ją dziś rano z Caitlin na pogotowiu.

– Co? – Eric przeciął trawnik, idąc do samochodu. – Co ty opowiadasz?

– Czekał, nie wiedziałeś? Nie ma cię w mieście?

– W którym szpitalu je widziałeś? – zapytał zaniepokojony. Otworzył samochód.

– W swoim, Whitemarsh Memorial. Mamy specjalny pediatryczny oddział ratunkowy. Widziałem, jak Caitlin prowadziła Hannah do jednego z gabinetów, ale nie miałem okazji, żeby zapytać, co się stało. Jenny dała mi popalić, kiedy jej o tym powiedziałem. Kazała mi natychmiast do ciebie zadzwonić i sprawdzić, czy wszystko okej.

– Aha, dzięki, na razie. – Rozłączył się, wskoczył do samochodu i uruchomił silnik. Caitlin powinna była do niego zadzwonić, jeśli Hannah coś się stało. Przecież jest lekarzem.

Wybrał jej numer i przyłożył telefon do ucha, jednocześnie opuszczając podjazd. Usłyszał wiadomość powitalną poczty głosowej. Rozłączył się i spróbował ponownie. Miała obowiązek poinformować go o wypadku dziecka. Ponadto jego szpital znajdował się bliżej domu niż Whitemarsh.

Wyjechał na szosę i nagrał wiadomość.

– Co się stało Hannah? Wszystko w porządku? Podobno byliście na pogotowiu. Zadzwoń do mnie.

Odszukał numer córki, usiłując zachować spokój. To na pewno nic takiego. Tak czy inaczej, Caitlin powinna go powiadomić.

Zahamował na czerwonym świetle przy Lancaster Avenue, razem z wieloma innymi ludźmi załatwiającymi swoje sobotnie sprawy. Tym razem nie miał czasu na podziwianie sielankowej scenerii, ogródków skąpanych w słońcu, roztańczonych gałęzi drzew poruszanych ciepłym wiatrem.

Z niecierpliwością wyczekiwał zmiany światła na zielone, aby natychmiast nacisnąć pedał gazu. Hannah także nie odbierała telefonu, ale to nie musiało znaczyć niczego złego. Niezbyt sprawnie obsługiwała smartfona, z czego się bardzo cieszył. Miała jeszcze czas na smartfony, komputery, Facebooka, Twittera i inne technologiczne okropieństwa, których zapewne jeszcze przybędzie. Zbyt często widywał w swoim gabinecie dzieciaki z depresją, spędzające więcej czasu w towarzystwie elektronicznych gadżetów niż żywych ludzi. Badania potwierdzają niekorzystny wpływ nadużywania gier komputerowych na funkcjonowanie mózgu. Być może tak właśnie jest w przypadku Maksa, gry komputerowe nasilają jego problem.

– Cześć, zostaw wiadomość – usłyszał w słuchawce słodki głosik córki. – Dziękuję! – Nie przedstawiła się, tak jak prosił. Podczas stażu miał do czynienia z pacjentem dotkniętym pedofilią. Przechodził go zimny dreszcz na wspomnienie, jak trywialne rzeczy pobudzały jego seksualne fantazje. Wystarczyło imię dziecka. Caitlin uważała, że przesadza. Cóż, nie zamierzał ryzykować.

Przystanął na czerwonym świetle i nagrał wiadomość dla Hannah.

– Cześć, skarbie. Mówi tata. Tak sobie dzwonię, zapytać, co słyhać. Oddzwoń, kiedy będziesz mogła. Kocham cię. Pa, pa!

Jechał dalej w stronę domu.

To już nie jest twój dom, przypomniał sobie.

Po piętnastu minutach zobaczył znajome krzewy abelii oraz widok, który ukoił jego rozdygotane nerwy. Hannah siedziała przed domem z jakąś koleżanką i rysowała kredą po chodniku. Wyglądała na zupełnie zdrową. Nie znał tej drugiej dziewczynki, była wyższa od Hannah, miała długie jasne włosy związane w kucyk, czerwony T-shirt i spodenki kolarskie. Buzia jego córki wyrażała typową dla niej całkowitą koncentrację, okulary zsuwały jej się z nosa, grzywka zasłaniała policzki.

Zaparkował nieopodal.

– Cześć, kochanie – zawołał, wysiadając z samochodu.

– Tatus! – Dziewczynka się rozpromieniła, demonstrując braki w uzębieniu. Dopiero kiedy wstała,

dostrzegł bandaż na prawej nodze, od kostki do połowy łydki.

– Co ci się stało w nóżkę, skarbie? – Spotkali się na trawniku oddzielającym chodnik od ulicy. Eric przykucnął i uściskał córeczkę.

– Przewróciłam się. – Pocałowała go w policzek i ze słodkim uśmiechem wypuściła z objęć.

– Pokaż. – Zbadał dokładnie kostkę, wyczuł niewielką opuchliznę, ale nic poza tym. – Skręcona, co?

– Chyba tak.

– Boli, kiedy chodzisz?

– Tylko trochę.

– Gdzie się przewróciłaś? Na korytarzu? – Od dawna zamierzał coś zrobić z odstającą wykładziną.

– Nie, poślizgnęłam się na mokrej trawie. Chciałam złapać piłkę i podskoczyłam.

– Och, na wczorajszym treningu? – No tak, powinien być się od razu domyślić. – A dziś rano pojechałaś do szpitala?

– Tak. Nie mogłam spać w nocy, bo spuchło i bolało.

– Mama przyłożyła ci wczoraj lód?

– Co? – nie zrozumiała dziewczynka.

– Czy przyłożyła ci torebkę z lodem, żeby nie puchło? – powtórzył zdziwiony. Caitlin zazwyczaj zachowywała się bardziej roztropnie.

– Nie. No i pojechałyśmy dziś rano na prześwietlenie. Powiedzieli, że noga nie jest złamana. Gdyby była złamana, bolałoby o wiele bardziej.

– Nie, nie jest złamana. Nic się nie stało. Trochę poboli i przejdzie. – Caitlin przypuszczalnie usiłowała ukryć przed nim kontuzję Hannah, dlatego że była skutkiem treningu. Nic takiego by się nie zdarzyło, gdyby dziecko mieszkało z nim. Caitlin zachowała się niepoważnie. Na dodatek nie powiedziała małej o przeprowadzce, domyślił się, widząc dobry humor córki.

– Hej, popatrz! – krzyknęła koleżanka Hannah. Eric odwrócił się i zobaczył, że robi imponującą gwiazdę na trawie.

– Łał! – zawołał z uznaniem i poklepał Hannah po ramieniu. – Jak ma na imię twoja przyjaciółka?

– Michelle. – Przestała się uśmiechać, zamrugła i poprawiła okulary. – Uprawia gimnastykę i jeździ na prawdziwe zawody. Jest najlepsza w grupie.

– Brawo dla niej. – Nigdy nie słyszał o żadnej Michelle. Bardzo się różniła od Maddie i Jessiki, które były tak samo elokwentne i odcytane jak jego córka. – Chodzi z tobą do klasy? Jest bardzo wysoka.

– Nie, jest już w czwartej klasie.

– Patrz, patrz! – Michelle zrobiła serię salt w drugą stronę.

– Super, Michelle! – pochwalił Eric, a Hannah odwróciła głowę.

– Uwielbia gimnastykę. Bez przerwy robi jakieś akrobacje. Wczoraj na treningu też, ale trener kazał jej przestać i patrzeć na piłkę.

– Znać się z boiska? Jesteście w tej samej drużynie softballowej?

– Nie widzieliście! Wyszło mi bezbłędnie! Patrzcie teraz, bo znów przegapicie!

– Tak. – Hannah zignorowała koleżankę. – Trener musiał jej zwracać uwagę dwa razy, żeby się skupiła na grze. Nawrzeszczał na nią.

– Teraz! Teraz! Patrzcie!

– Wspaniale, Michelle. – Eric posłał dziewczynce przelotne spojrzenie, po czym odwrócił się do

córki. Odgarnął kosmyk włosów, który wiecznie wplątywał się w okulary. – Spodobało ci się na treningu?

– Było w porządku, ale teraz nie mogę grać przez tę nogę. – Nie wyglądała na zdruzgotaną. Rozpromieniła się i zmieniła temat. – Tatusiu, chcesz zobaczyć, co narysowałam?

– No pewnie.

– Nie patrzcie! Tym razem miałam prościuteńkie kolana!

– Tutaj. – Wzięła go za rękę i podprowadziła, nieznacznie utykając, do rysunku na chodniku. Przedstawiał w pastelowych barwach różne zwierzęta hodowlane.

– Świetny! To gospodarstwo na wsi?

– Aha – odparła z dumą dziewczynka, odgarniając włosy za ucho. – Kurczaki, świnki. Jest i świnka Charlotte. Pamiętasz ją?

– Naturalnie. – Oboje odwrócili się w stronę drzwi, przez które właśnie wyszła Caitlin. Miała na sobie białą koszulkę bez rękawów, dżinsowe szorty i wymuszony uśmiech.

– Cześć, Caitlin – zawołał i pomachał na powitanie. Postanowił oszczędzić jej wymówek. Hannah czuła się dobrze, a to najważniejsze.

– Popatrz, Caitlin! Patrz na to!

– Doskonale, Michelle! – Caitlin skinęła głową wirującej na trawie dziewczynce i podeszła do Erica. – Co za niespodzianka – powiedziała. – Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

– Pomyślałem, że wpadnę – odparł nonszalancko. – Doszły mnie słuchy, że Hannah była dziś widziana na pogotowiu w Whitemarsh Memorial. Chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku. Następnym razem, gdy będziecie miały jakiś problem natury medycznej, śmiało do mnie dzwońcie, co, dziewczyny?

– Caitlin, patrz! Jeszcze raz! Popatrz na moje kolana!

– Wspaniale! – odkrzyknęła przez ramię, następnie zwróciła się do Erica, mrużąc oczy pod wpływem słońca. – Nie chciałam ci zawracać głowy. To tylko zwichnięcie. Mogła to sobie zrobić gdziekolwiek.

Ale nie zrobiła, powstrzymał cisnący się na usta komentarz, świadom, że Hannah uważnie ich obserwuje; mała przenosiła wzrok z jednego na drugie. Nie znosił, kiedy się denerwowała, więc przybrał pogodny ton.

– Masz rację. Cieszę się, że to nic poważnego.

– Pewnie, że nic poważnego, ale dzięki za odwiedzinę. – Uczyniła gest w stronę samochodu, dając mu wyraźny sygnał, że czas wizyty dobiegł końca.

– Nie ma sprawy. – Pocałował Hannah w czubek głowy i w policzek. – Cześć, kochanie, mam coś do załatwienia. Baw się dobrze z Michelle. Do zobaczenia wkrótce.

– Dobrze, tatusiu. Pa, pa! – Pomachała mu, kiedy szedł do samochodu.

– Caitlin, patrz! Przegapisz!

Caitlin objęła Hannah ramieniem w dość zaborczym geście.

– Przy okazji, Ericu... Widziałam, co zrobiłeś z tablicą.

– Z jaką tablicą? – Zamarł z ręką na kłamce.

– Tą, którą wyrzuciłeś na śmietnik. Zrozumiałam przekaz.

– A. – Uświadomił sobie, że mówi o tablicy z napisem NA SPRZEDAŻ.

– Tatusiu! Tatusiu, patrz na mnie!

Odwrócił się odruchowo, słysząc „tatusiu”, ale Michelle była zwrócona tyłem do niego, patrzyła

w stronę domu. Nic z tego nie rozumiał. Popatrzył pytająco na Caitlin, która pospiesznie odwróciła głowę.

– Świetna robota, Michelle! Widziałam! Wspaniale!

– Tatusiu! Ty nic nie widziałeś! – Michelle ruszyła biegiem ku domowi. – Tatusiu, byłam bezbłędna!

Wpatrywał się w Michelle, która wbiegła do domu, wołając ojca. Nagle doznał olśnienia. Caitlin ma nowego faceta i ten facet jest teraz u niego w domu. Z całą pewnością nie chodziło o przypadkowego znajomego. Obcy wyszedłby, żeby się przywitać i przedstawić, tymczasem Caitlin wyszła sama z wyraźnym zamiarem spławienia Erica. Ukrywała przed nim tego mężczyznę, podobnie jak wcześniej sprzedaż domu.

– Chodźmy, Hannah – powiedziała z napięciem i poprowadziła córkę do drzwi.

Eric patrzył za nimi. Jego żona spotykała się z innym. Osobnik miał dzieciaka, który grał w softball, uprawiał gimnastykę i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze, zupełnie jak Caitlin w dzieciństwie. W rezultacie Hannah – jego uroczy mól książkowy z awersją do sportu – także musiała grać w softball. Nic dziwnego, że Hannah i Michelle wyglądały na niedobraną parę.

Nagle zrozumiał wszystko. Jak mógł być do tego stopnia głupi i ślepy, by wierzyć, iż Caitlin do niego wróci? Ubzdurał sobie, że odnajdzie drogę powrotną do jej serca.

Zaschło mu w ustach. Odczuwał wściekłość, ból i niedowierzenie. Czuł się zraniony stratą Caitlin, ale jeszcze bardziej tym, że Hannah została zepchnięta na drugi plan, jej zdrowie i potrzeby zostały podporządkowane innym ludziom. To niedopuszczalne.

Weszły do domu i zamknęły za sobą drzwi, zostawiając go samego na zewnątrz. Stał nieruchomo obok samochodu.

ROZDZIAŁ 11

Malował zaciekle, jak w malignie. Nie miał pojęcia, która jest godzina, nie odczuwał zmęczenia. Zamierzał pracować całą noc – i tak nie zdołałby zasnąć. Na zewnątrz panowały ciemność i – poza cykaniem świerszczy – całkowita cisza. Przez otwarte okna wpadały komary, stojący na podłodze wiatrak był włączony.

Eric machał pędzlem niczym szaleniem. Nie przestawał myśleć o Caitlin i jej nowym chłopaku. Oczami wyobraźni widział, jak całują się w jego kuchni, uprawiają seks w jego łóżku, w jego sypialni. Poczuł potworną zazdrość i seksualną frustrację.

Zastanawiał się, od jak dawna są razem. Analizował każdy drobiazg w poszukiwaniu wskazówek, kiedy go poznała i kto to właściwie jest. Doprowadzał się do szaleństwa. Odłożył pędzel i gdy sięgnął po wałek, ochlapał farbą dzinsy. Wytarł plamę ręką i popatrzył na dół, niebieska wyjściowa koszula także była cała w różowych smugach. Nie potrafił być bardziej uważny.

Przesuwał wałkiem po ścianie, wsłuchując się w charakterystyczny odgłos. Wrócił myślami do Hannah i jej skręconej kostki. Oczywiście takie rzeczy się zdarzają, niemniej jednak fakt, że stało się to na sportowym boisku, wprawiał go w furję. Przecież nie byłoby jej tam, gdyby Caitlin nie sypiała z ojcem jednej z zawodniczek. Robiło mu się niedobrze na myśl, że jego córka jest wykorzystywana albo zmuszana do czegoś, na co nie ma ochoty. Poważnie się zastanawiał nad przejęciem opieki.

Nie przerywał malowania, chociaż myślami był zupełnie gdzie indziej. Żałował, że nie ma z kim tego przedyskutować, nie miał lepszego przyjaciela niż Caitlin. Z paroma kolegami grywał w tenisa, ale nie rozmawiali ze sobą na tak trudne tematy. Powiedział im o separacji i nic więcej. Dwóch było po rozwodzie i mieli dzieci, nigdy nie starali się, aby zamieszkały z nimi. Nie był pewien, czy zrozumieją. Poza tym utrzymywał dość przyjazne stosunki z trzema lekarzami z oddziału, jednak jako ich szef musiał zachować pewien dystans. W głębi serca wiedział, z kim chciałby porozmawiać.

Odłożył wałek, wyjął telefon z tylnej kieszeni spodni, odszukał numer Arthura Markussona i zainicjował połączenie. Arthur, jego były terapeuta, pomógł mu przezwyciężyć chorobę. Oprócz dyplomu psychiatry miał wykształcenie prawnicze. Po zakończeniu terapii stał się dla Erica mentorem, kolegą i zastępczym ojcem.

– Arthur? – powiedział z uśmiechem.

– Eric, mój chłopcze! – zawołał radośnie Arthur, głosem nieco już zmienionym przez starość. Nigdy nie stracił norweskiego akcentu, choć mieszkał w Stanach Zjednoczonych od początku swojej zawodowej drogi. – Cóż za niespodzianka!

– Jak się miewasz?

– Wyśmienicie! Emerytura mi służy. Mam mnóstwo czasu na lekturę. Czytanie bez poczucia winy! Wyobrażasz sobie?

– Cieszę się. – Eric usiadł na folii chroniącej podłogę, rozwinął niedokończoną kanapkę z indykiem z zatłuszczonego papieru i ugryzł kęs.

– Trzeba tylko nieco przywyknąć do tutejszej pogody, ale zacząłem chodzić na ryby. Jestem sportowcem, proszę ja ciebie.

– Ty? Nigdy nie lubiłeś świeżego powietrza.

– Ha! – Arthur się zaśmiał.

– Jak się miewa Ina?

– Dziękuję, dobrze. Uprawia wodny aerobik z innymi osiemdziesięcioletnimi dziewczynami. Oboje spędzamy więcej czasu w wodzie niż na lądzie. Niewykluczone, że przepoczwarzamy się w gekony.

– Nie róbcie tego. Potrzebuję was takich, jakimi jesteście.

– Co się dzieje? Co u Caitlin i Hannah? Dawno nie rozmawialiśmy. Martwię się, kiedy długo nie mamy kontaktu.

Eric owinął szczelniej papier wokół kanapki, zwlekając z odpowiedzią.

– Jesteśmy z Caitlin w separacji. Muszę podjąć decyzję w sprawie opieki nad Hannah.

– Niedobrze – jęknął Arthur. – Mogę zapytać, co się stało?

– Nie wiem, od czego zacząć – wyznał szczerze. – Caitlin już dawno zaczęła się ode mnie oddalać.

– Przykro mi – powiedział współczująco przyjaciel. – Rozstanie po tak długim czasie musi być bardzo bolesne. Wiem, ile dla ciebie znaczyła.

– Tak. Właśnie się dowiedziałem, że ma już kogoś innego, i jestem wściekły – dodał.

– To zrozumiałe. Ale poradzisz sobie, teraz, kiedy jesteś zdrowy. Może dobrze się stało, także ze względu na Hannah. I nie jestem zdziwiony, że zamierzasz zawalczyć o to, żeby córeczka została przy tobie. Bo Caitlin oczywiście nie odda jej bez walki?

– Z pewnością nie.

– Jak się z tym czujesz? Co postanowiłeś?

– Jeszcze nic. Dzwonię, żeby zapytać, co o tym sądzisz.

– Nie mam gotowej odpowiedzi, aczkolwiek uważam, że łączy cię z Hannah wyjątkowa więź. Nie znam lepszego ojca.

– Dziękuję. – Erica ogarnęła fala ciepła.

– Mocno zaangażowałeś się w opiekę od samego początku, od pierwszych dni po jej urodzeniu. Uważam, że wasza pierwotna więź pomogła tobie uporać się z pozostałościami lęku. Jako twój terapeuta patrzyłem na to z prawdziwą przyjemnością.

Eric wrócił myślami do przeszłości.

– Nic nie potrafiłem, nie wiedziałem, co robić z noworodkiem. Mimo to nie czułem żadnej presji ani lęku, że sobie nie poradzę. Wszystko było naturalne.

– Dokładnie. Poddałeś się temu uczuciu, a Hannah odpowiedziała tym samym.

– Mamy podobne problemy, może dlatego. – Coraz częściej go to martwiło.

– Nie, myślę, że po prostu przestałeś wtedy sam siebie sabotować. No i przestałeś się skupiać wyłącznie na sobie. Jak każdy dobry ojciec, postawiłeś ją na pierwszym miejscu. – Zrobił krótką pauzę i dodał: – Myślę, że ojcostwo dało ci poczucie sensu, którego wcześniej brakowało. Dobrze na ciebie wpływa. Wasza relacja jest zdrowa, oparta na miłości, nie na lęku.

Eric nie mógł wydobyć głosu ze wzruszenia.

– Jestem przekonany, że bez oporów podporządkujesz swoje życie jej potrzebom i przeorganizujesz sprawy zawodowe.

– Zgadza się.

– Masz na swoim koncie wiele wspaniałych publikacji. Twoje CV wzbudza uznanie. Mógłbyś

zacząć pisać i publikować. Miałbyś na to więcej czasu, gdybyś zrezygnował z etatu w szpitalu i zajął się wyłącznie prywatną praktyką.

– Tak. – Miał coraz mniej wątpliwości i coraz bardziej zapalał się do tego pomysłu.

– Cokolwiek postanowisz, będzie właściwe. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Dziękuję. – Opuściła go niepewność.

– Co nowego u twoich pacjentów? Pogadaj trochę ze starym człowiekiem, żeby nie zardzewiał.

Natychmiast pomyślał o Maksie.

– Mam nowy przypadek. Siedemnastolatek z zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi.

– Czyścioch czy kontroler?

– Ani jedno, ani drugie. Natrętne myśli, jeden rytuał i obsesja na punkcie pewnej dziewczyny.

Obawia się, że ją skrzywdzi.

– Typowe.

– Wiem – potwierdził, podniesiony na duchu niefrasobliwym tonem Arthura. – Ale jest coś jeszcze: przywłaszczył sobie jej telefon.

– Hm, zdarza się.

– Jednak z jakiegoś powodu wzbudza mój niepokój. Myślisz, że może być zagrożeniem dla tej dziewczyny?

– Skądże znowu – zachnął się stary psychiatra. – Pacjenci z zaburzeniami obsesyjnymi bardzo często odczuwają lęk przed mimowolnym lub intencjonalnym skrzywdzeniem kogoś, ale prawie nigdy nie bywają agresywni i nie stanowią zagrożenia dla obiektów swoich obsesji. Nie wcielają tych myśli w życie, przecież wiesz.

– Racja, wiem.

– Mimo to odczuwasz niepokój.

– Tak, tkwi gdzieś w podświadomości. Podczas pierwszej sesji pomyślałem sobie: Czyżbym spotkał swojego Tarasoffa? – Nawiązywał do słynnej sprawy pacjenta, który wyjawiał lekarzowi psychiatrze chęć skrzywdzenia dziewczyny, a ten nie powiadomił policji z powodu tajemnicy lekarskiej. Po tragicznej śmierci młodej kobiety jej rodzice wytoczyli mu proces. Sąd uznał słuszność zarzutów. Pod wpływem sprawy Tarasoffa powstała ustawa zobowiązująca do informowania policji lub potencjalnych ofiar o groźbach zasłyszanych w kontekście terapeutycznym.

– Nie wydaje mi się. Na przestrzeni czterdziestu lat pracy miałem tylko jeden taki przypadek.

– Zapewne masz rację. – Tego typu sprawy stanowiły rzadkość, co nie zmienia faktu, iż każdy terapeuta drży przed dylematem Tarasoffa. Bezpośrednią konsekwencją powiadomienia policji jest utrata zaufania pacjenta, który tym samym staje się jeszcze większym zagrożeniem dla siebie i innych.

– Od jak dawna z nim pracujesz?

– Mieliśmy tylko jedną sesję.

Arthur zaśmiał się łagodnie.

– Chyba powinieneś odrobinę zwolnić.

– Prawdopodobnie – przyznał z ulgą Eric.

– Dawny Eric nie spałby po nocach ze zmartwienia, ale nowy Eric sobie poradzi. Tak czy inaczej, do dzieła.

– Tak jest – odparł pogodnie.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś, ale teraz muszę już kończyć. Staruszek musi iść spać, ukochana wzywa.

– Uściskaj ją ode mnie.

- Pewnie. Dzwon częściej. Lubię z tobą rozmawiać.
- Dobranoc. – Odłożył telefon, pochłonął resztę kanapki i wrócił do pracy.

ROZDZIAŁ 12

W niedzielę rano otworzył drzwi swojego gabinetu, ale Max nadal nerwowo przemierzał pustą poczekalnię.

– Dzień dobry, Max. Wejdz, proszę.

– Dzień dobry. Dziękuję – odpowiedział ze spuszczoną głową, prawie na niego nie patrząc, i wszedł do środka. Miał na sobie nieświeże ubrania z poprzedniego dnia, wyglądał, jakby potrzebował prysznic. Eric poczuł się zaniepokojony. Zamknął drzwi i usiłował pochwycić wzrok chłopaka.

– Jak się czujesz?

– Okropnie, nie mogę spać, bez przerwy dotykam czoła, babci się pogorszyło. Prawie całkiem przestała jeść, wczoraj przez cały dzień zjadła tylko kilka krakersów i wypła kawę – poskarżył się, nie siadając. Popatrzył na Erica z wyrzutem. – Żle ze mną, potrzebuję leków. Wypisz mi pan wreszcie receptę, doktorze Parrish?

– Usiądź, proszę. Porozmawiajmy...

– Dlaczego nie chce mi pan przepisać leków? – Podniósł ręce. – Przecież po to właśnie przyszedłem. Natręctwa, obsesyjne myśli i cała reszta... Nie poradzę sobie bez leków!

– Max, nie spodziewam się poprawy po jednym spotkaniu. Bądźmy realistami.

– Wiem, że jedna sesja nie wystarczy, żeby poczuć się lepiej, a ja chcę poczuć się lepiej, dlatego potrzebuję leków!

– Usiądź, proszę. – Wskazał mu fotel. – Jak już mówiłem, wiele leków nasila objawy i ma skutki uboczne...

– Na przykład jakie? Nie zabiję się, przysięgam. – Max opadł na fotel.

– To tylko jeden z możliwych skutków niepożądanych, oczywiście ten najgorszy. – Eric popatrzył w oczy młodego pacjenta i usiadł naprzeciwko niego z tabletem na kolanach.

– Przysięgam, że tego nie zrobię – powtórzył ciszej obrażony chłopak. – Bunia mnie potrzebuje. Nie jest ze mną tak źle, po prostu przyda mi się pomoc.

– Rozumiem. Musimy wspólnie ustalić najlepszy plan leczenia.

– Już dość się nagadaliśmy.

– Dopiero zaczynam cię poznawać. – Martwił się, że chłopak wkracza w poważny kryzys, ale nie mógł go umieścić w szpitalu, jeśli nie stwarzał zagrożenia dla siebie lub innych. – Zmieńmy temat. Porozmawiajmy o twojej babci.

– Naprawdę z nią źle. Wczoraj rano przysła pielęgniarka z hospicjum, potem ktoś z opieki społecznej. – Przeczesał włosy szeroko rozstawionymi palcami. Jego twarz wyrażała ogromny smutek.

– Jak sobie z tym poradziłeś? – Eric zwrócił uwagę na przetłuszczone włosy Maksa i uzupełnił notatki.

– Byli bardzo mili. Dostałem grafik ich wizyt i ulotkę. *Kiedy nadchodzi czas*, czy coś takiego – prychnął lekceważąco. – Tak jakby nie słyszeli o internecie. Oczywiście wszystko już sprawdziłem w sieci. Jednak na coś się przydali, pomogli mi przenieść babcię do pokoju dziennego, przysłali specjalne łóżko i butlę tlenową. Dali nawet morfinę i środek uspokajający.

– Zazwyczaj jest to lorazepam. – Nie spodobała mu się informacja, że Max ma dostęp do uzależniających benzodiazepin. – Nie powinni powierzać takich środków osobie nieletniej.

– Nie powierzyli ich mnie, tylko matce. Spotkała się z pielęgniarką dla zachowania pozorów. Jest w tym mistrzynią. Powiedziała tej kobiecie, że spędza w domu każdą noc. Potem wyszła.

– Nie dotykaj tych leków, dobrze?

– Oczywiście. Zresztą są szczelnie opakowane, pielęgniarka poinformowała nas, że mamy do niej dzwonić, kiedy babcia poczuje ból albo niepokój. Ja mam dzwonić, bo matki oczywiście nie będzie w domu. – Max zacisnął usta w bolesnym grymasie. – Niepokój przedśmiertny, czytałem o nim w sieci.

– Czy mama była obecna także podczas wizyty pracownika opieki społecznej?

– Nie – prychnął. – Radzę sobie, nie narzekam. Przynajmniej to daje mi pewność, że babcia ma dobrą opiekę.

Eric usiłował sobie wyobrazić ciężar odpowiedzialności spoczywający na chłopcu.

– Nie masz żadnej pomocy? Kto został teraz w domu z babcią?

– Hospicjum przysłało pielęgniarkę na dzienną zmianę, Monique, pochodzi z Jamajki. Mówi z niezrozumiałym dla nas akcentem, ale bardzo ją lubimy. – Max rozpogodził się. – Bunia lubi śpiewać, śpiewają razem piosenki Judy Garland i innych starych ludzi. Kiedy wychodziłem, nuciły *You Made Me Love You*, a jutro Monique ma przynieść jamajskie piwo.

– Cokolwiek Bunia sobie życzy. – Eric się uśmiechnął.

– Też tak mówię. – Max zachichotał, po chwili spoważniał. – Wolałbym z nią zostać, ale nalegała, żebym przyszedł do pana, a potem poszedł do pracy, próbował żyć normalnie.

– Rozumiem ją. Ty nie?

– Niby tak, chociaż powiedziałem szefowi, że będę przychodził tylko na parę godzin rano, kiedy babcia śpi. Po południu oglądamy razem jej ulubione seriale. – Uśmiechnął się melancholijnie. – Uwielbia *Złotka*.

Opiekuńczość chłopca była wzruszająca. Eric zadawał sobie pytanie, czy Renée Bevilacqua przychodzi na lekcje w godzinach porannych.

– Pracujesz w niedziele?

– Tak, wielu uczniów pracuje w wakacje i mają czas tylko w weekendy.

Renée o poranku?, zapisał.

– Musi ci być bardzo trudno przechodzić przez to wszystko samemu i jeszcze pracować.

– Wiem, chyba tak. – Max przerwał, jakby o czymś myślał i zgubił wątek. – Dziwnie tak... pomyśleć, że to końcówka jej życia. Cały czas zadaję sobie pytanie, ile czasu pozostało? Jak długo można żyć bez jedzenia i picia? Wypyuję Monique, ona twierdzi, że to zależy od organizmu. Jak pan uważa?

– Myślę, że pielęgniarka z hospicjum ma większe doświadczenie ode mnie.

– Chciałbym poznać pana opinię jako lekarza. Ile czasu jej zostało? W internecie piszą, że bez jedzenia i wody można przeżyć od trzech do pięciu dni.

– Pomogę ci przez to przejść, kiedy nastąpi. Chciałbym, żebyś o tym mówił. Nie spiesz się,

zastanów się nad swoimi uczuciami. Terapia ma na celu pomóc ci w wyrażaniu emocji, abyśmy mogli się im przyjrzeć. Poczujesz się dzięki temu lepiej, będziesz szczęśliwszy.

– Ale terapia farmakologiczna zadziałałaby szybciej. Doktorze Parrish, wszystko, czego potrzebuję, mogę kupić od dzieciaków w szkole. Znam chłopaka, który sprzedaje diazepam swojej matki. Bez problemu można zdobyć metylofenidat i adderall...

– Nie zażywaj niczego, co zostało przepisane komuś innemu. Nie wolno. – Postanowił nie wdawać się w dyskusję na ten temat. Niczego by nie osiągnął, a chłopiec zamknąłby się w sobie jeszcze bardziej. – Gdzie jest twoja mama? Wspomniałeś o pracy. Gdzie pracuje?

– W firmie ubezpieczeniowej w centrum. W dziale rachunkowości.

Eric zapisał informację.

– O której godzinie wraca do domu?

– Nie wraca. Przynajmniej nie codziennie. Nocuje w centrum u swojego faceta. Czasem zadzwoni.

– Max zerknął na zegarek. Czekał na ósmą piętnaście.

– Rozumie, na czym polega hospicjum domowe?

– Oczywiście.

– I mimo to nie wraca po pracy do domu?

– Ta. – Chłopiec wykrzywił usta z niesmakiem.

– Kiedy dzwoni... pyta o swoją mamę?

– Nie, ale i tak jej mówię.

– Pyta, co u ciebie?

– Nie, ale też jej mówię.

– Po co w takim razie dzwoni?

– A jak pan myśli? – Zaśmiał się szyderczo. – Chodzi o pieniądze! Ostatnio potrzebowała nowych opon, nie miała pieniędzy na koncie i poprosiła o zrobienie przelewu.

– W jaki sposób?

– Przez internet. Babcia dała mi hasło do swojego konta internetowego, płacę wszystkie jej rachunki. Bunia przelewa mamie co tydzień pieniądze. Znaczą, ja to dla niej robię – prychnął po raz kolejny. – Mama chce, żebym zrobił stałe zlecenie, ale wtedy całkiem przestanie się odzywać.

Serce Erica ścisnęło się ze współczucia, próbował je stłumić.

– Musi ci być trudno przechodzić przez to samemu – powtórzył.

– Niespecjalnie, przyzwyczałem się, bo zawsze jestem sam. Poza tym lubię pomagać Buni. Ona mnie potrzebuje.

W jego głosie po raz pierwszy zabrzmiało autentyczne ciepło.

– Miło jest być potrzebnym, prawda?

Max pokiwał głową.

– Tak.

– Masz czasami wrażenie, że cię to przerasta? Że to za duży ciężar do udźwignięcia w pojedynkę?

– Nie. – Wzruszył ramionami.

– Wyjaśnij mi, proszę, bo nie rozumiem. Dla większości osób w twoim wieku byłoby to zbyt duże obciążenie.

– Bunia nic nie poradzi, że zachorowała. Poznał ją pan, jest bardzo fajna. Chyba po prostu bardzo lubię jej towarzystwo i nigdy nie mam go dość.

Eric poczuł ucisk w gardle, wzruszony widoczną miłością wnuka do babci.

– Po prostu ją kochasz, Max.

Oczy Maksy zaszkliły się od łez, otarł je niecierpliwym ruchem ręki.

– Chce mnie pan doprowadzić do płaczu?

– Naturalnie. – Posłał chłopcu uśmiech, którego z pewnością potrzebował. – Taka praca.

– Ha! – Jeszcze raz wytarł oczy wierzchem dłoni i zerknął na pudełko chusteczek, ale nie sięgnął do niego.

Nie wziął chusteczki, zanotował Eric. Wielu pacjentów tego nie robiło w obawie przed okazaniem słabości, ta grupa robiła mniejsze postępy w terapii. Martwił się o Maksę.

– Strasznie mi wstyd. – Chłopiec potrząsnął głową, głośno wzdychając. – Gdyby mnie teraz zobaczył ktoś ze szkoły – płaczącego z powodu babci – wyszedłbym na jeszcze większego idiotę niż do tej pory.

– Twoje emocje są zupełnie naturalne w tych okolicznościach, pokazują, że nawiązujesz więzi z innymi ludźmi. Tak naprawdę świadczą o zdrowiu psychicznym.

– Co? – Max zrobił wielkie oczy. – Ktoś z nerwicą natręctw może być zdrowy psychicznie?

– Pomyśl o tym jak o jakiegokolwiek dolegliwości. Dajmy na to, cukrzyca. Fakt, że masz cukrzycę, nie czyni z ciebie osoby niezdolnej do zdrowego funkcjonowania. Po prostu masz cukrzycę, ale jeśli o siebie dbasz i panujesz nad objawami, niczym się nie różnisz od kogoś zdrowego. – Nigdy wcześniej tak o tym nie myślał, każdego dnia uczył się czegoś nowego – od pacjentów, lecz także przez sam udział w procesie terapeutycznym. – Poradzimy sobie z tym, zobaczysz. Przypuszczam, że szybko wrócisz do zdrowia. Teraz powiedz mi, czy masz natrętne myśli na temat Renée.

Max popatrzył na zegarek.

– Myślę o niej przez cały czas, kiedy odprawiam swoje rytuały.

– Widziałeś się z nią wczoraj?

– Tak – odparł z wahaniem.

– Czemu się zawahałeś?

– Widziałem się z nią nie tylko podczas lekcji.

Eric wyczuł, że pacjent próbuje go zbyć.

– Spotkaliście się poza swoją pracą? Gdzie?

– W mieście. Tam, gdzie pracuje.

– To znaczy?

– W sklepiku z mrożonymi jogurtami, w centrum handlowym.

– Jak doszło do spotkania?

– Po prostu zobaczyłem ją przypadkiem, kiedy jechała do pracy. Znowu rozmawiała przez telefon. – Na jego twarzy pojawiło się napięcie, zacisnął usta i dłonie. – Mówiłem już, to bardzo niebezpieczne, nie używa słuchawek ani zestawu głośnomówiącego. Pisze nawet SMS-y.

Eric zanotował.

– Więc gdzie ją widziałeś, w sklepie z jogurtami czy za kierownicą?

– Właściwie i jedno, i drugie, jeśli koniecznie musi pan wiedzieć. – Nerwowo splatał palce. – To znaczy... Babcia spała, a ja grałem na laptopie i w pewnej chwili pomyślałem o Renée – że pracuje w soboty. Pojechałem po jogurt, ale nie wszedłem do środka.

– Dlaczego? – zapytał, notując.

– Sam nie wiem. Chyba nie umiałem znaleźć wiarygodnej wymówki i bałem się, że się domyśli prawdy. O moim zauroczeniu.

– Co zrobiłeś?

– Zaczekałem w samochodzie. Pojechałem za nią, kiedy wyszła z pracy. To znaczy, wie pan, chciałem być pewien, że bezpiecznie dotarła do domu.

– Więc pojechałeś za nią do domu? – upewnił się, mówiąc spokojnym tonem, by nie zdradzić niepokoju. Bał się nie tylko o Maksa, ale również o Renée.

Czekał na nią po pracy. Stalking? Tarasoff?

– Nie, właściwie nie. Chociaż rzeczywiście, można tak powiedzieć. – Nachylił się gwałtownie do przodu. – Ale nie jestem żadnym zbrojcem, przysięgam. To nie był żaden stalking, ani nic w tym stylu.

Eric popatrzył mu w oczy.

– A jaka jest różnica między tym, co zrobiłeś, a stalkingiem?

– Stalkerzy śledzą swoje ofiary, żeby je skrzywdzić, wystraszyć albo zdenerwować. Ja bym nigdy nie skrzywdził Renée. Czuwam nad nią. Większość ładnych dziewczyn esemesuje z koleżankami i bez przerwy gada przez telefon. W szkole, w kafeterii, w bibliotece, wszędzie gdzie są, zawsze rozmawiają przez telefon.

– A Renée w szczególności?

– Ma mnóstwo przyjaciół, jest ładna i lubiana. Takie są dziewczyny, przynajmniej te atrakcyjne, wiecznie wiszą na telefonie. Zrobi sobie krzywdę, jeśli nie przestanie rozmawiać podczas prowadzenia auta. – Max splótł dłonie. – Nie chcę jej zrobić krzywdy. Staram się ją chronić.

– Próbuję sobie wyobrazić, jak to wygląda. Jedziesz za nią – w jakiej odległości? Jednego, dwóch samochodów?

– Tak, tylko tyle. Mam na nią oko, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

– W jaki sposób ją tym chronisz?

– Co to znaczy?

– Co byś zrobił, gdybyś zobaczył, że rozmawia przez telefon za kierownicą?

– Obserwowałbym dalej. Czy nie dojdzie do wypadku.

– Robiłeś to już wcześniej?

– Tak. – Max nagle znieruchomiał.

– Ile razy?

– Dwa razy. Jechałem za nią dwa razy.

– Przejeżdżasz obok jej domu? – Eric notował.

– Tak.

– Ile razy?

– Wiele. – Zerknął na zegarek.

– Chciałbyś zrobić jej krzywdę?

– Nie. Nigdy w życiu. – Oczy Maksa rozszerzyły się z przerażenia. – To dziwne, ale sprawdzam, czy nic jej się nie stało. Ani z mojej winy, ani z winy nikogo innego.

– Max, czy w przeszłości zdarzyło ci się użyć siły fizycznej wobec kogokolwiek? Uderzyłeś kogoś?

– Eric nie zamierzał ryzykować bezpieczeństwa dziewczyny.

– Nie.

– Wdajesz się w bójki w szkole?

– Żartuje pan? – W głosie chłopaka zabrzmiało niedowierzanie. – Nie ma mowy, skopaliby mi tyłek!

– Czy kiedykolwiek rzuciłeś w gniewie jakimś przedmiotem?

– Nie.

– Użyłeś przemocy fizycznej w jakiegokolwiek formie?

– Nie, nie!

– A wobec zwierząt? Kotów albo innych zwierząt domowych?

– Nie wierzę. Przerazają mnie te pytania. – Max cofnął się, oszołomiony, pod baczny spojrzeniem

Erica. Przywłaszczenie sobie telefonu dziewczyny i śledzenie jej były nieakceptowalne, ale nie niebezpieczne. Parrish rozumiał sposób myślenia nastolatka, który chciał być obrońcą, nie agresorem. Wydawał się wiarygodny, co nie znaczyło, że jego zachowanie nie było niepokojące, po prostu nie stanowił aż takiego zagrożenia, jakie kwalifikowałyby go na przymusowe leczenie zamknięte lub nakładało na terapeutę obowiązek powiadomienia policji.

– Pytałem z troski o Renée.

– Nie śledzę jej w złych zamiarach. Sprawdzam, czy wszystko w porządku. Nie jestem prześladowcą. Raczej aniołem stróżem. Renée potrzebuje mojej opieki.

– Zatem uważasz, że ciebie potrzebuje. – Przytrzymał spojrzenie Maksa.

– Bo tak jest.

– Czy kojarzy ci się to z czymś, o czym przed chwilą rozmawialiśmy?

– Nie, z czym? – Chłopiec zerknął na tarczę zegarka.

– Z babcią.

Max cofnął się i przewrócił oczami.

– Doktorze, to obrzydliwe. Odróżniam babcię od Renée.

– Wierzę, ale czy uczucie bycia potrzebnym jest takie samo wobec każdej z nich? Nie ma tu jakiegoś związku? Zastanów się. Czy obawa o bezpieczeństwo Renée jest powiązana z lękiem o babcię? Teraz, kiedy bardziej się boisz o babcię, wzrósł również niepokój o Renée?

Max zamrugał.

– Sądzi pan...?

– Ty mi powiedz.

– Może, w pewnym sensie, to chyba prawda.

– Twój rytuał ma powstrzymać zło, które mogłoby spotkać inne osoby, takie jak Renée i twoja babcia?

– Musiałbym się nad tym zastanowić, ale nawet jeśli odkryję, dlaczego to robię – co to zmieni? I tak będę dotykał czoła, muszę. Właśnie teraz, już prawie czas. – Spojrzał na zegarek, włosy opadły mu na czoło. – Dokładnie piętnaście minut. Pora postukać się w głowę i wymienić kolory. – Dotykał skroni prawym palcem wskazującym i poruszał bezgłośnie ustami. – Już.

– Pomogło?

– Nie całkiem, nie czuję się lepiej. Przestało działać, dlatego mówię, że mi się pogorszyło, i przychodzę do pana. Teraz muszę to robić, żeby nie zwariować.

– A co z innymi natrętnymi myślami o Renée, wspominałeś o nich na poprzedniej sesji, związanymi z obawą przed skrzywdzeniem jej?

– Pojawily się zeszłej nocy. Po prostu zamartwiam się, że coś jej zrobię.

– Co konkretnie?

– Różne rzeczy, jak już mówiłem na poprzedniej sesji i dziś rano, jestem niespokojny, boję się, że mógłbym tam pojechać i ją w jakiś sposób skrzywdzić... – Max mówił coraz szybciej, w miarę jak

wzrastało jego napięcie. – Zacisnąć ręce na jej odsłoniętej szyi. To mnie tak potwornie rozstraja, te pomysły, które przychodzą mi do głowy, nieproszone... Przypominają koszmar, tylko że ja nie śpię i mam go dziesięć razy dziennie albo dwadzieścia. Nie mogę nic zrobić, aby go zatrzymać, dotykane ani kolory nie rozładują napięcia w głowie. – Odetchnął drżąco. – Nie wytrzymuję już tego, doktorze Parrish, naprawdę nie dają rady. Chcę, żeby to się skończyło. Musi się skończyć.

– Rozumiem. – Eric wyjął chusteczkę z pudełka i podał Maksowi. – Proszę.

– Dziękuję. – Chłopiec otarł oczy, na białych policzkach pojawiły się różowe plamy. – Przepraszam, wstyd mi, że płaczę jak dziecko.

– Nie ma się czego wstydzić, to ludzkie. Bardzo ciężko pracujesz i świetnie ci idzie. Wiem, że nie jest łatwo.

– Nie jest. Przerąbane, totalnie przerąbane.

Eric był już pewien, że postawił właściwą diagnozę, i miał plan na dalsze leczenie.

– Wypiszę ci receptę. Leki nie zadziałają od razu, więc bądź cierpliwy. Musimy też zrobić badania krwi. Następny wolny termin mam w środę o ósmej. Chciałbym cię wtedy zobaczyć.

– Świetnie. – Max się rozluźnił. – Jakie leki mi pan przepisze?

– Fluoksetynę. – Bywała bardzo skuteczna, ale należało uważać na początkowe skutki uboczne. – Zadzwoń do mnie natychmiast, jeśli poczujesz się niespokojny. Zrozumiano?

– Tak, dziękuję – powiedział Max, ocierając oczy.

ROZDZIAŁ 13

W poniedziałkowy poranek Eric wysiadł z windy w skrzydle Wrighta i ruszył zamyślony przez łśniący korytarz, wyjmując po drodze klucze z kieszeni. Noc miał bezsenną, zamartwiał się o Maksa, Renée, rozmyślał, czy powinien walczyć w sądzie o opiekę nad Hannah. Wreszcie podjął decyzję, że zadzwoni do adwokatki tuż po porannym zebraniu. Dotarłszy do wejścia na oddział psychiatryczny, sięgnął po zawieszony na szyi identyfikator. Zgodnie z procedurą bezpieczeństwa upewnił się, że zamknął za sobą drzwi. Znalazł się w niedużym przedsionku, służącym za służbę bezpieczeństwa. Odkąd zaczął pracę, żaden pacjent nie opuścił oddziału bez wcześniejszej autoryzacji. Chciał, aby tak pozostało.

Przy wejściu mieściło się nieduże stanowisko pielęgniarek, dalej spora świetlica z telewizorem, sofą, fotelami, regałem używanych książek z darowizn oraz kilkoma starymi komputerami z ograniczonym dostępem do internetu. Po lewej stronie były pokoje pacjentów, po prawej sale konferencyjne, gabinety, kuchnia i kilka pomieszczeń dla pacjentów szczególnie niebezpiecznych, wymagających odizolowania od pozostałych. Każda z dwudziestu sal była jednoosobowa, ze względów bezpieczeństwa. Pacjenci różnili się wiekiem, mieli od osiemnastu do dziewięćdziesięciu lat, cierpieli na depresję, chorobę afektywną dwubiegunową, schizofrenię oraz inne poważne choroby psychiczne. Jedna osoba znajdowała się obecnie pod ścisłym nadzorem z powodu silnych tendencji samobójczych, a dwie bacznie obserwowano, aby zapobiec samookaleczeniom. Tylko tyle, ponieważ trwało lato, w zimowe miesiące ta liczba miała się podwoić.

Pomiędzy holem północnym a południowym w samym centrum oddziału mieściła się stołówka, a za nią główna siedziba pielęgniarek otoczona dla bezpieczeństwa grubą szybą z pleksiglasu. Pielęgniarki miały dobry widok na balkon. Zgodnie z przepisami każdy oddział psychiatryczny w Pensylwanii musiał posiadać taras. Władze stanowe, jak widać, wierzyły, że świeże powietrze służy pacjentom z problemami natury psychicznej. Eric uznał za zbędne tłumaczenie im, że to miejsce wykorzystuje się jako palarnię. Na terenie szpitala obowiązywał zakaz palenia, ale nie miał serca odmówić psychotykowi papierosa.

Skreślił w lewo, zostawił w biurze torbę listonoszkę i pospieszył do małej sali konferencyjnej. Personel popijał poranną kawę, toczyły się pogawędki na temat minionego weekendu. Przywitał się ze wszystkimi i zamienił kilka zdawkowych zdań, wreszcie wszyscy zasiedli na swoich stałych miejscach przy podłużnym stole konferencyjnym z czarnej sklejki, zajmującym prawie całe pomieszczenie.

Eric zajął krzesło u szczytu stołu. Sprawował superwizję nad trzema lekarzami, którzy usiedli w rzędzie po jego prawej stronie. Sam Ward był najstarszy stażem, pracował w szpitalu od ośmiu lat, oddziałowy intelektualista o jasnych szarobłękitnych oczach za szklami okularów w drucianych oprawkach i brązowych włosach tworzących nieokreśloną fryzurę. W wieku trzydziestu pięciu lat opublikował już kilka ważnych prac na temat nowych metod leczenia ADHD. Mieszkał z żoną

i małym synkiem. Eric zamierzał go wskazać jako swojego następcę.

Obok Sama siedział Jack D’Vergney. Mężczyźni ledwie tolerowali się nawzajem, mieli zupełnie odmienne temperamenty. W przeciwieństwie do Sama, który wypełniał swoją pracę z pasją i zaangażowaniem, Jack nie ukrywał, że wybrał psychiatrię bardziej dla ojca, znanego francuskiego neurobiologa, niż dla siebie. Któregoś roku pojawił się na szpitalnym balu z okazji Halloween jako własny sławny ojciec w idealnie skrojonym garniturze z plaketką z napisem: ZAPYTAJ MNIE O RELACJE Z OJCEM! Jack był przystojny, ciemnowłosy, czarujący i popularny wśród żeńskiej części personelu, między innymi dzięki europejskiemu pochodzeniu. Na studiach w Yale został mistrzem szermierki, a dziś utrzymywał wysportowane ciało w niesłychanie imponującej formie z pomocą jakichś odważników, Eric nie chciał znać szczegółów.

Trzeci lekarz, szczupły, drobny David Chu, także był kawalerem. Dość przystojny młody człowiek niestety wypadł blado w porównaniu ze swoim kumplem Jackiem. Pracował na oddziale dopiero od dwóch lat i jako najmłodszemu stażem wiele uchodziło mu na sucho. Na przykład głupie żarty i dziecinne wygłupy. Jego najnowszy występ to położenie na wszystkich stołkach kartek z napisem: PRÓBKA STOLCA. Udało mu się rozśmieszyć Erica. Za Davidem siedziały w rzędzie cztery pielęgniarki. Pam Susepeth, otyła, o bardzo sympatycznej twarzy, podobnie jak jej najlepsza przyjaciółka, Beverly Gladfelter. Dwie pozostałe zostały zatrudnione dopiero w zeszłym miesiącu, kiedy administracja szpitala wyraziła zgodę na dodatkowy personel. Allison Sterling i Sue Barrington, obie krótkowłose szatynki. Resztę krzeseł zajmowali pracownicy, którzy rzadko się udzielali na zebraniach: dwóch techników psychiatrycznych, dwie pomoce pielęgniarskie, studentka pielęgniarstwa, terapeutka od warsztatów artystycznych, dwóch pracowników opieki społecznej oraz dwoje stażystów, w tym Kristine Malin. Eric unikał jej spojrzenia, odkąd wszedł do sali.

– Dobrze. Zaczniemy zabawę, Amako – zwrócił się do szefowej pielęgniarek Amaki Ademoli-Gibbs, siedzącej po jego lewej stronie za wysoką stertą kart pacjentów. Amaka miała ponad pięćdziesiąt lat, pochodziła z Afryki Zachodniej, dorastała w Anglii, gdzie poślubiła Brytyjczyka i nabyła akcent rodem z *Downton Abbey*. Była inteligentna, wysoko wykwalifikowana i pewna siebie. Wykonywała najtrudniejszą pracę na oddziale, polegającą na monitorowaniu leczenia wszystkich pacjentów. Przychodziła na oddział codziennie przed siódmą rano, aby zebrać raporty od pielęgniarek kończących nocną zmianę, przeanalizować dane i przekazać je Ericowi oraz reszcie personelu podczas porannego spotkania.

– Oczywiście, szefie. – Amaka popijała herbatę. – Zacznę od Juliusa Echeverrii, który został przyjęty dziesięć dni temu z depresją reaktywną po śmierci nastoletniego syna w wypadku samochodowym. – Otworzyła teczkę i skrzyżowała szczupłe nogi okryte rdzawoczerwonym pielęgniarskim fartuchem. – Pan Echeverria miał spokojną noc. Przespał pełne siedem godzin i bez oporów przyjął leki.

– To dobrze. Nie chowa ich już pod językiem? – upewnił się Eric.

– Nie. – Amaka pokręciła głową, wprawiając w ruch małe srebrne kolczyki. Miała słabość do srebrnej biżuterii, która doskonale się prezentowała na tle ciemnej skóry i krótkich siwiejących włosów. – Ciśnienie w normie. Wczorajem odwiedziła go żona, Rosa. Ona również uważa, że jest lepiej. Odbyli sympatyczną rozmowę.

– Świetnie, świetnie. – Eric poczuł się podniesiony na duchu. Miał zwyczaj włączać członków rodziny w proces zdrowienia ich bliskich, zachęcał małżonków, partnerów, a nawet przyjaciół do uczestniczenia w niektórych sesjach, traktując to jako nieodzowny element procesu terapeutycznego.

Psychiatria różniła się od innych dziedzin medycyny także pod tym względem: terapia pacjentów z chorobami fizycznymi nie opierała się aż tak bardzo na takiej współpracy. Ktoś chory na raka jelita grubego nie zdrowiał dlatego, że codziennie odwiedzała go rodzina. Parrish był przekonany, iż depresja pana Echeverrii cofnie się dzięki wsparciu żony przeżywającej żalobę po tej samej druzgocącej stracie.

– Przy okazji, ubezpieczenie pana Echeverrii wygaśnie za trzy dni.

– Przyjąłem. – Eric zaznaczył to sobie w aktach. Dziewięćdziesiąt procent pacjentów na oddziale było objętych ubezpieczeniem. Obydwoje z Amaką starali się dopilnować, aby czas wyznaczony przez ubezpieczyciela został jak najlepiej wykorzystany, walcząc z biurokracją o zdrowie psychiczne swoich podopiecznych. – Kto zajmuje się panem Echeverrią? Ty, Jack, prawda?

– Tak. – Jack pokiwał głową, poprawił się na krześle i złączył długie palce w piramidę. Miał na sobie granatową kamizelkę z kaszmiru, dopasowaną, białą koszulę, wełniane spodnie i półbuty od Gucciego. Caitlin twierdziła, że powinien być modelem.

– Niedługo będzie go można wypisać?

– Moim zdaniem jest prawie gotów do wyjścia.

– Jaka jest twoja rekomendacja?

– Jutro albo pojutrze? – Wzruszył nonszalancko ramionami.

– Czyli?

– Niech będzie pojutrze.

– Dobrze. – Eric postanowił dać mu spokój, choć zawsze uważał, że jest zbyt powierzchowny i brakuje mu niezbędnej w tym zawodzie empatii. Raczej nie odniesie sukcesu jako psychiatra, a już z całą pewnością nie zostanie uznanym naukowcem, jak jego ojciec.

– Kolejna pacjentka, Leah Barry – odezwała się ponownie Amaka. – To jej trzecia hospitalizacja po urodzeniu martwego dziecka. Jedna z pielęgniarek nocnego dyżuru zauważyła, że podczas kolacji usiłowała schować ukradkiem do kieszeni plastikowy nóż. Istnieje obawa, że spróbuje zrobić sobie krzywdę.

– O nie. – Parrish poczuł ucisk w piersiach, a twarze zebranych posmutniały. Nikt nie łądował na oddziale psychiatrycznym, nie mając za sobą jakichś dramatycznych przeżyć. Historia Leah Barry poruszyła ich wszystkich. Co jakiś czas na oddział trafia pacjent, którego nazywają między sobą Duchem, ponieważ nawiedza myśli, nie dając o sobie zapomnieć. Tym razem Duchem była Leah Barry.

– Pani Barry bardzo się zdenerwowała, kiedy pielęgniarka zabrała jej nóż – kontynuowała Amaka.

– Ma za sobą nieprzespaną noc. Oświadczyła, że chce iść do domu, chociaż zdaje sobie sprawę ze swojego stanu. Nadal się izoluje. Nie podoba się jej, iż jest kontrolowana.

– O co chodzi? – zwrócił się do Davida. – To twoja pacjentka, tak? Wiesz, o czym mówi?

– Denerwuje ją, że sprawdzamy łóżka co piętnaście minut. Chciałaby, żebyśmy przynajmniej w nocy tego nie robili. Wyjaśniłem jej, że nie ma takiej możliwości.

– Hm, tak, tego nie możemy dla niej zrobić. Ale musimy zrobić coś innego. – Eric wprowadził zasadę zaglądania do pacjentów co piętnaście minut po tym, gdy ktoś z innego szpitala powiesił się na oddziale, ponieważ nikt do niego nie zaglądał przez godzinę. Parrish poprzysiągł sobie, iż u niego nigdy nie dojdzie do podobnej sytuacji. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, jak irytujące dla niektórych chorych może być wypytywanie co kwadrans przez sztucznie uśmiechniętą pielęgniarkę o ich samopoczucie. Nasunęło mu się uderzające skojarzenie z przymusowym rytuałem Maksa

Jakubowskiego, wykonywanym co piętnaście minut.

Popatrzył na Davida.

– Co możemy zrobić dla Leah Barry?

– Poprosiłem pielęgniarkę z nocnej zmiany, żeby nie świeciła jej latarką po oczach. Nie zgłaszasz sprzeciwu, ordynatorze?

– Naturalnie, że nie. Naprawdę tylko tyle? Przemyśl to jeszcze. Może mógłbyś zmniejszyć częstotliwość sprawdzania podczas swoich dyżurów?

– Nie ma sprawy.

– Dobrze. Proponujesz jakieś zmiany w leczeniu?

– Zwiększyłbym odrobinę dawkę SSRI. Chciałbym też poświęcić jej trochę więcej czasu poza obchodami.

– Świetnie – odpowiedział Eric z uśmiechem. David mógłby być bardziej zdecydowany, ale większa pewność siebie przyjdzie z czasem i doświadczeniem. Bardzo zdolny dzieciak z tendencją do rzucania sobie kłód pod nogi. Zwrócił się do Amaki. – Przepraszam, że ci przerwałem, szefowo. Kontynuuj.

– Niestety sytuacja pana Perino nie wygląda optymistycznie. – Amaka sięgnęła po kolejny folder, wsuwając akta pani Barry na spód sterty. Zawsze omawiała przypadki według kolejności pokoi, ponieważ uważała ten system za najbardziej uporządkowany. Eric wolałby dostawać raport o najtrudniejszych przypadkach w pierwszej kolejności, ale pozostawiał swoim pracownikom swobodę. Niech każdy wykonuje swoją pracę po swojemu. Amaka otworzyła kolejne akta. – Pan Perino zachowywał się agresywnie podczas wczorajszej kolacji. Popchnął innego pacjenta w kolejce po deser.

David parsknął krótkim śmiechem.

– Nie należy stawać na drodze miłości grubasa do słodczy.

Jack odpowiedział chichotem.

– Tak jakby mu było potrzeba kolejnego czekoladowego budyniu.

Ogólne rozbawienie ucichło, kiedy zebrani zauważyli powagę Erica. On także lubił się śmiać, ale nigdy z pacjentów.

– Trzeba sporządzić raport zdarzenia – stwierdził. Każdy przejaw wrogości jednego pacjenta wobec innego, nawet drobny, musiał zostać zgłoszony odpowiedniej instytucji. – Amako, zajmiesz się tym?

– Tak. – Zajrzała do notatek. – Po tym incydencie pan Perino wycofał się do swojego pokoju. Wypluł leki, które mu podano przed zaśnięciem. Odmówił przyjęcia nowych.

– W jaki sposób odmówił? – Bardzo lubił uprzejmy brytyjski styl Amaki, ale potrzebował faktów.

– Powiedział: Nie, dziękuję?

Na korytarzu rozległy się krzyki, głośnik zatrzeszczał.

– Doktor Parrish i doktor Ward proszeni do sali pięćset pięć. Doktor Parrish i doktor Ward do sali pięćset pięć.

– Chodźmy. – Eric poderwał się na równe nogi. Drzwi się otworzyły i w progu stanęła przestraszona pielęgniarka.

– Doktorze Parrish, to Perino!

Eric już pędził ku wyjściu.

ROZDZIAŁ 14

Pędził przez korytarz, tuż za nim Sam i David, a na końcu Jack. Oddział został postawiony w stan alarmowy, pacjenci otrzymali zalecenie pozostania w salach, niektórzy z ciekawością wystawiali głowy. Pani Jelik, cierpiąca na poważne zaburzenia lękowe, nadchodziła z naprzeciwka, nerwowo załamując ręce. Z pokoju Donalda Perino dobiegł krzyk i łomot metalu uderzającego o podłogę.

– Nie! Nie! Nie! – wrzeszczał na całe gardło Perino. Jasnowłosa pielęgniarka i dwóch sanitariuszy wycofywali się ze strachem. – Odejdźcie ode mnie! Wynocha!

– Cofnijcie się, proszę – poprosił Eric, zrównawszy się z nimi. – Wezwaliście ochronę?

– Tak – odpowiedziała zdenerwowana pielęgniarka. Pracowała u nich od niedawna. Eric położył jej rękę na ramieniu w uspokajającym geście.

– Spokojnie, Tino. Damy sobie radę. Co się stało?

– Wszystko było z nim w porządku. Tak przynajmniej myślałam. – Brązowe oczy Tino wypełniał strach. – Podeszłam z lekami, a on bez powodu uderzył głową w stolik.

– Rozumiem. – Wskazał panią Jelik, mówiąc: – Tino, czy mogłabyś odprowadzić naszą pacjentkę do jej sali?

– Oczywiście. – Pielęgniarka oddaliła się czym prędzej, natomiast Eric zwrócił się do Amaki:

– Poproszę pięć miligramów haloperydolu i dwa miligramy lorazepamu.

– Już się robi! – Odwróciła się na pięcie i pobiegła wykonać polecenie.

Perino nie przestawał krzyczeć.

– Nie, nie! Nie! Wynocha! Wynocha!

– Doktorze, co mam robić? – zawołał sanitariusz.

– Nic; pod żadnym pozorem nie wchodź do tego pokoju. – Eric nie chciał narażać sanitariusza na niebezpieczeństwo, procedury szpitalne jasno określały postępowanie wobec agresywnych pacjentów – ustabilizować sytuację z pomocą wyszkolonego personelu, ograniczyć do minimum liczbę osób wchodzących w kontakt z chorym i poczekać na przybycie ochrony. Zwrócił się do stojącego za jego plecami Sama: – Ty też zostań na miejscu.

– To mój pacjent, Ericu, ma do mnie zaufanie. Myślę, że powinienem pomóc. Poza tym nie utrzymasz go sam, jest wielki i silny. Wejdem z tobą. – Młody lekarz zamrugał szarobłękitnymi oczami za szklami okularów w drucianych oprawkach.

– Nie, zostań. Podasz mi strzykawki, kiedy wróci Amaka. Nie wchodź, dopóki nie przyjdzie ochrona.

– Tak jest. Ale uważaj na siebie. – Sam pokiwał głową. Obaj wiedzieli, że powinien poczekać. Tego wymagała procedura bezpieczeństwa. Psychiatrzy, psychologowie i inni pracownicy placówek ochrony zdrowia psychicznego byli sześciokrotnie bardziej narażeni na napaść niż pracownicy innych placówek medycznych. Sześćdziesiąt procent z nich miało bezpośredni kontakt z przemocą w miejscu pracy.

– Donaldzie, proszę, uspokój się – powiedział łagodnie Eric, wchodząc do sali chorego, który stał po drugiej stronie łóżka, zionąc wściekłością. Donald Perino miał czterdzieści pięć lat, sto dziewięćdziesiąt centymetrów i sto sześćdziesiąt kilogramów paranoi. Został przyjęty na oddział przed dwoma dniami z powodu załamania, paradoksalnie niemającego zbyt wiele wspólnego z jego chorobą. Źle zareagował na zbyt szybkie odstawienie jednego z antydepresantów. Wiele leków przeciwdepresyjnych przynosi więcej szkody niż korzyści, kiedy pacjent przestaje je brać z dnia na dzień, co niestety dość często się zdarza.

– Nie, nie, zostaw mnie! – wrzasnął Perino. Jego ciemne oczy płonęły przerażeniem. Z rany na czole po uderzeniu w blaszaną szafkę ciekła krew, zlepiając brązowe włosy w makabryczne strąki. Ale rana nie wyglądała na poważną, mimo bardzo obfitego krwawienia. Na podłodze leżały: przewrócona szafka, taca śniadaniowa, jajka, tosty i kubek po wylanej kawie.

– Donaldzie, uspokój się, bardzo cię proszę – powtórzył ze spokojem; pamiętał, czego się nauczył na szkoleniach. Podszedł do pacjenta pod kątem czterdziestu pięciu stopni, próbując nie wzbudzać dodatkowego niepokoju. Zatrzymał się w odległości około metra, aby nie naruszyć przestrzeni osobistej Perino, ponieważ spowodowałyby to eskalację jego napięcia. Nawiązał niezobowiązujący kontakt wzrokowy, bez uporczywego wpatrywania się w oczy. Ręce trzymał luźno po bokach ciała, nie tylko dlatego, że taka pozycja jest najmniej zagrażająca. Chciał być gotów do zasłonięcia się przed ewentualnym ciosem. Upewnił się, że ma swobodny dostęp do drzwi w razie konieczności ucieczki.

– Nie, nie, nie! Odejdź! – Perino cofnął się pod zakratowane okna i uniósł masywną dłoń, jakby w obawie przed uderzeniem. Nie dało się wyczytać z jego dzikich, rozbieganych oczu, czy go poznaje.

– Donaldzie, to ja, doktor Parrish. Proszę cię, żebyś usiadł na brązowym krześle. – Wskazał mebel. Proste komendy pomagają odzyskać kontrolę nad sytuacją, tak go uczyli na szkoleniu. Nie mógł dopuścić, aby pacjent zrobił krzywdę sobie lub komukolwiek innemu. – Usiądź i opowiedz mi, co się stało. Muszę obejrzeć ranę na twojej głowie.

– Nie, nie! Aaa! – Odchylił głowę do tyłu i obnażył zęby. Ryczał jak dzikie zwierzę. Krew spływała mu po twarzy, wyglądał przerażająco.

Eric nie ustąpił. Nadal czekał na ochronę, która nie nadchodziła. Z Perino było coraz gorzej. Nie chciał go niechcący sprowokować, więc na wszelki wypadek stał nieruchomo. Paranoja u schizofreników zazwyczaj powodowała agresję, a Perino już w dzieciństwie przejawiał skłonności do niebezpiecznych zachowań, takich jak wzniecanie pożarów.

– Nie, nie, nie! Wiem, kim jesteś! Nie dam się nabrać! Nie podchodź! Nie podchodź!

– Donaldzie, to naprawdę ja. Doktor Parrish. Usiądź i powiedz mi, o co chodzi.

– Kłamca! Nie jesteś żadnym doktorem Parrishem! – krzyknął Perino, plując krwią. Żyły na jego szyi nabrzmiały.

– Owszem, jestem. – Eric po raz kolejny wskazał krzesło. Zastanawiał się, co zatrzymało ochroniarzy. – Usiądź, proszę. Jestem twoim lekarzem. Twoja żona, Linda, przywiozła cię do nas, ponieważ odstawiłeś leki, pamiętasz? Narzekałeś, że powodują apatię i tycie. Przytyłeś prawie piętnaście kilogramów.

– Łżesz! Pracujesz dla CIA! Wszyscy dla nich pracujecie! Ta blondynka też! Kłamie, że jest pielęgniarką! Próbuje zabrać mi moje myśli! Dajecie mi jakieś proszki! Zatruwacie moją krew! Robicie ze mnie wariata!

Eric popatrzył w stronę drzwi. Jack miał dziwnie obojętny wyraz twarzy, natomiast na młodym obliczu Davida malował się szok. Nigdzie ani śladu szpitalnej ochrony. Amaka przekazała strzykawki z lekami Samowi, który trzymał je dyskretnie, czekając na odpowiedni moment, by podać je Ericowi. Parrish nie miał najmniejszych szans na zrobienie zastrzyków bez pomocy ochrony.

– Dlatego tu jestem! – Perino uczynił krok naprzód, niebezpiecznie zbliżając się do lekarza. – Przez was jestem wściekły! Przez was mam ochotę kogoś zabić!

– Donaldzie, proszę, usiądź na krześle. – Cofnął się ku drzwiom i wysunął rękę za plecami do tyłu. Po chwili poczuł strzykawkę, ale tylko jedną, zamiast dwóch. Sam przekazywał mu jakiś sygnał. – Proszę, usiądź na brązowym krześle.

– Nie, nie! – Pacjent z krwawą maską na twarzy posuwał się naprzód. – Robicie ze mnie zabójcę! Chcecie, żebym zabijał dla CIA! Zejdź mi z drogi! Muszę się stąd natychmiast wydostać!

– Nie mogę ci na to pozwolić, Donaldzie. Porozmawiajmy. – Eric zagradzał mu wyjście. Nie mógł dopuścić, aby komukolwiek z personelu lub pacjentów stała się krzywda. Szykował się do starcia, nie mógł dłużej czekać na ochronę. – Proszę cię, usiądź na...

– Nie, nie, nie! – wrzasnął mu prosto w twarz. – Zabiję cię, jeśli mnie stąd nie wypuścisz!

– Przestań, Donaldzie...

– Odejdź! – Perino rzucił się na Erica, który zareagował błyskawicznie: chwycił gruby nadgarstek pacjenta, pociągnął go w dół i wykręcił do tyłu. Perino stracił równowagę, Parrish wykorzystał ten moment, aby zrobić zastrzyk uspokajający.

– Nie, nie chcę! – zawył Perino. Sam zaatakował od tyłu, przytrzymał mężczyznę lewą ręką, wbił igłę i pociągnął go do siebie.

– Donaldzie, próbujemy ci tylko pomóc. To my, doktor Parrish i doktor Ward. – Przewrócili go na podłogę, Sam asekurował głowę pacjenta, aby nie uderzył nią o podłogę.

– Nie! – Perino wrzeszczał, machał rękami i kopał, usiłował wstać. Sam wygramolił się spod niego.

– Uspokój się, Donaldzie. – Eric przyciskał do ziemi ramiona pacjenta, z którego głowy nadal sączyła się krew. – Leż spokojnie. Zaraz poczujesz działanie środka uspokajającego.

Perino potrząsnął głową i zatrzepotał powiekami, zaczynał tracić świadomość. Tymczasem na korytarzu trwało jakieś poruszenie, po chwili na salę wpadło trzech pracowników ochrony szpitala wraz z kapitanem Jedem Barnestonem. Grant pospieszył na pomoc Ericowi, drugi ochroniarz pomógł wstać Samowi, a trzeci przytrzymał Perino.

– Ordynatorze! – zawołał z niepokojem Jed. – Nic się panu nie stało?

– Nic, dzięki. – Eric puścił Perino. – Teraz śpi. Połóżmy go do łóżka.

– Panie doktorze, musimy oczyścić zagrożony teren. – Jed wyprosił lekarzy z sali zgodnie z procedurą. Ochroniarze zajęli się unieruchomieniem Perino, tak aby można było bezpiecznie opatrzyć ranę na jego głowie.

– Dziękuję, stary. – Eric westchnął, uśmiechając się do Sama. – Nie dałbym sobie rady bez twojej pomocy.

– E tam, nie dałbyś rady bez haloperydolu – odparował młodszy lekarz. Za jego plecami stała Kristine, uśmiechała się z wyraźną ulgą.

ROZDZIAŁ 15

Godzinę później Eric usiłował nadrobić zaległości w papierach, kiedy przerwało mu pukanie do drzwi. Amaka miała zafrasowaną minę.

– Co się stało?

– Pozwolisz ze mną na minutkę, ordynatorze? Muszę ci natychmiast coś pokazać.

– Oczywiście, jakiś problem? – Podeszedł do drzwi i razem wyszli. Zaniepokoił się, że wydarzyło się coś poważnego, Amaka nie miała skłonności do przesady. – Co się stało?

– To sprawa osobista, która powinna zostać omówiona na osobności. – Pielęgniarka chwyciła go pod rękę i zaprowadziła do sali konferencyjnej.

– Gratulacje, ordynatorze!

– Co? – Eric zaniemówił z wrażenia. W pokoju zebrał się cały jego personel, wszyscy uśmiechnięci od ucha do ucha – Sam, Jack, David, Kristine i pozostali stażyści, pielęgniarki, salowe, technicy, pracownicy społeczni, terapeuci i dietetyk. Zastawiony stół – babeczki, muffiny, tort, kubki i papierowe talerze oraz puszki z napojami gazowanymi. Na środku sali, niczym gospodarz bankietu, stał krępy administrator szpitala, Jason Kittredge, i uśmiechał się promiennie do Erica.

– Gratulacje, ordynatorze! – Poklepał go po ramieniu. – Jesteśmy numerem dwa!

– Jesteśmy numerem dwa! Jesteśmy numerem dwa! Jesteśmy numerem dwa! – skandowali wszyscy, klaszcząc w dłonie. Zaabsorbowany myślami o Hannah i Maksie zapomniał, że właśnie nadszedł ten czas.

– Mamy drugie miejsce? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak jest! – Jason niemal krzyknął ze szczęścia. – Nasz oddział psychiatryczny, twój oddział psychiatryczny zajął drugie miejsce w rankingu *U.S. Medical Report*! Jeszcze tego nie ogłosili, dowiedziałem się po znajomości.

– Żartujesz. – Eric nigdy nie liczył na taką pozycję, cieszyłby się z jakiegokolwiek miejsca w pierwszej dziesiątce. Nigdy nie trafili wyżej niż na jedenaste.

– Gratulacje! – Jason zaczął klaskać i wszyscy się przyłączyli.

– Poczekajcie, cisza. – Poprosił gestem, aby przestali klaskać. – A Mass General? Od zawsze byli na drugim.

– Zepchnąłeś ich. Byliśmy lepsi!

– Poważnie? Przecież drugie miejsce to ich własność. – Eric pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Już nie! Zdobyliśmy dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych punktu na trzydzieści, wyprzedzając wszystkie placówki ochrony zdrowia psychicznego poza jedną: McLean. Nikt się tego nie spodziewał, zaatakowaliśmy znienacka! – Szarobłękitne oczy Jasona płonęły uniesieniem za szklami druczianych okularów. – Dzięki tobie, twoim zdolnościom przywódczym i organizacyjnym. Zmiany, które wprowadziłeś na przestrzeni ostatnich kilku lat, przyniosły efekty.

– Nie, zrobiliśmy to razem. – Eric zebrał myśli i zwrócił się do pracowników. – Gratulacje, moi

drodzy. Jestem dumny z was wszystkich. Doceniam waszą pracę. Połączyliśmy siły i wygląda na to, że...

– Jesteśmy numerem dwa! – zawołała Kristine, występując na środek sali. Eric odniósł niejasne wrażenie, że usiłuje przyciągnąć jego uwagę. Reszta zawtórowała: – Jesteśmy numerem dwa! Jesteśmy numerem dwa!

– Ordynatorze! – Jack szturchnął go żartobliwie. – Daj spokój, Jason ma rację. Przyjmij zasłużoną pochwałę. Widziałem zmiany, które wprowadziłeś: zespoły terapeutyczne, podejście całościowe, zwłaszcza współpraca z oddziałem geriatrycznym, wszystkie działają.

Jason podniósł głowę i ponownie zabrał głos.

– Inne szpitale patrzyły nam na ręce z nadzieją, że upadniemy na pyski. Udowodniliśmy im. Udowodniliśmy im wszystkim, ile jesteśmy warci.

Eric nie zdołał stłumić uśmiechu.

– Masz czarno-białą wizję świata, Jasonie. Może potrzebujesz psychiatry?

Wszyscy parsknęli śmiechem, nie wyłączając Jasona, który jednak nie miał zamiaru zrezygnować z dalszej przemowy. Zwrócił się do stażystów, na czele z Kristine.

– Szesnaście specjalizacji lekarskich można ocenić na podstawie twardych danych, ale cztery, wśród nich psychiatria, opierają się wyłącznie na reputacji. To znaczy, że nasze miejsce w rankingu jest wynikiem ankiety przeprowadzonej wśród lekarzy, którzy zostali poproszeni o wymienienie szpitali uważanych przez nich za najlepsze.

– Łuhuuu! – Kristine krzyczała najgłośniej. Eric zauważył, że tego ranka zadbała o wygląd bardziej niż zwykle. Pomalowała usta jaskrawą szminką, a ciemne włosy były ułożone, jakby wyszła prosto od fryzjera.

– To o wiele trudniejsze, ponieważ zależy od nieco subiektywnej oceny – dodał Jason.

– Nieco subiektywnej? – prychnął Eric. – Całkowicie subiektywnej.

Jack machnął ręką.

– Ordynatorze, nie zagląдай darowanemu koniowi w zęby.

Eric się roześmiał, pozostali również.

– To nie wszystko – wtrącił Jason. – Dostaliśmy się na listę zasłużonych. Nigdy wcześniej na nią nie trafiliśmy.

– Na listę zasłużonych? – Eric poczuł się jak ojciec geniusza z przerostem ambicji. – Jak to się stało? Odpowiedzieliśmy na dodatkowe pytania?

Wszyscy oprócz Jasona wybuchnęli śmiechem.

– Śmieście się, śmieście. Tylko szpitale, które mają ponadprzeciętne rezultaty w ponad sześciu specjalizacjach, mają szansę znaleźć się na tej liście honorowej. Cały zarząd szpitala jest w siódmym niebie. Dyrekcja przekazuje specjalne gratulacje ordynatorowi Parrishowi.

– Dość już, Jasonie. Co dalej? Będziecie nas promować? – Medycyna miała coraz więcej wspólnego z marketingiem.

– Jak najbardziej – potwierdził entuzjastycznie Jason. – Musimy poczekać z nagłaśnianiem tego w prasie, ale możemy już zacząć planować. Będą reklamy w radiu, telewizji, w internecie: Facebook, Twitter, billboardy, banery...

– Nie zapomnij o gadżetach – odpowiedział z uśmiechem Eric. – Koszulki i długopisy z napisem: JESTEŚMY LEPSI.

David parsknął śmiechem.

– A może antybakteryjny płyn do rąk? I ręczniki plażowe?

– Tak! – przyklasnął Jack. – Termosy!

– Lodówki do piwa! – zawołała jedna z pielęgniarek.

Kristine spojrzała Ericowi w oczy, mówiąc:

– Prezerwatywy!

Śmiech przybrał na sile. Eric przerwał kontakt wzrokowy. Nie chciał jej zachęcać.

Jason uciszył zebranych.

– Okej, wiem, że się dobrze bawicie, ale to naprawdę wspaniałe osiągnięcie, które wpłynie na wizerunek szpitala na wiele lat. Zawdzięczamy je ordynatorowi oraz waszej ciężkiej pracy.

Eric pokiwał głową. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że przyszedł rano do pracy z myślą o zrezygnowaniu z niej. Nie wiedział, jak miałby to teraz zrobić. Nigdy nie doznał większego poczucia wspólnoty z zespołem niż teraz, kiedy zdał sobie sprawę, że musi się z nim rozstać. Żadnej z tych myśli nie mógł wyrazić w słowach, więc przykleił uśmiech do twarzy i powiedział:

– Jasonie, proszę, podziękuj zarządowi w naszym imieniu.

ROZDZIAŁ 16

Eric zamknął za sobą drzwi gabinetu, podszedł do biurka i opadł na krzesło. Pracował jak wariat – oddziałowy żart – ponieważ wynik rankingu wprowadził cały szpital w jakąś gorączkę. Przez cały dzień, pomiędzy obchodami, odbierał telefony i gratulacje. Stan Donalda Perino był stabilny, choć rana na głowie wymagała trzech szwów.

Odruchowo spojrzął na stojący na biurku zegar, który wskazywał piątą piętnaście, i pomyślał o Maksie, niewątpliwie robiącym to samo gdzieś na drugim końcu miasta. Martwił się o niego i o Renée Bevilacqua. Przypomniawszy sobie słowa Arthura, że pacjenci z nerwicą natręctw rzadko bywają agresywni, i postanowił nie zaprzętać sobie tym głowy. Włączył komputer i zalogował się na swoją pocztę. Chciał do niej zajrzeć przed wyjściem na drinka z pracownikami. Większość już poszła świętować.

Przejrzał adresy nadawców i tytuły wiadomości, uznał, że żadna nie wymaga natychmiastowej odpowiedzi. Podążył wzrokiem ku oknu z widokiem na burzowe chmury i helikoptery lądujące na dachu, przedostawały się przez nie promienie późnopołudniowego słońca. Mimo że miał najlepsze biuro na całym piętrze, i tak była to klitka, gdzie ledwie mieściły się: biurko z niezidentyfikowanego drewna, dwa brązowe fotele ze sztucznej skóry i także kanapa. Dywan był szarozielony, a ściany w kojącym miętowym kolorze obwieszane dyplomami, certyfikatami i nagrodami, chociaż Eric nie lubił się popisywać. Caitlin nalegała, żeby wszystko oprawił i wyeksponował. Popisywała się w jego imieniu.

„Trzeba się umieć wypromować”, powtarzała.

Wyjrzał przez okno, aby odgonić myśli o Caitlin. Powstrzymał się przed zadzwonieniem do niej z wiadomością o sukcesie. Jego wzrok padł na regał pełen podręczników medycznych i psychiatrycznych, czasopism branżowych, setki tomów na temat psychiatrii i neurobiologii. Eric żył w sferze intelektu i to było widać. Popatrzył na znajomą fioletową okładkę DSM, w którym skategoryzowano wszystkie psychiczne i emocjonalne zaburzenia dręczące ludzkość. Czy złamane serce to jedno z nich? – pomyślał. A może wszystkie?

Nadal nie podjął ostatecznej decyzji w sprawie opieki nad Hannah. Nie umiał zatrzymać natłoku myśli. Zajęcie drugiego miejsca w rankingu szpitali, a także sytuacja z Perino powstrzymały go przed rezygnacją z pracy. Uwielbiał ten szpital, był tutaj potrzebny. Pamiętał o obietnicy złożonej Susan – miał do niej dziś zatelefonować i poinformować o swoich planach. Do drzwi gabinetu zapukał Sam.

– Hej, ordynatorze. Wychodzimy opić zwycięstwo. Idziesz z nami?

– Chyba powinienem. – Nie utrzymywał towarzyskich relacji z pracownikami, starał się zachować profesjonalny dystans, lecz tego dnia postanowił uczynić wyjątek.

– Oczywiście. – Sam zrobił zdziwioną minę. – Jesteś gościem honorowym. Oraz moją wymówką. Powiedziałem w domu, że muszę iść na imprezę zorganizowaną na cześć szefa. Jak będę wyglądał, jeśli szef nie przyjdzie?

– Z czego się wywinąłeś? – Eric wylogował się z poczty. Zadzwoń do Susan wieczorem.

– Z meczu. Seth grywa w poniedziałki. Ale mogę się spóźnić.

– Ile on już ma lat? – Pomyślał o swoim – nienormalnym według niektórych – dziecku, które nie lubiło sportu. Wstał, sprawdzając, czy ma w kieszeni klucze i telefon komórkowy.

– Pięć. Trochę za mały, żeby dobrze grać w T-ball, ale uwielbia to. Ja w jego wieku też uwielbiałem małą ligę. Podobnie jak mój brat. Wardowie tak mają. – Otworzył drzwi. – Chodź, wszyscy na nas czekają.

– Dobra, jestem ci winien drinka. Uratowałeś mi dupsko przed Perino. – Eric wyszedł pierwszy, Sam podążył za nim.

– Nie ma sprawy. Poczuję to jutro w kręgosłupie.

– Ha! Ja już czuję. – Eric zamknął drzwi do gabinetu.

– Nie rozpoznał nowej pielęgniarki, stąd ten atak.

– Też tak myślę. – Na korytarzu panowała cisza, była pora obiadowa i pacjenci przebywali na stołówce. Eric pomachał pielęgniarkom na dyżurze. – Martwi mnie jego stan. Bierze rysperydon na stany psychotyczne i fluoksetynę na depresję, prawda?

– Tak.

– Nie reaguje na leczenie. Pogarsza mu się. Pobudzenie może być skutkiem ubocznym zażywania rysperydonu. – Wyszli z oddziału przez przedsionek łączący podwójne drzwi.

– Podejrzewasz akatyzię?

– Tak – odpowiedział z namysłem. Akatyzią była częstym objawem niepożądanym u osób zażywających rysperydon. Wiązała się z pobudzeniem ruchowym, trudnym do zniesienia niepokojem i rozdrażnieniem. Często wywoływała napady agresji.

– Chyba to nie wchodzi w grę. Nie zaobserwowaliśmy objawów pobudzenia ruchowego: chodzenia w miejscu, częstego wstawania i kładzenia się ani postukiwania.

– Mówi, że jest niespokojny.

– Z powodu urojeń, że jest ścigany przez CIA. Poza tym nadal słyszy głosy. W moim przekonaniu niepokój jest jednym z objawów psychozy, a nie skutkiem ubocznym leku – oświadczył zdecydowanie Sam.

– Chcesz mu nadal podawać rysperydon i fluoksetynę?

– Tak, nie chcę przerywać leczenia bardzo chorego pacjenta.

Eric wyczuł u kolegi podobny niepokój, jaki odczuwał w związku z Makssem.

– Dobra. Znasz go lepiej niż ja, to twój pacjent.

– Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa związanego ze skutkami ubocznymi, ale nie możemy być aż tak zachowawczy, aby nie udzielić mu pomocy.

– Racja. – Po wejściu do windy nie kontynuowali tematu, zapadło między nimi przyjazne milczenie. Nie rozmawiali o pacjentach poza oddziałem, ponieważ obowiązywała ich dyskrecja. Personel gawędził swobodnie między sobą. Winda zatrzymała się na parterze, wyszli z budynku szpitala i przeszli na drugą stronę ulicy do niewielkiego centrum handlowego, gdzie mieściły się: siłownia, sklep monopolowy i spożywczy oraz najbliższy wodopój pracowników szpitala, Thatcher's, jeden z ostatnich niezależnych lokali w świecie zdominowanym przez sieciówki.

Eric wszedł pierwszy przez szklane drzwi. Jego wzrok chwilę przyzwyczajał się do ciemności. Duża sala na planie prostokąta ze staroświeckim drewnianym barem była pełna pracowników pobliskiej firmy komputerowej, niechlujnych menedżerów niższego szczebla w koszulkach polo

z logo firmy. Kobiety z odświeżonym makijażem i laminowanymi identyfikatorami na szyjach chętnie z nimi flirtowały.

– Co za sceneria – szepnął do Sama.

– Podmiejscy single.

– Boże, oszczędź mi tego. Pilnuj swojej żony, Sam. – Skierowali się do części restauracyjnej, gdzie Eric ujrzał swój personel. Wszyscy ubrani w służbowe fartuchy, siedzieli roześmiani przy dużym stole zastawionym jedzeniem: skrzydełkami, pałeczkami z mozzarelli, kanapkami i dzbankami z piwem. Zdał sobie sprawę, iż żywi do nich jakiś rodzaj plemiennej miłości. Był ich wodzem. Powitali go szerokimi uśmiechami i oklaskami. Miał zamiar ich ostrzec, aby nie wspominali w miejscu publicznym o drugim miejscu w rankingu, lecz wpadł na lepszy pomysł.

– Hej, dzieciaki! – zawołał i uniósłszy prawą rękę, pokazał trzy środkowe palce. – Co to jest?

– Co, szefie? Nie wiem! Pokazujesz nam środkowy palec? – rozległy się głosy.

– To „W”! – odpowiedział ze śmiechem. – Jak Wright.

– Wright! Wright! Wright! – skandowali, po czym wybuchnęli śmiechem. Potem były przemówienia i gratulacje.

Eric usadowił się w pobliżu Sama, Jacka i Davida, unikał kontaktu wzrokowego z Kristine, pił ciepłe piwo, jadł średnio smaczne skrzydełka w sosie barbecue, zabawiał towarzystwo kiepskimi dowcipami. Od dawna nie śmiał się tak serdecznie. Zauważył, że Jack flirtuje z Kristine, i szybko się odwrócił. Pozwolił sobie zapomnieć o Caitlin, o prawnikach, Maksie, a nawet o ukochanej córce. Kupił mnóstwo jedzenia i dwie kolejki drinków. Kiedy się zegnał, poczuł ucisk w gardle, którego nie spowodowało wypicie kilku wodnistych piw.

Po wyjściu z baru zaczerpnął ciepłego, wieczornego powietrza zepsutego dymem papierosowym przez grupkę stojącą na chodniku. Przeszedł na drugą stronę ulicy i wyjął telefon. Spojrzał na wyświetlacz – była ósma czterdzieści osiem. Hannah chodziła spać o dziewiątej, miał jeszcze czas, żeby do niej zadzwonić i powiedzieć dobranoc. Idąc w stronę szpitalnego parkingu, czytał e-maile. Wszedł na pierwsze piętro betonowej konstrukcji parkingu, gdzie znajdowały się miejsca zarezerwowane dla ordynatorów i dyrekcji szpitala. Zablokował telefon, schował go do kieszeni i sięgnął po kluczyki.

– Hej, Eric. – Popatrzył ze zdziwieniem. Obok jego samochodu stała Kristine. Z rozmazanym makijażem wydawała się nawet ładniejsza. Zdjęła blezer, który miała na sobie w pracy, potem w barze. Krótka czarna sukienka pięknie podkreślała doskonałą figurę, zgrabne nogi i czarne szpilki dopełniały całości. Wyglądała sexy. Eric przypomniał sobie, że nie jest martwy od pasa w dół.

– O, cześć, Kristine. Jak się tu dostałaś? Widziałem cię w barze, kiedy wychodziłem.

– Wymknęłam się niepostrzeżenie, chciałam z tobą porozmawiać. Od miesiąca usiłuję z tobą pogadać na osobności. – Zaciśnęła usta. – Nie zwracasz na mnie uwagi, choć tak bardzo się staram, a za tydzień kończę staż.

– Och, zwracam na ciebie uwagę – wyrwało mu się.

– Dlaczego nie odpowiedziałeś na mojego SMS-a? – Zbliżyła się do niego o krok, patrząc mu prosto w oczy z szelmowskim uśmiechem.

– Hm – zaczął Eric. – Miałem zamiar omówić z tobą dziś przypadek Jacobsa, ale przez to, co się stało z Perino...

– Dobrze wiesz, że Jacobs był tylko pretekstem. – Postąpiła krok naprzód. – Chciałam porozmawiać o nas.

– O nie. Nie ma żadnych nas. – Cofnął się.

– Na razie nie.

– Kristine, to wykluczone.

– Dlaczego? – Dziewczyna zamrugła, wyglądała na rozbawioną. – Oboje jesteśmy samotni. Wiem, że ci się podobam. Nie zaprzeczaj.

Ericowi zaschło w ustach.

– Nie o to chodzi.

– To o co chodzi?

– Pracujesz na moim oddziale.

– Jeszcze tylko przez tydzień. Poza tym wiesz, ile osób ze sobą sypia na tym twoim oddziale? Co to za różnica, że ze sobą pracujemy? – Patrzyła na niego przeszywającymi błękitnymi oczami, kryło się w nich pytanie, z ust nie schodził uśmiech.

– Istnieje między nami nierównowaga sił.

– Wiem, ale nic na to nie poradzę. – Musnęła rękaw jego koszuli opuszkami palców. – Mam nad tobą władzę. Potrafisz się z tym pogodzić?

Nie mógł zaprzeczyć silnej reakcji na jej bliskość i dotyk. Wspaniale pachniała. Nie powinien był pić.

– Nie, to nie w porządku.

– Popęlniasz błąd.

– Nie. – Zbliżył się do samochodu. Kristine stanęła na palcach, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta, zanim zdążył zareagować. Chwycił ją za ramiona i odsunął. – Kristine, nie. Posłuchaj mnie. Nie możemy tego zrobić.

– Zastanów się jeszcze. O nic więcej nie proszę – zawołała, kiedy odjeżdżał.

ROZDZIAŁ 17

– Cześć, córeczko. – Przejeżdżał przez garaż z telefonem przy uchu, wypatrując Kristine przy jedynym wyjściu dla pieszych. Nie było jej.

– Tatusiu, wiedziałam, że zadzwonisz!

– Przepraszam, że tak późno. Leżysz już w łóżeczku? – Opuścił szybę i wsunął kartę otwierającą szlaban. Spodziewał się, że usłyszy stukot obcasów Kristine, ale wokół panowała kamienna cisza.

– Tak, wyłączyłam światło, ale telefonu nie. Mamusia mi pozwoliła poczekać jeszcze pięć minut.

Ścisnęło go w dołku na myśl o Caitlin. Odłożył kartę i czekał na uniesienie szlabanu.

– Nie będziemy długo rozmawiać. Słyszę, że jesteś już śpiąca. Chciałem ci tylko powiedzieć, że cię kocham, i życzyć kolorowych snów.

– Ja też ciebie kocham.

– Jak nóżka? Lepiej?

– Tak. Zawieziesz mnie jutro do szkoły?

– Jasne, ale pamiętasz, że nie zobaczymy się wieczorem? Idziesz z mamusią na urodziny kuzynki Rebekki. – Wyjechawszy z garażu, skręcił w lewo. Upewnił się, czy nikt za nim nie jedzie – był sam. Nie wiedział, czy Kristine przyjechała do pracy samochodem, nie wszyscy stażyści je mieli.

– Mamusia powiedziała, że jutro będzie ostatni raz.

– Czekaj, co ty mówisz? – Nie rozumiał. Rozproszyły go myśli o Kristine.

– Mamusia mówi, że jutro ostatni raz zawieziesz mnie do szkoły.

– Nie, nie ostatni. – Zatrzymał się na czerwonym świetle i zerknął, czy Kristine nie przechodzi przez ulicę dzielącą parking od baru. Było zbyt ciemno, aby mógł cokolwiek dostrzec. – Zawsze odwożę cię do szkoły we wtorki i czwartki i tak pozostanie.

– Mamusia mówi, że nie – odparła ze smutkiem Hannah.

– Naprawdę? – Miał nadzieję, że coś źle zrozumiała, ale intuicja podpowiadała mu, że jest problem. Zawoził Hannah do szkoły w każdy wtorek i czwartek, odkąd zaczęła pierwszą klasę, ponieważ zaczynała lekcje stosunkowo późno, o ósmej dwadzieścia. Dzięki temu Caitlin nie spóźniała się do pracy, a on mógł spędzić trochę czasu z córką. Jedli razem śniadanie, pakował jej kanapki do szkoły – cały ten poranny rytuał był dla nich obojga bardzo ważny. Eric nie zamierzał z niego rezygnować.

– Dlaczego nie możesz mnie już wozić do szkoły, tatusiu?

– Nie jestem pewien, córciu. – Walczył z pokusą zrzucenia winy na Caitlin. – Porozmawiam z mamą, dobrze? Poprosisz ją do telefonu?

– Mamusiu! Mamo! Tatuś chce z tobą rozmawiać! – zawołała. W słuchawce rozległy się szmery i krótka wymiana zdań między matką a córką. Eric nie rozróżniał słów. – Tatusiu, mama mówi, że nie może teraz podejść do telefonu i powinieneś zadzwonić do swojej przyjaciółki.

– Do jakiej przyjaciółki?

– Susan. Ona nie jest twoją przyjaciółką?

– Aha. Tak, jest. – Zagotował się ze złości. Susan była jego przyjaciółką za trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Nacisnął pedał gazu i włączył się do ruchu. – Dobrze, nie martw się. Wyjaśnimy to sobie z mamą. Do zobaczenia jutro rano, o tej samej porze co zwykle.

– Lubię, kiedy zawozisz mnie do szkoły.

– Ja też bardzo to lubię. – Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Bardzo żałował rozstania z Caitlin. Rozwód to jedno, ale najgorsze jest patrzeć na krzywdę dziecka.

– Zjemy jutro jajka z keczupem?

– Tak, zrobimy sobie ucztę.

– Hurra! Mamusia każe mi kończyć. Dobranoc, tatusiu. Kocham cię.

– Kocham cię, skarbie. Śpij dobrze.

– Nie powiesz „kolorowych snów”? Zawsze to mówisz.

– Ups. Kolorowych snów, kochanie. Dobranoc. – Rozłączył się i wybrał numer Susan. Trzymał kierownicę jedną ręką i patrzył na drogę, opuszczając teren szpitalnych zabudowań, ale w głowie miał gonitwę myśli. Podjął decyzję w sprawie opieki nad córką.

– Eric? Dobrze, że dzwonicz – powiedziała Susan.

– Cześć. Posłuchaj, zdecydowałem. Chcę złożyć wniosek, żeby Hannah zamieszkała ze mną, ale nie jestem jeszcze gotowy, by zrezygnować z pracy w szpitalu. Pospieszyłem się z tym.

– Kurczę, brzmisz jakoś inaczej.

– Jestem wściekły, ot co. – Przystanął na czerwonym świetle. – Hannah powiedziała mi przed chwilą, że nie będę mógł odwozić jej rano do szkoły. A przy okazji – Caitlin się z kimś spotyka.

– Wiem, rozmawiałam dziś z Danielem. Właśnie miałam ci powiedzieć. Była bardzo niezadowolona z twojej niezapowiedzianej wizyty.

– A powiedziała, że nie powiadomiła mnie o wizycie na pogotowiu? Po tym, gdy Hannah skręciła kostkę, grając w głupi softball? Martwiłem się. Dzwoniłem, ale nie odbierały telefonów. – Wpatrywał się w czerwone światło i słuchał samego siebie z niesmakiem. W jego głosie brzmiała ta sama zaciętość, którą słyszał u swoich pacjentów z problemami w związkach. Prawie zawsze pierwsze po pomoc zgłaszały się kobiety. Nie zdawały sobie z tego sprawy, przychodząc, ale większość z nich, o ile nie wszystkie, szukała wsparcia w podjęciu decyzji o rozwodzie. Uświadomił sobie, że Caitlin, podobnie jak te kobiety, zbierała odwagę do odejścia, szukała pretekstu, chciała się od niego uwolnić.

– Spokojnie, Ericu. Nadchodzą zmiany.

– Na przykład jakie? – Usiłował się opanować. – Takie, że nie mogę już odwozić córki do szkoły?

– To jedna z nich.

– Ale dlaczego? Chcę tylko odwozić własne dziecko do szkoły, tak jak to robię, odkąd poszła do pierwszej klasy.

– Nie zapewniliśmy ci tego przywileju w umowie.

– Poważnie? – Światło zmieniło się na zielone i Eric nacisnął pedał gazu. – Ilu jeszcze rzeczy nie zapisaliśmy w umowie?

– Nie biorę za to odpowiedzialności – oświadczyła Susan sucho. – Podpisaliśmy standardową umowę określającą zasady wspólnej opieki nad dzieckiem, które do tej pory oboje ignorowaliście. Teraz Caitlin zaczęła się do niej ściśle stosować. Innymi słowy, wasze nieformalne ustalenia stały się nieaktualne. To dość typowe.

– Co masz na myśli, mówiąc „typowe”? – Znów kipiał ze złości. Zjechał na sąsiedni pas, jechał do swojego domu na przedmieściach, zostawiając za sobą neonowe reklamy wielkiego miasta.

– Do tej pory byliście dosyć zgodni w sprawie opieki nad Hannah, w rzeczywistości nie potrzebowaliście formalnych ustaleń. Odwiedzałeś małą w domu, spędzałeś z nią tam dużo czasu, dlatego byłeś gotów zrezygnować z zabierania jej do siebie na noc, prawda?

– Prawda. Wolałem, żeby sypiała we własnym łóżku w ciągu tygodnia.

– Cóż, rozmawiałam z Danielem. Caitlin nie chce, żebyś bywał w domu pod jej nieobecność, używał jej naczyń, a potem odwoził Hannah do szkoły.

– Mogę ją zabierać na śniadanie do jakiejś kafejki. Nie ma problemu. Lubię wcześnie wstawać, moja córka także.

– Nie jest tak, jak myślisz.

– Jak to nie? – Poczul ucisk w klatce piersiowej, którego nie miał od lat. Zdał sobie sprawę, że jest zbyt rozkojarzony, by prowadzić, więc zjechał na najbliższy parking, zostawiając włączony silnik i klimatyzację.

– Musimy się skupić na faktach, tak jak robi to sąd. Żądania twojej eks są sensowne. Oboje wiemy, że kogoś ma, być może pewnego dnia zamieszkają razem. Obecna umowa jest dość konwencjonalna...

– Chcę ją zmienić. Zdecydowanie. Chcę zostać głównym opiekunem Hannah.

– Nie podejmuj tej decyzji zbyt pochopnie, Ericu.

– Susan, ja niczego nie robię pochopnie. W całym swoim życiu nie podjąłem ani jednej pochopnej decyzji. – Pomyślał o odrzuceniu zalotów Kristine. Każdy inny mężczyzna na jego miejscu przyparłby ją wtedy do samochodu.

– A więc przemyślałeś to przez weekend?

– Nie robiłem nic innego, tylko o tym myślałem. Każda decyzja, którą podejmuję, jest rozważana bez końca i ze wszystkich stron. Biorę pod uwagę wszystkie za i przeciw, zbieram dane, rozważam wpływ rodziny, pochodzenia, sprawdzam ciśnienie, robię badania krwi i przyglądam się częstotliwości swoich wypróżnień.

Susan zachichotała.

– Zabawnie się złościysz.

– Nie widzę nic zabawnego w tym, że moja żona usiłuje mnie usunąć z życia naszej córki. Jeżeli tak ma wyglądać przyszłość, rozpoczynam starania o uczynienie mnie głównym opiekunem.

– W porządku. Przygotuję papiery, prześlę je Danielowi i wyślę ci kopie. Dobrze by było się z tym uwinąć, zanim sąd zatwierdzi poprzednią umowę.

– Do roboty. – Nie miał wątpliwości, że postępuje słusznie. Pomoże Hannah przez to przejść. Miał wrażenie przekroczenia granicy, zza której nie ma powrotu. – Co do pracy w szpitalu: nie chcę z niej na razie rezygnować. Co ty na to?

– Możesz z tym poczekać. Zaproponowałeś, że zrezygnujesz, a ja się zgodziłam, ponieważ ułatwiłbyś mi pracę. Ale co byłby ze mnie za prawnik, gdybym wygrywała tylko łatwe sprawy?

– Świetnie.

– Tymczasem stosujemy się do warunków umowy. Zabieraj Hannah do siebie w wyznaczone dni.

– Zgoda. Ma u mnie nocować w te dni, które ustaliliśmy?

– Tak. Według ustaleń masz ją potem zawozić do szkoły, a więc nie stracisz swoich poranków z dzieckiem.

– Słuszna uwaga – odparł z namysłem. – Wtorkowe i czwartkowe poranki na zmianę plus dwa weekendy w miesiącu.

– Dokładnie. Stosuj się do terminów i godzin opisanych w umowie. Caitlin sądziła, że tylko ty stracisz czas z córką, ale to nieprawda. Ona także musi się dostosować.

– To brzmi jak wypowiedzenie wojny. A Hannah jest w samym środku.

– Musisz się z tym pogodzić, Ericu. Radzę ci, żebyś ją zabierał nie tylko dlatego, że w ten sposób spędzisz z nią więcej czasu, ale także z tego powodu, iż zyskasz tym przychylność sądu. Nie wyglądałbyś dobrze, gdybyś domagał się częstszego kontaktu z dzieckiem, nie korzystając z tego, który już masz zapewniony.

– Okej, rozumiem, o co chodzi.

– No właśnie. Nie chcemy, żeby ktoś zarzucił ci brak zainteresowania, ponieważ nie zabierałeś dziecka do siebie wtedy, kiedy miałeś szansę.

– Racja. Poza tym wakacje za pasem – powiedział z ulgą. – Już pomalowałem jej pokój.

– Dobrze. Nie wdawaj się w dyskusję z Caitlin, kiedy jutro rano pojedziesz po Hannah. Powiedziała Danielowi, że woli, aby wszelkie ustalenia odbywały się za pośrednictwem prawników. I niech tak będzie, skoro przestaliście się dogadywać.

– Dobra. – Całe jego zawodowe życie opierało się na przekonaniu, że rozmowa ma moc leczącą i pomaga rozwiązywać problemy, tymczasem miał nie rozmawiać z własną żoną o najważniejszej sprawie w życiu.

– Pamiętaj, ani słowa o tym, że masz zamiar złożyć wniosek o przejęcie opieki. Bądź dla niej miły, udawaj, że współpracujesz. Zamierzam oprzeć swoją strategię na zaskoczeniu przeciwnika. Mam nadzieję, że zdążę przekazać papiery Danielowi jeszcze w tym tygodniu.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – Poczul ucisk w żołądku. Mimo całej złości na Caitlin, nie czuł się dobrze, spiskując za jej plecami. Przez minutę był całkowicie rozkojarzony, wkraczał na nieznane terytorium.

– Żarty się skończyły, Ericu. Wygrana przede wszystkim. Złożę wniosek przed weekendem, niech się martwi przez całą sobotę i niedzielę.

– Nie rozumiem, w jaki sposób jej zamartwianie się ma nam pomóc wygrać. – Przetarł twarz ręką. Caitlin stawiała się jego wrogiem. Nigdy wcześniej nie miał wroga, tym bardziej w ukochanej osobie. Żonie.

– Wytrącenie przeciwnika z równowagi zawsze pomaga. Bierność nie gwarantuje wygranej. Aby wygrać, musisz kogoś pokonać, zdominować jeszcze przed wejściem na salę sądową. Zwłaszcza swoją żonę, która jest zastępcą prokuratora, na litość boską. Ona wygrywa zawodowo i kocha Hannah tak samo mocno jak ty.

– Masz rację, ale jej nie lubi, chociaż nigdy do tego się nie przyzna nawet przed sobą, a co dopiero w sądzie. – Nagle po raz pierwszy stawiał czoło prawdzie. – Hannah nie jest dzieckiem, jakiego by chciała. Po prostu.

– Proszę bardzo. – Susan trzymała rękę na pulsie. – Na razie ma nad nami przewagę. Kontroluje sytuację, izoluje ciebie. Musimy coś zrobić, żeby przechylić szalę na naszą stronę. W takich sprawach zawsze chodzi o władzę. Trzeba wyrównać szanse.

Przypomniał sobie niedawną rozmowę z Kristine, która twierdziła, że ma nad nim przewagę. Teraz Susan mówi o konieczności przejęcia kontroli. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się, kto dzierży władzę w ich małżeństwie. To bardzo dziwne, zwłaszcza w kontekście jego pracy, analizował

przecież podział władzy u par, którym doradzał. Ale w odniesieniu do niego i Caitlin była to jakaś abstrakcja.

– Hannah będzie z tobą w ten weekend?

– Tak.

– A więc zabierasz ją w piątek po szkole i odwozisz w niedzielę przed siódmą. Zawiadomię ich o tym podczas wręczania pozwu, ty nie musisz. Rozumiesz? Pamiętaj, żeby być punktualnym. Sędziowie nie lubią spóźnień.

– Nigdy się nie spóźnię.

– Dobrze, że Hannah będzie z tobą, kiedy Caitlin dostanie pozew. Uniknie przykrew atmosfery w domu.

– Tak. – Poczł się bezpieczniej, wiedząc, że Susan ma na uwadze dobro Hannah. – Chciałbym ograniczyć do minimum jej udział w całym zamieszaniu. Tak czy inaczej, na pewno zauważy konflikt między mną a Caitlin, zwraca uwagę na takie rzeczy, i będzie się zamartwiać.

– Mam tego świadomość. Na koniec chciałabym cię prosić, żebyś się zachowywał przyzwoicie.

– Nie mogę już bardziej.

– Wiesz, o czym mówię. Sąd dowie się o każdym fałszywym kroku. Umawiasz się z kimś?

– Nie.

– Tak trzymaj. Kartoteka ma być czysta.

– Jasne. – Pogratulował sobie wstrzemięźliwości wobec Kristine.

– Nie musisz być samotny do końca życia – dodała Susan.

Bingo, pomyślał Eric.

ROZDZIAŁ 18

4. Szybko rozpoznaję, co kieruje innymi ludźmi:

- a) tak
- b) czasami
- c) nie

No dobrze, zatem nie wszystko toczy się zgodnie z planem. Atak wściekłości mam już za sobą. Rzut najlepszym dżojstikiem o ścianę i rozbita obudowa.

W głębi duszy nadal czuję złość. Zżera mnie od środka niczym stado szczurów.

Jak brzmi *Modlitwa o cierpliwość*? Trzeba się dowiedzieć, na co ma się wpływ, i odpuścić to, na co się nie ma wpływu. W każdym razie coś w tym rodzaju.

Dobrze, zatem nie mam kontroli nad wszystkim.

Ewidentnie popełniam błędy.

Błędna ocena sytuacji. Nie udało się, nie chwycił przynęty.

Wkurza mnie to niemiłosiernie. Chodzę w tę i z powrotem po sypialni, zaraz wydepczę ścieżkę w drewnie. Albo zamienię się w ludzką piłę łańcuchową, przerznę na pół podłogę, a potem całą ziemię i wpadnę w tę dziurę, płonąc żywcem.

Moja pewność, że wiem o nim wszystko, runęła w konfrontacji z rzeczywistością.

To będzie o wiele trudniejsze, niż wyglądało na początku.

W pewnym sensie odczuwam zadowolenie. Krew szybciej krąży. Spróbuję się skoncentrować na tej części mnie, która docenia wyzwanie. Która pragnie godnego adwersarza, nie kogoś, kogo można zmiażdżyć jednym ruchem.

Nie ma w tym zabawy, a ja robię to wszystko także dla zabawy.

Nikt nie lubi, kiedy gra się kończy, nawet zwycięzca.

Dlatego zaczynamy kolejną grę, próbujemy przejść na wyższy poziom, gramy godzinami do późna w nocy.

Nie chcemy, żeby gra dobiegła końca.

Kończę swój nerwowy spacer po sypialni.

Czuję się o wiele lepiej, znów jestem sobą.

Gra nadal trwa. Naprawdę umiem rozszyfrowywać ludzi. Zawsze tak było. Nigdy nie sprawiało mi to trudności, nawet w dzieciństwie. Dlatego tak dobrze mi szło w szkole podstawowej, moim ulubionym przedmiotem była matematyka. Dobre stopnie przychodziły bez wysiłku, bez nauki. To akurat zawdzięczam inteligencji, ale świetne stopnie wynikały z czegoś innego. Z socjopatycznej osobowości.

Byłem dzieciakiem, który gdy zasłużył na piątkę z minusem, dostawał piątkę. Kiedy należała mi się piątka, nauczyciel stawiał piątkę z plusem. Za odpowiedzi na pytania dodatkowe przyznawano mi

wszystkie punkty, nie część. Oceny zawsze zawyżali na moją korzyść.

Dlaczego?

Nauczyciele mnie lubili. Od piątej klasy było dla mnie jasne, czego oczekują. Chcieli, żebyśmy siedzieli cicho i robili, co nam każą, kiedy nam każą. Innymi słowy, mieliśmy nie być dziećmi.

Dotarło to do mnie w piątej klasie podczas lekcji matematyki prowadzonej przez panią Cushing, której lewa ręka kończyła się na wysokości łokcia, więc wsuwała pusty rękaw w kieszeń, jak nieistniejącą dłoń. Tego roku do szkoły przyjęto wyjątkowo dużą liczbę dzieciaków. Pani Cushing miała w klasie trzydziestu pięciu uczniów, o siedemnastu więcej, niż zdołałby okiełznać nauczyciel posiadający obie ręce.

Policzcie sobie sami.

Było nas tak dużo, że nie mieściliśmy się w budynku. Niektóre lekcje mieliśmy w klasach mobilnych, czyli przyczepach bez klimatyzacji.

Pod koniec roku szkolnego nadeszła fala upałów. W godzinach popołudniowych nasze mobilne klasy nagrzewały się do czterdziestu stopni, wszyscy się gotowaliśmy, a najbardziej pani Cushing, która nie mogła zdjąć żakietu, ponieważ podtrzymywał jej niewidzialną dłoń. Ciągłe podejmowała daremny trud, żeby zapanować nad Rickym Weissbergiem, przywódcą klasowych łobuzów, wiecznie przeszkadzającym na lekcjach. Tak było codziennie, bolała mnie od tego głowa. Ricky nie należał do moich ulubieńców.

Natomiast matematyka mnie interesowała.

Pewnego dnia na przerwie obiadowej wypił colę wzmocnioną przeze mnie środkami uspokajającymi matki. Nie pokazał się tego dnia na matematyce. Ani żadnego innego.

Ricky przestał istnieć dla mnie i dla pani Cushing.

Nie wiem, co się z nim stało. Nie wrócił już do szkoły przed jej zakończeniem. Reszta dzieciaków uspokoiła się, kiedy nikt ich nie zachęcał do złego zachowania. Pani Cushing odzyskała kontrolę nad klasą, a fala upałów minęła.

Co do mnie, mam piątkę z plusem z matematyki na świadectwie z piątej klasy.

ROZDZIAŁ 19

Wcześniej rano we wtorek Eric czekał przed drzwiami, kiedyś swoimi, a teraz już „byłymi” drzwiami. Stał na wycieracze zamówionej przez Caitlin w sklepie Williams-Sonoma. Podobno była zrobiona z włókien kokosowych i kosztowała dwieście dolarów. Pamiętał, że uznała tę cenę za wyjątkowo korzystną. Nie mógł się z nią zgodzić, ale uważał jej pragnienie posiadania wycieraczki do butów z włókien kokosowych za urocze. Kiedyś uważał za urocze wszystko, co robiła. Cóż, już tak nie myślał. Jak widać, zastąpił go ktoś inny.

– Dzień dobry, Ericu. – Caitlin otworzyła drzwi. Wyglądała tak ładnie i świeżo, iż musiał sobie stanowczo przypomnieć, że już jej nie kocha. Włosy miała starannie ułożone w gładki kucyk, na sobie granatową sukienkę i niebiesko-czerwoną marynarkę. Rozpoznał w tym zestawie jeden ze strojów służbowych, które wkładała, idąc do sądu. Zastanawiał się, czy wybierze ten na rozprawę w sprawie opieki nad Hannah.

– Dzień dobry, mogę wejść? – zapytał mechanicznie, dbając o zasady dobrego wychowania.

– Tak, proszę – odpowiedziała grzecznie i bezosobowo. Wpuściła go do środka, podniosła ze stolika szykowną torebkę oraz kluczyki do samochodu. – Właśnie wychodzę – poinformowała go chłodno. – Hannah wspominała, że będziecie smażyć jajka. Proszę, żebyście po sobie posprząтали i nie zostawiali naczyń w zlewie.

– Dobrze. – Eric nigdy w życiu nie zostawił po sobie brudnych naczyń w zlewie. Mijając ją, zachował duży dystans, byli jak zawodnicy na małżeńskim ringu. Powstrzymywali się od zadawania ciosów, świadomi utkwionego w nich wzroku jedyne go świadka, który siedział przy kuchennym blacie.

– Cześć, tatusiu! – Hannah posłała mu zmęczony uśmiech znad szklanki soku pomarańczowego. Nalała także dla niego i jak zwykle nakryła do stołu, ale nie przybiegła, żeby się przytulić.

– Nie zapomnij o keczupie, kochanie! – zawołał z przesadną wesołością. Caitlin ruszyła do drzwi, pobrząkując kluczami.

– Zamknijcie za sobą. Użyj kluczy Hannah, a potem zostaw je w garażu.

– Dobrze. – Nie miał pojęcia, czemu mówi mu o rzeczach oczywistych.

– Miłego dnia, Ericu – rzuciła i pomachała Hannah na pożegnanie. – Pa, kochanie! Baw się dobrze w szkole. Odbiorę cię ze świetlicy.

– Pa, mamusiu! – Dziewczynka zaczęła wstawać. Eric stał z przyklejonym do twarzy uśmiechem, dopóki Caitlin nie zatrzasnęła za sobą drzwi. Szybko rozejrzał się po kuchni. Wspólnie wybierali płytki podłogowe w stylu meksykańsko-rustykalnym, biało-niebieskie granitowe blaty, białe szafki, błękitny kolor ścian, ramy dużego okna nad zlewem. Kuchnia była sercem ich wspólnego domu, ale te czasy minęły. Nagle zrozumiał, dlaczego nie powinien tu przyjeżdżać na śniadania, jak gdyby nic się nie zmieniło.

– Cześć, ślicznotko. – Zmierzwiał włosy córki i pocałował ją w czubek głowy. – Jajecznicza czy

sadzone?

– Może być jajecznica? – Dziewczynka zamrugła i poprawiła okulary. Miała smutne spojrzenie i lekko opadnięte kąciaki ust. Mimo wszystko wyglądała uroczo w różowej bluzeczce, dzinsowych szortach i różowych conversach.

– Pewnie. – Zastanawiał się, co ją gryzie. Może dowiedziała się o przewodniczce. – Wszystko dobrze?

– Uhm.

Postanowił dać córce czas i przestrzeń na zwierzenia, bez zbędnego wypytywania.

– Kto dziś gotuje, ty czy ja?

– Ja gotowałam ostatnio, więc teraz twoja kolej. – Poszła do spiżarni po keczup.

– Dobrze. – Wyjął z lodówki jajka, masło i mleko śmietankowe, sekretny składnik, dzięki któremu jego jajecznica była taka pyszna. Caitlin nie lubiła przyrządzonych w ten sposób jajek, narzekała na zbędne kalorie, ale dziś mógł zaszaleć. – Jak noga?

– Dobrze, już nie potrzebuję opatrunku. – Postawiła keczup na stole stanowczym gestem.

– Już nie boli?

– Prawie wcale.

– Dobrze spałaś? – zapytał, zrzucając krawat na plecy, żeby go nie ubrudzić podczas smażenia.

Wyjął z szuflady nóż, odkroił kawałek masła, wrzucił na patelnię i włączył kuchenkę.

– Dobrze.

– Jesteś przygotowana do szkoły?

– Tak.

– Za tydzień wakacje, co?

– No.

– Super. – Wbił jajko do miski i podał Hannah ociekającą białkiem skorupkę. Lubili grać w skorupkowego golfa, który polegał na celowaniu skorupkami do zlewu. – Chcesz wcelować?

– Nie. – Pokręciła głową.

– Czemu nie?

– Po prostu nie.

– To patrz na mistrza. – Odwrócił się w stronę zlewu i trafił skorupką prosto w otwór odpływu. –

Widziałaś to? Strzał w dziesiątkę.

Dziewczynka zachichotała. Uśmiechnął się z zadowoleniem, szczęśliwy, że zdołał ją na chwilę wyrwać z ponurego nastroju.

– Robota pali mi się w rękach. – Wbił resztę jajek i wyrzucił skorupki. – Dobrze się czujesz, bąbelku? Jesteś dziś bardzo cichutka.

– Próbuję taka być.

– Po co?

– Dlatego że... Bo tak. – Odwróciła wzrok i wdrapała się na taboret.

Odwrócił się w stronę kuchenki. Coś było nie tak, ale nie chciał naciskać, żeby jej nie zdenerwować. Czyżby Caitlin powiedziała córce o przewodniczce? Miał przecucie, że wkrótce się dowie. Zamieszał jajka widelcem i dodał mleka.

– Tatusiu, czy ja jestem marudą?

– Nie, wcale nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Michelle mówi, że jej tata mnie tak nazwał.

– Nie jesteś marudą, skarbie. – Mieszał jajka na patelni zwrócony plecami do Hannah. Nie chciał, aby zobaczyła wściekłość na jego twarzy.

– On tak uważa. Byliśmy w wesołym miasteczku z mamą, Michelle i tatą Michelle. Nie chciałam wejść na diabelski młyn, a on wtedy powiedział, że jestem marudą.

– To nie jest marudzenie, kochanie. Masz prawo czegoś nie chcieć – odpowiedział neutralnym tonem doświadczony psychiatry. Zastanawiał się, kiedy byli w wesołym miasteczku. Na pewno któregoś wieczoru po jego ostatniej wizycie.

– Bałam się, a oni mówili, że nie ma czego.

– Nie wszyscy lubią diabelskie młyny. Ja nie lubię.

– Brian lubi. I gry wideo. Bez przerwy w coś gra.

Brian, pomyślał ze złością. Ma na imię Brian.

– Michelle też uwielbia kolejki i diabelskie młyny, więc w wakacje często jeżdżą razem. Dla nich to świetna zabawa.

– Fajnie, ale różni ludzie lubią różne rzeczy. My na przykład gramy w jajecznego golfa. To dopiero zabawa. – Zerknął przez ramię na córeczkę. W zamyśleniu obracała szklanekę z sokiem.

– Mamusia powiedziała, że nie muszę wsiadać, ale nie chciała zostawiać mnie samej, więc przeze mnie też nie pojechała.

– Na pewno znalazła inny sposób, żeby się zabawić. – Spłonął rumieńcem, gdy zdał sobie sprawę z dwuznaczności tej uwagi. – Kupiłyście watę cukrową? Wiesz, że przepada za watą cukrową.

– Tak, przyklepiła się mamie do okularów przeciwsłonecznych.

Dobrze jej tak.

– A więc i mamusia też dobrze się bawiła. – Zamieszał jajka, prawie skończył.

– Próbuję mniej marudzić – odezwała się Hannah po krótkiej przerwie.

– Chcesz znać moje zdanie, skarbie? – Opanował złość i nałożył jajecznicę na talerze plastikową łyżką. – Lepiej, żebyś mówiła, co myślisz, niż tłumiała to w środku. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– Zawsze chcę wiedzieć, co myślisz. Mamusia także. – Nie mógł nic powiedzieć na temat tego dupka Briana. – Mów mi o tym, dobrze?

– Dobrze. – Pochyliła głowę i zaczęła grzebać widelcem w talerzu. Eric odłożył brudną patelnię do zlewu. Wiedział, że córka, podobnie jako on, potrzebuje czasu na przetworzenie różnych rzeczy.

– Smakuje ci, kochanie? – Usiadł i sięgnął po swój widelec.

– Tak. – Popatrzyła na niego. Widelec wydawał się strasznie duży w jej małej rączce. – Wiesz co, tatusiu?

– Co takiego? – zapytał, przełykając przepyszną jajecznicę. Nie byłaby taka dobra, gdyby nie dodał zagęszczonego mleka.

– Przeprowadzamy się z mamusią do Briana i Michelle.

Eric zaniemówił.

– Ale nie wolno mi marudzić z tego powodu, bo oni mają basen.

ROZDZIAŁ 20

Jadąc do pracy, czuł się chory na myśl, że Caitlin i Hannah zamieszkają z jakimś obcym facetem. Podjęła tę decyzję o wiele za wcześnie, ich córka na tym ucierpi. Oczywiście miał również bardziej egoistyczne powody, żeby się wściekać. Zaparkował samochód, wszedł do szpitala i skierował pierwsze kroki ku wystawnej sali konferencyjnej na pierwszym piętrze, gdzie odbywało się dziś zebranie szpitalnej Komisji do spraw Leków. Nie wiedział, czy zdoła się skoncentrować, mając tyle problemów, ale uczestniczenie w tego typu spotkaniach należało do jego obowiązków jako ordynatora.

Spróbował odsunąć na bok myśli o rodzinie, zajmując swoje miejsce przy długim stole w wyłożonej boazerią sali, w której odbywały się ważne konferencje. Komisja składała się z ośmiu ordynatorów różnych oddziałów, szpitalnego farmaceuty oraz Mike'a Braezele'a z działu prawnego, pozbawionego prawa głosu. Zadaniem członków komisji było wyselekcjonowanie leków, które wejdą do asortymentu szpitalnej apteki. Dziś odbywało się drugie posiedzenie w sprawie rostatinu, leku obniżającego ciśnienie, niedawno zatwierdzonego przez Agencję Żywności i Leków. Przed każdym z uczestników zebrania stała butelka wody, garść karmelowych cukierków, otwarty laptop oraz zestaw upominków od firmy Wacher Labs, producenta rostatinu.

Eric wyłączył uwagę w trakcie prezentacji ordynatora kardiologii, Morrisa Brexlera, który wyuczył się na pamięć danych, jakie podsunęła mu firma farmaceutyczna. Niezmiennie od lat uważał, że tak wiele posiedzeń komisji to strata czasu. Czytano na głos informacje, chociaż każdy mógł się zapoznać z nimi na własną rękę. Przeglądał lśniący, kolorowy folder reklamowy rostatinu. Okładka w kolorze świeżej krwi i różowa czcionka na luksusowym papierze. Nigdy nie widział tak drogiej literatury. Morris promował lek z nie mniejszym zaangażowaniem, niż czynili to przedstawiciele handlowi Wacher Labs, którzy czekali na korytarzu, nie mogąc uczestniczyć w zebraniu. Teoretycznie byli tam, aby odpowiedzieć na ewentualne pytania lekarzy, ale w praktyce chodziło o wywieranie presji.

Eric popatrzył na Morrisa, wracając do rzeczywistości. Kardiolog był mniej więcej w jego wieku, chociaż zachowywał się jak ktoś o wiele starszy. Skrupulatnie dbał o wizerunek. Opalenizna utrzymywała się na jego twarzy przez cały rok, jakby codziennie grywał w golfa. Miał jasnobrązowe włosy, zawsze starannie ułożone, małe, blisko osadzone orzechowe oczy i długi nos.

– Reasumując – mówił – rostatin jest lepszy, bardziej nowoczesny od rosuwastatyny i atrowastatyny. Potrzebujemy go na kardiologii. Jakies pytania?

– Tak. – Eric z trudem krył zniecierpliwienie. – Trudno mi zrozumieć, po co nam kolejna statyna, w dodatku droższa i mniej sprawdzona od pozostałych. Po cholere rzucać się na nowości bez sprawdzonych skutków ubocznych? Dlaczego mamy ryzykować?

– Nie zgadzam się. Dlaczego nie ryzykować? – Morris uczynił zapraszający gest w stronę zebranych. – Moim zdaniem nasz szpital powinien podążać za najnowszymi zdobyczami farmakologii. Dlaczego mamy przepisywać starą statynę?

– Ponieważ jest bezpieczniejsza.

Morris zmarszczył brwi i włożył swoje okulary do czytania w czarnych oprawkach.

– Nie zapoznałeś się z dokumentami, które ci przesłałem, Ericu?

– Owszem, czytałem je.

– Wobec tego nie rozumiem twoich wątpliwości.

– Naprawdę? – Eric zajrzał do swoich notatek w komputerze. – Przesłane przez ciebie dane

wyraźnie pokazują, że zażywanie rostatinu koreluje ze zwiększoną liczbą przypadków atrofii mięśniowej. Ponadto nie zgadzam się z celem leczenia w skali makro. Mózg potrzebuje cholesterolu do prawidłowego funkcjonowania. Tymczasem kolejna firma farmaceutyczna próbuje ludziom wmówić, że trzeba jeszcze bardziej obniżyć poziom cholesterolu. Tutaj chodzi wyłącznie o zysk.

Morris pokręcił głową.

– Trudno mieć ludziom za złe, że chcą zarobić. To jest komercyjna firma. My mamy tylko odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chcemy wprowadzić rostatin, czy też nie. Przypominam, że lek został zaakceptowany przez Agencję Żywności i Leków bez najmniejszych zastrzeżeń.

Eric wiedział, że certyfikat agencji nie gwarantuje bezpieczeństwa.

– Morris, obaj dobrze wiemy, że Agencja Żywności i Leków wymaga tylko dwóch badań klinicznych o pozytywnym wyniku. Tymczasem w artykule, który wam wszystkim wysłałem, wspomniano o czterech badaniach. Oprócz tych dwóch zakończonych sukcesem, Wachter ma na swoim koncie dwie próby kliniczne zakończone fiaskiem. – Wskazał folder. – Nie znalazłem tam nic na temat tych nieudanych prób. Wszystkie cztery zostały zleczone przez producenta. Dlaczego nie pokażą nam kompletu wyników?

Morris poprawił okulary.

– Niektóre informacje zostały utajnione, zgodnie z prawem patentowym.

– Skoro tak, dlaczego nie utajnili wszystkich wyników? Tak czy inaczej, jeżeli mamy wprowadzić rostatin do szpitala, potrzebujemy kompletu danych. Mogę im obiecać, że nie wyjawię żadnych sekretów konkurencji.

Wszyscy oprócz Morrisa parsknęli śmiechem. Eric podejrzewał, że plotki, jakoby szef kardiologii siedział w kieszeni Wachera, to święta prawda. Niedawno wybudował dom na plaży i posłał dzieci do prywatnej szkoły. Na taką hojność raczej nie mógłby sobie pozwolić ze szpitalnej pensji, a jego żona nie pracowała. Źródło dodatkowych dochodów pozostawało tajemnicą.

– Nie muszę chyba nikomu tłumaczyć, że danymi można manipulować – kontynuował Eric. – Na przykład badania przeprowadzone kilka lat temu wykazały, że niektóre leki przeciwdepresyjne nasilają myśli samobójcze u nastolatków. Producenci zaczęli umieszczać ostrzeżenia na opakowaniach. Niedawno przeprowadzono kolejne badania zleczone przez firmy farmaceutyczne, produkujące potencjalnie niebezpieczne leki. Okazało się, że pod wpływem ostrzeżeń zmalała liczba przepisywanych leków i wzrosła liczba samobójstw wśród nieletnich. Wyniki z pozoru przekonujące, aczkolwiek całkowicie zmanipulowane, ponieważ po dokładnym przestudiowaniu przebadanej grupy okazuje się, że znalazły się w niej osoby uzależnione od heroiny.

– Co to ma wspólnego z tematem naszej dyskusji?

Eric nie odpowiedział. Wyraził swoje zdanie, większość zebranych zgodnie kiwała głowami. Rada z całą pewnością nie zaaprobuje leku, który wzbudza wątpliwości. Nienawidził korupcji zatruwającej przemysł farmaceutyczny. Lekarze przepisywali swoim pacjentom wyłącznie lekarstwa dostępne w szpitalnej aptece. Po wyjściu ze szpitala ludzie zazwyczaj zażywali nadal te same leki,

rzadko szukali zamienników. Ich szpital nie był jedynym na celowniku producentów rostatinu. Po wprowadzeniu na rynek nowego leku, należało go rozprowadzić wśród szpitali, ponieważ to decydowało o jego komercyjnym sukcesie.

Doktor Sharon McGregor, ordynator ortopedii, popatrzyła na Erica zza okularów w drucianych oprawkach. Miała szare oczy i starannie ułożone siwe włosy.

– Zgadzam się z Erikiem, Morrisie. Uważam, że zbyt pochopnie rzucamy się na ten lek. Nie zaaprobuje go tylko dlatego, że jest najnowszy i najdroższy. To nie rewia mody, żebyśmy mieli gardzić rzeczami z minionego sezonu.

– O właśnie. – Eric się uśmiechnął. – Zgadzam się z Sharon w sprawie rewii mody.

Zebrani znów parsknęli śmiechem, wszyscy oprócz Morrisa, nawet trzy osoby, które nigdy się nie odzywały.

Sharon kontynuowała, już bardziej poważnie.

– Morrisie, pamiętasz lek przeciwko osteoporozie, który odrzuciliśmy? Calcix. Pojawiły się doniesienia, że stymuluje przerost tkanki kostnej. Zgłaszają się do nas pacjenci z guzami na twarzy. Jesteśmy ostatnią linią obrony przed takimi sytuacjami.

Otto Vinki, drobny Rosjanin, ordynator oddziału chorób wewnętrznych, zamknął komputer, co znaczyło, że podjął decyzję. Był najstarszym członkiem rady, miał ponad siedemdziesiąt lat. Mimo podeszłego wieku jego oczy zachowały intensywny niebieski kolor i przenikliwy wyraz, natomiast łysa głowa była porośnięta pojedynczymi białymi kosmykami, które bardziej przypominały zarodniki bakterii niż włosy.

– Ja również podzielam wątpliwości Erica – oświadczył dobitnie ze swoim słowiańskim akcentem, który zawsze brzmiał władczo, zapewne nawet wtedy, kiedy zamawiał pizzę. – Uważam, że nie powinniśmy się spieszyć. Mam problem z zaakceptowaniem tego typu leczenia. Statyny mają na celu zlikwidowanie czynnika ryzyka wystąpienia choroby. Możemy przekonać ludzi, że jeśli obniżą poziom cholesterolu, mają szansę uniknąć zawału serca, ale polemizowałbym z takim podejściem. Głosuję przeciw.

Wszyscy zwrócili się w stronę farmaceuty, który uniósł szczupłą, elegancką dłoń, prosząc o głos. Mohammed Ibir był jednym z najślynniejszych ludzi w branży: pracowity Afroamerykanin oszczędzał mnóstwo szpitalnych pieniędzy, a miał dopiero trzydzieści lat.

– Pomijając zalety rostatinu, chciałbym zwrócić uwagę na jego wysoką cenę. Jest o wiele droższy od pozostałych leków tego typu. Dodam, że to typowe dla Wacher Labs. Mają najdroższą chemioterapię, a obecnie przygotowują nowy lek na żółtaczkę typu C. Rok kuracji ma kosztować osiemdziesiąt cztery tysiące dolarów.

– Za jednego pacjenta? – zawołał z niedowierzaniem Eric.

– Mhm. – Mohammed uniósł brwi, przybierając komiczny wyraz twarzy.

– Nie mają za grosz wstydu! – Sharon zachichotała.

Morris z niezadowoleniem zacisnął usta.

– Nie rozmawiamy dziś o leku przeciw żółtaczce, Mohammedzie. Trzymajmy się tematu.

Otto pokręcił głową.

– Dość już usłyszałem, pacjenci na mnie czekają. Głosujmy.

– Tak – zgodził się Eric.

– Nie – zaprotestował Morris. – To zbyt ważna decyzja. Zgodziliśmy się na trzy spotkania.

– Nie potrzebujemy trzech spotkań, Morrisie – prychnął Otto. – Powinniśmy zagłosować w tej

chwili.

Morris popatrzył na Mike'a.

– Nie możemy, prawda, Mike? Brakuje Donny. – Wskazał puste krzesło, na którym powinna siedzieć ordynator pediatrii.

Prawnik pokręcił głową.

– Masz rację, Morris. Głosowanie w niepełnym składzie będzie nieważne. Moi drodzy, musimy to przełożyć na przyszły tydzień.

Otto przewrócił oczami.

Sharon jęknęła.

Eric westchnął cicho.

– Ericu – zwrócił się do niego Morris. – Mam nadzieję, że zachowasz otwarty umysł i ponownie przejrysz dane.

– W porządku – odparł, myśląc o domu na plaży.

ROZDZIAŁ 21

Wszedł do swojego gabinetu i położył torbę na fotelu. Po chwili zjawiała się Amaka z bardzo zatroskaną miną.

– Dzień dobry, czy coś się stało?

– Tak, mamy kłopoty. Przyszła żona Perino. Chce go zabrać do domu.

– O rany. – Eric obawiał się kłótni z Perino po wczorajszym incydencie. Poszedł z Amaką do jego pokoju. – Gdzie jest Sam?

– Rozmawia z państwem Perino.

– To dobrze. Telefonował wczoraj do pani Perino?

– Nie wiem.

– Kontaktował się z działem prawnym?

– Tak, rozmawiał z Mikiem. Są w pogotowiu.

– Okej.

– Na wszelki wypadek uprzedziłam ochronę. Obiecali, że w razie potrzeby zjawią się szybciej niż poprzednim razem.

– Ochrona? Naprawdę?

Posłała mu uśmiech.

– Nie chcę powtórki z wczoraj. Nie na moim dyżurze.

– Dzięki. – Ogarnął wzrokiem salę, w której leżał Perino. Stojący obok łóżka Sam powitał go spojrzeniem pełnym ulgi. Pacjent siedział na krawędzi łóżka, ze spuszczoną głową, wpatrywał się w podłogę. Miał na sobie szpitalną piżamę. Linda Perino była niewysoką, okrągłą kobietą z pofarbowanymi na platynowy blond włosami związanymi w niesforny kucyk. Miała na sobie szerokie spodnie džinsowe i różową bluzę z aplikacją. Odwróciła się gwałtownie w stronę Erica.

– O, przyszedł jaśnie pan – odezwała się, rzucając mu gniewne spojrzenie. Postąpiła ku niemu z twarzą wykrzywioną wrogością, trzymała w rękach ubrania i buty dla męża. Sprawiała wrażenie dość nieokrzesanej osoby, sieć zmarszczek wokół ust zdradzała wieloletni nałóg nikotynowy.

– Dzień dobry, pani Perino. – Na widok wyciągniętej dłoni Erica prychnęła pogardliwie.

– Chcesz, żebym podała ci rękę? Nie ma mowy. Zaatakowałeś mojego męża. Zabieram go stąd, nie zostanie tutaj ani minuty dłużej.

Zachował zimną krew, zależało mu na wyjaśnieniu sprawy, poza tym rozumiał wzburzenie kobiety.

– Nie zaatakowałem pani męża. Oto, co się wydarzyło...

– Właśnie, że zaatakowałeś! Ma wielkiego guza na głowie. Mieliście się nim opiekować.

Przyszliśmy do was po pomoc.

– Pomagamy i chcemy pomagać dalej.

– Jest tu zaledwie od trzech dni i już ma ślady pobicia? Zabieram go stąd.

– Jako lekarz stanowczo odradzam.

– Co ty możesz wiedzieć? Nie jesteś nawet jego lekarzem. On jest. – Wskazała Sama, który uczynił krok w jej stronę, uniósłszy rękę w uspokajającym geście.

– Pani Perino, doktor Parrish jest moim przełożonym i zna wszystkie szczegóły dotyczące leczenia pani męża.

– Ach tak? – zwróciła się do Erica. – Co robiliście, kiedy rozbijał sobie głowę o metalową szafkę? Jak do tego doszło?

– Przykro mi, pani Perino – powiedział, wbrew zaleceniom prawników, którzy radzili, aby nigdy nie przeproszać, ponieważ przeprosiny mogą zostać zinterpretowane jako zaakceptowanie odpowiedzialności. – Ma pani rację, nie powinno było do tego dojść...

– Jak pan wyjaśni to, co się stało? Śpicie tu wszyscy? Nikt nie zwraca na niego uwagi. Zamknęliście go w pokoju i ignorujecie.

– Pani Perino – przerwał jej Sam. – Wyjaśniłem to pani podczas naszej wczorajszej rozmowy telefonicznej. Powiedziała pani, że rozumie. Mąż źle zareagował na nową pielęgniarkę.

– Proszę pani, zapewniam, że ma u nas opiekę, jakiej potrzebuje – dodał Eric. – Nie ignorujemy go i nie będziemy tego robić. Każdy pacjent ma przydzieloną grupę specjalistów. Osoby zajmujące się panem Perino są bardzo zaangażowane. – Zwrócił się do pacjenta, który nadal siedział bez ruchu ze spuszczoną głową. – Jak się pan czuje, panie Perino?

– Chcę... do domu. – Nie odrywał wzroku od podłogi. – Nie... pomagacie mi. Nikt mi nie pomaga. Chcę wrócić do domu.

– Proszę pana. – Eric delikatnie dotknął ramienia mężczyzny. – Przykro mi z powodu wczorajszego incydentu, ale nie mogę pana wypisać do domu, dopóki...

– Żona chce mnie zabrać do domu... Zaopiekuje się mną tak jak wcześniej, zanim zacząłem krążyć po szpitalach. Mogę wrócić do pracy...

– Nie musisz mu się tłumaczyć, Donnie. – Pani Perino podeszła bliżej, nakazując Ericowi spojrzeniem, aby trzymał się z daleka. – Nie waż się do niego mówić, doktorze. Mogłeś mu złamać kręgosłup albo rozbić czaszkę!

– Proszę mnie posłuchać, pani Perino. – Eric nie pozwolił się zastraszyć. Wiedział, że pod złością kryje się autentyczna troska o męża. – Tłumaczyłem już mężowi, że nagłe odstawienie leków może spowodować wybuchy agresji. To dlatego zranił się, uderzając głową o szafkę, i musieliśmy go unieruchomić, żeby nie zrobił sobie jeszcze większej krzywdy. Musi zostać w szpitalu, ponieważ...

– Nie ma mowy – odparowała, machając trzymanymi w rękach ubraniami. – Wynoście się. Ubieram go i zabieram do domu.

– Nie mogę tego zrobić. I pani także nie...

– Nie będziesz mi pan mówił, co mam robić! Za kogo się pan uważasz? Za Boga?

– Absolutnie nie – odparł spokojnie.

– Ja go tu przywiozłam i mogę zabrać, kiedy zechcę. Nie możecie mnie powstrzymać.

– Pani Perino, pani mąż zgłosił się na leczenie dobrowolnie, ale to nie znaczy, że może się wypisać na własne żądanie. – Odkrycie, że jako lekarz często musi zachowywać się jak prawnik, było dla niego bardzo niemiłe. Przyjęcia i wypisy na oddziałach psychiatrycznych wiązały się z milionem formalności, nie tylko szpitalnych, również wynikających z prawa stanowego.

– Co pan opowiada? Jak to możliwe? Ja go tu przywiozłam i ja powinnam decydować o wypisie.

Eric widział, że kobieta nie jest w nastroju, aby wysłuchać wyjaśnienia, które zresztą przeczyło logice.

– Podpisała pani zgodę na pobyt w szpitalu, w której znajduje się punkt o obowiązku powiadomienia nas pisemnie na siedemdziesiąt dwie godziny przed planowanym zabraniem pacjenta, jeżeli ma pani zamiar to zrobić wbrew zaleceniom lekarskim...

– Nie muszę się stosować do waszych zasad!

– To nie są nasze zasady, tylko prawo stanowe, które wyraźnie mówi, iż nie może pani zabrać dziś męża do domu. Zostało stworzone, aby go chronić. Podpisała pani zgodę i...

– Nie pamiętam tego punktu! Pewnie dopisaliście go drobną czcionką! Nie wiedziałam, że nie będę go mogła stąd zabrać!

Pan Perino zaczął pocierać twarz rękami, nie podnosił głowy.

– Chcę iść do domu. Nie możecie mnie tutaj trzymać wbrew mojej woli. To nie więzienie.

Eric zwrócił się do obojga.

– Musicie się państwo skupić na tym, co najlepsze dla pana Perino. – Wskazał pacjenta, który podniósł wzrok i patrzył na nich ze smutkiem. – Proszę pomyśleć o wczorajszym incydencie, kiedy zaczął pan bez ostrzeżenia uderzać głową o szafkę...

– Wy tak twierdzicie! Ktoś to widział na własne oczy? Nie wiadomo, co się naprawdę stało! Chcę go stąd zabrać!

– Nie mam najmniejszego powodu, by kwestionować relację pielęgniarki. – Z korytarza dobiegał szmer głosów – przybyli ochroniarze.

– Pomijając przepisy – co pani robi, kiedy w domu dostanie napadu szału? Nie zdoła go pani powstrzymać przed zrobieniem sobie krzywdy. Jak się pani czuje, jeśli coś mu się stanie?

– Doktorze Parrish? – Na salę weszło trzech pracowników ochrony. – Możemy jakoś pomóc?

– Nie w tej chwili, dziękuję. – Zatrzymał ich ruchem dłoni. – Myślę, że się dogadamy...

Pani Perino zaśmiała się pogardliwie.

– Co to ma być, do jasnej cholery? Jestem aresztowana? Zakujecie mnie w kajdanki, dlatego że przysłałam zabrać męża do domu?!

Zwrócił się do niej, aby ratować sytuację. Nie chciał jej wyrzucać siłą, chociaż miał do tego prawo.

– Panowie przyszli na wszelki wypadek, gdybyśmy potrzebowali ich pomocy. Ale nie potrzebujemy.

– Niech pan nie będzie taki pewny! Byłam miotaczem w damskiej drużynie softballu. Mam bardzo silne ręce.

– Dobrze wiedzieć. – Uśmiechnął się z przymusem. Wraz z przybyciem ochrony wyczuł błyskawiczną zmianę w nastawieniu pani Perino. Prawdopodobnie dlatego, że poczuła zażenowanie w obecności dodatkowych osób.

– Proszę posłuchać, naprawdę mi zależy, żeby go teraz zabrać. Będzie bezpieczny pod moją opieką w domu. Mąż siostry mi pomoże w razie czego. Mieszkają po sąsiedzku. Jest budowlańcem.

– Może pani nie mieć czasu, żeby go wezwać na pomoc. Mąż stanowi zagrożenie także dla pani. – Znał historię rodziny z akt pacjenta. – Siostrzeńcy i siostrzenice często przychodzą w odwiedziny, prawda? A jeżeli skrzywdzi jakieś dziecko? Pomyślała pani o tym?

– Donald nigdy by tego nie zrobił – oburzyła się, ale jej pewność siebie zmalała. – Nigdy nie podniósł ręki na mnie ani na dzieci. Bardzo je kocha.

Perino pokręcił głową i znów wbił wzrok w podłogę.

– Nigdy bym tego nie zrobił. Te dzieciaki są całym moim światem.

Eric położył mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, że pan by tego nie chciał, ale nie o to chodzi. – Następnie zwrócił się do pani Perino. – Zgadzam się, że świadomie nigdy by tego nie zrobił, ale wciąż jest pod wpływem leków. Dopóki jego organizm nie zostanie oczyszczony, będzie stanowił zagrożenie dla siebie i innych.

Kobieta machnęła rękami w geście frustracji.

– Doktor Rockwell twierdzi to samo. Ciągłe słyszę, że wszystkiemu jest winien clonazepam. A kto mu go przepisał? Lekarze z Valley Forge Memorial! Tacy sami jak wy. Przekonali mnie, że mój mąż potrzebuje tych leków. A teraz mówicie, że od nich zwariował. Co jest z wami nie tak? Dlaczego miałabym wam zaufać?

– Ponieważ nam zależy – odpowiedział Eric. Po prostu. – Staramy się zapewnić mężowi jak najlepszą opiekę lekarską i wiem, że jesteśmy w stanie pomóc mu przez to przejść...

– Nie mogę go przenieść do innego szpitala?

– Leczenie zastosowane przez doktora Warda daje pozytywne rezultaty, ale oczywiście ma pani prawo zażądać przewiezienia męża gdzie indziej. Będziemy potrzebowali potwierdzenia o przyjęciu do wybranej przez panią placówki.

Sam przenosił wzrok z Erica na panią Perino.

– Proszę pani, leczenie naprawdę zaczyna działać. Byłoby z korzyścią dla pani męża, gdyby został z nami do końca...

– Nie. Zamierzam skonsultować się z adwokatem. – Podeszła do drzwi i rzuciła Ericowi wrogie spojrzenie. – Postaram się, żeby stracił pan prawo do wykonywania zawodu.

– Linda? – odezwał się zdezorientowany Perino. Wróciła i poklepała go po ramieniu.

– Zapłacą za to. Obiecuję.

ROZDZIAŁ 22

Pod koniec dnia wreszcie znalazł kilka minut, aby usiąść i przemyśleć sprawę państwa Perino. Zgodnie ze szpitalnymi procedurami musiał opisać, co się wydarzyło. Właśnie szukał odpowiedniego formularza w czeluściach szpitalnego systemu komputerowego, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Eric? – Laurie była przygotowana do biegania, miała na sobie biały podkoszulek i szare szorty, włosy spięła w węzeł. Uśmiechała się z przekąsem. – Zapomniałeś, co?

– Rzeczywiście. Przepraszam, pobiegaj sama. Mam coś do zrobienia.

– Odpuść sobie. Idziesz ze mną. Potrzebujesz ruchu.

– Muszę odrobić zaległości w papierach.

– Nie ma ani jednego lekarza w tym szpitalu, który byłby na bieżąco z papierologią. Ubezpieczenia, przepisy... Biurokracja na pewno nie służy pacjentom. Najpierw każą nam zbierać miliony formularzy i układać je w segregatorach, a potem wychodzi zarządzenie, że przechodzimy na system komputerowy.

– To akurat ważne. Chcę złożyć raport na temat pewnego zajścia...

– Och, czyżby jakiś wariat zrobił coś szalonego? – Laurie podeszła do komputera i dotknęła myszki. – Pa, pa, praco.

– Nie, zostaw – zaprotestował, ale Laurie już go wylogowała z systemu.

– Rusz się. Idziemy.

– Idź beze mnie. – Nie miał ochoty na bieganie. Chciał złożyć raport na temat Perino, odpowiedzieć na e-maile i zamartwiać się o Maksa, Renée, Perino, Hannah oraz Caitlin.

– Co się dzieje? Dlaczego jesteś nie w sosie?

– Pamiętasz Maksa Jakubowskiego i jego babcię?

– Pewnie. Co tam u nich? – Laurie spoważniała, sprawiała teraz wrażenie zatroskanej. – Nie mogłam się wczoraj do niej dodzwonić.

– Jest pod opieką hospicjum. Martwię się o Maksa.

– Biedny dzieciak. Taki uroczy.

– Babcia jakoś się trzyma, ale dla chłopaka to będzie potworny cios, może się po nim nie podnieść.

– Chodźmy, pogadamy po drodze. Musisz się na chwilę oderwać. – Szturchnęła go delikatnie w ramię. – Co, jesteś teraz zbyt wielką szychą, żeby ze mną pobiegać, panie ordynatorze drugiego najlepszego oddziału psychiatrycznego w kraju?

Odsunął się od klawiatury i uśmiechnął.

– Czy to twój sposób na złożenie gratulacji?

– Tak. Jak oceniasz mój urok osobisty w skali od jednego do dziesięciu? Dwadzieścia dwa?

– Nie wiem, a na którym ty jesteś miejscu? Czterdzieści parę? Czekaaj, nie, to twój wiek.

– Auć, zabolalo. – Komicznie zmarszczyła nos. – Spadliśmy na jedenaste.

– O-o, ktoś powinien wziąć się do roboty.

Laurie wybuchnęła śmiechem.

– Nasz oddział jest świetny, a ty się nie wywiniesz od biegania.

– Nie mogę z tobą biegać. Masz na mnie zły wpływ.

– Aleś się uparł. – Chwyciła go za łokieć. Eric pozwolił się podnieść z krzesła.

– Nie będę biegał, bo mam dużo ważnych spraw, których nie rozumiesz. Nie widać ich z twojego jedenastego miejsca w rankingu.

– Zamknij się wreszcie. Jest piękny wieczór, prawie nie pada. Idziemy pobiegać.

– Nie zabrałem stroju. – Wygładził spodnie.

– Proszę cię, myślisz, że nie wiem, gdzie go trzymasz? – Laurie pomaszerowała do regału, wysunęła najniższą szufladę i wyjęła z niej parę wygniecionych spodenek do biegania. – Ta-dam!

Jęknął przyłapany na gorącym uczynku.

– Leżą tam brudne od trzech miesięcy.

– Aha, już ja cię znam. Ubieraj się. – Rzuciła w niego odzież sportową, którą odrzucił z powrotem w jej stronę. Szorty upadły na podłogę.

– Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

– Buty do biegania masz w szufladzie. Zaczekam na zewnątrz. Pospiesz się – nie omieszkała dodać, wychodząc z gabinetu.

Eric podniósł spodenki i podszedł do regału, żeby poszukać koszulki, skarpetek i butów. Przebrał się szybko, zapakował ubrania wraz z portfelem do starej torby sportowej i wyszedł na korytarz, gdzie stanął twarzą w twarz z Kristine.

– O... cześć, Kristine. – Nie krył zaskoczenia. Unikał jej z powodzeniem przez cały dzień, ale wreszcie go dopadła w najmniej dogodnym momencie.

– Poświęci mi pan minutę, doktorze? – zwróciła się do niego uprzejmie, z zawodową maską na ładnej twarzy, zapewne przybraną na użytek Laurie, która czekała nieopodal. – Chciałabym zamienić parę słów na temat przypadku Johnstona.

– Johnstona? – wyrwało mu się, zanim zdążył nad sobą zapanować. Nie mieli na oddziale pacjenta o takim nazwisku. – Porozmawiamy jutro...

– Pamiętam cię, Kristine. – Laurie uniosła brew. – Poznałyśmy się w piątkowy wieczór. Jesteś stażystką, prawda?

– Tak, dlaczego... – zaczęła Kristine, mrużąc oczy, ale doktor jej przerwała:

– Jeżeli masz jakieś pytania dotyczące pacjenta, powinnaś się zwrócić do lekarza prowadzącego, a nie przychodzić z nimi bezpośrednio do ordynatora, który jest twoim przełożonym, nie kolegą.

Eric położył rękę na ramieniu Laurie. Musiał przerwać rozgrywkę pomiędzy dwiema kobietami, mimo że nie miał pojęcia, o co w niej chodzi.

– Laurie, na nas już czas. Kristine, porozmawiamy o tym innym...

– Doktor Fortunato. – Kristine zwróciła się do Laurie z nieskrywaną wrogością. – Nie ma pani pojęcia o zasadach panujących na naszym oddziale. Doktor Parrish ma w nosie szpitalną hierarchię. Jest bardzo przystępny i nie pozwala, żeby ego przysłoniło mu dobro pacjentów. Może tam, gdzie pani pracuje, jest inaczej...

– Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. – Doktor Fortunato uniosła rękę z wysuniętym palcem wskazującym. – Nie pracuję na oddziale ratunkowym, jestem jego ordynatorem.

Kristine prychnęła pogardliwie.

– Każdy może prowadzić tę rzeźnię, nie trzeba specjalnych kwalifikacji.

Laurie otworzyła usta ze zdumienia.

– Co ty powiedziałaś, dziecko?

Eric stanął między nimi, zwrócony twarzą do Kristine.

– Uważaj na słowa, Kristine. Doktor Fortunato zasługuje na szacunek. Rozumiesz?

– Tak. – Dziewczyna wyglądała na zranioną, lecz nie zamierzał tolerować takiego zachowania.

Chwycił Laurie pod rękę i poprowadził przez korytarz.

– Chodźmy – powiedział.

– No chyba, kurwa, żartujesz? – Odwróciła się do Kristine, Eric odciągał ją niemal siłą. – Nie wierzę, że to powiedziała! Żądam przeprosin.

– Daj spokój.

– Nie zapomnę jej tego! Jak ona śmiała!

– To tylko dzieciak.

– Przekroczyła wszelkie granice! Co z nią jest nie tak? Ma jakieś urojenia wielkościowe?

Sam i Amaka popatrzyli na nich z ciekawością, kiedy mijali stanowisko pielęgniarek.

– Dobranoc wszystkim! – zawołał Eric i pomachał im na pożegnanie.

– Dobranoc, szefie! – odpowiedział Sam. Amaka tylko pomachała w odpowiedzi.

Laurie oswobodziła się z uchwytu kolegi, kiedy dotarli do zamkniętych drzwi oddziału.

– Mówię poważnie, ta dziewczyna potrzebuje solidnej lekcji pokory.

– Wiem, dlatego zwróciłem jej uwagę. – Odszukał klucze i otworzył drzwi prowadzące na nieduży korytarz.

– O co jej chodzi? Ja bym ją zwolniła po takiej akcji.

– Nie zatrudniamy jej. Dostała przydział ze szkoły. Za tydzień kończy staż. – Otworzył drugie drzwi. Nagle poczuł się odgradzony od świata tymi drzwiami, które musiały być zawsze zamknięte. Poczul się osaczony. Dziwna sytuacja z Kristine, awantura z Perino, dylemat związany z Makssem i Renée, nieuchronna konfrontacja z Caitlin w sprawie Hannah – wszystko to zaczęło go przerastać.

– W takim razie niech mała zapomni o referencjach. Powinieneś dać jej nauczkę.

– Właśnie to zrobiłem. – Wyszli na główny korytarz i ruszyli do windy, gdzie czekało już sporo osób. Niektórzy rozmawiali między sobą, inni patrzyli w telefony lub mieli na uszach słuchawki.

– Moim zdaniem referencje...

– Pogadajmy o tym podczas przebieżki.

– Zgoda. – Zacisnęła usta. – Będę ci truć przez dziesięć kilometrów.

– Jakie dziesięć? – jęknął.

Na zewnątrz świeciło słońce, ale już zrobiło się chłodniej. Weszli na ścieżkę za szpitalem, prowadzącą na tyły centrum handlowego i kompleksu biurowego Glencroft Corporate Center. Eric dyszał z wysiłku, dopóki jego ciało nie przypomniało sobie, że jest w niezłej formie, mimo przejściowych problemów z oddechem. Przestał biegać po przeprowadzce do nowej dzielnicy. Nie był gotów na pożegnanie ze starą, ukochaną trasą.

– Więc co zamierzasz zrobić z tą stażystką? – Laurie biegła bez wysiłku. Na jej smukłym, wysportowanym ciele nie dało się zauważyć ani kropli potu.

– Ignorować. – Wolał nie wtajemniczać Laurie w szczegóły relacji z Kristine. Nie dałaby mu spokoju.

– Rzeźnia. Też coś.

– Powiedziałaś już, co o tym myślisz.

– No i co z tego? – Zerknęła na niego z szerokim uśmiechem. – Gdybym siedziała cicho po wypowiedzeniu swojego zdania, prawie nic bym nie mówiła.

Eric parsknął śmiechem. Dwójka starych przyjaciół biegła obok siebie w przyjaznym milczeniu. Powinien wrócić do regularnego biegania. Powtarzał to sobie, pomimo że nowy szlak nie spełniał jego oczekiwań: zatłoczony kawałek asfaltu pełen biegających grup, cyklistów w kombinezonach z lycry i pań z pieskami. Wolał samotność i kontakt z przyrodą. Nie interesowały go parkowe ławki z tabliczkami pamiątkowymi, kioski z mapkami, szlabany oddzielające poszczególne części szlaku i światła z przyciskami, po których naciśnięciu z głośnika dobywał się niewyraźny głos wypowiadający niemożliwe do zrozumienia komunikaty.

– Fajnie tu, nie? – Laurie wymachiwała miarowo ramionami.

– Powiedz, że żartujesz.

– Nie, wcale nie. To najpoważniejsza rzecz, jaką ostatnio powiedziałam. – Zachichotała. – Zaskoczyłam samą siebie. Kto by pomyślał, że stać mnie na taką powagę?

– Ja. – Eric uśmiechnął się.

– Ojej, dzięki. Jesteś milusi.

– Jestem numerem dwa.

– Ha! – Szturchnęła go żartobliwie. Na trasie minęły ich dwie biegaczki i nastolatek na deskorolce z beztrąsko rozpostartymi, wytatuowanymi ramionami.

Rozległ się sygnał telefonu. Eric przystanął i wyjął swój aparat. Laurie sprawdziła swój.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie ma sprawy. – Biegała w miejscu, żeby utrzymać tętno na tym samym poziomie.

Odebrał połączenie, mimo że nie znał numeru, który wyświetlał się na ekranie.

– Eric Parrish.

– Panie... doktorze? – odpowiedział mu głos dławiony płaczem. – O nie... nie...

– Tak. Kto mówi? – Nie rozpoznawał głosu zniekształconego rozpaczliwym szlochem.

– M... Max. Mo... moja babcia... Ona właśnie... umarła.

ROZDZIAŁ 23

– Max. O nie – Eric był wstrząśnięty. Laurie przestała biec w miejscu. Przejeżdżający rowerzysta zerknął na nich z zaciekawieniem.

– Rozmawiała ze mną – szlochał chłopiec. – Dobrze się czuła... i nagle... Wytrzeszczyła oczy i wydała z siebie... taki przeraźliwy charkot i... po prostu umarła.

– Boże jedyny, to się stało przed chwilą? Tak strasznie mi przykro. – Mógł sobie tylko wyobrazić, jak ten dzieciak teraz się czuje. To prawdopodobnie jego pierwsze zetknięcie ze śmiercią.

– Jestem tu... z nią... To się stało tuż po wyjściu pielęgniarki... Dzwoniłem do hospicjum... mają się skontaktować z zakładem pogrzebowym... ale ja nie wiem, co robić... Nie rozumiem, przed chwilą jeszcze była... patrzyła na mnie.

– Sam jesteś z nią?

– Tak, kazali mi czekać... ktoś przyjedzie... Ale to takie straszne... Nie mogę uwierzyć... Co ja teraz zrobię?

– Maks, możesz przyjechać do mojego gabinetu, jeśli chcesz. – Pragnął jakoś do niego dotrzeć, pocieszyć. – Porozmawiamy. Pomogę ci...

– Nie, nie, nie... Nie chcę nikogo widzieć... Rozmawialiśmy o jej ulubionym serialu, mówiła, że Estelle jest strasznie zabawna... Nie wiem, co ze sobą zrobić...

– Możesz przyjechać w każdej chwili, jeśli zmienisz zdanie. – Zerknął na Laurie, która przyglądała mu się z niepokojem. – Albo zatelefonować.

– To nie pomoże, nic nie pomoże... Ona naprawdę odeszła... Jak można odejść w trakcie rozmowy o głupim serialu... Jej ostatnie słowa były o Estelle... to nie w porządku... Pokładałaby się ze śmiechu, gdybym jej teraz powiedział... Potrzęsnałem ją, ale to takie strasznie dziwne... nigdy nie widziałem... ona przypomina siebie, ale nie jest już sobą... Wygląda, jakby spała, a przecież już jej nie ma. – Max wydał z siebie przeciągłe, rozpaczliwe wycie, przeszywające Erica do szpiku kości.

– Max, obiecuję ci, że pomogę ci przez to przejść, że będzie lepiej...

– Nie, nie chcę już do pana chodzić... Nie chcę nikogo widzieć, już nigdy... Nie mam nikogo, nic mi nie zostało... Chcę umrzeć. Chciałbym nie żyć... – Rozłączył się.

Eric próbował nawiązać połączenie, trzęsły mu się ręce.

Laurie wysunęła dolną wargę.

– Strasznie mi go żal – powiedziała cicho.

– Powiedział, że chce umrzeć. Bardzo mnie to niepokoi.

– O nie.

– Nie powinien być teraz sam. Może próbować popełnić samobójstwo. – Max nie odbierał telefonu.

– Max, mówi doktor Parrish – nagrywał wiadomość na pocztę głosową chłopca. – Proszę, oddzwoń do mnie. Czeka. Chcę ci pomóc. Trzymaj się i dzwoń o każdej porze dnia i nocy. –

Zakończył połączenie, miał w głowie gonitwę myśli.

– Nie znam numeru do jego mamy. Wspominał, że pracuje w firmie ubezpieczeniowej. Boże święty, miałem nadzieję na trochę więcej czasu, zanim do tego dojdzie.

– Ile razy się z nim spotkałeś od piątku? Raz?

– Dwa razy, ale mimo wszystko... – Powtórnie wybrał numer Maksa.

– Nie rób sobie wyrzutów. Nie mogłeś nic zrobić, żeby złagodzić cios. – Laurie położyła mu dłoń na ramieniu w geście pocieszenia.

– Mogłem, powinienem był. – Wsłuchiwał się w sygnał nieodbieranego połączenia. Minęło ich trzech rowerzystów.

– W jaki sposób? Widziałeś się z nim w sobotę i w niedzielę. Co jeszcze miałeś zrobić? – Ścisnęła jego ramię. – Zrobiłeś więcej, niż ktokolwiek inny by zdołał.

– Widziałem, że jest w kiepskiej formie. Martwiłem się. – Włączyła się poczta głosowa, nie zostawił kolejnej wiadomości. Odetchnął głęboko, próbując złagodzić ucisk w klatce piersiowej. – Niemal żałuję, iż nie miałem podstaw, żeby go przyjąć na oddział. Tam miałbym go na oku. Ale naprawdę nie mogłem.

– Nie był aż tak chory. Nawet ja to wiem.

– Nie wtedy. Jednak wiedziałem, że nie udźwignie śmierci babci.

– Nie mogłeś go przyjąć z uzasadnieniem, że w przyszłości będzie potrzebował hospitalizacji. To tak nie działa, nie muszę ci przecież tłumaczyć. Musimy przestrzegać prawa.

– Prześlizgnął się przez szczelinę w systemie. Na moich oczach, ja do tego dopuściłem.

– Boisz się, że popełni samobójstwo?

– Nie wykluczam tego.

– Cholera. – Laurie zmarszczyła czoło. – Wysłałabym do niego ekipę kryzysową, ale właśnie wyjechali do innego przypadku. Przepisałeś mu coś?

– Wypisałem receptę na fluoksetynę. Dwadzieścia miligramów, dawka początkowa. W butelce jest trzydzieści tabletek.

– To go nie zabije, prawda?

– Nie – odpowiedział z napięciem w głosie. – Nawet jeśli połknie wszystkie, co najwyżej będzie się parszywie czuł. Fluoksetyna jest bezpieczniejsza od starszych antydepresantów. Trzydzieści tabletek, nawet po czterdzieści czy sześćdziesiąt miligramów, też nikogo raczej nie zabije.

– To dobrze.

– Zadzwoń na policję – postanowił i wybrał numer alarmowy. Dyspozytorka odebrała po pierwszym sygnale.

– Dzień dobry, mówi doktor Eric Parrish ze szpitala Havemeyer General. Chciałbym poprosić o sprawdzenie stanu nieletniego pacjenta, który prawdopodobnie próbuje popełnić samobójstwo. Max Jakubowski, siedemnaście lat. Przed chwilą zmarła jego babcia, z przyczyn naturalnych, ale jest z nią sam. Chciałbym, żeby ktoś podjechał do ich domu i sprawdził, czy wszystko w porządku.

– Dobrze, doktorze – odpowiedziała telefonistka. – Proszę powtórzyć nazwisko i podać adres.

Eric odnalazł w telefonie potrzebne informacje. Max musiał do niego dzwonić z telefonu domowego, dlatego aparat nie rozpoznał numeru.

– Pana adres i numer telefonu?

Podał dane.

– Proszę tam od razu wysłać patrol. Nie zwlekajcie w tej sytuacji.

– Patrol jest w drodze.

– Wyjechali z posterunku? To jakieś dwadzieścia minut jazdy.

– Nie wiem, skąd wyjechali, jestem tylko telefonistką, ale mogę panu obiecać, że będą na miejscu najszybciej, jak to możliwe.

– A może im pani przekazać, żeby do mnie zadzwonili, kiedy tam dotrą?

– Nie robimy takich rzeczy...

– Bardzo proszę o telefon. To sprawa życia lub śmierci – nie ustępował. W swojej pracy miał styczność z wieloma policjantami. Na pewno chętnie mu pomogą, jeśli tylko będą w stanie.

– Dobrze, przekażę pańską prośbę, doktorze.

– Dziękuję pięknie. Do widzenia. – Rozłączył się. Zaschło mu w ustach ze zdenerwowania. Najbliższe godziny będą krytyczne, jeśli chodzi o bezpieczeństwo Maksa. Nie uspokoi się, dopóki nie usłyszy w słuchawce jego głosu. – Zadzwonią do nas.

– Dobrze. Usiądziemy na ławce?

– Nie, w porządku. – Wolał stać. Miał wtedy wrażenie, że mimo wszystko panuje nad sytuacją. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Wyobrażał sobie Maksa w pustym domu, samego ze zwłokami ukochanej babci, która była dla niego jak matka.

– Źle wyglądasz. Zbladłeś. Chodź, usiądziemy. – Wskazała cedrową ławeczkę z pamiątkową tablicą.

– Zastanawiam się, co jeszcze mogę zrobić.

– Nic. Musisz poczekać, aż ktoś do ciebie zadzwoni: Max lub policja. Chodź, stoimy na środku ścieżki rowerowej. – Podeszła do ławki i przywoływała go gestem.

– Chciałbym, żeby zadzwonił. – Usiadł i raz po raz odruchowo zerkał na telefon.

– Nie martw się, zadzwoni.

– On nie jest gotowy, aby zmierzyć się z żałobą. – Potarł twarz, próbując się jakoś uspokoić. – Gdybyśmy znali się dłużej, gdybym miał więcej czasu... Chociaż tydzień lub dwa. Ustabilizowałbym go.

– Nic by to nie dało. Za dwa tygodnie też nie byłby gotów na jej śmierć. Nie bardziej niż teraz.

– Mylisz się. Mógłbym wiele zdziałać przez dwa tygodnie, zwłaszcza gdybyśmy spotykali się codziennie.

– Jesteś wzburzony i myślisz nieracjonalnie. – Popatrzyła na niego. Była opanowana i praktyczna, codziennie stykała się z kryzysowymi sytuacjami. Umiała na nie reagować bez zbędnego dramatyzowania.

– Owszem, jestem pod wpływem silnych emocji, ale wiem, co mówię. Jeżeli pacjent jest zmotywowany, potrafię nawiązać z nim relację terapeutyczną bardzo szybko. Max był zmotywowany. Wręcz zdesperowany.

– Nie masz wpływu na wszystko, nie jesteś Supermenem.

– Mimo wszystko. – Bezskutecznie usiłował odepchnąć złe myśli. – Nie wybaczę sobie, jeśli coś mu się stanie.

– Naprawdę ci zależy na tym dzieciaku, co?

– Zależy mi na wszystkich pacjentach.

– Wiem. Jednak ten wydaje się szczególny. – Przechyliła głowę na bok. – Zastanawiam się, czy twój osobisty stosunek do niego nie wyklucza relacji terapeutycznej.

– Nie – powiedział nieco defensywnie. – Przyznaję, że go polubiłem. Ty także.

– Owszem, ale nie tak jak ty – odparła łagodnie. Oczy Erica zaszklily się od łez.

– Co mam powiedzieć? Żal mi go. – Sympatia wobec chłopca wykraczała poza relację zawodową, nie mógł zaprzeczyć. Być może dlatego, że Max nie miał ojca, a on nie miał syna i bał się utraty córki. A być może z powodu przeraźliwej samotności tego dzieciaka, który właśnie stracił jedyną bliską osobę. – Pewnie podejrzewasz przeciwprzeniesienie?

– Wiem, że powinnam wiedzieć, co to znaczy, ale nie wiem.

– Z przeniesieniem mamy do czynienia na przykład wtedy, kiedy pacjent z problematyczną relacją z ojcem zaczyna traktować terapeutę jak ojca. O przeciwprzeniesieniu mówimy w sytuacji, gdy terapeuta patrzy na pacjenta przez pryzmat własnych problemów. – Przerwał, ponieważ sam zaczął kwestionować swoje intencje. – Przyznaję, że mam nieco ojcowski stosunek do tego dzieciaka. Można się tu nawet dopatrzeć jakiegoś związku z moim rozwodem. Nie sądzę, żeby doszło do przeciwprzeniesienia, ale na wszelki wypadek będę uważał.

– Niczego ci nie zarzucam. Po prostu zwróciłam uwagę, że to nietypowe, nawet dla Kapitana Emocji.

Uśmiechnął się z wysiłkiem, słysząc swój stary przydomek. Upłynęło sporo czasu, odkąd ukończyli studia. Znali się od lat i od lat sobie zwierzali, a jednak poczuł się dziwnie. Teraz, kiedy nie był już w związku. Usiłował zatuszować zażenowanie.

– Najchętniej pojechałbym do niego osobiście, zapewnił, że wszystko będzie dobrze, poradzimy sobie. I że jego babcia na pewno by chciała, aby żył dalej.

– Rozumiem, chciałbyś wszystko naprawić, ale to niemożliwe.

– Tak. – Przeczesał włosy palcami i po raz kolejny popatrzył na telefon. – Bezsilność doprowadza mnie do szaleństwa. Nie da się pomóc na odległość.

Laurie pokiwała głową.

– Znam to. Lekarze są stworzeni do naprawiania różnych rzeczy. Przynajmniej usiłują. Ja naprawiam codziennie przez cały dzień: zakładam szwy, dezynfekuję rany... Wiele osób uważa lekarzy pogotowia za wykwalifikowanych pracowników fizycznych. Nie przeszkadza mi to – przynajmniej mam szansę naprawić, co się da. Jeżeli ktoś nam umrze na stole, to nie dlatego, że nie zrobiliśmy wszystkiego, co w ludzkiej mocy.

– Od kiedy zrobiłaś się taka wrażliwa? – Popatrzył na nią podejrzliwie.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Uroda nie jest moim jedynym atutem.

Roześmiał się. Laurie naprawdę była bardzo ładna, chyba po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę. Co ważniejsze, emanowała spokojem i pewnością siebie. Czuła się dobrze we własnej skórze, a Eric czuł się rozluźniony w jej towarzystwie, mimo że bywała boleśnie bezpośrednia.

– Mam pomysł – oświadczyła, opierając się wygodnie o ławkę. – Dajmy sobie spokój z bieganiem. Poczekajmy tu na telefon, a później chodźmy na kolację. Ja gotuję. Przy okazji zobaczysz moje nowe mieszkanie. Nadal pijasz dzin z tonikiem?

– Tak. – Uśmiechnął się zaskoczony, że zapamiętała, jaki jest jego ulubiony drink.

– No i super. Mam butelkę tanqueraya. Może nawet znajdę parę limonek. Co ty na to?

Uśmiechnął się z pewnym trudem.

– Kupiłaś mnie na dzień dobry słowami: „dajmy sobie spokój z bieganiem”.

ROZDZIAŁ 24

Wszedł za Laurie do jej mieszkania, zerkając na telefon. Przyjechali dwoma samochodami, po drodze nie przestawał zamartwiać się o Maksa. Prawdę powiedziawszy, martwił się coraz bardziej. Nikt do niego nie dzwonił, a dyspozytorka powiedziała, że nic nie wie, kiedy ponownie skontaktował się z numerem alarmowym policji.

– Nadal cisza? – zawołała przez ramię Laurie, kładąc na stoliku klucze i torebkę.

– Tak. Dzwoniłem na policję i nagrałem się jeszcze raz na pocztę Maksa.

– Spróbuj się zrelaksować, a ja przygotuję kolację. Na pewno niedługo dostaniemy jakąś wiadomość. Jak ci się podoba mieszkanie?

Usiłował się nieco ożywić, oglądając kanciaste mieszkanie z dwoma sypialniami na pierwszym piętrze skromnego apartamentowca. Pokój dzienny i jadalnia w jednym miał kształt prostokąta. Na umeblowanie składały się stół i krzesła z ciemnego drewna, pasująca do nich duża brązowa sofa, wielkie fotele, błyszczący czarny regał i szafka pod telewizor. Całość dopełniona dywanikiem z sizalu. Dwa duże okna otwierały się na wysoki zielony żywopłot zasłaniający parking, za to były osłonięte prawdziwymi zasłonami, czym Eric nie mógł się poszczycić. Na ścianach wisiały obrazy współczesnych artystów. Jaskrawe, abstrakcyjne kształty kojarzyły mu się z testem Rorschacha, ale zatrzymał tę myśl dla siebie.

– Jest świetne – powiedział entuzjastycznie.

– Naprawdę? – Posłała mu niepewny uśmiech. Zrozumiał, że potrzebuje potwierdzenia. Chyba po raz pierwszy widział ją niepewną.

– Tak. Podobają mi się te obrazy. Ja jeszcze nie mam żadnych.

– Dzięki. To reprodukcje starych obrazów Matisse’a. Moich ulubionych. Prawda, że piękne?

– Piękne – potwierdził. Reakcja Laurie świadczyła, że udało mu się dobrać odpowiednie słowa.

– Czego się napijesz? Wody czy dżinu z tonikiem? – Przeszła do kuchni o ścianach pomalowanych na słoneczny, żółty kolor, z drewnianymi blatami.

– Poproszę wodę. Muszę zachować trzeźwość umysłu.

– Nie ma sprawy. – Otworzyła drzwi wypełnionej po brzegi lodówki. Jarmuż, sałata rzymska i buraczki stały na półkach obok truskawek, jagód oraz pojemników z pokrojonym ananasm i kantalupem.

– Łał, zaopatrzenie godne restauracji. To wszystko dla ciebie? – Powstrzymał się w porę przed zadaniem pytania: „Po co aż tyle?”.

– Oczywiście. Jestem tego warta. Uwielbiam gotować. – Uczyniła komiczny gest, demonstrując obficie zaopatrzoną lodówkę niczym prezydentka programu kulinarnego. – Cóż byś zjadł, mój drogi gościu? Mogę przyrządzić łososa ze szczypiorkiem, solę z masłem i kaparami albo jakąś pożywną sałatkę.

– Coś łatwego i szybkiego.

– Może sałatka? Będzie najszybciej.

– Wspaniale. Idealnie. – Zerknął na wyświetlacz telefonu. Była siódma trzydzieści dwie, a więc minęła godzina, odkąd Max do niego zadzwonił. Chciałby wiedzieć, co się z nim dzieje. Może policjantów coś zatrzymało, a może już u niego byli i odjechali. Pomyślał o Hannah. Nie wiedział, czy później nie będzie zbyt zajęty, by do niej zatelefonować. – Laurie, nie obrazisz się, jeśli wykonam jeden szybki telefon? Chciałbym zadzwonić do Hannah.

– Pewnie. Dzwon. – Podała mu szklankę z wodą. – Jeśli potrzebujesz prywatności, możesz się udać do mojej kobiecej jaskini. Jeżeli nie, najlepszy zasięg złapiesz tuż pod drzwiami. Chyba zepsuł się jakiś przekaźnik, bo bywa kiepsko.

– Dzięki. – Podeszedł do drzwi i wybrał numer córki. W słuchawce rozległ się mechaniczny głos:

– Przepraszamy, nie ma takiego numeru. Proszę się kontaktować z działem obsługi klienta w godzinach od dziewiętej do siedemnastej, od poniedziałku do piątku.

Rozłączył się przekonany, że wybrał niewłaściwy numer lub został źle połączony. Jednak kiedy spróbował ponownie połączyć się z Hannah, odpowiedziało mu to samo nagranie.

– Przepraszamy, nie ma takiego numeru...

– Niewiarygodne – stwierdził ze złością i odłożył telefon.

– Co się stało? – Laurie popatrzyła na niego znad deski do krojenia.

– Numer Hannah jest nieaktualny. Caitlin uprawia jakieś gierki.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Nie możemy się dogadać w sprawie opieki. Idziemy do sądu.

– Kurczę, nie wiedziałam. – Przerwała krojenie sałaty.

– Dopiero co podjąłem decyzję. – Poczł przykry ucisk w trzewiach. – Dzwonię do adwokátky. Nie gniewaj się.

– Śmiało. – Wróciła do przerwanej czynności.

Wybrał numer Susan. Po włączeniu się sekretarki, nagrał wiadomość:

– Susan? Proszę cię, oddzwon do mnie jak najszybciej. Myślę, że Caitlin zabrała Hannah telefon.

Następnie usiłował się dodzwonić do byłej żony, ale znów odpowiedziało mu nagranie z poczty głosowej.

– Cholera!

– Nie chce odebrać?

– Nie. Rozmawiamy już wyłącznie za pośrednictwem prawników. – Potarł twarz dłonią i wysłuchał radosnego głosu Caitlin, co doprowadzało go do furii. Mimo to pamiętał o zachowaniu spokoju, dla sądu.

– Caitlin, nie mogę się dodzwonić do Hannah, żeby jej powiedzieć dobranoc jak co wieczór. Z jakiegoś powodu odzywa się nagranie z informacją, że nie ma takiego numeru. To na pewno pomyłka, błąd połączenia. Czy możesz jej przekazać, żeby do mnie zadzwoniła? Bardzo ci dziękuję.

– Zakończył połączenie i westchnął.

Laurie popatrzyła na niego.

– Powinieneś się jednak napić dzinu z tonikiem – poradziła.

– Nie, nic mi nie jest. – Próbował wziąć się w garść. Jego problemy małżeńskie błądły w zestawieniu z tym, czego doświadczał Max. Modlił się, aby chłopiec nie zrobił sobie krzywdy. – Co mogło zatrzymać tych gliniarzy? Zadzwoniliby do ciebie ze szpitala, gdyby trafił na ostry dyżur, prawda?

– Tak, dzwoniłam z samochodu. Gliniarze zapewne ogarniają sytuację. Ci z Radnor są całkiem nieźli.

Postawiła na stole dwa niebieskie talerze z wzorkami.

– Mógłbym zadzwonić do kogoś wyższego rangą. – Telefon Erica zaczął dzwonić. Na wyświetlaczu pojawił się nieznan numer. Odebrał natychmiast. – Parrish.

– Doktorze Parrish, mówi posterunkowy Charles Gambia. Jesteśmy w domu państwa Teichnerów na Newton Road trzysta dziesięć, w Berwyn.

To był adres Maksa.

– Jak się czuje chłopiec? Max Jakubowski. Mogę z nim porozmawiać?

– Nie ma go tu, doktorze.

– Co takiego? – zapytał ze zdumieniem.

– Nie ma go. Jest jego matka. Ciało zmarłej zostało zabrane przez przedstawicieli zakładu pogrzebowego.

– Ale gdzie jest chłopiec? – Niepokój Erica sięgał zenitu.

– Nie było go w domu, kiedy przyjechaliśmy. Obeszliśmy wszystkie pomieszczenia i nie znaleźliśmy go.

Usiłował zatrzymać rozpędzone myśli.

– Matka nic nie wie?

– Nie.

– O której tam dotarliście?

– Za piętnaście siódma. Byliśmy niedaleko i przyjechaliśmy natychmiast po otrzymaniu wezwania.

Eric usiłował poskładać wszystko w całość. Policja przybyła na miejsce w kilka minut, ale mimo wszystko zbyt późno, aby zatrzymać Maksa. Od jego wyjścia minęło już czterdzieści pięć minut.

– Dlaczego dzwonicie dopiero teraz? Szukaliście go?

– Zajmowaliśmy się matką chłopca, panią Jakubowski. Nie jest w najlepszym stanie.

– Na pewno. Jej matka właśnie umarła. Mogę z nią zamienić kilka słów?

– Cóż... – Policjant się zawahał. – Zapytam.

– Dziękuję. – W słuchawce rozległ się szmer i daleki, niewyraźny głos zapłakanej kobiety.

– Doktorze Parrish? Pani Jakubowski nie chce teraz rozmawiać. Przepraszam, muszę już jechać, dostaliśmy kolejne wezwanie.

– Dobrze, ale co z Maksem? Możecie go jakoś zlokalizować?

– Nie mamy podstaw do wszczęcia poszukiwań.

– Nie da się nic zrobić?

– Nie, proszę czekać i zadzwonić do nas później, jeśli się nie odnajdzie.

– Jasne. Dziękuję.

– Do widzenia. – Policjant zakończył rozmowę.

Eric próbował uporządkować myśli. Tymczasem Laurie nakrywała stół do wyśmienitej kolacji. W drewnianej misie na środku stołu czekała ogromna ilość sałaty rzymskiej z dodatkiem plasterków awokado, pieczonej papryki i pokruszonego sera greckiego, obok kilka kromek chrupiącego chleba, kostka masła na talerzyku. Przy jednym z talerzy stała szklanka wody oraz duży dzin z tonikiem.

– Udało się? – Oparła rękę o stół i popatrzyła na niego z troską.

– Nie. – Żałował, że musi wyjść. – Kolacja wygląda wspaniale, ale nie mogę zostać. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

ROZDZIAŁ 25

Było już ciemno, kiedy wjeżdżał do dzielnicy wąskich krętych uliczek zabudowanych skromnymi trzypoziomowymi domkami jednorodzinnymi z lat siedemdziesiątych. Uliczka, w którą wjechał, nie miała innego oświetlenia poza poświatą monitorów padającą z okien. Zaparkował samochód przed domem Maksa, wyłączył silnik i objął spojrzeniem najbliższą okolicę.

Budynek był dwupiętrowy i tak niepozorny, że prawie niewidoczny zza przerośniętego żywopłotu. Na podjeździe stała ciemna toyota, prawdopodobnie należąca do Maksa bądź jego matki. Na ganku nie paliło się światło, ale poblask za zasłoniętymi oknami świadczył o czyjejś obecności w środku.

Eric wysiadł z samochodu, schował kluczyki do kieszeni i wszedł na teren posesji. Na małym zadaszonym ganku było kilka białych plastikowych krzeseł, podarty leżak oraz brudna biała popielniczka w kształcie papierosa z jakimś zabawnym napisem. Przez duże zasłonięte okno dobiegały odgłosy włączonego telewizora.

Zapukał do sfatygowanych drzwi wejściowych i kilka minut czekał na odpowiedź. Spróbował jeszcze raz, tym razem głośniejsze. Nie przejmował się, że łamie zawodowe zasady, ponieważ życiu Maksa zagrażało realne niebezpieczeństwo. W takiej sytuacji miał wręcz obowiązek poinformować o tym matkę chłopca. Otworzyła mu niska kobieta w szlafroku. Nie widział rysów jej twarzy z powodu ciemności, ale zakładał, że ma do czynienia z matką Maksa.

– Pani Jakubowski?

– Tak. Marie.

– Nazywam się Parrish i jestem lekarzem psychiatrą. Pani syn jest moim pacjentem. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje po stracie...

– Jakim sychiatrą? Nie wiem nic o żadnym sychiatrze?

– Mogę wejść i porozmawiać z panią o Maksie?

– Dobrze. – Otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się chwiejnie, nadeptując na rąbek szlafroka. Wnętrze domu cuchnęło tytoniowym dymem. W sztucznym świetle na korytarzu miał okazję przyjrzeć się twarzy Marie – nosiła ślady uzależnienia od alkoholu: obwisła skóra z popękkanymi naczynekami, szkliste przekrwione oczy i opadnięte powieki. Prawdopodobnie dobiegała pięćdziesiątki, ale wyglądała o dziesięć lat starzej.

– Martwię się o Maksa, Marie. Nie ma go w domu, prawda? – Rozejrzał się po niedużym salonie ze szczelnie zasłoniętymi oknami i włączoną klimatyzacją. Duża brązowa kanapa pod oklejoną boazerią ścianą, zwykły szezlong w tym samym kolorze oraz wyblakły dywan we wzorki w różnych odcieniach brązu. Na masywnej ławie stały brązowe fiolki z lekami, popielniczka pełna niedopałków, brudne plastikowe kubki i otwarta butelka smirnoffa. Eric nie wyczuwał niczyjej obecności w ciemnych i cichych pokojach.

– Nie. Powiedziałałam już gliniarzom, że go tu nie ma. Poszedł sobie, wyparował, do widzenia państwu – wybełkotała. Miała rozmyty, rozbiegany wzrok. Eric przez lata nabył doświadczenia

w obcowaniu z pijanymi pacjentami, potrafił ocenić na oko poziom alkoholu we krwi rozmówcy z podobną dokładnością, jak udawało się to niektórym policjantom. Marie Jakubowski dwukrotnie przekroczyła dozwolony limit. Możliwość nawiązania kontaktu była ograniczona, ale spróbował.

– Marie, boję się, że Max może zrobić sobie krzywdę w szoku po śmierci babci...

– Naprawdę jesteś lekaszem Maksa? Kto za to płaci? – prychnęła Marie. – Niech zgadnę – moja święta matka, co?

Eric był wstrząśnięty jej reakcją, chociaż nie zaskoczony.

– Tak, pani matka płaciła za sesje. Rozumie pani, co powiedziałem? Max może spróbować podjąć próbę samobójczą. Trzeba go natychmiast odszukać. Widziała się pani z nim, zanim wyszedł?

– Aha, dopóki mu nie kazałam zazwonić po kogoś, żeby zabrał z domu pieprzony sedes dla inwalidów i łóżko. – Zrobiła nieokreślony ruch ręką, wskazując cały pokój. Niebieski szlafrok rozchylił się, ukazując nagie, niezbyt ponętne ciało. – Nie chciałam patrzeć na cholerny sracz w salonie. Jestem panią tego domu, a nikt nie okazuje mi szacunku, zwłaszcza on. Wybiegł za drzwi bez słowa, jak jego ojciec. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Poczuł ogromne współczucie dla chłopca. Wyobrażał sobie, jak musiał się czuć Max, zrozpaczony po śmierci ukochanej babci, słysząc przemowy pijanej matki.

– Ma pani pomysł, gdzie mógłby pójść? Jakie miejsca lubił? Starbucks, biblioteka, galeria handlowa, cokolwiek?

– Starbucks? Wolne żarty. Bóg raczy wiedzieć, dokąd ten chłopak chadza. Chyba tylko do sklepu z gramami komputerowymi. Chce pan wiedzieć, gdzie jest? Trzeba zapytać moją matkę. Ups. No tak. – Kobieta zachichotała. Mroczne echo łobuzerskiego śmiechu pani Teichner. – Tych dwoje odnalazło się w korcu maku. Zadbła o niego w testamencie. Już dawno mi powiedziała, że nie dostanę złamanego grosza, wszystko będzie dla niego. – Nagle posmutniała. – Niech pan powie, czy tak mówi matka do jedyne dziecko, jedynej córki? To toksyczne, nie? Pan wie, przecież jezd zychiatrą. Była toksyczną matką. Polisa na życie też jest na niego. Nie dostanę żadnych pieniędzy, chyba że on też umrze.

Eric zignorował jej obrzydliwą przemowę.

– Proszę pomyśleć i spróbować mi pomóc...

– Max, Max, Max. Wszyscy tylko o niego się martwią. Matka bez przerwy się zamartwiała o tego chłopaka. A to że nie ma kolegów. A to że spędza za dużo czasu przed komputerem.

– Marie, liczy się każda minuta. Czy miał jakichkolwiek znajomych? W szkole, w pracy, wśród sąsiadów? Znasz kogoś...

– Zapewniam, że nie trzeba się o niego martwić. To... jak na takich mówią... patologiczny kłamca. Nie można wierzyć w ani jedno jego słowo. – Marie odgarnęła z twarzy kosmyk jasnobrązowych włosów i usiłowała go wepchnąć z powrotem w niechlujny kucyk z tyłu głowy. – Narzeka, że nie ma przyjaciół, a przecież słyszę, jak z kimś rozmawia nocami przez telefon.

Eric nadstawił uszu.

– Wie pani, z kim? Z kolegą z pracy? Szkoły? Z innym wielbicielem gier komputerowych?

– Bóg raczy wiedzieć, nie można mu ufać, coś o tym wiem. Nikt nie zna go lepiej niż ja. Nikt. Wykarmiłam dzieciaka piersią, od pierwszej chwili wiedziałam, że jest dziwny. Tak na mnie patrzył... Coś jest z nim nie tak, od urodzenia. Jest inny. Nienormalny...

– Ale z kim rozmawiał? Wspominała pani o tym policji?

– Nie. Może sam ze sobą gadał. Skąd mam wiedzieć? Albo udawał przede mną. – Machnęła ręką. –

Myśli pan, że zna Maksa, ale to nieprawda. Oszukał pana. Ten dzieciak jest szaleńcem. Jego ojciec był taki sam, tylko mniej inteligentny, nie potrafił tak dobrze udawać, miał szaleństwo w oczach. Max udaje zagubionego chłopaczka. Kogo jak kogo, mnie nie oszuka. On jest mistrzem manipulacji. Zmanipulował moją matkę i wszystkich w szkole. Strasznie cwana bestia. Już w trzeciej klasie uznali go za wybitnie uzdolnionego. Diaboliczny geniusz.

Eric nie sądził, aby Max poszedł do centrum handlowego. Musiało być jakieś inne miejsce.

– Może jest w szkole? W parku? Na boisku?

– Nie, nie, nie, powinien być tutaj, ale przepadł. Myśli pan, że go obchodzi? Umarła moja matka, nie jego. Jego żyje i siedzi w domu całkiem sama, bo Zack wyjechał, Max o tym wie. I co? Obchodzi go to? Zajął się mną w potrzebie? Co ze mną, pytam? Dlaczego nie zatroszczy się o mnie pies z kulawą nogą? Ani własna matka? Nie mają do mnie za grosz szacunku, kopia leżącego. Nie rozumieją, jak bardzo cierpię, jak to jest, nie mają pojęcia. – Popatrzyła na Erica, jakby go zobaczyła po raz pierwszy. Zmarszczyła brwi. – Za kogo pan się uważa, do cholery? Co, doktorze? Leczył pan mojego syna bez mojego pozwolenia, bez mojej wiedzy. On nie ma jeszcze osiemnastu lat, wiedział pan? Czy to w ogóle zgodne z prawem? Ha?

– Tak – odpowiedział ze spokojem. – Nie złamałem prawa. Max może korzystać z pomocy terapeutycznej bez zgody rodziców, mimo że nie jest jeszcze pełnoletni.

– Nie wierzę ani przez sekundę. To nie może być legalne, to na pewno nie jest legalne!

– Owszem, jest. Niemniej jednak mam obowiązek poinformować panią, jeśli uznam, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Dlatego przyjechałem. Obawiam się...

– O czym rozmawiacie, co? – zapytała pogardliwie, unosząc brew. – Pewnie o mnie, zawsze wszystkiemu winna jest matka. Co o mnie mówił?

– Obowiązuje mnie tajemnica lekarska...

– Jaka tajemnica? Max jest moim synem, moim jedynym dzieckiem. Mam prawo wiedzieć, jako matka. – Skrzyżowała ramiona i kiwała się w przód i w tył na piętach bosych stóp. Omal się nie przewróciła o rąbek szlafroka. – Nie powiem ani słowa więcej, dopóki się nie dowiem, co gadał na mój temat.

– Może zdołamy mu pomóc, jeżeli będziemy współpracować...

– Jak ja mam teraz żyć? Z czego? Z głodowej pensji?! Max ma dostęp do wszystkich jej pieniędzy, do trzech różnych kont, a do tego dostanie pieniądze z ubezpieczenia. Przeszukałam jego pokój, ale nic nie znalazłam. Nie mogłam zajrzeć do komputera, bo jest zabezpieczony hasłem. Mówił coś o pieniądzach? Wie pan, gdzie one są?

– Nie jestem upoważniony do udzielania informacji na temat terapii – powiedział. Miał pewien plan.

– Jak panu płacili? Czekać? Niech mi pan poda numer konta, który na nim widnieje. Mam święte prawo wiedzieć, gdzie są te pieniądze, każdy grosz. Wezmę, co do mnie należy. Nie zabiorą mi tego, ani ona, ani dzieciak. – Zaciśnęła zęby ze złości. – Bóg raczy wiedzieć, gdzie pochowali czek. Przynajmniej jeden powinien być na wierzchu. Och, jakiż on jest przebiegły.

– Mogę obejrzeć jego pokój? Być może znajdę te numery kont albo jakieś wskazówki. – W rzeczywistości miał nadzieję na znalezienie czegokolwiek, co wskaże mu miejsce pobytu Maksa. Przekraczał swoje zawodowe kompetencje, ale nie zamierzał pozwolić, żeby chłopak zginął z powodu jego zasad etycznych.

– Możemy spróbować – zgodziła się Marie, uniosła poły szlafroka, żeby się nie przewrócić,

i poprowadziła go chwiejnym krokiem w stronę schodów.

– Niech się stanie światłość. – Udało jej się wcisnąć włącznik przy drugiej próbie. Na brązową wykładzinę wymagającą odkurzenia i poszarzałe, porysowane ściany pozbawione obrazów padło światło jarzeniówek.

– Pomogę. – Obawiał się, że spadnie, dlatego przytrzymał ją za łokieć, chociaż trzymała się jedną ręką barierki.

– No, no. Dzentelmen – zachichotała pod nosem. Razem weszli na piętro. Marie włączyła światło.

Na jednych z trojga zamkniętych drzwi był wielki czarny plakat z obiektywem fotograficznym i napisem PORTAL. Kojarzył się z grą komputerową. Eric nie wiedział, czy to żart. Marie otworzyła drzwi, więc poszedł za nią.

Już na progu zapaliła mu się w głowie czerwona lampka. Nigdy wcześniej nie był w pokoju pacjenta. Przeczuwał, że jego koledzy, zapewne także Arthur, nie pochwalaliby takiego postępowania, ale cóż miał robić? Na szali było ludzkie życie. Powietrze pachniało świeżością, na białych ścianach nie dostrzegł ani jednej rysy. Eric podejrzewał, iż pokój Maksa był najczystszym pomieszczeniem w całym domu, oazą wśród chaosu, rupieci i brudu.

Pokój nastolatka był niewielki. Dwa okna po obu stronach łóżka nakrytego starannie wygładzoną biało-szarą narzutą. Po lewej stronie metalowy regał z równo ustawionymi podręcznikami szkolnymi, a pod nim czarne biurko pod komputer z dwoma dużymi monitorami, klawiaturą i zestawem dżojstików oraz pilotów. Jeden miał kształt rewolweru. Odkryta drewniana podłoga i niebieski dywanik obok łóżka. Nic, co mogłoby naprowadzić Erica na trop Maksa. Żadnej wskazówki, z kim rozmawiał przez telefon.

Podszedł do biurka.

– Ma pani coś przeciwko temu, żebym zajrzał do szuflad, Marie?

– Proszę. – Jak widać zapomniała już, że pretekstem Erica do przeszukania pokoju było znalezienie numerów rachunków należących do pani Teichner. Może od początku wiedziała, że to tylko pretekst, i nie obchodziło jej to.

– Dzięki. – Otwierał szuflady biurka, jedną po drugiej. W środku były przybory szkolne, gumy do żucia, cukierki, komiksy, mangi i stare karty do gry. Włamanie się do komputera to już za wiele, zdecydował. Zresztą nie znał hasła.

– Zawsze lubił porządek. Już jako mały dzieciak sprzątał po sobie wszystkie zabawki, zbierał klocki, układał kredki kolorami, suszył pędzle. Wszystko sam. Nie sprawiał żadnych problemów.

– Malował? – Wyprostował się i popatrzył na nią. Przypomniawszy sobie rytuał Maksa polegający między innymi na powtarzaniu nazw kolorów i opisane przez niego farby akwarelowe.

– Uwielbiał malować, robił to bez przerwy. Zachowałam wiele z jego malowideł, są tu gdzieś.

– Bardzo bym chciał je obejrzeć. – Popatrzył na plakaty gier komputerowych. Wisiały w równych rzędach niczym na wystawie sztuki alternatywnej, galeria robotów, zombi, transformersów i paramilitarnych typów z maskami zamiast twarzy. Sine Mora, Assura's Wrath, The Walking Dead, World of Warcraft, Gra o tron, Diablo III, Tomb Raider, Dark Souls 2, Wolfenstein: The New Order.

– Gry komputerowe, co? Taaa – prychnęła. – Powiem panu, że jak ten chłopak się za coś weźmie, to na całego. Ma obsesję na punkcie tych gier, wcale nie przesadzam. Kiedy był mały, streszczał mi fabuły. Rozmawialiśmy wtedy dużo, dogadywaliśmy się. Tylko ja i on.

Jej głos złagodniał. Przeniosła spojrzenie z plakatów na jedyną fotografię, która stała na szafce obok łóżka. Przedstawiała Marie jako uroczą młodą mamę z roześmianym dzieckiem w ramionach.

Matka i syn patrzyli sobie w oczy, Marie uśmiechała się do chłopca, a on wyciągał pulchną rączkę ku jej twarzy.

– Był taki słodki, taki mądry i grzeczny, naprawdę bardzo grzeczny. Właściwie sam się sobą zajmował: czytał książeczki, oglądał filmy. Już wtedy lubił oglądać, co popadnie.

– Ile ma miesięcy na tym zdjęciu?

– Około roku. Wyszły mu już wszystkie zęby. To świadczy o inteligencji, wie pan? – Oczy Marie zasnuły się łzami. – Byliśmy sobie bliscy, dopóki nie skończył pięciu, siedmiu lat. Czytałam mu wieczorami. Uwielbiał, kiedy mu czytałam.

Eric pomyślał o Hannah, była w podobnym wieku.

– Prezent urodzinowy ode mnie. – Podeszła do regału. Obok podręcznika do trygonometrii leżał nieduży, żółty pluszowy królik. Podniosła go.

– Pamięta pani, na które urodziny? – zapytał, próbując skłonić ją do mówienia.

– Jasne. Na trzecie. Mieszkaliśmy w Delaware, w ładnym, wynajętym mieszkaniu niedaleko Lewes. Byliśmy szczęśliwi tylko we dwoje.

– Kiedy się stamtąd wyprowadziliście?

– Tuż po czwartych urodzinach Maksa. Pamiętam, jak bardzo marzył o tym pluszaku, odkąd go zobaczył w sklepie. Nie chciał niczego innego na urodziny. – Odłożyła maskotkę, usiłowała ją posadzić, ale bezwładny królik zginał się w pół. – Niedługo potem poznałam Boba, on pił i ja też zaczęłam. Przenieśliśmy się do Aston. Nie byłam z nim długo, ale wystarczyło, żebym straciła kontakt z Maksem. Nie wiedziałam, że można kogoś stracić, ot tak. Otóż można. Pogubiłam się i straciłam go. Stałam się złą matką. – Odwróciła się gwałtownie i popatrzyła wprost na Erica załzawionymi oczami. – Na pewno uważa mnie pan za złą matkę. Ja też tak o sobie myślę.

– Nie oceniam – skłamał Eric, wchodząc w rolę psychiatry. – Rodzicielstwo jest trudne. Wszyscy popełniamy błędy.

– Ma pan dzieci?

– Tak, siedmioletnią córkę.

– Jak ma na imię?

Żaden pacjent nie zadał mu takiego pytania. Ale Marie nie była jego pacjentką, musiał o tym pamiętać.

– Hannah.

– Dogadujecie się? Spędzacie razem czas?

– Tak – odpowiedział ze ściśniętym gardłem. Przenigdy nie chciał stracić kontaktu z Hannah.

– To dobrze. Proszę nie powtarzać moich błędów i nie oddalać się od swojego dziecka. – Marie zamrugnęła. Eric odnosił wrażenie, że nie zwraca się do niego, a do siebie samej sprzed lat.

– Proszę mi opowiedzieć, co się stało z Maksem.

– Staralam się być dobrą matką i przez jakiś czas całkiem dobrze mi szło. Potem wszystko zepsułam. Przyznaję, że trochę piję. Nie jestem z tego dumna, kiedyś nawet poszłam na odwyk, ale nie pomogło. – Przygładziła włosy i owinęła się szczelniej szlafrokiem. – Może to normalne, wszyscy powtarzają, że nawroty są częścią procesu wychodzenia z nałogu i tak dalej. Każdemu zdarzają się potknięcia. Dlatego zamieszkaliśmy u mojej matki. Mama wspaniale zaopiekowała się Maksem, on ją kocha ponad wszystko, bardziej niż mnie. – Opadła na łóżko i zwiesiła głowę bliska płaczu. – Już go nie odzyskam, jest dorosły. Za późno, to koniec.

– Nie jest za późno. Nigdy nie jest za późno – zapewnił, kładąc rękę na ramieniu kobiety. – Musimy

go znaleźć. Obiecuję, że wam pomogę.

– Nie, to niemożliwe. – Pokręciła głową i otarła oczy rękawem za dużego szlafroka.

– Możliwe. Jeśli tylko pani zechce, Marie. Widziałem ludzi, którzy wychodzili z większych kryzysów i zmieniali swoje życie na lepsze.

– Naprawdę? – Popatrzyła na niego z nadzieją spod uniesionych brwi. Uderzyło go podobieństwo do Maksa, który wyraził podobne niedowierzanie w jego gabinecie.

– Tak, naprawdę – potwierdził. Najpierw jednak musiał odnaleźć Maksa.

Została jeszcze jedna możliwość.

ROZDZIAŁ 26

Eric prowadził samochód z telefonem przy uchu, nagrywając kolejną wiadomość dla Maksa.

– Max, to znowu ja, doktor Parrish. Proszę, oddzwonić do mnie, nieważne jak późno. Chcę ci pomóc, więc odezwij się, proszę. – Rozłączył się i zatelefonował na policję.

– Policja, w czym mogę pomóc? – Rozpoznał głos dyspozytorki, z którą rozmawiał wcześniej. Nie zdziwił się, rejon nie był duży.

– Mówi doktor Parrish. Dzwoniłem już wcześniej, nie wiem, czy pani pamięta. Chodzi o Maksa Jakubowskiego. Mojego pacjenta z tendencjami samobójczymi. Nadal nie zdołałem go zlokalizować. Czy dzwonił na policję? Albo ktoś inny w jego sprawie?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Ale wiedziałyby pani, gdyby ktoś dostał wezwanie w jego sprawie, prawda? Na pewno nie macie dużego ruchu w tak małym rejonie.

– Doktorze Parrish, nie wolno mi dyskutować na takie tematy.

– Jest pani jedyną dyspozytorką? Tyle może mi pani chyba powiedzieć?

– Nie, jest jeszcze jedna osoba. Połączę pana z posterunkiem, żeby nie blokować linii alarmowej.

– Świetnie, bardzo dziękuję. – Jechał szybko ciemnymi uliczkami, planując kolejny ruch. Znacznie wykraczał poza swoje obowiązki zawodowe. Czuł się osobiście odpowiedzialny za tego chłopca, który nie miał nikogo innego, na kogo mógłby liczyć. Nacisnął mocniej pedał gazu.

– Posterunkowa Melanie Nathan. W czym mogę pomóc?

– Pani Nathan, jestem ordynatorem oddziału psychiatrycznego w szpitalu Havemeyer General. Szukam nieletniego pacjenta o nazwisku Max Jakubowski. Obawiam się, że będzie próbował popełnić samobójstwo. Jego babcia zmarła dziś wieczorem, od tego czasu nikt nie miał z nim kontaktu. Porucznik Gambia był u niego w domu, ale zastał tylko matkę.

– Jaki adres?

– Mieszka tam z matką i babcią – powiedział, podawszy wszystkie dane. – Matka także nie wie, dokąd poszedł.

– Nazwisko matki?

– Marie Jakubowski. Rozmawiałem z nią. Nie była zbyt pomocna.

– Kiedy zgłoszono zaginięcie?

– Telefonowałem około szóstej trzydzieści, ale nie wiem, czy oficjalnie odnotowano zaginięcie. Chciałbym je zgłosić teraz, jeśli mogę.

– O której godzinie miał wrócić do domu?

– On był w domu. Babcia zmarła na jego oczach i został sam z jej zwłokami, następnie nagle wyszedł. Nikt nie wie, dokąd się udał.

– A o której to było godzinie, doktorze?

– Około szóstej – odpowiedział z napięciem.

– Dziś?

– Tak.

– Za wcześnie, aby go uznać za zaginionego. Zapewne pan o tym wie.

– Rozumiem, ale to wyjątkowa sytuacja. Pacjent jest w stanie ogromnego napięcia. Liczy się każda minuta. Czy ktoś do was telefonował w związku z Maksem Jakubowskim? A może on sam?

– Nie wiem, doktorze Parrish.

– Ale wiedziałyby pani, gdyby ktoś coś zgłaszał? To kilkunastoletni chłopiec. Ile możecie mieć podobnych zgłoszeń w dni powszednie w takiej dzielnicy jak Radnor?

– Zapytam kolegów i oddzwonię do pana. Proszę mi podać swój numer telefonu.

– Dzięki. – Podyktował numer, pożegnał się i rozłączył.

Nawiązał połączenie z Laurie.

– Eric? – Usłyszał niepokój w głosie przyjaciółki. – Co się dzieje?

– Max nie wrócił. Potrzebuję twojej pomocy.

– Mam sprawdzić pozostałe szpitale?

– Tak, jeśli możesz. – Właśnie o to chciał ją prosić. – Domyślam się, że nie trafił na twój oddział?

– Nie, zawiadomiłabym ciebie. Sprawdzalam dwukrotnie. Mają do mnie dzwonić, jeśli się pojawi.

Próbowałaś się czegoś dowiedzieć od policji?

– Tak, w Radnor. Na razie nic nie wiadomo.

– Znam parę osób z Chester i Delaware. Spróbuję się z nimi skontaktować.

– Dobrze mieć przyjaciół – powiedział z wdzięcznością.

– Gdzie jesteś? Co robisz?

– Szukam go.

– W jaki sposób? Gdzie? Potrzebujesz towarzystwa?

– Nie, dziękuję – odparł wzruszony. – Bardziej mi pomożesz, wykonując te telefony. Została mi jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

– Jaka?

– Powiem ci później, jeśli się uda. Muszę kończyć.

– Jasne, zadzwoń do mnie potem. Nie śpię, oglądam Jimmy’ego Fallona. Chyba się w nim zakochałam. Oto jak godne pożalowania jest moje życie.

– Na razie – powiedział z uśmiechem.

Wjechał na parking i stanął na pierwszym wolnym miejscu. JOGURTOWE NIEBO, przeczytał kolorowy szyld reklamujący miejsce pracy Renée. Przywiodło go tu przecucie, że Max mógł w chwili rozpaczy pójść do jedynej osoby, na której mu jeszcze zależało. Może właśnie siedział zapłakany w swoim samochodzie, dotykając czoła co piętnaście minut.

Wyłączył silnik. Wiedział, że łamie zawodowe zasady. Ale musiał tu przyjechać. Musiał zrobić wszystko, by uratować Maksa. Na tylnym siedzeniu samochodu leżała jego stara niebieska czapka z daszkiem, włożył ją teraz jako improwizowane przebranie. Chłopiec mógłby próbować ucieczki, gdyby go rozpoznał.

Bar jogurtowy mieścił się w budce na środku asfaltowego placu. Samochody parkowały na planie w kształcie odwróconej litery „U”, zostawiając wolne alejki po prawej i lewej stronie, tak aby nie blokować wjazdu i wyjazdu. Przód parkingu był przepełniony samochodami, stoliki na zewnątrz pod parasolkami w kolorach tęczy okupowały grupki nastolatków.

Powinien był zapytać Marie, jakim samochodem jeździ Max. Rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś

nie siedzi za kierownicą któregoś z aut. W rzędzie po prawej stronie nie zauważył nikogo, ale nie widział wnętrza ostatniego, chyba ósmego, samochodu. Na przednim siedzeniu siódmego dostrzegł sylwetki jakiejś pary.

Przesunął lusterko, żeby obejrzeć pojedynczy rząd pojazdów zajmujących środkową alejkę. Puste. Nie mógł się dokładnie przyjrzeć najbardziej oddalonej alejce, było zbyt ciemno. Zdał sobie sprawę, że gdyby Max przyjechał tu z zamiarem śledzenia Renée, zatrzymałby się na tyłach sklepu, aby zaczekać, nie wzbudzając podejrzeń.

Poczekaliby do zamknięcia baru na ujawnienie się Maksa, ale zamykali dopiero o jedenastej. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby Max umarł w samochodzie oddalonym o kilka metrów od niego. Wyjął kluczyki ze stacyjki, rozpiął pas bezpieczeństwa i wysiadł z auta, zamykając za sobą drzwi. Popatrzył ponownie: nie zauważył nikogo w żadnym z zaparkowanych pojazdów. Spuścił głowę, mijając nastoletnią klientelę baru, i przeszedł na zaplecze. Niebieski śmietnik i kilka aut zaparkowanych bokiem pod płótem.

Przeszedł obok nich. Nie znalazł nikogo poza jedną zajętą sobą parą. Poszedł dalej i skręcił w prawą stronę, okrążając bar. Minął furgonetkę pełną dzieciaków, zajadały jogurt, wpatrzone w ekran monitora, na którym wyświetlał się jakiś film. Eric zawrócił i zajrzał do środka jasno oświetlonego baru pełnego nastoletników i rodzin z dziećmi. Ani śladu Maksa. Trzy dziewczyny za ladą i jedna przy kasie. Wszystkie ubrane w T-shirty z napisem JOGURTOWE NIEBO, dzinsy i fartuszki. Jedna z nich miała rude włosy. To musiała być Renée.

Po prawej stronie lśniły maszyny samoobsługowe z nierdzewnej stali, obok nich miseczki i kubki. Cały personel oprócz kasjerki krążył wśród klientów, pomocny w nakładaniu jogurtu. Eric wpatrywał się w dziewczynę odpowiadającą opisowi Maksa, drobną istotę z burzą krótkich rudych loków ściągniętych do tyłu różową gumką. Miała świeżą, naturalną urodę, niebieskie oczy i ujmujący uśmiech. Odwróciła się do Erica, zapewne poczuła na sobie jego spojrzenie, i podeszła do niego.

– Pomóc panu? – zapytała, pochylając głowę na bok.

– Em, tak. – Usiłował zapanować nad wewnętrznym chaosem. Powinien się znaleźć w słowniku pod hasłem „pogwałcenie zasad kontraktu terapeutycznego”. Popatrzył na złoty łańcuszek na szyi dziewczyny, ten sam, który podobał się Maksowi.

– Jest pan u nas pierwszy raz, prawda?

– Tak.

– Zauważyłam, nowi klienci zawsze są na początku zdezorientowani. To bar samoobsługowy, cena zależy od wagi. – Renée uczyniła gest w stronę rzędu automatów oznaczonych napisami: wanilia, belgijska czekolada, banan, jagoda. – Na jaki smak ma pan dziś ochotę? Można mieszać. Jeśli wymiesza pan dwa rodzaje, to będzie „Smakowity Romans”, trzy to „Orgazmiczny Trójkąt”, a cztery – „Swingujące Pyszności”. – Przewróciła oczami w komiczny sposób. – Szef nam każe powtarzać te nazwy. Uważa, że to strasznie zabawne.

– Rzeczywiście zabawne. – Potrafił zrozumieć, co ujęło Maksa w tej sympatycznej dziewczynie. Zapewne czuł się swobodnie w jej towarzystwie.

– To jaki smak? Mały, duży czy średni?

– Średni waniliowy. – Pomyślał o Hannah, która uwielbiała lody i potrafiła rozpoznać po smaku, jaka firma je wyprodukowała.

– Obsłużyć pana? – zaproponowała, biorąc średni kubek. – Nie mamy dziś zbyt dużego ruchu.

– Tak, poproszę. Bardzo dziękuję. – Sięgnął po ulotkę. – Wygląda pani znajomo. Woźę córkę na

korepetycje do PerfectScore. Chyba tam panią widuję. Przyjeżdża pani z mamą?

– Tak! Chodzę tam na korepetycje! Są najlepsi! – Renée podstawiła kubeczek pod kranik automatu, nacisnęła dźwignię i zaczęła nim obracać, formując jogurtowy stożek.

– Zdaje się, że mają kilku nauczycieli, ale moja córka chodzi do Maksa.

– Ja też! – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Prawdziwy geniusz!

– Moja córka też tak uważa. Bardzo go lubi.

– Ja również. Jest nieśmiały i bardzo pochłonięty nauką, ale to miły chłopak.

Ucieszył się, że Renée żywi sympatię do Maksa, by po chwili zdać sobie sprawę z niestosowności takiego myślenia. Czyżby jednak przeciwprzeniesienie?

– W jakie dni ma pani lekcje?

– W środy i soboty.

– Och, więc nie widziała się z nim pani dzisiaj?

– Nie. – Renée obracała kubek pod stróżką jogurtu. – Jak ma na imię córka?

– Hannah – wyrwało mu się. Nie umiał dobrze kłamać.

– Do której szkoły chodzi? Ja do katolickiej.

– Do publicznej. – Musiał opowiedzieć historyjkę, której nie da się zweryfikować.

– Fajnie! Chce pan posypkę, prawda? Proszę za mną. – Poprowadziła go w stronę stanowiska z dodatkami, przy którym stała wysoka, ciemnoskóra dziewczyna z kolczykiem w nosie i jaskrawoniebieskimi włosami. Renée pomachała jej wesoło. – Trix, masz klienta!

– Super! – odparła z uśmiechem Trix.

– Trixie powie panu o dodatkach – zwróciła się Renée do Erica. – Też chodzi na korepetycje do PerfectScore, ale nie do Maksa.

– O, dzień dobry – powiedział zaskoczony. Właściwie nie powinien się dziwić, przecież PerfectScore było oddalone o pięć minut jazdy samochodem, a pracujące tu dziewczyny zapewne też mieszkały w okolicy.

– Trix, właśnie rozmawiałam z panem o Maksie. Twój korepetytor na pewno nie jest taki dobry jak on.

Trixie wysunęła dolną wargę, robiąc smutną minę.

– Wiem. W kółko robi ze mną testy, które mogłabym rozwiązywać sama w domu. Max jest o wiele lepszy. Uczy różnych sztuczek pomocnych w rozwiązywaniu zadań.

– Moja córka też tak mówi – wtrącił Eric, zanim ktokolwiek zdążył mu zadać kolejne pytanie.

– No dobrze, zostawiam was. – Renée pomachała mu i poszła obsługiwać innych klientów.

– Dzięki.

Trixie uśmiechnęła się do niego.

– Może pan wybrać dowolną ilość dodatków. Cennik wisi na ścianie.

Zdecydował się na truskawki i M&M'sy, kolejny przysmak Hannah. Zapłacił prawie siedem dolarów i wrócił do samochodu, po drodze wypatrując Maksa. Usiadł za kierownicą, jadł jogurt i deliberował nad kolejnym ruchem. Max mógł się zjawić w każdej chwili, a on nie miał innego pomysłu, gdzie go szukać. Nikt na niego nie czekał w domu. Jadł z roztargnieniem, rozglądając się wokół. Chłopiec mógł czekać na Renée na którymkolwiek z okolicznych parkingów: pod Dunkin' Donuts, Walgreens lub Hill's Seafood. Właściwie było to nawet bardziej prawdopodobne, ponieważ mógłby pozostać niezauważony.

Eric postanowił zostać do jedenastej. Samochody podjeżdżały i odjeżdżały: furgonetki, minivany,

stare i nowe modele. Coraz trudniej było je rozróżnić w ciemności, nie mówiąc o rozpoznaniu kierowcy. Jego niepokój o Maksa wzrastał. Musiał jakoś wytrzymać do jedenastej.

Odtworzył w myślach ostatnią rozmowę z Maksym i spotkanie z Marie. Matka okazała się gorsza, niż przypuszczał. Nietrudno zrozumieć, dlaczego chłopiec załamał się po śmierci babci. Eric mógłby go wesprzeć, gdyby tylko do niego dotarł, nim będzie za późno. Było mu niedobrze na myśl, że nie może zrobić nic, poza czekaniem w samochodzie.

Sięgnął po telefon. Renée Bevilacqua, Berwyn – wpisał w pasek internetowej wyszukiwarki adresów. Na ekranie pojawiło się kilka wyników. Żaden z imieniem Renée, spodziewał się tego. Kilka osób o nazwisku Bevilacqua – kobiety i mężczyźni powyżej czterdziestego piątego roku życia. Jedna z nich musiała być matką lub ojcem Renée. Najbardziej prawdopodobne wydały mu się najbliższe adresy na Trianon Lane, Sunflower Road i Gristmill Road. Dowie się na pewno dopiero po wyjściu Renée z pracy.

Zerkał na zegar umiejscowiony na desce rozdzielczej samochodu: ósma trzydzieści, dziewiąta trzydzieści, dziesiąta trzydzieści. Odłożył telefon, skupił całą uwagę na barze. W środku zostało już tylko kilka osób, Reneé wycierała blaty, Trixie pakowała dodatki do zamykanych pojemników, kasjerka przekładała pieniądze z kasy do szmacianej torby zamykanej na suwak.

Stojące na parkingu samochody można było policzyć na palcach jednej ręki, większość stała na tyłach baru, prawdopodobnie należały do personelu. Eric powędrował wzrokiem ku parkingom pod Dunkin' Donuts i Walgreens. Nigdzie ani śladu Maksa. Po pewnym czasie światła w Jogurtowym Niebie pogasły, grupka roześmianych dziewcząt wyszła na zewnątrz. Eric wyprostował się, gotów do działania. Rozpoznawał Renée po rudych włosach. Uściskała koleżanki na pożegnanie i poszła do zaparkowanego z tyłu samochodu, była to kobaltowa honda fit na samym końcu szeregu. Renée uruchomiła silnik, włączyła światła i ruszyła przed siebie.

Czym prędzej rozejrzał się na wszystkie strony w oczekiwaniu, że na którymś z parkingów zapłoną jeszcze jedno światła, ale nic z tego. Popatrzył na Renée, gdy mijała go, rozmawiając przez telefon. Włączyła się do ruchu na Barrett Street prawie bez zatrzymywania, następnie skręciła w lewo. Nikt za nią nie jechał. Wieczorny ruch nie był zbyt intensywny. Renée przejechała przez skrzyżowanie na czerwonym świetle.

Eric włączył silnik i podążył za nią w bezpiecznej odległości.

Anioł stróż anioła stróża.

ROZDZIAŁ 27

Barrett Road była dobrze oświetloną, główną, dwupasmową ulicą z sygnalizacją świetlną rozmieszczoną w równych odstępach. Jechał za Renée, utrzymując dystans jednego samochodu. Od jakiegoś czasu był to ten sam cadillac, jego kierowca trzymał wysuniętą przez okno rękę z papierosem. Z pewnością nie był to Max, on nie palił.

Światło zmieniło się na zielone i samochody powoli ruszyły. Nikt się nie spieszył, z wyjątkiem Renée. Jechała w taki sposób, że dyskretne śledzenie jej stanowiło nie lada wyzwanie. Pewnie rozmawia przez telefon i nic nie widzi, pomyślał Eric.

Bacznie obserwował pozostałe pojazdy na drodze. Agresywna jazda Reneé szybko wyeliminowała większość z nich. Oprócz Erica zostały tylko czarna toyota sedan i niebieski volkswagen kabriolet. W jednym z nich mógł siedzieć Max, obaj kierowcy byli niskimi mężczyznami. Nie chciał się do nich zbliżać, aby nie zostać zauważonym. Wkrótce i tak się przekona.

Trzy samochody jechały jeden za drugim, jakby stanowiły jedną całość.

W trakcie jazdy zastanawiał się, który z odszukanych wcześniej adresów jest tym właściwym. Wyeliminował Trianon Lane; aby tam dotrzeć, musieliby skręcić przed chwilą w prawo, zatem zostały Sunflower Road i Gristmill Road. Renée przyspieszyła, do korowodu dołączyła pomarańczowa furgonetka hydraulika, zasłaniając Erica przed wzrokiem kierowcy czarnej toyoty, która podjeżdżała niebezpiecznie blisko. Usiłował rozpoznać, czy to Max prowadzi czarną toyotę, ale furgonetka przyspieszyła w ostatniej chwili i całkowicie zablokowała widok.

Pomarańczowa furgonetka skręciła po kilku przecznicach, ale toyota i volkswagen pozostały na trasie. Nagle Renée włączyła kierunkowskaz i wjechała w Wheatfield Drive, kolejną główną szosę, prowadzącą na południe. Toyota i volkswagen powtórzyły manewr. Eric musiał zahamować, aby przepuścić volkswagena. Zobaczył zarys profilu kierowcy.

Przypominał Maksa. Wydawało mu się, że go rozpoznaje, lecz nie był pewien. Jechał naprzód z jeszcze większą determinacją. Znał okolicę i wiedział, że ta trasa nie prowadzi w kierunku Sunflower Road. Pozostawała Gristmill Road, ale nie kojarzył tej ulicy. Poza tym istniało prawdopodobieństwo, że źle wytypował wszystkie trzy adresy.

Dodał gazu równocześnie z Renée i skupił uwagę na volkswagenie. Ta marka pasowała do młodej osoby. Nie podejrzewał Maksa o upodobanie do kabrioletów, ale kto wie? Wheatfield Road także miała dwa pasma ruchu po obu stronach.

Eric wjechał na pas wolnego ruchu, aby mieć wszystkich na oku. Okolica się zmieniła. Drzewa były wyższe i bardziej liściaste, domy i latarnie rzadziej rozmieszczone. Przystanęli na czerwonym świetle, Eric nie spuszczał wzroku z volkswagena, który zatrzymał się tuż za Renée, obok toyoty. Droga był dość kręta, czasem dołączały do nich inne pojazdy, lecz szybko zostawały w tyle. Volkswagen utrzymywał cały czas ten sam dystans. Eric mógłby przysiąc, że za kierownicą siedzi Max.

Poczuł przyspieszone bicie serca. Renée włączyła prawy kierunkowskaz i skręciła, niemal nie zwalniając. Czarna toyota pojechała prosto, został już tylko volkswagen. Eric wstrzymał oddech, zobaczywszy włączony kierunkowskaz. To z całą pewnością Max, pomyślał.

Poruszył się nerwowo na swoim fotelu kierowcy. Skręcił w tę samą ulicę, w którą wjechała Renée w eskorcie kierowcy volkswagena. Zerknął na tablicę: Harvest Road. Cicha uliczka domków jednorodzinnych, bez sygnalizacji świetlnej. Trzy samochody podążały jeden za drugim. Renée pierwsza, Eric na końcu, volkswagen pomiędzy nimi. Dziewczyna zwolniła nieznacznie, ale kierowca volkswagena hamował, dokładnie tak zachowałby się Max, wiedząc, że zbliżają się do domu Renée.

Eric również nacisnął hamulec i wyprostował się na siedzeniu. Nigdy nie próbował zatrzymać kogoś prowadzącego samochód, ale nie spodziewał się wielkich trudności. Renée włączyła prawy kierunkowskaz. Eric przeczuwał, że zbliżają się do Gristmill Road. Włączył długie światła, żeby zwrócić na siebie uwagę Maksa. Kierowca volkswagena nie zareagował, nie przyspieszył ani nie zwolnił.

Uliczka gwałtownie skręcała w lewo. Renée weszła w zakręt bez włączania kierunkowskazu. Max zwolnił, włączył prawy kierunkowskaz i zatrzymał się. Zaskoczony Eric również musiał zahamować. Volkswagen wjechał na podjazd domu z numerem 212.

Eric jęknął, widząc, że kierowca gasi silnik oraz światła. Pomylił się. To nie był Max, tylko ktoś, kto mieszkał w tej samej okolicy, co Renée. Jeśli się nie pospieszy, zgubi ją. Wcisnął pedał gazu i skręcił w lewo, tak jak wcześniej Renée. Gristmill Road, przeczytał na tablicy. Czerwone światła samochodu dziewczyny połyskiwały kilka domów dalej. Eric zahamował, kiedy zdał sobie sprawę, że to ślepy zaułek.

Zjechał na krawężnik po prawej stronie i obserwował Renée, która wjechała z impetem na podjazd dużego domu pośrodku ulicy. Zatem mieszkała na Gristmill Road, ale Max nie pojechał dziś za nią. Eric wyłączył silnik, aby nie zwracać na siebie uwagi. Odetchnął głęboko. Czuł się zdezorientowany.

Pomyślał, że być może zbyt szybko się poddaje: Max znał adres Renée, mógł przyjechać w każdej chwili, żeby sprawdzić, czy bezpiecznie dotarła do domu. Albo właśnie ze sobą kończy, dodał ponuro w myślach.

Wnętrze samochodu Erica zostało raptownie oświetlone, kiedy w Gristmill Road skręcił ciemny coupe. Parrish nasunął czapkę na oczy i zerknął na mężczyznę za kierownicą. Max najprawdopodobniej dojechałby do końca uliczki, po czym zawrócił, sprawdzając, czy samochód Renée stoi na podjeździe. Świetnie, Eric mógłby wtedy zająć mu drogę u wylotu.

Obcy samochód posuwał się powoli wzdłuż krawężnika, a następnie zmienił kierunek i ruszył w stronę Erica, który poczuł dreszcz oczekiwania. Za chwilę miał się znaleźć oko w oko z Maksym, chłopak nie zdoła go uniknąć.

Znienacka oślepiły go długie światła coupe, kierowca zahamował w odległości zaledwie pół metra od niego. Nie był to Max, tylko jakiś mężczyzna w średnim wieku w rogowych okularach, podejrzliwie mrużący oczy.

– Przepraszam, kolego – odezwał się nieprzyjaźnie. – Mieszkam na tej ulicy i znam wszystkich sąsiadów. Nie jest pan jednym z nich. Co pan tu robi?

– Oj, przepraszam. – Wyciągnął ku niemu rękę z telefonem komórkowym. – Dostałem wiadomość i zjechałem na bok, żeby odpisać.

– Ale czego pan tu szukał wcześniej?

– Nie wiedziałem, że to ślepa uliczka. Przejeżdżałem przez Harvest, kiedy dostałem SMS-a, i skręciłem tutaj odruchowo. Musiałem przegapić znak.

– Ach, no tak, dobrze. – Nieznajomy się odprężył. – Nie przegapił pan znaku, nie ma go. Mieszkańcy wiedzą, że tędy nie ma przejazdu. Pańska pomyłka jest zrozumiała, jeśli nie zna pan okolicy. Przepraszam, że tak na pana naskoczyłem. W dzisiejszych czasach trzeba się mieć na baczności.

– Nie szkodzi. Rozumiem.

– Widzę, że nie jest pan terrorystą.

– Nie, nie jestem. Już odjeżdżam. Odpiszę kiedy indziej. – Uruchomił silnik i przesunął sprzęgło.

– To dobry pomysł. Mamy tu straż sąsiedzką. Prędzej czy później ktoś zadzwoni na policję.

– Nie ma problemu. Dobranoc. – Odjechał powoli i zawrócił, zerkając na dom, w którym mieszkała Renée. Duży budynek z cegły przypominał dworek, w oknach na dole paliły się światła. Pomachał kierowcy coupe, a ten pozdrowił go mrugnięciem reflektorów.

Odetchnął, dopiero kiedy znalazł się przy głównej ulicy.

ROZDZIAŁ 28

Skierował się na południe, czując znajomy ucisk w klatce piersiowej. Kojarzył go ze smutnym okresem swojego życia, kiedy zaburzenie przejęło nad nim całkowitą władzę, ścisnęło swoim stalowym uchwytem żebra, płuca, nawet krtań. Oddychał miarowo i jechał naprzód. Rozmyślał, dokąd mógł się udać Max. Mijał nieczynne, ciemne centra handlowe Devon, pusty parking przed marketem spożywczym, lodziarnię, którą właśnie zamykano, oraz warsztat swojego mechanika samochodowego. Raptem przyszło mu do głowy, że być może znajdzie chłopca w siedzibie PerfectScore, mieszczącej się całkiem niedaleko.

Skręcił w lewo, następnie dwa razy w prawo i ujrzał purpurowy szyld PerfectScore. Kolory Uniwersytetu Harvarda, doskonały chwyt reklamowy skierowany do zamożnych rodziców. Wjechał na mały parking przed jednopiętrowym budynkiem z cegły. Był zupełnie pusty.

Postanowił jechać do domu, chociaż miał przeczucie, że nie pozbędzie się nieprzyjemnego bólu w okolicy mostka, dopóki nie znajdzie Maksa, całego i zdrowego. Patrząc w ciemne okna mijanych domów, myślał o rodzinach w każdym z nich, śpiących dzieciach, które pójdą jutro do szkoły, i rodzicach szykujących się razem do snu. Wtulali się w siebie, jak niegdyś on i Caitlin, zbyt zmęczeni na seks, ale nie na to, aby okazać sobie czułość. Eric uwielbiał być mężem, mieć rodzinę, miejsce, w którym ktoś na niego czekał. Ku swojemu zaskoczeniu uświadomił sobie, iż tak naprawdę nie brakuje mu Caitlin dla niej samej. Brakowało mu żony, rodziny, poczucia bezpieczeństwa. Po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl, że popełnił ten sam błąd co ona: zakochał się w swoim wyobrażeniu, nie w żywej osobie. Nigdy nie byli zgodną parą, kłócili się o drobiazgi, kto ostatnio wynosił śmieci, kto zapomniał uiścić czek, czyja kolej na wizytę w sklepie papierniczym po przybory szkolne dla Hannah. Oboje pilnowali, żeby obowiązki były rozdzielone równo, i oboje przegrywali.

Zorientował się, że automatycznie wybrał drogę do starego domu na Mill Road. Przejechał na żółtym świetle i po pięciu minutach znalazł się na swojej ulicy. Pochylił głowę, sprawdzając, czy na jego podjeździe stoi jakiś samochód. Nie, ale dostrzegł coś innego. Jakiś kształt na oświetlonym pojedynczą żarówką ganku.

– Proszę cię, synu – mruknął do siebie i podjechał bliżej, wyężając wzrok. Niestety, z bliska kształt nie przypominał ludzkiej sylwetki. Zaparkował samochód na podjeździe i ruszył w stronę domu, chowając kluczyki do kieszeni.

Zajrzał do środka brązowej papierowej torby, którą ktoś zostawił pod drzwiami. *Oto kolacja, której nie zdążyłeś zjeść. Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Pozdrawiam, Laurie,* przeczytał liścik.

Podniósł torbę i wszedł do domu.

ROZDZIAŁ 29

5. Dostrzegam emocje innych ludzi, ale sam(a) ich nie odczuwam:

- a) tak**
- b) czasami**
- c) nie**

Kocham pogrzeby.

Uwielbiam je, tak jak niektórzy ludzie uwielbiają parady, fajerwerki, przyjęcia urodzinowe i spotkania przy grillu.

Podejrzewam, że inni socjopaci mogą podzielać moje upodobania.

Dlaczego uwielbiamy pogrzeby?

Nie dlatego, że jesteśmy złymi ludźmi, chociaż jesteśmy.

Mamy do nich słabość, ponieważ są tak cholernie łatwe.

Przez całe życie odgrywam rolę, odczytuję sygnały, staram się zrozumieć ludzi, żeby wiedzieć, co im mówić. Jak wiadomo, nie mam z tym najmniejszych problemów. To wrodzona umiejętność, doskonalona przez lata.

Jednak, mówiąc całkiem szczerze, tak między nami – po jakimś czasie wkrada się nuda.

Udawanie staje się męczące, wymaga wysiłku i ciągłej czujności.

Byliście kiedyś na przyjęciu, na którym bardzo chcieliście dobrze wypaść? Pokazać wszystkim, jacy jesteście fajni, inteligentni, wygadani lub atrakcyjni? Zakładacie wtedy maskę i prawdopodobnie nie możecie się doczekać powrotu do domu, gdzie będziecie ją mogli zdjąć.

Cóż, ja tak mam bez przerwy. Mogę zdjąć swoją maskę wyłącznie w samotności.

Kiedy ktoś umiera, wiadomo, jak się zachować.

Trzeba udawać smutek.

To łatwe, bardzo łatwe.

Jak dotąd było mało okazji. Z niecierpliwością czekam na kolejne pogrzeby.

Nie silę się nawet na płacz, ponieważ to dla mnie zbyt trudne: wycisnąć z siebie łzy, nie mając pojęcia, jak odczuwa się smutek.

Moja matka płacze jak zawodowiec, to fakt, który wyszedł na jaw po śmierci wujka Johna. Poszliśmy na jego pogrzeb w pochmurny, zimny poranek, stanęliśmy w małej grupce na cmentarzu, ubrani na czarno. Wszystkie moje pieniądze z trzynastych urodzin poszły na ten czarny strój. Całe sto osiemdziesiąt dziewięć dolarów wydane poprzedniego dnia w centrum handlowym, wyrzucone w błoto.

W każdym razie moja matka zrobiła z siebie idiotkę, płacząc nad grobem jak niemowlę. Jej twarz mieniła się wszystkimi odcieniami różu, była cała zasmarkana i głośnym szlochem zakłócała kazanie. Następnie, w momencie, kiedy każdy miał położyć na trumnie pojedynczą różę, ona rzuciła się na

drewniane pudło i zaczęła je ścisnąć jak pień drzewa.

Co za scena.

Przesada, nie uważacie?

Dla mnie lekcja, jak nie należy zachowywać się na pogrzebach. Starsi kuzyni śmiali się później z mojej matki, nazywali ją histeryczką. Podobno nawet nie lubiła swojego brata. Babcia twierdziła, że pewnie był jej winien pieniądze, dlatego tak rozpaczała.

To było moje pierwsze zetknięcie z wyrażeniem „krokodyle łzy”. Słownik podpowiedział, że nie chodziło o płacz prawdziwych krokodyli.

Nieważne.

W reakcji na czyjąś śmierć lub na wiadomość o niej wystarczy mieć w oczach małą zapowiedź łez. Jeśli popatrzyście na kogoś lekko przymglonym wzrokiem, pomyśli, że hamujecie płacz. Że gdybyście tylko pozwolili, z waszych oczu popłynęłyby strumienie łez, prawdziwa Niagara. Nie pozwalacie sobie na to, żeby nie wyjść na histerycznych idiotów, ponieważ ludzie umierają. Takie jest życie.

Nawet mili ludzie tacy jak wujek John.

Którego moja matka naprawdę kochała.

Czasem ćwiczę sobie wieczorem przed lustrem w łazience, jak wywołać ten efekt lekko zażawionych oczu. Krople Visine naprawdę pomagają, zwłaszcza jeśli podrażni się oko plastikową końcówką. Ale ja wolę próbować bez pomocy środków chemicznych.

Nie potrafię przywołać żadnych myśli wywołujących smutek. Niekiedy wspominam pogrzeb wujka Johna. Wyobrażam sobie, że znów mam trzynaście lat i właśnie zmarła bardzo fajna osoba.

Potem myślę o stu osiemdziesięciu dziewięciu dolarach wyrzuconych w błoto.

I wtedy dopiero płaczę.

ROZDZIAŁ 30

Poranek był wilgotny. Eric wysiadł z samochodu i ruszył w stronę szpitala, rozkojarzony i przerażony, ponieważ Max jeszcze się nie odnalazł. Miał za sobą nieprzespaną noc. Nie jadł nic poza przepyszną sałatką, którą zostawiła Laurie. Dwukrotnie zadzwonił do Maksa, następnie na policję w Radnor i Berwyn. Nikt nie widział chłopca. W drodze do pracy próbował się dodzwonić do Marie, ale nie odbierała telefonu. Prawdopodobnie cierpiała z powodu kaca. Znając sytuację, Eric domyślał się, że dom jest ostatnim miejscem, do którego poszedłby Max.

– Gratuluję nowego miejsca w rankingu, doktorze Parrish – powiedział jeden ze szpitalnych księgowych, materializując się obok niego pod automatycznymi drzwiami szpitalnego budynku.

– Dzięki – odparł odruchowo, wyrwany z zamyślenia. Jak widać, sukces jego oddziału był najgorzej strzeżonym sekretem wszech czasów. Zawsze uważał, że milion zasad na temat dyskrecji to zbędna biurokracja, ale chyba zmieni zdanie: wszyscy w tym szpitalu mieli długie języki.

– Wszyscy w księgowości bardzo się cieszą. Taki awans w rankingach przyniesie spore korzyści. Cały szpital zyska wspaniałą renomę.

– Tak, mam nadzieję. – Zapiszczał jego pager i odruchowo po niego sięgnął. Pracownicy szpitala mijali go po drodze na swoje oddziały. – Przepraszam, powinienem odebrać.

– Jasne. Na razie. – Księgowy poszedł w stronę wind, a Eric popatrzył na pager. *Zajrzyj do mnie przed pójściem na oddział*, napisał Brad Farnessen z administracji szpitala. Eric nie był w nastroju na biurokratyczne przeprawy, ale nie miał wyjścia. A zatem jechał teraz na to samo piętro, co księgowy, który właśnie wchodził do windy.

– Przytrzymaj drzwi! – zawołał Eric i wpadł do środka.

– Oddział psychiatryczny jest chyba w innej części szpitala?

– Muszę zajrzeć do Brada.

– Przygotuj tyłek do całowania. – Księgowy uśmiechnął się szelmowsko i wygładził wzorzysty krawat. – Chodzą słuchy, że boją się, bo podobno chcesz odejść.

– Och, daj spokój.

– Poważnie, przecież nie tylko nasz szpital zna już rankingi.

– Nigdzie się nie wybieram – zapewnił z uśmiechem.

– Na razie. – Wyszli z windy i księgowy pomachał mu na pożegnanie.

– Trzymaj się. – Telefon zasygnalizował odebranie wiadomości tekstowej. Eric wyjął go z kieszeni i zerknął na treść SMS-a od Laurie: *Wszystko w porządku? Wiadomo, co z Maksem? Dzwon o każdej porze.*

Radzę sobie nic nie wiadomo o maksie. dzięki za wczorajszą kolację. pogadamy później, odpisał.

Wszedł do lobby, okrągłego pomieszczenia z wysoko sklepionym sufitem pamiętającego czasy kolonialne. Ściany z białymi gipsowymi aplikacjami, mosiężne kinkiety i wypolerowana na wysoki połysk podłoga z czarno-białego marmuru. Trzy przejścia w kształcie łuków prowadziły do działu

finansowego, kadr oraz biura zarządu, ośrodków władzy całego, liczącego siedem placówek centrum medycznego PhilaHealth.

Eric przeszedł przez środkowy łuk do siedziby zarządu. W odróżnieniu od reszty tętniącego aktywnością szpitala ten korytarz zdawał się pusty i cichy. Na ścianach były grafiki przedstawiające polowania na lisy od Currier & Ives utrzymane w wyblakłych już odcieniach zieleni i niebieskiego. Parrish zerkał do wnętrza mijanych po drodze, osobliwie nowoczesnych biur na otwartym planie, urządzonych w stylu retro, aby lepiej pasowały do historycznego otoczenia.

W labiryncie stanowisk znajdował odzwierciedlenie skomplikowany charakter szpitalnej biurokracji. System rządzony tajemniczą gmatwaniną przepisów, zwłaszcza w kwestiach dotyczących zatrudnienia. Niewiele osób zdawało sobie sprawę, że nie każdy, kto pracuje w szpitalu, jest przez ów szpital zatrudniony. Dotyczy to w szczególności personelu medycznego. Eric jako jeden z nielicznych miał tutaj etat, co dawało mu więcej przywilejów, nawet jeśli musiał wypełnić milion formularzy, aby cokolwiek wyegzekwować. Pewnego razu zajrzał do spisu organizacyjnego pracowników i odnotował z przyjemnością, że jego nazwisko znajduje się na górze listy. Odpowiadał tylko przed jedną osobą: szefem psychiatrii całej sieci liczącej siedem placówek, Tomem Singhiem, którego przełożonym był z kolei główny dyrektor medyczny, Brad Farnessen. Eric lubił i szanował ich, ale nie zamieniłby się z żadnym na obowiązki. Obaj przestali praktykować medycynę, co to za przyjemność, myślał.

Skręcił w korytarzyk, gdzie za zamkniętymi mahoniowymi drzwiami mieściły się już tylko biura Singha i Farnessena. Przed każdym z gabinetów znajdowało się stanowisko asystentki udekorowane zdjęciami dzieci, ogrodów, psów i kotów. Obie kobiety pracowały przy swoich komputerach.

– Hej, Eric – pozdrowiła go z uśmiechem asystentka Brada, Dee Dee – długowłosa, ciemnoskóra i atrakcyjna. – Gratuluję drugiego miejsca.

– Dzięki. Co słychać?

– Nie narzekam. – Zdjęła kolorowe okulary do czytania i pozwoliła im opaść. Wyglądały jak wisior na łańcuszku z koralami. – Czekają na ciebie. Możesz wejść od razu.

– Oni? – Wszedł do środka. Zaskoczyła go obecność Toma i Mike’a Braezele’a z działu prawnego. Trzej mężczyźni stali wokół niedużego stołu konferencyjnego, naprzeciwko wielkiego, uporządkowanego biurka Brada. Półki za biurkiem wypełniały podręczniki medycyny, kodeksy, rodzinne fotografie. Na ścianie obok wisały oprawione w ramki dyplomy.

– Cześć, nie wiedziałem, że wszyscy się spotykamy.

– Witaj, Ericu. – Mike podszedł, by uścisnąć mu dłoń. Tom i Brad poszli za jego przykładem. Wszyscy uśmiechali się sztywno podczas tej oficjalnej ceremonii powitania. Tom, Brad i Mike przypominali korporacyjne klony, Toma odróżniało od nich tylko wyraźnie widoczne indiańskie pochodzenie: wszyscy mieli posiwiałe, przerzedzone włosy, nosili podobne okulary w drucianych oprawkach pasujące do lekkich, szarych garniturów, białych koszul i jedwabnych, wzorzystych krawatów. Eric poczuł, że do nich nie pasuje. Miał na sobie zwykłą koszulę bez krawata i spodnie khaki. Na szyi identyfikator z wielkim „W”, które skojarzyło mu się nagle ze szkarłatną literą.

– Usiądź, Ericu. – Brad wskazał mu krzesło, sam zajął miejsce u szczytu stołu. – Gratuluję sukcesu. Możesz być z siebie dumny.

Tom usiadł po prawej stronie.

– Właśnie. Gratulacje.

– Tak, dobra robota! – dodał Mike z działu prawnego, który usiadł kilka krzeseł dalej, wyjmując

z kieszeni koszuli długopis marki Mont Blanc. Przysunął sobie notes leżący na środku stołu.

– Dzięki. Mój personel miał w tym ogromny udział. – Eric wysunął krzesło i usiadł. W wypolerowanym szklanym blacie stołu odbijało się światło padające przez wielodzielne okna.

Brad się uśmiechnął.

– Nasz oddział w Exton ma trzydzieści pięć łóżek. Jest świetny, ale zdaję sobie sprawę, że duże ośrodki skupiają na sobie więcej uwagi. To podwójne osiągnięcie, Ericu, ponieważ nie startowałeś z uprzywilejowanej pozycji.

– Zgadzam się w całej rozciągłości – wtrącił Tom i przyklepał siwiejące włosy. Progresywne szkła okularów dzieliły na pół duże brązowe oczy, powiększały ich dolną połowę. – Jestem ogromnie rad z takiego wyróżnienia właśnie dla oddziału psychiatrycznego. Nasza specjalizacja nie zawsze wzbudza należyty szacunek, ale twoje wysiłki mogą to zmienić w ramach naszego systemu.

– Cieszę się. – Rozumiał Toma, łączyła ich nić porozumienia. Obaj pracowali w tym samym, stygmatyzowanym zawodzie. Nadal nie rozumiał, czemu atmosfera jest napięta, przecież składali mu jedynie gratulacje. Zwrócił się do Brada z pytaniem: – Czy tylko o tym chcieliście ze mną rozmawiać?

– Niezupełnie – przyznał Farnessen. Pochylił się i poprawił krawat, niewymagający poprawek. – Z przykrością muszę cię poinformować, iż odbyłem dziś rano rozmowę z dziekanem Akademii Medycznej Jeffersona, który twierdzi, że jedna ze studentek, stażystka na twoim oddziale, Kristine Malin, wniosła na ciebie skargę o molestowanie seksualne.

– Co takiego? – Eric był wstrząśnięty.

– Oczywiście o nic cię nie oskarżamy, ale znasz procedurę w takich przypadkach...

– To nieprawda! Co ona powiedziała? Co się dzieje...

– Wkrótce poznamy więcej szczegółów. Złożyła skargę na piśmie do dziekana. – Brad się zawahał.

– Od dziekana wiem na razie tyle, że podobno składałaś jej seksualne propozycje, które wymknęły się spod kontroli dwa dni temu po wyjściu z baru po wspólnie spędzonym wieczorze zakrapianym alkoholem...

– Nie było żadnego wspólnie spędzonego wieczoru! Po tym, gdy dowiedzieliśmy się o naszym miejscu w rankingu, zaprosiłem całą ekipę do baru. Wszystkich, nie tylko ją!

– Wierzę ci. Nie musisz się przed nami tłumaczyć, Ericu.

– Ale to oburzające!

Brad uniósł dłoń do góry.

– Powiedziała dziekanowi, że rzuciłaś się na nią na parkingu, usiłując wykorzystać jej oszołomienie spowodowane wypitym alkoholem...

– Nie! – wybuchnął Eric. – Co za szaleństwo, to kłamstwo...

– Naturalnie. Doskonale wiemy, że takie zachowanie jest sprzeczne z twoim charakterem...

– Ona czekała pod moim samochodem, ona usiłowała pocałować mnie, nie na odwrót! Ona czyniła mi propozycje, które odrzuciłem.

Brad otworzył usta, po czym je zamknął, nie wypowiedziawszy ani słowa. Eric zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Brad, Tom i Mike wierzyli w całkowitą bezpodstawność oskarżeń Kristine, a on właśnie podważył ich pewność. Mike spuścił głowę i notował coś swoim błyszczącym długopisem.

– Brad. – Usiłował zapanować nad głosem, ale z marnym skutkiem. – Ta dziewczyna mnie oskarża z zemsty za to, że ją odrzuciłem.

– Czyniła ci jakieś propozycje?

– Tak. – Przypomniał sobie wyraz twarzy Kristine podczas kłótni z Laurie, ale nie wspominał o tym zdarzeniu, nie chcąc dolewać oliwy do ognia. – Brad, przysięgam ci, że jej nie zaczepiałem w ten sposób. Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

– Oczywiście, że nie. Jesteś w szczęśliwym małżeństwie. Znamy Caitlin.

Ericowi zaschło w ustach ze zdenerwowania.

– Prawdę mówiąc, rozwodzimy się. Ale to nie ma znaczenia. Nigdy nie składałbym niestosownych propozycji stażystce ani żadnej pracownicy.

– No cóż. – Farnessen uniósł posiwiałą brew. – Jak sobie radzisz? Sprawa rozwodowa ma jakiś wpływ na twoją pracę?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Nie ma się czego wstydzić, Ericu. Ja też jestem rozwiedziony i wiem, jakie to trudne. Nic dziwnego, że czasem możesz przyjść do pracy w gorszej formie.

– Nie ma obawy, ta sprawa nie wpłynie na moją pracę. A oskarżenie o molestowanie jest absurdalne.

– Przedwczoraj doszło do incydentu z udziałem agresywnego pacjenta, niejakiego Donalda Perino. Wezwano ochronę, ale – o ile dobrze zrozumiałem – postanowiłeś go obezwładnić własnoręcznie?

– Chroniłem swój personel – odparł zbity z tropu. – Skąd o tym wiesz?

– Dostaliśmy powiadomienie, że jego żona wnosi skargę. Twierdzi, że dopuściłeś się pobicia.

– Żartujesz? – jęknął Eric. – Jeden z moich lekarzy, Sam Ward, był świadkiem całego zajścia. A także przełożona pielęgniarek. Oskarżenie pani Perino jest całkowicie bezpodstawne.

– Nie mam wątpliwości. Rocznie mamy setki tego typu skarg, bardzo niewiele ma jakiegokolwiek podstawy. Izba Lekarska z Harrisburga przyśle kogoś do zbadania sprawy, zazwyczaj jest to jakiś były gliniarz. Ten przypadek jest nietypowy o tyle, że dotyczy ciebie. Nigdy przedtem nie wpłynęła na ciebie ani jedna skarga.

– To wszystko nieprawda.

Brad zamrugał i powiedział:

– Naprawdę nie musisz się przed nami tłumaczyć, Ericu. Właściwie, wręcz nie powinieneś.

– Dlaczego? W jaki sposób mam się bronić? Mam wysłuchiwać tych oburzających oskarżeń bez słowa?

– Przepraszam. – Brad Farnessen uniósł palec wskazujący. – Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz: my nie wnosimy żadnych oskarżeń przeciwko tobie. Znamy twoją nieposzlakowaną opinię, ale musimy postępować zgodnie z procedurą. Mieliśmy już wcześniej jeden czy dwa podobne przypadki ze stażystkami. Procedury są jasne, za parę dni rozpocznie się dochodzenie. Skargi dotyczące molestowania są traktowane bardzo poważnie.

– Kto poprowadzi dochodzenie?

– Niezależna osoba spoza szpitala. Przesłucha Kristine Malin oraz wszystkich świadków. Ktoś poza wami był wtedy na parkingu?

– Nie, nie było nikogo.

– A w pozostałych sytuacjach, kiedy proponowała ci bliższą znajomość?

– Nie, robiła to bez świadków.

– Powiedziałaś komuś o tym?

– Nie. – Bardzo żałował, że tego nie zrobił. Przypomniał sobie SMS-a, którego od niej dostał, ale na pozór nie było w nim nic niewłaściwego.

– Dobrze. – Brad odchrząknął. – Jak już mówiłem, osoba prowadząca dochodzenie spotka się z nią i z ewentualnymi świadkami podanymi przez nią, a następnie porozmawia z tobą. Równocześnie z głównym dochodzeniem nasze procedury przewidują także „interwencję koleżeńską”.

– Co to takiego?

– Spotkanie jest dzisiaj o pierwszej trzydzieści. Będzie miało na celu ustalenie, czy nie znajdujesz się pod wpływem substancji zmieniających świadomość.

– Myślicie, że mam problem z narkotykami? – Eric był wstrząśnięty.

– Nie, Ericu. To tylko jedna z formalności. Zapytaj Mike’a. – Wskazał prawnika, który nie podnosił głowy znad notatek. – Wyjaśni ci, że musimy przestrzegać procedur, inaczej grozi nam proces o zaniechanie. Komisja do spraw Uzależnień ma na celu wyeliminowanie wszelkich podejrzeń o nadużywanie narkotyków, leków i alkoholu. A także wykluczenie choroby psychicznej.

– Ale nie ma takiej potrzeby. – Był zdezorientowany. Słyszał pogłoski o nadużywaniu leków przeciwbólowych przez anestezjologów, ale wśród psychiatrów tego typu problemy należały do rzadkości. – Kto zasiada w tej komisji? Nigdy o niej nie słyszałem.

– Skład jest ustalany *ad hoc*, na potrzeby konkretnych przypadków. Twoja liczy trzy osoby: mnie, Toma i Sama Warda.

– Sama? On jest moim podwładnym, na litość boską. Mamy tu chyba do czynienia z konfliktem interesów, prawda? Wiesz, jakie to dla mnie upokarzające?

– Wiem, ale takie są zasady.

– Jakie zasady? Skąd je wzięłeś?

– Ericu, proszę cię, nie podnoś głosu. – Brad zerknął na drzwi. – Ta sprawa jest poufna. Dla twojego dobra.

– Radzę, abyś jej z nikim nie omawiał – dodał Mike.

– Oczywiście, że nikomu nie powiem – odpalił Eric. – Nie chcę jej nadawać żadnego znaczenia.

– Naturalnie nie ma mowy o poruszaniu tej kwestii z poszkodowaną.

– Oczywiście... – Przerwał. – Chwileczkę, ona będzie pracować na moim oddziale po czymś takim?

– Tak, według planu został jej jeszcze tydzień.

– Miałaby pracować z człowiekiem, który ją molestował seksualnie? Rzucił się na nią na parkingu? To przecież dowód na nieprawdziwość tych oskarżeń!

– Niekoniecznie – odparł Mike, zaciskając usta. – Gdybym miał się zabawić w adwokata diabła, powiedziałbym, że mogła nie mieć innego wyboru. Poza tym, skoro jest ofiarą, nie powinna być zmuszana do odejścia.

– Ale ona nie jest żadną ofiarą!

– Mimo wszystko – kontynuował Mike ze spokojem – osoba składająca skargę w sprawie molestowania seksualnego zazwyczaj nie rezygnuje zaraz potem z pracy.

– Zatem nie możemy jej zwolnić?

– Nie. Przede wszystkim nie my ją zatrudniamy. Ponadto nie byłoby to zgodne z prawem pracy. Po prostu unikaj wszelkiego kontaktu z nią.

– Cudownie, po prostu cudownie. – Eric poczuł się przyparty do muru. – Jak mogę pracować z kimś z gruntu nieuczciwym? Nie mogę jej przecież dopuścić do pacjentów. Ona albo cierpi na urojenia, albo jest patologiczną kłamczuchą.

– Nic na to nie poradzimy. Jak już wspominałem, radzę jej unikać. Przede wszystkim pod żadnym

pozorem nie zostawaj z nią sam. – Mike sięgnął po leżący na krześle obok niego segregator, wyjął z niego kilkudziesięciostronicową broszurę i podał Ericowi. – Tutaj znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania. Rozdział o przepisach wewnętrznych dotyczących personelu medycznego. Skserowaliśmy dla ciebie na wypadek, gdybyś nie miał własnego egzemplarza. Zajrzyjmy teraz wspólnie do załącznika F: „Wytyczne postępowania w przypadkach przejawów destrukcyjnego zachowania pracowników”.

– Destrukcyjnego zachowania? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Spokojnie. – Mike otworzył folder na odpowiedniej stronie i podsunął Ericowi. – Destrukcyjne zachowanie zostało zdefiniowane jako „działania zagrażające poczuciu bezpieczeństwa na oddziale, mające negatywny wpływ na jakość opieki nad pacjentami lub na funkcjonowanie szpitala” – Mike wodził palcem po czytanych akapicie – „takie jak: przemoc słowna lub fizyczna wobec współpracowników i podwładnych, groźby, poniżanie oraz molestowanie seksualne”.

Eric usiłował się skoncentrować, ale litery wirowały mu przed oczami.

Mike czytał dalej.

– „Za popełnienie któregokolwiek z wyżej wymienionych, niedozwolonych czynów pracownik podlega karze natychmiastowego zwolnienia dyscyplinarnego”.

Zwolnienie dyscyplinarne? Miał stracić pracę z powodu tych kłamstw? Przecież jego reputacja zostanie całkowicie zrujnowana. Jakie będzie miał szanse na przekonanie sądu, żeby Hannah została przy nim, jeśli zostanie uznany winnym popełnienia przestępstwa na tle seksualnym?

– Ericu – zwrócił się do niego Mike, odkładając regulamin. – Nie potrzebujesz prawnika, aby stanąć przed Komisją do spraw Uzależnień. Nie będę obecny na spotkaniu, to interwencja koleżeńska. Tylko w gronie lekarzy.

– Przecież rezultaty tego spotkania będą miały konsekwencje prawne. – Eric starał się zachować trzeźwość myślenia, mimo surrealizmu sytuacji, w której tkwił. – Właśnie mi powiedziałaś, że mogę stracić pracę.

– Nikt nigdy nie stawał przed komisją w obecności adwokata. Moim zdaniem, nie potrzebujesz wsparcia prawnika. Jeżeli twoja wersja wydarzeń jest zgodna z prawdą, dochodzenie ją potwierdzi.

– Mówię prawdę. Oczywiście, że dochodzenie to potwierdzi. – Wstał. – Rozumiem, że nasze spotkanie dobiega końca. Mam zebranie personelu.

– Nie możesz jeszcze wyjść. – Brad uniósł się z krzesła i dał znak Tomowi. – Tom ma ci coś do powiedzenia.

Tom również wstał, trzymał dłoń w kieszeni marynarki.

– Przepisy wymagają jeszcze jednego...

– Tak? – Eric starał się panować nad emocjami.

– Musisz to zrobić od razu. – Tom wyjął rękę z kieszeni i postawił na lśniącym stole konferencyjnym przezroczysty plastikowy pojemnik z nakrętką.

Eric nie wierzył własnym oczom.

– Przykro mi. Potrzebujemy próbki moczu.

ROZDZIAŁ 31

Wysiadł z windy nadal oszołomiony. Jako lekarz codziennie zlecał badanie moczu różnym pacjentom z historią uzależnień, ale sam nigdy nie został poproszony o nasikanie do kubka. Był tym przeraźliwie upokorzony, z trudem zdołał ukryć wstyd, ukradkiem podając Mike'owi pojemnik po wyjściu z łazienki tak, aby Dee Dee niczego nie zauważyła. Miał ochotę rzucić tym w niego. Nie jest winny Mike, tylko Kristine, przypomniał sobie w porę.

Zbliżył się do wejścia na oddział psychiatryczny, przesunął kartę identyfikacyjną przez czytnik i otworzył drzwi kluczem wyjętym z kieszeni. Złościł się, że zawracają mu głowę fałszywymi oskarżeniami, podczas gdy Max nadal nie wrócił, być może nie żyje, a na oddziale czekają pacjenci, którzy potrzebują pomocy. To nedorzeczne, że spóźnia się na zebranie z tak absurdalnego powodu. Będzie miał zaległości przez cały dzień.

Wszedł na oddział, minął stanowisko pielęgniarek i świetlicę. Z naprzeciwka nadchodziła Amaka ze stertą akt, więc przykleił do twarzy uśmiech.

– Kochanie, wróciłem – powiedział, by po chwili zdać sobie sprawę, że nie powinien już w ten sposób żartować.

– Dostałeś premię albo przynajmniej tytuł rycerski? – zapytała, odwzajemniając uśmiech.

– Niezupełnie. – Wiedział, że jest ciekawa szczegółów. Spotkanie z zarządem to niecodzienne wydarzenie. – Chcieli przedyskutować plan marketingowy. Wejście na rynek i takie tam...

– Wejście na rynek? – zakrzuszyła się ze śmiechu. – Czy ty siebie słyszysz?

Eric nie miał pojęcia, gdzie słyszał to wyrażenie i dlaczego go użył.

– Tak, jestem teraz specjalistą od marketingu. Handluję zdrowiem.

– To kiedy wchodzimy na ten rynek?

– Nie pamiętam. Typowe korporacyjne bla, bla, bla. Zacznijmy nasz dzień.

Poszli razem przez korytarz.

– Słyszałeś już plotki? Podobno masz zamiar renegecować warunki swojej umowy o pracę i odejdziesz, jeśli twoje żądania nie zostaną spełnione. – Popatrzyła na niego z lekkim niepokojem. – Nie zostawisz nas, prawda?

– Oczywiście, że nie. Nie martw się.

– Mówię ci o tym tylko dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Wiem. Dzięki. – Uśmiechnął się. – Zwołasz wojsko?

– Zbiorę stado.

– Ha!

Wszedł do swojego gabinetu, położył torbę na krześle i usiłował wziąć się w garść. Tuż po wyjściu zauważył Sama idącego przed nim korytarzem w stronę sali konferencyjnej. Zesztywniał na myśl, że Sam Ward wie o oskarżeniu Kristine. Musiał wiedzieć, ponieważ zasiądzie w komisji zwołanej na pierwszą trzydziestą. Mimo potwornego upokorzenia musiał iść naprzód z wysoko podniesioną

głową, miał obowiązki, pacjenci na niego liczyli. Zawsze lubił młodego Warda, odnosił wrażenie, że z wzajemnością. Ciekawe, co myśli o nim teraz.

– Dzień dobry, szefie – zwrócił się do niego z uśmiechem Sam. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Miał problem, by spojrzeć mu w oczy. – Jak tam sprawy na oddziale?

– Wszyscy mają się dobrze, właśnie kończą jeść śniadanie.

– A Perino?

– Byłem u niego, jest stabilny.

– Leah Barry?

– Właśnie rozmawiałem o niej z Davidem. Martwi mnie jej apatia. Amaka nam powie, jak minęła noc, ale myślę, że trzeba będzie zmniejszyć dawki leków.

– Dzięki za informacje. – Weszli razem do pokoju konferencyjnego. Tuż po nich zjawili się David i Jack, zajęci rozmową. Następnie przyszli laboranci i dwóch pracowników opieki społecznej. Eric przyłapał się na tym, że raz po raz zerka na drzwi, oczekując nerwowo przybycia Kristine. – A co słyhać tak w ogóle?

– Niewiele.

– Poszedłeś na mecz do syna? Jak mu poszło? – Eric chciał dać do zrozumienia, że wciąż jest sobą – mężczyzną, dla którego liczy się rodzina, a nie zbroczeniem wykorzystującym stażystki.

– Jego drużyna wygrała. – Uśmiechnął się nieco zaskoczony, ponieważ rzadko rozmawiali na tematy pozazawodowe.

– Fajnie. – Eric był zbyt rozkojarzony, aby skupić się na prowadzeniu niezobowiązującej pogawędki. Zaschło mu w ustach. – Powinniśmy tu postawić automat z kawą, nie sądzisz? Dlaczego mamy tylko jeden na cały oddział?

– Prawda?

– Spotykamy się tu codziennie i codziennie nosimy kawę z kuchni. – Zastanawiał się, czy Kristine przyjdzie dziś do pracy.

– Zgadzam się, szefie. Nie powinniśmy być zmuszeni do importowania kawy aż z kuchni.

– Właśnie. – Uśmiechnął się z przymusem. Oby zadzwoniła, że jest chora, pomyślał z nadzieją.

– Postanowione. Ile formularzy musimy wypełnić, żeby dostać drugi automat? – Sam roześmiał się z własnego dowcipu.

– Kupię za własne pieniądze, co ty na to? Ominiemy formalności.

– Dorzucę połowę.

W tym momencie do pokoju weszła Kristine, rozmawiała cicho z drugą stażystką. Eric z trudem ukrył zdumienie na widok transformacji, jaka dokonała się w jej wyglądzie. Przyszła bez makijażu, w dużych okularach w rogowej oprawie, z włosami niedbale związanymi w koński ogon. Zamiast sukienki miała na sobie białą koszulę, granatowy blezer i spodnie khaki. Nadal była atrakcyjna, ale w inny, mniej seksualny sposób, jak ładna koleżanka córki, dziewczyna z sąsiedztwa.

W głowie Erica zapanował chaos spowodowany natłokiem myśli. Co ona robi i dlaczego? Czyżby miała być dziś przesłuchiwana? Powinien był zapytać, kiedy dokładnie rozpocznie się dochodzenie. Nie miał pojęcia, kogo ma nadzieję oszukać i co osiągnąć tymi sztuczkami. Wszyscy na oddziale znali jej styl ubierania, wręcz z niego słynęła. Miała opinię ślicznotki, dziewczyny, która codziennie przychodzi do pracy wystrojona. Tylko że żaden z członków dzisiejszej komisji tego nie wie, z wyjątkiem Sama. Tymczasem Sam stał obok niego i kontynuował rozmowę na temat automatów do kawy.

– ...ma lepszy smak i jest gorąca, ale te wszystkie plastikowe kubki zaśmiecają środowisko. Słyszałeś o wyspie śmieci na Pacyfiku, wielkości dwóch stanów Teksas? Jest tam od stu lat. Jeżeli nic się nie zmieni, zrujnujemy cały ekosystem.

– Racja. – Eric nie spuszczał wzroku z Kristine, która usiadła na swoim zwykłym miejscu, nadal pogrążona w rozmowie z koleżanką. Przyszło mu na myśl, że mogła jej powiedzieć o molestowaniu. Na pewno zwierzały się sobie i plotkowały na różne tematy, Caitlin nazywała tego typu rozmowy babskimi pogaduchami. Z całą pewnością wiedział dziekan Akademii Medycznej i jego współpracownicy.

Amaka usiadła i zwróciła się do Erica:

– Szefie, chciałeś zaczynać.

– Tak, oczywiście. – Dopiero zauważył, że stoją już tylko we dwóch, on i Sam. Czym prędzej podszedł do swojego krzesła u szczytu stołu. – Mów do nas, Amako.

– Na początek dobra wiadomość. – Kobieta otworzyła pierwszą kartę. – Pan Echeverria ma za sobą kolejną spokojnie przespaną noc, jego stan się poprawia.

Kristine nie przestawała szeptać do ucha koleżanki. Zazwyczaj nie zwracał uwagi na drobne niedogodności tego typu, zwłaszcza jeśli dotyczyły personelu niższego szczebla, ale dziś go irytowały.

– Po siedmiu godzinach snu bez protestu zażył leki i przyjął gości. Tym razem odwiedził go także synek. Namalował dla taty bardzo ładny obrazek, który zawisł na ścianie nad łóżkiem.

Jack prychnął lekceważąco.

– Widziałem. Mój pies lepiej maluje.

– Mój kot też – parsknął David.

– Spokój – zdenerwował się Eric. Był na granicy wybuchu. Wokół raptownie zapadła cisza i wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Zdał sobie sprawę, że kieruje złość pod niewłaściwy adres, lekarze prowadzący żartowali na każdym zebraniu i to nie oni go wkurzali. Powstrzymywał się przed uciszeniem Kristine nie tylko z obawy przed zemstą, także dlatego, iż bał się, iż zwróci w ten sposób uwagę innych na panujące między nimi napięcie.

Amaka przerwała niezręczną sytuację.

– Jutro wygasa ubezpieczenie pana Echeverrii. Jack chce go dziś wypisać. Co ty na to, szefie?

– Zajrzę do niego podczas obchodu i wtedy podejmę decyzję. – Nie mógł się skupić, wciąż wdzierał mu się do uszu syczący głos Kristine. Jak para upuszczana z szybkowaru, w którym rośnie ciśnienie.

– Dalej... – Amaka otworzyła kartę kolejnego pacjenta, odczytała podstawowe dane i uwagi pielęgniarek.

Eric nic nie słyszał, słowa Amaki zagłuszał w jego głowie szept Kristine. Raz po raz zadawał sobie pytanie, ile jeszcze osób, poza Samem i drugą stażystką, wie o oskarżeniu. Jeśli jedna osoba powie drugiej osobie, a tamta powie trzem kolejnym, do południa dowie się dwadzieścia pięć osób. Jego reputacja zostanie zrujnowana nawet w przypadku oczyszczenia z zarzutów. Ludzie już zawsze będą się zastanawiać, czy świeżo rozwiedziony ordynator molestował młodą Kristine.

– Przestań, Kristine! – krzyknął, odwracając się gwałtownie w jej stronę. Spojrzała na niego niewinnie zza okularów. W sali po raz kolejny zapanowała całkowita cisza. Patrzone na niego ze zdumieniem, Eric zdał sobie nagle sprawę, że dziewczyna przestała szeptać już jakiś czas temu. Zareagował na szepty w swojej głowie. Jakby był pacjentem cierpiącym z powodu urojeń, a nie

lekarzem, który ma im pomagać.

– Ordynatorze? Przepraszam? – Amaka zmarszczyła czoło, nie rozumiała, co się dzieje.

– To ja przepraszam. Kontynuuj. – Opanował się i wysłuchał sprawozdania na temat pozostałych pacjentów, ponieważ zasługiwali na jego uwagę. Podobnie jak Max, do którego zamierzał zadzwonić później. Po zakończeniu zebrania poszli na pierwszy obchód. Eric poradził sobie z nim w podobny sposób – skupiając całą uwagę na pacjentach.

W południe wziął z automatu puszkę napoju, jogurt i zamknął się w biurze. Ukrywał się, ale potrzebował chwili wytchnienia, zwłaszcza że o pierwszej trzydzieści musiał się stawić przed komisją. Wybrał numer Marie i usiadł, słuchając sygnału. Odebrała po drugim dzwonku.

– Marie? Mówi doktor Parrish.

– Dzień dobry, doktorze – odpowiedziała, lekko przeciągając samogłoski. Nie miał pojęcia, czy odebrała wcześniejszą wiadomość.

– Max wrócił do domu?

– Nie, nie widziałam się z nim. Ma pan jakieś wieści?

– Nie. Pracuje dziś?

– Tak, powinien być teraz w pracy, ale jego szef dzwonił i też o niego pytał. Nie pojawił się ani nie uprzedził, że nie przyjdzie. Nie wiedzą, gdzie jest.

– O nie. Niepokoję się, w jakim jest stanie psychicznym i czy nie zrobił sobie krzywdy – powiedział wprost. – Nie mam żadnych informacji od policji, a pani?

– Też nie.

– Czy kiedyś już nie wrócił na noc? To dla niego typowe? – Znając Maksa, domyślał się, jak brzmi odpowiedź na to pytanie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to typowe. – Zawahała się. – Ja... nie zawsze... nocuję w domu.

– Ale raczej nie, prawda? Jest odpowiedzialnym chłopcem. Czy kiedykolwiek opuścił dzień pracy?

– Nie jestem pewna, ale wątpię.

– Marie, wspominała pani wczoraj, że Max rozmawia z kimś przez telefon. Być może z jakimś przyjacielem. Domyśla się pani z kim?

– Nie. Wiem tylko tyle, że często rozmawia z nim przez telefon do późna.

– Z nim? Skąd pani wie, że rozmawiał z chłopakiem? Usłyszała pani imię? – Pomyślał o Renée.

– Nie, nie wiem, jak ma na imię, ale to musi być chłopak. Przecież Max na pewno nie ma dziewczyny – zachichotała. Eric usłyszał grzechotanie lodu w szklance, co go zaniepokoiło.

– Marie, nie moja sprawa, wiem, ale czy mogłaby pani pozostać przy coli? Ze względu na Maksa, jeśli mamy go znaleźć, musimy współpracować. To bardzo...

– Kiepsko sobie radzę z tym wszystkim. Dom nagle opustoszał, ludzie z zakładu pogrzebowego pytają, kiedy pogrzeb, a ja nie wiem, gdzie jest Max. Okazuje się, że mama już im zapłaciła, a mnie kazali wybrać kwiaty i różne takie...

– Rozumiem, przeżywasz ciężkie chwile, ale teraz najważniejszy jest Max. Trzeba go odnaleźć.

– Tak. Ma pan rację, doktorze.

– Dobrze. Na razie kończę, ponieważ chcę zadzwonić na policję. Zawiadomi mnie pani, jeśli Max się z panią skontaktuje, zgoda?

– Dobrze, dziękuję. Bardzo dziękuję za pomoc, naprawdę ją doceniam. Widzę, że panu na nim szczerze zależy. Do widzenia.

– Do widzenia. – Rozłączył się i wybrał numer posterunku w Radnor.

– Sierżant Colson, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, mówi Eric Parrish, psychiatra ze szpitala Havemeyer General. Dzwonię w sprawie jednego z moich prywatnych pacjentów, który przejawia skłonności samobójcze. Wyszedł wczoraj z domu po śmierci babci i do tej pory nie wrócił. Nazywa się Max Jakubowski.

– Ile ma lat?

– Siedemnaście, w tym roku kończy liceum. Chodzi do Pioneer High. Pracuje w centrum korepetytorów PerfectScore, ale nie pojawił się dziś w pracy. Matka też nie wie, gdzie go szukać.

– Ile czasu minęło od zaginięcia?

– Ostatni raz widziano go wczoraj o godzinie szóstej wieczorem, ale nigdy wcześniej nie nocował poza domem – powiedział Eric, ufając swojemu instynktowi.

– Może mi pan podać krótki rysopis chłopca?

Opisał wygląd Maksa.

– Czy jest uznany za osobę zaginioną?

– Nie będziemy się bawić w biurokrację, doktorze.

– Dobrze, ponieważ jego życie prawdopodobnie wisi na włosku. Rozmawiałem wczoraj z posterunkowym Gambią, który pojechał do domu chłopca na moją prośbę. On zna sprawę.

– Poczekaj pan kilka minut, doktorze?

– Poczekam. – Poruszył myszką i zalogował się na pocztę. Przejrzał z roztargnieniem listę wiadomości. Jedna przykuła jego uwagę. Otworzył ją.

– Doktorze Parrish? – odezwał się nagle sierżant Colson, wróciwszy do telefonu. – Rozmawiałem z jednym z policjantów na patrolu. Zna sytuację i rozgląda się za chłopcem. Powiadomimy pana, jeśli się czegoś dowiemy. Zapisaliśmy wczoraj pana numer.

– Dziękuję.

– Do widzenia, doktorze.

– Do widzenia. – Eric wpatrywał się w monitor. Treść maila od Susan brzmiała: *Ericu, przesyłam załącznik z kopią wniosku o przyznanie opieki nad dzieckiem, który został dziś złożony w Twoim imieniu. Dzwon, gdybyś miał jakiegokolwiek pytania. Najlepszego, Susan.*

Otworzył załącznik i usiłował przeczytać wniosek, ale nie potrafił się skupić. Słowa skakały mu przed oczami: **MAŁOLETNIIE DZIECKO, ŻONA, MAŻ, MIEJSCE STAŁEGO POBYTU**, ich prywatne życie opisywane pogrubioną czcionką. Studiował wniosek, dopóki nie nadszedł czas, aby stawić się przed komisją.

Nie zjadł jogurtu.

ROZDZIAŁ 32

Staął przed mahoniowymi drzwiami na pustym korytarzu i wziął głęboki oddech. Musiał się teraz skupić, więc na razie odsunął myśli o Maksie i wiadomości od Susan. Wszedł do sali konferencyjnej, gdzie czekali już na niego Brad Farnessen, Tom Singh i Sam Ward. Musieli przyjść dużo wcześniej. Siedzieli obok siebie przy stole w kształcie odwróconej litery „U”, z butelkami wody i przyborami do pisania.

Brad wstał pospiesznie i uśmiechnął się do Erica, wskazując miejsce po prawej stronie.

– Wejdz, Ericu. Siadaj, proszę.

– Dzięki, że przyszedłeś – powiedział Tom ze sztuczną werwą, wstając ze środkowego krzesła.

Sam podniósł się ostatni, popatrzył Ericowi w oczy wyraźnie zażenowany i zacisnął usta. Pomachał odruchowo i schował rękę do kieszeni. – Cześć, szefie.

– Witajcie. – Parrish zajął miejsce na czarnym ażurowym krześle po prawej stronie panelu i rozejrzał się wokół, kiedy pozostali mościli się na swoich stanowiskach. Mała, prostokątna salka pozbawiona okien, za to z wielkim telewizorem na ścianie, futurystyczny, rozbudowany telefon do prowadzenia konferencji telefonicznych na środku stołu i tablica z napisem: „Tabela bezpieczeństwa wewnętrznego szpitala”.

– Dziękujemy, że przyszedłeś, Ericu. – Tom odchrząknął i poprawił się na krześle. – Chcielibyśmy zacząć od oświadczenia w imieniu całej komisji. Wiedz, że doceniamy piętnaście lat twojej ciężkiej pracy.

– Dziękuję. – Uśmiechał się, lecz spojrzenie chłodnych, szarych oczu Toma wytrącało go z równowagi, więc przeniósł wzrok na tablicę. Pod nagłówkiem znajdowało się kilka kolumn i uwag napisanych czarnym flamastrem.

– Jesteśmy ci wdzięczni za współpracę. Mam nadzieję, że rozumiesz: to tylko formalność.

– Tak jest. – Czytał od lewej strony. „Raport o uszkodzeniach ciała”, a pod spodem: „Krwotoki”, „Rany klute”, „Uszkodzenia ciała pracowników przez pacjentów”, „Upadki”. W każdej kategorii były czerwcowe daty, z wyjątkiem upadków. Jak widać, w tym miesiącu wszystkim udawało się pozostawać w pozycji pionowej.

– Objasnię krótko, czego ma dotyczyć nasze dzisiejsze, nieformalne spotkanie. Mikrofon i kamera są wyłączone, będziemy robić notatki. – Tom wskazał przybory do pisania. – Ty też możesz, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję. – Przystąpił do czytania kolejnej kolumny, która nie miała nagłówka: „Błędna diagnoza”, „Wypadek z winy pracownika”, „Upadek i uszkodzenie ciała”, „Interwencja ochrony”, „CLABS”, „CAUTI”, „C.DIFF”. Pod każdym była jakaś data, w trakcie czytania zorientował się, że to lista błędów personelu medycznego. Czyżby znalazł się w pokoju przesłuchań? W takim razie dobrze trafił.

– Nasza rozmowa potrwa około godziny. Jej powodem jest złożenie skargi w sprawie

molestowania seksualnego; wniosła je Kristine Malin, stażystka z twojego oddziału.

Eric się skrzywił, słysząc te słowa wypowiedziane w obecności Sama. Jeżeli nie wiedział wcześniej, to właśnie się dowiedział, i dziwne zachowanie szefa od samego rana nareszcie nabrało dla niego sensu.

– Pytania zadaję tylko ja. Nie będziemy udawać rzymskiego triumwiratu. Nie zostaniesz zaprzysiężony. Wiemy, że jesteś uczciwym człowiekiem, i ufamy ci.

– Dziękuję. – Zmusił się do oderwania wzroku od tablicy. Patrzenie w bok mogło zostać uznane za brak szczerości.

– W razie jakichkolwiek wątpliwości nie wahaj się pytać. To nie jest inkwizycja, tylko dyskusja. Masz jakieś pytania, zanim przejdziemy dalej?

– Tak. – Powtarzał sobie, że musi zachować zimną krew. – Co będzie, kiedy skończymy? Wysłuchacie mnie, a potem zdecydujecie, czy jestem wiarygodny? Ocenicie to we trzech?

Tom pokiwał głową.

– W zasadzie tak, ale nasze wnioski będą tylko jednym z czynników. Osoba prowadząca dochodzenie spotka się z panną Malin i wyda opinię o wiarygodności jej oskarżeń. Po zapoznaniu się z tą opinią wydamy ostateczną decyzję przed upływem tygodnia.

– Czy Kristine, hm, panna Malin składa dziś zeznania? – Skorzystał z okazji.

– Tak, dziś po południu.

– Wiedziałem! – zawołał z triumfem i pochylił się do przodu. – Posłuchajcie, nie mam pojęcia, czemu opowiada te kłamstwa na mój temat, ale wygląda dziś zupełnie inaczej, nie widziałem jej takiej, odkąd zaczęła u mnie staż. Zazwyczaj nosi soczewki kontaktowe, perfekcyjny makijaż i wyszukane stroje, a dziś włożyła okulary, spodnie i blezer, związała włosy w koński ogon i przysłała nieumalowana.

– Do czego zmierzasz, Ericu? – odezwał się Tom.

– Myślę, że chce udawać kogoś innego przed tym śledczym; sprawiać wrażenie skromnej dziewczyny, która nie podkreśla nadmiernie swojej atrakcyjności. Nie ubiera się prowokacyjnie... – Zdał sobie sprawę, że jego słowa brzmią jak klasyczne obwinianie ofiary. – Oczywiście sposób, w jaki się ubiera, nie daje nikomu prawa, żeby ją molestować, ale przysięgam wam – ja tego nie zrobiłem. – Zwrócił się do Sama. – Pracujesz z nią codziennie. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Nie wygląda dzisiaj zupełnie inaczej niż zwykle?

– Rzeczywiście. – Sam pokiwał głową i popatrzył na Toma. – Eric ma rację, Kristine nigdy nie wyglądała tak jak dziś na zebraniu. Nie zrozum mnie źle, nie usprawiedliwiam molestowania, niezależnie od okoliczności, ale Eric mówi prawdę. Kristine jest bardzo ładna, jeśli mogę to powiedzieć... – Zawahał się. – Mogę, prawda, Tom?

– Możesz.

– Dobrze. Jest atrakcyjną kobietą i codziennie podkreśla to strojem, zapytaj kogokolwiek na oddziale. Pielęgniarki plotkują na temat długości jej spódnic. Natomiast dziś wygląda bardzo skromnie. Pomyślałem nawet, że chyba jest chora.

– Dziękuję! – zawołał Eric. – Dzięki, Sam, właśnie o tym mówiłem. Słyszałeś, Tom? To dowód, że nie kłamię. Przysięgam, nie molestowałem jej. Nigdy bym tego nie...

Tom uniósł dłoń, niczym policjant kierujący ruchem.

– Ericu, wyraziłeś swoje zdanie. Sam, dziękuję za wyjaśnienia. – Skinął głową i przeniósł uwagę z powrotem na Parrisha. – Ale nie dotarliśmy jeszcze do tego punktu. Nie zrozumiałeś, jaki jest cel

naszego dzisiejszego spotkania, Ericu. Mamy za zadanie przedyskutować w koleżeńskim gronie twoje ewentualne problemy z nadużywaniem substancji psychoaktywnych. Poranne badanie moczu nie wykazało ich obecności w twoim organizmie.

– Oczywiście, że nie. Nie jestem od niczego uzależniony.

Nagle z głośnika dobiegł zniekształcony głos:

– Doktor Parrish i doktor Ward są proszeni o natychmiastowe przybycie na oddział Wrighta. Doktor Parrish i doktor Ward na oddział Wrighta. Stan kryzysowy.

– O nie. – Eric poderwał się na równe nogi, jego pager i pager Sama zadzwoniły niemal równocześnie. Sam odczytał wiadomość pierwszy.

– Szefie, wezwali policję na oddział. Na pewno coś z Perino. – Eric był bliżej drzwi, otworzył je, zanim Sam zdążył obejść stół.

Brad zmarszczył brwi i wstał.

– Stan kryzysowy? Czyżby ktoś zbiegł z oddziału? Mam nadzieję, że nie. Nie powinni byli wzywać policji, to niezgodne z naszą wewnętrzną procedurą.

– Tom, Brad, musimy lecieć! – zawołał Eric przez ramię, opuszczając pomieszczenie. Sam wybiegł tuż za nim.

– Oczywiście, biegnijcie – odparł oszołomiony Tom i również wstał ze swojego miejsca. – Dokończymy później.

Eric biegł przez korytarz, nie miał pojęcia, co się mogło wydarzyć. Modlił się, aby Perino nie skrzywdził żadnej z pielęgniarek.

– Co się dzieje z Perino, Sam?

– Przepraszam, szefie. Dowiem się. – Otworzył podwójne drzwi prowadzące do skrzydła Wrighta.

– Chodźmy schodami. – Eric wyszedł na klatkę i pokonywał po dwa stopnie naraz. Sam podązał za nim. Kiedy dotarli na półpiętro, usłyszeli czyjeś głosy, dobiegały z dołu. – Brad i Tom?

– Aha – mruknął Sam. – Pilnują procedur.

– No. – Nie musiał niczego więcej dodawać. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali w chwili kryzysu, to dwóch ważniaków w garniturach próbujących udowodnić, że wiedzą lepiej, co należy robić na ich terenie.

– Eric, Sam! – zawołał z dołu Tom. – Jesteśmy tuż za wami!

– Do zobaczenia na górze! – odkrzyknął Eric i przyspieszył wspinaczkę. Minęli trzecie piętro, czwarte, aż wreszcie wypadli na korytarz piątego piętra. Przez szybę za zamkniętymi drzwiami na oddział zobaczyli grupę pracowników ochrony w niebieskich uniformach oraz dwóch mężczyzn w garniturach. Amaka sprawiała wrażenie wstrząśniętej, podobnie jak stojący za nią personel. Kristine przybrała sztucznie zatroskany wyraz twarzy, ale Eric nie miał teraz czasu roztrząsać jej gierki, ponieważ wszystko działo się jednocześnie.

– O Boże. – Sam włożył do czytnika swoją kartę identyfikacyjną, Eric otworzył drzwi kluczem.

– Co się, do cholery, dzieje? – Dogonili ich Brad i Tom.

Parrish podszedł do Amaki.

– Co się stało? Chodzi o Perino?

Sam wyciągnął szyję, patrząc ponad głowami zebranych.

– Zrobił komuś krzywdę?

– Doktor Parrish? Dzień dobry, detektyw Rhoades – odezwał się jeden z mężczyzn w garniturze, występując naprzód. Był wysoki i muskularny, mniej więcej w wieku Erica, miał brązowe oczy

i szeroką, mięsistą twarz. Włosy ogolone kilka milimetrów przy skórze odsłaniały skórę głowy. – Przepraszamy za to zamieszanie, ale nie mogliśmy czekać. Mój partner, detektyw Pagano – przedstawił swojego młodszego, szczuplejszego towarzysza.

– Słucham, co się stało? – zapytał ze strachem.

– Chcielibyśmy pana zaprosić na komendę. Potrzebujemy od pana informacji, które mogą nam pomóc w śledztwie.

– W jakim śledztwie?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zamordowania Renée Bevilacqua.

ROZDZIAŁ 33

– Renée... nie żyje? – powiedział w osłupieniu. Nie wierzył. To niemożliwe. Był wstrząśnięty do szpiku kości.

– Kim jest Renée, Ericu? – spytał zaskoczony Brad. – Pacjentką twojego oddziału?

– Nie, ta sprawa ma związek z pacjentem, którego przyjmuję prywatnie. – Serce Erica kołatało gwałtownie, jakby chciało uciec.

– Doktorze Parrish, możemy liczyć na pańską pomoc? – upewnił się detektyw Rhoades.

Amaka dotknęła ramienia Erica.

– Idź, musisz iść. Popilnujemy fortecy.

– W takim razie zgoda. – Usiłował zebrać myśli. Poczucie winy było obezwładniające. Najpierw wyrzucał sobie, że popełnił błąd, nie ostrzegając Renée przed Maksem, ale już po chwili poczuł się rozdarty i dezorientowany. Nie wierzył, iż Max mógłby skrzywdzić Renée albo w ogóle być zdolnym do morderstwa.

– Chodźmy. – Poszedł za policjantami. Zjechali windą w milczeniu i wyszli na korytarz pełen ludzi. Dopiero promienie słoneczne wyrwały Erica z transu, zaczął zadawać pytania.

– Jak została zabita? Kiedy to się stało? Gdzie ją znaleziono?

– Porozmawiamy na miejscu, doktorze Parrish, jeśli pan pozwoli. – Detektyw Rhoades poprowadził go w stronę szarego taurusa sedana z przyciemnionymi oknami zaparkowanego na chodniku przed szpitalem, gdzie obowiązywał zakaz zatrzymywania. Pagano otworzył tylne drzwi, wpuszczając Erica do środka. Parrish odnotował ze zdziwieniem, że jest oddzielony od policjantów siatką z nierdzewnej stali, a drzwi nie otwierają się od wewnątrz. Detektywi usiedli na przedzie i wszyscy razem wyruszyli do komendy.

Eric był półprzytomny, ale powoli docierała do niego okropna rzeczywistość. Renée, ten uroczy rudzielec, nie żyje. Taka młoda dziewczyna. Zamordowana. Wydawało mu się to jakieś nierealne, nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe. Na przemian wierzył i nie wierzył. Chciał wiedzieć, jak została zamordowana. Modlił się, aby przyczyną zgonu nie było uduszenie, ponieważ w takim przypadku Max stałby się jeszcze bardziej podejrzany. Jednak nie, Max by tego nie zrobił. Wiedział z doświadczenia i fachowej literatury, że osoby cierpiące na nerwicę natręctw prawie nigdy nie wprowadzają swoich fantazji w życie. Arthur też tak twierdził. Co zatem spotkało Renée?

Wyjrzał przez okno na drogę wypełnioną samochodami, lecz przed oczami wciąż miał młodą, śliczną buzię Renée i jej promienne oczy. Była urocza. Wiedział o niej tylko tyle, że zależała jej na dobrych stopniach, mieszkała w ładnym domu w zacisznej dzielnicy, zbyt często rozmawiała przez telefon w trakcie jazdy i miała wielu znajomych, była lubiana.

Za mało, żeby spekulować, kto mógł ją zabić, jeśli nie Max, pomyślał skonfundowany. Chłopak? Ktoś ze szkoły? Z rodziny? A może przypadkowy napastnik? Jak umarła? Przypomniał sobie, że nie musi zgadywać. Wyjął telefon i zajrzał do internetu. Zaczął wpisywać do wyszukiwarki nazwisko

Renée Bevilacqua, ale połączenie z siecią było zbyt wolne. Oczy zaszyły mu łzami. Przerwał. Nie miał do tego teraz serca.

Zbliżali się do komendy i musiał odzyskać równowagę psychiczną. Zakładał, że nadal nic nie wiadomo o miejscu pobytu Maksa, ponieważ nikt do niego nie dzwonił. Chłopiec byłby zrozpaczony niezależnie od tego, kto jest mordercą. Gdyby on zabił Renée, chciałby umrzeć. Gdyby zginęła z ręki kogoś innego i tak chciałby umrzeć, cóż za ironia losu, pomyślał Eric.

Ryzyko samobójstwa znacznie wzrosło: chłopak stracił wszystko, ukochaną babcię i dziewczynę, uwielbianą obsesyjnie, o którą tak bardzo się martwił. Bał się, że ją zabije, i rzeczywiście ją zabił. Jeśli to on.

Eric nie był pewien, czy Max popełnił zbrodnię, więc nie wiedział, co w tej sytuacji jest sprawiedliwością. Jednak jako lekarz miał obowiązek przede wszystkim nie szkodzić. Składał przysięgę Hipokratesa. Postanowił uczynić wszystko, co w jego mocy, aby ocalić chłopca. Pomoże policji go odnaleźć, wyjawi wszystkie fakty, których potrzebują, żeby do niego dotrzeć, i nic ponadto. Pozostałe informacje są chronione tajemnicą lekarską. Mógł powiedzieć tylko tyle, ile trzeba, by uratować mu życie.

Taurus skręcił w prawo i wjechał w Iven Road. Minął boisko do gry w softball, kierując się w stronę biurowca, gdzie mieściły się biura urzędu miasta i komenda policji. Spokojna zazwyczaj uliczka z kilkoma domami mieszkalnymi dziś była pełna furgonetek stacji telewizyjnych: NBC, ABC, CBS, FOX.

Nagle rozbrzmiał sygnał telefonu Erica. Spojrzał na wyświetlacz, dzwoniła Laurie.

– Cześć – odebrał.

– Eric, co się dzieje? – spytała z przejęciem. – Słyszałam, że gliniarze zabrali cię na jakieś przesłuchanie. O co chodzi?

– Wszystko w porządku, nie martw się. – Nie chciał powiedzieć za dużo w obecności policjantów.

– Ale co się stało? Co ci powiedzieli? Gdzie jesteś? – wyrzucała z siebie pytania z prędkością karabinu maszynowego, niczym lekarz na ostrym dyżurze. Ciśnienie? Kłopoty z oddychaniem?

– Muszę kończyć, właśnie dojechaliśmy na komendę.

– Idziesz na przesłuchanie bez prawnika? Nie jest ci przypadkiem potrzebny adwokat?

Brat Laurie był adwokatem w sprawach karnych.

– Absolutnie nie. Nie jestem o nic oskarżony, nie chodzi o mnie. Muszę kończyć. Później ci wszystko wyjaśnię.

– Ale Eric...

– Na razie – zakończył rozmowę.

Wjechali na teren nowoczesnego kompleksu administracyjnego, składał się z głównego budynku ze szkła i czerwonej cegły, trawnika porośniętego krzewami i dwupiętrowego parkingu. Na widok podjeżdżającego policyjnego taurusa reporterzy poderwali się do działania, chwyтали mikrofony, kamery, robili zdjęcia, wyciągali w ich stronę mikrofony oraz telefony komórkowe.

Detektyw Rhoades jęknął przeciągle.

– Jak pan widzi, mamy towarzystwo. Nie musi pan z nimi rozmawiać. Zdecydowanie to panu odradzam. Są jak karaluchy. Jeśli coś dostaną, rozmnożą się i będą wracać po więcej.

– Jasne. – Zaparkowali przed komendą. Eric pospiesznie schował do kieszeni szpitalny identyfikator. Nie chciał, żeby dziennikarze poznali jego nazwisko i dowiedzieli się, gdzie pracuje.

– Niech pan poczeka. Postaramy się to przeprowadzić jak najsprawniej. – Detektyw Rhoades

odwrócił się w stronę Erica, który prawie nie widział jego twarzy przez gęstą kratkę. – Proszę się trzymać blisko nas i iść prosto do wejścia. Ignorować wyrzaskiwane przez nich pytania. Odradzam jakikolwiek komentarz.

– Dobrze. – Eric wsunął telefon do kieszeni.

– Proszę siedzieć, dopóki nie otworzymy panu drzwi. – Wyłączył silnik. Obaj policjanci wysiedli z samochodu. Rhoades otworzył tylne drzwi po stronie Erica, podał mu rękę i właściwie wysadził z samochodu.

Dziennikarze przekrzykiwali się nawzajem.

– Kim pan jest? Należy pan do rodziny? Jest pan powiązany ze sprawą morderstwa Renée Bevilacqua? – Wyciągali w jego stronę mikrofony, kamery i telefony komórkowe. – Czy jest pan spokrewniony z ofiarą? Posiada pan istotne dla śledztwa informacje? Znał pan zamordowaną?

Spuścił głowę i pozwolił się prowadzić policjantom. Drzwi z ciemnego szkła otworzyły się automatycznie. Eric wszedł ze swoimi przewodnikami do wnętrza wyłożonego szarą wykładziną. Rhoades puścił jego ramię.

– Dobra robota, doktorze Parrish. Proszę tędy.

– Dzięki. Może mi pan mówić po imieniu. Eric.

– Dobrze, Ericu. Jerry. Kolega ma na imię Joe.

– Super. – Minęli kolejne szklane drzwi. Po prawej stronie znajdowała się szyba dzieląca korytarz od czegoś w rodzaju przestrzeni biurowej. Obok stał automat z coca-colą i biała skrzynka z napisem: „Leki. Pomóż przeciwdziałać nadużywaniu leków na receptę”. Skręcili w eleganckie dwupiętrowe lobby umeblowane sofami w kolorze jesiennych liści, z kinkietami, ścianami ozdobionymi boazerią i spiralnymi schodami przykrytymi pomarańczową wykładziną.

– Czy to jest właśnie komenda policji? – Eric nie krył zdumienia.

– Tak. Trafilo nam się. Nie mielibyśmy takich luksusów, gdyby nie to, że dzielimy przestrzeń z urzędem miasta.

– Ładnie tu macie – pochwalił. Siedziba policji niczym nie przypominała obskurnych pomieszczeń pokazywanych w filmach.

– Dzięki. Tędy. – Minęli schody i weszli do dużego, pustego biura z jedną szybą zamiast ściany i przepierzeniem, pod którym stały beżowe regały na akta, drukarka, kserokopiarka i segregatory. Środek pomieszczenia zajmowało kilka biurek, na każdym plik starannie ułożonych akt i zdjęcia dzieci.

Eric pomyślał, że pokój wygląda jak zwykłe biuro w korporacji, ale po chwili zauważył wielką tablicę z napisem: ROZWIĄZANE SPRAWY, pod którym przypięto trzydzieści zdjęć kobiet i mężczyzn różniących się między sobą wiekiem, rasą, wzrostem i tuszą. Na ich twarzach malowały się zagubienie, wrogość, pijaństwo, obojętność, strach, krzywda. Obok nazwisk wypisano przestępstwa, za które zostali zatrzymani: „Kradzież”, „Włamanie”, „Napaść kwalifikowana”, „Zwykła napaść”, „Działalność przestępcza”, „Groźby karalne”, „Włamanie z pobiciem”, „Napaść z użyciem broni”. Każda z tych osób mogłaby trafić na jego oddział przywieziona przez policję. Choroby psychiczne są tak częste wśród kryminalistów i tak wiele problemów zrzuca się na karb przestępczych skłonności, że czasem trudno oddzielić jedno od drugiego.

– Zapraszam, doktorze. Proszę przejść przez wykrywacz metalu, dobrze? – Rhoades wskazał bramkę z tyłu pomieszczenia.

– Nie ma sprawy. – Spełnił prośbę i spotkali się po drugiej stronie.

- Napijesz się czegoś? Kawy, oranżady, wody? – Policjant ukazał w uśmiechu garnitur imponująco równych zębów.
- Poproszę o wodę. Dzięki.
- Może coś do jedzenia? Mamy na górze spory wybór kanapek i ciastek. Pozostałości po konferencji, ale całkiem niezłe.
- Nie, dziękuję. – Co prawda od rana nie miał niczego w ustach, ale nie był głodny.
- Tutaj porozmawiamy. – Detektyw Rhoades otworzył drzwi do niewielkiego pokoju. – Usiądź, a my zaraz wrócimy z wodą dla ciebie.

ROZDZIAŁ 34

Eric znalazł się w niedużym, prostokątnym beżowym pomieszczeniu, którego zewnętrzna ściana była w całości wykonana ze szkła i przesłonięta białymi żaluzjami. Po prawej stronie umieszczono gigantyczne czarne lustro weneckie. Przyjrzał się swojemu niewyraźnemu odbiciu w ciemnej szybie, następnie przycupnął na czarnym krześle przy wąskim stole z tworzywa imitującego drewno, który stał pod jedną ze ścian. Położył telefon na blacie obok telefonu stacjonarnego i rolki papieru toaletowego, zostawionej tu z jakiegoś tajemniczego powodu.

– Proszę, Ericu. – Detektyw Rhoades opadł ciężko na krzesło w rogu, postawił na stoliku dwie butelki wody mineralnej i podsunął jedną Ericowi.

– Dziękuję. – Napił się chciwie.

Po chwili dołączył do nich detektyw Pagano ze swoją butelką wody i zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Eric oceniał go na około dziesięć lat młodszego od Rhoadesa. Prawdopodobnie miał mniej więcej trzydzieści lat i pozostałości młodzieńczego trądziku na szczupłej, wydłużonej twarzy. Blisko osadzone małe ciemne oczy nadawały mu nieprzyjazny wygląd.

– Dziękujemy, że zgodziłeś się przyjechać.

– Chętnie pomogę, jeśli tylko potrafię.

– Śledztwo dopiero raczkuje, nie chcemy niczego przegapić. Dlatego będziemy nagrywać naszą rozmowę. Masz coś przeciwko temu?

Zawahał się.

– Hm, nie... ale gdzie jest kamera?

– Za szybą. – Rhoades machnął ręką w stronę lustra weneckiego. – Opowiedz coś o sobie. Jak to jest być ordynatorem na oddziale psychiatrycznym? Słyszałeś ten dowcip: czym się różni pacjent od lekarza w szpitalu psychiatrycznym?

– Tak. Zabawny – odpowiedział z wymuszonym uśmiechem.

– Podoba ci się?

– Praca? Bardzo.

– Od jak dawna jesteś w Havemeyer?

– Od piętnastu lat.

– Jakie masz godziny pracy?

– Zwykle od dziewiątej do siedemnastej.

– Życ nie umierać.

Z jakiegoś powodu poczuł się zagrożony. Nastawienie policjanta uległo zmianie. Stał się mniej przyjacielski.

– Przyjmuję też prywatnych pacjentów u siebie w domu.

– Tak można? Przechwytywać pacjentów?

– Można, lekarze ze szpitala często przyjmują także prywatnie.

– Z ciekawości pytam. Ja też łapię chałtury, dorabiam sobie jako ochroniarz na przyjęciach. – Wzruszył potężnymi ramionami. – Kiedy się spotkaliśmy, byłeś już w pracy od jakiegoś czasu, prawda?

– Tak na spotkaniu w innej części szpitala. – Nie miał zamiaru wdawać się w szczegóły.

– Masz rodzinę? Ja mam żonę i trójkę dzieciaków.

– Eee, to znaczy, tak.

– Ale mieszkasz sam? Sprawdziłem, mieszkasz w okręgu.

– Zgadza się – odpowiedział ze zdziwieniem. Właściwie nie powinien się dziwić. W erze internetu wszyscy sprawdzali wszystkich.

– Więc nie mieszkasz z rodziną?

– Musimy rozmawiać o mojej rodzinie? – Wolał nie poruszać tego tematu. Detektyw mógł znać Caitlin, która pracowała jako zastępca prokuratora okręgowego. – Wolałbym się skupić na Renée Bevilacqua. Jesteśmy tu z jej powodu, czyż nie?

– Tak. Okej. Nie ma sprawy. – Policjant rozparł się wygodnie na krześle i skrzyżował nogi. Jego mięsista twarz nabrała ponurego wyrazu. – Co o niej wiesz? To takie smutne. Jej rodzice odchodzą od zmysłów z rozpaczy. Ojciec dostał przy nas jakiegoś ataku.

– Nie dziwię się. – Mógł sobie wyobrazić, przez co przechodzili bliscy Renée. Pomagał zawodowo rodzinom, które utraciły kogoś w tragicznych okolicznościach. Leczył także ofiary przemocy. Ludzie ci pracowali niezwykle ciężko, aby powrócić do normalnego funkcjonowania. Proces terapeutyczny niekiedy trwał całymi latami.

– Skąd znałeś Renée?

– Właściwie jej nie znałem. – Starannie dobierał słowa.

– Och, byłem pewien, że tak.

– Nie.

– W szpitalu powiedziałaś, że była jedną z twoich prywatnych pacjentek.

– Nie, nie powiedziałem tak – odparł nerwowo, usiłując podjąć trudną decyzję, ile informacji na temat pacjenta powinien wyjawiać.

– Musiałem coś źle zrozumieć. Wydawało mi się, że w odpowiedzi na pytanie tamtego drugiego lekarza, kim jest Renée, powiedziałaś: jedną z moich prywatnych pacjentek.

– Nie. Dane pacjentów są poufne.

– Więc nie możesz mi wyjawiać, czy była, czy nie była twoją pacjentką?

– Nie, chwileczkę, wyrażam się niejasno. – Potrząsnął głową, wytrącony z równowagi. – Nie mogę podawać nazwisk osób, które leczę, ale mogę powiedzieć, że ona nie była moją pacjentką.

– Nie możesz powiedzieć, kto jest twoim pacjentem, lecz możesz powiedzieć, kto nim nie jest? – Detektyw Rhoades podrapał się z uśmiechem w ogoloną głowę.

– Dokładnie. Dane moich pacjentów podlegają tajemnicy lekarskiej. Czy to satysfakcjonujące wyjaśnienie?

– Tak. – Rhoades przerwał i obrzucił go baczny spojrzeniem. – Dobrze się czujesz, Ericu? Wyglądasz na zdenerwowanego.

– Nie. To znaczy tak. Naturalnie, że jestem zdenerwowany. Zginęła młoda dziewczyna.

– Skąd wiesz, że młoda, jeśli jej nie znałeś? – Detektyw zacisnął usta w podejrzliwym grymasie. – Odniosłem wrażenie, iż dopiero ode mnie dowiedziałaś się o jej śmierci.

– Już tłumaczę. Wszelkie informacje na temat pacjentów są chronione tajemnicą lekarską. Musisz

wiedzieć takie rzeczy, chyba znasz prawo? – Eric nie potrafił zacytować właściwego paragrafu, choć miał niezbitą pewność jego istnienia.

– Tak. – Rhoades pokiwał głową.

– W pewnych okolicznościach wolno mi do pewnego stopnia uchylić tajemnicę lekarską. Ale jedynie wtedy, kiedy uważam, że mój pacjent stanowi zagrożenie dla siebie lub innych. – Poczł się straszonym hipokrytą, wypowiadając te słowa. Gdyby przyszedł wcześniej na policję, być może uratowałby Renée. Liczył, że jeszcze zdoła ocalić przynajmniej Maksa. – Aczkolwiek nawet w takim przypadku mogę powiedzieć tylko tyle, ile jest konieczne, aby ochronić pacjenta lub inne osoby.

Policjant słuchał go bardzo uważnie.

– Więc powiedz.

– Przyjmuję w swoim prywatnym gabinecie pacjenta o nazwisku Max Jakubowski. Max ma siedemnaście lat. Wczoraj wieczorem zgłosiłem na policji jego zaginięcie. Był świadkiem śmierci swojej babci, po czym wyszedł z domu i do tej pory nie wrócił. To było około godziny szóstej wieczorem.

– Zgłaszałeś u nas zaginięcie?

– Nie, na posterunku w Berwyn. Zadzwoiłem pod numer alarmowy i poprosiłem o wysłanie patrolu do domu Maksa. Nie znaleźli go tam.

– Nazywa się Max Jakubowski?

– Tak, dostaliście dziś jakieś zgłoszenie w jego sprawie?

– Nie. Podaj mi rysopis.

– Jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy. Chodzi do Pioneer High. – Zerknął na detektywa Pagano. Dopiero zauważył, że młodszy policjant robi notatki. – Nie wiem, co jeszcze... Posterunkowy Gambia zna jego adres domowy.

– On pracuje w Berwyn. Nie nasza jurysdykcja.

Poczł, jak ogarnia go napięcie.

– Dobrze. Newton Road trzysta dziesięć. Berwyn. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Co Max Jakubowski ma wspólnego z zamordowaniem Renée Bevilacqua?

Zawahał się, serce zaczęło mu szybciej bić. Był jedyną osobą, która wiedziała, co łączyło Maksa z Renée, i wolałby, żeby tak pozostało. Wyjawiając jego sekret, mógł uratować życie chłopca, ale tym samym uczyniłby go głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo. Jakaś część Erica nie przestawała wierzyć w Maksa. Nie zamierzał udzielać policji informacji, które mogłyby stanowić podstawę do skazania niewinnego.

– Nie mogę powiedzieć nic więcej ponad to, że posiadam informacje sugerujące, iż Max prawdopodobnie wie coś na temat śmierci Renée Bevilacqua.

– Jakie to informacje?

– Nie mam nic więcej do dodania. Musicie odszukać chłopaka. Jak już mówiłem wczoraj policjantom z Berwyn, może próbować popełnić samobójstwo.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie mogę udzielić odpowiedzi.

– Ma to jakiś związek z Renée Bevilacqua?

– Na to pytanie też nie odpowiem.

– Zna ją? Chodzą razem do szkoły?

– Nie.

– Prowadzisz notatki?

– Tak. – Wiedział, co będzie dalej.

– Pokażesz je nam?

Zawahał się.

– Nie, nawet jeśli zdobędziecie nakaz. Są poufne. Powiedziałem wam wszystko, co powinniście teraz wiedzieć. Znajdźcie Maksa.

Detektyw Rhoades sposepniał jeszcze bardziej.

– Podejrzewasz, gdzie może być?

– Nie.

– Nie masz żadnego pojęcia?

– Nie.

Policjant zamilkł i popatrzył na Erica spod zmrużonych powiek.

– Nie będę się z tobą bawił w przepychanki. Młoda dziewczyna została zamordowana i to ja musiałem spojrzeć w oczy jej rodzicom. Ci mili ludzie odchodzą od zmysłów z rozpaczy. Nie rozumieją, jak to się mogło stać, że ktoś ją po prostu udusił, kiedy przechodziła przez piękny, bezpieczny park za ich domem.

– Została uduszona? – Usiłował ukryć wrażenie, jakie zrobiła na nim ta wiadomość. Śmierć Renée odzwierciedlała obsesję Maksa.

– Tak, sprawca udusił ją gołymi rękami, kiedy spacerowała z psem. Matka zorientowała się, że coś jest nie w porządku, bo pies przybiegł do domu sam. Jest pielęgniarzką. Poszła do parku, znalazła ciało córki, wpadła w histerię i zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście. Ojciec był wtedy w pracy.

Eric milczał. Miał ściśnięte gardło i stalową obręcz wokół mostka. Modlił się, aby to nie Max był zabójcą.

– Obiecałem tym ludziom, że dopadnę drania, który ją zamordował. Wkurzają mnie tacy goście jak ty. Mógłbyś pomóc, ale nie chcesz. Odmawiasz. Masz gdzieś sprawiedliwość.

– Postępuję zgodnie z prawem.

– Zasłaniasz się biurokratycznymi kruczkami.

– Nie ja ustalam przepisy.

– Mieszkaś w tym rejonie, więc wiesz, że nie mamy tu zbyt wielu zabójstw. Załedwie kilka w czasie mojej dziesięcioletniej służby. I coś ci powiem, to okropne uczucie. To okropne, kiedy ginie człowiek. To okropne widzieć młodą dziewczynę, jak leży martwa z twarzą zwróconą do ziemi. – Detektyw zacisnął i rozluźnił szczękę. – Nigdy nie zapomnę tego widoku. Zostanie ze mną na zawsze. Jakbym zostałznaczony.

– Tak. – Eric uświadomił sobie, że nie tylko psychiatrzy mają swoje duchy. Sprawy, które z nimi zostają.

– Dla całego wydziału spraw kryminalnych nic nie liczy się teraz bardziej niż znalezienie zabójcy tej dziewczyny. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Więc? Powiesz czy nie?

– Powiedziałem tyle, ile mogłem.

– Nie obchodzi cię sprawiedliwość? Walczę o sprawiedliwość dla tej dziewczyny.

– Przecież cię nie powstrzymuję. Tracimy czas, powinniśmy szukać Maksa. Mówiłem, że jest w bardzo złym stanie, może próbować targnąć się na własne życie.

– Ale nie mówiłeś dlaczego.

– Owszem. Już wczoraj, kiedy rozmawiałem z policjantami. Był bardzo silnie związany z babcią, która właśnie zmarła. Zaginął po jej śmierci.

– Nie odpowiadasz na moje pytania.

– Odpowiedziałem na te, na które mogłem, nie łamiąc tajemnicy lekarskiej.

– Dobrze. Chcesz się tak bawić? Ja też powiem ci tyle, ile mogę. – Detektyw Rhoades pochylił się nad stołem, jego spojrzenie stwardniało. – Wiemy o twojej wczorajszej wizycie w barze jogurtowym, gdzie pracowała Renée Bevilacqua, i o tym, że z nią rozmawiałeś. Mam dwóch świadków.

Żołądek Erica zrobił salto. Pomyślał o Trixie i dziewczynie przy kasie. Policja musiała dziś z nimi rozmawiać.

– Wiem też, że pojechałeś za nią do domu. Widziałem nagrania z monitoringu na trzech różnych ulicach.

Przypomniał sobie trasę. Oczywiście, że były na niej kamery policyjne i przemysłowe. Pełno kamer.

– Zaparkowałeś na jej ulicy około północy. Mamy naocznego świadka, członka straży sąsiedzkiej, który zidentyfikował twój samochód.

Mężczyzna, który go wczoraj przegonił, wspominał coś o straży sąsiedzkiej.

– Byłeś ostatnią osobą, która widziała Renée żywą – zakończył groźnie Rhoades.

– I co z tego? – Skrzywił się przerażony. – Chyba nie sądzicie, że miałem coś wspólnego z jej zamordowaniem? Cóż za absurdalny żart!

– Sekcja zwłok jeszcze trwa, ale lekarz sądowy określił przybliżony czas zgonu na godziny między siódmą a dziewiątą rano. Gdzie byłeś o tej porze?

– Szykowałem się do pracy – odpowiedział natychmiast. Pełen niedowierzania.

– Mieszkasz sam. Nikt nie potwierdzi twojego alibi, chyba że akurat z kimś spałeś.

Eric otworzył usta ze zdumienia.

– Jakiego znowu alibi? Nie potrzebuję żadnego alibi!

– Miałeś czas, żeby zamordować Renée i zdążyć do szpitala.

– Nie zamordowałem jej. – Nie mógł uwierzyć, że wypowiada te słowa. To wszystko było kompletnie surrealistyczne. – Nie jestem mordercą.

– Po co ją śledziłeś?

Chciał mu wyjaśnić, lecz nie mógł tego zrobić bez złamania tajemnicy lekarskiej.

– Nie mogę powiedzieć.

– Po co wszedłeś do sklepu? Dlaczego z nią rozmawiałeś?

– Nie mogę powiedzieć. – Przypomniał sobie swoje kłamstwo, mówił o córce uczęszczającej na korepetycje. Dziewczyny z baru na pewno powiedziały o tym policji.

– Czekaleś, aż skończy pracę?

– Tak. – Pytanie nie dotyczyło Maksa, więc odpowiedział bez wahania.

– Dlaczego?

– Nie mogę powiedzieć.

– Możesz. Po prostu nie chcesz! – Rhoades uderzył ręką w stół. – Kto ją zabił, jeśli nie ty? Max Jakubowski? To mi próbujesz zasugerować?

– Nie. – Poczł ucisk w gardle. Jego słowa mogły zostać w ten sposób zinterpretowane. –

Znajdźcie go, zanim popełni samobójstwo.

- Nie próbuj zmieniać tematu. Zajmiemy się tym, ale na razie skupmy się na tobie. Jesteś moim głównym podejrzanym.
- Nie, to niemożliwe. – Potwornie zaschło mu w ustach.
- Dlaczego ją nękałeś?
- Nie robiłem tego.
- Skąd znałeś Renée?
- Nie znałem. Już mówiłem.
- Dlaczego skłamałeś, że masz córkę w jej wieku? Twoja córka ma siedem lat.
- Nie mogę powiedzieć.
- To było kłamstwo, prawda?
- Przysięgam, że nie zabiłem ani Renée, ani nikogo innego. – Pomyślał o niedawnej rozmowie z Laurie i jej pytaniu, czy potrzebuje adwokata. – Nie powiem nic więcej bez obecności adwokata.
- Detektyw Pagano podszedł do kolegi zatroskany.
- Jerry. Spokojnie, chłopie.
- W porządku, Joe. – Rhoades zerknął na partnera, po czym ponownie zwrócił się do Erica. Wyjął z kieszeni jakiś dokument i rzucił go na stół. – Nakaz przeszukania. Twój dom jest właśnie poddawany rewizji. Gabinet w szpitalu również.
- Co takiego? – zawołał z oburzeniem. – Chwileczkę. Nie macie prawa.
- Mamy.
- Ale tam są poufne dane pacjentów...
- Nie będziemy przeszukiwać danych pacjentów. Przeczytaj nakaz. – Rhoades postukał palcem w dokument. – Ponadto rekwirujemy twój samochód, został zabrany ze szpitalnego parkingu.
- Eric gwałtownie chwycił oddech.
- Po co wam mój samochód?
- A jak myślisz? – Policjant wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę higieniczną i zabrał ze stołu telefon Erica. – À propos, to też konfiskuję.
- Nie możecie! Nic nie zrobiłem.
- Jeszcze ubrania. – Policjant uczynił gest w stronę jego klatki piersiowej. – Przebierzesz się w obecności dwóch mundurowych, zgodnie z procedurami.
- Żądam telefonu do adwokata. Natychmiast.
- Niech ci będzie, wyłączymy kamerę. Możesz rozmawiać stąd. – Rhoades z hukiem postawił przed nim telefon stacjonarny. – Przekaż ode mnie pozdrowienia dla małżonki.

ROZDZIAŁ 35

Eric zaczekał, aż zostanie sam, zanim podniósł słuchawkę. Nie był pewien, jak zinterpretować ostatnią uwagę Rhoadesa. Znalazł się w podbramkowej sytuacji, a Caitlin była ekspertem w dziedzinie prawa. Ponadto mogła mieć jakieś znajomości na komendzie. Wybrał numer jej telefonu komórkowego, odebrała natychmiast.

– Caitlin Parrish, biuro prokuratora okręgowego.

– Caitlin, mówi Eric.

– Eric? – powtórzyła ze złością. – Nie odebrałabym, gdybym wiedziała, że to ty. Wyświetlił mi się numer komendy w Radnor.

– Wiem, stąd właśnie dzwonię. To zabrzmiało jak opowieść szaleńca, ale jestem podejrzany o zamordowanie młodej dziewczyny. Renée Bevilacqua. Nie wiem, czy słyszałaś o tej sprawie...

– Co? Oczywiście, że słyszałam. Całe biuro dziś nią żyje. Jason i Michaela uwijają się jak w ukropie. Szef organizuje chyba jakąś konferencję prasową.

– Przesłuchuje mnie dwóch śledczych. Jeden z nich nazywa się Jerry Rhoades. Sugerował, że ciebie zna. Przeszukują mój dom i biuro. Chcą skonfiskować ubrania.

– O czym ty mówisz? – zapytała z niedowierzaniem Caitlin. – Tak się traktuje podejrzanych.

– Uznali mnie za podejrzanego.

– Niemożliwe. To jakiś żart?

– Nie, to jakieś szaleństwo. – Eric nabrał otuchy. Nie był zaskoczony, że Caitlin odłożyła na bok osobiste uprzedzenia i zrozumiała powagę sytuacji.

– Naprawdę uznali cię za podejrzanego? Ciebie?

– Nedorzeczne, prawda? Jeden z moich prywatnych pacjentów może być podejrzany, ale nie mogę im nic powiedzieć z powodu tajemnicy lekarskiej. – Nie musiał jej tłumaczyć, czym jest tajemnica zawodowa. Nawet w łóżku nie wyjawiali sobie nawzajem służbowych sekretów.

– Co teraz zrobisz?

– Potrzebuję adwokata karnisty. Może mogłabyś też porozmawiać z tym Rhoadesem i wyjaśnić mu, że jego podejrzenia są niedorzeczne? Albo z kimś w biurze prokuratora? – Caitlin miała doskonałe relacje z przełożonymi. – Pogadaj z Bobem albo Scottem, jednym ze swoich szefów. Niech ktoś przerwie tę farsę, ktokolwiek. Wyjaśnij im, że nie mógłbym popełnić takiej zbrodni...

– Czekać, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. Jesteś teraz na policji i potrzebujesz adwokata specjalizującego się w prawie karnym?

– Tak.

– I chciałbyś, żebym się za tobą wstawiła u Rhoadesa albo u mojego szefa?

– Tak, poproszę. Będę ci dożywotnie wdzięczny.

– Coś ci powiem, Ericu. – Zrobiła pauzę. – Bardzo chciałabym ci pomóc, ale muszę się zająć wnioskiem o odebranie mi opieki nad dzieckiem, który dostałam dziś rano.

– Caitlin, posłuchaj, wiem, że jesteś wkurzona, ale...

– Wkurzona? – powtórzyła podniesionym, lodowatym tonem. – „Wkurzona” nawet w części nie oddaje tego, co czułam, kiedy otworzyłam tego maila i zobaczyłam swoje nazwisko napisane wielkimi literami. Od tej chwili życzę ci wszystkiego najgorszego. Nie mogę się nawet skupić na pracy, tak bardzo jestem rozkojarzona i wściekła za to, że pozwałeś mnie do sądu w sprawie opieki.

Powinien był wiedzieć. Niezależnie od tego, co powiedział Rhoades. Popełnił błąd, dzwoniąc do Caitlin. Była tylko człowiekiem, zezłoszczonym i zranionym człowiekiem. Nic dziwnego, że nie pałała chęcią pomocy.

– Caitlin, proszę, wysłuchaj mnie...

– Oczekujesz ode mnie pomocy? Ha, dobre sobie! Marne szanse. Jesteś podejrzanym w sprawie o morderstwo Bevilacqua i mam się za tobą wstawiać? Narazić swoje dobre imię? Uruchamiać znajomości? Ryzykować konflikt interesów po tym, co właśnie mi zrobiłeś?

Nawet nie próbował jej przerywać, słyszał, że dopiero się rozgrzewa.

– Porozmawiać o tobie z Rhoadesem? Nie wytrzymam ze śmiechu. Powiedzieć ci coś o detektywie Rhoadesie?

– Tak – odpowiedział na retoryczne pytanie.

– Jest jednym z najlepszych policjantów, jakich znam. Trochę przypomina wyglądem buldoga, prawda? Mówią na niego Dog, skrót od buldog. Taka ksywa. Wiesz dlaczego? Podpowiem ci – nie z powodu tego, jak wygląda.

Żołądek Erica wywrócił się na drugą stronę. Przy okazji uświadomił sobie, iż Rhoades istotnie ma w sobie coś z buldoga.

– W czym jeszcze mogę ci pomóc, mój drogi? Może zatelefonuję do któregoś ze znajomych specjalistów od prawa karnego i wyciągnę cię z bagna, w które się wpakowałeś? Podeślę ci adwokata, a jakże. Najgorszego, jakiego znam.

– Zrozumiałem, Caitlin.

– Do widzenia. – W słuchawce zapadła cisza.

Odetchnął z trudem, zastanawiając się, do kogo teraz zadzwonić. Potrzebował porady prawnej, a poza tym martwił się o bezpieczeństwo szpitalnych akt pacjentów, więc wybrał Mike’a Braezele’a z działu prawnego. Zatelefonował na recepcję szpitala i poprosił o przełączenie.

– Dział prawny – powiedziała Dee Dee służbowym tonem.

– Dee, zastałem Mike’a? Mówi Eric Parrish.

– O mój Boże, Eric – odpowiedziała z przejęciem. – Nic ci się nie stało? Co się dzieje? Podobno gliniarze byli w twoim gabinecie.

– Wiem. Poprosisz Mike’a do telefonu?

– Nie ma go. Poszedł na twój oddział z Bradem i Tomem.

– Przełączysz mnie? – Zrobiło mu się niedobrze ze strachu na myśl, co tam się dzieje. Wyobraził sobie przerażoną Amakę i cały personel bezradnie obserwujących policyjny nalot. Miał nadzieję, że pacjenci jakoś to zniosą i Perino nie dostanie kolejnego ataku szału.

– Pewnie. Czekał.

– Dzięki.

– Eric, co do jasnej cholery? – Po chwili w słuchawce rozbrzmiał głos Mike’a.

– Mike, policja jest teraz na oddziale?

– Tak, to niewiarygodne, co się tu wyprawia! – Był zszokowany, tak jak należało przypuszczać.

– W archiwum?

– Nie. Sześciu gliniarzy przetrząsa twój gabinet. Otwierają szuflady i zabierają różne rzeczy.

Wzięli twój komputer!

– Zamknij oddział, Mike.

– Zamknęliśmy od razu. Co za szaleństwo?! O co tu chodzi?

– Długo by opowiadać. – Tajemnica lekarska obowiązywała go wobec każdego, nawet Mike'a.

Zresztą nie miał czasu na wyjaśnienia. – Możemy ich jakoś powstrzymać? Nie chcę, żeby zaglądali do historii chorób pacjentów. Nie mamy obowiązku prawnego, aby się na to godzić, prawda?

– Nie, ale to nie jest problem. Akta pacjentów nie wchodzi w zakres poszukiwań.

– Co to znaczy? Jaki zakres poszukiwań? – Przypomniał sobie, że jeden z policjantów powiedział coś podobnego.

– Nie będę ci teraz cytował kodeksu. Jesteś zamieszany w morderstwo?

– Nie, nie mam z tym nic wspólnego. Absolutnie. Wyprostujemy to.

– Co znaczy: wyprostujemy? – Mike zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Czy ta dziewczyna była jedną z twoich prywatnych pacjentek?

– Nie.

– To kim dla ciebie była? Skąd ją znasz? Policja nie przeszukuje gabinetów przypadkowych osób, chyba że są podejrzane o przestępstwo.

– Mike, nie zostałem o nic oskarżony...

– Ale jesteś podejrzany?

– Tak. – Nie zamierzał kłamać. – Mike, mógłbyś tu do mnie przyjechać albo przysłać jednego ze swoich ludzi?

– Dokąd przyjechać? Gdzie ty jesteś?

– Na komendzie w Radnor. Przeszukują mój dom, samochód i chcą skonfiskować ubrania...

– Posłuchaj, Ericu, nie wiem, w co jesteś zamieszany, ale ja nie mam zamiaru jechać do ciebie ani wysyłać kogokolwiek. Jesteś podejrzany o najgorszą z możliwych zbrodni.

– Mike, ja nic nie zrobiłem. Chyba nie myślisz, że kogoś zamordowałem. Znasz mnie. – Pracowali razem od piętnastu lat, zaczęli niemal w tym samym czasie, Mike tydzień wcześniej od Erica.

– To nieistotne z punktu widzenia prawa, nie powinienem być tego mówić. Jeżeli była twoją prywatną pacjentką...

– Nie była.

– Leżała u nas na oddziale?

– Nie.

– Skoro tak, szpital nie ma nic wspólnego z tą sprawą – Mike przybrał oficjalny ton. – Twoje problemy nie mają związku z pracą, toteż nikt z działu prawnego szpitala nie może ciebie reprezentować. Co więcej, twoje ubezpieczenie nie pokrywa kosztów zatrudnienia adwokata.

Eric nawet nie pomyślał o ubezpieczeniu. Wiedział już, do czego zmierzał Mike.

– Musisz sobie znaleźć innego prawnika i wybulić z własnej kieszeni. Przypuszczam, że masz ubezpieczenie prywatne na wypadek błędu w sztuce lekarskiej? Masz, prawda?

– Mam. – Płacił dziesięć tysięcy rocznie za dodatkowe ubezpieczenie, ale miał wątpliwości, czy to pokryje. Renée nie była jego pacjentką.

– Na twoim miejscu w pierwszej kolejności zadzwoniłbym do ubezpieczyciela.

Eric zerknął na zegarek, była już trzecia trzydzieści. Nawet nie zdążył zrobić obchodu.

- Na oddziale wszystko w porządku?
- Tak, Amaka i Sam mają wszystko pod kontrolą.
- To dobrze, pewnie dziś nie wrócę. Muszę wstąpić do domu i...
- Ericu, nie wracaj do pracy. Muszę to jeszcze skonsultować z Bradem i Tomem, ale nie możemy dopuścić do pacjentów osoby podejrzanej o morderstwo.
- Czekał. Co? – Eric nie wierzył własnym uszom.
- Nie mamy wyboru. To jakiś koszmar – jęknął Mike. – Właśnie zdobyliśmy drugie miejsce w rankingu, byłeś naszym czarnym koniem.
- Nie, to nie w porządku, nie możecie tego zrobić! – wykrzyknął. – Nie jestem o nic oskarżony, nie aresztowali mnie, zaszło nieporozumienie, które zamierzam wyjaśnić z pomocą adwokata. Nie zabronisz mi powrotu do pracy, bo wizerunek szpitala na tym ucierpi. Mam obowiązki, oddział do prowadzenia. Mam umowę!
- Umowa zostaje automatycznie wypowiedziana w przypadku popełnienia przez ciebie jakiegokolwiek wykroczenia.
- Nie możecie. Jak to możliwe? – Eric miał zawroty głowy.
- Zamierzam zarekomendować zawieszenie ciebie w obowiązkach służbowych do czasu wyjaśnienia sprawy lub procesu sądowego.
- Jakiego procesu? Zwalniasz mnie? Jestem zwolniony?
- Nie. Zawieszam na czas nieokreślony. Zobaczą, co się da zrobić w kwestii wypłaty.
- Do diabła z wypłatą! Mam pacjentów, którzy na mnie liczą.
- Poradzą sobie.
- Nie macie prawa!
- Mamy i zamierzamy z niego skorzystać. Do czasu twojego powrotu oddział poprowadzą Amaka i Sam.
- Kiedy będę mógł wrócić? Jak długo to potrwa?
- Zależy od glin. – Mike zacmokał z dezaprobatą. – Co się z tobą ostatnio dzieje, do licha? Zamieszanie z Perino? Oskarżenie o molestowanie seksualne? A teraz to? Chyba przez rozwód, tak? Poczekaj chwilę. – Mike zakrył ręką słuchawkę. – Muszę kończyć. Tom mnie woła.
- Ale Mike...
- Znajdź adwokata, Eric – poradził Mike i rozłączył się. Ktoś zapukał do drzwi pokoju przesłuchań.
- Doktorze Parrish, tu detektyw Rhoades. Za drzwiami czeka dwóch policjantów, którzy pomogą panu się przebrać.
- Eric musiał działać szybko. Nie znał numeru swojej firmy ubezpieczeniowej, ale znał kogoś, na kogo zawsze mógł liczyć w kryzysowych sytuacjach. Brat tej osoby był adwokatem.
- Jeszcze pięć minut – krzyknął.

ROZDZIAŁ 36

Minęła godzina. Eric wstał, aby przywitać swojego nowego adwokata, brata Laurie, Paula Fortunato, który właśnie wchodził do pokoju przesłuchań. W czasach studenckich dużo się o nim nasłuchiwał, młodszy brat Laurie był id dla jej superego. Na pierwszy rzut oka bardzo do niej podobny: te same czarne kręcone włosy, ożywiona twarz o regularnych, wyrazistych rysach: płomienne oczy w kolorze espresso, pełne usta skore do uśmiechu. Miał około trzydziestu pięciu lat, był wysportowany, choć niewysoki, ubrany w drogi ciemny garnitur i fioletowy, wzorzysty krawat. Roztaczał wokół intensywną woń wody po goleniu.

Eric podał mu rękę na powitanie.

– Cześć. Eric Parrish.

– Paul. Miło cię poznać.

– Dużo o tobie słyszałem.

– A ja o tobie. Usiądź, proszę – powiedział Paul, wskazując ażurowe krzesło, i położył na stole torbę oraz cieką chromowaną walizkę. – Porozmawiajmy, zanim zaprosimy policjantów. Wprowadzili mnie w sprawę. Rozmawiałeś z ofiarą w jej miejscu pracy i pojechałeś za nią do domu w wieczór poprzedzający morderstwo. Każesz im szukać jednego ze swoich pacjentów, ale nie podajesz konkretnych informacji, dlatego uważają, że zmyślasz. Wyciągnę cię stąd za piętnaście minut.

– W jaki sposób? – Eric usiadł zaskoczony.

– Zobaczysz. – Paul uśmiechnął się, jak widać bardzo z siebie zadowolony. – Laurie powiedziała, że masz do mnie jakieś pytania. Słucham.

Eric zamrugał.

– Owszem, ale nie zapytasz mnie najpierw, czy zabiłem Renée Bevilacqua?

– Po co? – Paul popatrzył na niego jak na szaleńca, otwierając szeroko brązowe, pełne wyrazu oczy.

– To chyba logiczne.

– Nie dla mnie, jestem adwokatem w sprawach karnych.

Eric miał nadzieję, że Paul żartuje.

– W każdym razie jestem niewinny. Nie mam nic wspólnego z tym morderstwem.

– Chwała Bogu, nie reprezentowałbym mordercy.

– Poważnie?

– Nie – parsknął Paul.

– Chcę, żebyś wiedział, że tego nie zrobiłem.

– Wszystko mi jedno.

– Naprawdę? – Eric się skrzywił. – Jak to?

– Masz pytania z zakresu etyki? A potrzebujemy o tym rozmawiać, bo...? – Adwokat pokręcił

głową i roześmiał się cicho. – Laurie uprzedzała, że jesteś typowym psychiatrą, za dużo teoretyzujesz. Kocham swoją starszą siostrę. A ty? Ładna jest, co? Chyba ma do ciebie słabość. Nie wiesz tego ode mnie.

– Bzdura. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. – Nie zdobył się na uśmiech.

– Ależ nie. Naprawdę bardzo dużo o tobie mówi. Podobno jesteś rozwiedziony. Może byś ją gdzieś zaprosił? Na co czekasz? Ona umiera z niecierpliwości.

– Wolisz rozmawiać o tym niż o etyce?

– Słuszna uwaga! *Touché!* – Brat Laurie zachichotał. – Dobrze, nigdy nie pytam swoich klientów, czy są winni. Dlaczego? Nieistotne, ponieważ tak czy inaczej, masz prawo do obrońcy. Nie jestem łotrem, tylko purystą. Reprezentuję konstytucję, najuczciwszy dokument, jaki istnieje. Ojcowie Założyciele byli geniuszami, nie złodziejami, w przeciwieństwie do dzisiejszych polityków z ich skorumpowanymi ustawami. Brzmi wystarczająco górnolotnie? Masz konstytucyjnie zagwarantowane prawa, które policja i prokuratura notorycznie ignorują. Moja praca polega na tym, aby trzymać ich w ryzach. Naprzód, drużyno! – zawołał wesoło. – Lepiej ci?

– Nie.

Paul udał, że nie słyszy.

– Potrzebujesz kogoś w swoim narożniku. Jeszcze tego nie wiesz, ale w porównaniu z nimi jesteś malutki. Mają w rękawie wszystkie asy, podczas gdy ty nawet nie masz pojęcia, że grasz w karty. – Paul zatarł ręce. – Używając terminologii prawniczej, możemy się powołać na paragraf numer pięć tysięcy dziewięćset czterdzieści cztery. Zgodnie z prawem obowiązującym w stanie Pensylwania, nie możesz być przesłuchiwany w związku z żadną sprawą, cywilną lub karną, jeśli dotyczy ona któregoś z twoich pacjentów. To bardzo mocny paragraf, tylko pisemna zgoda pacjenta może cokolwiek zmienić. Jedyne odstępstwo stanowi sytuacja zagrożenia czyjegoś życia, w przyszłości, czyli nie dotyczy podejrzeń o już popełnione przestępstwa. Dobra, zadawaj te swoje pytania. Gliniarze czekają.

– Nie lekceważ ich. Śledztwo posuwa się naprzód w błyskawicznym tempie.

– Co mają innego do roboty?

Eric przypomniał sobie słowa Caitlin.

– Zdaniem mojej byłej żony, zastępcy prokuratora okręgowego, detektyw Rhoades jest niezwykle sumienny.

– Ojej, ależ się przestraszyłem. A przy okazji, dlaczego poślubiłeś prokuratora? Wpadka? Czyli prokuratorzy uprawiają seks? Ale pewnie bez przyjemności?

Eric nie wiedział, jak rozmawiać z tym człowiekiem.

– Dobrze się bawisz? Wygląda na to, że bardzo.

– Owszem. Uwielbiam swój zawód. Pomagam ludziom i wygrywam. Patrz i ucz się, ja będę robił swoje. – Uniósł ręce w geście zniecierpliwienia. – Zadawaj wreszcie te swoje pytania! Rany, najgorsza randka w moim życiu! Za długa gra wstępna!

Eric uśmiechnął się mimowolnie, miłe uczucie.

– Dobrze. Policja przeszukuje właśnie mój gabinet, dom i samochód. Ma do tego prawo?

– Teoretycznie tak, ale to śliski teren. Następne pytanie.

– Paul, zarządzam oddziałem psychiatrycznym. Policyjny nalot zagraża delikatnej równowadze psychicznej moich podopiecznych, którzy potrzebują spokoju i przewidywalności. Taki wstrząs może zniweczyć dotychczasową terapię, a ich ubezpieczenie pokrywa ograniczoną liczbę dni. – Eric miał

na myśli przede wszystkim Perino. – Na przykład pacjentem jest schizofrenik, który myśli, że jest ścigany przez CIA. Widok umundurowanych policjantów aresztujących jego lekarza z pewnością mu nie pomoże. Czy policja naprawdę ma do tego prawo?

– Tak, ma. Jeśli chcesz poznać moje zdanie, ten schizofrenik ma rację. CIA naprawdę nas ściga. Podobnie jak NSA i inne litery alfabetu.

Eric postanowił nie kontynuować dyskusji.

– A poufne dane pacjentów? Podobno nie znajdują się w zakresie poszukiwań, ale nie wiem, co to znaczy.

– Na nakazie musi zostać sprecyzowane, czego szukają i co zamierzają zarekwirować. Nie ma tam nic o aktach pacjentów, ponieważ szpital poszedłby z tym do sądu. Upomną się o nie później, na razie jest za wcześnie.

– Zabrali mi telefon. Mają do tego prawo?

– Tak, kup sobie nowy. W salonie pewnie ci powiedzą, że darmowy przysługuje ci dopiero za tydzień. Zawsze kiedy potrzebuję nowego telefonu, mówią mi, że mogę dostać, ale dopiero za tydzień. – Przewrócił oczami. – Chcesz sobie popatrzeć na prawdziwych kryminalistów? Spójrz na głównych dostawców usług telekomunikacyjnych, bankierów, firmy finansowe, federalnych i rząd. To są goście, którzy powinni siedzieć za kratkami, nie ty. Prawo tworzą dziś sprzedawczyki, ale w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym było inaczej. Następne pytanie?

– Mają prawo zabrać moje ubrania?

– Ericu. Potraktuj to jako przysługę. Ubierasz się jak podstarzała lesbijka.

– Okej, wystarczy – powiedział z uśmiechem Eric. – To chyba u was rodzinne.

– Jeszcze jakieś pytania?

– Nie.

– Wspaniale! Zaproszę kolegów. – Wyciągnął palec wskazujący w stronę Erica. – Ty siedź cicho. Ja będę mówił. Postaram się nie bluźnić. Na razie nieźle mi idzie, co?

– Wręcz świetnie.

– W moim domu przeklinanie jest karane grzywną. Pomysł żony, ze względu na dzieci. Mamy taki specjalny słoik, jak w serialu komediowym. Brakuje jeszcze tylko śmiechu z taśmy.

– Moja była żona klnie jak szewc.

– Poważnie? Może jednak nie jest taka zła. – Sięgnął do torby. – Przy okazji – przywiozłem ci dres i nowy telefon. Podwiozę cię z powrotem do pracy.

– Zawiesili mnie. Mają prawo?

– Pewnie tak. Widzisz? Rozbój w majestacie prawa. – Twarz Paula wykrzywił grymas gniewu. – Porozmawiamy o tym później. Odwiozę cię do domu. Oddaj im swój mnisi strój, wychodzimy. – Otworzył drzwi. – Detektywie Rhoades?

– Już idę. – Policjant wkroczył do pokoju z ponurym wyrazem twarzy. Pagano wszedł zaraz za nim.

– Zapraszam do mojego gabinetu – powiedział Paul ze śmiertelną powagą i wykonał stosowny gest.

– Dziękuję. – Detektyw Rhoades przeniósł wzrok na adwokata. – Chciałbym wrócić do naszej rozmowy, skoro panowie mieli czas się porozumieć.

– Nie, dziękujemy. – Paul grzecznie pokręcił głową. – Przesłuchanie dobiegło końca. Nie macie podstaw do zatrzymania. Mój klient nie odpowie na więcej pytań. Niech zgadnę: nie przeczytaliście mu jego praw.

– Nie był aresztowany.

– Czyli nie. Nie zapoznaliście go z jego prawami?

– Zgadza się, ponieważ go nie aresztowaliśmy.

– Nie aresztowaliśmy go, ale poddaliśmy przesłuchaniu.

– Nie, rozmawialiśmy. – Detektyw Rhoades skrzyżował potężne ramiona. Paul popatrzył mu prosto w oczy, nie pozwalając się zastraszyć.

– Nie przeczytaliście mojemu klientowi jego praw, ponieważ nie chcieliście go za wcześnie spłoszyć. Był waszym głównym podejrzanym od początku, a jednak nie poinformowaliście go o tym. Mój klient jest szanowanym lekarzem i praworządnym obywatelem. Użyliście wobec niego podstęp.

– Odczytanie prawa Mirandy nie jest w takiej sytuacji wymagane.

– Sędzia się z panem nie zgodzi. Mogę unieważnić wszystkie wasze dowody. – Uczynił gest w stronę czarnej szyby. – W dodatku przechwyciliście go w pracy, dla maksymalnego efektu zaskoczenia. Nie bacząc na dobro pacjentów, którzy są uczciwymi czubkami, nawet jeśli się mylą co do CIA. Zastraszenie i przemoc. Jak pan może sobie spojrzeć w oczy w lustrze?

– Nie podoba mi się pański ton. – Detektyw Rhoades zmarszczył czoło.

– Żona też mi to powtarza. – Paul wskazał Erica. – Mój klient z przyjemnością zostawi wam swoją białą koszulę i mamine dżinsy. Jestem zażenowany jego stylem ubierania, a reprezentowałem alfonsów.

Detektyw Rhoades przechylił głowę na bok.

– Wszyscy jesteście tacy sami. Przemądrzałe papugi.

– A pan potrzebuje miętówki. Jak każdy glina. – Wskazał policjantom drzwi. – Pozwólmy się chłopcu przebrać, dobrze? Jest wystarczająco duży, żeby samemu sobie poradzić z rozpięciem rozporka.

– Przyśle policjanta. Musimy przestrzegać regulaminu – powiedział Rhoades, wychodząc z pokoju przesłuchań.

Eric został sam. Popatrzył na zegarek i zdębiał. Zbliżała się szósta piętnaście. O dziewiątej miał pacjentkę.

Musiał się spieszyć.

ROZDZIAŁ 37

Wyszli na chodnik przed budynkiem komendy i przepychali się przez tłum reporterów, których od rana jeszcze przybyło. Atakowali mikrofonami, kamerami, nagrywali telefonami komórkowymi. Odgłos fleszy brzmiał jak tysiące drobnych eksplozji.

– Panie Fortunato, kim jest pański klient? Kim pan jest? Proszę pana, jak się pan nazywa? – Bez przerwy wykrzykiwali pytania. – Dlaczego się pan przebrał? Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Renée Bevilacqua? Co pan tam robił tak długo? Prosimy o komentarz!

Eric szedł ze spuszczoną głową, kryjąc twarz przed kamerami. Dziennikarze wiedzieli, że Paul jest specjalistą od spraw karnych, a to wskazywało Erica jako podejrzanego. Kiedy wchodził do budynku, był zwykłym świadkiem. Media poczuły krew i goniły ich aż na parking.

– Paul, czy twój klient jest głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo? Policja skonfiskowała jego ubrania? Dlaczego nie został zatrzymany? Są jakieś nowe dowody w sprawie Bevilacqua? Prosimy o krótkie podsumowanie. Kto to jest? Ma pan szansę się wypowiedzieć! Proszę pana, proszę pana, jak się pan nazywa? Proszę się wypowiedzieć, zanim dowiemy się wszystkiego od policji!

Prawie biegli do czarnego mercedesa Paula, zaparkowanego nielegalnie na przepełnionym parkingu. Paul otworzył drzwi zdalnym przyciskiem i wpadli do środka. Dziennikarze otoczyli samochód.

– To okropne! – Eric był zszokowany i przerażony. Instynktownie odwracał się i mrużył oczy, gdy jaskrawe światła fleszy zalewały wnętrze samochodu.

– Nie chowaj twarzy – upomniał Paul, uruchamiając silnik. – Podnieś wysoko głowę i nie patrz na nich. – Włączył wsteczny bieg i nacisnął klakson.

– Nie przejeżdż któregoś.

– Czemu miałbym sobie odmawiać przyjemności?

– Przysięgałem nie szkodzić. – Patrzył przed siebie, unikając kontaktu wzrokowego z reporterami. Oglądał podobne sceny w filmach, ale nie miał pojęcia, że w rzeczywistości są aż tak chaotyczne.

– Ja też składałem przysięgę. Palce skrzyżowałem za plecami. – Paul cofał, nie zdejmując ręki z klaksonu. Dziennikarze rozpiezchali się na wszystkie strony. – Gliniarze mogliby się pofatygować i opanować ten motłoch, ale nie ruszą tyłków.

– Dlaczego?

– Chcą cię mocniej przycisnąć. Żebyś trafił do głównego wydania wiadomości. Mówiłem ci, oni mają wszystkie asy, a ty dopiero się orientujesz, w co gracie. – Paul przyspieszył, wyjeżdżali z parkingu.

– Nie pojedą chyba za nami? – Eric się zaniepokoił, widząc kątem oka, że wielu reporterów biegnie w stronę swoich samochodów.

– Spokojna głowa, ja ich zgubię. Masz zaszczyt jechać ośmiocylindrowym wozem odliczonym od podatku. – Skręcili gwałtownie w lewą stronę i pędzili wzdłuż ulicy gustownych domków

odgrodzonych od szosy płotami i żywopłotami. Następnie skręcili w prawo w śliczną uliczkę za Lancaster Avenue.

– Mam na dziś umówionych prywatnych pacjentów. – Eric zerknął na tablicę rozdzielczą. Była szósta trzydzieści dwie. – Pierwsza osoba przychodzi o siódmej.

– Odwołaj te wizyty. Nie możesz ich dzisiaj przyjąć. Musimy jeszcze pogadać o sprawie. – Paul zerknął w boczne lusterko, wchodząc w kolejny zakręt.

– Tobie także nie zdradzę służbowych tajemnic. – Niechętnie wyjął z kieszeni nowy telefon. Nigdy nie odwołał wizyty. Jego prywatni pacjenci również go potrzebowali.

– Chcę wiedzieć wszystko, co możesz mi powiedzieć. Chłopak, dziewczyna, mrożony jogurt... – Stanęli w korku prowadzącym na zachód.

– Nie w tę stronę. – Eric popatrzył na nowy telefon, tęskniąc za starym, w którym było całe jego życie, łącznie ze ślicznym zdjęciem Hannah ustawionym jako wygaszacz ekranu. Nie porozmawiał z nią wczoraj i będzie musiał to dziś nadrobić.

– Na wszelki wypadek pojechałem odwrotnie, żeby ich wyprowadzić w pole. Chociaż wydaje mi się, że ich zgubiliśmy. – Paul popatrzył z szerokim uśmiechem w lusterko. – Widzisz? Prawo karne może być wspaniałą zabawą!

– Brawo – powiedział z wdzięcznością Eric. Raptem wewnątrz samochodu wypełnił sygnał telefonu. Na desce rozdzielczej pojawił się napis: DZWONI LAURIE.

– Siostrzyczka! – Paul odebrał połączenie, naciskając przycisk na kierownicy. – Cześć, kochanie! Misja zakończona sukcesem! Orzeł wylądował! Teraz powiedz, jak bardzo mnie kochasz.

– Kocham cię, Paul. – Głos Laurie był zniekształcony przez system głośnomówiący, brzmiał mechanicznie. – Jednak nie jesteś taki głupi, jak wszyscy mówią. Jesteś mądry.

– Umieć różne rzeczy! Jestem mądry! Nie jestem taki głupi, jak wszyscy mówią! Jestem mądry i domagam się szacunku!

– Złamałeś mi serce, Fredo. Złamałeś mi serce.

Eric nic nie rozumiał z ich rozmowy.

– O czym mówicie?

Laurie zachichotała.

– To cytat z *Ojca chrzestnego*. Najambitniejszego dzieła, jakie zna mój brat.

Paul pokiwał głową.

– Ja jestem Fredo, ona Michaeliem. Dostała tę rolę, bo jest starsza.

– Bo jestem mądrzejsza – odparowała.

– Niepotrzebna złośliwość, siostra. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Chciałem ci powiedzieć, że jadę do domu z twoim chłopakiem. Jeśli nie będziesz dla mnie miła, zawiozę go z powrotem do ciupy.

– Paul, on nie jest moim chłopakiem, tylko kolegą z pracy.

– Jaaasne. On twierdzi, że jesteście przyjaciółmi. Ha!

Eric zignorował niezręczną sytuację i powiedział:

– Laurie, dziękuję, że zadzwoniłaś do Paula. Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

– Tak! – Paul triumfalnie uderzył w kierownicę. – Kolejny zadowolony zbrodniarz!

Laurie jęknęła.

– Opanuj się, Paul. Gdzie jesteście, chłopaki? Ericu, nie wracasz już do szpitala?

Poczuł gorycz w ustach.

– Nie mogę. Zostałem zawieszony. Dasz wiarę? Do odwołania.

Wciągnęła powietrze ze świstem.

– No chyba żartujesz?

– Wiem.

Paul cmoknął z dezaprobatą.

– Wylali naszego chłopaka! Co za śwynie! Trudno o bardziej zaangażowanego lekarza. Bez przerwy gada o swoich pacjentach. Jesteście dla siebie stworzeni, Laur. Pracoholicy powinni łączyć się w pary i płodzić kolejne rzesze pracoholików, którzy wspomogą gospodarkę i uratują ten kraj przed katastrofą. Jeśli w Ameryce będzie dobrobyt, to w Europie będzie dobrobyt, a reszta świata dołączy. Wszystko zaczyna się od was dwojga, Laurie. Ty i Eric możecie uratować wszechświat. Albo nie. Wybór należy do was.

Eric uśmiechnął się, wbrew sobie.

– Jedziemy do mnie, Laurie. Jesteśmy prawie na miejscu. Odwołam prywatne wizyty.

– Przyślij mi adres SMS-em. Dołączę do was. Pa, chłopaki. Kończę. – Laurie odłożyła słuchawkę.

Paul nacisnął przycisk, kończąc połączenie, i popatrzył na Erica.

– Dobrze się spisałem jako swatka?

Eric nie zamierzał rozmawiać o swoim życiu miłosnym lub jego braku.

– Przepraszam cię, muszę zadzwonić do pacjentów.

– Śmiało, nie będę podsłuchiwał.

– Jeśli tak, mam dla ciebie diagnozę. – Eric wybrał numer Jean Carfoni, pacjentki umówionej na siódmą. Zapamiętał go, ponieważ przypominał jego numer. Trzymał telefon przy uchu w oczekiwaniu na połączenie. Uwielbiał Jean, nauczycielkę ze szkoły podstawowej, która przychodziła do niego z powodu depresji wywołanej ciężką walką z przewlekłym nowotworem krwi.

– Halo, kto mówi? – zapytała.

– Dzień dobry, Jean. Mówi doktor Parrish. Przepraszam bardzo, ale muszę odwołać naszą dzisiejszą sesję. Przykro mi, że tak późno. Mam nadzieję, że jeszcze nie wyszła pani z domu...

– Doktor Parrish? No chwała Bogu! Dzwoniłam do pana, nic się panu nie stało?

Zaniepokoiła go jej troska.

– Wszystko w porządku. Przepraszam, że do pani nie oddzwoniłem.

– Wie pan, to zabrzmiało strasznie głupio, ale zdawało mi się, że widziałam pana w telewizji. Nie wymienili nazwiska, lecz mogłabym dać sobie rękę uciąć, że to pan. Przed komendą policji w Radnor. Ale to nie był pan, prawda? Chodziło o zabójstwo tej dziewczyny z katolickiej szkoły.

Eric nie umiał się zmusić do kłamstwa.

– Przepraszam, nie mogę tego teraz wyjaśnić. Zadzwonię później, żeby ustalić inny termin wizyty, dobrze?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała ze zdumieniem w głosie. – Niech pan zadzwoni, kiedy będzie mógł, doktorze Parrish.

– Dziękuję. Do widzenia. – Cały się trząsł, kiedy kończył rozmowę. – Niech to szlag!

– Nie denerwuj się. Spokojnie.

– Dzięki. – Wyjrzał na pogrążającą się w mroku ulicę. Ludzie wracali z pracy do domów, rozmawiali przez telefony, pisali SMS-y. Oddzieleni szybą. Nie był już jednym z nich. Policja podejrzewała go o morderstwo. Niewykluczone, że przyczynił się do śmierci młodej dziewczyny. Miał pacjenta z tendencjami samobójczymi na skraju załamania nerwowego. Stracił pracę i żonę. Nie

mieszkał z własnym dzieckiem. Stracił kontakt nawet z samym sobą. Miał na sobie szary dres, który wybrał dla niego ktoś inny.

– Zadzwoń do pozostałych pacjentów – przypomniał łagodnie Paul.

Eric zadzwonił na informację, a potem do kolejnego pacjenta, który na szczęście jeszcze nie wiedział, że jego psychiatra jest podejrzany o uduszenie licealistki. Następnie opowiedział Paulowi wszystko, co mógł, nie łamiąc tajemnicy lekarskiej. Adwokat słuchał uważnie, od czasu do czasu używał dyktafonu, powtarzając najważniejsze rzeczy.

Parrish już z daleka zauważył, że drzwi jego domu zostały wyważone i pękły na dwie części.

– Wyważyli drzwi? – zapytał zbulwersowany.

– Przykro mi, stary. Przechlapane.

– Kolejna próba zastraszenia?

– Nie, po prostu chcieli wejść do środka.

Eric nie uśmiechnął się.

– Poważnie. W taki sposób egzekwuje się nakaz przeszukania. Jak inaczej mogliby się dostać do domu?

– Hm, może wziąć klucze od właściciela? I tak to zostawili? Z wyłamanymi drzwiami, przez które każdy może wejść?

– Nikt nie wejdzie. Mieszkasz w dobrej dzielnicy. – Paul zaparkował na podjeździe.

– Mimo wszystko. – Eric wysiadł z samochodu i zamknął drzwi. Z okien sąsiadów obserwowała go cała rodzina. Ciekawe, co sobie pomyśleli na widok gliniarzy, którzy włamują się do jego domu i wychodzą z jego rzeczami spakowanymi do torebek na materiały dowodowe. Przesunął palcami po pęknięciu w kształcie pioruna, dzielącym drewniane drzwi na pół. Ostra drzazga wbiła mu się pod skórę. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że odczuwa przywiązanie do tego domu. Poczł szarpnięcie w klatce piersiowej. W jednym momencie zyskał i stracił swoje miejsce.

Paul położył mu rękę na ramieniu i zaczął coś mówić.

– Nie waz się żartować – uciszył go ostrzej, niż zamierzał.

– Wejdźmy. Pomogę ci posprzątać.

Eric poczuł wyrzuty sumienia.

– Przepraszam, że na ciebie naskoczyłem.

– Stary, gdybyś nie był nerwowy po tym, co dziś przeszedłeś, martwiłbym się o twój kontakt z rzeczywistością. – Poklepał go po plecach. Eric odpowiedział uśmiechem i weszli do środka. Przeszli przez korytarz do pokoju dziennego.

– O nie. – Z ciężkim sercem ogarnął wzrokiem bałagan. Kanapa z poduszkami wywróconymi na drugą stronę, porozrzucone na dywanie książki i czasopisma branżowe. Pootwierane szuflady, porozwalane DVD. Torba z rzeczami do prania, którą zostawił pod drzwiami z zamiarem oddania do pralni, została wypatroszona na drewniany parkiet.

– Uprzedzając twoje pytanie: tak, mają do tego prawo.

– Dlaczego?

– Zabawię się w adwokata diabła i odpowiem, że są sumienni. – Wydobył ze sterty prania koszulę w kratkę. – Mogę to spalić?

– Zostawiłem laptop na stoliku. Zabrali go. Zabiorą mi wszystko, co mam? Łącznie z prywatnością? Tak po prostu? – Eric podszedł do stolika. Po laptopie został tylko szary kabel zasilacza. Na blacie pozostały resztki jakiejś sadzy. Domyślał się, że pobrali odciski palców.

– Standardowa procedura w tego typu śledztwach. Czytałem nakaz, laptop został w nim wyszczególniony.

– Zobaczę wszystko, co w nim mam? Publikacje, nad którymi pracuję, prywatne i służbowe maile, zdjęcia? – Pomyślał o zdjęciach Hannah i Caitlin w albumach z wakacji na plaży, z Halloween i urodzin. Zapisał je w chmurze, cokolwiek to znaczyło, więc nie martwił się, że straci wszystko bezpowrotnie. Po prostu nie mógł znieść myśli o obcych ludziach przeglądających jego najbardziej osobiste wspomnienia. – Paul, tam jest całe moje życie.

– Wiem.

– Przejdźmy do gabinetu. Tędy. – Wybiegł z salonu, po drodze zajrzał do kuchni, w niej także panował bałagan. Błaty zabrudzone szarym proszkiem do pobierania odcisków, pootwierane szafki, zamrażalnik, wysunięte szuflady, porozrzucane garnki.

– Przeszukali zamrażarkę?

– Szukali narkotyków. Albo lodów.

Eric wpadł do swojego gabinetu.

– Jeżeli karty pacjentów nie wchodzą w zakres poszukiwań, to znaczy, że nie mogą do nich zajrzeć? Nie wolno im, prawda? To byłoby pogwałcenie praw moich pacjentów, na które nie wyrażam zgody.

– Nie, nie wolno im.

– Przechowuję je w zamykanej szafie. – Włączył światło. Po komputerze stacjonarnym zostały tylko kable. Z biurka i stolików zdjęto odciski palców, pozostawiając czarne plamy. Po dywanie wałały się porozrzucane książki i czasopisma. Podeszedł do drewnianego kredensu, w którym przechowywał dokumentację pacjentów, pociągnął za mosiężną kłódkę. Była nienaruszona.

– Zamknięta. Ekspонат A. Promyk nadziei – oświadczył z uśmiechem Paul.

– Chłopaki, jesteście tu? – Odwrócili się obaj, słysząc głos za plecami, i ujrzeli Laurie. Stała w progu ubrana w niebieski bawełniany sweter, spodnie khaki i buty do biegania. Stylizację dopełniały włosy spięte w kok drewnianą łopatką do przytrzymywania języka. Laurie trzymała przed sobą dwa pudełka z pizzą. – Przybyła odsiecz z węglowodanami.

– Tak! – Paul podeszedł do siostry i pocałował ją w policzek. – Mama byłaby z ciebie dumna. Nie ma to jak miła, włoska dziewczyna. Ten stereotyp na czymś się przecież opiera, ludzie.

– Dzięki, że przyjechałaś. – Wziął od niej ciepłe pudełka i postawił wśród bałaganu na biurku.

– Och, Ericu. Jak oni mogli tak zdemolować twój dom? – Laurie rozglądała się wokół z napięciem.

– Wprost niewiarygodne. Powiedzcie mi, o co w tym wszystkim chodzi.

– Zaraz ci opowiem.

– Pomogę ci przywrócić dom do stanu używalności. Razem pójdzie nam błyskawicznie.

– Dokładnie moje słowa! Chyba jesteśmy spokrewnieni? – Paul otworzył jedno pudełko z pizzą. – Mam nadzieję, że wzięłaś z podwójnym serem i potrójnym sosem?

– Tak. A ta pod spodem jest z pieczarkami.

– Moja ulubiona. – Eric nagle poczuł głód.

– Zajadaj, Ericu – zachęcił Paul. Wziął kawałek pizzy i pochylił się, aby ochronić garnitur przed plamami tłuszczu i sosu. Z pudełka wydobywał się smakowity zapach. – Ona wie, że to twoja ulubiona. Pamiętaj. Jesteś najgłupszym inteligentnym gościem, jakiego kiedykolwiek poznałem. Spadam stąd.

– Już? Myślałem, że chcesz jeszcze porozmawiać o sprawie? – zdziwił się Eric.

– Mam wszystko, czego potrzebuję. Opowiedziałeś mi w samochodzie. – Podeszedł do drzwi,

odgryzając kawałek roztopionego sera. – Zadzwoń jutro, powiesz mi resztę.

– Dlaczego wychodzisz? – zapytała Laurie. – Dopiero przyjechałam.

– I o to chodzi, zostawiam was samych, przyjaciele. – Odwrócił się na pięcie i odmaszerował korytarzem.

Eric został sam z Laurie. Milczeli, wsłuchani w echo kroków Paula. Zapanowała między nimi jakaś niezręczność, odkąd Paul powiedział to, co było dotąd niewypowiedziane. Eric nie miał pojęcia, czy Laurie istotnie ma do niego słabość. W każdym razie nie czuł romansu w powietrzu, a jedynie zapach sosu pomidorowego.

– Dzięki za pizzę – powiedział i otworzył drugie pudełko. – Naprawdę uwielbiam pieczarki.

– Ja też – zapewniła pospiesznie. – Dlatego wzięłam jedną z pieczarkami. Nie dlatego, że ty ją lubisz. Zresztą, kto nie lubi pizzy z pieczarkami? Jest pyszna.

– Właśnie. Umieram z głodu. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio jadłem. – Sięgnął po kawałek pizzy. W tym samym momencie zadzwonił telefon na biurku. Z porcją pizzy w ręku nachylił się i odebrał. – Dzień dobry, doktor...

– Co ty zrobiłeś, doktorze? – W słuchawce rozległ się krzyk pijanej kobiety. – Co zrobiłeś mojemu synowi?

Rozpoznał ten głos i poczuł lęk.

– Co się stało, Marie? Czy Max wrócił do domu?

– Przyjeżdżaj natychmiast!

ROZDZIAŁ 38

Eric siedział na miejscu pasażera w białym bmw Laurie, która jeździła brawurowo jak jej brat. Błyskawicznie dotarli na miejsce i zaparkowali samochód po drugiej stronie ulicy naprzeciwko domu Maksa. Zanim dotarli na miejsce, opowiedział, co się wydarzyło. Wokół panowała ciemność. Ciszę zakłócało jedynie szczekanie psa wewnątrz któregoś z domów.

– Dziękuję, że mnie podwiozłaś. Zaraz wracam. – Złapał za klamkę.

– Mogę pójść z tobą? – Laurie ścisnęła kierownicę.

– Nie, umawialiśmy się. – Nie było czasu na prowadzenie negocjacji. Spieszył się, żeby wejść do środka. Słowa Marie mogły sugerować, że Max wrócił do domu, jednak Eric nie chciał sobie robić nadziei. – To dziwna sytuacja, zbyt wiele niewiadomych.

– Myślisz, że sobie nie poradzę? Wiesz, kim jestem z zawodu?

– Zgodziłaś się poczekać w samochodzie.

– Wiedziałaś, że nie dotrzymam słowa.

– Nie będę się z tobą teraz spierał. Muszę iść. – Wysiadł, zamknął za sobą drzwi i przeszedł na drugą stronę ulicy. Laurie dogoniła go na chodniku.

– Przydam się, zobaczysz.

– Nie pomagasz, dokładasz mi tylko zmartwień – rzucił, nie zwalniając kroku. Laurie deptała mu po piętach.

– Kiedyś mnie lubiłeś.

– To było kiedyś.

– Zamówiłam tę pizzę z pieczarkami specjalnie dla ciebie, tylko nie chciałam się przyznać.

– Wiem. Trzymaj się z tyłu, dobrze? – Zapukał w szklane drzwi, ponieważ główne stały już otworem. Ze środka dobiegał dialog z jakiegoś telewizyjnego reality show, który gwałtownie ucichł, zanim na korytarzu pojawiła się Marie.

– Wejdz szybko. Kto to jest?

– Witaj, Marie. Doktor Laurie Fortunato. Leczyła twoją mamę na ostrym dyżurze w zeszłym tygodniu...

– Dobra, nie zmieniaj tematu. Wchodźcie. – Cofnęła się i wpuściła ich do środka. Eric troskliwie osłaniał Laurie, kiedy szli korytarzem do pokoju dziennego.

– Jest Max? Wrócił? – Rozejrzał się z nadzieją, lecz dom był tak samo cichy i mroczny jak poprzednio. Na stołach panował ten sam bałagan: plastikowe kubki i butelka wódki opróżniona do połowy. Duży telewizor z wyciszonym dźwiękiem i pomruk klimatyzatora.

– Doskonale wiesz, że nie! – Marie stanęła na środku pokoju w bojowej pozycji ze skrzyżowanymi ramionami.

– Nie wiedziałem. – Oddech kobiety pachniał alkoholem, miała półprzymknięte oczy, tym razem była ubrana w poplamioną kwiecistą podomkę.

– Wyjaśnij mi w takim razie, czego tu szukała policja! Pytali o Maksa. Czy znał tę zamordowaną dziewczynę, Renée Jakaśtam...

– Bevilacqua – odpowiedział odruchowo.

– Powiedziała im, że nie mam pojęcia, skąd ją znał i czy w ogóle znał. Max nigdy by nikogo nie zabił! Nigdy!

Marie, jak widać, nie wiedziała, iż Renée była jedną z uczennic Maksa. Trudno się dziwić, pomyślał. Nie mógł jej tego powiedzieć, nie zdradzając tajemnicy lekarskiej.

– Czemu mnie pytacie o takie rzeczy? Po co przyszliście akurat do mnie? Pytam ich, a oni idą na górę przeszukać jego pokój. Przewrócili go do góry nogami! Mój syn nie znał tej dziewczyny! – Półprzymknięte oczy Marie zaszkliły się od łez, ale już po chwili znów była wściekła. – Nie chcieli mi nic wytłumaczyć. Powtarzali tylko, że to tajemnice śledztwa.

Doskonale rozumiał dezorientację Marie. Zarówno on, jak i policjanci mieli swoje własne zasady poufności, niepozwalające na wtajemniczenie Marie. Nic dziwnego, że była wstrząśnięta i zdenerwowana.

– Mówię im, że zgłaszałam zaginięcie syna. Jego psychiatra kontaktował się z nimi w tej sprawie, a oni na to: „Nie na naszej komendzie, inny posterunek”. Nie mógł znać tej dziewczyny, tłumaczyłam im. Nie chcieli powiedzieć, dlaczego ich zdaniem ją znał.

Eric nie przerywał, próbował zrozumieć treść ukrytą w słowach zniekształconych przez emocje i alkohol. Marie zignorowała dzwoniący w kieszeni telefon.

– Pytają mnie, czy mogą zajrzeć do jego pokoju. Mówię im, żeby spierdalali, to zaczynają mi grozić jakimś nakazem. – Podniosła głos i pryskała wokół śliną. – Śmiało, idźcie po nakaz. Niedługo przyjdzie mój facet i wsadzi wam w dupę ten nakaz.

Parrish wyobraził sobie reakcję Rhoadesa i Pagano, jeśli to oni przesłuchiwali Marie. Telefon przestał dzwonić.

– A potem włączam telewizor i kogo widzę? Ciebie! Pokazali cię w wiadomościach, jak wychodzisz z komendy! Poznałam cię nawet w tym przebraniu! Przebrałeś się za pierwszego lepszego faceta z ulicy. Nie wyglądałeś jak lekarz!

Miała na myśli szary dres od Paula.

– Najpierw pomyślałam, że chodzi o Maksa. Że go szukasz. Olśniło mnie dopiero, kiedy wymienili nazwisko tej dziewczyny. Znalazłam powiązanie. Jakie? Ty nim jesteś! – Wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę Erica. – Nikt inny, tylko ty. Powiedziłeś gliniarzom, że mój syn zabił tę dziewczynę! Dlaczego to zrobiłeś? Jak mogłeś? Jak śmiałeś! On był twoim pacjentem!

– Marie, nic im nie powiedziałem. Nie zdradziłem niczego, o czym opowiadał Max w trakcie sesji. – Czuł się jak ostatni hipokryta, choć przecież nie kłamał. Mimo wszystko przez niego Max znalazł się na celowniku policji. Nie widział innego sposobu, aby uratować mu życie.

– Zdradziłeś jego zaufanie! On nie jest mordercą, nie znał tej dziewczyny!

– Nie zdradziłem jego zaufania.

– A co robiłeś na policji? Skąd o tobie wiedzą? Wiesz, co ja myślę? Mnie nie oszukasz. – Zacisnęła usta. – Ty jesteś mordercą, zabiłeś jakąś dziewczynę, a teraz wrabiasz Maksa! Wrobiłeś go! Wrobiłeś mojego syna w morderstwo!

– Mylisz się, Marie...

– Jest dokładnie tak, jak mówię! – wrzasnęła, patrząc na niego półprzytomnym wzrokiem. – Jego też zabiłeś! Zabiłeś Maksa! Zamordowałeś ich oboje!

Eric cofnął się o krok, wstrząśnięty tym oskarżeniem.

– Przestań, Marie. Robię wszystko, co mogę, żeby ocalić Maksa, odnaleźć go. Zależy mi na nim i...

– Nie wierzę ci! Pewnie sypiałeś z tą dziewczyną, ona groziła, że powie rodzicom albo coś w tym stylu, więc ją uciszyłeś! Zamordowałeś ich oboje!

– Nie, Marie...

– Jesteś jak ten facet z programu kryminalnego, który udawał rozpacz po zaginięciu żony, a sam ją zabił! Od samego początku to byłeś ty! Zabiłeś ją i zabiłeś Maksa. On już nigdy nie wróci! Straciłam matkę i syna. Nikt mi nie został. Jestem teraz sama na świecie!

– Marie, usiądź, wszystko ci wyjaśnię...

Przerwało im nagłe wtargnięcie brodatego olbrzyma w niebieskim T-shircie z logo Montgomeryville Motorcycles, ubrudzonych smarem dżinsach i zniszczonych roboczych butach. Wbił w Erica spojrzenie ciemnych oczu ukrytych za okularami w drucianych oprawkach, zsuwającymi się z bulwiastego nosa. Mięsiste usta wielkoluda wykrzywił gniewny grymas.

– Marie, kim jest ten facet?

– Właśnie. – Kobieta zwróciła się do Erica. – To Zack, mój chłopak. Jechał dwa dni bez przerwy, żeby do mnie dotrzeć. Powiedz mu, co zrobiłeś mojemu synowi. Prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Inaczej wydrze ją z ciebie siłą. Zack kocha Maksa tak samo jak ja, kiedyś zostanie jego ojczymem. Pora zakończyć tę szopkę!

– Zack, nazywam się Eric Parrish. – Nie pozwolił się zastraszyć. – Jestem psychiatrą Maksa i nigdy bym go nie skrzywdził. Próbuję go znaleźć, ponieważ obawiam się, że będzie próbował popełnić samobójstwo.

– Czyżby? – Zack zbliżył się do niego z miną sugerującą wrogie zamiary. – Z chłopakiem nie było żadnych problemów, dopóki nie zaczął chodzić do psychiatry. Teraz nagle znika. Powiem ci, że twoje zainteresowanie nim jest mocno podejrzane. Przychodzisz tu, przeszukujesz jego pokój...

– Archie? To ty? – zapytała Laurie, wchodząc do pokoju. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie.

– Pani doktor? – Ukazał w szerokim uśmiechu poźółkłe zęby. – Co pani tu robi? Jak zdrówko?

– Dobrze, dzięki. – Laurie przytuliła brodatego olbrzyma. – A jak ty się czujesz? Wyglądasz świetnie!

Eric nie miał pojęcia, co się dzieje, ale przyglądał się temu z ciekawością. Zerknął na Marie, która wydawała się rozczarowana, że pojedynek został odwołany.

– Pani doktor, prawie całkiem doszedłem do siebie! Ten neurolog, którego mi pani poleciła, doskonale się spisał, a klinika rehabilitacyjna zrobiła resztę. Dostałem nauczkę. Już nie jeżdżę bez kasku.

– Rewelacja! Nawet nie utykasz. Wspaniale.

– Dzięki, doktor F. – Zack zwrócił się do Marie: – Rybko, to jest właśnie doktor F., o której ci opowiadałem. Opiekowała się mną po wypadku. Powinniśmy ją zaprosić na nasz ślub.

– Poważnie? – zdziwiła się Marie. – Ta doktor F.?

– Tak, najlepsza lekarka, jaką znam. – Zack zwracał się do wszystkich obecnych. – Miałem wypadek dziewięć miesięcy temu, jakiś dzieciak zignorował znak stopu i wjechał mi pod motor. Kiepsko ze mną było. Dostarczyli mnie do szpitala helikopterem, pani doktor złożyła mnie do kupy i umówiła z najlepszym neurologiem. Zgodził się mnie przyjąć tylko dlatego, że ona go o to poprosiła. – Zack objął Laurie ramieniem, jakby ją zabierał na bal maturalny do piekła. – Facet znał się na swoim fachu, ale nie był taki miły jak nasza pani doktor.

– Łał. – Eric zaniemówił ze zdumienia. Laurie posłała mu wymowne, triumfalne spojrzenie. A nie mówiłam? – zdawała się pytać.

Marie zmarszczyła czoło.

– Czegoś tu nie rozumiem. Kim, do cholery, jest ten Archie?

Zack przybrał pokorny wyraz twarzy.

– To ja, rybko. Takie imię mam w papierach. Dziwisz się, że ci nie powiedziałem?

– Archie? – powtórzyła ze zdumieniem. – Jak Archibald?

– Nie, jak Archie Andrews. – Zach wzruszył zwałistymi ramionami.

Laurie popatrzyła na Zacka.

– Archie, wiem, że martwicie się o Maksa, ale Eric jest jednym z moich najstarszych przyjaciół. Pracujemy razem i mogę za niego ręczyć. Przysięgam ci, on działa w najlepszym interesie chłopca.

– Hm. – Zmarszczki na czole Marie pogłębiły się. Jej telefon komórkowy znów zaczął dzwonić.

– Może powinnaś odebrać? – zasugerował ostrożnie Eric. Bardzo chciał wiedzieć, kto dzwoni. – Nie wiadomo, czy nie chodzi o Maksa.

– Nie, na pewno te pijawki z windykacji, dzwonią bez przerwy. – Machnęła ręką. – Cieszę się, że zrobiło się tak miło, ale to niczego nie zmienia. W każdym razie nie dla mnie. Nie dowiedziałam się, co doktor Parrish robił na policji i dlaczego Max jest ni stąd, ni zowąd podejrzany o morderstwo.

Zack popatrzył na nią i powiedział:

– Marie, powinniśmy usiąść i razem spokojnie się nad tym zastanowić. Nie wyciągaj pochopnych wniosków i nie obrażaj ludzi. Ochłońmy, napijmy się kawki. Co ty na to, rybko?

– Nie wiem – odparła z wahaniem. – My dwoje powinniśmy sobie uciąć małą pogawędkę w kuchni.

– Dobrze. – Zack wskazał Ericowi miejsce na kanapie przed telewizorem. – Usiądźcie sobie, razem z panią doktor, a my przygotujemy kawę.

– Świetny pomysł – zgodził się Eric, zmierzając w stronę kanapy.

– Tak, Archie... To znaczy, Zack. – Laurie usiadła obok Erica. Telefon komórkowy Marie zadzwonił po raz kolejny.

– Rybko, może powinnaś odebrać – odezwał się tym razem Zack. – To naprawdę może być Max.

– Niech wam będzie. – Marie wyjęła aparat z kieszeni podomki.

Eric zerknął na ekran wyciszonego telewizora i na moment stracił oddech.

– O Boże, nie! – zawołał przerażony.

– Co się stało? – Laurie popatrzyła na telewizor i głośno wciągnęła powietrze. – Marie, Zack!

Parrish stał nieruchomo i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w relację na żywo z koszmaru.

UCZEŃ TERRORYSTA W CENTRUM HANDLOWYM, informował napis na dole ekranu. Nad nim był obraz budynku galerii handlowej King of Prussia otoczonego policyjnymi radiowozami z włączonymi migaczami i wozami strażackimi.

Obok niewyraźne zdjęcie zrobione telefonem komórkowym.

Nie było wątpliwości, kogo przedstawia.

Uczeń terrorysta w centrum handlowym to Max.

ROZDZIAŁ 39

- Daj mi kluczyki! – zawołał Eric, biegnąc w stronę białego bmw, podczas gdy Zack i Marie dopadli zaparkowanej na podjeździe furgonetki.
- Ericu, ja prowadzę – zaprotestowała Laurie, która podążała tuż za nim.
- Pozwól mi. – Musiał mieć nad czymś kontrolę.
- Tylko jedź ostrożnie. – Rzuciła mu kluczyki. Wsiadli do samochodu i natychmiast ruszyli.
- Nie martw się. Opanujemy sytuację – próbowała go pocieszyć, ale Eric wiedział, że to jego zadanie.
- Nie mogę uwierzyć, jak bardzo się pomyliłem. – Pędził ciemną ulicą, widział za sobą reflektory furgonetki Zacka. Gwałtownie wszedł w zakręt.
- Spokojnie.
- Ulica jest pusta, wiem, co robię. – Mocno ścisnął kierownicę. – Zadzwoń na policję? Poproś detektywa Rhoadesa albo Pagano i powiedz, że właśnie tam jedziemy.
- Nie ma sprawy, ale co zamierzasz zrobić po dotarciu na miejsce?
- Spróbuję z nim porozmawiać. Przekonać, żeby się poddał.
- Kto? Max?
- Oczywiście, że Max. – Mijali oświetlone okna małych domków jednorodzinnych przy cichej, pogrążonej w mroku uliczce. Mężczyzna prowadzący na smyczy owczarka niemieckiego popatrzył ze zdziwieniem na dwa rozpędzone pojazdy.
- Dlaczego ty?
- Jestem jego lekarzem.
- Ale galeria handlowa to nie gabinet psychiatryczny. On ma zakładników i bombę.
- Potrzebuję mnie. – Skręcił w prawo. Nie potrzebował nawigacji, znał drogę na skróty do galerii.
- Co chcesz mu powiedzieć?
- Jeszcze nie wiem. Znam tego dzieciaka, nie chce nikogo zabić. Po prostu jest zdesperowany.
- Ericu, on zabił Renée.
- Nie wiemy tego na pewno.
- Chyba nie masz już wątpliwości?
- Trochę mam.
- W tej sytuacji? Przecież właśnie on jest w galerii.
- Wiem. – Miał rację w sprawie telefonów do Marie. Nie dzwonili z windykacji. Nie dzwonił też Max. Usiłowała się z nią skontaktować policja. – Jakaś część mnie ciągle wierzy w tego chłopca. On nie jest agresywny. Nie ma takiej natury.
- Załamał się, to przecież możliwe. Czy nie tego właśnie się obawiałeś? Że po śmierci babci czeka go epizod psychotyczny?
- Milczał, skoncentrowany na prowadzeniu. Przeczował, że Laurie ma rację, ale nie chciał tego

przyznać. Coś było nie tak, coś nie pasowało. Max nie był typem terrorysty. Nawet epizod psychotyczny nie wyjaśniał takiej nagłej zmiany osobowości.

– Ericu, pomożemy, jeśli nas poproszą i jeśli będziemy potrafili. Nie możesz tego brać na siebie.

– Wziąłem to na siebie, kiedy zgodziłem się go leczyć. – Przyspieszył, mijając droższe domy, okrągłe podjazdy i drzwi z widocznymi systemami alarmowymi.

– Nieprawda.

– Prawda.

– O co tu chodzi? Wyrzucasz sobie, że nie zgłosiłeś go na policję, i usiłujesz odkupić swoje winy?

Nie był w stanie myśleć na tyle trzeźwo, by udzielić jej odpowiedzi. Wiedział, że usiłuje pomóc, i wolałby, aby tego nie robiła.

– Ericu, policja wezwała Marie, bo ich zdaniem ona ma największą szansę na dotarcie do Maksa.

– Myślą tak, bo jej nie znają. – Wyjechał na główną ulicę, minął restaurację Chili's, supermarket Target i lodziarnię Cold Stone. Zack i Marie jechali tuż za nimi, ignorując czerwone światła. Ruch był niewielki i nigdzie ani śladu policji. Prawdopodobnie wszyscy zostali wezwani pod centrum handlowe.

– Widzieli ją dziś. Widzieli, jak mieszka. Wiedzą, że pije. Są detektywami, domyśliliby się i bez butelki wódki na stole.

– No i?

– Zadzwonili do niej, ponieważ jest jego matką.

– Zadzwonili do niej, ponieważ on nie ma nikogo innego.

– Mogli się skontaktować z tobą, ale tego nie zrobili.

– Jak? – Skręcił w szosę numer 202 i przyspieszył. – Jak mieli się ze mną skontaktować?

Skonfiskowali mi telefon komórkowy. Poza tym podejrzewają mnie o zamordowanie Renée. Prawdopodobnie podejrzewają nas obu, indywidualnie lub razem. Podobnie jak Marie ze swoją szaloną teorią, że zabiłem Renée i Maksa. Laurie, bądź tak miła i zadzwoń na policję, ja nie mogę rozmawiać, muszę się skupić na jeździe.

– Dobrze, dobrze. – Sięgnęła po telefon, a Eric zerknął na zegarek. Była dziewiąta trzynaście. Wyobraził sobie Maksa obserwującego sekundnik, aby w odpowiednim momencie wykonać swój rytuał. Po śmierci babci i Renée mógł uznać, że nie ma już po co żyć.

– Laurie, właśnie coś do mnie dotarło. Max nie zamierza zabić nikogo oprócz siebie samego. Chce, żeby policja go zastrzeliła.

– Myślisz?

– Tak, to bardzo prawdopodobna metoda odebrania sobie życia w przypadku pacjenta takiego jak Max. Jest zdesperowany i przerażony. Pragnie umrzeć, lecz nie jest w stanie samodzielnie pociągnąć za spust. Zatem stworzył sytuację, w której ktoś go wyręczy.

– Masakra. – Laurie westchnęła. – Musi być w potwornej desperacji.

– Otóż to. Ponadto jest wściekły na Marie. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że chce jej pokazać, jak bardzo przez nią cierpi.

– Brzmi prawdopodobnie.

– Ma dopiero siedemnaście lat i nie rozumie, że zrukuje życie gliniarzowi, który naciśnie na spust. Nikt nie chce mieć na sumieniu dzieciaka, a on nie da im wyboru.

– O matko.

– Właśnie. – Eric zacisnął dłonie na kierownicy. Samochód przecinał ciemność jak strzała,

wyprzedzając wszystko na swojej drodze. Strzałka prędkościomierza przesunęła się ze stu dwudziestu na sto czterdzieści kilometrów. Minęli supermarkety Costco, Best Buy oraz kompleks kinowy i skręcili w czteropasmową szosę wiodącą do ogromnej galerii handlowej King of Prussia.

– Jesteśmy na miejscu. – Zwolnił i otworzył okno. Cała okolica została ogrodzona kordonem policji. Funkcjonariusze sygnalizowali kierowcom, aby zjeżdżali na najodleglejszy pas i jechali dalej.

– Nie mogę się skontaktować z detektywami – powiedziała Laurie z telefonem w ręku. – Nie chcę mi podać ich numerów komórkowych.

– Próbuj do skutku.

– Nie wpuszczą nas na teren galerii.

– Jeszcze zobaczymy. – Przystanęli na ostatnich światłach przed policyjną blokadą otoczoną wozami transmisyjnymi. Mijały ich radiowozy i karetki na sygnale. Gdy tylko światło zmieniło się na zielone, Eric podjechał do kierującego ruchem policjanta. – Panie władzo, musimy się dostać do galerii...

– Nie ma takiej możliwości, proszę pana. Niech pan odjedzie. Proszę odjechać.

– W czerwonej furgonetce za nami jest matka chłopca, matka terrorysty. – Z trudem wypowiedział te słowa. – Ja nazywam się Eric Parrish i jestem jego lekarzem psychiatrą. Dzwoniono do nas i poproszono o natychmiastowe przybycie. Musi nas pan przepuścić.

Policjant zmarszczył czoło pod granatowym daszkiem policyjnej czapki.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan dziennikarzem?

– Nietrudno to zweryfikować. Dzwonili do nas detektywi Rhoades i Pagano z komendy w Radnor. Próbowaliśmy ich powiadomić, że jesteśmy w drodze.

– Nie znam ich. Jestem z Upper Merion.

– Z pewnością są tu przedstawiciele różnych jurysdykcji, jednak my musimy przejechać. Naprawdę chce pan wziąć na siebie odpowiedzialność za uniemożliwienie nam stawienia się na wezwanie?

– Dobra, jedźcie. – Policjant dał znak, aby zjechali na pas po lewej stronie.

– Dziękujemy. – Eric ruszył naprzód i zasygnalizował Zackowi, aby jechał za nim.

– Niezła ściema. – Mimo uśmiechu Laurie była nieco spięta.

– Szczęście początkującego. Gdzie jest sklep komputerowy? W nowym czy w starym skrzydle? Możesz sprawdzić w telefonie?

– Czekaj. W Plazie, w nowej części, na dole obok Starbucksa.

– Które wejście? Pierwsze od lewej?

– Tak. Będzie najbliżej.

Eric wyciągnął szyję, usiłując zorientować się w kontrolowanym chaosie, jaki panował na parkingu. Z galerii wybiegał tłum przerażonych mężczyzn, kobiet i dzieci pospieszanych przez policję. Ludzie płakali i krzyczeli. Służby mundurowe wznosiły wielki biały namiot, w którym miało się mieścić centrum dowodzenia. Wozy strażackie i karetki czekały w pogotowiu. Z czarnych dżipów wysiadali ubrani na czarno mężczyźni. Brygady antyterrorystyczne. Przeróżne służby uwijały się jak w ukropie. Wśród tłumu migwały czarne mundury FBI i płaszcze agentów Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych (ATF). Podłączano reflektory i prądnice, rozładowywano ciężarówki z materiałami do ustawiania barykad.

Eric był przerażony. Całe to zamieszanie spowodował jeden człowiek, jego pacjent.

– Co za koszmar. Biedni ludzie. Oby tylko nikomu nic się nie stało. Max nie ma pojęcia, co

uruchomił.

– Ericu, przepraszam, że cię w to wciągnęłam. – Laurie westchnęła, obejmując wzrokiem całą scenę.

– Ja sobie poradzę. To tylko dowód, że Max naprawdę potrzebuje pomocy.

– Mógł mu pomóc inny psychiatra. Ja ciebie wrobiłam i zobacz, co się dzieje. Gliny, twoja praca...

– Nie chciałbym, żeby leczył go ktoś inny – powiedział Eric. – To ja chcę mu pomóc i myślę, że on w pewnym sensie pomaga mnie.

– Teraz gadasz jak szaleniec.

– A kto byłby lepszy? – Eric wjechał na rampę prowadzącą pod górę w stronę Plazy. Po prawej stronie miał sklep Neiman Marcus, a na wprost główne wejście. Na końcu rampy stały barierki i umundurowani funkcjonariusze policji. Kilku podbiegło, machając rękami, z latarkami i bez. Dawali znaki, aby się zatrzymali.

– Proszę pana, tu nie ma przejazdu! – zawołał tęgi policjant. Eric nacisnął hamulec.

– Jestem lekarzem psychiatrą tego terrorysty, towarzyszę jego matce. Zostaliśmy wezwani przez detektywa Rhoadesa z komendy w Radnor. Proszę nas wpuścić.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Policjant popatrzył na Laurie. – To matka?

– Nie, ta pani jest lekarzem pogotowia. Matka chłopca jest w furgonetce za nami, razem ze swoim partnerem. Musicie nas przepuścić.

– Proszę pana, mamy już personel medyczny. Matka i ojciec mogą przejechać, ale państwo muszą poczekać na weryfikację moich przełożonych. – Tęgi policjant podbiegł do kolegi i rozmawiali chwilę, następnie ktoś inny podszedł do furgonetki Zacka, a on oddalił się w stronę kordonu.

– Boże, snajperzy. Patrz, Ericu. – Laurie wskazała płaski dach Neimana Marcusa, tam zajmowała pozycje brygada antyterrorystyczna. Mieli stamtąd najlepszy widok na główne wejście.

– Laurie, gdzie dokładnie jest Video City?

– Chwileczkę. – Odszukała w telefonie plan galerii. Niebieska poświata oświetliła jej twarz. – Pierwszy od wejścia jest bank, potem optyk. Video City trzeci.

– Cholera, niczego stąd nie zobaczymy. – Zmrużył oczy, wysilając wzrok.

– Poczekaj sekundę. – Laurie wystukała coś na telefonie.

– Co robisz? – Eric przysunął się bliżej.

– Proszę bardzo, internetowa transmisja na żywo. Byłam pewna, że coś znajdę. Tyle tutaj wozów transmisyjnych.

– Oczywiście. – Patrzył na zbliżenie ukazujące wnętrze galerii, sfilmowane z zewnątrz. Obiektyw kamery został skierowany wprost na przeszkloną ścianę sklepu komputerowego. Obraz był mocno powiększony i przez to niewyraźny, nie obejmował całego wnętrza sklepu, ale to, co zdołał na nim dostrzec, przepełniło Erica trwogą. Sklep wydawał się pusty, oprócz drobnej sylwetki za kontuarem z tyłu, w której rozpoznał Maksa ubranego w bluzę z kapturem. Jeżeli on widział go tak wyraźnie, snajperzy z całą pewnością także.

– Hej, przepuścili Zacka i Marie – odezwała się Laurie.

– Tak? – Zerknął na czerwoną furgonetkę, podjechała do białego namiotu, gdzie została otoczona przez grupę policjantów. Nie widział Zacka ani Marie w tłumie i ciemności, ale wiedział, że zostali wprowadzeni do namiotu.

– To dobrze. – Laurie wróciła do oglądania transmisji.

Eric z niepokojem obserwował parking. Miał nadzieję, że Marie zdąży wytrzeźwieć przed

rozmową z Makssem. Sama jej obecność przypomni chłopcu, iż nie ma już na świecie nikogo bliskiego. Jeśli oglądał wiadomości i widział swojego lekarza przed komendą, prawdopodobnie uważa go za zdrajcę. Czuje się osamotniony, pozbawiony nadziei i chce umrzeć.

– Proszę pana! – zawołał tęgi policjant, podbiegając z powrotem do białego bmw. – Proszę stąd natychmiast odjechać. Nie otrzymał pan zezwolenia na wjazd.

– Bardzo proszę mnie wpuścić. Naprawdę mogę pomóc. Proszę, oto moje dokumenty. – Sięgnął do kieszeni, zapominając, że zostawił wszystko w spodniach skonfiskowanych przez policję.

– Ericu, posłuchajmy pana – poprosiła Laurie. W tej samej chwili zadzwonił jej telefon.

– Doktor Fortunato – odebrała połączenie. – Poczekaj, Zack. – Zwróciła się szybko do Erica. – Zack chce z tobą rozmawiać.

– Proszę odjechać! – zawołał policjant, pokazując, aby zawrócili.

– Za pięć minut – powiedział Eric, biorąc telefon. – Dzwoni matka chłopca i jej partner. – Włączył głośnik. – Zack, co się dzieje?

– Marie spanikowała – wyjaśnił z napięciem Zack. – Nie może przestać płakać. Próbowali się dodzwonić do Maksa na komórkę. Nie odbiera.

– Możesz porozmawiać z kimś, kto podejmuje decyzje, i poprosić, żeby mnie wpuścili? Spróbowałbym do niego dotrzeć.

– Rozmawiałem. Nie zgodzili się.

– Przekażesz słuchawkę tej osobie?

– Dobra. – W tle rozległ się hałas.

– Porucznik James Jana. Kto mówi?

– Eric Parrish. Jestem psychiatrą Maksa. Chciałbym jakoś pomóc, porozmawiać z nim. Mógłby mnie pan połączyć z Makssem?

– Nie, nawet gdybym chciał. Nie odbiera telefonu. Zadzwonił do nas raz i to wszystko. Odmawia nawet rozmowy z matką. Nagraliśmy wiadomości na jego poczcie głosowej i na automatycznej sekretarce sklepu.

– Co mówił, kiedy nawiązaliście z nim kontakt? Jak brzmiał?

– Był spokojny i opanowany. Jest pan psychiatrą tego dzieciaka? Co mu jest?

– Nie mogę rozmawiać na temat diagnozy.

– Chyba pan żartuje? On zamierza wysadzić w powietrze zakładników, a pan się bawi w jakieś gierki? Pomyślał pan o tych dzieciakach? Co z nimi?

– Poruczniku, co dokładnie powiedział? Czego chce? Wysunął jakieś żądania?

– To sprawa policji, nie wyjawiamy tego typu informacji nawet rodzinom zakładników. Nie chcemy, żeby przedostały się do mediów.

– Przysięgam, że zachowam wszystko dla siebie. Proszę mi powiedzieć. Pomoże mi to zrozumieć, w jakim jest stanie psychicznym, i łatwiej mi będzie do niego dotrzeć.

– Dobrze. Tylko ze względu na relacje łączące pana z chłopcem i jego matką. Ale jeśli się dowiem, że nastąpił jakiś przeciek, pożałuje pan.

– Przysięgam, że można mi zaufać.

– Ma zakładników, same nastolatki, czterech chłopców i dziewczyna. Powiedział, że zabije pierwszego za piętnaście minut, a kolejnych w piętnastominutowych odstępach.

Eric poczuł, że krew ścina mu się w żyłach z przerażenia. Skojarzenie z rytuałem Maksa było potworne, ale coś tutaj się nie zgadzało.

– A bomba? Po co mu bomba?

– Kiedy zabije wszystkich zakładników, wysadzi się w powietrze.

Parrish nie kupował tej historii.

– Poruczniku, co to za plan? Gdyby naprawdę chciał zabić te dzieciaki, po co miałby czekać?

Mówić wam o tym? Gdyby zakładnicy mieli zginąć, już by nie żyli. I po co mu ta bomba?

– Sam jestem ciekaw, doktorze. Dzieciak ma nierówno pod sufitem.

– Z tego, co wam powiedział, wynika, że nie zabije tych dzieciaków. Nie spowoduje wybuchu. On chce popełnić samobójstwo, zginąć od policyjnej kuli.

– Braliśmy pod uwagę tę wersję. Mamy bardzo dobrego negocjatora z Biura Bezpieczeństwa Narodowego, powiedział to samo co pan.

– Z Biura Bezpieczeństwa Narodowego? – Eric rzucił Laurie przelotne spojrzenie. Wyglądała na przygnębioną. – Poruczniku, Max nie jest terrorystą. To tylko...

– Nie mam czasu na pogawędki, doktorze. Mam ludzi do uratowania.

Wiedział, co znaczą te słowa. Mają zamiar zastrzelić Maksa, zanim zdąży kogoś zabić. Snajperzy zajęli już pozycje.

– Kapitanie, czy istnieje jakakolwiek szansa, żebym tam wszedł i z nim porozmawiał?

– Wykluczone. Za duże ryzyko.

– Przekonam go, żeby się oddał w ręce policji. Ocalicie i jego, i zakładników.

– Przepraszam, muszę kończyć. Do widzenia.

– Cholera! – Eric zacisnął zęby i oddał Laurie telefon.

Przysadzisty policjant klasnął w rękę.

– Słyszał pan porucznika. Proszę zawrócić i opuścić teren.

– Ericu. – Laurie położyła mu rękę na ramieniu. – Mamy numer do Marie. Jeżeli Max do niej zadzwoni, może cię z nim połączyć. Zrobiłeś, co mogłeś. Jedźmy już.

– Proszę posłuchać żony i natychmiast stąd odjechać. – Policjant cofnął się, aby umożliwić Ericowi odjazd. – Natychmiast, proszę pana!

– Dobrze. Już. Dziękuję. – Eric machnął ręką i policjant odbiegł na swój posterunek.

Tymczasem Parrish pocałował Laurie w policzek.

– Trzymaj kciuki – powiedział, zanim wyskoczył z samochodu.

ROZDZIAŁ 40

Eric schował się za żywopłotem i skierował się prosto na parking. Wiedział, że bez trudu wmiesza się w tłum, było ciemno i ogólne zamieszanie. Umundurowani funkcjonariusze, strażacy, agenci FBI i ATF, członkowie brygad antyterrorystycznych biegali w tę i z powrotem. Wokół trzaskały policyjne radia, dzwoniły telefony, ludzie krzyczeli, dzieci płakały, policjanci skandowali rozkazy. Snajperzy na dachu zajęli śmiertcionośne pozycje.

Eric biegł przed siebie ze spuszczoną głową w stronę głównego wejścia do galerii. Ukrył się za karetką, potem za wozem strażackim, czekając na sposobność. Policja eskortowała zdezorientowanych ludzi jak najdalej od drzwi, przez które przechodzili już tylko mundurowi. Trwała akcja ewakuowania cywilów, nim padną pierwsze strzały lub nastąpi wybuch. Biały namiot dowództwa znajdował się około trzydziestu metrów po lewej stronie, Eric schował się za jaskrawym wozem strażackim.

Grupka strażaków stała po drugiej stronie, na tyłach. Rozmawiali. Kilku zdjęło kurtki w tę ciepłą, letnią noc. Zostali w samych T-shirtach, szelkach i spodniach z ognioodpornego tworzywa. Wiatrówki wisiały na drzwiach furgonetki. Eric chwycił jedną, wiedząc, że to jego jedyna szansa, i pobiegł w stronę drzwi. Ze spuszczoną głową wbiegł w tłum mundurowych.

Przestąpił próg, zerkając na balkon drugiego piętra. Snajperzy zajmowali pozycje do strzału, mieli Maksa na celowniku, był doskonale widoczny za przezroczystą sklepową szybą. Strażacy rozbiegli się na wszystkie strony, prowadzili spanikowanych ludzi do wyjścia, gdzie przejmowała ich policja. Eric tymczasem skierował się wprost do sklepu komputerowego.

– Max! – zawołał. Chłopiec odwrócił się w jego stronę. Stał za ladą z założonymi okularami przeciwsłonecznymi i ubrany w czarną bluzę z kapturem.

– Doktor Parrish. – Wycelował w niego lufę dubeltówki.

Usiłował na nią nie patrzeć. Nie widział oczu Maksa za ciemnymi szklami okularów.

– Nie chcesz mnie zastrzelić. Nie chcesz nikogo zastrzelić.

– Jest pan tego pewien? – odpowiedział nastolatek lodowatym tonem, jakiego Eric nigdy wcześniej u niego nie słyszał.

– Tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ cię znam. – Zaszło mu w ustach ze zdenerwowania. – Nie jesteś mordercą.

– Nie zna mnie pan zbyt dobrze, doktorze Parrish.

– Mogę opuścić ręce? Przestanieś we mnie celować?

– Nie. Niech pan trzyma ręce nad głową.

– Max, co ty wyprawiasz?

– Nie widać? Mam pięcioro zakładników. Zamknąłem ich na zapleczu. – Zerknął na zegarek i popatrzył na Erica, który nie widział wyrazu jego twarzy ukrytej za wielkimi okularami. – Za pięć

minut wyprowadzę jednego i zastrzelę. Jeszcze nie wiem kogo.

Eric przyswajał jego słowa całym ciałem. Czuł, jak przenikają go do szpiku kości i wprawiają w drzenie. Ten Max był mu całkowicie obcy. Bezosobowy terror ukryty za okularami i bronią. To nie był chłopiec, który opowiadał mu, że czuje się niewidzialny. Parrish niemal uwierzył, że ten inny, obcy Max zabije zakładników i wysadzi w powietrze całą galerię handlową. Jednak nie do końca, tliła się w nim jeszcze iskierka wiary.

– Nie wierzy mi pan?

– Wierzę w ciebie, Max. Wierzę w ciebie. – Słowa Erica popłynęły prosto z serca. Nie mówił tego ani jako terapeuta, ani jako ojciec. Był człowiekiem, który stojąc z rękami nad głową, modlił się, żeby nikt dziś nie zginął.

– Co to znaczy, że pan we mnie wierzy?

– Nic. Tylko uczucie. Czysta emocja. Nie ma sensu jej analizować – mówił rzeczy, które siedziały w nim od jakiegoś czasu. – Jestem tutaj dla ciebie, możesz na mnie liczyć. Chcę, żebyśmy wyszli stąd razem. Żebyś żył. Nie mogę znieść myśli, że mógłbyś zginąć. Jesteś za młody, zbyt wartościowy, żeby teraz umrzeć. – Eric skinął głową, wskazując balustradę na drugim piętrze. – Max, tam stoją snajperzy. Zastrzelą cię, zanim ty kogokolwiek zabijesz. Podejrzewam, że właśnie o to ci chodzi. Dlatego tu jesteś. Przyszedłem ci powiedzieć, że nie musisz tego robić, to nie musi się tak skończyć. Nie może. Wypuść dzieciaki i wyjdź ze mną.

– Właśnie tak się skończy. Wszyscy dziś zginiemy.

– Nie – zaprzeczył łagodnie. – Mogę opuścić ręce?

– Dobrze – odpowiedział Max po chwili wahania.

– Dziękuję. – Wolno opuścił ramiona, pozostając w tej samej pozycji, na linii strzału agentów.

Oślał Maksę. Miał nadzieję, że nie strzelą do niego.

– Niech pan jedzie do domu, doktorze Parrish. Nie musi pan tu być. Nie chce pan widzieć, co się stanie.

– Nie wyjdę bez ciebie.

– Bunia umarła, Renée też nie żyje. – Max spojrzał na zegarek. – Wszyscy nie żyją.

– Nie wierzę, że zabiłeś Renée.

– Naprawdę? – prychnął chłopiec. – Cztery minuty.

– Jeśli ją zabiłeś, chcę to usłyszeć od ciebie. Jak już mówiłem, nie wierzę, że jesteś mordercą.

Wierzę w ciebie.

– Sprytne, doktorze Parrish, ale... – Umilkł i nerwowo przełknął ślinę. – Jeśli mam być całkiem szczerzy, nawet nie wiem, czy ją zabiłem, czy nie. Prawdopodobnie tak. Obaj się boimy, że to ja, no nie? Zadawał mi pan takie dziwne pytania podczas sesji, podejrzewając, że do tego dojdzie.

– Dlaczego mówisz, że nie wiesz, czy zabiłeś Renée?

– Byłem pijany. – Nieznacznie opuścił strzelbę.

– Pijany?

– Zacząłem pić. Wódkę. Skorzystałem z obfitych zapasów mamy. Okropnie się czułem, kiedy umarła babcia, dzwoniłem do pana, pamięta pan?

– Oczywiście. – Max zaczynał brzmieć jak chłopiec, który przychodził do niego na terapię.

– Piłem, żeby przestać myśleć. Zaparkowałem pod szkołą, nikt mnie nie widział. Siedziałem w samochodzie i piłem. Zasypiałem, budziłem się i znów piłem. Sprawdzałem, czy można się zapić na śmierć.

Eric zauważył kątem oka ciemną sylwetkę snajpera, na górze, przed sklepem jubilerskim Tiffany'ego. Nie ruszył się z miejsca.

– Gdzie byłeś wczoraj rano, kiedy została zabita?

– Siedziałem skacowany na parkingu obok hipermarketu Giant. Nic nie pamiętam.

– Dlaczego akurat tam? Czy to niedaleko parku Pickeringa?

– Pięć minut drogi. Musiałem tam przyjechać po pijanemu, początkowo nie wiedziałem, gdzie jestem.

Parrish słuchał, starając się nie myśleć o snajperach za plecami. Pot spływał mu po plecach, strażacka kurtka była zbyt ciepła.

– Obudziłem się dopiero o jakiejś trzeciej po południu. Zwymiotowałem, włączyłem radio i dowiedziałem się o... powiedzieli, że Renée... nie żyje. – Z trudem wypowiedział ostatnie słowa.

– Nie wiem, czy to zrobiłem. Pewnie zrobiłem. Teraz muszę ponieść konsekwencje, wszyscy muszą.

– Max, a jeśli mordercą jest ktoś inny?

– Kto? Kto inny mógłby ją zabić? – zapytał niemal błagalnie. – Proszę mi powiedzieć. Przecież jestem nienormalny, mam natręctwa i fantazjowałem na temat jej śmierci. A teraz naprawdę nie żyje. Myślę, że to ja. Zresztą... Nieważne, nic już nie ma znaczenia. Nie mam nikogo. Wszyscy nie żyją. – Spojrzał na zegarek. – Zostały trzy minuty.

– Twoja babcia by tego nie chciała. Kazałaby ci wypuścić zakładników i wyjść ze mną.

– Jej już nie ma. Nikogo już nie ma.

– Nieprawda. A żółty królik?

– Co?

– Żółty królik. Widziałem go w twoim pokoju. Obok łóżka i fotografii. – Improvizował w nadziei, że poruszy jakąś czułą strunę. – Zainteresował mnie. Dziecinna maskotka w pokoju pełnym plakatów z gier komputerowych. Ciekaw jestem, czemu ją zachowałeś.

– Błagam.

– Co odpowiesz, twardzielu w ciemnych okularach ze splotką w rękach? – pozwolił sobie zażartować. – Skąd ten królik?

– Zwykła maskotka.

– Kojarzy ci się z lepszymi czasami?

– Tak.

– Byłeś wtedy szczęśliwy?

– Tak.

– A gdybym ci powiedział, że możesz znów być szczęśliwy?

Max milczał.

– Możesz być jeszcze szczęśliwy. Nawet po tym, co przeszedłeś. Pozwól mi pomóc. Daj sobie szansę.

– Po co? – zapytał po chwili.

– Poradzimy sobie. Tak jak ci mówiłem na sesji: wejdziemy razem do jaskini i zrobimy w niej porządek. Ty weźmiesz latarkę, a ja poprowadzę cię za rękę.

– Nie. Za późno na terapię.

– A co z ładunkiem wybuchowym?

– Co z nim?

– Gdzie jest?

Max wskazał brodą papierową torbę na zakupy, która stała na kontuarze. Eric nerwowo przełknął ślinę.

– Nie wybuchnie teraz?

– Nie, to tak nie działa.

– Skąd to masz?

– Zrobiłem. Bardzo łatwo. Można znaleźć przepis w internecie.

– Coś podobnego. – Eric czytał o tym, ale trudno mu było sobie wyobrazić Maksa majstrującego bombę domowej roboty. Gdzie ją zrobił, skoro cały czas spędził poza domem? Skąd miał składniki? Czas? – Pokaż. Chcę zobaczyć.

– Jest zawinięta. Nie widać.

– Mimo wszystko zerknę.

Max nie ruszył się z miejsca, wzruszył ramionami.

– Co pana powstrzymuje?

– Nie mogę się ruszyć.

– Dlaczego? – Popatrzył na zegarek. – Dwie minuty.

– Zasłaniam cię przed snajperem. Stoję na linii strzału.

– Co takiego? – Max przechylił głowę. Eric nie był pewien, czy cokolwiek zobaczył przez ciemne okulary.

– Ten za moimi plecami przyjmuje pozycję. Ci faceci są zawodowcami. Zastrzeli cię, posyłając kulę ponad moim ramieniem. Albo zastrzeli nas obu jednym pociskiem.

– Proszę się przesunąć, doktorze.

– Nie. Jeśli chcą zabić ciebie, mnie też będą musieli.

– Odbiło panu?

– Nie.

Przygryzł dolną wargę.

– Proszę się odsunąć.

– Nie.

– W takim razie ja się przesunę. – Wykonał ruch w bok, Eric powtórzył go jak w lustrzanym odbiciu. Powtórzyli manewr w drugą stronę.

– Nigdzie się stąd nie ruszę, Max.

– Chce pan być moim wybawcą?

– Nie, zajmuję ci miejsce. Wiesz, co mam na myśli?

– Nie.

– To znaczy, że czekam, aż będziesz gotów uratować się sam. Nie potrzebujesz do tego mnie. Pomogę ci stanąć na nogi, a wtedy sam o siebie zadbasz. – Max słuchał uważnie, co zachęciło Erica, by mówić dalej. – Nie pozwolę im do ciebie strzelać. Nie pozwolę ci targnąć się na własne życie. Pokażę ci, że masz wybór. Na tym polega moja praca. Ludzie czasami tracą nadzieję, wtedy przypominam im, że nadejdą lepsze dni. Zawsze nadchodzą. Jeszcze będziesz szczęśliwy.

– Nie ma takiej możliwości.

– Owszem, jest.

– Skąd pan może wiedzieć na pewno?

– Z doświadczenia. – Pomyślał, że nadeszła właściwa chwila na całkowitą szczerość. – W przeszłości cierpiałem na zaburzenia lękowe, które ukrywałem przed wszystkimi. Byłem sam ze

swoimi lękami. Myślałem wtedy, że nie ma dla mnie nadziei, to się nigdy nie skończy. Wielokrotnie myślałem o samobójstwie. Ale poszedłem na terapię i wyzdrowiałem. Ciężko pracowałem pod okiem wspaniałego terapeuty i udało się. Nadal mam z nim kontakt, jest jak ojciec, którego nigdy nie miałem.

– Zmyśla pan teraz.

– Nie, mówię prawdę.

– I wydaje się panu, że może to dla mnie zrobić?

– Nie dla ciebie. Z tobą. Zrobimy to razem.

– Chce pan być ojcem, którego nigdy nie miałem.

– Nie. Chcę być lekarzem, którego nigdy nie miałeś. Pomocą, której nigdy nie dostałeś. Chciałbym ci dać swój czas i uwagę. Pozwolisz mi? Daj nam obu szansę, Max. Nie jesteś teraz sobą. Napad z bronią w rękę, zakładnicy, bomba. – Eric spojrział na papierową torbę. – Założę się, że nic tam nie ma. Przebrałeś się za kryminalistę z jednej z tych swoich gier, skombinowałeś jakąś starą strzelbę i powiedziałaś kasjerowi, że masz bombę, a on ci uwierzył na słowo. Udajesz, prawda?

Max nie odpowiedział, nieporuszony za czarnymi szklami okularów. Bez słowa popatrzył na zegarek.

– Strzelba jest naładowana?

– Nie – odparł cicho.

– Chwała Bogu. Musimy ciebie i dzieciaki jak najszybciej stąd wydostać. To bardzo niebezpieczna sytuacja. Ktoś może zginąć od kuli, wszyscy są spanikowani, policjanci mają napięte nerwy i palce na spustach, nie uwierzyłbyś, co się dzieje na parkingu. – Eric wskazał telefon stacjonarny. – Zadzwoń do mamy. Niech przekaże porucznikowi, że wypuszczasz zakładników i nie ma żadnej bomby. Obaj wychodzimy nieuzbrojeni. Powiedz jej, że już po wszystkim.

– Nie. – Max był nieugięty.

– Tak. – Nie mógł teraz dać za wygraną. – Podejdę do ciebie. Nie chcę, żeby któremuś z komandosów drgnął palec na spuście.

– Nie. – Odsunął się. – Nie wiem...

– Podchodzę. – Eric ruszył w stronę lady.

– Niech pan się zatrzyma.

– Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów. Spotkaj się ze mną przy wyjściu z lady i odłóż broń.

– Nie.

– Tak. Proszę, rób, co mówię!

Max wreszcie posłuchał, podszedł do Erica, odłożył broń i osunął się ze szlochom na podłogę.

– Przepraszam. Przepraszam.

– Już dobrze, wiem. – Eric zamknął chłopca w uścisku, odwrócony tyłem do wyjścia. – Dobra robota, chłopcze. Już po wszystkim.

– Ja nie chciałem, nie chciałem.

– Wiem, wiem. Zadzwoń do mamy. – Podsunął mu telefon, osłaniając przez cały czas. Max pociągnął nosem, wybrał numer i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Mama? – wykrztusił, zalewając się łzami.

ROZDZIAŁ 41

Eric i Max wychodzili ze sklepu z podniesionymi rękami, tak im kazano. Parrish przejął słuchawkę od chłopca i zapewnił porucznika policji, że napad był udawany, Max jest nieuzbrojony, a bomby nie ma. Jana dał im wskazówki, w jaki sposób bezpiecznie opuścić budynek. Komandosi ukryci pod czarnymi hełmami nadal czekali w pogotowiu na galerii drugiego piętra. Eric i Max wypuścili zakładników, przerażoną kasjerkę i czterech chłopców z obozu piłkarskiego, z zawstydzieniem przełykających łzy. Policjanci przestali się obawiać, że ktoś zginie, ale byli wściekli. I słusznie, pomyślał Eric.

– Boję się – poskarżył się chłopiec.

– Spokojnie. Będzie dobrze. – Poprowadził go wzdłuż ściany z podświetlonymi plakatami pięknych kobiet reklamujących kosmetyki i drogie skórzane torebki. Wyprzedaż u Nordstroma.

– Co teraz ze mną zrobią?

– Damy radę, nie martw się. – Nie chciał mówić nic więcej, ponieważ wszystko było możliwe. Max mógł w każdej chwili zmienić zdanie i rzucić się do ucieczki, a wtedy ściągnąłby na siebie grad kul.

– Ile czasu spędzę w więzieniu?

– Trzymaj ręce nad głową i idź powoli. Bardzo dobrze. – Eric zmrużył oczy w świetle policyjnych jupiterów na zewnątrz budynku. Widział tylko zarysy postaci, stały około trzydziestu metrów od drzwi, a za nimi masywne cienie wozów strażackich, karet i opancerzonych furgonetek brygad antyterrorystycznych. Przez szybę słyszał odgłosy wydawane przez tłum: szmer rozmów i krzyki.

– Doktorze, jak mamy otworzyć drzwi z rękami w górze?

– Ktoś nam pomoże. – Grupa umundurowanych policjantów już ruszyła w ich stronę. Eric uniósł wyżej ręce. – Max, ręce do góry i rób, co oni każą.

– Bardzo się boję – powiedział cicho. To była ostatnia rzecz, jaką Eric od niego usłyszał, zanim dopadła ich policja.

– Nie mamy broni! Jesteśmy nieuzbrojeni! – wołał Parrish, ale jego głos zagłuszały głośnie komendy wydawane przez funkcjonariuszy. Max krzyczał.

– Padnij! Na ziemię! – wrzeszczeli gliniarze. Zanim Eric zdążył wykonać rozkaz, powalili go na podłogę, wykręcili mu ręce do tyłu, skuli kajdankami i mocno przycisnęli policzek do betonu.

– Jest pan aresztowany! Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. – Jeden z policjantów zaczął mu odczytywać prawo Mirandy.

Eric nie usłyszał reszty poprzez huk w głowie obolałej po kontakcie z betonem. Postawili go na nogi i otoczyli.

– Tędy! – wrzeszczeli, pospieszając go do wyjścia. Odwrócił się w poszukiwaniu Maksa i zobaczył, że jest eskortowany do jednego z zaparkowanych przy krawężniku radiowozów.

– Ericu, zadzwonię do Paula! – zawołała Laurie. Machała, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę.

Kordon policji zagradzał jej do niego drogę.

– Tędy, proszę z nami! – Wszyscy krzyczeli jednocześnie, prawie zanieśli go do radiowozu, wlokąc za ramiona. Zmusili, żeby się nachylił i wszedł do środka. Twarde plastikowe siedzenie policyjnego samochodu tonęło w mroku, oddzielone od przedniego grubą metalową siatką. Na przedzie siedziało już dwóch mundurowych i oba radiowozy ruszyły w tym samym momencie.

Eric potrząsnął obolałą głową. Bolały go także ramiona i nadgarstki. Pochylił się nieznacznie do przodu, wyjrzał przez okno, zobaczył tłum przerażonych nastolatków. Żołądek ścisnął mu się na myśl, że Max wywołał tyle strachu, a jednocześnie poczuł ulgę, że nikomu nic się nie stało. Chłopiec także był cały i zdrow, choć jeszcze nie mógł się czuć bezpieczny.

Oba policyjne radiowozy przystanęły pod barykadą, czekając na umożliwienie przejazdu. Wszyscy usiłowali zajrzeć do środka: agenci FBI, agenci ATF, sanitariusze, strażacy i szeregowi funkcjonariusze policji. Eric zaczynał rozumieć powagę sytuacji.

– Panowie – podniósł głos, aby go usłyszeli przez grubą kratę. – Dokąd mnie zabieracie?

– Na komendę w Upper Merion.

– Jesteście z Upper Merion? – Wiedział, że Departament Policji w Upper Merion jest bardziej rozbudowany niż ten w Radnor. Ich rejon był gęściej zaludniony, zajmowali się okolicami, w których wrzał handel.

– Tak.

– O co jestem oskarżony? Jakie są zarzuty wobec chłopca?

– Na te pytania odpowie panu prokurator. Przy takim ruchu będziemy na miejscu za piętnaście minut.

– Trzeba na niego uważać, panowie. Może próbować odebrać sobie życie.

– Przekażemy pana ostrzeżenie komu trzeba.

Radiowóz opuszczał rozległy teren centrum handlowego z obolałym Erikiem w środku. Na ulicy utworzył się korek z wozów policyjnych, strażackich, karetek, jadących zderzak w zderzak z cywilnymi samochodami i wozami transmisyjnymi większości głównych amerykańskich stacji telewizyjnych: NBC, ABC, FOX, CBS, a także CNN. Droga do komendy w Upper Merion wiodła przez okolicę pełną sklepów i restauracji. Szosy z podwójnymi pasami ruchu były nieprzejezdne z powodu zamieszania pod galerią.

Nagle rozległ się przeraźliwy, rozsadzający uszy dźwięk syreny policyjnej. Parrish chciał odruchowo chronić swoje bębni, zapomniawszy o kajdankach. Skrzywił się z bólu spowodowanego szarpnięciem, który promieniował od nadgarstków na całe ramiona. Wyciągnął szyję w nadziei, że zdoła dostrzec Maksa, ale dwa eskortujące ich radiowozy przesłaniały widok.

Wnętrze policyjnej furgonetki rozbłysło jaskrawym światłem. Odwrócił się i zobaczył za sobą wóz transmisyjny bez oznaczeń. Oślepił długimi światłami. Ktoś go filmował, celował kamerą niczym bronią.

– Co za gnojki, niewiarygodne – mruknął kierowca radiowozu, a jego towarzysz zaklął pod nosem.

Zostawili w tyle wóz telewizyjny, samochody rozstały się przed radiowozem na sygnale. Kierowcy patrzyli z zainteresowaniem, media filmowały, a nastolatki na tylnych siedzeniach robiły zdjęcia telefonami komórkowymi. Konwój Erica skręcił w King of Prussia Road. Komenda tonęła w światłach jupiterów, było ich tak dużo, że rozświetlały nocne, zamglone niebo.

Zwolnili dopiero przed zjazdem na zatłoczony parking, pełen zaparkowanych niedbale wozów transmisyjnych. Ogromny tłum dziennikarzy już ruszył w ich stronę, ale został zatrzymany przez

umundurowanych funkcjonariuszy, którzy stworzyli podwójny szpaler. Eric nigdy nie widział tylu kamer, aparatów fotograficznych, magnetofonów, mikrofonów na żurawiu, zwykłych mikrofonów oraz reporterów, fotografów i prezenterów telewizyjnych różnej maści.

Wszystkie radiowozy zatrzymały się w tym samym czasie na chronionym skrawku parkingu. Eric spojrzął na ogromny, stary budynek z czerwonej cegły z białym portykiem. W przeciwieństwie do komendy w Radnor, Upper Merion nie dzieliła z nikim siedziby. Policjanci wyskoczyli z samochodów niemal jednocześnie, jakby wykonywali jakiś przećwiczony układ. Eric wyprostował się na swoim miejscu. Z budynku wyszło kilku policjantów, którzy podzielili się na dwie grupy: jedna podeszła do niego i otworzyła drzwi. Druga zajmowała się Maksem.

– Proszę z nami! Szybko! – Funkcjonariusz w czarnym mundurze zajrzał do środka.

– Nie ma sprawy. – Natychmiast został otoczony przez policjantów, którzy prowadzili go brutalnie do wejścia na komendę. Nie widział Maksa, ale wiedział, że musi być przerażony, nie tylko tym, co zrobił, ale zachowaniem policji i wszechobecnym chaosem: wyciem syren, krzykiem dziennikarzy, oślepiającymi światłami.

– Max! – zawołał, lecz chłopiec zniknął już za drzwiami komendy, eskortowany przez policję. Nie widział nigdzie Marie ani Zacka i bardzo się niepokoił.

– Ten dzieciak potrzebuje pomocy – zwrócił się do najbliższego policjanta, prowadzącego go przez zatłoczone pomieszczenie zalane światłem jarzeniówek. – Będzie próbował popełnić samobójstwo, musi być pod...

– Powiem sierżantowi. Idziemy, idziemy.

– Idę, ale on naprawdę potrzebuje pomocy...

– Słyszałem. – Na twarzy policjanta malowało się napięcie. Popchnął Erica korytarzem w prawą stronę, Maksa zabrano na lewo.

Eric odwrócił się, żeby na niego spojrzeć chociaż przelotnie, ale zobaczył jedynie morze czarnych policyjnych mundurów. Poczł okropne szarpnięcie w piersiach. Nie mógł już nic więcej dla niego zrobić i nie wiedział, jak to się skończy.

ROZDZIAŁ 42

– Kolejna piękna katastrofa! – Paul wkroczył do dużego pokoju przesłuchań z uśmiechem na twarzy, który wydawał się jednak nieco wymuszony.

– Dzięki, że przyszedłeś – powiedział Eric, nie wstając z krzesła. Zdjęli mu kajdanki, ale nadgarstki nadal bolały. Zabrali mu kurtkę i telefon.

– Laurie jest niezastąpiona. Tylko jej o tym nie mów. W szkole wiecznie mnie do niej porównywano. Zawsze wypadałem gorzej. – Paul położył chromowaną walizkę na tanim, zabrudzonym stole.

– Gdzie ona jest? Przyszła z tobą?

– Nie, musiała wracać do pracy. Jakiś wypadek drogowy na dwieście dwójce. Nie dziwię się, przy całym tym zamieszaniu. Co za cyrk.

– Wiem. – Za dużym oknem z zasłoniętymi żaluzjami, po lewej stronie długiego pomieszczenia o pomalowanych na beżowo ścianach, kłębiły się tłumy dziennikarzy. Komenda huczała i pękała w szwach od policjantów, agentów FBI i innych przedstawicieli służb mundurowych. Wszyscy ci ludzie wpatrywali się w niego, kiedy przechodził ze spuszczoną głową, zakuty w kajdanki.

Paul usiadł na krześle po przekątnej, poprawiając swoje eleganckie spodnie.

– Siostra opowiedziała mi, co się wydarzyło: pojechaliście do galerii ratować dzieciaka. Jeszcze trochę, a i ja się w tobie zakocham.

Eric uśmiechnął się do niego.

– Nie chciałem, żeby komukolwiek stała się krzywda.

– Wszyscy są cali, tylko ty wylądowałeś w areszcie. Powinni ci podziękować, zamiast zakuwać w kajdanki. Żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie, co?

Ericowi nie zależało na uznaniu.

– Co robimy? – zapytał.

– Udzielę ci kilku wskazówek. Za pół godziny zacznie się gra o dużą stawkę. Spiszą twoje zeznania.

– Za co mnie zatrzymali? Czy to znaczy, że od dziś będę figurował w kartotece kryminalnej?

– Niekoniecznie, jeszcze nie zostałeś postawiony w stan oskarżenia. Jeśli dobrze to rozegramy, jest szansa na wycofanie zarzutów.

Parrish odetchnął z ulgą.

– Co mam robić?

– Odpowiedz im na wszystkie pytania, na które możesz udzielić odpowiedzi.

– Dobrze – odparł zdezorientowany. – Ale w Radnor mówiłeś coś innego – że mam prawo chronić pacjenta i nie odpowiadać na żadne pytania.

– To było wtedy, a teraz jest teraz. Sytuacja się skomplikowała. – Przerwał na kilka sekund. – Musisz zrozumieć, że trwa walka o terytorium pomiędzy trzema obozami. Trzy gangi tłuką się o tę

samą dzielnicę. Ty jesteś tą dzielnicą.

– Domyśliłem się.

– Federalni są podkurwieni, bo zostało złamane prawo federalne. Groźby terrorystyczne i przetrzymywanie zakładników to ich działka. Chłopcy z Merion nie dadzą za wygraną, ponieważ na ich rejonie zostały złamane prawa stanowe: porwanie, porwanie z udziałem nieletnich, bezprawne przetrzymywanie, napaść, narażenie życia. Trzecim zawodnikiem jest policja z Radnor, gdyż dziewczyna nadal jest martwa.

– Renée Bevilacqua.

– Tak. Oto jakie są moje przewidywania. – Paul nachylił się w stronę Erica. – Federalni powinni się wycofać. Nie było żadnej bomby ani broni. Nic na was nie mają, ani na ciebie, ani na Maksa. Co najwyżej wyjdą na idiotów, że rzucili się na dzieciaka z pustym pudełkiem po butach. Rozumiesz?

– Tak.

– Sprawa rozegra się pomiędzy mniejszymi graczami: Merion i Radnor. Merion ma solidne argumenty: przetrzymywanie zakładników jest przestępstwem, niezależnie jak na to spojrzeć. Poza tym oni są nieletni, co znacznie pogarsza sytuację.

– Max również jest nieletni – przypomniał Eric.

– Co nie znaczy, że tak go potraktują. Dobra wiadomość dla ciebie: chodzi im tylko o Maksa.

– To nie jest dobra wiadomość – odparł ponuro.

Paul zmarszczył czoło.

– Przestań się martwić o Maksa.

– Nie mogę. Jest moim pacjentem. Potrzebuje teraz adwokata. Miałem nadzieję, że ty go będziesz reprezentował.

Oczy prawnika rozgorzały gniewem.

– Oszalałeś? On ma matkę i ojczyma. Niech mu znajdą kogoś innego. Nie mogę reprezentować was obu.

– Czemu nie?

– Ponieważ zachodzi między wami konflikt interesów. Gliny usiłują się zorientować, co się tu, do cholery, dzieje. Nadal podejrzewają ciebie o morderstwo, a po tym co Max dziś odwalił, mają go za czubka. Zachodzą w głowę, który z was to zrobił i czy przypadkiem nie działaliście razem.

– Nie porzucę go. Potrzebuje pomocy. Powinien być pod obserwacją psychiatryczną. Nie wiesz, czy go dobrze pilnują?

– Ericu, wylądowałeś przez niego za kratkami. – Paul oparł się rękami o stół i nachylił nad Parrishem. – Nie mamy czasu o nim rozmawiać. Zaraz znajdziesz się pod obstrzałem.

– Co masz na myśli?

– Posiadasz informacje dotyczące zabójstwa tej licealistki, które wciąż ich interesują. Będą chcieli wiedzieć, co Max o niej mówił w trakcie waszych sesji, dlaczego zgłosiłeś na policji jego zaginięcie i po co pojechałeś za dziewczyną do pracy, a potem do domu. Zależy im, abyś ujawnił wszystko, co wiesz na temat Maksa i jego udziału w tym morderstwie.

– Jeżeli miał jakikolwiek udział. – Nie zamierzał opowiadać Paulowi, czego się dowiedział od chłopca podczas rozmowy w sklepie komputerowym. Mimo że nie odbyli sesji w gabinecie terapeutycznym, traktował zwierzenia Maksa jako poufne, chronione tajemnicą lekarską.

– Tak, jeżeli miał. Zadadzą ci mnóstwo pytań i wiedzą, że znasz odpowiedzi.

– Nie wiem, kto zabił dziewczynę.

– Ale tak czy inaczej, wiesz więcej od nich, prawda? Więcej niż mnie powiedziałaś, mam rację? Po twojej minie widzę, że tak. Przycisną cię w sprawie tego morderstwa.

– Mam prawo milczeć w kwestiach dotyczących pacjenta. Nic tu się nie zmieniło od rana. – Zamyślił się. – Właściwie... mam jeszcze więcej powodów, żeby milczeć. Mój pacjent właśnie usiłował popełnić samobójstwo. On nie ma nikogo poza mną. Jeżeli zdradzę jego zaufanie, odbierze sobie życie. Jestem tego pewien.

– Dziś na komendzie w Radnor powołałeś się na tajemnicę lekarską i pozwolili ci odejść. To się nie powtórzy. Nie po fiasku w galerii. Stawka poszła w górę.

– O czym ty mówisz?

– Pamiętasz, co ci mówiłem na temat aparatu państwowego? Że mają wszystkie asy, podczas gdy ty nie wiesz, że bierzesz udział w grze?

– Tak.

– O tym, czy i jakie zarzuty zostaną ci postawione, decyduje wyłącznie prokuratura. Pani prokurator zjawiałaby się tu osobiście, ale jest akurat w szpitalu. Aktualnie to ona pociąga za wszystkie sznurki. Jesteś na celowniku. Pytasz dlaczego? Z powodu informacji, które posiadasz. Istnieją sposoby, aby je z ciebie wydobyć.

– Jakie?

– Przyprą cię do muru. Jeżeli powiesz wszystko, co wiesz, wycofają zarzuty. Federalni przestaną się wygłupiać z tym atakiem terrorystycznym. Upper Merion wycofa zarzut w sprawie utrudniania pracy policji, a Radnor przestanie cię nękać podejrzeniami o morderstwo lub współudział.

– Innymi słowy, on albo ja.

– Właśnie tak.

– Mam skazać dzieciaka na śmierć, żeby ratować własny tyłek?

– Masz z tym jakiś problem? – odpowiedział Paul bez uśmiechu.

– Nie zdradzę tajemnicy lekarskiej. Gdybym to zrobił, Max poczułby się oszukany przez jedyną osobę, jaka mu pozostała. Mógłby się zabić z tego powodu.

– W takim razie będziemy improwizować – zdecydował adwokat, wolno wypuszczając powietrze.

– Przejdźmy do następnej kwestii. Zamierzam oprzeć linię obrony na podkreśleniu różnic między tobą i Maksem. To, co ty dziś zrobiłeś, jest zupełnie czym innym w oczach prawa od jego postępowania.

Eric miał mętlik w głowie. Coraz mniej podobała mu się ta rozmowa.

– Najgorsze, co ci mogą zarzucić, to utrudnianie pracy policji. Czyli wykroczenie drugiego stopnia. Nikogo nie zaatakowałeś, nie zakłóciłeś porządku publicznego, nie opierałeś się przy aresztowaniu. Nikt nie ucierpiał z powodu twojego zachowania, wręcz przeciwnie.

– A muszą mi postawić jakieś zarzuty?

– Tak. Nie wolno ingerować za plecami policji w negocjacje z porywaczami bez poniesienia konsekwencji. Chyba że powiesz im to, co chcą wiedzieć.

– A podsumowując?

– Jeśli się uprzesz przy swoim, spędzisz dzisiejszą noc w areszcie.

– Nie mogę wpłacić kaucji? Ile wynosi?

– Przygotowanie zarzutów trochę trwa. Gwarantuję ci, że będą to dodatkowo przeciągać. A mają w zanadrzu jeszcze coś mocniejszego.

– Co takiego?

– Postawią cię przed ławą przysięgłych. Możesz odmówić zeznań policji i prokuratorowi, ale nie ławie przysięgłych. Możesz powołać się na Piątą Poprawkę lub paragraf pięć tysięcy dziewięćset czterdziesty czwarty.

– W takim razie wszystko w porządku.

– Otóż nie. Ponieważ wtedy oskarżyciel zwróci się do sędziego o uchylenie przywileju ze względu na dobro społeczne. Sędzia przychyli się do wniosku i będziesz musiał zeznać wszystko, co wiesz.

– Nasz system sprawiedliwości tak nie działa. To niemożliwe.

– System sprawiedliwości nie jest wolny od rozgrywek politycznych. Sędziowie mają swobodę podejmowania decyzji, ale w tym wypadku nie chodzi już tylko o zamordowaną dziewczynę, lecz o ryzyko zamknięcia największej galerii handlowej w Ameryce. Siedem tysięcy ludzi może stracić pracę, a okręg dochodową atrakcję turystyczną.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Z internetu i od żony, która jest maniaczką zakupów. W każdym razie jeżeli uważasz, że Izba Handlowa i przeróżni udziałowcy nie będą usiłowali wpłynąć na ławę przysięgłych, grubo się mylisz. Sędziowie są wybierani, nie mianowani. I nie dostali tej roboty, bo dobrze im w czerni. Nie oszukujmy się, tak to działa.

Eric przeczuwał, do czego zmierza Paul.

– Sąd wyda nakaz, za sprzeciwienie się któremu trafisz do więzienia.

– Na jak długo?

– Dopóki go nie wypełnisz. Takie wyroki bywają otwarte. Sędziowie i prokuratorzy mają jednego szefa. Mamonę.

Parrish nie rozumiał wszystkich szczegółów, lecz wiedział, że sprawa jest poważna.

– Nie mogą mnie zamknąć na zawsze.

– Mogą – dopóki się nie podporządkujesz. Nie mamy zbyt wiele praw dotyczących psychiatrów. Chcesz stworzyć precedens?

– Jak można trafić do więzienia bez popełnienia przestępstwa?

– Przesłaniem jest zignorowanie wyroku sądu. Jeżeli nie ujawnisz informacji mimo nakazu, będą podstawy, żeby cię zamknąć. Rozumiesz swoje położenie?

Rozumiał i był przerażony.

ROZDZIAŁ 43

Dziesięć minut później pokój przesłuchań był pełen ludzi. Zajmowali miejsca za stołem naprzeciwko Erica i Paula, niektórzy stanęli pod ścianą. Kilku agentów FBI i ATF oraz ktoś z Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego przedstawili się Paulowi, podając wizytówki, w stronę Erica nieznacznie kiwnęli głową. Jemu nikt się nie przedstawiał. Był niższą formą życia. Więźniem. Przeciwnikiem.

Eric unikał swojego odbicia w lustrze weneckim. Zabrali mu kurtkę strażacką, za którą mógłby się teraz schować. Czuł się całkowicie bezbronny w pospolitym, szarym dresie, bez telefonu, pagera i identyfikatora służbowego. Był zwykłym facetem po czterdziestce, rasy białej, średniego wzrostu, średniej budowy. Pospolitym kryminalistą.

Po drugiej stronie stołu zasiedli detektyw Rhoades z Departamentu Policji w Radnor oraz kapitan Alan Newmire z Upper Merion. Newmire był czterdziestoletnim dwumetrowym olbrzymem o ciemnych, niesfornych włosach przyprószonych siwizną, niebieskich oczach pod opadającymi powiekami i pociągłej twarzy ze śladami zmarszczek oraz świeżego poparzenia słonecznego. Pod mundurem miał kamizelkę kuloodporną, która przypominała skorupę żółwia. Po jego lewej stronie siedział zastępca prokuratora Pete Mastell o bystrych, brązowych oczach i ciemnych, lśniących od żeluz włosach. Nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Eric znał go z czasów, kiedy towarzyszył swojej byłej już żonie podczas służbowych meczów i pikników. Ani Pete, ani Caitlin nie byli już jego przyjaciółmi. Cieszył się, że Caitlin pracuje w innym biurze prokuratorskim. Pomyślał ze smutkiem o Hannah. Nie porozmawiał z nią wczoraj. Z córką także tracił kontakt.

Paul złączył dłonie i powiedział:

– Panowie, doktor Parrish zgodził się z wami spotkać i współpracować w celu wyjaśnienia sprawy. Nie musiał tego robić, ale to oczywiste. Przejdźmy do konkretów. Mój klient nie będzie odpowiadał na pytania zadawane przez tłum wysoko postawionych urzędników. Bardzo proszę o wyznaczenie jednej osoby.

Po drugiej stronie stołu rozległy się pomruki niezadowolenia. Miny policjantów wyrażały wrogość i dezaprobatę.

Kapitan Newmire uniósł palec wskazujący, jakby przyzywał kelnera.

– Niech będzie. Ja jestem od zadawania pytań.

– Dziękuję. Chciałbym zapytać, w jakim celu przyszli panowie z Biura Federalnego. – Wskazał stojących pod ścianą agentów. – Ich obecność onieśmiela. Czy chcecie zastraszyć mojego klienta?

– Agent specjalny Sorenson z biura w Filadelfii – odezwał się mężczyzna z końca sali. – Ta sprawa znajduje się w polu naszych zainteresowań.

Paul wykonał szeroki gest ręką w stronę lustra weneckiego.

– Rozumiem, ale przecież moglibyście nas obserwować z sąsiedniego pomieszczenia.

– Zostaniemy, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Ja mam. Sprawdzę, czy doktor Parrish również. – Zwrócił się do Erica: – Co powiesz na występy przed publicznością w studio?

– W porządku. – W szaleństwie Paula była metoda, pod pozorami żartobliwego luzu zaznaczał swoją dominację. Pytając Erica o zgodę, sprawił, że i on poczuł się silniejszy. Wyprostował się na krześle.

– Jeszcze jedna sprawa, zanim zaczniemy – dodał tonem towarzyskiej rozmowy. – Doktor Parrish jest skromnym człowiekiem i nie chciał, żebym to podkreślał, ale ryzykował dziś życie, aby ocalić innych. Postąpił właściwie. Dzięki jego pomocy zakładnicy zostali uwolnieni, a zamachowiec znalazł się w waszym areszcie. Uważam swojego klienta za bohatera. Dla nich także jest bohaterem. – Skinął głową w stronę okna, dając do zrozumienia, że ma na myśli media. – Jutro napiszą o tym w prasie. Widzieli, jak dostał się do środka, widzieli oswobodzone dzieciaczki w tych ich ślicznych piłkarskich ubrankach, widzieli doktora Parrisha wyprowadzającego naszego niedoszłego strzelca. Jesteście mu winni podziękowania. Nie rozumiem, czemu traktujecie go jak pospolitego kryminalistę. A nawet terrorystę.

– Panie mecenasie...

– Proszę mi mówić po imieniu. Zależy mi na miłych relacjach.

– Dobrze, Paul. – Kapitan Newmire uśmiechnął się, niemal szczerze, i zwrócił do Erica: – Panie Parrish, nie zgadzamy się z twierdzeniem pańskiego obrońcy, jakoby „postąpił pan właściwie”. – Poruszył palcami w powietrzu, zaznaczając ujęte w cudzysłów słowa. – Zignorował pan zakaz wstępu i wtargnął w sam środek działań ratunkowych, podając się za strażaka. Naraził pan życie wielu osób. Złamał pan prawo stanowe i federalne.

– Pan raczy żartować? – przerwał mu Paul. – Gdyby nie doktor Parrish, mielibyście teraz robotę w kostnicy. Ta galeria była beczką prochu.

– Beczką prochu? – Newmire popatrzył na Paula spod zmarszczonych brwi. – Bomba okazała się pustym pudełkiem po butach, a strzelba zepsuta i bez amunicji.

– Jest pan w błędzie, kapitanie – odparował Paul. – Zagrożenia nie stwarzał dzieciak z muszkietem, ale wszyscy ci policjanci z trzech stanów uzbrojeni po zęby resztkami z Iraku. Do tego FBI, brygady antyterrorystyczne i Bóg wie, kto jeszcze. To była akcja militarna. Widziałem nawet czołg.

– To nie była akcja militarna.

– Po prostu przesadziliście.

– Zareagowaliśmy stosownie do zagrożenia. – Newmire się zjeżył, ale Paul nie zamierzał dać za wygraną.

– Mieliście swoje zabawki i umieraliście z niecierpliwości, żeby ich użyć. To pańscy ludzie stworzyli niebezpieczną sytuację, a doktor Parrish dopilnował, by wszyscy wyszli z niej cało. Wypadałoby mu podziękować, lecz widzę, że nie ma na co liczyć.

Eric milczał, obserwując reakcje zebranych, zwłaszcza na ostatnie słowa Paula. Agent federalny na końcu sali skrzyżował ramiona, wszyscy zeszywnieli. Eric odchrząknął, widząc, że przydałoby się nieco rozładować napięcie.

– Panowie, co prawda nie jestem prawnikiem, tylko psychiatrą i psychoterapeutą, ale uważam, że powinniśmy się rozejść. Terapia nie zawsze pomaga, nie każde małżeństwo da się uratować.

Kapitan Newmire i detektyw Rhoades nieoczekiwanie parsknęli śmiechem, na twarzy pozostałych osób pojawiły się uśmiechy. Próba rozładowania napięcia zakończyła się sukcesem. Eric zaczął myśleć o nowym hobby, jak widać miał talent komediowy.

Newmire pokiwał głową, opierając się wygodniej na krześle.

– Doktorze Parrish, chciałbym podziękować w imieniu swoim i – jak myślę – także wszystkich zebranych za to, że zgodził się pan odpowiedzieć na kilka naszych pytań.

Eric zdołał się uśmiechnąć, ale był przygotowany na przeprawę.

– Pierwsze pytanie dotyczy Maksa Jakubowskiego. Od jak dawna jest on pańskim pacjentem?

– Kapitanie, detektyw Rhoades prawdopodobnie uprzedził pana, że traktuję zasadę poufności pomiędzy lekarzem a pacjentem bardzo poważnie. W związku z tym nie mogę odpowiedzieć na żadne pytanie związane z naszą relacją terapeutyczną, zdradzić niczego, co usłyszałem w trakcie sesji, dyskutować na temat diagnozy i tym podobnych.

Kapitan Newmire zacisnął wąskie usta. Miał na twarzy lekki, poprzetykany siwizną zarost.

– Zaczniemy od tego, co może pan ujawnić. Max się u pana leczył, prawda?

– Tak, powiedziałem o tym detektywowi Rhoadesowi tylko dlatego, że zaszło ryzyko samobójstwa, a w takiej sytuacji mogę udzielić informacji niezbędnych dla ratowania życia. – Przerwał. – Gdzie jest teraz Max?

– W areszcie – odpowiedział Newmire po chwili wahania.

– Tutaj?

– Tak.

– Nie wiem, czy panu przekazano, że niepokoję się o jego stan psychiczny. Nie można wykluczyć kolejnej próby samobójczej. Trzeba go pilnować.

– Przekazano mi. Dziękuję.

– A więc jest monitorowany?

– Tak.

Z jakiegoś powodu nie poczuł się uspokojony. Kapitan Newmire mówił mu to, co chciał usłyszeć, ale jego głos pozostawał chłodny i pozbawiony emocji. Milczący teraz detektyw Rhoades miał bardziej emocjonalny sposób bycia.

– Przesłuchaliście go już?

– Nie.

– Ma adwokata? – Paul kopnął go w kostkę pod stołem.

– O ile mi wiadomo, nie ma. Jego matka kogoś szuka. – Newmire patrzył podejrzliwie.

– A lekarza psychiatrę?

– Dłaczego pan pyta?

– Ponieważ wiem, że potrzebuje pomocy specjalisty, a ja nie mogę mu teraz pomóc z oczywistych powodów. Musicie kogoś wezwać. Mogę dać namiary na któregoś z kolegów.

– Och, musimy, tak?

Eric nie był zdziwiony nieprzyjemnym tonem, jakim zostało zadane pytanie.

– Owszem. Macie obowiązek udzielić zatrzymanemu pomocy lekarskiej. Gdyby krwawił, wezwalibyście chirurga do zszycia rany. – Poczł kolejne kopnięcie w kostkę.

– Kontynuujmy. – Kapitan odchrząknął. – Zgłosił pan zaginięcie chłopca po tym, gdy do pana zadzwonił we wtorek wieczorem, zgadza się?

– Tak, to prawda.

– Jakie relacje łączyły pana z denatką? Renée Bevilacqua?

– Żadne. Nie znałem jej.

– Jednak spotkał się pan z nią w jej miejscu pracy. Zgadza się?

– Tak.

– Może mi pan o tym powiedzieć, ponieważ jest to informacja niemająca związku z leczeniem Maksa?

– Zapytał pan, gdzie byłem. Odpowiedziałem.

– Co pan robił we wtorkowy wieczór w barze jogurtowym, rozmawiając z panną Bevilacqua?

– Nie mogę odpowiedzieć.

Kapitan Newmire uniósł siwiejącą brew.

– Wie pan, cenię intelekt, umiejętność logicznego myślenia. Moja metodyczność doprowadza małżonkę do szału. Kiedy słyszę, że nie może mi pan wyjawić celu spotkania z Renée Bevilacqua, nasuwa mi się logiczna konkluzja, iż był on w jakiś sposób związany z Makssem Jakubowskim. Max udzielał korepetycji Renée. Pojechał pan tam w jego sprawie, prawda?

– Nie zaprzeczam ani nie potwierdzam.

– Max was sobie przedstawił?

– Nie odpowiem.

– To pan ich sobie przedstawił?

– Nie.

– Kto ją poznał pierwszy?

– Nie znałem tej dziewczyny.

– Ale spotkał się pan z nią z powodu, którego nie chce wyjawić.

Paul westchnął teatralnie.

– Kapitanie, doktor Parrish konsekwentnie dotrzymuje tajemnicy lekarskiej. Powinien pan to uszanować. Ja uszanowałem. Bez naruszania tajemnicy adwokackiej mogę zapewnić, że mnie również tego nie powiedział.

Kapitan Newmire patrzył na Erica.

– Brał pan udział w zamordowaniu Renée Bevilacqua?

– Absolutnie nie.

– Zabił ją pan wspólnie z Makssem Jakubowskim?

– Oczywiście, że nie.

– Utrzymywał pan z denatką relację o podłożu seksualnym?

– Oczywiście, że nie.

– A Max?

– Nie odpowiem.

– Skąd w mieszkaniu Maksa Jakubowskiego telefon komórkowy należący do zamordowanej?

– Nie mogę odpowiedzieć. – Eric usiłował ukryć zaskoczenie. Musieli znaleźć telefon w sypialni Maksa. Marie zapewne o niczym nie wiedziała, powiedziała by mu, gdyby ją o tym poinformowali.

– Czy podczas terapii obawiał się pan, że Max skrzywdzi Renée?

– Nie mogę odpowiedzieć. – Pytanie dotknęło go boleśnie, lecz usiłował zachować pokerową twarz.

– Doktorze Parrish, czy ma pan obowiązek ostrzec potencjalną ofiarę lub powiadomić policję, jeśli pacjent wykazuje skłonności mordercze lub samobójcze?

– Tak – odparł ze stoickim spokojem.

– Powiedział pan dziś porucznikowi Jana, że Max chce zginąć od policyjnej kuli, zgadza się?

– Tak. – Eric przełknął nerwowo ślinę.

– Dlaczego nie przyjął go pan na oddział w swoim szpitalu, skoro istniało ryzyko, że odbierze sobie życie?

– Nie mogę odpowiedzieć. – Będzie sobie zadawał to pytanie do końca życia.

– Max chciał popełnić dziś samobójstwo?

– Tak i nie trzeba być psychiatrą, żeby się zorientować. Wystarczy zdrowy rozsądek. – Usiłował mniej podkreślać swoje prawo do zachowania tajemnicy lekarskiej. – Kiedy porucznik powtórzył mi jego groźby i żądania, od razu zauważyłem, że brakuje w nich sensu. Max zamierzał skrzywdzić tylko siebie, nikogo innego. Potwierdza to fakt, że strzelba była zepsuta, a bomba okazała się pustym pudełkiem po butach.

– Pański adwokat powiedział, że ryzykował pan dziś życie. Czy tak pan myślał, kiedy wbiegał do galerii? Że istnieje taka ewentualność?

– Wiedziałem o tym, ale skupiałem się na czymś innym. Chciałem wydostać Maksa, zanim go zastrzelicie. Byłem pewien, że zdołam go przekonać, żeby ze mną wyszedł.

– Skąd pan miał tę pewność?

– Nie mogę tego wyjaśnić, nie łamiąc zasady poufności. – Eric zerknął na zegar ścienny, który wskazywał dziesiątą pięćdziesiąt pięć. Zastanawiał się, gdzie jest Max, który z pewnością odliczał minuty do kolejnego rytuału.

– Doktorze Parrish, dobro i bezpieczeństwo tego chłopca zdaje się panu leżeć na sercu. Wypytywał pan, gdzie jest i jak się czuje. Przebił się pan przez policyjną barykadę, aby go ratować. To brzmi, jakby łączyły was osobiste relacje.

– Nie, łączą mnie z nim relacje natury zawodowej.

– Ale Max zadzwonił na pana prywatny numer komórkowy, kiedy zmarła jego babcia, czyż nie?

Udzielił pan takiej informacji policji z Radnor.

– Tak.

– Często dzwoni do pana na numer komórkowy?

– Nie mogę na to odpowiedzieć. – Zarekwirowali jego telefon, więc mogli to sprawdzić w każdej chwili. Usiłowali przyłapać go na kłamstwie.

– Inni pacjenci mają pański numer komórkowy?

– Tak, moi prywatni pacjenci. Dzwonią w nagłych wypadkach.

– Czy łączy pana intymna relacja z Makssem?

– Boże. Naprawdę? – Paul westchnął.

– Oczywiście, że nie – zdenerwował się Eric.

Kapitan Newmire zamrugnął i kontynuował przesłuchanie:

– Był pan w domu Maksa i rozmawiał z jego matką?

– Tak.

– To pana rutynowe postępowanie w przypadku prywatnych pacjentów?

– Nie.

– Czy rozmawiał pan z rodziną lub odwiedził dom jakiegokolwiek innego pacjenta, kiedykolwiek wcześniej?

– Nie.

– Spędził pan jakiś czas w jego sypialni, prawda?

Zawahał się. Nie miał do tego prawa, przekroczył swoje uprawnienia.

– Dlaczego?

- Nie mogę udzielić odpowiedzi.
 - To była pańska pierwsza wizyta w sypialni Maksa?
 - Oczywiście – odpowiedział, urażony insynuacjami.
 - Spotykał się pan z Makssem u siebie w domu?
 - Tak, w prywatnym gabinecie.
 - Bywał w innych częściach domu, oprócz gabinetu?
 - Nie.
 - A w pańskiej sypialni?
 - Nie. – Przypomniał sobie proszek daktyloskopijny. Nie miał nawet czasu, żeby sprawdzić, czy był również na piętze.
 - Jeździliście gdziekolwiek razem? Jego lub pańskim samochodem?
 - Nie. – Domyślał się, że zdjęli już odciski z samochodu. Zastanawiał się, kiedy dostanie go z powrotem.
 - Uważa pan, że ma niezwykły wpływ na Maksa?
 - Nie.
 - Nawet po dzisiejszych wydarzeniach? Wyprowadził go pan z tej galerii niezwykle sprawnie. Eric wyczuwał niepewny grunt.
 - Jak brzmi pytanie?
 - Jako psychiatra zna pan metody wpływania na swoich pacjentów?
 - Nie, proces psychoterapeutyczny nie na tym polega. Zadaniem terapeuty jest wspieranie pacjenta.
 - Czy to nie wymaga, z braku lepszego słowa, pewnej manipulacji?
 - Skądże.
 - Zabawne, ponieważ wygląda, że manipuluje pan Makssem.
 - Nie.
 - Czy to pytanie? – wtrącił się Paul.
- Kapitan Newmire przechylił głowę na bok.
- Usiłujemy zrozumieć, co się tu dzieje i jaka jest natura relacji doktora Parrisha z Makssem. Pan doktor nie chce nam tego wyjawić wprost, dlatego jesteśmy zmuszeni do wyciągania własnych wniosków. Po pierwsze, ma on ogromny wpływ na chłopca. Tak duży, że potrafił w pojedynkę zażegnać kryzys z zakładnikami. Ten fakt potwierdza moją teorię o związku opartym na kontroli i manipulacji między lekarzem psychiatrą a chłopcem, który wychowywał się bez ojca. Istnieją mocne dowody przemawiające za taką właśnie hipotezą.
 - Cóż za nedorzecznosc! – prychnął Paul.
 - To nieprawda – dodał Eric.
 - Nie możemy się z tym zgodzić, ponieważ doktor Parrish nie podaje nam żadnych informacji. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i jak na razie wszystko wskazuje, że Max zamordował tę dziewczynę na polecenie doktora Parrisha.
 - Absurdalna teoria – zdenerwował się Paul.
- Tymczasem kapitan Newmire spokojnie kontynuował.
- Nie możemy wykluczyć, że również dzisiejszy zamach został sfingowany przez chłopca za namową doktora.
 - Co? – Eric był wstrząśnięty podejrzeniami policji. – Po co miałbym robić coś takiego?
 - Żeby się zabawić w bohatera.

– Co takiego? Jak? – Poczł strach. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy i przypuszczał, że Paul także nie. Gliniarze uznali go za głównego sprawcę, a Maksa za marionetkę. Nie miał pojęcia, jak z tego wybrnąć bez pogrążania Maksa lub naruszenia tajemnicy lekarskiej.

Paul uciszył go gestem.

– Co pan chce powiedzieć, kapitanie? Dlaczego doktor Parrish miałby zrobić coś tak podłego? Zlecić dzieciakowi porwanie innych dzieciaków?

Newmire popatrzył na Paula.

– Doktor Parrish był dziś przesłuchiwany na komendzie w związku z zabójstwem Renée Bevilacqua. Być może posłużył się Maksem Jakubowskim, aby zatrzeć złe wrażenie i przedstawić się mediom nie jako podejrzany o morderstwo, ale jako bohater. – Zwrócił się do Erica: – Posłał pan chłopca do galerii z fałszywą bombą i starą strzelbą? Wykonywał pański plan?

– Chwileczkę, twierdzi pan, że od początku wiedziałem o mistyfikacji?

– Tak, zdecydowanie istnieje taka możliwość. Nie chce pan podać żadnych informacji, które mogłyby nas skłonić do innych wniosków, przekonać o...

– To zwykły szantaż! – przerwał mu Paul, nie kryjąc obrzydzenia.

Kapitan Newmire zignorował okrzyk adwokata, nie spuszczał wzroku z Parrisha.

– Zawieszono pana w pełnieniu obowiązków ordynatora oddziału psychiatrycznego na czas nieokreślony.

– Co to ma wspólnego z czymkolwiek? – zawołał Fortunato, wyrzucając ręce do góry.

Eric milczał. Był śmiertelnie zawstydzony.

Kapitan po raz kolejny puścił mimo uszu protest prawnika.

– Władze szpitala nie chciały nam ujawnić powodu zawieszenia, ale być może przyczyniło się ono w jakiś sposób do pańskiej decyzji o wysłaniu Maksa na tę szaleńczą misję. Chciał pan uratować swoją reputację w szpitalu i wrócić do pracy. Kazał pan Maksowi przeprowadzić ten udawany zamach? A potem przybiegł na ratunek?

– Oczywiście, że nie!

– Koniec przesłuchania! – oświadczył Paul, odsuwając się od stołu razem z krzesłem. – Kapitanie Newmire, napada pan na mojego klienta, pomimo jego szczerzej chęci współpracy. Nie będzie odpowiadał na pańskie bezsensowne spekulacje. – Zwrócił się do Erica. – Ani słowa więcej, doktorze. Skończyliśmy.

Policjant zacisnął usta.

– W takim razie niech wraca do celi. Mamy podstawy, żeby go zatrzymać, i tak zrobimy.

– Jakie są zarzuty?

– Przedyskutujemy to z prokuratorem. – Newmire zerknął na zastępcę prokuratora, który pospiesznie sporządzał jakieś notatki. – Powiadomimy panów jak najszybciej. Następnie doktor Parrish zostanie postawiony w stan oskarżenia, chyba że zmieni zdanie i zacznie w pełni współpracować. Ma wybór. W celi sobie wszystko przemyśli.

– Jak panu nie wstyd?

Eric usiłował zapanować nad lękiem. Pójdzie do więzienia. Wydawało mu się to nierealne, nieprawdopodobne. Zostanie oskarżony o przestępstwo, jego nazwisko znajdzie się w policyjnych kartotekach. Popatrzył na kapitana Newmire'a.

– Przysługuje mi prawo wykonania jednego telefonu, prawda?

Policjant zamrugał z zaskoczeniem.

- Po co? Ma pan już adwokata, doktorze Parrish.
- Chcę zadzwonić – odpowiedział bez wdawania się w szczegóły.

ROZDZIAŁ 44

Pokój przesłuchań opustoszał, wszyscy wyszli, aby umożliwić Ericowi wykonanie telefonu. Przysunął do siebie aparat i wybrał numer, tłumiąc swoje lęki. Nie chciał stracić kolejnej szansy na rozmowę z Hannah. Nie miał jej nowego numeru komórkowego, dlatego postanowił zatelefonować do Caitlin na telefon domowy. Zastanawiał się, czy odbierze. Na wyświetlaczu pojawił się numer komendy w Upper Merion, od razu się domyślił, kto dzwoni. Modlił się, aby mimo wszystko zdecydowała się odebrać.

– Caitlin, dziękuję, że odebrałaś – odezwał się natychmiast po usłyszeniu szczęknięcia w słuchawce.

– Kto mówi? – zapytał ktoś o męskim głosie, wprawiając Erica w osłupienie. Przez sekundę pomyślał, że pomylił numery, ale szybko zdał sobie sprawę, z kim rozmawia. Z Brianem, nowym facetem Caitlin. Wiedzieć o tym, że Caitlin sypia z innym, to jedno, a usłyszeć jego głęboki, mocny, nieprzyjazny głos, to zupełnie coś innego. Poczł ukłucie zazdrości i gniew. Cóż za ironia losu, pomyślał. Brian miał spędzić tę noc u boku jego byłej żony, podczas gdy on będzie dziś spał w więziennej celi.

– Mówi Eric Parrish. Jestem tatą Hannah i...

– Nie wolno ci tu dzwonić. Nie możesz się komunikować z Caitlin inaczej, niż za pośrednictwem adwokata.

Eric miał ochotę go uderzyć. Znudziło mu się unikanie konfrontacji, a może był po prostu zmęczony.

– Chcę rozmawiać z córką.

– Zadzwoń do niej na komórkę.

– Dobrze wiesz, że Caitlin unieważniła dotychczasowy numer.

– Mała śpi.

– Nie chcę jej budzić, ale Caitlin mogłaby do niej zajrzeć i sprawdzić, czy rzeczywiście już zasnęła. Jest Caitlin?

– Hannah śpi.

– Nie wiadomo. Telefon jest na dole, a ona na górze. Znam rozkład domu. Byłem tam pierwszy. – Zorientował się, że ostatnie zdanie wcale nie dotyczy domu.

– Uwierz mi na słowo.

– Nie mam zamiaru. Nie muszę cię pytać o zgodę na rozmowę z własną córką – podniósł głos, tracąc cierpliwość. – A przy okazji, jeśli jeszcze raz obrazisz moją córkę albo nazwiesz ją marudą, obiję ci pysk.

– Niezłe z ciebie ziółko, koleś – prychnął Brian. – Co chcesz osiągnąć, idąc do sądu? Udajesz, że chodzi ci o Hannah, ale tak naprawdę chcesz odzyskać Caitlin. Powiem ci, że nic z tego. Jesteś zazdrosny i próbujesz ją zranić, posługując się córką.

– Nieprawda. Nie mam zamiaru tłumaczyć się przed tobą.

– Wyświetlił mi się numer komendy w Upper Merion. Aresztowali cię. To nie będzie dobrze wyglądać przed sądem, co? Powodzenia w walce o opiekę nad Hannah. Będziesz miał szczęście, jeśli dadzą ci prawo do swobodnego odwiedzania jej.

– Poproś moją córkę do telefonu. – Postanowił zadzwonić do Susan natychmiast po wyjściu z aresztu.

– Naprawdę chcesz z nią teraz rozmawiać? Powiesz jej, gdzie jesteś? Zdajesz sobie sprawę, jak się czuje dziecko, które musi się wstydzić za własnego ojca? – Eric bardzo dobrze wiedział, ale nie miał zamiaru pozwolić temu głupkowi bawić się w domorosłego psychologa.

– Nie chcę się z tobą kłócić. Idź na górę i sprawdź, czy Hannah śpi...

– Stary, nie rozśmieszaj mnie. Masz jakiegokolwiek pojęcie, co ją czeka w szkole? Dzieciaki nie dadzą jej żyć.

Eric myślał podobnie, właśnie dlatego chciał rozmawiać z Hannah.

– Nie zrobiłem nic złego. Pomogłem uwolnić zakładników.

– Dzieci w tym wieku nie będą wdawać się w szczegóły. Zaczną jej dokuczać, że ma tatę w więzieniu. Nie chcemy, żeby była prześladowana przez rówieśników.

– Wy nie chcecie? – Ogarnęła go wściekłość. – Słuchaj, kolego, nie jesteś ojcem mojego dziecka. Poproś Caitlin, żeby zajrzała do Hannah, i dajcie mi ją do telefonu, jeśli nie śpi.

– Nie będę wykonywał twoich rozkazów.

– Poproś moją córkę do telefonu! Potrzebuje rozmowy ze mną, aby jutro mogła pójść z podniesioną głową do szkoły.

– Nie posyłamy jej jutro do szkoły.

Znowu my, pomyślał Eric.

– Dlaczego nie? Musi chodzić do szkoły. Nie możecie jej zamknąć w domu na zawsze. Trzeba to inaczej rozwiązać.

– Przykro mi, nie jesteśmy tak mądrzy i rozsądni jak ty. Taki jesteś mądry i dlatego dzwonisz z aresztu?

– Pozwól mi z nią porozmawiać. – Usłyszał w tle głos Hannah, ale nie rozróżniał słów. Na chwilę zapanowała cisza, inna niż po odłożeniu słuchawki lub zasłonięciu jej ręką. Eric słyszał jakieś stłumione dźwięki, Hannah coś powiedziała i ktoś przejął telefon.

– Eric? – odezwała się szorstko Caitlin. – Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony. Obudziłeś ją. Masz kilka minut, nie więcej.

– Nie masz prawa ograniczać czasu moich rozmów z nią.

– Przedyskutujcie to sobie z Susan. Poczekaj. Daję ci Hannah.

– Tatusiu, to ty?

– Hannah! – Zrobiło mu się cieplej na sercu, kiedy usłyszał jej uroczy, dziecinny głosik. – Kochanie, jak dobrze cię słyszeć!

– Nic ci się nie stało, tatusiu? Martwię się. Co się dzieje? Gdzie jesteś?

– Wszystko w porządku, nic mi się nie stało. – Było mu przykro, że przysporzył jej zmartwień.

– Tęsknię za tobą.

– Ja też za tobą tęsknię. Przepraszam, że cię obudziłem.

– Nie spałam, czekałam, aż zadzwonisz. Usłyszałam na dole mamusię i Briana, domyśliłam się, że to ty, i zesłam. Chciałam z tobą porozmawiać.

– A ja z tobą.

– Tatusiu, pokazali ciebie w telewizji. Mówili, że jacyś bandyci mieli pistolety i bombę. W naszej galerii, gdzie robimy zakupy. Na pewno nic ci się nie stało?

– Na pewno, kochanie. Bomba nie była prawdziwa. Nikt nie chciał nikogo skrzywdzić. Wszystko się dobrze skończyło.

– Kim był bandyta? Twoim pacjentem? Jego też pokazali w telewizji. Miał kaptur i wyglądał groźnie. Na co jest chory?

– Tak, skarbie, to mój pacjent. Ale nie jest bandytą.

– A kto nim jest? Tam było strasznie dużo policjantów.

– Nie ma żadnego bandyty. – Poza Brianem, miał ochotę dodać, lecz ugryzł się w język. – Wszystko w porządku. Byłem tam, żeby pomóc swojemu pacjentowi. Jemu także nic się nie stało.

– Tęsknię, tato. Kiedy się zobaczymy? Słyszałam Briana. Mówił, że jesteś w więzieniu. Nie jesteś w więzieniu, prawda?

Zawsze starał się mówić jej prawdę, lecz dziś wolałby skłamać. Takie wyjście byłoby jednak ryzykowne, bowiem nie miał wpływu na to, co powiedzą Caitlin i Brian.

– Jestem w areszcie, bo pomagam panom policjantom wyjaśnić kilka rzeczy.

– Ale przecież nie zrobiłeś nic złego. Zamknęli cię przez pomyłkę? Aresztują tylko ludzi, którzy złamali prawo.

– Nie zrobiłem nic złego.

– No wiem, ale w telewizji wyglądałeś jak bandyta z *Gliniarzy*. Wyszedłeś z podniesionymi rękami, a oni ciebie otoczyli – mówiła dziewczynka niepewnym, łamiącym się głosem. – Powiedziałaś im, że nie zrobiłeś nic złego? Myślą, że zrobiłeś? Dlaczego tak myślą?

– Pomylili się, bo nie wiedzieli, co tam robiłem.

– Ale dlaczego wyszedłeś z rękami w górze? Policjanci chcieli cię zastrzelić? Mamusia mówi, że nie, ale ja widziałam, jak wsiadałeś do radiowozu. Potem mama wyłączyła telewizor. Nie zastrzeliliby ciebie, prawda? Rozpłakałam się, ale mamusia powiedziała, że nic ci się nie stanie.

Tak bardzo współczuł swojej małej córeczce.

– Kochanie, nie musisz się o mnie martwić. Już dobrze. Pomagałem tylko, nie zrobiłem nic złego. Jutro już będę w domu...

– Nie idziesz do pracy? Zwolnili cię ze szpitala?

– Dlaczego pytasz? – Nie rozumiał, skąd mogła wiedzieć, co się wydarzyło w szpitalu.

– Bo mamusia powiedziała, że zostałeś bez pracy. Słyszałam jej rozmowę z Brianem. Daniel, kolega mamy, zadzwonił do ciebie do pracy i dowiedział się, że już tam nie pracujesz.

Eric potarł ręką czoło. Był kompletnie bezradny, Hannah wiedziała o wszystkim, co się działo w tym domu. Caitlin i Brian słyszeli o tym, że został zawieszony. Miał nadzieję, że nie znali powodu.

– Nie zwolnili cię, prawda? Jesteś przecież dobrym lekarzem.

– Nie chcę, żebyś sobie zaprzętała główkę takimi sprawami. To nie są twoje problemy...

– Tatusiu, poczekaj chwileczkę. Mama mówi, że muszę już kończyć i iść spać. Dobranoc. Kocham cię.

– Ja też cię kocham, ska... – powiedział z uczuciem, ale połączenie zostało przerwane.

Chwilę jeszcze trzymał słuchawkę przy uchu, odłożył ją, patrząc na swoje odbicie w tafli lustra weneckiego. Wyglądał na zagubionego i tak też się czuł. Tracił wszystko, na czym mu zależało: dziecko, pracę, wolność i dobre imię.

Odwrócił wzrok, nie mogąc znieść swojego widoku dłużej niż minutę.

ROZDZIAŁ 45

Oparł się plecami o ścianę celi. Miał na sobie pomarańczowy więzienny kombinezon, który kojarzył mu się ze szpitalnym uniformem. W celi wielkości sporej szafy panowały zaduch i wilgoć. Ściany z betonowych pustaków i zamknięte drzwi z grubego pleksiglasu z widokiem na pusty, betonowy korytarz. Jedyne meblowanie mikroskopijnego pomieszczenia stanowiły odkryty sedes z nierdzewnej stali śmierdzący moczem oraz wbudowane w ścianę siedzenie, również z nierdzewnej stali, pod którym było metalowe kółko do wpięcia łańcucha, krępującego nogi więźnia. Nie miał kajdanek.

W ciszy i półmroku celi Eric poczuł nadciągającą falę zmęczenia. Zamknął oczy i usiłował oczyścić umysł, ale natychmiast zaatakowały go myśli o Hannah, szpitalu, pytaniach stawianych podczas przesłuchań. Nieustannie martwił się o Maksa. Paul miał rację, będzie musiał się od niego odciąć podczas procesu. Jakiegokolwiek zaangażowanie z jego strony zostanie odebrane jako próba kontroli i utwierdzi oskarżenie w przekonaniu, iż przez cały czas manipulował chłopcem.

Max nie wiedział, czy zabił Renée, lecz mimo wszystko obwinił się za jej śmierć. Wziął odpowiedzialność za morderstwo, ponieważ wcześniej dręczyły go natrętne myśli o uduszeniu tej dziewczyny. Tymczasem Eric doskonale wiedział, iż tego typu obsesje mieszczą się w spektrum typowych objawów zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych. Arthur przyznał mu rację. Nie potrafił uwierzyć w winę Maksa, a jednocześnie nie mógł być przekonany o jego niewinności.

Przeczesał włosy palcami. Modlił się, by jego postępowanie okazało się właściwe. Jeżeli zostanie skazany na karę pozbawienia wolności, straci prawo do opieki nad Hannah. Jakąkolwiek decyzję podejmie, straci jedno z nich.

Zanim go zamkną na dłużej, zostało mu tylko jedno wyjście: znaleźć prawdziwego mordercę Renée Bevilacqua.

ROZDZIAŁ 46

6. Jestem przebiegły/a:

a) wcale

b) czasami

c) bardzo często

Cóż.

Pamiętacie moje słowa, że nie każdy socjopata jest mordercą?

To prawda.

Mam rację.

Tym razem nie kłamię.

Przy okazji – nie mam jeszcze na swoim koncie żadnych ofiar.

Jednak to się chyba zmieni, muszę kogoś zabić.

Ponieważ nikt nie ma prawa krzyżować moich planów.

Ponieważ muszę mieć wszystko, czego chcę.

Wiem, jak zdobyć to, na czym mi zależy, i nie zawaham się przed niczym, aby było moje.

Wygram, muszę wygrać.

Wiele osób zginie w tej grze, on na samym końcu.

Eric Parrish.

Okazał się godnym adwersarzem. Walczył z zawziętością, która wzbudziłaby mój podziw. Ale nie umiem odczuwać podziwu.

Nie wyjdzie z tego żywy. Już ja o to zadbam. Zabiję go osobiście.

Mam pewność, że potrafię.

Żadnych wątpliwości.

Nie zdaje sobie sprawy ze swojego beznadziejnego położenia. Wydaje mu się, że robi postępy, podczas gdy wpada coraz głębiej w szambo. Myli porażkę z sukcesem.

Usiłuje wygrać, ale ze mną nie ma najmniejszych szans.

Przygotowuję nowy plan, dostosowany do jego ostatnich poczynań. Odpowiem na nie.

Wygram.

Zmiażdżę go.

Zniszczę.

Udowodnię swoją przewagę.

Nie potrafię wymienić wszystkich swoich kłamstw, podstępów i manipulacji. Za dużo ich było.

Moje życie jest serią kłamstw, a może jednym, wielkim kłamstwem, wszystko jedno.

Okłamuję wszystkich, was także.

Nawet teraz was okłamuję.

Przekonacie się w odpowiednim momencie, co mam na myśli.

Właśnie planuję największe oszustwo, największy podstęp wszech czasów.

Poleje się krew, zginą ludzie, ale ja na końcu zwyciężę.

I gra dobiegnie końca.

A potem rozpocznie się kolejna.

ROZDZIAŁ 47

Następnego ranka Eric stał obok Paula w dużej sali pełnej beżowych szaf aktowych przy długim kontuarze z formularzami i teczkami, oczekując na dopełnienie formalności zwolnienia. Na drugim końcu pomieszczenia dwaj policjanci prowadzili cichą rozmowę. Przygotowanie zarzutów wobec Erica trwało całą noc, został oskarżony o utrudnianie pracy policji. Zrobili mu zdjęcie do kartoteki. Nie musiał na nie patrzeć, by wiedzieć, że z pewnością wygląda na śmiertelnie przerażonego. Na palcach miał resztki czarnego tuszu, pozostałość po pobraniu odcisków palców. Przebrał się w przyniesione przez Paula rzeczy, białą koszulę, szare spodnie i nowe półbuty. Był eleganckim kryminalistą.

Paul zwrócił się w jego stronę, poprawiając krawat z granatowego jedwabiu. Włożył dziś kolejny nienagannie skrojony, drogi garnitur z cienkiej wełny koloru antracytowego i szarą koszulę.

– Spadajmy stąd, Ericu. Zaparkowałem przodem do wyjazdu, żeby usprawnić ucieczkę. Kupiłem ci nowy telefon, ale przysięgam, że to już ostatni. Pilnuj go.

– Dzięki. – Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Próbuję cię rozweselić.

– Wiem, udaję rozweselonego.

Paul Fortunato obrzucił go spojrzeniem od stóp do głów spod zmrużonych powiek, niczym zawodowy krawiec.

– Świetnie wyglądasz. Powinieneś się tak zawsze ubierać.

– Wyglądam jak ty.

– Przecież mówię. – Adwokat roześmiał się pod nosem, ale już po chwili spoważniał. – Musimy ustalić plan działania. Na zewnątrz czekają media. Dziennikarzy jeszcze przybyło, ponieważ...

– Chwileczkę. Gdzie jest Max? Gdzie go trzymają?

– Nie wiem. Nie obchodzi cię to, zrozumiałeś?

– Zadałem tylko pytanie. Więzienne cele są w jednym skrzydle, tak? Spodziewałem się wczoraj, że przyprowadzą chłopaka, ale nie zrobili tego. Przewieźli go do ośrodka dla nieletnich?

– Naprawdę, Ericu. – Paul popatrzył na niego znacząco. – Max nie jest twoim problemem. Czego nie rozumiesz?

Eric zmusił się do wypowiedzenia na głos swoich obaw.

– Chciałbym wiedzieć, czy żyje.

– A. – Twarz adwokata złagodniała. – Przepraszam. Tak, żyje. Wszystko w porządku.

– Zapewnili mu opiekę psychiatryczną i prawnika?

– Nie mam pojęcia.

– Postawili mu zarzuty?

– Też nie wiem, ale wątpię.

– Udałoby się tego jakoś dowiedzieć? Nieoficjalnie.

– Może. Jeśli będziesz grzeczny. – Paul przewrócił oczami i sięgnął po swoją aktówkę. – Gotowy do wyjścia?

– Newmire powiedział, co zamierza zrobić? Pójdą do sądu?

– Mówiłem ci, że tak podejrzewam. Ale na pewno nas nie uprzedzą wcześniej.

– Jak długo to potrwa?

– Co?

– Ile czasu im zajmie zdobycie nakazu sądowego.

– Dziś jest czwartek. Będą go mieli do poniedziałku.

– Tak szybko?

– Aha, nie pozwolą ci odetchnąć. – Paul wskazał drzwi komendy. – Za piętnaście minut będzie tu konferencja prasowa.

– Naprawdę? – zdziwił się Eric naiwnie.

– Tak, chcę odjechać, zanim się zacznie. Myślę, że nie wybrali tej godziny przypadkowo. Zaczynamy wojnę medialną.

– Domyślasz się, co powiedzą?

– Posłuchamy w samochodzie. Powiedziałem dziennikarzom i policji, że nie wygłosimy komentarza dla prasy.

– Dobrze. Nie mam ochoty na wygłaszanie komentarzy.

– Domyślałem się, dlatego ja będę mówił.

Eric był zdezorientowany.

– Przed chwilą powiedziałeś, że nie wygłosimy komentarza.

– Nie. Powiedziałem, że powiedziałem, że nie wygłosimy komentarza. Ale wygłosimy. Ja to zrobię.

– Co im powiesz?

– Nie wiem jeszcze. Coś natchnionego. Nie przygotowuję się do takich wystąpień, ma wyglądać, że moje słowa płyną prosto z serca.

– Tak przecież jest.

– No właśnie. I w dodatku to widać.

Parrish postanowił porzucić ten temat, widząc, że nie ma szans na zrozumienie.

– Sprawiam wrażenie krętacza, ale naprawdę nim nie jestem. Wiesz, Ericu, Harry Truman nigdy nie powiedział: „Zgotujcie im piekło”. Jego słowa brzmiały: „Po prostu powiedziałem im prawdę, a oni uznali, że piekło istnieje”.

– Truman to powiedział? – zapytał z niedowierzaniem Eric.

– Tak. Powinieneś się doksztąpić. Dość tego gadania. Jedziemy.

Wyszli na zalany słońcem chodnik. Pozbawieni ochrony policji, zostali natychmiast zaatakowani przez reporterów z kamerami, aparatami fotograficznymi, dyktafonami i mikrofonami.

Wykrzykiwali pytania:

– Doktorze Parrish, w jaki sposób udało się panu zażegnać wczorajszy kryzys? Doktorze Parrish! Jakubowski był jednym z pańskich pacjentów? Ratował pan jego czy zakładników? Znał pan któregoś z zakładników? Któryś z nich był pacjentem? Proszę nam opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Proszę o ciszę, drodzy państwo! Proszę o ciszę! – Paul pomachał rękami, nakazując spokój, i zajął miejsce na podium. – Nazywam się Paul Fortunato. Chciałbym wygłosić krótkie oświadczenie w imieniu swojego klienta, doktora Erica Parrisha. Czyny przemawiają głośniejszymi niż słowa. Widzieliście, co zrobił doktor Parrish wczorajszego wieczoru. Widzieliście go wbiegającego do

budynku podczas trwania napadu z udziałem zakładników, którego domniemanym sprawcą był Max Jakubowski, kilka minut później zobaczyliście zakładników, uwolnieni padali w ramiona rodziców. Następnie doktor Parrish wyprowadził pana Jakubowskiego i dobrowolnie oddał się w ręce policji.

Uwadze Erica nie umknął subtelny sposób, w jaki Paul opisał jego rolę, od początku zaznaczając, że nie współdziałał z Maksem.

Tłum przerwał wypowiedź adwokata kolejną serią pytań.

– Doktorze Parrish, czy to prawda, że sprzeciwił się pan nakazom policji? Jakie są zarzuty wobec pana? Jak pan tego dokonał? Prosimy o krótki komentarz, doktorze! Zna pan techniki negocjacyjne, został pan przeszkolony? Czy to prawda, że Jakubowski jest jednym z pańskich pacjentów? Czy chciałby pan złożyć oświadczenie dla prasy?

– Proszę o spokój! – Adwokat uniósł rękę na znak, że ma jeszcze coś do powiedzenia. – Chcecie wiedzieć, kim jest nasz doktor Parrish? Miejscowym chłopakiem wychowanym w Chadds Ford, który zapracował sobie na stanowisko ordynatora oddziału psychiatrycznego w szpitalu Havemeyer General. Obecnie przebywa na zwolnieniu, do wyjaśnienia sytuacji.

Twarz Erica przybrała purpurowy odcień, dziennikarze wykrzykiwali pytania. Nie spodziewał się, że Paul wspomni o zawieszeniu. Prawdopodobnie przewidywał, iż sprawa wyjdzie na jaw. Oby szpital zachował dyskrecję i nie wyjawiał szczegółów, pomyślał. Powinno im zależeć tak jak jemu, aby tego nie nagłaśniać.

– Moi drodzy, pozwólcie mi przejść do meritum. Wszyscy kochamy nasz kraj, który ostatnio mocno ucierpiał z powodu tragicznych wydarzeń. Strzelaniny w szkołach, centrach handlowych i innych miejscach publicznych nie należą niestety do rzadkości. Sprawcami wielu z tych aktów przemocy są ludzie potrzebujący pomocy specjalistów takich jak doktor Parrish. Jedynym sposobem na uniknięcie podobnych tragedii w przyszłości jest dotarcie do źródła problemu. Musimy zapewnić chorym psychicznie właściwą opiekę i pomoc, nie tylko ze względu na ich dobro, ale przede wszystkim dla bezpieczeństwa naszego oraz naszych dzieci.

Eric lepiej by tego nie ujął, zwłaszcza w takim stanie umysłu, w jakim się obecnie znajdował. Reporterzy umilkli i nagrywali słowa adwokata.

– Te osoby potrzebują pomocy, która nie jest możliwa bez istnienia tajemnicy lekarskiej budującej zaufanie między lekarzem a pacjentem. Aby w pełni otworzyć się na proces terapeutyczny, ze wszystkimi lękami i najintymniejszymi myślami, konieczna jest pewność, że psychiatra nie wyjawia ich nikomu w żadnych okolicznościach. Doktor Parrish traktuje tajemnicę lekarską bardzo poważnie, ponieważ dba o dobro swoich pacjentów oraz dobro ogólne.

Parrish opuścił głowę, poczuł się zażenowany, kiedy wszystkie obiektywy skierowały się w jego stronę.

– Mieliśmy na to dowód wczoraj w galerii handlowej. Mój klient nie odpowie dziś na żadne pytania, ponieważ tajemnica lekarska nie pozwala mu ujawnić, co go łączy z Maksem Jakubowskim. – Przerwał na moment. – Wiem, że wasza praca polega na zadawaniu pytań i poszukiwaniu odpowiedzi. Jednakże wiem również, że obowiązuje was w pewnych okolicznościach tajemnica dziennikarska, dlatego oczekuję zrozumienia dla mojego klienta. Doktor Parrish nie odpowie na żadne pytania ani dzisiaj, ani w nadchodzących dniach, więc proszę zostawić go w spokoju. Nie wyjawiał poufnych informacji nawet policji. Wyobraźcie sobie ich miny.

Dziennikarze parsknęli zbiorowym śmiechem. Paul miał idealne wyczucie sytuacji.

– Przypuszczam, iż spróbują zmusić pana doktora sądownie, aby wyjawiał wszystkie informacje

związane z pacjentem pod groźbą kary pozbawienia wolności.

– Jakim pacjentem? – posypały się pytania. – Chodzi o Jakubowskiego, tak?

Eric z trudem zachował spokój. On również nie spodziewał się takiego zagrania, choć rozumiał motywy Paula. Po prostu uprzedził policję i prokuraturę, aby osłabić siłę ich oświadczenia.

Paul nakazał gestem ciszę.

– Niezależnie od tego, jak bardzo będzie prześladowany przez władze, doktor Parrish jest zdeterminowany stać na straży zasad, chroniących jakość opieki psychiatrycznej w naszym kraju. Nigdy nie zdołamy rozwiązać problemu przemocy w szkołach i na ulicach, dopóki ludzie tacy jak pan doktor nie staną w obronie praw pacjentów, ryzykując życie i wolność. Dziękujemy. – Ujął Erica pod rękę. – Chodźmy, Ericu.

Pospieszili w stronę czarnego mercedesa ścigani przez media. Dziennikarze niezadowolony nawoływali Erica do złożenia oświadczenia i zadawali pytania. Biegł z zaciśniętymi pięściami, aby ukryć ślady tuszu na opuszkach palców, może przed samym sobą. Paul odblokował zamki, wskoczyli do samochodu i odjechali. Eric trzymał wysoko podniesioną głowę, usiłując grać rolę bohatera, choć jeszcze niedawno okrzyknięto go kryminalistą. Kilka wozów transmisyjnych ruszyło w pogoń, lecz Paul zupełnie nie zwracał na nie uwagi.

– I co, Ericu? – Zerknął na swojego pasażera. – Podobało ci się oświadczenie dla prasy?

– Tak.

– A najlepsze jest to, że nie musiałem kłamać. – Zatrzymał samochód na czerwonym świetle i włączył radio. Z głośników popłynął głos Howarda Sterna. – Podrzucę cię do domu, potem muszę wracać do kancelarii.

– Jasne, dzięki.

– Cieszę się, że jesteś zadowolony z treści oświadczenia. Improwizowałem, wspominając o tym nakazie sądowym, ale chyba dobrze zrobiłem. Zawsze mam dobre pomysły.

– Dlaczego uważasz, że to był dobry pomysł?

– Dzięki temu mamy pewną przewagę. Przepisy dotyczące zachowania tajemnicy lekarskiej w takich okolicznościach są niejasne. Jeśli sąd zamierza się kierować interesami ekonomicznymi pewnej grupy ludzi, naszą jedyną szansą jest pozyskanie przychylności opinii publicznej. Sędzia zastanowi się dwa razy, zanim wyda nakaz nieprzychylny bohaterowi gawiedzi.

– W najgorszym wypadku zyskam trochę czasu.

– Co z nim zrobisz?

Zawahał się niepewny, czy ma ochotę zwierzać się Paulowi, ale uświadomił sobie, że na razie nie ma innego kandydata na powiernika.

– Zastanawiam się, kto zabił Renée Bevilacqua.

– Twoim zdaniem nie Max?

– Nie wiem.

– Policja uważa, że on. Po wczorajszych występach stał się głównym podejrzanym. Czekają tylko na ujawnienie przez ciebie informacji, które doprowadzą do jego skazania.

– Wiem. Przestali szukać mordercy, ponieważ sądzą, iż już go mają. Nie będę przecież stał z boku i patrzył, jak dzieciak idzie do więzienia za morderstwo, którego nie popełnił.

– To nie twój problem.

– Nie mogę go zignorować.

– Możesz. Patrz, jak to się robi. – Paul zaczął sobie podśpiewywać pod nosem. – Widzisz? Proste.

Żyję sobie swoim życiem, prowadzę samochód i nie zamartwiam się losami całego świata. Mówił ci już ktoś, że za dużo myślisz?

– Wszyscy, którzy mnie znają.

– Posłuchaj, co ja ci powiem, jeśli ich zdanie lekceważysz. – Fortunato zacisnął usta. – Pograżysz całą piękną linię obrony, którą dla ciebie przygotowałem, jeżeli zaczniesz węszyć. Jak wtedy, kiedy pojechałeś do baru z mrożonym jogurtem. Stanowczo odradzam tego typu akcje w przyszłości.

– Przyjąłem.

– Lepiej się zastosuj, bo inaczej na ciebie doniosę.

Eric popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Komu doniesiesz? Glinom? Sędziemu?

– Gorzej. Laurie. Już ona da ci po głowie.

Eric uśmiechnął się na myśl o Laurie.

– Masz rację. Widziałem ją ze skalpelem.

– Ha! Moja siostra ma swoją ciemną stronę. Nikt mi nie chce uwierzyć, że mnie torturowała, kiedy byłem mały. – Włączył radio. – Sprawdźmy, co mówi policja. Założę się, że jest jakaś transmisja. Mam gdzieś ich rutynowe oświadczenie, ale jeśli odpowiedzą na jakieś pytania, chcę o tym wiedzieć. Za chwilę będziesz miał czerwone uszy. Przygotuj się, trzy, dwa, jeden...

Fortunato odnalazł właściwą stację, podkręcił dźwięk i z głośników dobiegł głos kapitana Newmire'a.

– Podsumowując, chciałbym odpowiedzieć na oświadczenie obrońcy pana Parrisha. Rozumiemy, że doktor Parrish ceni sobie prawo do zachowania tajemnicy lekarskiej, ale mamy powody przypuszczać, że posiada informacje dotyczące zamordowanej wczoraj w Radnor szesnastolatki, niejkiej Renée Bevilacqua.

Wśród reporterów rozległ się pomruk. Eric poczuł siłę tego argumentu niczym uderzenie. Po raz pierwszy słyszał to zdanie wypowiedziane publicznie. Brzmiało, jakby chronił mordercę, i tak też będą o nim myśleć.

– Nasz wydział kryminalny stawia na pierwszym miejscu ofiarę oraz jej pogrążoną w żałobie rodzinę. Sprawdzamy wszystkie poszlaki. Adwokat pana Parrisha wspomniał o naszych nieciekawych minach po tym, gdy jego klient powołał się na tajemnicę lekarską. Wyglądaliśmy tak, ponieważ zamordowanie uczennicy nie jest dla nas powodem do żartów.

Paul skrzywił się.

– Trzeba było przy tym być.

Kapitan Newmire kontynuował wystąpienie:

– Chcemy sprawiedliwości dla Renée Bevilacqua. Nie jesteśmy zadowoleni, kiedy ktoś utrudnia naszą pracę śledczą. Uważamy, że sprawiedliwość dla tej młodziutkiej dziewczyny jest ważniejsza niż biurokracja i kruczki prawne. Nie jestem prawnikiem, ale zdaję sobie sprawę z istnienia przepisu nakładającego na lekarza obowiązek zachowania w tajemnicy informacji związanych z pacjentem, uzyskanych w związku z wykonywaniem zawodu. Niemniej jednak jako ojciec muszę wyznać, że nie wiem, jak ten człowiek może spokojnie spać. – Przerwał, usiłując zapanować nad wzburzeniem.

Paul pokręcił głową.

– Nie gadaj, że się rozplakał? Terrorysty wygrali.

Eric nie podzielał jego wesołości. Newmire trafił w czuły punkt, prawie nie zmrużył oka, od kiedy to wszystko się zaczęło.

Kapitan odchrząknął i zakończył przemówienie słowami:

– Czy są pytania? Odpowiem na kilka, jeśli czas pozwoli.

Reporterzy jakieś wykrzykiwali, w samochodzie słyhać było kakofonię głosów, niemożliwą do rozszyfrowania przez radio.

– Dobrze. Powtórzę pytanie. – Newmire wrócił na antenę. – Brzmi ono: Czy doktorowi Parrishowi nie należą się podziękowania za zażegnanie kryzysu w centrum handlowym? Cóż, prawdą jest, że zaangażował się w uwolnienie zakładników, ale przypomnę, iż największą pracę wykonały służby z sześciu okręgów: brygady antykryzysowe i antyterrorystyczne, strażacy, personel medyczny, pracownicy Biura Spraw Wewnętrznych oraz agenci federalni.

Paul zachichotał.

– Przypomina mi mojego pięcioletniego synka, który uwielbia ciężarówkę, wozy strażackie i policyjne, ale najbardziej kocha Boba Budowniczego.

Eric zwrócił uwagę, jak ciepło mówił Fortunato o swoim dziecku. Pomyślał o Hannah, przepełniony poczuciem winy. Postanowił porozmawiać z Susan natychmiast po powrocie do domu.

Tymczasem kapitan policji kontynuował odpowiedź na pytanie dziennikarza.

– Ponadto zdecydowanie potępiamy jakąkolwiek ingerencję obywateli w policyjne akcje. Pan Parrish usłyszał od nas zarzut utrudniania pracy policji. W naszej komendzie działa sprawny sztab kryzysowy. Nie jesteśmy, proszę państwa, na Dzikim Zachodzie. Nie potrzebujemy kowbojów. Dziękuję bardzo. Ostatnie pytanie.

– Kowbojów – prychnął Paul pogardliwie. – Dobrze. Świetna analogia. Szkoda, że o tym nie pomyślałem.

Kolejna kakofonia pytań.

– Czy prokuratura ma zamiar zmusić doktora Parrisha do uchylenia tajemnicy lekarskiej w celu przekazania informacji związanych z morderstwem Bevilacqua? – powtórzył Newmire.

– Ładnie powtórzone. – Paul uśmiechnął się szelmowsko. – Prasa jest po naszej stronie.

– To bardzo dobre pytanie – mówił Newmire. – Ale niestety nie do mnie, lecz do pani prokurator, która – jak państwu wiadomo – przebywa obecnie w szpitalu. Dziękuję państwu bardzo.

– Aha! – Adwokat ściszył radio. – Czegoś się jednak dowiedzieliśmy. Zastępca prokuratora miał być obecny podczas konferencji, więc czemu go nie było? Ponieważ usłyszeli nasz komentarz o wstąpieniu na drogę sądową i nie chcieli się do niego ustosunkować. I gość, który byłby upoważniony do odpowiedzi, nagle zniknął. Poszedł po szklankę mleka. Bo oni piją tylko mleko. Bez lodu.

– A to dla nas dobrze czy źle? Postawią mnie przed ławą przysięgłych?

– Dobrze, ponieważ świadczy o tym, że ich trafiliśmy. Odparliśmy atak, ale nie na długo. Poczekają, aż wszyscy zapomną o twoim bohaterstwie i kupią ich historyjkę o psychiatrze, który chroni szalonego mordercę.

– Cholera. – Paul popatrzył na niego, skręcając w Old Gulph Road, która prowadziła do domu Erica.

– Weźmiesz sobie do serca moją radę, kowboju? Żadnego węszenia. Dobrze, kowboju?

– Tak jest. – Eric wyjrzał przez okno na nasłonecznioną ulicę. – Przy okazji, nie zapomnij wystawić mi rachunku.

– Aleś ty obowiązkowy. Pomagam ci w ramach przysługi dla siostry.

– Nie zgadzam się. Wystaw mi fakturę.

– Ubijmy interes, ożeń się z moją siostrą, a wtedy to ja tobie zapłacę. – Uśmiechnął się. Pokonywali kręte uliczki w okolicy dawnego domu Erica, minęli eleganckie osiedle kamiennych domków na Main Line z perfekcyjnie wystrzyżonymi trawnikami i zadbaną roślinnością. Obaj milczeli, każdy zatopiony we własnych myślach.

Po chwili Paul przerwał ciszę.

– Ericu, nie bierz sobie do serca słów tego starego gliny. Chodzi o różnicę między procedurą a istotą rzeczy. Procedury ją chronią.

– O czym ty mówisz?

– Wymądrzam się. – Paul oblizał usta, przygotowując się do dłuższej wypowiedzi. – Tak jak ci mówiłem wcześniej, reprezentuję konstytucję, a procedury konstytucyjne mają za zadanie chronienie praw jednostki, to jest istota rzeczy – wolność wyboru, słowa, wyznania, wolność od nadużyć rządu, prawo do szczęścia. Rozumiesz?

– Tak.

– Na przykład nie chcemy, aby policjanci przeszukiwali nasze domy, kiedy sobie zażyczą, dlatego wprowadzamy odpowiednie procedury – nakaz przeszukania musi zawierać szczegółowe informacje i ograniczenia, opis poszukiwanych przedmiotów, ma zostać doręczony w określonym czasie, spełnić ileś warunków. To są tak zwane szczegóły prawne, niezbędne do ochrony niezbywalnych praw jednostki, które zapewnili nam Ojcowie Założyciele. Na tym polega całe piękno konstytucji i karty praw. Kapujesz?

– Tak. – Eric pokiwał głową. Był prawie w domu.

– Szczegóły prawne są niezwykle istotne. Nikt nie lubi zawracać sobie głowy niuansami, szczególnie nasz kapitan kowboj, zresztą taką mamy kulturę. Skupiamy się na całości, nie lubimy analizować. – Zmarszczył czoło. – Nie myśl, że nie zależy mi na sprawiedliwości dla tej zamordowanej dziewczyny, ale sprawiedliwości nie stanie się zadość tylko dlatego, że ktoś o niej głośno krzyczy. Sprawiedliwość opiera się na szczegółach prawnych. Nie można o nią walczyć, ignorując je.

Eric popatrzył na niego uważnie, zaskoczony pasją, z jaką mówił.

– Rozumiem. Brzmi sensownie.

– Lepiej się czujesz?

– Nie – odpowiedział, widząc zamieszanie pod swoim domem. – Co, do cholery?

– Dziennikarze znaleźli twój adres. To nie takie trudne.

– Szlag by trafił – mruknął, patrząc na dwa wozy transmisyjne i rząd samochodów osobowych, które blokowały spokojną zazwyczaj uliczkę.

– Trzymaj nerwy na wodzy, wiesz, co robić. Nie karm trolli.

– Co to znaczy? – Eric usiłował policzyć dziennikarzy, ale poddał się przy pięćdziesiątym.

– To znaczy, że wydaliśmy już oświadczenie i nie będzie więcej komentarzy. Nie odzywaj się do nich ani teraz, ani później. Odprowadzę cię do drzwi.

– Sąsiedzi na pewno są zachwyceni.

– Przywyknij, bo oni szybko stąd nie pójdą. Po prostu ich ignoruj i chodź z wysoko podniesioną głową. Nie mogą wejść na twój teren, dlatego stoją przy krawężniku.

– Dobra. Widzą wyważone drzwi – uświadomił sobie nagle. – Domyślili się, że policja przeszukała dom.

– Nie przejmuj się, bo i tak nic nie poradzisz.

Ogarnął go jakiś dziwny wstyd.

– Muszę naprawić drzwi.

– Daj sobie spokój. Przynajmniej nikt się teraz nie włamie.

Eric przewrócił oczami.

– Rozweselam cię. Proszę, jesteśmy na miejscu. – Zwolnił, żeby wjechać na podjazd. Reporterzy zauważyli ich i czekali w pełnej gotowości. – Masz wejście od tyłu?

– Mam.

– A młotek i gwoździe?

– Żeby naprawić drzwi?

– Nie, dla dziennikarzy. – Paul mrugnął i skręcił na podjazd.

Dziennikarze ruszyli biegiem.

ROZDZIAŁ 48

– Dziękuję, że odebrałaś, Susan – powiedział do słuchawki, wchodząc szybkim krokiem do gabinetu. Paul już odjechał, ale najpierw pomógł mu przybić drzwi frontowe do futryny. Eric używał teraz przejścia przez gabinet.

– Eric! Oglądałam wiadomości. To niesamowite, uratowałeś te dzieciaki! Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłam w telewizji!

– Super – usiłował przybrać radosny ton. Słońce przeświecało przez panelowe żaluzje, świetliste refleksy pojawiały się na gazetach, książkach i fioletowych podręcznikach diagnostycznych porzrzucanych po podłodze. Otworzył szafę na akta i szukał karty Maksa, planował kolejny ruch.

– Syn pokazał mi filmiki na YouTube, jak przebiegasz obok policjantów, jest ich już ze dwadzieścia i mają ponad trzy tysiące odsłon!

– Susan, zadzwoniłem wczoraj do domu, żeby porozmawiać z Hannah i...

– Daniel mi powiedział. – Cały entuzjazm Susan wyparował. – Mamy problem.

– Też tak sądzę. – Eric przeglądał karty pacjentów o nazwiskach na literę „J”. – Facet Caitlin usiłował uniemożliwić mi rozmowę z córką. Widziała mnie w telewizji i myślała, że zrobiłem coś złego, a oni nie chcieli pozwolić mi jej wytłumaczyć. Dopiero dziś wieczorem będę mógł z nią normalnie porozmawiać.

– Przykro mi, ale Hannah nie przyjedzie dziś do ciebie. Odmówili zgody na spotkanie z powodu twojego zamieszania w sprawę Bevilacqua. Złożyli dzisiaj wniosek do sądu rodzinnego o zaprzestanie wizyt w związku z zaistniałą sytuacją.

– Kurwa! Przecież Caitlin wie, że jestem niewinny. Po prostu skorzystała z okazji. Nie postawiono mi żadnych zarzutów w tej sprawie. – Eric wyjął brunatną teczkę z nazwiskiem Maksa. Miał zamiar odświeżyć pamięć i przestudiować swoje zapiski z sesji.

– Ale postawiono ci zarzut utrudniania pracy policji, prawda?

– Tak, za wtargnięcie do galerii. – Zamknął szafę, podszedł do biurka i odgarnął bałagan, robiąc sobie miejsce do pracy. Zamierzał poszukać jakiegokolwiek wskazówki, która nadałaby kierunek dalszym działaniom.

– Tak czy inaczej, zostałeś aresztowany przed kamerami telewizyjnymi. Sąd przychylił się do wniosku Caitlin. Zrobimy z siebie idiotów, jeśli się odwołamy. Poza tym widziałeś, co nam dziś przysłali.

– Czekaj, co nam przysłali? Nic nie wiem. – Porzucił dokumentację Maksa, zaalarmowany słowami Susan. Zajmie się tym później.

– Nie widziałeś dokumentów? Myślałam, że dlatego dzwonicz. Wysłałam ci maila przed godziną.

– Maila? O nie, nie sprawdzałem poczty. Policja skonfiskowała mój komputer i telefon. – Omiótł wzrokiem zdemolowany gabinet.

– Cóż, dziś rano odpowiedzieli na nasz wniosek o zamieszkanie dziecka przy ojcu.

– Tak szybko?

– Wiem. To było agresywne posunięcie strategiczne. Kują żelazo póki gorące, a jest rozgrzane do czerwoności. Trafiałeś do więzienia i jesteś podejrzany o morderstwo.

– Susan, chyba nie wierzysz, że kogoś zabiłem?

– Nie. Wiem, że chronisz tego Maksa, swojego pacjenta. Dziennikarze nazwali go Mad Maksem. Eric skrzywił się. Nie mógł ani potwierdzić jej domysłów, ani im zaprzeczyć.

– Twój pacjent zabił tę biedną dziewczynę i doskonale rozumiem, że musisz to zachować w tajemnicy. Adwokat też nie może ujawnić żadnych danych dotyczących klienta...

– Susan, proszę cię, przestań spekulować. Po prostu mnie cisną, żebym wyjawiał informacje. – Eric po raz kolejny tracił grunt pod nogami. Obawiał się, że straci córkę.

– Ericu, figurujesz jako podejrzany w policyjnych, nieujawnionych aktach.

– Już niedługo...

– Ale na razie tak jest. Ich oświadczenie odpowiada faktom. Dlatego z nim nie czekali.

– Może dostanę jakieś punkty za akcję w centrum handlowym? Mogę być bohaterem, jeśli dzięki temu córka zamieszka ze mną.

– Nie, nie w sprawie o opiekę. Zapominasz, że to nie konkurs popularności. Sąd rodzinny weźmie pod uwagę dobro dziecka. Wniosek Caitlin jest naprawdę dobrze przygotowany i uargumentowany.

– Co w nim jest?

– Streszczę ci. Max Jakubowski, twój pacjent, jest niebezpieczny. Uwięził grupę dzieciaków w sklepie z grami komputerowymi, przetrzymywał ich jako zakładników. – Umilkła na sekundę. – Wiesz, mój syn i jego koledzy często robią zakupy w tym sklepie. Gdyby ten czubek skrzywdził mi dzieciaka, gdyby choć jeden włos spadł mu przez niego z głowy...

– Max nie zamierzał nikogo skrzywdzić. Nie miał amunicji ani ładunku wybuchowego. – Postanowił nie komentować tego, jak go nazwała.

– I to go usprawiedliwia? – zapytała szyderczo. – Zdajesz sobie sprawę, jaką traumę przeżyły te dzieci? Kto jak kto, ale ty powinieneś!

– Susan, trzymajmy się tematu. Co to ma wspólnego z wnioskiem, aby Hannah u mnie zamieszkała?

– Wszystko, właśnie do tego zmierzam. Max jest prywatnym pacjentem, tak? Przyjmujesz go u siebie w domu?

– Zgadza się.

– W tym samym domu, gdzie miałyby zamieszkać Hannah?

Eric wreszcie zrozumiał związek.

– Składasz wniosek do sądu rodzinnego, aby Hannah zamieszkała z tobą pod tym samym dachem, pod którym przyjmujesz niebezpiecznych pacjentów? Którzy przystawiają dzieciom broń do głowy? Grożą zamachem terrorystycznym? Z których powodu zostają postawione na nogi wszystkie okoliczne służby mundurowe w największej akcji, jaką to miasto pamięta?

– O nie. – Eric pomasażował czoło. – Starannie dobieram pacjentów. Są nieszkodliwi.

– W takim razie jakim cudem znalazł się wśród nich ktoś taki jak Max?

– Spotkałem go w szpitalu, ale nie o to chodzi. Mój dom jest bezpieczny.

– Nie zdołamy przekonać sądu i nikt nie uwierzy w to po tym, co się wydarzyło w galerii. Jeden czubek wystarczy, żeby skrzywdzić Hannah. Poczekaj, przeczytam ci dokument od Caitlin. – Usłyszał stukanie klawiszy. – Mam. „Małżonek wnioskodawczynie przyjmuje w domu chorych psychicznie pacjentów. W małym gabinecie na tyłach budynku, który jest bezpośrednio połączony z częścią

mieszkalną, oddzielony od niej jedynie drzwiami pozbawionymi zamka. Nie istnieje żadne zabezpieczenie przed swobodnym wejściem chorych psychicznie osób, z których wiele znajduje się pod wpływem leków psychotropowych, do domu”.

Eric jęknął.

– Leczę ludzi chorych na depresję, zaburzenia lękowe, osoby w głębokiej żałobie. To nie *Milczenie owiec*.

– Czytam dalej: „Małżonek wnioskodawczynie prowadzi sesje w godzinach wieczornych, kiedy ryzyko napaści na tle seksualnym na siedmioletnią córkę pary jest jeszcze większe...”.

– Dosyc. – Ericowi zbierało się na mdłości.

– Powiem szczerze, to zwycięski argument.

– Mogę się przeprowadzić. Kupić coś z gabinetem w oddzielnym budynku. Podpisałem umowę najmu, ale najwyżej ją zerwę. – Pomyślał o świeżo pomalowanej na różowo sypialni Hannah. – Albo po prostu wynajmę jakiś gabinet poza domem.

– Bardzo dobre pomysły.

– Powiemy o tym sądowi?

– Poczekaj, Ericu. Porozmawiamy o tym później. Na razie muszę kończyć. Jestem umówiona. – Przerwała. – Mamy dziesięć dni na odpowiedź. Myślisz, że do tego czasu oczyszczą cię z podejrzeń o morderstwo?

– Mam nadzieję. – Zerknął na kartę Maksa.

– To dobrze. Prześlę ci te ich dokumenty w formie papierowej, żebyś sobie spokojnie przeczytał. Bądź ze mną w kontakcie, informuj mnie o wszystkim na bieżąco.

– Naprawdę nie mogę dziś zabrać Hannah do siebie?

– Nie możesz. Napiszę wyrachowany list do sędziego, że nie musi wydawać oficjalnej decyzji. Nie spotkasz się dziś z Hannah, ponieważ zaszły nieprzewidziane okoliczności. Opiszę sytuację w galerii handlowej i przedstawię cię jako bohatera.

Eric westchnął, poczuł się pokonany.

– Może rzeczywiście tak będzie lepiej. Mam przed domem tłum reporterów.

– Dobra decyzja. Czasami warto skapitulować. Poczekajmy na wyjaśnienie sprawy, zanim zaczniemy stawiać warunki.

– Dobrze. Dzięki. – Rozłączył się i wrócił do notatek robionych podczas sesji z Maksem, ale już po chwili przerwał mu dzwonek stojącego na biurku telefonu stacjonarnego. Odebrał odruchowo, myśląc, że dzwoni któryś z pacjentów.

– Eric Parrish, dzień dobry.

– Doktorze Parrish, nazywam się Tyler Choudhury, pracuję dla „Philadelphia Inquirer” i mam do pana kilka pytań w związku ze sprawą Renée Bevilacqua...

– Przepraszam, bez komentarza.

– Dlaczego? Ma pan szansę przedstawić swoją wersję wydarzeń. Wyjaśnić, czy stoi pan na straży tajemnicy lekarskiej, czy też się za nią chowa...

– Bez komentarza. Do widzenia. – Odłożył słuchawkę i zajął się studiowaniem akt Maksa Jakubowskiego.

ROZDZIAŁ 49

Dokładne przeczytanie notatek zajęło mu mniej niż godzinę i choć przypominał sobie wiele szczegółów, nadal nie miał pojęcia, kto mógł zamordować Renée. Powędrował wzrokiem za okno, na bujnym krzewie omżynu przysiadło kilka pomarańczowych i żółtych motyli. Byłby to odprężający widok, gdyby nie dziennikarze. Bez przerwy rozmawiali, wybuchali głośnym śmiechem i produkowali kłęby dymu papierosowego, który wnikał przez otwarte okno.

Był rozkojarzony. O tej porze powinien znajdować się w szpitalu. Jego życie, podobnie jak ten dom, zostało wywrócone do góry nogami. Pomyślał o pacjentach i swoich codziennych obowiązkach. Tęsknił za porannymi zebraniem, podczas których Amaka zdawała raport z minionej nocy. Tęsknił za obchodami, kiedy miał okazję porozmawiać z każdym pacjentem. Zastanawiał się, jak sobie radzą. Miał nadzieję, że Sam stanął na wysokości zadania i że Perino ma się lepiej. Żona Perino zapewne nadal utrzymuje, że wyrządził mu krzywdę, uważa go za bandytę, zwłaszcza teraz, kiedy jest podejrzany o morderstwo lub zatajanie faktów dotyczących morderstwa.

Kristine zapewne nie posiada się z radości. Nie musi już nic robić, żeby jego życie legło w gruzach – jak chciała. Nie wiedział, dlaczego oskarżyła go o molestowanie. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to zazdrość o Laurie, ale jeśli tak, musiała być poważnie zaburzona. Nic nie zauważył, niewątpliwie dlatego, że w ogóle rzadko ją dostrzegał. Była jedną z wielu stażystek przewijających się przez oddział, bardzo ładną, to prawda, choć kiedy o niej teraz myślał, uderzyło go co innego. Wyjątkowo skutecznie ukrywała emocje. Jej przedziwna determinacja, żeby go skrzywdzić, zastanawiała. Jednakże w tej chwili Kristine i jej wysrane z palca oskarżenia stanowiły najmniejszy z jego problemów.

Reporterzy na zewnątrz wybuchnęli głośnym śmiechem. Eric wstał, by pozamykać okna. Zbyt mało wiedział o Renée i jej życiu, aby snuć przypuszczenia, komu mogło zależeć na śmierci dziewczyny. Po zamknięciu okien w gabinecie zapanowała cisza, łatwiej mu było zebrać myśli. Podszedł do biurka. Morderca mógł być przypadkowy, niepowiązany z Renée. Wątpił, aby policja rozważała taką możliwość, mając Maksa w areszcie.

Telefon zadzwonił po raz kolejny. Nie mógł go zignorować, ponieważ ani pacjenci, ani szpital nie mieli z nim innego kontaktu. Chociaż spodziewał się, że to znów ktoś z prasy.

– Halo? Eric Parrish.

– Doktorze Parrish, nazywam się Nancy Steinman. Pracuję w gazecie „USA Today” i dzwonię w sprawie pańskiego pacjenta, Maksa Jakubowskiego. Piszę artykuł o przepisach dotyczących broni i zdrowia psychicznego. Chciałabym pana prosić o komentarz...

– Przepraszam, bez komentarza.

– Ale pańskie doświadczenie mogłoby rzucić światło...

– Bez komentarza. – Odłożył słuchawkę i wrócił do myśli o Renée. Musiała mieć stronę na Facebooku, jak wszystkie nastolatki. Eric prawie nie korzystał z portali społecznościowych, ponieważ

w pracy obowiązywała go zasada poufności, a w domu to Caitlin przesiadywała nocami na Facebooku. Czytała oś czasu, robiła jakieś wpisy zawodowe i prywatne, zamieszczała ich zdjęcia z wakacji.

Sięgnął po telefon komórkowy i otworzył aplikację. Z ciekawości najpierw zajrzał na profil Caitlin, lecz zobaczył obok jej nazwiska komunikat: ZAPROŚ DO ZNAJOMYCH. Zamrugął z niedowierzaniem. Naturalnie, że miał ją w znajomych. Prawdopodobnie go zablokowała, co niewątpliwie było facebookową wersją rozwodu. Sprawdził ponownie – miał ograniczony dostęp do informacji zamieszczonych na profilu Caitlin. Wpatrywał się w miniaturowe zdjęcia wspólnych znajomych i zauważył, że dodała kilka nowych osób. Szybko odnalazł tę, której szukał. Brian Allsworth.

W ostatniej chwili powstrzymał się przed kliknięciem w jego zdjęcie, zdając sobie sprawę, że wchodzi w wir, z którego niekoniecznie będzie miał siłę wyjść. Caitlin żyła swoim życiem, on także powinien. Poza tym Renée Bevilacqua była ważniejsza niż jego prywatne sprawy.

Wpisał jej nazwisko w pasek wyszukiwarki i rozpoczął przeszukiwanie długiej listy wyników. Nie widział wyraźnie zdjęć na małym wyświetlaczu telefonu. Eliminował starsze kobiety, dziewczyny z Włoch i Australii, otworzył kilka profili, zanim wreszcie dotarł do zdjęcia Renée.

Na wyświetlaczu pojawiło się duże zdjęcie profilowe roześmianej nastolatki obejmującej ramionami przyjaciółki. Fotografia została zrobiona na plaży. Renée wyglądała na tak pełną życia, jej śmierć wydawała się niemal niemożliwa. Eric przejrzał starsze zdjęcia profilowe i przeczytał opis pod najnowszym, zrobionym przed miesiącem: NIE MOGĘ SIĘ DOCZEKAĆ LATA, DZIEWCZYNY!!!!!!! Przedstawiało grupkę roześmianych dziewcząt w okularach 3D przed kinem w galerii King of Prussia. To była ta sama galeria handlowa, w której Max planował zakończenie własnego życia z rozpacz po śmierci Renée.

Eric nerwowo przełknął ślinę. Wyobrażał sobie, że na osi czasu Renée jest jej ostatni wpis i wiadomości od kolegów z pracy i szkoły z kondolencjami dla rodziny. Stłumił wzruszenie, by przystąpić do oglądania zdjęć znajomych Renée. Dzieciaki robiące głupie miny na przyjęciach, roześmiane, w zabawnych nakryciach głowy, dziewczęta w urokliwych lub prowokacyjnych pozach.

Przeczytał nazwy jej ulubionych zespołów i nazwiska piosenkarzy: Iron and Wine, Bruno Mars, Katy Perry, Taylor Swift, Faith Hill. Ulubione książki: *Gwiazd naszych win*, seria *Niezdolna*, *Kosogłós*, *Eleonora i Park*. Każda z tych informacji robiła na nim ogromne wrażenie, sprawiała, że Renée stawała się coraz bardziej rzeczywista, a jej śmierć coraz bardziej okrutna.

Telefon na biurku ponownie się rozdzwonił, a on znów nie mógł go zignorować.

– Eric Parrish.

– Dzwonię z „New York Timesa”...

– Bez komentarza.

– Ależ doktorze Parrish...

– Dziękuję, ale nie. – Odłożył słuchawkę.

Powrócił do studiowania zdjęć na profilu Renée, usiłował odgadnąć, kto był jej najbliższy, i wypatrywał jakichkolwiek podejrzanych cech. Może miała zazdrosnego chłopaka lub przyjaciółkę, a może ktoś jej dokuczał. Strzelał na oślep, lecz musiał od czegoś zacząć. Kliknął w pierwsze zdjęcie po lewej stronie przedstawiające młodą dziewczynę, Katie Shoop. Katie nie miała publicznego profilu, toteż nie mógł się o niej zbyt wiele dowiedzieć, natomiast często zmieniała zdjęcia profilowe. Prawie na każdym była w tej samej grupie dziewcząt, razem z Renée. Prawdopodobnie

należały do jakiegoś chóru, o czym mogły świadczyć niebieskie togi na jednej z fotografii.

Eric sięgnął po kartkę i ołówek, zaczął notować. Prawie wszystkie dziewczęta miały prywatne profile. Żaden z chłopców nie zablokował swojego. Parrish zbierał informacje o koleżankach Renée ze zdjęć profilowych, znajdował powiązania między nimi na fotografiach z albumów, na listach znajomych, we wspólnych grupach oraz porównywał miejsca zamieszkania. Przeraził się, ile danych można zebrać z zastrzeżonego profilu.

Dwie godziny później miał listę najbliższych koleżanek i kolegów z jej szkoły: dziewiętnaście dziewcząt i trzynastu chłopców. O dziwo, nie znalazł żadnej wzmianki na temat chłopaka Renée, a przecież Max wspominał, że się z kimś spotykała. Żaden ze znajomych na Facebooku nie oznaczył Renée jako swojej dziewczyny. Niejaki Jason Tandore z czwartej klasy wymienił park Pickeringa jako jedno ze swoich ulubionych miejsc. Ericowi stanęły włosy na karku, kiedy to zobaczył, tam właśnie zginęła Renée.

Dziewczyna wydawała się być w bliskiej relacji ze swoim wujkiem, wymuskany kawalerem z Filadelfii o imieniu Pat, specjalistą od praw konsumenta. Łączyła ją także miła więź z rodzicami, zwłaszcza z ojcem. Anthony Bevilacqua był dość aktywny na portalu społecznościowym i miał publiczny profil. Prowadził własną działalność gospodarczą, firmę importującą owoce, należał do klubu biegaczy i związku wolnomularzy, publikował mnóstwo zdjęć z Renée. Razem biegali i jeździli na rowerach. Eric trochę się z nim utożsamiał, obaj byli prowincjonalnymi ojcami ubóstwiającyymi swoje córki. Prawie nie różnili się wzrostem i mieli podobne ciemne, gęste włosy, Anthony wyglądał na bardziej muskularnego na zdjęciu w kolarskich trykotach. Renée odziedziczyła po ojcu uśmiech i kształt nosa – z tego, co zdołał się zorientować, ponieważ większość zdjęć została zrobiona w plenerze i Bevilacqua miał na nich okulary przeciwsłoneczne, czapkę z daszkiem lub kask rowerowy.

Peg Bevilacqua ustawiła swój profil jako prywatny, miała mniej znajomych niż jej mąż. Należała do jednej grupy o nazwie SZYDEŁKUJĄCE PIELEŃGNIARKI z oddziału położniczego szpitala Lankenau. Eric wyobrażał sobie jej ból za każdym razem, kiedy asystowała przy narodzinach. Pomyślał o Leah Barry, która umierała z rozpacz, ilekroć z głośników na korytarzu płynęły dźwięki kołysanki zwiastujące przyjście na świat kolejnego noworodka, ponieważ przywoływały one pamięć o jej zmarłym tuż przed urodzeniem dziecku.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Sięgnął po słuchawkę.

– Eric Parrish.

– Pan Parrish? Mówi Peg...

– Bez komentarza.

– Nie jestem dziennikarką, muszę z panem porozmawiać.

– Przepraszam, ale nie. Nie mogę...

– Nazywam się Peg Bevilacqua. Jestem mamą Renée.

ROZDZIAŁ 50

Eric wyglądał przez okno w salonie. Czekał na Stana z wypożyczalni samochodów, który miał mu dostarczyć środek lokomocji. Matka Renée nalegała na spotkanie, choć nie chciała powiedzieć dlaczego. Ponieważ przed domem państwa Bevilacqua również kłębił się tłum dziennikarzy, wybrali położoną na uboczu restaurację. Perspektywa spotkania z matką zamordowanej dziewczyny przerażała go, a jednocześnie miał nadzieję, że zdobędzie jakieś nowe informacje.

Na widok beżowego buicka zwalniającego przed domem przeszedł przez gabinet i wyszedł tylnym wyjściem. Pospiesznie zamknął drzwi i pobiegł przez podwórko w stronę samochodu. Reporterzy zaatakowali go pytaniami i kamerami.

– Dokąd pan jedzie? Prosimy o komentarz. Co się wydarzyło w galerii handlowej? Powie pan policji, co wie na temat Maksa Jakubowskiego? Ma pan jakieś informacje na temat zabójstwa Renée Bevilacqua? Czy zechciałby pan wygłosić oświadczenie? Dlaczego zwolnił się pan z pracy w szpitalu? Na jak długo wziął pan zwolnienie? Dokąd pan jedzie?

– Bez komentarza! – zawołał, podbiegając do samochodu. Stan z wypożyczalni przesiadał się właśnie na miejsce pasażera, nie wyłączając silnika, tak jak się umówili przez telefon. Niektórzy dziennikarze ruszyli do swoich pojazdów, planując pościg. Eric nacisnął pedał gazu.

– Super! – Stan uśmiechał się jak szaleniec. Był młodym chłopakiem o nastroszonych włosach, miał kolczyki w kształcie trapezów.

– Trzymaj się mocno. – Eric znał drogę na skróty bocznymi uliczkami. Gwałtownie skręcił w lewo, potem w prawo, cały czas zerkając w lusterko. Dziennikarze jeszcze go nie dogonili, więc wziął kolejny ostry zakręt w prawo i wjechał na przypadkowy podjazd. Podjechał pod same drzwi, chowając się za żywopłotem.

– Ekstra!

– Schył się – powiedział Eric, robiąc to samo. Kilka chwil później pościg smignął obok nich.

– Bum! To było niesamowite!

– Dzięki. Chyba. – Upewniwszy się, że wszyscy reporterzy ich minęli, Parrish opuścił obcy podjazd i odwiózł Stana do wypożyczalni. Następnie skierował się na zachód, ku Downingtown. Odnalazł niedużą restaurację o nazwie Tudy's, gdzie serwowano tylko śniadania i obiady, i wjechał na parking.

Otworzył przeszklone drzwi i rozejrzał się po sali. Brązowe ściany z białą boazerią, ciemny, drewniany parkiet. Nieduże pomieszczenie mieściło zaledwie około piętnastu stolików, z czego kilka było zajętych. Zobaczył rudą głowę Peg, jej kręcone włosy miały odrobinę jaśniejszy odcień niż czupryna Renée. Siedziała w łoży przy ścianie, zwrócona tyłem do wejścia, ubrana w świeżą, białą koszulę i dżinsy.

Eric zasygnalizował zbliżającej się kelnerce, że idzie do konkretnego stolika.

– Dzień dobry. Jestem Eric. Peg, prawda?

– Tak. – Kobieta wskazała mu miejsce naprzeciw siebie. – Proszę usiąść.

– Dziękuję. – Eric położył złożone ręce na stoliku. – Bardzo, bardzo pani współczuję śmierci córki. Proszę przyjąć najszczerze kondolencje.

– Dziękuję. – Popatrzyła na niego opuchniętymi, czerwonymi od płaczu oczami. Malował się w nich głęboki ból, który sprawiał, że piękny, wyrazisty kolor tęczy wydawał się rozwodniony, jakby wypłukany zbyt dużą ilością wylanych łez. Miała mały, zadarty nos z kilkoma piegami, jak Renée, i bladą cerę.

– Cieszę się z naszego spotkania.

– Nie potrafię nawet opisać, jaką ogromną stratę ponieśliśmy, ja i mąż. – Peg przełknęła głośno i zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Naprawdę współczuję – powiedział Eric z głębi serca. W jego głosie słychać było szczere emocje.

– Ma pan dzieci, doktorze Parrish?

– Tak, siedmioletnią córeczkę. Proszę mi mówić po imieniu.

– Renée jest... była jedynaczką. Całym naszym światem. Miała bardzo dobry kontakt z mężem. Taka córeczka tatusia. – Peg uśmiechnęła się lekko, z odrobiną goryczy. – Tych dwoje pasowało do siebie jak ulał. Podobni z wyglądu i zachowania. To dla niego zbyt wielki cios... Nawet nie wiem, czemu ci to mówię. Może dlatego, że jesteś psychiatrą i wiem, że przywykłeś do słuchania tego typu historii. Pracujesz w szpitalu, więc mamy coś wspólnego. Ja też. Jestem pielęgniarką w Lankenau.

– Tak, mamy coś wspólnego. – Nie wiedział, co jej powiedzieć, dlatego postanowił cierpliwie słuchać i czekać, aż wyjawi mu powód spotkania.

– Mój mąż szaleje z rozpaczy. Nie może spać, ale nie chce wyjść z łóżka. Cały czas głośno szlocha. To straszne, po prostu straszne. Musiałam zadzwonić po naszego lekarza rodzinnego, żeby podał mi coś na uspokojenie. – Powoli pokręciła głową. – Nie wie, że tu jestem. Oszukałam go, że jadę do siostry. Dziennikarze rozbili obóz pod naszym domem. To wszystko wydaje się koszmarnym snem. Wprost nie do zniesienia.

– Tak, na pewno. – Eric nie wspominał o własnych przeprawach z reporterami. Jego problemy bladły w obliczu nieszczęścia tej kobiety.

– Wybraliśmy trumnę dla Renée. Wyobrażasz sobie? Trumnę dla mojej córki. Pochowam moją piękną córeczkę. To, co zrobili z jej ciałem podczas sekcji... sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.

Eric pokiwał głową, rozumiał jej cierpienie.

– Domyślałam się.

– W każdym razie... – Peg wyprostowała się na krześle, jakby zbierała siły. – Na pewno zastanawiasz się, po co do ciebie zadzwoniłam. Chciałam z tobą porozmawiać jak z człowiekiem, bez asysty prawników i policji. Nie należę do osób, które się załamują i poddają. To nie w moim stylu. Może dlatego, że jestem matką i moje zadanie polega na rozwiązywaniu problemów. Muszę być silna dla Renée. Rozumiesz mnie, jako ojciec?

– Tak.

– Miałam nadzieję, że porozmawiamy jak rodzic z rodzicem. Oboje pracujemy w służbie zdrowia, pomagamy ludziom. Rozumiemy się pod tym względem, prawda?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się ze smutkiem, nie umiał inaczej.

– Przepraszam, płaczę się. Jestem zmęczona... – Potarła twarz kciukiem i palcem wskazującym, zostawiając różowe ślady na białej skórze. – Widziałam cię w telewizji, pokazywali cię przed

komendą policji. Wiem też, co się wydarzyło wczoraj w centrum handlowym.

Nie odpowiedział, czekając na dalszy ciąg.

– Naturalnie wysłuchaliśmy wszystkiego, co miał do powiedzenia kapitan Newmire... – Zawahała się chwilę. – Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że nie zabiłeś Renée. To nie ma żadnego sensu.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział z ogromną ulgą. – Nie zrobiłem tego, przysięgam. Nigdy bym tego nie zrobił. To dla mnie nie do pomyślenia.

– Nie znałeś jej, prawda?

– Nie, nie znałem. – Eric popatrzył na młodą kelnerkę, która podeszła w najmniej odpowiednim momencie. – Dla mnie tylko cola bez cukru. Dziękuję.

Peg popatrzyła na dziewczynę bez uśmiechu.

– Dla mnie to samo.

Kelnerka skinęła głową.

– Nie ma sprawy. Zaraz podam. Przepraszam, że przeszkodziłam.

Po jej odejściu Peg podjęła rozmowę na nowo, w tym samym miejscu, w którym przerwali.

– Tak myślałam. Dlatego właśnie wydajesz mi się najmniej podejrzany. Pytałam o ciebie różnych ludzi, rozmawiałam z osobami z pracy. Słyszeli o tobie same dobre rzeczy: że jesteś szanowanym psychiatrą i miłym facetem. Nie miałeś powodu, żeby zabić Renée. O wiele bardziej prawdopodobne, że zrobił to twój pacjent, Max. I powiedział ci coś na jej temat. Coś wiesz.

Eric słuchał jej głębokiego, spokojnego głosu. Nie przerywał, choć wiedział, do czego zmierza. Jeżeli wyrazi swoją prośbę wprost, będzie musiał odmówić. Pragnął odwlec chwilę, kiedy złamie jej serce.

– Będę z tobą zupełnie szczerą. Renée powiedziała nam, właściwie mojemu mężowi podczas wspólnego biegania, że Max prawdopodobnie się w niej kocha. Ona też go lubiła, chociaż nie w ten sposób. Ale wyznała ojcu, że od pierwszej chwili miała wrażenie, iż podoba się temu chłopakowi.

Eric się nie odzywał, pozwalał mówić Peg.

– Nie martwiła się tym, nie czuła najmniejszego lęku czy dyskomfortu. Może dlatego, że była taka młodziutka i naiwna. Myślmy z mężem, że on od początku planował to morderstwo.

Zmusił się do milczenia.

Kelnerka postawiła na stoliku dwie coca-cole.

– Proszę. Proszę mnie zawołać, gdybyście zdecydowali się państwo coś zjeść.

Pokiwał głową.

– Dziękujemy.

– Kapitan Newmire twierdzi, że wiesz, kto jest mordercą, ale nie chcesz powiedzieć z powodu tajemnicy lekarskiej – podjęła Peg po odejściu kelnerki. Splotła dłonie na stole, nie spuszczała wzroku z Erica. – Rozumiem wagę tajemnicy lekarskiej, też pracuję w szpitalu, ale to jest wyjątkowa sytuacja. Sprawa między nami, rodzicami. Dlatego do ciebie zadzwoniłam. Żeby cię błagać... Błagać, rozumiesz? Błagam cię jak rodzic rodzica, żebyś mi powiedział, co wiesz. Co mówił Max o Renée? Dlaczego ją zabił? Nie odrzuciła go przecież, nawet jej nigdzie nie zaprosił. Była dla niego miła, zresztą dla wszystkich. Nie zrobiła nic złego. Nie zasłużyła, żeby umrzeć w ten sposób, tak młodo. Była naprawdę kochanym dzieckiem. – Oczy kobiety zaszklily się od łez. – Chcę wiedzieć, chcę, aby morderca mojego dziecka poniósł sprawiedliwą karę. Anthony mówi, że to nie wróci jej życia, i ja o tym wiem. Ale sprawiedliwości musi stać się zadość. Max musi zapłacić za to, co zrobił

mojej córce i naszej rodzinie.

Eric stłumił westchnienie, nie wiedział, od czego zacząć.

– Peg, chciałbym ci pomóc, ale po prostu nie mogę. Wiesz, że nie mogę ci nic powiedzieć. Oprócz jednej ważnej rzeczy: nie jestem przekonany o winie Maksa. Ty i policja najprawdopodobniej podejrzewacie niewłaściwą osobę.

– O czym ty mówisz? – zapytała szorstkim tonem, ale panowała nad gniewem. – Oboje dobrze wiemy, że był zakochany w mojej córce. Policja znalazła telefon Renée w pokoju Maksa. Okaż mi szacunek i bądź szczery. Jestem dorosła, widziałam, jak ludzie się rodzą i umierają. Cokolwiek to jest, poradzę sobie. Powiedz mi.

– Nie mogę ci powiedzieć, co wiem, ale dziś od rana...

– Przestań. Żądam odpowiedzi na swoje pytania. – Oczy Peg zamieniły się w sople lodu, wypluwała z siebie słowa z zimną wściekłością. – Wiem, że Max ją zabił. Skąd? Domyśliłam się na podstawie tego, co przeczytałam w gazecie. Napisali, że byłeś u Renée w pracy, rozmawiałeś z nią, pojechałeś za nią pod nasz dom, widział cię jeden z sąsiadów. Po co to zrobiłeś?

– Nie mogę ci udzielić odpowiedzi.

– Nie musisz, nie jestem głupia. Mogły być tylko dwa powody. – Peg wysunęła wskazujący palec. – Pierwszy zakłada, że ją znałeś i to ty jesteś mordercą. Już powiedziałam, nie podejrzewam cię. Znam wielu lekarzy, wielu uważa się za bogów, są aroganccy, ale wszystkich łączy jedno, chcą leczyć. Wybrali ten zawód, żeby pomagać ludziom, a nie im szkodzić.

Eric przełknął nerwowo ślinę, słysząc nową nutę pewności siebie w głosie Peg.

– Drugi powód – po zaginięciu Maksa martwiłeś się o jej bezpieczeństwo. Wiedziałeś, że może ją skrzywdzić. Dlatego pojechałeś do niej do pracy, a potem upewniłeś się, że dojechała do domu cała i zdrowa. Że Max nic jej nie zrobił.

Hipoteza Peg brzmiała rozsądniej, niż podejrzania policji, że manipulował Maksym, ale i ona nie była prawdziwa. Nie próbował chronić Renée, tylko odnaleźć Maksa. Nie mógł tego jednak powiedzieć zrozpaczonej matce.

– Po tym, gdy sąsiad przepędził cię z naszej ulicy, pojechałeś do domu i poszedłeś spać. Straciłeś czujność. Nie mogłeś znaleźć Maksa, ale on dokładnie wiedział, co robi. Dopadł Renée nad ranem. Zapewne wiedział, że codziennie przed pójściem do szkoły wychodzi z psem do parku Pickeringa. Kochała tego psa, bardzo dużo o nim mówiła i Maksowi też musiała wspomnieć któregoś dnia podczas korepetycji. Zamordował ją, udusił gołymi rękami. – Palce Peg pobieleły, tak mocno przyciskała dłonie do stołu. – Próbowałeś temu zapobiec, Ericu, ale nie udało ci się. Mam rację, prawda? Powiedz mi prawdę.

– Prawda jest taka, że Max może być niewinny.

– Czyżby? – Prychnęła pogardliwie, odchyliła się w tył na siedzeniu i skrzyżowała ręce na piersiach. – Naprawdę uważasz, że jest niewinny?

– Tak.

– Wyłumacz mi, dlaczego tak uważasz. A jeszcze lepiej wyjaśnij to na policji. Policja wierzy, że jest winien, więc jeśli jest inaczej, tracą czas, zamiast szukać prawdziwego mordercy. Tak czy inaczej, musisz im powiedzieć. Musisz powiedzieć, co wiesz. Na jakiej podstawie uważasz, że tego nie zrobił? Nie możesz siedzieć z założonymi rękami i milczeć. Moja córka nie żyje. Twoja jest cała i zdrowa. Nie wiesz, jakim jesteś szczęściarzem.

– Uwierz, bardzo ci współczuję. Naprawdę. I nie siedzę z założonymi rękami. – Eric postanowił ją

taktownie wtajemniczyć w swoje poczynania. – Dziś rano zrobiłem listę osób z najbliższego kręgu znajomych Renée.

– Skąd wiesz, z kim moja córka była blisko, a z kim nie?

– Z Facebooka. – Wyjął z kieszeni kartkę z ręcznie sporządzoną listą nazwisk. – Todd Schuler, Hudson McAllister, lub jedna z jej przyjaciółek, i Julia Clackney, Mindy Choretz, Gabi Mateille, Cate...

– Żarty sobie stroisz? – Peg się wzdrygnęła. – Przeglądałeś profil mojej córki na Facebooku? Jest prywatny. Osobiście wybierałam ustawienia, kiedy zakładałyśmy konto.

– Konto Renée jest prywatne, ale nie wszyscy jej znajomi zastrzegli swoje. Większość dziewcząt owszem, ale chłopcy już nie. Mimo wszystko nie zdołałem ustalić, który z nich był chłopakiem Renée...

– Przeglądałeś profile jej znajomych? – Rozchyliła usta ze zdumienia. – I o jakim chłopaku mówisz? Nie miała żadnego chłopaka.

– Nie? – Max opowiadał mu podczas sesji, że się z kimś spotykała. Płakała z jego powodu po jakiejś kłótni. Nie mógł tego ujawnić, skoro Peg nie wiedziała.

– Nie. Chodziła kiedyś z Toddem Schulerem, ale zerwali dawno temu. Nie lubiliśmy go i... – Skrzywiła się. – Zresztą to nie jest twoja sprawa! O czym ty mówisz? Co ty wyprawiasz? Dlaczego przeglądasz profile tych dzieciaków?

– Po prostu eliminuję różne możliwości. Policja zatrzymała niewłaściwą osobę i przestała szukać prawdziwego mordercy. Jeżeli to nie był przypadkowy atak, czego nie sposób wykluczyć, Renée musiała znać napastnika...

– Jak śmiesz! – Oczy Peg błyszcząły jak polerowana stal. – Chcesz mi wmówić, że zabił ją któryś z kolegów? Z niektórymi przyjaźniła się od podstawówki. Nie mogą przestać płakać, odkąd dowiedzieli się o jej śmierci.

– Mówię tylko, że morderca pozostaje na wolności...

– Myślisz, że przyjaciele zadusili ją gołymi rękami? To ci się wydaje bardziej prawdopodobne od faktu, że twój szalony pacjent Max jest odpowiedzialny za jej śmierć? Ten niebezpieczny wariat, który porwał grupę dzieci, przystawiał im broń do głów i groził wysadzeniem w powietrze całej galerii handlowej? – Zaciśnęła usta i pochyliła się do przodu. – Słuchaj, prosiłam cię grzecznie, a nawet błagałam. Wiesz, co zrobię, jeśli nie wyjawisz całej prawdy mnie lub policji? Rozmawiałam ze znajomymi psychiatrami i trochę czytałam na temat sprawy Tarasoffa, która przyczyniła się do powstania pewnego przepisu. Otóż jeśli psychiatra podejrzewa, że jego pacjent ma zamiar kogoś zabić, jest prawnie zobligowany do powiadomienia tej osoby lub policji.

Eric poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Wiedziałeś, że Max zamierza zabić Renée. Najlepszy dowód – pojechałeś za nią do domu tamtej nocy. Wytoczmy ci z mężem proces, jeżeli nie podasz policji wszystkich danych. Mamy pieniądze i nie będziemy żałować na adwokatów. Stracisz wszystko, co masz, łącznie z prawem wykonywania zawodu. – Mówiła z pasją podsycaną przez złość, ból i żal. – Nie spocznę, dopóki śmierć mojej córki nie zostanie pomszczona. Dopóki Max za nią nie odpowie przed sądem. Więc bierz tyłek w troki i maszeruj na policję!

– Przepraszam, ale nie mogę...

– Jak chcesz! – Peg wstała gwałtownie od stołu, potrącając szklanki, chwyciła torebkę i wymaszerowała z restauracji.

– Zaczekaj, Peg! – Zerwał się, by za nią pobiec, jednak po chwili zmienił zdanie i usiadł z powrotem przy stoliku. Wystarczająco ją zdenerwował, miała prawo do wszystkich emocji, które odczuwała. Na jej miejscu zachowywałby się podobnie.

W świetle tego, co mówiła, Todd Schuler był w przeszłości chłopakiem Renée. Eric postanowił zatem przyjrzeć mu się bliżej. Napił się dietetycznej coli, wyjął telefon z kieszeni, otworzył profil Todda, który był publiczny, i zaczął go dokładnie studiować. Pod hasłem ZWIĄZEK widniał opis TO SKOMPLIKOWANE. Jeśli rodzice Renée nie akceptowali jej związku z Toddem, młodzi nie mogli o nim napisać na Facebooku, zdał sobie sprawę Eric. Renée prawdopodobnie nic nie napisała na swoim profilu. Todd Schuler nie należał nawet do jej znajomych. Z pewnością go zablokowała, żeby oszukać rodziców.

Zjechał w dół ekranu i przeczytał komentarze na osi czasu. Nie było ich zbyt wiele. Todd uaktualniał swój status raz na kilka dni. Odszukał środową datę. Dzień śmierci Renée. *Serce złamane na zawsze*, przeczytał. Żadnej wzmianki na temat Renée, żadnego wyjaśnienia, co potwierdzało teorię Erica, że młodzi trzymali swój związek w tajemnicy.

Przejrzał wcześniejsze posty. Słabo oświetlone zdjęcia z jakiejś młodzieżowej imprezy. Tłum dzieciaków w czapkach z daszkami do tyłu, trzymających plastikowe czerwone kubki. Jedna z fotografii, selfie, przedstawiała tylko ich dwoje, Renée i Todda na tle zieleni. *Moja bae*, oznajmiał napis pod zdjęciem.

Eric nie był aż takim starcem, żeby nie wiedzieć, iż „bae” oznacza dziewczynę. Chłopak trochę ryzykował, publikując to ujęcie, ale zapewne nie spodziewał się, że rodzice Renée wejdą na jego profil. Wszak aż do dziś, kiedy Eric nieświadomie wyprowadził z błędu Peg, tkwili w przekonaniu, iż związek ich córki z Toddem jest od dawna nieaktualny.

Post został zamieszczony miesiąc temu, co przeczyło słowom Peg, jakoby zerwali ze sobą już dawno. Nawet jeśli nie byli już parą, nadal mieli ze sobą kontakt. Ponownie przyjrzał się fotografii, lepiej widocznej w jasnej restauracji niż w jego gabinecie z przesłoniętymi oknami. Nie potrafił odgadnąć, co jest za trawnikiem, ale w rogu, obok krzewów, dostrzegł jakiś różowy kształt.

Powiększył go i nadal nie miał pojęcia, co to mogło być. Coś jaskraworóżowe i spiczaste, nie pasowało do otaczającej zieleni. Gdzieś już to widział. Wszedł na stronę okręgu i odszukał park Pickeringa na liście parków miejskich.

Otworzył link, na ekranie pojawiły się parkowe krajobrazy: ścieżka dla biegaczy, tor do parkour i trzecie zdjęcie, na którego widok zaczerpnął wielki haust powietrza. Krowa z plastiku, naturalnej wielkości, pomalowana na jaskrawe odcienie różu i zieleni. Jeden z miejskich projektów artystyczno-charytatywnych. Powiększył różowy róg plastikowego zwierzęcia i porównał go z tajemniczym kształtem na profilu Todda. Krowa z parku Pickeringa, ta sama na obu fotografiach.

Zaschło mu w ustach ze zdenerwowania, napił się coli. Miał przed sobą dowód, że Todd bywał razem z Renée w miejscu, gdzie została zamordowana. Według tego, co powiedziała Peg, dziewczyna codziennie rano spacerowała tam z psem. Zastanawiał się, czy przypadkiem pies nie był wymówką, a tak naprawdę chodziło o to, żeby spotykać się po kryjomu z chłopakiem. Być może widywali się tam codziennie i środowa schadzka miała tragiczny finał.

Uznał to za bardzo prawdopodobne. Możliwe, że próbowała z nim zerwać albo coś wzbudziło jego zazdrość. Rutynowe śledztwo zaczyna się od przesłuchania chłopaka, ale policja o nim nie wiedziała. Podobnie jak Peg, aż do dzisiejszego dnia. Jeżeli Todd zabrał telefon z miejsca zbrodni, nikt nie miał pojęcia o jego związku z Renée. Policja dotrze do listy połączeń najwcześniej za kilka dni. Do tego

czasu Schuler zniszczy dowody lub zniknie.

Modlił się, aby Peg ochłonęła po drodze do domu, rozważyła jego słowa i zajrzała na profil Todda. Miał nadzieję, że znajdzie zdjęcie, rozpozna różowy róg krowy z parku Pickeringa i dopowie sobie resztę. Oglądał najnowsze posty chłopaka, planując swoje kolejne posunięcie. Podręczniki szkolne, a pod nimi napis: *Jedyna rzecz gorsza od szkoły to letnie kursy* i *Nie do wiary, że zapłaciłem stówę za głupią książkę do chemii*. Otworzył zakładkę INFORMACJE, następnie PRACA I WYKSZTAŁCENIE. Todd studiował na pierwszym roku w Delaware County Community College w Exton.

Zastanowił się chwilę, Exton było oddalone o piętnaście minut jazdy samochodem. Mógł tam pojechać, nie wpadł na żaden inny trop. Gdyby wiedział, jakim samochodem jeździ Todd, może udałoby się ustalić, czy widziano go w okolicy parku Pickeringa rano w dzień śmierci Renée. W okolicy działała straż sąsiedzka, ktoś by go zauważył.

Zostawił na stoliku dwadzieścia dolarów i wyszedł z restauracji.

ROZDZIAŁ 51

Jechał niezbyt ruchliwą o tej porze Lancaster Avenue i rozmawiał przez telefon.

– Dzień dobry, czy dodzwoniłem się do sekretariatu?

– Tak, w czym mogę pomóc?

– Mój syn ucześnie na letni kurs chemii. Przez pomyłkę zabrałem jego plecak z książkami zamiast własnego. Może mi pani powiedzieć, o której godzinie i w jakiej sali odbędą się zajęcia?

– Już sprawdzam. Tak. Od dwunastej do trzeciej. Niestety stracił większość.

– W którym budynku? Jestem w pobliżu, więc mógłbym mu je podzucić.

– To bardzo miło z pana strony. Mamy tylko jeden budynek, trafi pan bez problemu.

– Dobrze. Dziękuję. – Rozłączył się i zerknął na tablicę rozdzielczą. Zegar wskazywał drugą piętnaście. Czy jeszcze kiedykolwiek spojrzy na zegarek bez zastanawiania się, czy Max robi to samo, odliczając minuty do kolejnego rytuału?

Wjechał do Exton, minął Liceum Church Farm. Wypatrzył tablicę z nazwą Springdale Road i skręcił w lewą stronę, na średniej wielkości parking przed budynkiem przypominającym korporacyjną siedzibę. Zaparkował daleko od głównych drzwi z matowego szkła, obok których umieszczono tabliczki z napisami: NA TERENIE UCZELNI OBOWIĄZUJE CAŁKOWITY ZAKAZ PALENIA oraz SKUP PODRĘCZNIKÓW! Miał stąd najlepszy widok.

Gmach uczelni, stanowiący część konglomeratu, pasował architektonicznie do całości. Nowoczesna konstrukcja z czerwonej cegły z niewieloma oknami i brązową fasadą. Brakowało trawników, gdzie można by było posiedzieć lub pograć we frisbee. Przed wejściem stała garstka studentów z plecakami przewieszonymi przez ramię i słuchawkami na szyjach. Kilka osób kierowało się już na parking, do swoich samochodów.

Eric obserwował drzwi, przez które wychodziła grupkami lub parami roześmiana, rozgadana młodzież. Po dwudziestu minutach czekania już miał się poddać, sądząc, że przegapił wyjście Todda, kiedy dostrzegł chłopaka podobnego do tego z fotografii. Był wysoki i jasnowłosy. Rozmawiał z jakimiś dwiema ładnymi dziewczynami, wszyscy się uśmiechali.

Parrish zerknął jeszcze raz na zdjęcie. Kiedy wysoki blondyn podszedł bliżej, miał już pewność, że to on. Ta sama twarz i sylwetka o szerokich ramionach w szarym T-shircie i luźnych bojówkach. Ten sam zuchwały uśmiech. Eric wyprostował się, żeby nie przegapić momentu, gdy chłopak będzie wsiadał do samochodu, ponieważ na parkingu wciąż panował spory ruch.

Jedna z dziewcząt roześmiała się głośno, pomachała pozostałej dwójce i przeszła na prawą stronę parkingu. Todd i druga dziewczyna skierowali się w stronę rzędu samochodów zaparkowanych po lewej stronie. Nagle objął ją ramieniem i pocałował w policzek, zatrzymała się, uniosła głowę, zapraszając do bardziej namiętnego pocałunku. Todd skorzystał z zaproszenia i pocałował ją prosto w usta.

Eric zamrugnął zaskoczony, nie wiedział, co o tym myśleć. Albo Todd był chłopakiem Renée, ale

szybko pocieszył się po jej śmierci, albo nim w ogóle nie był. Nie miał teraz czasu na analizowanie. Zrobił kilka zdjęć telefonem parze, która wsiadła do zielonego dżipa wranglera. Todd zajął miejsce kierowcy. Zanim odjechali, Eric sfotografował tablicę rejestracyjną samochodu.

Popatrzył z namysłem na telefon. Informacje, które zdobył na temat Schulera, wydawały się godne uwagi, lecz na razie nie miał pomysłu, co z nimi dalej zrobić. Nie mógł przecież zadzwonić na policję, nie ryzykując dalszych kłopotów. Telefon do Marie również nie wydawał się dobrym pomysłem, chociaż prawdopodobnie ucieszyłaby się z każdej wiadomości mogącej świadczyć o tym, że Max jest niewinny.

Uświadomił sobie, że tajemnica lekarska, która powstrzymywała go przed udzielaniem policji informacji potencjalnie obciążających, nie pozwalała mu również na dostarczenie dowodów jego niewinności. Ten miecz miał dwa ostrza. Eric nie zamierzał sprzeniewierzyć się tajemnicy lekarskiej, ale mógł zdradzić swoje dzisiejsze odkrycia. Wybrał numer z listy kontaktów i zainicjował połączenie.

ROZDZIAŁ 52

– Paul? Co słyhać? Masz chwilę? – Eric siedział za kierownicą samochodu, z roztargnieniem obserwował wychodzących studentów.

– Pewnie. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Ja pierwszy. – Informacje, które miał do przekazania adwokatowi, nie mogły czekać. – Podejrzewam kogoś o zamordowanie Renée Bevilacqua. Co robimy? Pomyślałem, że mógłbyś z tym pójść na policję, skoro mnie nie wolno się z nimi komunikować bezpośrednio.

– Żartujesz, prawda? Powiedz, że żartujesz, Nancy Drew. Znalazłeś tajne schody?

– Posłuchaj mnie, Paul. Jeśli wejdiesz na Facebooka i otworzysz profil dziewiętnastolatka o nazwisku Todd Schuler, studenta Delaware County Community College, znajdziesz na nim jego zdjęcie z Renée, zrobione jakiś miesiąc temu w parku Pickeringa. – Eric musiał być ostrożny, aby nie wyjawić niczego, czego dowiedział się od Maksa w trakcie sesji, ale mógł mówić o rzeczach, których dowiedział się z innych źródeł.

– Doooobraaa – powiedział powoli Paul. – Rozumiem, że bawisz się w cyberstalkera na Facebooku. Nie osądzam. Sam nałogowo przeglądam profil laski, która mnie rzuciła. Ku mojej ogromnej uciechu, związała się ze straszonym fajtłapą.

– Mam podstawy sądzić, że Todd Schuler był sympatią Renée. Policja powinna go sprawdzić. Przecież to rutynowe postępowanie. Mąż jest zawsze pierwszym podejrzanym o zamordowanie żony. Czytałem o tym, zawsze najpierw przesłuchuje się najbliższych. Musimy poinformować policję o relacjach łączących Schulera z Renée. Zrobisz to?

– Ericu, trollowanie na Facebooku trudno nazwać rzetelną pracą śledczą. – Zachichotał. – Co prawda nie mam najlepszego zdania o lokalnej policji, ale nawet oni zapewne wpadli na pomysł, żeby sprawdzić ewentualnego narzeczonego. Wyluzuj i daj chłopakom pracować. Co z dziennikarzami? Nadal obozują na twoim trawniku?

Nie odpowiedział, ponieważ wciąż siedział w samochodzie na parkingu przed uczelnią Todda Schulera.

– Policja może nie wiedzieć, że Renée z kimkolwiek się spotykała.

– Dowiedzą się. To nie wymaga wielkich kwalifikacji.

Eric zawahał się.

– Oni utrzymywali swój związek w tajemnicy. Jej rodzice o niczym nie wiedzieli.

– Skąd ty wiesz, w takim razie?

– Niedawno rozmawiałem z matką Renée i...

– Co takiego?! Rozmawiałeś z matką ofiary morderstwa? Kiedy? Jak?

– Zadzwoiła do mnie i błagała o spotkanie. Nie powiedziałem ani nie zrobiłem nic niestosownego.

– Ericu, samo spotkanie z nią było niestosowne, cokolwiek to znaczy. Kto dziś używa takich słów?

Co z ciebie za człowiek? Co się wydarzyło na tym spotkaniu? Gdzie jesteś?

– To była krótka rozmowa w restauracji. Prosiła mnie, błagała, żebym ujawnił, co wiem na temat Maksa. Nie zgodziłem się, a ona zagroziła procesem cywilnym. Przywykłem do takich pogroźek.

– Żartujesz? Wystawiasz się na ogromne ryzyko. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Wiedziałem, że będziesz oponował.

Paul prychnął.

– Kto jeszcze z wami był?

– Nikt.

– Nikogo nie przyprowadziła? Prawnika?

– Nie.

– Miała na sobie podsłuch?

– Oczywiście, że nie.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

Adwokat jęknął.

– Nagrywałeś tę rozmowę?

– Oczywiście, że nie.

– Ona może teraz zadzwonić na policję i powiedzieć im cokolwiek. Nawet twierdzić, że się przyznałeś.

– Nie zrobi tego.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Jest matką załamaną po śmierci jedynego dziecka i walczy o sprawiedliwość. Skupmy się na fakcie, że nie wiedziała o chłopaku córki. W takim razie policja prawdopodobnie także o nim nie wie.

– Przyjaciółki na pewno wiedziały. Moja żona zwierza się swoim przyjaciółkom ze wszystkiego.

– Możliwe, ale pewnie nic nie powiedzą, skoro Renée prosiła o dochowanie tajemnicy. Nie mają żadnego powodu, żeby wyjawiać sekrety zmarłej, skoro policja zatrzymała już mordercę.

– Ericu, skoro ty do tego doszedłeś, policja także sobie poradzi. Mają łącze internetowe. Chyba.

– Ale nie szukają. Matka Renée powiedziała, że dziewczyna codziennie rano chodziła z psem do parku. Moim zdaniem spotykała się tam z Toddem. Mówię ci, facet wygląda na niezłe ziółko. Mógł ją zabić. – Pominął opowieść Maksa o Renée płaczącej po kłótni ze swoim chłopakiem.

– Skąd wiesz, że wygląda na niezłe ziółko? Ze szkolnych plotek? Ze wspólnej godziny wychowawczej?

– Zaufaj mi, nie chcesz wiedzieć. Mam też numery rejestracyjne jego wozu. Wyślę ci SMS-em. Znaczące jest też to, że Renée wychodziła z psem codziennie o tej samej porze. Wystarczyło ją obserwować przez kilka dni, żeby wiedzieć, kiedy będzie sama.

– Ericu, przestań, bardzo cię proszę...

– Po prostu zadzwoń na policję i powiedz im o Toddzie Schulerze, dobrze? I niech przesłuchają sąsiadów. Może ktoś widział jego samochód w okolicach parku Pickeringa rankiem w dniu morderstwa.

– Przecież będą wiedzieć, że ty za tym stoisz.

– Nie ma znaczenia. Nie odpowiem na żadne pytania. Rozwazałem anonimowe zgłoszenie, ale nie wiem, czy traktują je poważnie.

– Myślę, że tak.

– Muszę być pewien, że dostaną wiadomość. Najchętniej powiedziałbym Marie. Nie wolno mi się z nią kontaktować?

– Dzięki Bogu od czasu do czasu docierają do ciebie jakieś moje słowa. Nie, nie wolno ci się z nią kontaktować i zaraz ci powiem dlaczego. Miałem do ciebie dzwonić w tej sprawie. Właśnie rozmawiałem z nowym adwokatem Maksa, Lionelem Boltonem, jednym z najlepszych obrońców w mieście.

– Wspaniale.

– Nie. Nie wspaniale. Jestem przekonany, że wziął tę sprawę z powodu zamieszania medialnego wokół niej. Uwielbia takie wyzwania.

– Bardzo dobrze. Max potrzebuje teraz pomocy psychiatrycznej, a jego adwokat może pokazać Newmire'owi...

– Jesteś rozkosznie naiwny. Niczym genialny noworodek.

– O co ci chodzi?

– Jediną osobą, która powinna się w tym momencie obawiać Lionela, jesteś ty. Oczywiście nie zdradzi mi swojej strategii, nie musi, miałem z nim do czynienia przy okazji podobnej sprawy. Pracuje metodą dziel i rządź. Nie będzie z nami współpracował.

– Jak to?

– Uchwyci się teorii, że manipulowałeś chłopcem. Młody, nieukształtowany umysł pod makiawelicznym wpływem doświadczonego psychiatry.

– Będzie powtarzał te bzdury wymyślone przez policję? – prychnął Eric. – Dlaczego miałbym nakłaniać Maksa do zabicia Renée?

– Nie musi odpowiadać na to pytanie. Nie przed ławą przysięgłych. Wystarczy, że zasieje wątpliwość. Zaserwuje im kogoś bardziej podejrzanego niż Max i trochę pożongluje faktami. Przedstawi sytuację z uwolnieniem zakładników jako dowód twojej niebywałej władzy nad dzieciakiem o wyglądzie niewinnego ministranta. Ty natomiast jesteś wpływowym lekarzem, który ma problem z kontrolowaniem złości. Przy okazji – jakaś Linda Perino opowiada dziennikarzom, że pobiłeś jej męża na swoim oddziale.

Eric nie mógł uwierzyć, w to co właśnie usłyszał.

– Nikogo nie pobiłem. To nieprawda.

– Nieważne, jaka jest prawda. Ważne, co piszą gazety. Lionel pomoże pani Perino skontaktować się z każdym dziennikarzem w promieniu trzech stanów.

Eric stłumił westchnienie.

– Max dostanie najlepszą opiekę psychiatryczną pod słońcem, gdyż jego nowemu obrońcy zależy na uznaniu niepoczytalności lub przerwaniu procesu z powodu złego stanu psychicznego chłopca.

Parrish uznał akurat tę wiadomość za dobrą.

– Niemniej jednak obrona będzie potrzebowała kozła ofiarnego i zostaniesz nim ty. Zatem od tej chwili żadnych pogaduch z Maksym, Marie i Wielką Stopą. Od dziś są naszymi wrogami, nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego. Odcinamy się całkowicie. Kościół i państwo. Miłość i małżeństwo.

Eric nie zdobył się na uśmiech.

– Mam twoją zgodę? – W tonie Paula zabrzmiała surowa nuta. – Nie masz wyboru. Jeśli nie zastosujesz się do moich wskazówek, rzucę cię szybciej niż Julie Stein.

– Kogo?

– Dziewczynę, którą szpieguję na Facebooku. Zerwała ze mną w połowie pierwszej randki. Zabrałem ją na kolację, nie skończyła nawet przystawki, poszła do łazienki i nie wróciła. – Adwokat zachichotał. – Zrobię ci to samo, Ericu. Pójdę do toalety i nie wrócę. Zostaniesz sam jak palant, ze swoją bruschettą.

Parrish wyczuwał, że to nie jest żart, nie do końca.

– Co zamierzasz zrobić?

– Przede wszystkim zależy mi na tym, żebyś poinformował policję o związku Todda Schulera z Renée. – Odnalazł zdjęcie w telefonie i przesłał je Paulowi. – Wysyłam ci jego numery rejestracyjne.

– Dobrze, zbłążnię się dla ciebie przed glinami. Opowiem im najnowsze ploteczki, kto się w kim kocha, w co był ubrany, ile tapety nałożyła dziś na twarz Jenny. Proszę bardzo. Ale ty jedź już do domu i bądź grzeczny. Przy okazji – moja siostra cię pozdrawia.

– Też ją ode mnie pozdrów. – Zawahał się. – Albo pojedę do szpitala. Przywitam się z nią i sprawdzę, co u moich pacjentów.

– Pozwalam ci. Tylko trzymaj się z daleka od Facebooka. Bo dostaniesz szlaban. Zrozumiano?

– Tak. – Eric uruchomił silnik swojego samochodu.

ROZDZIAŁ 53

Dotarł do szpitala w godzinach szczytu, pod koniec dnia pracy. Podjechał do szlabanu przed wjazdem na parking i przystawił do czytnika swoją kartę.

– Proszę pana! To wjazd tylko dla lekarzy. – Parkingowy pomachał rękami, wychodząc ze swojej budki.

– Bob, to ja! – zawołał i wystawił głowę przez okno.

– Przepraszam, panie doktorze. Nie poznałem wozu. Nowy?

– Niezupełnie. – Eric nie zamierzał mu teraz wszystkiego wyjaśniać. Bob uśmiechał się szeroko.

– Zawodowo pan przeprowadził tę wczorajszą akcję z uwolnieniem zakładników! Cały szpital pęka z dumy!

– Dzięki – odparł z uśmiechem. Ramię szlabanu uniosło się, Parrish przejechał, zaparkował samochód na swoim miejscu parkingowym i skierował się do głównego budynku szpitala. Personel medyczny kończący dyżur właśnie wychodził. Widok Erica wzbudził ogólne poruszenie, kilka osób wstrzymało oddech ze zdziwienia, parę się do niego uśmiechnęło, ktoś uniósł kciuki w górę, a jedna z pielęgniarek, krzywiąc się, odwróciła głowę.

Nie był zaskoczony taką reakcją. Miał nadzieję, że większość pracowników szpitala zna go wystarczająco dobrze, osobiście lub ze słyszenia, aby nie dać wiary pomówieniom, lecz musiało się znaleźć kilka osób, które potępia ochronianie potencjalnego mordercy lub nawet uwierzą, że jest nim on. Spuścił głowę, ponieważ nagle poczuł potworne zażenowanie, ale po chwili dostrzegł Kena Shu, kolegę z oddziału onkologicznego, który starał się zwrócić jego uwagę.

– Eric! Boże, widziałem, co się stało wczoraj w galerii. Dokonałeś heroicznego czynu. Ten chłopak to jeden z twoich pacjentów? Mógł cię zabić!

– Nie, nic mi nie groziło. Dzięki – powiedział z wdzięcznością, choć bardzo chciał już iść dalej.

– Wiedz, że jestem z tobą. Wszystko się wyjaśni. Nie mogę słuchać tych głupot, które ludzie wygadują. Niektórym trudno jest zrozumieć, na czym polega tajemnica lekarska. Dziennikarze i policja jak widać tego nie pojmują.

– Masz rację. Muszę lecieć, trzymaj się. Na razie. Jeszcze raz dzięki.

Ruszył przed siebie w akompaniamencie szmeru rozmów, czuł na sobie spojrzenia kolegów i koleżanek.

– Doktorze Parrish! – Jedna z grupki pielęgniarek przyłożyła zwiniętą dłoń do ust i zawołała przez pół długości parkingu. – Świetnie pan się wczoraj spisał! Brawo!

– Dzięki – odkrzyknął, wkracząc na przeszklony korytarz wytapetowany plakatami informacyjnymi, który prowadził do szpitala. Spiął się na widok Morrisa Brexlera, ten nadchodził z przeciwnej strony i spochmurniał, dostrzegłszy Erica.

– Zrobiło się o tobie głośno. Co za szopka. Oczywiście wszyscy stoimy murem za tobą. Moja żona jest ci bardzo wdzięczna za uratowanie Neimana Marcusa.

Odpowiedział z wymuszonym uśmiechem.

– Tak? Dziękuję.

– Zdziwiłem się, że postanowiłeś wziąć urlop, choć to zapewne dobre posunięcie. Zbyt wiele się dzieje. Pewnie masz spotkania z adwokatami i władzami, tego typu rzeczy.

– Mam – odpowiedział krótko, zastanawiając się, ile Morris wie na temat jego zawieszenia.

– Jak długo cię nie będzie? Tydzień? Dwa?

– Jeszcze nie wiem. Dlaczego pytasz?

– W następną środę mamy kolejną naradę w sprawie leków dla szpitala. Pamiętasz? Głosujemy nad zakupem rostatinu.

– A, no tak. – Morris dbał o interesy swoich koleśki z firmy farmaceutycznej i polował na jego głos.

– Prześlę swój głos mailowo do Mike’a i wszystkich członków komisji.

– Nie, rozmawiałem już z Mikiem. Nie da się tego załatwić mailowo. Musisz kogoś upoważnić, żeby zagłosował w twoim imieniu.

– Tak zrobię. Powiem Mike’owi.

Morris zmarszczył czoło.

– Ericu, wysłałem ci dodatkowe dane na temat leku. Poprosiłem o wyniki tych badań, o których wspominałeś. Nie dostałem od ciebie odpowiedzi.

– Mam zaległości w korespondencji mailowej. Jeszcze ich nie przeczytałem.

– Mogę cię też skontaktować z jednym z przedstawicieli, Clarkiem Yoshidą. Dysponuje rozległą wiedzą i chętnie odpowie na każde twoje pytanie. Wiem, że jesteś teraz bardzo zajęty, ale on dostosuje się do twojego grafiku. Możecie sobie nawet porozmawiać przy jakiejś kolacji.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. – Z trudem powstrzymał się od śmiechu. Większość lekarzy unikała przedstawicieli firm farmaceutycznych jak najgorszej zarazy, tymczasem Morris usiłował go umówić z jednym na randkę w ciemno.

– Ericu, spróbuj zachować otwarty umysł.

– Jeżeli pytasz, czy zmienię swój głos, odpowiedź brzmi nie. Mamy różne zdania w tej sprawie, to wszystko. – Chciał zakończyć rozmowę. – Nie pierwszy i nie ostatni raz. Jestem wiernym opozycjonistą.

Morris przybrał posępny wyraz twarzy.

– Mam nadzieję, że jeszcze to przemyślisz po przeczytaniu maila.

– Dziękuję, ale muszę już iść. Do zobaczenia. – Kontynuował swoją wędrówkę pod prąd, odpowiadał na wyrazy aprobaty i wsparcia oraz starał się ignorować zaciśnięte usta czy wrogie spojrzenia wątpiących. Trudno mu było uwierzyć, że niektórzy mogą go uważać za mordercę, ale nie mógł tego wykluczyć. W gazetach nie brakowało przecież historii o zabójcach, którzy wcześniej wydawali się niezdolni do popełnienia zbrodni. Eric zdawał sobie sprawę, że ludzie noszą różne maski.

Poczekał, aż winda opustoszeje, i wjechał na górę, jak to czynił codziennie od piętnastu lat, choć tym razem przyjechał w roli gościa. Nie mógł pełnić obowiązków zawodowych z powodu zawieszenia, jednak bardzo mu zależało na pacjentach i chciał wiedzieć, czy wszystko z nimi w porządku. Przy okazji sprawdzi, czy nie zostawił czegoś w biurze, i zajrzy do Laurie.

Po wyjściu z windy odpowiedział uśmiechem na kolejne pozdrowienia i miłe komentarze. Dopiero przy drzwiach na oddział uświadomił sobie, że nie ma przy sobie identyfikatora służbowego. Zapukał i czekał na odpowiedź. Nic się nie wydarzyło, więc zapukał ponownie. Próbował zajrzeć przez

podwójną szybę, następnie podniósł słuchawkę interkomu.

– Jest tam ktoś? Zapomniałem identyfikatora. Czy ktoś mógłby mnie wpuścić? Tu Eric.

– Doktorze Parrish, mówi Tina. Za chwileczkę pana wpuszczę, jestem na stołówce. Już idę.

– Dzięki. Czekam. – Odłożył słuchawkę. Czuł się tutaj jak w domu, przyjemnie i bezpiecznie.

Wiedział, co się wydarzy i kiedy. Tina ma właśnie dyżur na stołówce, pacjenci jedzą kolację, większość pielęgniarek z dziennej zmiany poszła już do domu, z wyjątkiem Amaki, która zawsze zostawała dłużej. Sam, David i Jack szykują się do wyjścia. Zastanawiał się, co słyhać u pacjentów, przede wszystkim u Perino – czy jest w lepszym stanie. Szkoda, że jego żona postanowiła pójść do prasy ze swoją skargą, chociaż musiał przyznać, że nauczyła go czegoś ta historia – nie zajmować się sprawami, na które nie ma wpływu. Powinien był przyswoić tę lekcję dużo wcześniej, ale lepiej późno niż wcale.

– Doktor Parrish? – Odwrócił się i zobaczył dwóch uśmiechniętych pracowników ochrony, którzy przed chwilą wysiedli z windy.

– Tak?

– Świetnie się pan wczoraj spisał w galerii, doktorze. Moja córka pracuje tam w sklepie obuwniczym, gliniarze ją ewakuowali. Umierała ze strachu.

– Przykro mi to słyszeć.

– Najważniejsze, że dzięki panu obyło się bez rozlewu krwi. Kazali nam z panem pogadać.

– Ze mną? Nie potrzebuję ochrony, dzięki.

– Nie o to chodzi. – Ochroniarz zawahał się, nerwowo przestępując z nogi na nogę. – Nie wolno panu przebywać na terenie szpitala do czasu odwołania decyzji o zwieszeniu w obowiązkach.

– Och, dajcie spokój.

– Przykro mi, proszę pana.

– Chcę tylko zajrzeć do pacjentów i zabrać kilka rzeczy z gabinetu.

– Powiedzieli, że może pan opróżnić biurko, ale my musimy przy tym być. Pracownik nie może poruszać się po szpitalu bez eskorty, jeśli został zawieszony. Przepis dotyczy całego personelu, także lekarzy.

– Nie mogę was wprowadzić na oddział. Wasza obecność zdenerwuje pacjentów, dość mieli wrażeń w tym tygodniu. Możecie tu poczekać? Wejdę tylko na chwilę, zamienić kilka słów z moim zespołem.

– Przepraszam. Nie możemy.

– Chwileczkę. – Eric podniósł słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu i wybrał wewnętrzny numer Mike'a.

– Dział prawny – odebrała Dee Dee.

– Dee, tu Eric Parrish. Jest u siebie?

– Jasne. Poczekaj. – Po chwili rozległo się kliknięcie i usłyszał głos Mike'a.

– Jezu, Eric! To wprost niebywałe, co wczoraj zrobiłeś! Mam nadzieję, że ten dzieciak zdaje sobie sprawę, iż zawdzięcza ci życie. Teraz rozumiem, o co chodziło wczoraj gliniarzom, kiedy...

– Dzięki, ale właśnie stoję jak palant przed wejściem na oddział i nie mogę się dostać do własnego gabinetu.

– Wiem, słyszałem. Chętnie bym przyszedł pogadać, ale mam robotę.

– Mike, muszę zajrzeć do pacjentów i porozmawiać z personelem.

– Przykro mi, to wbrew regulaminowi. Przepraszam, że tak formalnie, ale nic nie poradzę. Na czas

trwania zawieszenia w pełnieniu obowiązków nie masz wstępu na teren szpitala. Mógłbym ci zacytować ten punkt regulaminu dokładnie, jeśli dasz mi chwilę.

– Chodzi o pacjentów, Mike. Chcę się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

– Nie masz prawa do pełnienia obowiązków ordynatora. Jeżeli potrzebujesz czegoś z gabinetu, panowie z ochrony pójdą z tobą i poczekają.

– Mike, nie mogę po raz kolejny wprowadzić na oddział ochroniarzy.

– Przykro mi, ale nic ci nie mogę...

Eric odłożył ze złością słuchawkę i odwrócił się ku drzwiom, stając twarzą w twarz z Amaką, za którą podążali Sam, David i Jack.

– Eric! – Amaka uściśnęła go mocno i uśmiechała się promiennie. – Dzięki Bogu, nic ci się nie stało. Cóż to musiał być za koszmar. Czołgi, karabiny... Jak na wojnie.

Sam uściśnął mu dłoń i powiedział:

– Dobrze cię widzieć, szefie. Byliśmy akurat na meczu baseballu, ale jedna z mam oglądała transmisję na żywo w telefonie, a my razem z nią. Co tam się działo!

David uśmiechał się szeroko, jego oczy błyszczały.

– Szefie, jestem dumny, że się znamy. Przerwałem grę hazardową, kiedy zobaczyłem w internecie, co się dzieje. Zrezygnowałem z wygranej z twojego powodu.

Jack także podał mu rękę.

– Szefie, rozpowiadam wszystkim, że jesteśmy najlepszymi kumplami. Dzięki tobie chyba wzrosły moje szanse u pewnej ponętnej pielęgniarki z endokrynologii, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Amaka wymierzyła mu żartobliwego szturchańca.

– Ty filucie.

Wszyscy parsknęli śmiechem, tylko nie Kristine, która stanęła w drzwiach z uprzejmym uśmiechem. Eric ją ignorował.

– Cześć wszystkim. Dzięki. Chciałem zajrzeć do pacjentów i zabrać kilka rzeczy z gabinetu, ale nie chcą mnie wpuścić bez asysty ochrony, więc zrezygnowałem.

Amaka rzuciła pracownikom ochrony spojrzenie pełne oburzenia.

– To uwłaczające! Doktor Parrish jest ordynatorem tego oddziału. To jego oddział.

Ochroniarz pokręcił głową.

– Musimy przestrzegać regulaminu. Doktor nie może wejść bez naszej asysty.

Eric nie zamierzał się z nimi kłócić. Amaka, Sam i David wyglądali na bardzo zdenerwowanych. Tylko Jack był jak zwykle obojętny.

– Spokojnie, żołnierze. Nie zostawiłem w gabinecie niczego ważnego. Nie będę zakłócał funkcjonowania oddziału.

– To jakiś absurd – mruknęła Amaka.

– Nie przejmuj się. – Zwrócił się do Sama: – Mogę do ciebie zadzwonić wieczorem, pogadać o Perino i innych?

– Oczywiście. O której?

– Ósma może być?

– Dobra.

– W takim razie do widzenia wszystkim. – Pożegnał się niechętnie, uśmiechając się z wysiłkiem. – Dzwoncie do mnie, jeśli coś się wydarzy albo będziecie mieli pytania. Mam nowy numer komórkowy, wyślę wam mailem.

– Do widzenia, szefie. – Amaka nadal miała posępną minę. Sam jak zwykle pomachał radośnie.

– Pogadamy później, szefie.

David ponuro skinął głową.

– Na razie, szefie.

Jack posłał mu swój słynny uśmiech amanta.

– Trzymaj się, szefie.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się, choć kabotyństwo Jacka coraz bardziej go irytowało. –

Chodźmy, panowie. Nie musicie mnie wyprowadzać z budynku, ale możemy razem zjechać windą.

– Dobrze, doktorze Parrish. – Ochroniarz nacisnął guzik przywołujący windę.

Eric zatelefonował, gdy tylko wyszedł na zewnątrz. Nikt mi nie zabroni wstępu na teren własnego szpitala, postanowił.

ROZDZIAŁ 54

Wszedł do budynku od drugiej strony, przez automatyczne drzwi prowadzące na oddział ratunkowy. Pomachał pielęgniarce z recepcji i minął felczera, który oprzytomniał dopiero po chwili i zawołał za nim:

– Świetna robota, doktorze Parrish!

– Dzięki – rzucił przez ramię.

Dwie pielęgniarki popatrzyły na niego ze swojego stanowiska. Blondynka uśmiechnęła się ciepło.

– Doktorze Parrish, był pan niesamowity! Co za odwaga!

– Dziękuję – odpowiedział z uśmiechem. – Znajdę gdzieś doktor Fortunato?

– Jest w sali D, ale jeszcze nie skończyła. Prosiła, żeby pan na nią poczekał w gabinecie. Powiem jej, że pan już przyszedł.

– Dzięki. – Eric minął pokoje zabiegowe, wszedł do gabinetu Laurie, który mieścił się na końcu korytarza, zamknął za sobą drzwi i ogarnął spojrzeniem to wyjątkowe miejsce. W całym szpitalu nie było drugiego takiego pomieszczenia. Na ścianach wisiały oprawione reprodukcje dzieł największych malarzy abstrakcjonistów: Matisse’a, Delaunaya, Kandinskiego i Marza, każda podpisana nazwiskiem twórcy. Wszystkie obrazy, choć różniły się między sobą, łączyła jaskrawość barw. Na przykład reprodukcja Marza przedstawiała konia w żywym kobaltowym kolorze. Dyplomy w ramach jeszcze nie doczekały się swojego miejsca na ścianie, stały na półce między książkami i czasopismami medycznymi. Dużą część regału zajmowała kolekcja nakręcanych zabawek: roboty, słonie w koronach, kaczkę, koty, szczękające zęby oraz magiczna czarna kula.

Eric wziął kulę do ręki i obrócił. W trójkącie pojawiła się fraza: *Nie sposób teraz przewidzieć*. Niestety, nie znał pytania.

– Eric! Hej! – Laurie zamknęła drzwi i podeszła, aby go uściskać. – Dobrze cię widzieć.

– Cześć. – Odwzajemnił uścisk. Nagle przypomniał sobie o pocałunku w jej samochodzie. Nie wiedział, dlaczego ją wtedy pocałował, ale miał nadzieję, że Laurie zapomni lub nie zechce o tym rozmawiać i będą mogli udawać, że nic się nie stało.

– Czekaj. – Przyjrzała mu się od stóp do głów, po czym zrobiła zabawną minę. – Dlaczego przebrałeś się za mojego brata?

– On mnie przebrał. – Eric się uśmiechnął.

– Wyglądasz dobrze i jednocześnie strasznie.

– Dzięki, że zgodziłaś się mnie ukryć.

– Cóż to znowu za idiotyczne przepisy? Siadaj. Przeszedłeś prawdziwe piekło. – Pochyliła się nad biurkiem. Była w swoim białym fartuchu, ze stetoskopem przewieszonym przez szyję. Ciemne oczy patrzyły bystro, w czarnych kręconych włosach upiętych na czubku głowy tkwił ołówek. Uśmiechała się. – Więc poznałeś areszt i poznałeś Paula. Co gorsze?

– Lubię Paula – odpowiedział z uśmiechem, siadając z powrotem na krześle. – Chyba nie miał

pojęcia, w co się pakuje.

– Ha! – zaśmiała się. – On mówi to samo o tobie. Kochacie się. Opowiadaj wszystko.

– Nie masz tyle czasu.

– No tak. Poza tym Paul kazał mi z tobą o czymś pogadać. Uważa, że powinieneś dać sobie spokój z amatorskim śledztwem, i pierwszy raz w życiu muszę przyznać mu rację. Nigdy, przenigdy nie podejrzewałam, że do tego dojdzie. Wiesz, jaki był z niego wstrętny bachor?

– Dlaczego się z nim zgadzasz?

– Dlaczego? – Oczy Laurie zapłonęły. – Widziałam, jak przebiegasz przez policyjne barykady. To było szaleństwo! Na szczęście dobrze się skończyło, co wcale nie znaczy, że postąpiłeś mądrze czy nawet właściwie.

– Pielęgniarki mnie pochwały – zażartował w przypiływie dobrego humoru. Może te jaskrawe kolory tak go rozweseliły.

– Bardzo śmieszne. – Laurie skrzyżowała ramiona i spoważniała. – Zadam ci jedno pytanie, tak szczerze. Naprawdę wierzysz w niewinność Maksa? Pomyśl.

– Właśnie odkryłem, że Renée spotykała się potajemnie z niejakim Toddem Schulerem, którego policja nawet jeszcze nie przesłuchiwała. – Rozmyślał o tym po drodze do szpitala. Todd Schuler zdecydowanie wzbudzał podejrzenia. – Dowiedziałem się także, że codziennie rano spacerowała z psem po parku. Podobno kochała tego psa i dużo o nim mówiła. Według mnie, nie spacerowała tylko z psem, ale korzystała ze sposobności, aby potajemnie spotykać się z Toddem, którego nie akceptowali jej rodzice. Mógł ją zabić i nikt by nie wiedział, że tam był. A to potężny facet, łatwo by dziewczynę obezwładnił.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie. Naprawdę wierzysz w niewinność Maksa?

Zastanowił się. Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z chłopcem. Nie pamiętał, co robił tamtego ranka i czy zabił Renée, ale przypuszczał, że tak.

– No dobrze. Mam mieszane uczucia. Może ją zabił, lecz naprawdę nie potrafię sobie tego wyobrazić. To po prostu do niego niepodobne.

– Tak ci podpowiada intuicja?

– Trudno zaprzeczyć.

– Wiem, że często polegasz na swojej intuicji i inteligencji emocjonalnej, ale spróbujmy popatrzeć na tę sprawę racjonalnie. Czasem trzeba się skupić na faktach.

– Uważasz, że ją zabił?

– Tak.

Eric nie krył zaskoczenia.

– Odniosłem wrażenie, że mamy podobne zdanie. Myślałem, że ty także wierzysz w niewinność Maksa.

– Wierzyłam do wczoraj. Wczorajszy wieczór wszystko zmienił. – Laurie lekko zmarszczyła czoło.

– Kiedy zobaczyłam, ile zamieszania spowodował ten chłopak, jakie przerażenie... Te zapłakane dzieciaki, wozy strażackie, tłumy policjantów, sanitariuszy, którzy byli potrzebni gdzie indziej. Wszystko przez niego.

– Jesteś zła na Maksa.

– Pewnie, że jestem na niego zła, do cholery. Codziennie mam do czynienia z sytuacjami zagrożenia życia. Wiem, jak ciężko pracują sanitariusze, sprzątając nocami po wypadkach, przywożą mi dzieciaki z poobcinanymi kończynami, nawet niemowlęta po wypadkach drogowych, strzelaninach,

z ranami kłutymi. Napady, przypadkowe zatrucia, wypadki w domu, każda potworność, jaka może spotkać człowieka. Wszyscy lądują potem na moim oddziale. – Wskazała drzwi. – Właśnie tu. Wczoraj mogło dojść do tragedii, mogli zginąć niewinni ludzie. Cały oddział ratunkowy staje w gotowości, kiedy dostajemy wiadomość o ataku terrorystycznym. Kiedy się dowiedziałam, że gnojek straszył fałszywą bombą, miałam ochotę własnoręcznie pozbawić go życia.

– Masz prawo być zła, ale to nie znaczy, że on jest winien morderstwa. Próbował popełnić wczoraj samobójstwo.

– Ericu... Ja nie jestem psychiatrą, jednak myślę, że nie oceniasz sytuacji obiektywnie. Prawdopodobnie widzisz w tym chłopaku siebie, a może nawet Hannah. Chronisz go, nie znając faktów.

– Jakich faktów?

– Otóż to. Widziałeś go raptem trzy razy, wliczając piątkowy wieczór, kiedy was sobie przedstawiłam, czego będę żałować chyba do końca życia. Jakie masz podstawy do tych swoich teorii, którymi się kierujesz? – Laurie gestykulowała z przejęciem. – Uważasz, że dobrze znasz Maksa? Wydaje ci się, że go rozumiesz, ale czy potrafiłeś przewidzieć wczorajsze wydarzenia? Przecież, twoim zdaniem, takie zachowanie także było do niego zupełnie niepodobne. A jednak.

– Przyznaję, że nie spodziewałem się czegoś takiego. Owszem, podejrzewałem próbę samobójczą, ale nie taką. Tyle zamieszania, napad z bronią w rękę, groźenie wysadzeniem galerii. Wszystko to zupełnie nie w jego stylu.

– Halo? Obudź się. Widziałam na własne oczy, że zamachowcem był Max. Nikt inny.

– Mimo wszystko to się kłóci z jego charakterem. Prawie jakby działał pod czyimś wpływem, jakby ktoś nim kierował.

– Mówisz głosem matki usprawiedliwiającej dziecko. Po prostu wpadł w złe towarzystwo. Czy ty siebie słyszysz?

– Mogę się mylić, ale nie sądzę – powiedział z uporem. Nie wierzył w całkowitą odpowiedzialność Maksa za wczorajszy incydent. Przychylał się do policyjnej teorii o istnieniu osoby, która wykorzystywała słabość Maksa, aby nim manipulować. Marie wspominała o rozmowach telefonicznych do późna w nocy. Miał z kimś dość bliską relację, czasami się kłócili. Kimkolwiek jest tajemniczy znajomy chłopaka, może być przyczyną jego kłopotów. Eric chętnie zadzwoniłby do Marie, ale nie było takiej opcji po tym, co mu powiedział Paul o adwokacie, którego zatrudniła.

– Eric. – Laurie westchnęła. – Spójrz prawdzie w oczy. Zaczynaj od początku.

– Zacząłem. Przeczytałem notatki z sesji.

– Ja też mam trochę notatek na temat Maksa z tamtego wieczoru, kiedy go poznałeś. Strasznie pyskował przed twoim przyjściem.

– Naprawdę? – Eric nadstawił uszu. – Dlaczego nic mi o tym nie wspomniałaś?

– Bo wydawało mi się to nieistotne. Przecież nie mieliśmy zbyt wiele czasu na swobodne pogawędki – zachnęła się. – Nie wiem, co ci powiedział podczas sesji, ale chyba powinieneś zrewidować swoje poglądy. Zacząć od początku. Popatrzeć na tego dzieciaka jeszcze raz, trzeźwo.

– Dobrze.

– Poczekać sekundę. – Podeszła do biurka, pochyliła się nad klawiaturą i uderzyła w klawisze. Po chwili dostała SMS-a z hasłem, które wpisała do komputera, razem ze swoim osobistym kodem identyfikacyjnym, który znała tylko ona. Dopiero wtedy mogła otworzyć dokumentację medyczną, tak działał szpitalny system zabezpieczeń. – Okej, masz tu kartę jego babci, w której znajdziesz moje

notatki z rozmowy z Maksymem.

– Super. – Eric chciał podejść do komputera, lecz powstrzymała go, mrugając konspiracyjnie.

– Na pewno nie wolno ci tego czytać, skoro zostałeś zawieszony. Więc nawet się nie waz tam zaglądać. Ups, chyba mnie wzywają, więc sobie pójdę. – Laurie wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Eric, zaintrygowany, podszedł do biurka.

ROZDZIAŁ 55

Pobieżnie przejrzał pierwszą stronę historii choroby Virginii Teichner, rzucił okiem na wyniki badania ciśnienia i szare zdjęcia z prześwietlenia klatki piersiowej ukazujące zmiany nowotworowe oznaczone cienkimi kreskami w miejscach pomiaru. Nie trzeba było być onkologiem, by wiedzieć, że pani Teichner nie ma szans na wygraną z rakiem.

Poczuł bolesny skurcz serca na wspomnienie uroczej, żywiołowej i dowcipnej staruszki. Dotarł do notatek Laurie z tamtego wieczoru, zaczął czytać, skupiony na wzmiankach o Maksie: „...wnuk pacjentki skarży się na swoją matkę... wyraża złość na nią za zaniedbywanie chorej... twierdzi, że na niej pasożytuje i »wyciąga rękę po forszę«... wnuk sprawia wrażenie bardzo przygnębionego nieuchronną śmiercią babci... mówi, że nie wyobraża sobie mieszkania z matką i wolałby, żeby to ona umarła... nazywa matkę »bezużyteczną kurwą«... która »zasługuje na śmierć«... ma nadzieję, że »jeden z jej fagasów zabije ją we śnie«... wezwać Erica na konsultację psychiatryczną...”.

Czytał bez wielkiego zdziwienia. Chłopiec wyrażał się niepochlebnie o matce podczas ich sesji i mówił o swojej złości. Eric niedawno miał okazję poznać tę kobietę osobiście, wiedział, jaka jest nieodpowiedzialna i egoistyczna. Nietypowe było to, że chłopiec wyrażał wrogość wobec Marie w obecności zupełnie obcej osoby, jaką była Laurie. Jednak należało wziąć pod uwagę okoliczności tamtej nocy. Virginia zaczęła się dusić i przerażony chłopiec musiał ją przywieźć na pogotowie. Opis tej rozmowy daje nieprawdziwe wyobrażenie o Maksie, pomyślał. Wtem zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście zbyt często go usprawiedliwia.

Przeszedł do następnej strony, ale nie znalazł więcej wzmianek o nim. Natomiast dowiedział się, że Virginia została dwa miesiące wcześniej przyjęta na oddział kardiologiczny ich szpitala, gdzie została poddana trzydniowej obserwacji z powodu trudności z oddychaniem i bólu w klatce piersiowej.

Rzeczywiście, Laurie wspominała wtedy coś o problemach z sercem i poprzednim pobycie na kardiologii, ale zupełnie wypadło mu to z głowy. Nie widział nic dziwnego w informacji, że pacjentka z zaawansowanym nowotworem już wcześniej przebywała w ich szpitalu. Przeczytał nazwisko lekarza prowadzącego. Doktor Morris Brexler, ordynator oddziału kardiologii.

Eric zmarszczył brwi. Zastanawiał się, czemu Morris nie napomknął, że leczył babcię Maksa, kiedy spotkali się na dole i rozmawiali o zamachu w galerii. Czyżby miał powód, aby celowo pominąć ten fakt? Oczywiście istniało nikłe prawdopodobieństwo, że nie zdawał sobie sprawy z powiązania. Naprawdę bardzo niewielkie, ponieważ Max przypuszczalnie przywiózł babcię i niewątpliwie ją odwiedzał, a najpewniej w ogóle nie spuszczał jej z oka.

Eric przeczytał nazwiska wszystkich osób przypisanych do przypadku. Lekarz prowadzący, Morris Brexler, lekarz asystujący, Sara Stone, pielęgniarka, Caleb Martieki, i pracownik społeczny, Martha Girandole. Obok każdego nazwiska widniał ten sam numer telefonu, który był numerem oddziału kardiologicznego. Osobiste numery telefonów personelu nie były podawane, ponieważ pacjenci

mogliby wtedy dzwonić o każdej porze dnia i nocy z najbliższymi problemami.

Przejrzał wyniki badań Virginii, zerknął na prześwietlenia klatki piersiowej oraz gardła. Nowotwór rozrósł się błyskawicznie, ponieważ na zdjęciach sprzed dwóch miesięcy był ledwie widoczny. Szukał jakiegokolwiek wzmianki o Maksie. Znalazł ją na ostatniej stronie, napisaną przez Morrisa pierwszego dnia pobytu Virginii w szpitalu. „Pacjentka przywieziona przez wnuka, brak innych odwiedzających... Wnuk jest jej głównym opiekunem, zna zalecenia żywieniowe i wie, jak podawać leki”. Drugiego dnia po przyjęciu Virginii Teichner, po opisie jej problemów z oddychaniem, Morris zanotował, że „pacjentka jest zaniepokojona stanem psychicznym wnuka w obliczu diagnozy”. Trzeciego dnia: „Pacjentka prosi o poradę psychologiczną dla wnuka w związku z jego depresją”.

Przypomniał sobie upór, z jakim prosiła go o pomoc dla ukochanego wnuka tamtego dnia, kiedy się spotkali. Prawdopodobnie nie po raz pierwszy usiłowała zwrócić uwagę na problemy Maksa, ale Morris nawet nie próbował poszukać wsparcia ani dla niej, ani dla chłopca. To nie w porządku. Owszem, ordynator kardiologii miał bardzo dużo zajęć, jednak nie więcej niż ordynator każdego innego oddziału. Morris powinien był go wezwać na konsultację, tak jak to uczyniła Laurie, kiedy Virginia trafiła do niej. Przyszło mu na myśl, że nie zgłosił się do niego po poradę z powodu ich konfliktów na naradach Komisji do spraw Leków. Normalnie nie wyciągnąłby takiego wniosku, jednak wydawało mu się dziwne, iż nie wspomniał o żadnej z tych rzeczy podczas dzisiejszego spotkania na korytarzu.

– Hej! – Laurie weszła i zamknęła za sobą drzwi. – No i?

– Przeczytałem. Przyznaję, że użył ostrych słów, ale z mojego punktu widzenia to niczego nie zmienia.

– Nazwał matkę kurwą. – Zmarszczyła brwi i skrzyżowała ramiona. – Dla mnie to nie do przyjęcia.

– Niestosowne, jednak nie upatrywałbym w tym szczególnego znaczenia.

– Dlaczego? Wiesz, co zwykła mawiać moja mama?

– Co?

– Mężczyźni, którzy nienawidzą własnych matek, nienawidzą wszystkich kobiet.

– Niezłe – przyznał.

– Wiem. Moja mama nigdy się nie myli. Zapytaj ją.

Wiedział, że nie ma sensu teraz z nią się spierać. Jej czarne oczy płonęły z przejęcia.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby Max rzeczywiście zionął nienawiścią do kobiet. Matka jest nieodpowiedzialną pijaczką. Nie zasługuje nawet na kogoś takiego jak Zack. Dzieciak z takim ładunkiem złości na matkę z łatwością mógł stracić panowanie nad sobą i zabić Renée w afekcie.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne...

– Czyżby? Myślałam o tym, co mówiłeś o wyprowadzaniu psa i potajemnych schadzках z chłopakiem. Przecież Max też mógł o tym wiedzieć. Może nawet wspomniała mu, że ma chłopaka?

Eric nie potwierdził tych domysłów. Nie mógł jej powiedzieć, że o istnieniu chłopaka dowiedział się właśnie od Maksa.

– Jeżeli tak, przypuszczalnie poczuł się odrzucony i zazdrosny. Może wiedział o tych schadzках w parku, poszedł tam i ją zabił. To bardzo realna hipoteza, pasuje do jego profilu. Wiem, że ty widzisz go inaczej, ale nie patrzysz obiektywnie.

– Słyszę, co mówisz. Jednak mam odmienne zdanie.

– Nie przekonałam cię?

– Raczej nie.

– Dobra, zamknij dokumentację. – Laurie dotknęła myszki i przypadkowo otworzyła listę z liczbą odsłon historii choroby Virginii. – Ups, przepraszam.

– Poczekaj, nie zamykaj jeszcze. – Eric popatrzył ze zdumieniem na rejestr logowań. Ktoś zaglądał w kartę pani Teichner dwukrotnie w ciągu dwumiesięcznej przerwy między jej pobytami w szpitalu. – Dziwne.

– Co takiego? – Laurie zerknęła na monitor, białe światło z komputera padło na jej rumiane policzki.

– Po co ktoś przeglądał dokumentację po wypisie pacjentki?

– Nie wiem – odparła, marszcząc brwi. – Wszystkie wyniki są wpisywane automatycznie i nie powodują wpisu do rejestru logowań, prawda?

– Właśnie. Jedynymi osobami, które mogły mieć powód, aby zaglądać do akt pacjentki po jej wyjściu do domu, są lekarz prowadzący i reszta zespołu przypisanego do przypadku.

– Też tak myślę.

– Może ktoś miał jakąś wątpliwość, chciał odświeżyć pamięć. Ja zrobiłem to raz w czasie całej praktyki lekarskiej.

– Ja wcale – prychnęła Laurie. – Skąd wziąć czas? Pod moją nieobecność jakiś pacjent wykrwawiłby się na stole.

– Jest jeszcze jeden możliwy powód: ktoś wprowadził zmiany do dokumentacji.

– Ło!ł, po co?

– I kto? Nie wiem, czy coś zostało usunięte, czy dodane, ale zamierzam to ustalić. – Eric przyjrzał się dwunastogwiazdkowym kodom identyfikacyjnym osób otwierających profil Virginii Teichner. Każdy członek personelu medycznego miał indywidualny identyfikator, który pojawiał się w wykazie jako seria gwiazdek. Pracownicy nie znali nawzajem swoich kodów, każdy musiał logować się pod własnym. Zerknął na Laurie. – Wiesz, kto był lekarzem prowadzącym Virginii na kardiologii? Morris Brexler.

– Morris z domku na plaży? – Wspominał jej o swoich podejrzeniach, że ordynator oddziału kardiologii bierze łapówki od firm farmaceutycznych.

– Tak. Leczył ją przed paroma miesiącami. Poznał Maksa, o czym nie zająknął się ani słowem, choć o nim rozmawialiśmy, kiedy wpadliśmy na siebie w korytarzu.

– Co? – Laurie zrobiła wielkie oczy.

– Coś mi tu śmierdzi. – Eric wpatrywał się w rzędy gwiazdek, tworzyły wzór nasuwający skojarzenie z amerykańską flagą.

– Może po prostu zaszła pomyłka? – Lekarka kręciła głową, nie mogła wyjść ze zdumienia.

– Dowiem się – powiedział, wstając.

– W jaki sposób? Nie wolno ci nawet legalnie przebywać na terenie szpitala. Podszedł do drzwi.

– W takim razie zrobię to nielegalnie.

ROZDZIAŁ 56

Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, chciał porozmawiać z informatykami, zanim pójdą do domów. Pokonał schody i korytarz kilkoma susami. Dział informatyczny na szczęście mieścił się na uboczu, w podziemiach niedaleko kostnicy. Jedyną osobą, jaką spotkał na swojej drodze, był woźny. Nadchodził z przeciwnej strony, manewrując maszyną do czyszczenia podłóg.

– Dzień dobry – skinął głową pędzącemu z naprzeciwka lekarzowi.

– Cześć. – Eric bezskutecznie usiłował otworzyć szare drzwi. – Nie ma nikogo? Możesz mi pomóc?

– Chwileczkę – odezwał się ktoś po drugiej stronie i stanęła przed nim młoda kobieta z bardzo krótkimi fioletowymi włosami, w okularach z grubymi czarnymi oprawkami i swobodnej letniej sukience. Wyglądała, jakby właśnie wychodziła, miała na ramieniu plecak i słuchawki w uszach. – Już skończyliśmy na dziś – powiedziała ze znużeniem.

– Jestem z księgowości – skłamał, widząc, że dziewczyna go nie rozpoznaje. On także nigdy jej nie widział. Julia Meehan, przeczytał nazwisko na identyfikatorze. – Mogę cię prosić o przysługę, Julio?

– Nie teraz, muszę zdążyć na pociąg.

– Bardzo proszę, to ważne, muszę to dziś załatwić. Powinienem był przyjść wcześniej, ale na śmierć zapomniałem. Nie zajmę ci dużo czasu. – Ominął ją i wszedł do biura. Julia z westchnieniem położyła plecak, wyjęła z ucha jedną słuchawkę.

– Niech będzie.

– Jestem bardzo wdzięczny. Przyjeliśmy kilka miesięcy temu pacjentkę o nazwisku Virginia Teichner. Uskarżała się na problemy z sercem. Została wypisana po kilku dniach obserwacji, a niedawno zmarła.

– To przykre.

– Tak. Rejestr logowań sugeruje, że ktoś dwukrotnie otwierał historię choroby pani Teichner po tym, gdy została wypisana do domu. To dość nietypowe, dlatego zachodzi obawa pomyłki. Jak wiesz, wykaz nie zawiera szczegółowych danych. Potrzebuję nazwisk, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku z ich pozostałymi wpisami do systemu. Czy ich czas jest właściwie rozliczany.

Julia pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Dobrze, nie ma sprawy. Oczywiście nie mogę powiedzieć, który kod należy do kogo, ale mogę podać nazwiska.

– Byłoby świetnie.

– Potrzebuję minuty, ale to nic trudnego. Możesz powtórzyć nazwisko pacjentki? – Julia weszła do środkowej kabiny przy ścianie, udekorowanej plakatami z bajki *My Little Pony*, przypuszczalnie dla żartu.

– Virginia Teichner. – Eric przeliterował nazwisko.

– Chwileczkę. – Julia włączyła komputer i na ekranie pojawił się biały nakrapiany kucyk z fioletową grzywą. Wpisała dziesięcioliterowe hasło. Pisała tak szybko, że odgłos uderzeń

w klawisze przypominał bębnienie kropel deszczu o dach. – Nie zaglądam tu, proszę.

– Przepraszam, po prostu mi się spieszy. – Odwrócił się.

Wtem stukot klawiszy ucichł i w pomieszczeniu zapanowała martwa cisza.

– Znalazłaś? – zapytał, zwracając się ku niej.

– Kim jesteś? – W szeroko otwartych oczach Julii malowało się przerażenie.

– Co się stało?

– Dostałam ostrzeżenie z twoim zdjęciem. Wzywam ochronę.

– Nie, proszę – zaprotestował, ale dziewczyna wyjmowała już telefon komórkowy z kieszeni sukienki.

Eric rzucił się do ucieczki.

ROZDZIAŁ 57

Biegł przez korytarz, gorączkowo myśląc, co dalej, skoro nie zdołał dowiedzieć się od informatyków, kto przeglądał dane pani Teichner. Postanowił popytać na oddziale kardiologii. Nie upłynęło dużo czasu, ktoś mógł zapamiętać Virginie i Maksa, a wczorajsze wydarzenia w centrum handlowym odświeżyłyby jeszcze jego pamięć.

Minął wejście na klatkę schodową. Postanowił przedostać się do nowego skrzydła przez piwnicę, gdzie pracowało o wiele mniej osób. Siedziba ochrony znajdowała się w starym skrzydle, zaledwie piętro wyżej. Ochroniarze pobiegną prosto do działu informatycznego, więc musiał wybrać taką trasę, aby uniknąć spotkania z nimi. Minął jeden korytarz, potem drugi, pełen schowków i szpitalnych serwerów komputerowych. Nigdy wcześniej tu nie był.

Wykładzina ustąpiła miejsca błyszczącym płytkom, wiedział, że to oznacza bliskość kostnicy. Nie zatrzymywał się. Jedne z podwójnych drzwi z nierdzewnej stali po prawej stronie otworzyły się, wyszedł przez nie pracownik kostnicy ubrany w niebieski kombinezon, przesycając powietrze wonią formaldehydu. Eric minął drzwi laboratorium patomorfologii i młodego laboranta idącego z naprzeciwka, zapatrzonego w swój telefon. Przebiegł obok niego ze spuszczoną głową, otworzył przejście na klatkę schodową i pokonał dwa piętra.

W okolicach trzeciego poczuł ogarniający go niepokój. Był dość znany na oddziale kardiologicznym, często chadzał na konsultacje do pacjentów kardiologicznych, ponieważ nie brakowało wśród nich osób z zaburzeniami lękowymi i depresją. Nie wiedział, jak reagować w sytuacjach, gdy zostanie rozpoznany. Postanowił, że będzie improwizował.

Otworzył drzwi, wyszedł na lśniący korytarz trzeciego piętra i skręcił w lewo. Starał się zachowywać normalnie. Oddział wyglądał na opustoszały, salowa jeździła z wózkiem i serwowała kolację. Na stanowisku po lewej stronie siedziały przy swoich komputerach dwie pielęgniarki. Eric znał jedną, młodą, szczupłą, ciemnoskórą Patty Allen o ślicznej twarzy i włosach splecionych w ciasny warkocz.

– Cześć, Patty. – Przybrał profesjonalny ton i postawę.

– Doktor Parrish? – Jej szeroki uśmiech sugerował, że nie widziała jeszcze ostrzeżenia. – O mój Boże, to było niesamowite, co wczoraj zrobiłeś. Strasznie się o ciebie bałam. Jak do tego doszło? Ten chłopiec był twoim pacjentem?

– Właściwie przyszedłem do ciebie w tej sprawie. – Wyjął telefon z kieszeni, świadom nieufnego spojrzenia drugiej pielęgniarki. – Nazywa się Max Jakubowski. Jego babcia, Virginia Teichner, spędziła trzy dni na waszym oddziale przed mniej więcej dwoma miesiącami. Miała zastoinową niewydolność serca. Max jej towarzyszył, tak wynika z notatek doktora Brexlera. Chłopiec opiekował się nią, dopóki nie zmarła w zeszłym tygodniu.

– Rozumiem. – Patty zamrugała ze zdziwieniem. – Jak mogę pomóc?

– Pamiętasz ich? Siedemnastoletniego chłopaka z bardzo sympatyczną, dziewięćdziesięcioletnią

staruszką? To właśnie jego widziałas wczoraj w wiadomościach.

– Niemożliwe. – Otworzyła szeroko oczy. – Wiesz, w której sali leżała? Ja zajmuję się zazwyczaj tym korytarzem. Nie wyrabiamy się ze wszystkim po odejściu Sheili na macierzyński. Spędzam teraz dużo czasu przy biurku, odbierając telefony.

– Zajmował się nią doktor Brexler, ale wiem, że już wyszedł. – Przywołał w pamięci nazwiska pozostałych osób wymienionych w karcie pacjenta. – Sara Stone była lekarzem asystującym. Jest na oddziale?

– Ona także skończyła pracę na dziś.

– A Caleb Martieki? Pielęgniarz?

– Na zwolnieniu lekarskim.

– Martha Girandole prowadziła sprawy związane z ubezpieczeniem.

– Na urlopie. Wraca w poniedziałek.

– Hmm – mruknął, chwilowo zbity z tropu. Czuł na sobie ciężar nieprzychylnego wzroku drugiej pielęgniarki. – Pewnie mógłbym cię poprosić o ich numery komórkowe. Bo widzisz, mam taką wątpliwość... W karcie pani Teichner widnieje wzmianka, że doktor Brexler zamierza się ze mną skonsultować w sprawie depresji Maksa, ale nigdy do tego nie doszło. Wiesz, co się mogło stać?

– Nie wiem. Konsultacja w sprawie osoby, która nie była naszym pacjentem, tylko członkiem rodziny chorej? Dość nietypowe.

– Zgadza się. Dlatego pomyślałem, że ktoś to zapamiętał. Masz jakiś pomysł, kto jeszcze mógł mieć kontakt z Maksem?

– Ja mam – wtrąciła chłodnym tonem druga pielęgniarka, krzyżując ręce. Identyfikator podpowiadał, że ma na imię Nancy. Szczupła, wysportowana kobieta w średnim wieku z obciętymi na krótko włosami. – Ta pani leżała w sali trzysta osiem. Nie pamiętam wnuka, ale ją zapamiętałam.

– O, świetnie.

– Wydaje mi się, że była jakaś konsultacja psychiatryczna. Ktoś przyszedł – jak sądziłam – do pani Teichner. Ale mogło też chodzić o jej wnuka.

– Była konsultacja psychiatryczna – powtórzył ze zdziwieniem. – Kto jej udzielał?

– Nie wiem, nie było mnie wtedy. Chłopiec przychodził wieczorami, widziałam go tylko raz, wychodząc do domu.

– Wszyscy moi pracownicy mają obowiązek zaznaczać takie rzeczy w aktach. Nawet jeśli Max nie był naszym pacjentem, powinna być notka w karcie pani Teichner.

Nancy zmarszczyła podejrzliwie czoło.

– Doktorze Parrish, czemu nas pan wypytuje? Nie powinien pan tu przychodzić. Wszyscy dostali ostrzegawczego maila z pańskim zdjęciem i poleceniem wezwania ochrony, gdyby spotkali pana na terenie szpitala.

– Naprawdę? – Patty się wzdrygnęła.

– Proszę tego nie robić. To bardzo ważne. – Zwrócił się do Patty: – Masz pod ręką numer telefonu doktora Brexlera?

– Hm, cóż, tak, pewnie. Sześćset dziesięć...

– Nie podawaj mu, Patty – przerwała jej Nancy. – Doktorze Parrish, stawia pan nas w okropnej sytuacji. Nie powinniśmy z panem w ogóle rozmawiać, nie wspominając o udzielaniu jakichkolwiek informacji o pacjentach. Nie podoba mi się to. Dzwonię po ochronę. – Podniosła słuchawkę.

– Nie, proszę nie dzwonić.

Eric uciekł, kierując się w stronę skrzydła Wrighta i oddziału psychiatrycznego.

ROZDZIAŁ 58

Biegł po schodach najszybciej, jak potrafił, gnany potrzebą, którą nie do końca rozumiał. Nie miał zbyt wiele czasu, żeby dotrzeć na oddział, zanim ochroniarze odgadną, dokąd się udał. Kolejnej szansy prawdopodobnie nie dostanie. Dręczyły go złe przeczucia.

Przypuszczał, że z karty pani Teichner została wykasowana informacja o konsultacji psychiatrycznej. Nie znał powodu, dla którego ktoś z jego podwładnych usiłował ukryć spotkanie z Maksymem, ale postanowił to wyjaśnić. Kiedy wybiegł na czwartego piętro, zawył alarm przeciwpożarowy. Przerażliwy dźwięk syreny odbijał się od betonowych ścian klatki schodowej.

Jako ordynator oddziału psychiatrycznego znał wszystkie procedury alarmowe, które różniły się od tych na innych oddziałach. Czekali na podanie przez głośniki dokładnej lokalizacji zagrożenia. Jeśli źródło niebezpieczeństwa znajdowało się daleko od nich, nie robili nic, czekali, aż minie. Pacjentów oddziału psychiatrycznego nie ewakuowano podczas próbnych alarmów z uwagi na zagrożenie, jakie stanowili, lub na ich kruchą równowagę psychiczną. Wyjątkiem była sytuacja, gdy pożar wybuchał na samym oddziale. Szpital miał własną ekipę przeciwpożarową, która eliminowała mniejsze zagrożenia za pomocą gaśnic i w razie konieczności wzywała straż pożarną.

– Alarm pożarowy w skrzydle Wrighta – z głośników popłynęły słowa, które przypawiły Erica o dreszcz, znaczyły bowiem, że na jego oddziale wybuchł pożar. Przyspieszył, powtarzając w głowie procedurę ewakuacyjną, którą przeprowadzał tylko raz. Należało wyprowadzić pacjentów w sposób nienarządzający ich na dodatkowy stres, co wymagało zaangażowania całego personelu. Jeśli ktoś był przywiązany do łóżka, należało go oswobodzić i ubrać w kaftan bezpieczeństwa. Taki pacjent musiał być przez cały czas eskortowany, aby nie zrobił krzywdy sobie lub komuś innemu. Parrish miał nadzieję, że oprócz Perino nie mają na oddziale nikogo, kto stanowiłby potencjalne zagrożenie.

– Alarm pożarowy w skrzydle Wrighta. Alarm pożarowy w skrzydle Wrighta – powtarzał głos z megafonów.

Eric wybiegł na korytarz piątego piętra i usiłował zajrzeć na oddział przez podwójną szybę. Przed wejściem stała grupa ludzi z innych oddziałów, dyskutowali z przejęciem. W powietrzu unosił się swąd spalenizny i czarny dym, który powinien wkrótce uruchomić spryskiwacze. Lada moment pojawi się ekipa z gaśnicami.

– Ludzie! – zawołał Eric, torując sobie drogę przez tłum. – Proszę wrócić na swoje stanowiska pracy! Trzeba zrobić przejście dla strażaków!

– Hej, doktorze Parrish! – odkrzyknął ktoś. Okazało się, że pozostali też mają mu coś do powiedzenia: – Widzieliśmy pana w wiadomościach! Doktorze Parrish! Chcemy jakoś pomóc! Proszę nam powiedzieć jak! Możemy pomóc, doktorze Parrish?

– Wiem, że chcecie dobrze, ale cofnijcie się, proszę! To zbyt niebezpieczne! Proszę się wycofać! Poczł ogromną ulgę na widok pielęgniarek i pacjentów już ewakuowanych. Stali z boku, oszołomieni i mokrzy. Skinął im głową, zanim wszedł na zadymiony i zalany wodą ze spryskiwaczy

oddział psychiatryczny.

– Amako! – zawołał na widok koleżanki, która wyprowadzała przerażoną panią Jelik. Tuż za nimi podążała Tina z panem Jacobsem; chory na depresję starszerek wyglądał na dezorientowanego i przestraszonego.

– Ericu, dzięki Bogu! – Głos Amaki drżał z napięcia. – Nie czekaliśmy na alarm, Sam kazał się wszystkim ewakuować. Nie wiem, gdzie jest Jack. David próbuje ugasić ogień w kuchni. Nie wiem, co wywołało pożar.

– W porządku, chodźmy, trzeba wyprowadzić resztę. – Eric pomógł wszystkim czterem kobietom wyjść na korytarz. – Jaka jest sytuacja? Ewakuujecie pacjentów z północnego korytarza?

– Tak, prawie skończyliśmy.

– Dobra robota. – Większość pacjentów zajmowała pokoje w północnym korytarzu, południowe skrzydło mieściło sale konferencyjne, gabinety, kuchnię, palarnię i jedno pomieszczenie przeznaczone dla niebezpiecznych pacjentów, takich jak Perino. – Czy Sam ubrał Perino w kaftan bezpieczeństwa?

– Wydaje mi się, że tak, ale nie jestem pewna, byłam w innej części oddziału.

– Nikt inny nie ma na sobie kaftana, prawda? Przyjeliście kogoś nowego pod moją nieobecność?

– Nie.

– Dobrze. Nie zatrzymuję was. Do zobaczenia później! – Popędził na oddział. Z sufitu lała się zimna woda, niczym ulewny deszcz. Wszyscy byli przemoczeni. Personel wyprowadzał pozostałych chorych, niektórzy z nich byli podłączeni do kroplówek. – Dobra robota, kochani! Kto został w środku?

– Już tylko Perino! – zawołała jedna z pielęgniarek, uśmiechając się dzielnie. Z jej włosów kapiała woda.

Wbiegł na południowy korytarz.

– Gdzie są Sam i Perino? – spytał mijaną pielęgniarkę.

– W pokoju Perino! – odpowiedziała i zaniosła się kaszlem.

– A David i Jack?

– David gasi ogień w kuchni! – zawołała zza jej pleców inna pielęgniarka, która prowadziła Leah Barry. – Nie wiem, gdzie jest Jack!

Pobiegł dalej. Z kuchni po lewej stronie korytarza buchały kłęby czarnego dymu, płonęły mikrofalówka i kosz na śmieci. Nigdzie nie było śladu Jacka ani Davida. Drzwi do gabinetu Erica stały otworem, zdziwiony zajrzał do środka. Niewiele zobaczył przez strugi wody oraz kłęby dymu, lecz od strony biurka dobiegał jakiś tajemniczy, gardłowy dźwięk.

Podszedł bliżej, żeby sprawdzić jego źródło. Nie od razu zrozumiał, co widzi. Widok był zbyt potworny i szokujący, aby umysł zdołał go przyjąć w jednej chwili. Na dywaniku pod biurkiem leżała Kristine z poderżniętym gardłem. Jeszcze żyła, błędziła wokół niewidzącym wzrokiem. Z tętnicy szyjnej buchała krew, piersi i ramiona dziewczyny były nią przesiąknięte. Z ust wydobywały się bąbelki krwi. Woda z sufitu padała na jej twarz i ciało. Ręce miała opuszczone po bokach.

Eric podbiegł do niej, padł na kolana i przyłożył lewą dłoń do jej szyi, usiłując zatamować krwawienie. Drugą ręką chwycił telefon i wybrał *redial*, żeby połączyć się bezpośrednio z Laurie.

– Laurie! – krzyknął, nie czekając, aż się odezwie. – Potrzebuję cię na swoim oddziale! Mam tu dzieciaka z przeciętą tętnicą szyjną.

– O Boże! Przykryj ranę ręką! Już do ciebie biegniemy!

– Pospiesz się! – Eric odrzucił na bok telefon, nachylił się nad Kristine, przytrzymując jej szyję

obiema rękami. Poczł pod palcami ciepłą krew i słaby puls. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło i kto jest sprawcą. Nie podejrzewał nikogo poza Perino.

– Eric...? – szepnęła ledwie słyszalnie.

– Tak, to ja. Trzymaj się. Pomoc już nadchodzi. – Czł powietrze przepływające przez tchawicę Kristine i spienioną krew na dłoniach.

– Przepraszam... co ci zrobiłam...

– Już dobrze, Kristine, już dobrze. – Wiedział, że przeprasza go za oskarżenie o molestowanie seksualne, ale w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. Jej życie przeciekało mu między palcami, w przerażająco dosłownym sensie. Każda wypowiedana przez nią sylaba powodowała, że czł powiew i bąbelki powietrza na swojej skórze.

– To... diabeł...

– Kto? Kto ci to zrobił? Perino? – Nachylił się nad nią, aby lepiej słyszeć.

W następnej chwili ból przeszył mu czaszkę i zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 59

Obudził się na korytarzu, leżał na plecach, wleczony przez kogoś za nogi. Usiłował zorientować się w sytuacji, wciąż oszołomiony po ciosie w głowę. Otoczenie spowijał czarny dym, woda zalewała mu twarz, zachłystywał się nią. Zanim zdołał zobaczyć twarz napastnika, ponownie stracił przytomność. To musiał być Perino. O dziwo, nie bolała go głowa.

Zastanawiał się, gdzie są Sam, David i Jack. Kristine wykrawiała się na śmierć. Ktoś włókł go przez korytarz, bardzo szybko. Raz po raz tracił przytomność. Był zdezorientowany, odurzony jak pod wpływem silnych leków. Napastnik musiał mu coś wstrzyknąć. Perino nie umiałby tego zrobić.

Ogarnął go paniczny strach. Zaatakował go ktoś z jego ludzi. Próbował walczyć, ratować życie. Wyrwać się, wstać i uciec. Był za słaby, aby to zrobić. Słyszał okrzyki strażaków, dobiegające z przeciwnej strony korytarza. Podłoga wibrowała od ich kroków. Nie zobaczą go przez dym z tej odległości. Pobiegną prosto do kuchni, gasić ogień.

Eric został zawleczony do izolatki Perino.

– Rozwiąż mnie – szlochał mężczyzna. – Proszę. Nie mogę oddychać. Duszę się.

Drzwi zamknęły się gwałtownie i rozległ się głos napastnika.

– Czysto! Nikogo tu nie ma!

Mimo odurzenia Eric przeżył ogromny wstrząs, ponieważ głos należał do Sama. Próbował zrozumieć, co się dzieje. Sam go zaatakował. Sam zabił Kristine. Sam włókł go na balkon. Sam chciał go zabić.

Eric poczuł ciepły powiew świeżego powietrza i promienie słoneczne na twarzy. Ogrodzenie balkonu stanowiła betonowa ściana o wysokości około stu dwudziestu centymetrów. Nadal bezskutecznie próbował się oswobodzić. Otwierał oczy, lecz jego umysł nie funkcjonował normalnie, walczył o zachowanie świadomości. Czuł na plecach szorstki dotyk betonu, kiedy Sam ciągnął go w stronę barierki.

Sam Ward zamordował Kristine w jego gabinecie z zamiarem wrobienia go w tę zbrodnię. Motywem miała być zemsta za to, że dziewczyna oskarżyła go o molestowanie seksualne. Teraz zamierzał zrzucić go z balkonu, pozorując samobójstwo. Strażacy niczego nie zauważą, nim będzie za późno.

– Sam... Dlaczego? – powiedział z wysiłkiem. Był przerażony, walczył, ale nie panował nad swoim ciałem. Uderzył głową o krawędź balkonu.

– Mam dość spełniania twoich rozkazów. Chcę być ordynatorem i nie mam zamiaru dłużej czekać. Chcę zasiąść w Komisji do spraw Leków i mieć dom na plaży.

– Nie... – Sam unosił go do góry za ramiona. Omdlałe ciało nie było w stanie się bronić.

– Morfina. Wyjdzie w testach toksykologicznych. Komisja do spraw Uzależnień nie będzie zdziwiona. – Sam stęknął z wysiłku pod ciężarem Erica. – Zaaranżowałem to od samego początku. Poznałem Maksa przy okazji pierwszej hospitalizacji jego babci. Brexler wezwał mnie na

konsultację. Potem nakłoniłem go, żeby przywiózł ją na ostry dyżur. Wiedziałem, że Laurie po ciebie zadzwoni i chwycisz przynętę. Zawsze byłeś miękki, szczególnie wobec dzieciaków.

– Nie... proszę. – Czynił daremne wysiłki przytrzymania się krawędzi ściany. Nie zdołał zacisnąć palców. Mimo wszystko nie poddawał się, myślał o Hannah. Potrzebowała go, a on ją kochał ponad wszystko. Nie mógł umrzeć.

– Cały czas pracowałem nad Maksem. Wiedziałem, że powie ci o Renée. Byłem pewien, że załamie się po śmierci babki. – Sam przewiesił górną połowę ciała Erica przez krawędź balkonu. – Zadzwonił do mnie po pijaku tuż po telefonie do ciebie. Spotkałem się z nim i nafaszerowałem go rohypnolem. Tańczył tak, jak mu zagrałem, ale nie zabiłby Renée. Za cienki jest. Ja ją zabiłem, żeby ciebie zniszczyć.

Eric wisiał twarzą do chodnika, na wysokości pięciu pięter. Był przerażony. Na dole ludzie wchodzili i wychodzili przez automatyczne główne drzwi szpitala. Sam chwycił go pod ramiona z zamiarem zrzućcia na dół. Eric próbował się uchwycić swojego napastnika, lecz po raz kolejny poniósł porażkę. Za chwilę runie na chodnik i zginie na miejscu.

– Żegnaj, Ericu.

ROZDZIAŁ 60

Nieoczekiwanie uścisk Sama zelżał, na balkonie rozległ się wściekły głos Perino.

– Doktorze Ward, niech pan przestanie! – wrzeszczał pacjent. – Nie! Proszę przestać!

Eric próbował odwrócić się, żeby sprawdzić, co się stało, i prawie spadł. Objął ścianę balkonu beużytecznymi ramionami. Perino wbiegł, ciągnąc za sobą rozerwane rękawy kaftana.

– Doktorze Ward! – Zaatakował Sama w ślepej furii. – Trzeba pana powstrzymać! To koniec!

– Nie, przestań! Zostaw! – Sam osłonił się rękami.

– Jest pan złym, podłym człowiekiem, doktorze Ward! – Pochwycił Sama i rzucił jak szmacianą lalkę na metalowy stół.

Erica przeraził ten wybuch agresji. Wciąż nie wierzył, że Sam usiłował go zabić. Nie chciał, aby Perino zamordował go na jego oczach, jednak był całkowicie bezsilny. Nie mógł go powstrzymać. Nie mógł nawet się ruszyć.

– Jest pan złym lekarzem! Po tych lekach od pana czuję się gorzej! Wcale mi się nie poprawia! – Przerażony Sam usiłował niezdarnie wstać, krwawił z rany na głowie. W szeroko otwartych, niebieskich oczach malował się lęk.

– Don, nie! – Chwycił metalowe krzesło i użył go jako tarczy. – Don, to nie moja wina, to przez doktora Parrisha! On kazał mi dać tobie te leki! Zmusił mnie! Jego ukaż! Chciałem go zabić dla ciebie!

– Nie wierzę! Jest pan kłamcą! – Wyrwał Wardowi krzesło i odrzucił na bok. – Nic, tylko pan łże!

– Nie, przestań... – Eric obserwował z przerażeniem Sama cofającego się w stronę krawędzi balkonu. Z całej siły walczył z mgłą spowijającą umysł o odzyskanie władzy nad kończynami, żeby uchronić się przed upadkiem.

– Don, przepraszam! – wołał w panice Ward z uniesionymi rękami i cofał się coraz dalej w stronę ściany w obawie o własne życie. – Już więcej tego nie zrobię, obiecuję! Żadnych tabletek! Przysięgam!

– Nie wierzę panu! – Perino zacisnął pięść, gotowy do ciosu.

– Nie ruszać się! Niech nikt się nie rusza! – zawołał strażnik, sięgając po broń. Tuż za nim na balkon wbiegło jeszcze dwóch. Zza otwartych drzwi unosił się dym.

– Nie strzelać! – Perino podniósł ręce do góry, tymczasem Sam zachwiał się niebezpiecznie, przechylił do tyłu.

– Nie! Nie! – krzyknął rozpaczliwie, tracąc równowagę.

– Doktorze Ward! – Perino rzucił się, żeby go przytrzymać, lecz było za późno. Sam Ward spadł z przeraźliwym krzykiem, który ucichł dopiero na samym dole.

– Nie! – Eric zamknął oczy pełne łez. Nie chciał już nic więcej widzieć.

ROZDZIAŁ 61

Leżał na szpitalnym łóżku w pokoju zabiegowym oddziału ratunkowego i powoli wracał do rzeczywistości z pomocą naloksonu, który znosił działanie morfiny u ofiar przedawkowania. Oprócz tego podłączono go do monitora funkcji życiowych i kroplówki z płynem fizjologicznym. Miał na sobie własne, przemoczone ubrania. Woda ze spryskiwaczy przeciwpożarowych nie zmyła całej krwi Kristine z jego rąk i koszuli. Dziewczyna była w tej chwili operowana. Modlił się, aby przeżyła.

Zamknął oczy, by ochronić je przed ostrym światłem. Wciąż powracał do niego obraz Kristine wykrwawiającej się na podłodze w jego gabinecie, otwartej, purpurowej rany na szyi. Zza drzwi dobiegały przyciszone głosy Laurie, policjantów i członków zarządu szpitala. Paul już jechał, poinstruowawszy Erica przez telefon, aby nie rozmawiał z policjantami, dopóki nie dotrze na miejsce. Marne szanse, nawet gdyby chciał z nimi porozmawiać. Musiał najpierw choć trochę oprzytomnieć i przetworzyć to, co się stało, aby móc im opowiedzieć.

Na razie dotarło do niego, że Sam usiłował zabić Kristine i że to on zamordował Renée. Powiedział już policjantom o przyznaniu się Warda do uduszenia dziewczyny. Obiecali powiadomić komendę w Radnor oraz adwokata Maksa. Eric wspominał wieczór, kiedy poznał Maksa i jego babcię. W tym samym pokoju zabiegowym, w którym teraz leżał. Sprawy zatoczyły upiorne koło.

Zamknął oczy, ogarnął go ogromny żal z powodu śmierci pani Teichner, Renée i tego, co spotkało Kristine. Ubolewał nad stratą Sama w tak potworny sposób. Tyle przemocy i śmierci. Pomyślał o Perino, który chciał uratować Samowi życie w ostatniej chwili. Traumatyczne przeżycie musiało być mocnym wstrząsem dla jego zaburzonej psychiki. Eric postanowił przejrzeć historię choroby ze szczególnym uwzględnieniem leków, jakie przepisał mu Sam. Bardzo możliwe, że został wykorzystany, podobnie jak Max, i nie mylił się, podejrzewając Sama o podanie szkodliwych leków.

Zadrżał na wspomnienie zaufania, jakim darzył tego człowieka. Jakże bardzo się pomylił, długo tego nie zapomni. Wykonując zawód lekarza psychiatry, musiał wiedzieć, że ludzie noszą przeróżne maski, prezentują światu oblicza niezgodne z ich prawdziwą osobowością. Powinien był się wcześniej zorientować. Uzmysłowił sobie istnienie własnej maski, którą nosił już zbyt długo. Maski idealnego ordynatora, pracowitego i osiagającego sukcesy. Maski idealnego ojca, nadopiekuńczego wobec swojej córki. Maski idealnego męża, mężczyzny niezasłużenie odrzuconego przez żonę. Może nadszedł czas na zrzucenie masek i przyjrzenie się osobie, która jest pod spodem. Kiedy to wszystko się skończy, zadzwoni do Arthura, aby się z nim umówić na sesję.

Oczy Erica wezbrały łzami. Nie rozumiał dokładnie, co się z nim dzieje, i nie próbował tego analizować. Jedyne, czego był pewien, to ogromnej, czystej miłości do Hannah. Cieszył się z odzyskania dobrego imienia głównie ze względu na nią. Koledzy i koleżanki w szkole nie będą jej już dokuczać, mówiąc, że ma tatę mordercę. Mógł wrócić do pracy i do bycia niedoskonałym rodzicem. Zawsze będzie zbyt ufny wobec ludzi, na których mu zależy, takich jak Sam czy nawet Caitlin. Zachowa swoją naiwność. Jest tylko człowiekiem.

– Hej! – Laurie odsunęła wzorzystą zasłonę i zajrzała do niego. – Mogę wejść?

– Zapraszam. – Uśmiechnął się z radości, że ją widzi, a ona odwzajemniła uśmiech i podeszła do łóżka.

– Jak się czujesz?

– Lepiej.

– Policjanci się niecierpliwią, żeby spisać zeznania, ale kazałam im wyluzować.

– Dzięki.

– Z dobrych wieści: dwie transfuzje później wygląda na to, że Kristine będzie żyła. Dotarliśmy do niej w samą porę.

– Wspaniale – powiedział z ogromną ulgą i wdzięcznością.

– Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Ma rzadką grupę krwi, AB Rh-, która akurat nam się skończyła. Zgadnij, kto ją poratował? – Laurie uroczo zmarszczyła nos.

– Ty?

– No. Nie myśl, że było łatwo.

Roześmiał się.

– Jak tam mój oddział? Całkiem zrujnowany?

– W trakcie sprzątania; wszyscy powoli dochodzą do siebie. Amaka dzierży stery.

– Dzięki Bogu. A Perino? Jak on się czuje?

– Całkiem nieźle, choć jego żona wygląda na wściekłą.

– Wyobrażam sobie. – Nie miał siły teraz o niej myśleć. – Gdzie byli pozostali lekarze podczas pożaru? David i Jack?

– David stracił przytomność, próbując ugasić ogień. Okazuje się, że ma astmę. Jack flirtował z jakąś pielęgniarką na endokrynologii. – Laurie delikatnie ujęła nadgarstek Erica. – Przyszłam tu jako twój lekarz – wyjaśniła.

– Mierzysz mi puls?

– Niezupełnie – odpowiedziała z uśmiechem.

– Zatem po prostu trzymasz mnie za rękę?

Uśmiechnęła się szerzej.

– Pocałowałaś mnie wtedy w samochodzie przed galerią.

– Wydawało ci się. To tylko twoje fantazje. Nic takiego nie było. Nie wbiegłem też do ewakuowanego centrum handlowego. Kto by zrobił coś tak głupiego? Nie ja. Przecież jestem poważnym panem ordynatorem.

– Jesteś gaduła, wiesz? – Laurie nachyliła się i pocałowała go w usta. A potem jeszcze raz.

– Łał. – Eric poczuł coś, czego nie czuł od bardzo dawna.

Laurie wyprostowała się, uśmiechając niewinnie. Czarna sprężynka włosów opadła jej na twarz, oswobodzona ze spiętego ołówkiem koka.

– Jak ci się podoba moje podejście do pacjentów?

– Jeszcze nie wiem.

– Ha! – Spoważniała. – Miałaś rację i cieszę się z tego. Wierzyłeś w Maksa bardziej niż ja. Jednak nie zabił Renée. To coś w rodzaju szczęśliwego zakończenia, prawda?

– Coś w rodzaju. – Poczuł ból w okolicy serca. – Trudno uwierzyć, że młodziutka dziewczyna straciła życie z tak idiotycznego powodu. Nie żeby jakikolwiek powód usprawiedliwiał morderstwo.

– Wyłumacz mi jeszcze raz, dlaczego on to zrobił?

– Chciał zająć moje miejsce, być mną. Mieć to, co uważał, że ja posiadam: uznanie. Ale głównie chodziło mu o pieniądze. – Przypomniał sobie rozmowę z Samem na balkonie. – Zamierzam zgłosić swoje podejrzenia w stosunku do Brexlera. Jeżeli ten parszywiec buduje sobie domy na plaży za forszę od firm farmaceutycznych, chcę go widzieć za kratkami. Dość plotkowania, czas działać. Nie zamierzam dłużej tego tolerować.

– Zmieniłeś się. – Uśmiechnęła się z dumą.

– Jestem nowym człowiekiem.

– A ja jestem po twojej stronie. – Pocałowała go. – Co powiesz na kolację jutro po pracy? Nie wypiłś swojego dzinu z tonikiem.

– U ciebie?

– Doskonale – odpowiedziała z uśmiechem. Nagle zza kotary wyjrzała rozpromieniona głowa Paula.

– Kiedy ślub, dzieciaki?

ROZDZIAŁ 62

Następne dwie godziny spędził w sali konferencyjnej na rozmowie z kapitanem Newmire'em, detektywem Rhoadesem i zastępcą prokuratora. Przebrany w kolejny szary dres od Paula opowiedział im o wszystkim, co się wydarzyło, od znalezienia luk w historii choroby Virginii Teichner do strasznej konfrontacji na balkonie. Odpowiadał na pytania tak szczegółowo, jak tylko mógł, ale bez naruszania tajemnicy lekarskiej. Paul zgłaszał sprzeciw za każdym razem, kiedy któryś z policjantów naruszał granice poufności. Obok Erica, po jego lewej stronie, siedział Mike z działu prawnego, a za nim Tom i Brad. Słuchali w skupieniu i robili notatki, lecz nie uczestniczyli aktywnie w przesłuchaniu.

Pod koniec spotkania Eric zwrócił się do Rhoadesa z pytaniem:

– Co będzie dalej z Maksem, teraz, kiedy już wiadomo, że nie zabił Renée?

– To nie takie proste. Przeprowadzimy dalsze śledztwo, skontaktujemy się z adwokatem chłopca i poprosimy o zgodę na ponowne przesłuchanie. Nie możemy polegać tylko na twoich słowach. Nie chodzi o twoją wiarygodność, a raczej o wiarygodność Sama Warda.

Eric skrzywił się, słysząc to nazwisko. Wciąż nie mógł uwierzyć, że już go nie ma. Że zginął w tak okropny sposób, po tym, gdy zaatakował Kristine, naraził na szwank zdrowie Perino i zdradził ich przyjaźń. Potrzebował czasu na poradzenie sobie z bólem po stracie i rozwikłanie sprzecznych emocji.

– Zarzuty dotyczące ataku w centrum handlowym pozostają aktualne, ale to już sprawa kapitana Newmire'a z komendy w Upper Merion. – Detektyw skinął głową koledze po fachu. – Chciałby pan coś powiedzieć na ten temat?

Kapitan Newmire odchrząknął.

– Doktorze Parrish, muszę przedyskutować nowe informacje z zastępcą prokuratora okręgowego, który przeanalizuje to z prokuratorem generalnym.

Zabrzmiało jak typowy unik, pomyślał Eric. Widocznie każda instytucja zмага się z własną biurokracją.

– Gdzie jest teraz Max?

– Zostanie przeniesiony do ośrodka zdrowia psychicznego, gdzie zostanie poddany diagnozie i leczeniu.

– Do którego ośrodka? – Paul kopnął go pod stołem, Eric nie zamierzał się tym przejmować. Już nie musiał.

– Nie jestem pewien. – Detektyw Rhoades zerknął na kapitana Newmire'a, który uporządkował notatki, schował długopis do kieszeni i wstał. – Myślę, że to wszystko. Chciałbym pana prosić o nieopuszczanie okręgu.

– Słucham? Czemu? – zdziwił się.

Detektyw Rhoades zmarszczył brwi.

– Tylko do czasu weryfikacji pańskiego zeznania, doktorze Parrish.

– Dobrze. – Wyczytał między wierszami, że to tylko kwestia czasu.

Paul z dezaprobatą pokręcił głową.

– Oj, bo pożałuję, że poszedłem wam na rękę, detektywie. Nie jestem bezbronny, wciąż mogę wam narobić koło pióra u dziennikarzy, zwłaszcza po dzisiejszym dniu.

Rhoades podniósł się ociężale i schował notatnik do kieszeni sportowej kurtki.

– Dzięki, panowie. Będziemy w kontakcie.

Mike wyskoczył ze swojego miejsca za stołem.

– Panowie pozwolą, że ich wyprowadzę – zaproponował gorliwie.

– Dziękujemy. – Rhoades, Newmire i zastępca prokuratora pożegnali się i wyszli. Z korytarza dobiegł głos Dee Dee proponującej, że odprowadzi ich do windy.

Mike wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Ericu, musimy pogadać.

– Też tak myślę.

– Pozwólcie, że ja zacznę. – Mike zerknął na Brada i Toma, siadając na swoim miejscu naprzeciw Erica i Paula. – Chciałbym ci podziękować w imieniu całego zarządu szpitala za...

– Dość – przerwał mu Eric, unosząc rękę. Nie chciał słuchać więcej biurokratycznych frazesów. – Po pierwsze, chcę natychmiast powrócić do pełnienia obowiązków ordynatora. Dla wszystkich jest już chyba oczywiste, że skarga Kristine nie miała najmniejszych podstaw. Wniosła ją na polecenie Sama, prawdopodobnie w zamian za referencje, potwierdzi to, kiedy tylko poczuje się lepiej. Natychmiast wydajcie oświadczenie dla prasy, ponieważ zamierzam jutro przyjść do pracy, żeby pacjenci poczuli się bezpieczniej. Poza tym trzeba posprzątać oddział.

Mike zamrugnął z zaskoczeniem.

– Aaa...

Tom skinął głową.

– Załatwione – powiedział krótko.

– Po drugie, bardzo mnie niepokoi stan Donalda Perino. Nie wiem, jakie leki podawał mu Sam...

Mike przerwał mu nerwowo.

– Jestem pewien, że jego żona nas pozwie.

– Uczciwość nakazuje przeprowadzenie dochodzenia w tej sprawie. Uważam, że szpital powinien powołać niezależnego śledczego. Sam bym się tego podjął, ale obawiam się posądzenia o konflikt interesów.

– Musisz unikać tego rodzaju posądzeń – poparł go Paul.

– Tak. – Skinął głową Paulowi, następnie zwrócił się do Mike'a, Toma i Brada: – Chcę, żeby ktoś dokładnie zbadał tę sprawę i nikogo nie chronił. Jeżeli Sam naraził w jakikolwiek sposób na szwank zdrowie Perino, sprawa musi wyjść na jaw, nawet jeśli to znaczy pociągnięcie do odpowiedzialności mnie jako jego szefa oraz całego szpitala.

Oczy Mike'a rozgorzały gniewem.

– Szpital nie jest odpowiedzialny za złamanie prawa karnego przez jednego z pracowników. Jeśli pani Perino wytoczy nam proces z powództwa cywilnego, najwięcej do stracenia masz ty, Ericu. Jej adwokat będzie usiłował udowodnić, że zaniedbałeś obowiązki jako przełożony Sama i...

– Przestań. – Eric uciszył prawnika i zwrócił się ponownie do Toma: – Mam twoje słowo, że dochodzenie zostanie przeprowadzone?

– Jasne. – Skinął głową. – Poddamy kontroli cały system. Nie możemy pozwolić na tak rażące zaniedbania w opiece nad pacjentami. Jak ci wiadomo, jestem chirurgiem. Nie boję się radykalnych cięć. Jak trzeba, to trzeba.

– Dobrze. – Eric potrafił czytać między wierszami. Tom nie wykluczał pociągnięcia go do odpowiedzialności za Sama. Trudno. Poradzi sobie z utratą pracy. Bywał w gorszych opałach.

Tom odchrząknął.

– Wobec tego jesteśmy zgodni. Mam nadzieję, że przetrwamy tę burzę, nawet jeśli pani Perino pozwie szpital, i nie zostaniesz uznany winnym zaniedbania. Zwłaszcza po tym, gdy zdobyłeś drugie miejsce w rankingu, co właśnie zamierzamy ogłosić i...

– Żadnego ogłaszania – przerwał mu Eric. – Przestańcie ogłaszać.

– Masz dość? – Paul zachichotał.

– No. Skąd wiesz?

– Chyba się w tobie zakochałem.

Uśmiech Erica zbladł, kiedy spojrzał na Toma.

– Uważam, że trzeba wysłać pismo do *US Medical Report* z prośbą o wycofanie naszego oddziału psychiatrycznego z ich rankingu. W zaistniałej sytuacji, kiedy zachodzi podejrzenie tak rażącego zaniedbania wobec pacjenta, nie możemy przyjąć ich oceny. Nie stanę przed żadną kamerą, nie będę się uśmiechał ani udzielał wywiadów.

– Ericu! Naprawdę? – sapnął Mike.

Tom miał posępną minę.

– Zastanów się, co ty mówisz.

Brad popatrzył na niego, jakby był niespełna rozumu.

– Jeszcze zmienisz zdanie. Przeszedłeś dziś piekło, cały miniony tydzień był dla ciebie koszmarem. Znajdujesz się pod wpływem ogromnego stresu. Niestety mieliśmy w tym swój niezamierzony udział. Zostaliśmy wprowadzeni w błąd przez tę dziewczynę...

– Nie mów tak. – Eric pokręcił głową. – Kristine padła ofiarą Sama, podobnie jak Renée Bevilacqua. Nie będę współpracował w sprawie rankingu. Proponuję, abyśmy wycofali naszą kandydaturę, zanim zostaną ogłoszone oficjalne wyniki. Nie ściągajmy na siebie uwagi, na wszelki wypadek, a obiecuję wam, że za rok zdobędę dla was pierwsze miejsce w tym rankingu – zakończył w przyływie natchnienia.

Tom i Brad popatrzyli po sobie, Mike milczał.

– Kocham cię, Ericu – wyznał Paul.

Eric nie zwrócił na niego uwagi.

– Ostatnia sprawa. – Przeniósł spojrzenie z Mike'a na Toma, następnie na Brada. – Żądam oficjalnego dochodzenia w sprawie podejrzeń wobec Morrisa Brexlera o przyjmowanie łapówek od firm farmaceutycznych. Chodzą pogłoski, że promuje konkretne leki dla osobistych korzyści finansowych. Ostatnio usiłował wymusić na członkach rady decydującej o zakupie leków dla szpitala wprowadzenie rostatinu. Nie muszę wam tłumaczyć, o co chodzi. W naszym zawodzie istnieje korupcja, poczynając od Agencji Żywności i Leków, która dopuszcza do obrotu konkretne farmaceutyki po ich zakup dla szpitali. Wszyscy znamy tak zwane „darmowe próbki”. Nie będę dłużej udawał, że nie dostrzegam podejrzanego zachowania kolegi. Chcę sprawę wyjaśnić, tym bardziej, iż mógł paść ofiarą całkowicie niesłusznych podejrzeń. Wiem, jakie to uczucie. Natomiast jeżeli czerpie jakiegokolwiek korzyści finansowe ze swojej pozycji w Komisji do spraw Leków, powinien ponieść

stosowną karę.

Brad, Tom i Mike milczeli w osłupieniu.

– Co wy na to? – zapytał ze spokojem Eric.

– Sporo od nas wymagasz, Ericu – odparł Tom.

– Najwyższy czas.

– Przemyślimy to.

– Być może prasa bardziej doceni moje celne spostrzeżenia. – Rzucił łobuzerskie spojrzenie na Paula. – Wiecie, że Harry Truman nigdy nie powiedział: „Zgotujcie im piekło”? Jego słowa brzmiały: „Po prostu powiedziałem im prawdę, a oni uznali, że piekło istnieje”. Na razie, chłopaki. Idę do domu.

Eric i Paul wstali niemal jednocześnie. Podchodząc do drzwi, Eric przypomniał sobie, że podczas ostatniej rozmowy w tym miejscu poproszono go o dostarczenie próbki moczu. Wyszedł bez słowa.

ROZDZIAŁ 63

Było już ciemno, kiedy opuszczał szpitalny parking, zasłaniając się przed fleszami aparatów dziennikarzy trzymanyh w ryzach przez szpitalnych strażników. Lokalna telewizja w kółko powtarzała materiał o makabrycznej śmierci Sama Warda. Eric wyłączył telewizor w pokoju zabiegowym na sam widok tytułu reportażu: HORROR W HAVEMEYER.

Przyspieszył, aby jak najszybciej opuścić szpitalne grunty. Dostrzegł w lusterku wstecznym kilka wozów transmisyjnych, które za nim pojechały. Próbował je zgubić, gwałtownie skręcił w prawo, następnie w lewo, potem zrezygnował. Znali jego domowy adres, a on miał teraz ważniejsze sprawy.

Przystanął na światłach, wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do Caitlin. Chciał porozmawiać z Hannah. Co prawda zegar na desce rozdzielczej wskazywał już dziesiątą dwadzieścia trzy, lecz mimo to postanowił spróbować. Połączył się z pocztą głosową, nie zostawił wiadomości. Telefon stacjonarny po wielu sygnałach odebrała automatyczna sekretarka. Światło zmieniło się na zielone, więc rozczarowany odłożył aparat i ruszył dalej. Chciał powiedzieć córce, żeby się o niego nie martwiła, że jest cały i zdrowy, ale przede wszystkim pragnął usłyszeć jej głos.

Prowadził automatycznie, zanim się zorientował, już wjeżdżał na swoją ulicę. Ominął wozy transmisyjne i tłum dziennikarzy, zaparkował na swoim podwórku i przeszedł na tyły domu, ignorując pytania rzucane w jego stronę.

Odetchnął z ulgą, zamknawszy za sobą drzwi gabinetu, popatrzył na rozrzucone książki i puste miejsce, gdzie wcześniej stał komputer. Niemal odruchowo poszedł do kuchni, wyjął z lodówki piwo, otworzył je otwieraczem i pociągnął solidny łyk chłodnego, orzeźwiającego napoju, po czym powędrował wzrokiem ku pootwieranym szufladom, leżącym w nieładzie garnkom i czarnym smugom pyłu daktyloskopijnego na blatach.

Postanowił zostawić za sobą złe wspomnienia, zaczynając od razu. Odstawił piwo i przystąpił do sprzątnięcia. Schował garnki, patelnie, pozamykał szuflady, zamrażalnik, napił się piwa, zmoczył gąbkę i zabrał się za wycieranie ciemnych śladów pozostawionych po pobraniu odcisków palców. Poczł przyływ energii i nadziei. Uporządkuje dom i poukłada swoje życie.

Zerkał przez okno na hałaśliwych reporterów, podchodząc co jakiś czas do zlewu, żeby opłukać gąbkę, którą udało mu się zmyć jedną smugę. Właśnie zabierał się do następnej, kiedy usłyszał pukanie do drzwi na tyłach domu. Rzucił zmywak ze złością, wściekły na natrętnych dziennikarzy, którzy stawali się coraz bezczelniejsi.

– Macie tupet – powiedział, otwierając drzwi. Na progu stały Caitlin i Hannah.
– Tatusiu! – zawołała dziewczynka i wyciągnęła rączki.
– Kochanie! – krzyknął uszczęśliwiony, chwycił ją w ramiona i wtulił twarz w ciepłą, dziecięcą szyję.

Świat znów był taki, jaki być powinien.

ROZDZIAŁ 64

– Zaproponowałbym wam coś do picia, ale same widzicie, jak tu jest. Może wody? – Wskazał z zażenowaniem kuchnię. Nie zdołał ukryć, jak bardzo jest zaskoczony wizytą Caitlin i Hannah.

– Nie przejmuj się. – Uśmiechnęła się z przymusem i ogarnęła wzrokiem pobożowisko. – Pięknie udekorowałaś.

– Skąd wiedziałaś, że jestem w domu?

– Podobno skończyli cię przesłuchiwać.

– O. No tak. Miło cię widzieć. – Czuł się bardzo niezręcznie, stojąc z Caitlin w zdemolowanej kuchni, która nie była ich wspólną kuchnią. Nie pomagał mu fakt, że prezentowała się wspaniale w białym T-shircie, krótkich spodenkach i różowych trampkach, z włosami związanymi w kucyk. Miała nawet okulary, tak jak lubił. Starsza wersja Hannah. Obie były ubrane tak samo.

Dziewczynka pobiegła w podskokach do salonu.

– Tatusiu, ale u ciebie bałagan! Musisz posprzątać!

– Wiem, masz rację. Właśnie usiłowałem to zrobić, zanim przyszyście. Cóż za miła niespodzianka, i to w dzień powszedni.

Caitlin zrobiła nieokreślony gest ręką.

– Oglądałyśmy wiadomości. Pomyślałam, że Hannah poczuje się lepiej, jeśli porozmawia z tobą twarzą w twarz, nie tylko przez telefon. Bardzo się wystraszyła.

– Łał, dzięki – powiedział wzruszony. – Przepraszam za tych dziennikarzy.

– Normalka. Nic ci się nie stało, to najważniejsze. Chętnie wysłuchałabym całej historii, na pewno jest czego, ale niestety dziś nie mogę.

– No tak.

– Bardzo dziwne to, co się stało z Samem. Przykro mi. Wiem, że go lubiłeś.

– Dzięki. – Nie potrafił znaleźć słów. Zerknął na Hannah, która zbierała książki z podłogi i ustawiała je na regale. – Hannah, pomagasz mi sprzątać? Dziękuję bardzo!

– Tatusiu, twój dom wygląda jak po trzęsieniu ziemi!

– Wiem! – zawołał i zwrócił się z uśmiechem do Caitlin: – Jest już późno, na pewno jesteście zmęczone.

– Może sobie jutro dłużej pospać, jeśli będzie chciała. Najwyżej nie pójdzie na parę pierwszych lekcji.

– Dobry pomysł. – Ukrył zaskoczenie. Naginanie reguł było niepodobne do Caitlin.

– Domyśliłam się, że twój dom może być w nieciekawym stanie, i wpadłam na pomysł, że gdybyś chciał, mógłbyś przenocować u mnie. – Zerknęła na niego. – Tylko żebyś mnie źle nie zrozumiał. Ja śpię u Briana.

– Nie ośmieliłbym się źle zrozumieć. – Uśmiechnął się. Istotnie źle zrozumiał i pomyślał, że to może nie być dobry pomysł. Tak czy inaczej, nie o to jej chodziło.

– Moglibyście zjeść razem śniadanie, a potem zawiózłbyś ją do szkoły. – Caitlin wyjęła breloczek, srebrny medalion z wagą Temidy, który podarował jej kilka lat wcześniej. Odpięła jeden z kluczy i podała Ericowi. – Proszę.

– Dziękuję. Zostawię pod puszką w garażu.

– Nie musisz. Możesz go zatrzymać. – Zerknęła na Hannah, która układała książki niczym przyszła bibliotekarka.

– Nie, nie trzeba – powiedział, ujęty jej życzliwością. – To twój dom. Już się z tym pogodziłem.

– Nie. – Ściszyła głos i popatrzyła mu prosto w oczy, ze smutkiem. – Odprawiłam niemieckiego kupca.

– Co takiego? – Nie rozumiał.

– Zawrzyjmy nową umowę. Sprzedam ci dom za tyle, na ile zostanie wyceniony. Ja nie chcę w nim mieszkać, ale ty możesz. Pomyślałam, że moglibyśmy podzielić się opieką nad Hannah pół na pół. Tydzień u mnie, tydzień u ciebie. Łatwiej to zniesie, jeśli nie będzie się musiała przyzwyczajać do dwóch nowych miejsc. Co ty na to?

Poczuł ucisk w gardle. Jego serce wezbrało radością na myśl o zamieszkaniu pod jednym dachem z Hannah we własnym domu. Będzie mógł do woli kosić trawnik i wyrywać chwasty. Idealne rozwiązanie.

– Mówisz poważnie?

– Tak – odpowiedziała ze łzami w oczach.

– Dlaczego? – Musiał zapytać.

– Zmuszasz mnie do prawienia ci komplementów? – Wzruszyła ramionami i przełknęła ślinę. – Myślałam o tym, co się wydarzyło w szpitalu, po tej aferze w galerii. O twoim zaangażowaniu. Jesteś dobrym facetem. Sprawiliś, że zmieniłam zdanie.

– Dzięki. – Poczuł znajomy ucisk w piersiach, który już zawsze miał mu towarzyszyć. Uśmiechnął się, Caitlin odpowiedziała tym samym.

– No i jesteś świetnym ojcem.

– Dziękuję. Ty jesteś wspaniałą mamą. – Oczy Caitlin ponownie wezbrały łzami, ponieważ ona tak nie uważała. – Naprawdę.

– W każdym razie... – Odchrząknęła, odsuwając na bok emocje. – Doszłam do wniosku, że tak będzie najlepiej dla Hannah. Jako jej mama i tata musimy współpracować. Wiem, że stać nas na więcej.

– Ja też jestem o tym przekonany. – Ogarnęło go wzruszenie. – Koniec z prawnikami?

– Koniec z prawnikami. Z wyjątkiem tu obecnej – zastrzegła z uśmiechem. – Umowa stoi.

– Pytałaś Hannah? – szepnął, kiwając głową w stronę małej bibliotekarki.

– Zgodziłam się! – krzyknęła dziewczynka.

Oboje parsknęli śmiechem. Eric odrzucił głowę do tyłu, szczęśliwy i wreszcie wolny.

– W takim razie umowa stoi, Caitlin.

ROZDZIAŁ 65

Następnego słonecznego poranka Eric przyjechał do pracy o zwykłej porze, ponieważ Hannah nie chciała stracić żadnej lekcji. Wjechał na parking wraz z innymi pracownikami szpitala, świadom zainteresowania, jakie wzbudza. Ludzie uśmiechali się do niego, kiwali głowami, patrzyli mu w oczy. Odpowiadał uśmiechem, choć nie mógł się doczekać dnia, kiedy przestaną zwracać na niego uwagę.

Dotarł do wejścia w tym samym czasie, co Sharon McGregor z Komisji do spraw Leków, wyglądająca bardzo elegancko w złotym, tweedowym kostiumie. Poklepała go po ramieniu.

– Ericu, słyszałam o tobie niesamowite rzeczy! Musiałeś przeżyć prawdziwy koszmar. Czy już wreszcie po wszystkim?

– Nie, do diabła. – Popatrzył na nią z uśmiechem. – Ciąg dalszy nastąpi na kolejnym posiedzeniu komisji.

– Ha! – roześmiała się i on także, choć tak naprawdę wcale nie żartował. Rozstali się w lobby, Eric podszedł do windy i nacisnął guzik pod obstrzałem rozkochanych spojrzeń. Po wejściu do środka zatłoczonej kabiny wysłuchiwał kolejnych gratulacji, odpowiedział na kilka pytań i przyjmował wyrazy sympatii. Raptem zdał sobie sprawę, że nie ma swojego identyfikatora z czerwoną literą „W” jak wariat. Musi pamiętać o wyrobieniu nowego, choć Bóg raczy wiedzieć, jaką opinię będzie miał oddział psychiatryczny po ostatnich wydarzeniach. Potworność tego, co zrobił Sam, nigdy nie zostanie zapomniana, Eric miał nadzieję, że jego starania nieco to zrównoważyły i oddział został zrehabilitowany w oczach reszty szpitala. Tak czy owak, on był dumny ze swojego zespołu i nie mógł się doczekać rozpoczęcia kolejnego dnia pracy.

Po wyjściu z windy od razu zauważył pozostałości wczorajszego pożaru. W powietrzu wciąż unosił się zapach spalenizny i odrobina dymu. Woda uszkodziła podłogę, wypaczając niektóre klepki. Pod ścianą stały wiadra i mopy oraz dwa żółte znaki z napisem: UWAGA, ŚLISKO.

Eric przygotował się psychicznie przed wejściem na oddział. Dostał maile z trzech różnych departamentów zarządu na temat likwidacji szkód, która będzie wymagała ogromnego wysiłku. Na szczęście system spryskiwaczy był podzielony na kilka stref, dlatego północna część z salami pacjentów nie została zalana. Ucierpiała część południowa ze świetlicą, jadalnią i pokojem pielęgniarek.

Po otwarciu drugich drzwi prowadzących na oddział zobaczył swoich pracowników, którzy stali niepewnie na zalanej podłodze wśród zapachu spalenizny. Telefony i komputery na stanowisku pielęgniarek przestały działać.

– Hej wszystkim! – zawołał. Odwrócili się w jego stronę, Amaka, Jack, David, Tina, pielęgniarki, technicy, pracownicy społeczni i ekipa woźnych w niebieskich kombinezonach.

– Eric! Udało ci się! Wróciłeś! – krzyczeli jeden przez drugiego, atakując go niczym fala reporterów, ale w miły sposób. – Zostajesz? Jak się czujesz?

– Tak, wróciłem. – Otworzył ramiona, mocno uściśnął Amakę i poprosił gestem o ciszę. –

Dziękuję, że pilnowaliście okrętu pod moją nieobecność. Świetna robota.

– Jesteśmy numerem dwa, jesteśmy numerem dwa! – zawołał Jack, lecz Eric nie wybuchnął śmiechem. Jeszcze nie.

– Proszę o chwilę uwagi, mam wam coś do powiedzenia. Ostatni tydzień był dla nas wszystkich koszmarem. Patrzyliśmy na cierpienie pacjentów. Zostaliśmy zdradzeni przez bliskiego kolegę, którego stratę mimo wszystko opłakujemy. Czujemy żal z powodu odejścia osoby, którą był w naszych oczach, zanim dokonał tych strasznych rzeczy. Została po nim luka. – Patrzył na twarze pełne gniewu, niedowierzania i smutku. – Byliśmy świadkami makabrycznej przemocy i śmierci. Przeżyliśmy pożar i powódź. To był po prostu bardzo trudny, traumatyczny czas dla każdego z nas.

Amaka potwierdziła jego słowa, inni tylko kiwali głowami, z oczami pełnymi łez. Eric także miał szkliste spojrzenie.

– Zazwyczaj koncentrujemy się na pacjentach, ale nie możemy zaniedbać własnych potrzeb po tym, przez co przeszliśmy. Przepracowanie wydarzeń minionego tygodnia zajmie nam sporo czasu. Będziemy o tym rozmawiać, rozmyślać i analizować to ze wszystkich stron. Rozmowa jest naszą specjalnością i będziemy rozmawiać do utraty sił.

Amaka uśmiechnęła się serdecznie, a pozostałe pielęgniarki parsknęły śmiechem.

– Uzdrawimy ten oddział, postawimy go na nogi. Jesteśmy zawodowo przygotowani do radzenia sobie z traumą. W całym szpitalu nie ma oddziału, który byłby lepiej przygotowany na poradzenie sobie z urazami natury emocjonalnej. W pewnym sensie dobrze się stało, że na nas trafiło. Nie wybraliśmy tego sprawdzianu, ale wspólnie zdamy go z najlepszą notą. Zgadza się?

– Tak!

– Dziękuję. – Posłał im ciepły uśmiech z głębi serca. – Dobrze, w takim razie zaczniemy od zebrania w sali konferencyjnej, jak zwykle. Mam ochotę wypić kiepską kawę w brzydkim otoczeniu. Chcę usłyszeć od Amaki, jak minęła noc pacjentom, ponieważ oni są naszym priorytetem. Następnie zakaszemy rękawy, zrobimy tu porządek i wrócimy do swoich zwykłych obowiązków. Raz, dwa, trzy! Do dzieła!

ROZDZIAŁ 66

Po długim i męczącym dniu pracy Eric podjechał pod budynek, gdzie mieszkała Laurie, zaparkował na miejscu dla odwiedzających i zapukał do jej drzwi. Najpierw jednak wziął prysznic, przebrał się, spryskał wodą kolońską, którą znalazł na dnie kosmetyczki, i kupił bukiet stokrotek. To miała być jego pierwsza prawdziwa randka od ponad dziesięciu lat. Bał się jej bardziej niż sforsowania policyjnej blokady.

– Cześć. – Otworzyła mu drzwi z uśmiechem. – Kwiaty, jak miło!

– Przyjechałem – oznajmił, czując się jak ostatni idiota. Laurie także była świeżo po kąpieli, miała na sobie niebieską, rozpinaną koszulę i dżinsowe krótkie spodenki. Ciemne loki opadały swobodnie wokół twarzy. Miała białe stopy, uznał, że to urocze.

– Wejdz, dzięki! – Przyjęła kwiaty i pocałowała go w policzek. Wszedł do mieszkania, w którym pachniało smakowicie jakąś potrawą z pomidorami i serem. Usiłował się rozluźnić. Stół był już nakryty, leżały na nim bochenek wiejskiego chleba, kostka masła i drewniana misa pełna rukoli, awokado, pomidorków koktajlowych i cebuli. Caitlin nigdy nie chciała go nawet pocałować, jeśli zjadł cebulę. Pod koniec ich małżeństwa jadał jej całkiem sporo.

– Co na kolację? Wspaniale pachnie.

– Moja specjalność, bakłazany po parmeńsku. Na receptę od twojego lekarza, dla poprawienia nastoju. Pyszne i sycące. – Poszła z kwiatami do kuchni po wazon.

– Pomóc ci w czymś? – zapytał, podążywszy za nią. Omal nie pocałował jej w policzek. Usiłował odrobinę, jak to się mówi, wyluzować. Położyła bukiet w zlewie i rozcięła nożyczkami sznurek, którym był przewiązany.

– Bakłazany już się pieką, ale możesz zrobić drinki. – Wskazała przygotowaną butelkę tanqueraya, tonik, dwie szklanki i limonkę pokrojoną na osiem idealnie równych części. Na desce do krojenia leżały posiekane pietruszka i świeża bazylia.

– Już się robi. Słaby czy mocny?

– Słaby. Jak było w pracy?

– Ciężko. – Podeszedł ze szklankami do lodówki, aby napełnić je lodem z pojemnika. – Mnóstwo uścisków i łez personelu. Zdenerwowani pacjenci. Osuszanie podłóg, proszenie się o nowe komputery, telefony i krzesła. Ocaliliśmy to, co się dało. Różni ludzie wydzwaniali do mnie z pytaniami.

– Tak myślałam. A Perino?

– Rozmawiałem z nim i z jego żoną. Minie sporo czasu, zanim uporają się ze skutkami tego, co ich spotkało. – Eric nalał odrobinę alkoholu do każdej ze szklanek.

– Biedny facet. Taka trauma.

– Przejrzałem jego kartę. Dostawał rysperydon i fluoksetynę, ale podejrzewam, że Sam faszerował go na boku medikinetem. To by tłumaczyło brak postępów w leczeniu. Perino byłby po nim

niespokojny i agresywny. Sam specjalizował się w leczeniu ADHD, więc bardzo dobrze wiedział, jak taki zestaw na chorego podziała.

– Ale po co miałyby to robić? – jęknęła Laurie.

– Traktował ludzi jak pionki na szachownicy. Prawdopodobnie używał Perino jako jeszcze jednej broni przeciwko mnie, może nawet zaplanował tamten atak. Dowiedziałem się dziś, że Perino ma dużo nieprawdziwych informacji na mój temat, zapewne od Sama. – Eric odkręcił butelkę toniku, rozległ się miły dla ucha syk. Napełnił szklanki.

– To straszne.

– Wiem. – Wycisnął sok z limonki, czując się coraz swobodniej. Pomyślał, że nie ma w tym nic niestosownego, aby dwoje dobrych przyjaciół zostało kochankami. Rozmawiali sobie o pracy, jak zwykle podczas bieganina. Dobrze się czuł w jej towarzystwie, była naturalna i troskliwa. Smakowity aromat jedzenia koił zmysły. Znał popularne powiedzenie, że człowiek nie docenia tego, co ma, dopóki tego nie straci, ale uświadomił sobie coś innego: że nie wiedział, czego mu brakowało, dopóki tego nie zobaczył. Wreszcie miał szansę to dostać, co wprawiało go w bardzo dobry nastrój.

– Wszyscy mówią, że żona Perino zamierza pozwać szpital. To najbardziej martwi zarząd.

– Wiem. Co za ludzie. – Podał jej szklankę. – Proszę. Na zdrowie.

– Na zdrowie. – Uniosła szklankę do ust i skosztowała napoju. – Pyszny.

– Naprawdę? – Upił łyk cierpkiego koktajlu. – Rzeczywiście niezły.

– Nie. Pyszny. – Uśmiechnęła się ciepło. – Wszystko wydaje mi się dziś doskonałe.

– Mnie także – potwierdził, wzruszony i uszczęśliwiony. Nachylił się do pocałunku. Romantyczny moment przerwał dzwonek jego telefonu komórkowego. – Cholera.

– Tym razem ci się upiekło.

– Bardzo śmieszne. – Popatrzył na telefon, wyświetlił się numer szpitala. – Powinienem odebrać.

– Śmiało. Kolacja będzie gotowa za dziesięć minut, ale poczekam, jeśli trzeba.

– Dzięki. – Odebrał połączenie. – Eric Parrish. – W słuchawce rozległy się trzaski i czyjś urywany głos. – Halo? Halo?

– Idź do przedpokoju – poradziła Laurie. – Nie wszędzie jest zasięg.

Wyszedł na korytarz, ale nadal niewiele słyszał.

– Halo? Jest tam ktoś?

– Doktorze Parrish... – usłyszał urywany kobiecy głos.

– Halo? Halo? – Przeszedł przez całą długość korytarza, minął drzwi do łazienki, gabinetu Laurie i jej sypialni. – Mówi Eric Parrish, słucham. Halo?

– Doktorze Parrish, słyszy mnie pan?

– Chwileczkę. Teraz lepiej słyszać? – Wszedł przez otwarte drzwi do gabinetu Laurie, którego nigdy wcześniej nie widział. Nieduże, przytulne, optymistyczne wnętrze. Na każdej ścianie biały regał pełen książek, biała szafa na akta, białe biurko i czarne obrotowe krzesło obok drzwi pod ścianą udekorowaną reprodukcjami obrazów Chagalla, Miro i Rothko.

– Tak, dzień dobry. Z tej strony Julia Meehan. Wzięłam pana numer ze spisu.

– Przepraszam, kto? – Usłyszał wyraźnie, lecz jej nazwisko nic mu nie powiedziało. Usiadł za biurkiem Laurie.

– Julia z działu informatycznego. Pracuję w szpitalu. Pytał mnie pan, kto otwierał historię choroby Virginii Teichner po tym, gdy została wypisana. Pamięta pan?

– A. Tak. Dzień dobry. – Przypomniał sobie.

– Przepraszam, że wczoraj spanikowałam. Nie znoszę pracować obok kostnicy, dlatego zawsze zamykam drzwi, jeśli zostaję sama pod koniec dnia.

– Nie ma sprawy. Przepraszam, że nie podałem prawdziwego nazwiska. – Rzucił okiem na przedmioty leżące na biurku. Srebrny laptop, rząd nakręcanych zabawek – żółty kurczak, niebieski robot i tygrys robiący salta w tył.

– Nie szkodzi. Szef pozwolił mi udzielić panu tych informacji.

– Słucham. – Eric czekał na potwierdzenie tego, co już wiedział. Że osobą, która ingerowała w dokumentację, był Sam Ward.

– Osoby, które logowały się w tym czasie, to doktor Sam Ward i doktor Laurie Fortunato.

Eric był pewien, że się przesłyszał.

– Słucham? Jak brzmi to drugie nazwisko?

– Doktor Laurie Fortunato.

Po chwili znalazł wyjaśnienie.

– Oczywiście. Zrobiła to wczoraj przy mnie. Pokazywała mi kartę.

– Tak, doktor Fortunato logowała się wczoraj.

– Dobrze. Dziękuję.

– Chwileczkę. Zaglądała w kartę również dwa miesiące temu, pani Teichner nie była już wtedy naszą pacjentką.

– To niemożliwe.

– Wszystko się zgadza. Jej dane widnieją przy wczorajszej dacie oraz obok daty sprzed dwóch miesięcy.

– Jest pani pewna?

– Na sto procent. Mogę podać dzień i godzinę oraz jak długo trwała wizyta na stronie. Ma pan coś do pisania?

– Chwileczkę. – Rozejrzał się za jakąś kartką, lecz żadnej nie znalazł na wysprzątanym biurku. Zerknął na czarny ażurowy kosz ustawiony obok biurka, prawie pusty, poza kilkoma zmiętymi rachunkami i kopertami. Sięgnął po kopertę i wyjął długopis z kieszeni koszuli. – Słucham.

– Doktor Fortunato logowała się wczoraj oraz osiemnastego kwietnia. Pacjentka została wypisana piętnastego.

Był tak oszołomiony, że nic nie zanotował.

– A doktor Ward?

– Tego samego dnia co doktor Fortunato, osiemnastego kwietnia. Doktor Fortunato o dziewiętej pięć, doktor Ward o dziewiętej trzydzieści. Ona na pięć minut, on na dziesięć.

Przeżył ogromny wstrząs, nie mógł mówić. Nie rozumiał. Laurie wyraźnie mu powiedziała, że nigdy nie zaglądała do karty pacjenta po jego wyjściu do domu, tymczasem weszła na profil Virginii tuż przed tym, nim zrobił to Sam. Popatrzył niewidzącym wzrokiem na nakręcane zabawki. Wtem coś przykuło jego uwagę – jakiś błyszczący przedmiot na dnie kosza na śmieci.

– Doktorze Parrish, jest pan tam?

– Tak, jestem. Dziękuję bardzo. Do widzenia. – Zakończył połączenie, kompletnie roztrzęsiony. Dlaczego Laurie go okłamała? Po co wchodziła w dokumentację Virginii Teichner, w dodatku tego samego dnia, co Sam? Sądził, że nawet o niej nie słyszała, dopóki nie trafiła na jej oddział w zeszły piątek.

Wpatrywał się w błyszczący przedmiot na dnie kosza. Odłożył telefon i długopis, odsunął papiery

i zmarł.

Krew uderzyła mu do głowy. To było niemożliwe, a jednocześnie stanowiło niezbity dowód.

Serce Erica rozpadło się na drobne kawałki.

Wiedział, co należy zrobić.

ROZDZIAŁ 67

Usiłował zapanować nad emocjami. Kuchnię wypełniał ten sam wspaniały aromat, który teraz przyprawiał go o mdłości.

– Przez cały dzień tak do mnie wydzwanają. Przepraszam cię.

– Nie szkodzi. Napij się. – Laurie osuszyła swoją szklankę. – Chyba jestem już lekko wstawiona. Nie próbuj mnie wykorzystać przed kolacją. Wszystko zaplanowałam. Zobaczysz.

Zdobył się na uśmiech, choć poczuł zimny dreszcz na myśl o jej planach. Był niemal pewien, że znalazł się w jaskini lwa. Ale miał własne plany.

– Coś się stało? Kiepsko wyglądasz.

– Och, przez tę rozmowę. – Eric wykazał się reflekssem.

– Kto dzwonił? – Otworzyła butelkę i dołała sobie dżinu.

– Amaka. Miała kilka pytań dotyczących jutrzejszego dnia. Jest przybita. Wszyscy na oddziale bardzo przeżywają to, co się stało z Samem.

– Wcale się nie dziwię. – Wlała resztę toniku do swojej szklanki, nie zawracała sobie głowy lodem. Może picie jest częścią planu, pomyślał Eric.

– Potrzebują czasu, żeby to przepracować. Wszyscy go potrzebujemy. Kochaliśmy tego faceta, toteż ciężko nam się pogodzić z tym, co zrobił i kim się okazał. My znaliśmy kogoś innego.

– Oczywiście. Na pewno czujecie się zdradzeni.

– Tak, ale nie tylko – powiedział z głębi serca, ponieważ nie potrafił inaczej. – Żałuję, że tego nie przewidziałem, nie wiedziałem. Naprawdę go lubiłem. Ufałem mu. Nie mogę w to uwierzyć.

– Wiem, to trudne. – Zrobiła współczującą minę.

– Był moim przyjacielem. – Przerwał, wiedząc, że podejmuje ryzyko. – Szkoda, że nie znałaś go bliżej.

– Ja też żałuję. Wyglądał na miłego faceta. – Pokiwała głową, pełna empatii.

– Za takiego go uważaliśmy. Zastanawiam się, czy jego żona wiedziała. Prawdopodobnie nie. Gdybym się zorientował, może mógłbym mu pomóc.

– W czym? – Przechyliła głowę, zamierając z drinkiem w dłoni.

– W jego problemach ze sobą, złagodzeniu cierpienia. Mógłbym go leczyć. To nie jego wina, że był taki, jaki był, nie chciał wyrządzić tyle krzywdy. Po prostu był chory.

– Mylisz się, nie chory, tylko pozbawiony uczuć. Miał możliwość wyboru, widocznie lubił krzywdzić innych. Zły człowiek. – Laurie sposepniała i odstawiła szklankę. Eric postanowił kontynuować rozmowę, choć nie wiedział, jak się skończy.

– Nie zgadzam się. Zło nie jest wyborem. To etykieta, którą się posługujemy, pragnąc prostych odpowiedzi. Jednak z punktu widzenia psychiatrii, Sam był człowiekiem chorym.

– W takim razie na co chorował, z punktu widzenia psychiatrii? – Skrzyżowała ramiona i popatrzyła mu w oczy.

– Manipulował ludźmi, traktował ich jak marionetki. Posługiwał się nimi, aby mnie zniszczyć i zająć moje miejsce na oddziale. Istotnie pozbawiony był uczuć, empatii wobec innych. Wszystkie emocje udawał, odgrywał na pokaz, oszukiwał nas przez całe lata. Nawet mnie. Ale żadnej z tych rzeczy nie można uznać za wybór, cechę czy umiejętność. To symptomy.

– Czego?

– Osobowości dyssocjalnej. Potocznie mówiąc, był socjopata. Niezależnie od powierzchownych motywacji, prawdziwym powodem stała się choroba. Manipulacje jedynie dowodzą, jak ciężko chorował. – Twarz Laurie pociemniała, spojrzenie stwardniało, uśmiech zbladł. Zmieniała się na jego oczach, pokazywała prawdziwe oblicze. Eric mówił dalej, aby ją sprowokować do całkowitego zrzucenia maski. – Nie wiemy, czy socjopatia jest wrodzona, czy też nabyta. Moim zdaniem – oraz zdaniem wielu naukowców – to połączenie wrodzonych skłonności z wpływem środowiska. Socjopaci są po prostu chorymi, nieszczęśliwymi ludźmi.

– Skąd wiesz, że są nieszczęśliwi? – spytała z pogardliwą miną. – Leczyłeś kogoś takiego?

– Tak, miałem dwóch pacjentów z tym zaburzeniem, kiedy współpracowałem z ośrodkiem psychiatryczno-penitencjarnym w Albany podczas stażu w zachodniej Pensylwanii. Obaj odsiadali dożywocie za morderstwo. Jeden z nich miał lodowato zimne spojrzenie i wszystkie podręcznikowe objawy.

– Jak w telewizji – prychnęła Laurie.

– Tak. Więzienia są pełne takich ludzi i tam się ich spodziewamy. Natomiast w rzeczywistości spotykamy ich na co dzień. Większość sprawia wrażenie całkiem normalnych, cokolwiek to znaczy. – Przerwał, myśląc o Hannah. – Normalność to mit. Maski. Nie ma czegoś takiego.

– Nigdy nie słyszałam, żebyś tak mówił. – Zmarszczyła czoło.

– Zmieniłem się, jak zresztą zauważyłaś. Szczerze mówiąc, wcześniej sobie tego nie uświadamiałem. Mogłem tak mówić, ale czułem coś innego. – Rzeczywiście tak było. Nauczył się czegoś nowego, choć omal nie stracił przy tym życia. – Socjopata żywi niezłomne przekonanie o swojej przewadze nad innymi. Oczywiście mylne. Jego arogancja chroni wątłe ego. Innymi słowy, socjopata cierpi na coś w rodzaju urojeń wielkościowych.

– Nie zgadzam się z niczym, co powiedziałaś. – Wzdrygnęła się z niesmakiem. – Nie wiem, dlaczego o tym rozmawiamy.

– Ponieważ żal mi Sama. Nadal o nim myślę i lituję się nad nim.

Laurie patrzyła na niego z wrogością, lecz nie mógł teraz przestać mówić. Chciał się upewnić, że ma rację, co było tak samo niebezpieczne, jak drażnienie tygrysa w klatce. Nie oczekiwał przyznania się do winy, chciał, żeby się odsłoniła, nawet zaatakowała.

– Pomyśl o tym w taki sposób, Laurie – socjopata jest pusty w środku, ma pustkę tam, gdzie powinny być uczucia. Jest chory, ale nie robi nic, by stawić temu czoło. Ponieważ nie chce przyznać, że jest chory, nie ma szansy na otrzymanie pomocy, której potrzebuje.

– A jeśli zdaje sobie sprawę, a mimo wszystko nie chce pomocy?

– Tak właśnie jest. To jeden z symptomów. Kieruje nim jego choroba.

– A może podoba im się, jacy są? Dobrze im z tym? – Zmrużyła powieki.

– Kolejny objaw. Smutna rzeczywistość jest taka, że po prostu nie mają dostępu do uczuć. Nie są zdolni do odczuwania miłości, radości, smutku, żalu, prawdziwego szczęścia. Pełnej gamy, nadającej barwy prawdziwemu życiu. Nazywasz mnie Kapitanem Emocją, ale co innego nadaje sens naszemu istnieniu? Z czego składają się nasze wspomnienia, jeśli nie z emocji? Rodzinna fotografia nie jest

zwykłym obrazkiem, wywołuje uczucia. – Poczuł ucisk w gardle, ale nie zбочzył z tematu. – Socjopata nigdy nie zazna takiej radości. Musi się ukrywać pod maską, na obrzeżach życia. Bardzo smutne, no bo co to w ogóle za życie? A gdyby nie ukrywał tak dobrze swojej choroby psychicznej, miałby szansę na otrzymanie pomocy. Przynajmniej na ulgę w cierpieniu, jeśli nawet całkowite wyleczenie jest niemożliwe.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Ericu – powiedziała podniesionym głosem, z jej oczu leciały błyskawice. – Nic nie wiesz. To jakiś bełkot, pozbawiony naukowych podstaw. Teoria, nic więcej. Twoja pyszałkowatość jest nie na miejscu. Pomyśl, jak wygląda twoje życie.

– Co masz na myśli? – zapytał starannie modulowanym głosem.

– Tyle czasu pozwoliłeś Caitlin wodzić się za nos. Zrobiła z ciebie idiotę. – Popatrzyła na niego z ukosa. – Nie zauważyłeś, że nie jest warta zachodu. Znamy się od lat, razem studiowaliśmy, przyjaźniliśmy się. Musiałeś wiedzieć, że jestem tobą zainteresowana, że czekam, ale wybrałaś ją. – Machnęła ze złością w stronę bukietu. – Teraz zmieniłeś zdanie, po tym, kiedy cię rzuciła. Za późno. Ty powinieneś był ją zostawić. Dla mnie. Jestem od niej ładniejsza, inteligentniejsza, mam na swoim koncie więcej sukcesów. Mogę się założyć, że jestem lepsza w łóżku. Ale ty byłeś za głupi, żeby to zauważyć. Teraz jesteś za głupi, żeby zrozumieć Sama. Nie widzisz rzeczy, które masz tuż przed nosem.

– Czyżby? – Wyjął z kieszeni chusteczkę. Laurie podążyła wzrokiem za jego dłonią.

– Co to?

– Nieważne. – Wystawiał na próbę jej cierpliwość. – Po co zaglądałaś w historię choroby pani Teichner? Dlaczego skłamałaś?

– O czym ty mówisz? – rzuciła ostro. – Nie zrobiłam tego, nie kłamałam.

– Owszem, otworzyłaś jej kartę niedługo przed tym, nim zrobił to Sam. Przeczytałaś jego notatki z konsultacji i kazałaś mu je skasować. Znałaś Sama lepiej, niż ja go znałem. Wykorzystałaś go do własnych celów. To nie on stał za tym wszystkim. To od początku byłaś ty.

– Co tam masz? – Popatrzyła groźnie. Eric uczynił krok do tyłu, drażniąc się z nią.

– Wrabiałaś mnie już na samym wstępie. Piątkowa konsultacja nie była przypadkiem. Miałaś plan. Postanowiłaś mnie zniszczyć, ponieważ wybrałem Caitlin.

– Co tam masz? – Wpatrywała się w zwiniętą chusteczkę higieniczną niczym dzikie zwierzę w ochłap surowego mięsa.

– Sypiałaś z nim? W jaki sposób nakłoniłaś go do zamordowania Renée? Był w tobie zakochany? Obstawiam, że tak. Przyniósł ci trofeum na dowód, że wypełnił zadanie. Na dowód swojej miłości.

Eric rozsunął brzegi chusteczki, nie dotykając jej zawartości. Trzymał w dłoni delikatny złoty wisiołek na łańcuszku, mały prostokąt z napisem FEARLESS, jaki widział na szyi Renée, kiedy z nią rozmawiał w barze jogurtowym. Ten sam, o którym wspominał Max podczas jednej z ich sesji. Naszyjnik Renée Bevilacqua z odciskami palców Sama i Laurie.

– Nie! – krzyknęła. Chwyciła nożyczki i jednym, błyskawicznym ruchem przecięła żyłę na ramieniu. Niczym makabryczna fontanna, trysnęła krew.

– Nie, nie rób tego. – Chwycił konsolę do gry i rzucił w jej stronę, ale zdążyła się uchylić.

– Mieliśmy randkę, ja za dużo wypiałam. – Laurie zaczęła mówić, jakby do siebie. – Próbowaleś mnie zgwałcić, przystawiłaś mi nożyczki do gardła, wrywałam się.

– Nie, Laurie, nie! – Wycofywał się w stronę drzwi. Usłyszał hałas na podwórzu. Musiał ją zająć jeszcze tylko chwilę. Zatelefonował do detektywa Rhoadesa tuż po tym, gdy znalazł naszyjnik.

– Odebrałam ci nożyczki, próbowałam dobiec do drzwi. – Zbliżała się do niego z uniesionymi nożycami. – Prawie mi się udało, zanim mnie dopadłeś i rozerwałeś koszulę. Musiałam cię zabić w samoobronie.

– Przestań, Laurie. – Otworzył drzwi w momencie, kiedy Laurie rozrywała koszulę. Detektyw Rhoades i jego ludzie już nadbiegali z wycelowaną w Laurie bronią.

– Proszę się nie ruszać, doktor Fortunato! – zawołał Rhoades. – Nie ruszać się!

– Nie! – wrzasnęła przeraźliwie. Wzięła zamach, ale Eric zdołał wytrącić jej nożyczki, zanim dosięgły jego klatki piersiowej.

ROZDZIAŁ 68

Eric patrzył z przyjemnością na grudniowe, świąteczne dekoracje w domu poprawczym. Rozwieszenie takiego przybytku jest nie lada wyzwaniem. Na ścianach były eksponowane dzieła wychowanków przedstawiające choinki, Świętego Mikołaja, a także baki używane w czasie żydowskiego święta Chanuka i kielichy jedności Kwanzaa. Obrazki różniły się między sobą jakością wykonania, mieszkały tu bowiem dzieci w wieku od dziesięciu do osiemnastu lat. Jeden z trzydziestu sześciu pokoi zajmował Max.

Średniej wielkości świetlica dla odwiedzających była czysta i utrzymana w nowoczesnym stylu. Niebieska wykładzina, duże okna, przez które nawet w ten pochmurny poranek przed śnieżycą wpadało trochę światła. Eric zajął swoje zwykłe miejsce na plastikowym krześle przy jednym z dziesięciu stolików i czekał na Maksa. Nie zdjął płaszcza, ponieważ nie miał gdzie go powiesić. W rogu pomieszczenia stała choinka z kolorowymi lampkami i tanimi ozdobami. Pod nią, na dywanie sztucznego śniegu, leżały prezenty. Te święta nie będą najwspanialszymi w życiu chłopca, ale miał szczęście, że trafił do tego ośrodka, a nie do więzienia stanowego dla dorosłych.

Max został skazany na pobyt w ośrodku poprawczym w wyniku ugody zawartej przez jego adwokata na podstawie trzech opinii psychiatrycznych: lekarza z izby zatrzymań, specjalisty wynajętego przez Marie oraz Erica. Wszyscy trzej zgodnie potwierdzili, że chłopiec cierpi na nerwicę natręctw oraz depresję z myślami samobójczymi i że w czasie popełnienia przestępstw jego postrzeganie rzeczywistości było zaburzone.

Rząd federalny wycofał zarzut terroryzmu, prokurator okręgu Montgomery wycofał zarzut porwania, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące: Max był nieuzbrojony i nie miał zamiaru wyrządzić nikomu fizycznej krzywdy. Nastolatek przyznał się do bezprawnego przetrzymywania, narażenia na niebezpieczeństwo i gróźb karalnych w zamian za złagodzenie wyroku do rocznego pobytu w domu poprawczym oraz trzech lat w zawieszeniu. Sędzia zaakceptował ugody, pomimo protestów udziałowców galerii King of Prussia, którzy domagali się, aby był sądzony jako dorosły, a najlepiej spalony na stosie.

Eric spojrzał na Maksa wprowadzonego na salę przez umundurowanego strażnika i wstał. Chłopiec nie miał na sobie kajdanek, nie był w żaden sposób skrupowany, a strażnik pozostał przy drzwiach. Max podszedł do Erica z uśmiechem, wyglądał lepiej niż podczas jego ostatniej wizyty przed dwoma tygodniami. Sprawiał wrażenie bardziej pogodnego. Brązowa grzywka nie zasłaniała mu oczu i przybrał nieco na wadze, dzięki czemu wyglądał na silniejszego. Wydawał się też wyższy, bardziej postawny w szarym dresie, który był strojem obowiązkowym, noszonym przez wszystkich wychowanków.

Eric uściśnął mu dłoń.

– Max, czy ty urosłeś?

– Trochę. – Uśmiechnął się szeroko, mocno odwzajemniając uścisk. – Lekarz twierdzi, że mam

przyspieszenie wzrostu. Nie do wiary, co?

– Ha! – Eric usiadł. – Dobrze cię widzieć. Jak się masz?

– Dziękuję, nieźle. – Zajął miejsce przy stoliku naprzeciw Erica i popatrzył mu w oczy z ożywieniem. – Moja mama wychodzi za mąż.

– Bardzo się cieszę – powiedział szczerze. Niedawno odwiedził Marie i Zacka na ich zaproszenie. Zamieszkali razem przed dwoma miesiącami, po wyjściu Marie z ośrodka odwykowego. Miała też nową pracę.

– Dostanę na Gwiazdkę nowego tatę. – Przewrócił zabawnie oczami.

Eric zachichotał.

– Kiedy ślub?

– Za rok. W grudniu. Czekają, aż stąd wyjdę.

– Fajnie. Jak się z tym czujesz?

– Cieszę się. – Pokiwał głową. – To dobra wiadomość. Lubię Zacka, jest miłym facetem i ma dobry wpływ na moją mamę. Nie sądzę, by poszła na odwyk, gdyby jej do tego nie przekonał.

– Pewnie masz rację. – Przypomniał sobie słowa Laurie, która twierdziła, że Zack jest za dobry dla Marie. Odsunął od siebie tę myśl. – Jak szkoła?

– Nuda i łatwizna, ale to nic. – Wzruszył ramionami. – Udzielam piątoklasistom korepetycji z matmy. Potrzebują ich.

– Miło z twojej strony.

– Najbardziej lubię zajęcia z literatury, których nie znosiłem w poprzedniej szkole. Dziwne, prawda?

– Wcale nie dziwne. To dobrze.

– Każą nam pisać coś w rodzaju dziennika. Można pisać, co tylko się chce. Brzmi głupio, ale podoba mi się. Napisałem kilka wierszy. – Wzruszył ramionami, trochę zażenowany. – Z nudów, bo nie pozwalają nam grać na komputerze.

– Poezja jest ciekawsza od gier komputerowych.

– Wiedziałem, że to powiesz. Normalnie jak ojciec.

– A co? – Uśmiechnął się. Nie żywił już rodzicielskich zapędów wobec Maksa, uporał się z tym. Jego jedynym dzieckiem była Hannah i miał z nią pełne ręce roboty. Ostatnio prowadziła kampanię na rzecz przemalowania całego domu na różowo. Od zewnątrz.

– Terapia nieźle mi idzie. – Chłopiec się uśmiechał. – Bardzo lubię doktor Gold.

– Jest świetna. – Eric polecił Maksowi jedną ze swoich dobrych koleżanek, Jill Gold, która była specjalistką od zaburzeń obsesyjno-kompulsyjnych i współpracowała z Instytutem Becka, kolebką terapii poznawczo-behawioralnej. Terapeuci z ośrodka zajmujący się chłopcem na miejscu współpracowali z doktor Gold, która przychodziła do niego na wizyty prywatne, ponieważ to ważne, aby miał wsparcie również po opuszczeniu placówki.

– Dużo rozmawialiśmy o Buni. Było ciężko.

– Wyobrażam sobie. – Twarz Maksa pociemniała z bólu, jego cierpienie po stracie babci było widoczne.

– Patrzę na te wszystkie dobre rzeczy, które się dzieją wokół mnie, na przykład mama przestała pić, i myślę: Dlaczego nie wcześniej? Kiedy żyła babcia. Byłaby bardzo szczęśliwa.

– Tak, oczywiście. Ale wiesz co? Niektórzy ludzie mają szansę dorosnąć dopiero po śmierci swoich rodziców. Możliwe, że to właśnie ten przypadek.

Max westchnął.

– W każdym razie lepiej sobie radzę z nerwicą. Ćwiczymy zanurzanie. Powtarzam swój rytuał już tylko co godzinę.

– Dobrze.

– To bardzo żmudna i długotrwała praca.

– Wiem, ale warto wytrwać.

– Do dziesiątej mam spokój. – Zerknął na zegar ścienny, który wskazywał dziewiątą dziesięć.

– Z czasem będzie coraz łatwiej, zobaczysz.

– Ona też tak mówi. – Popatrzył mu w oczy z nowym ożywieniem. – Wiesz, że nie ma faceta?

– Doktor Gold? Przecież ona jest mężatką.

– Nie, właśnie się rozwiodła miesiąc temu. Słyszałem, jak mówiła koleżance przez telefon. – Max przechylił głowę na bok. – Jesteś gotów, żeby zacząć umawiać się na randki?

– Nie, nie jestem, Max. – Jeszcze nie przepracował faktu, że Laurie okazała się socjopatką i czekała w areszcie na proces. Modlił się, aby dostała pomoc, jakiej potrzebuje, lecz sam nie mógł jej pomóc. Paul nie odezwał się do niego więcej, Eric doskonale go rozumiał.

– Doktor Gold bardzo mi ciebie przypomina, macie ze sobą wiele wspólnego. Ma córeczkę mniej więcej w wieku Hannah. Może powinieneś ją gdzieś zaprosić?

– Zastanowię się. – Wciąż było mu tak strasznie przykro, że wszystko to wydarzyło się, ponieważ ktoś próbował go zniszczyć. Tylu ludzi w żałobie z jego powodu, łącznie z Maksem. Przeprosił ich wszystkich: Maksa, Marie, Zacka oraz Anthony'ego i Peg Bevilacqua. Państwo Bevilacqua przyjęli jego wyznanie z wdziękiem i godnością. Linda Perino pozwała szpital, który zaoferował jej sowite odszkodowanie w ramach ugody. Nie wymieniła w pozwie nazwiska Erica.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Doktor Gold jest super laską. Jak na swój wiek.

– Jest w moim wieku. – Eric się uśmiechnął.

– Wiem. Kolejna rzecz, która was łączy. Możecie być starzy we dwoje – odparł ze śmiechem Max.

– Wystarczy. Mam dla ciebie niespodziankę.

– Co?

– Wesołych świąt. – Wyjął z kieszeni płaszcza paczkę i położył ją na stole przed Maksem. Hannah zapakowała prezent w papier z postaciami z *Krainy lodu*. Nie miał czasu kupić innego, zajęty pracą w szpitalu, prywatną praktyką i rolą ojca na pełen etat, którą uwielbiał. Coraz lepiej dogadywał się z Caitlin. Jego życie zaczynało mu się podobać, chociaż nie miał na nic czasu.

– Co to? – zapytał z uśmiechem Max, biorąc prezent do ręki. – Nie musiałeś mi nic dawać.

– Taki drobiazg. Otwórz.

– Ojej. – Chłopiec odpakował niedużą latarkę. – Ha!

– Pamiętasz, co ci mówiłem na temat latarki?

– Że to symbol falliczny?

– Nie! – Eric się roześmiał.

Max także się śmiał, lecz po chwili spowaźniał.

– Żartowałem. Pamiętam.

– To jest latarka dla ciebie. Nie rozstawaj się z nią. Dopiero zaczniesz eksplorowanie swojej jaskini.

– Miałeś być przy mnie. – Chłopiec posmutniał.

– Nie potrzebujesz mnie. Już nie. Możesz to zrobić sam. Świetnie sobie radzisz. Gdybyś

potrzebował potrzymać kogoś za rękę, masz doktor Gold. Ona jest tam z tobą.

Max nerwowo przełknął ślinę.

– Co chcesz powiedzieć?

– Do tej pory odwiedzałem cię co tydzień, ale myślę, że powinieneś po prostu dzwonić, kiedy będziesz mnie potrzebował. Po prostu dzwoń. Zostanę w twoim życiu tak długo, jak będziesz chciał. Co ty na to?

– W porządku. – Max zamrugnął i pokiwał głową. – Pod warunkiem, że nie próbujesz się ode mnie uwolnić.

Eric poczuł bolesny ucisk w gardle.

– Nie, nie próbuję.

– Dobrze, bo doktor Gold za chwilę tu będzie.

– Tutaj? Dlaczego?

– Powiedziałem pani doktor, że chcesz ją zaprosić na obiad.

– Co zrobiłeś? – Eric popatrzył na drzwi świetlicy, które właśnie się otwierały.

PODZIĘKOWANIA

Jestem wielką fanką podziękowań. Teraz podziękuję specjalistom i dobrym ludziom, którzy pomogli mi w napisaniu tej książki. Nie muszę dodawać, ale dodam, że wszystkie błędy popełniłam sama, bez niczyjej pomocy.

Zacznę od tego, że mam ogromny dług wobec mojej najlepszej przyjaciółki, Sandy Steingard, którą znałam na długo przed tym, nim wyrosła na jednego z najbardziej szanowanych psychiatrów w kraju. Ta błyskotliwa, życzliwa, zabawna i w ogóle wspaniała osoba pomogła mi zrozumieć sposób myślenia psychiatry. Fikcyjnego psychiatry z mojej książki. Za to i za wiele innych rzeczy mam wobec niej kolosalny dług, dlatego też dedykuję jej tę powieść, z wyrazami wdzięczności i miłości.

Dziękuję doktorowi Marcowi Burockowi, dyrektorowi medycznemu psychiatrycznego oddziału zamkniętego szpitala Bryn Mawr należącego do sieci placówek Main Line Health System. Doktor Burock poświęcił swój cenny czas, aby odpowiedzieć na wszystkie moje pytania dotyczące psychiatrii oraz funkcjonowania typowego szpitala na przedmieściach Filadelfii. Podczas naszej rozmowy usłyszałam kołysankę obwieszczającą narodziny dziecka, więc choć opisany przeze mnie szpital jest fikcyjny, a zwyczaj wydaje się dziwny, to jednak jest prawdziwy.

Bardzo dziękuję panu mecenasowi Tomowi Mendicino, radcy prawnemu Main Line Health System, który zgodził się ze mną spotkać i wytłumaczyć zawiłości prawne rządzące funkcjonowaniem dużego zespołu szpitali. Tom był nieocenionym źródłem wiedzy prawniczej, za co mu bardzo dziękuję. Dziękuję również jego koleżankom: Jane Herling, Delli Payne oraz Sharon Sorokin James, one także poświęciły mi swój czas. To była prawdziwa burza mózgów w doborowym towarzystwie najlepszych prawników.

Wielkie dzięki dla Terry Dougherty, szefowej działu kadr w szpitalu Bryn Mawr, oraz uściski i podziękowania dla pracowitej i uroczej Mary Kate Coghlan za umożliwienie mi tych wszystkich spotkań!

Dziękuję lekarzowi psychiatrii, doktor Lisie Goldstein, za poświęcenie wielu godzin na odpowiedzenie na moje pytania dotyczące psychiatrii dzieci i młodzieży z naciskiem na leczenie nerwicy natręctw. Doktor Goldstein jest cudowną osobą, pomogła mi zrozumieć wiele rzeczy, które wykorzystałam w napisaniu tej książki.

Oprócz tego korzystałam z wielu tekstów z zakresu psychiatrii. Oto kilka z nich, które serdecznie polecam: Simon Baron-Cohen, *Teoria zła*; Judith Beck, *Terapia poznawczo-behawioralna*; Louis Cozolino, *The Making of a Therapist*; Kevin Dutton, *Mądrość psychopatów*; James Fallon, *The Psychopath Inside*; Peter i Ginger Ross Breggin; *Talking Back to Prozac*; Robert D. Hare, *Psychopaci są wśród nas*; Kent Kiehl, *The Psychopath Whisperer*; Jane McGregor i Tim McGregor, *The Sociopath at the Breakfast Table*; J. Reid Meloy, *The Psychopathic Mind*; Dinah Miller, Annette Hanson i Steven Roy Daviss, *Shrink Rap*; Daniel Smith, *Monkey Mind*; Scott Stossel, *My Age of Anxiety*; Martha Stout, *The Sociopath Next Door*; M.E. Thomas, *Confessions of a Sociopath*; oraz

Robert Whitaker *Mad in America*.

Dziękuję policji z Radnor. Komenda jest prawdziwa, ale jej pracownicy występujący w książce zostali wymyśleni przeze mnie. Niemniej jednak potrzebowałam kogoś, kto wprowadziłby mnie w policyjne procedury. Chciałabym podziękować porucznikowi Christopherowi Flanaganowi za to, że cierpliwie odpowiedział na wszystkie moje pytania. Komisarzowi Williamowi Colarulo, detektywowi Christopherowi Fourowi oraz kapralowi Waltowi Shermanowi również należą się serdeczne dzięki. Uściski dla Mary Ann Donnelley, która też bardzo mi pomogła! Ponadto specjalne podziękowania dla policji z Upper Merion.

I dzięki Bogu za galerię King of Prussia.

Jestem prawniczką, ale prawo karne to nie moja specjalność. Potrzebowałam pomocy, a nawet ratunku, aby przedstawić skomplikowane kwestie z zakresu kryminologii. Zwróciłam się zatem do mojego drogiego przyjaciela Nicholasa Casenty z biura prokuratora okręgowego. Nick odpowiadał na moje wysyłane w środku nocy maile wyczerpująco jak zwykle, cytował rozdziały i paragrafy. Konsultowałam się z Nickiem podczas pisania wszystkich swoich książek, nie wyobrażam sobie napisania czegokolwiek bez jego nieocenionych uwag i wiedzy.

Dziękuję Stephanie Kalogredis za porady dotyczące rynku nieruchomości.

Teraz moja rodzina wydawnicza!

Dziękuję redaktor Jennifer Enderlin za wszystkie poprawki, które wprowadziła. Jest wspaniała. Gorące pozdrowienia i podziękowania dla genialnej, wesołej ekipy z St. Martin's Press: Johna Sargenta, Sally Richardson, Jeffa Dodesa, Jeanne-Marie Hudson, Briana Hellera, Jeffa Capshew, Jen Gonzalez, Paula Hochmana, Kim Ludlam, Johna Karle'a, Tracey Guest, Stephanie Davis, Anne-Marie Tallberg, Nancy Trypuc, Caitlin Dareff oraz wszystkich cudownych przedstawicieli handlowych. Wielkie dzięki Michaelowi Storringsowi za niesamowity projekt okładki. Całusy i uściski dla Mary Beth Roche, Laury Wilson, Branta Janeway a oraz doborowego towarzystwa z działu audiobooków. Uwielbiam i cenię was wszystkich.

Dziękuję mojej agentce, Molly Friedrich, która mnie prowadzi już tak długo, oraz nadzwyczajnym Lucy Carson i Nicole Lefebvre.

Serdeczne podziękowania i uściski dla mojej oddanej asystentki i najlepszej przyjaciółki, Laury Leonard. Jest wprost nieoceniona pod każdym względem już od ponad dwudziestu lat. Wyrazy wdzięczności dla mojej kumpeli i asystentki Nan Daley oraz dla George'a Davidsona za przejęcie wszystkich innych obowiązków po to, abym mogła pisać, pisać, pisać!

Dziękuję z całego serca mojej nadzwyczajnej, genialnej córce, Francesce, która sama jest utalentowaną pisarką, za miłość, wsparcie i cudowne poczucie humoru.

PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Socjopaci są bardzo trudni do zdemaskowania, potrafią oszukać niemal każdego. Dowiedzieliście się o nich więcej pod wpływem lektury tej książki? Czy mieliście kiedykolwiek do czynienia z osobą socjopatyczną? Jeżeli tak, czy wpłynie to jakoś na wasze życie? Co sprawia, że socjopaci są niebezpieczni, i na jakie znaki ostrzegawcze należałoby zwracać uwagę?
2. Doktor Eric Parrish rozpoczyna własne śledztwo w sprawie zabójstwa licealistki od przejrzenia Facebooka, skąd czerpie mnóstwo informacji. W jaki sposób korzystacie z portali społecznościowych i jakie ograniczenia nakładacie na siebie lub swoje dzieci? Zdarzyło się wam żałować opublikowania czegoś? Jakie są pozytywne, a jakie negatywne strony mediów społecznościowych?
3. Eric i Caitlin preferują odmienne metody wychowawcze w postępowaniu z córeczką, która miewa **stany lękowe**. Jakie jest wasze zdanie na temat podejścia każdego z nich do Hannah oraz sposobu radzenia sobie po rozwodzie ze wspólnym wychowywaniem dziecka? Czy w trakcie lektury konsekwentnie opowiadaliście się po jednej ze stron? Co zrobilibyście inaczej, będąc na ich miejscu?
4. Sprawa Tarasoffa podkreśla wyjątkową odpowiedzialność psychiatrów nie tylko wobec pacjentów, lecz również wobec ich potencjalnych ofiar. Eric staje przed „dylematem Tarasoffa”, jednak waha się w obawie przed konsekwencjami pochopnej decyzji. **Aprobowanie postępowanie Erica? Dlaczego?** Na czym polega dylemat w sprawie Tarasoffa?
5. Maksa i jego babcię łączy szczególna więź. Dziadkowie bardzo często pomagają w opiece nad wnukami. Czym różni się relacja dziecka z dziadkami od relacji z rodzicami? Jakie są wady, a jakie zalety wychowania przez dziadków, którzy zastępują rodziców?
6. Na Ericu spoczywa obowiązek przestrzegania tajemnicy lekarskiej, od którego nie odstępuje nawet wtedy, kiedy to **mogłoby okazać się korzystne dla Maksa**. W jakich okolicznościach, według was, lekarz może udzielić poufnych informacji na temat pacjenta? **Czy zgadzacie się z decyzją Erica? Dlaczego?** Czy waszym zdaniem Eric bardziej chronił siebie czy Maksa?
7. **Oceniając swoje małżeństwo z perspektywy czasu, Eric dochodzi do wniosku, że jego żona „zakochała się w swoim wyobrażeniu, a nie w żywym człowieku”**. Waszym zdaniem, co ma na myśli? Uważacie, że jest obiektywny w ocenie tego, co się wydarzyło w jego związku z Caitlin? Czy stwierdzenie Erica sugeruje, że obwinia żonę o rozpad małżeństwa?
8. Max cierpi na zaburzenie psychiczne, które jest uleczalne przy wdrożeniu odpowiedniej terapii, lecz wiele chorób psychicznych pozostaje niezdiagnozowanych i nieleczonych, co może być fatalne w skutkach. Z jakimi problemami boryka się system ochrony zdrowia psychicznego w naszym kraju? Czy macie w swoim otoczeniu osobę chorą psychicznie? Jeżeli tak, jak wygląda jej leczenie? Co możemy zrobić, aby poprawić stan opieki psychiatrycznej? Czy

pomogłoby wcześniejsze wykrywanie? Zwiększenie funduszy na badania naukowe? Kampanie społeczne?

9. Paul ma agresywny, lecz skuteczny styl obrony swoich klientów. Co sądzicie o nim, jako prawniku? Chcielibyście, aby reprezentował was ktoś taki jak Paul?
10. Wielu bohaterów książki obwinia się nawzajem. Kto, **poza Renée**, jest prawdziwą ofiarą? Jaką odpowiedzialność za to, co się wydarzyło, ponosi każda z postaci? Czy zwyciężyła sprawiedliwość?

Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)
[ROZDZIAŁ 2](#)
[ROZDZIAŁ 3](#)
[ROZDZIAŁ 4](#)
[ROZDZIAŁ 5](#)
[ROZDZIAŁ 6](#)
[ROZDZIAŁ 7](#)
[ROZDZIAŁ 8](#)
[ROZDZIAŁ 9](#)
[ROZDZIAŁ 10](#)
[ROZDZIAŁ 11](#)
[ROZDZIAŁ 12](#)
[ROZDZIAŁ 13](#)
[ROZDZIAŁ 14](#)
[ROZDZIAŁ 15](#)
[ROZDZIAŁ 16](#)
[ROZDZIAŁ 17](#)
[ROZDZIAŁ 18](#)
[ROZDZIAŁ 19](#)
[ROZDZIAŁ 20](#)
[ROZDZIAŁ 21](#)
[ROZDZIAŁ 22](#)
[ROZDZIAŁ 23](#)
[ROZDZIAŁ 24](#)
[ROZDZIAŁ 25](#)
[ROZDZIAŁ 26](#)
[ROZDZIAŁ 27](#)
[ROZDZIAŁ 28](#)
[ROZDZIAŁ 29](#)
[ROZDZIAŁ 30](#)
[ROZDZIAŁ 31](#)
[ROZDZIAŁ 32](#)
[ROZDZIAŁ 33](#)
[ROZDZIAŁ 34](#)
[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[ROZDZIAŁ 45](#)

[ROZDZIAŁ 46](#)

[ROZDZIAŁ 47](#)

[ROZDZIAŁ 48](#)

[ROZDZIAŁ 49](#)

[ROZDZIAŁ 50](#)

[ROZDZIAŁ 51](#)

[ROZDZIAŁ 52](#)

[ROZDZIAŁ 53](#)

[ROZDZIAŁ 54](#)

[ROZDZIAŁ 55](#)

[ROZDZIAŁ 56](#)

[ROZDZIAŁ 57](#)

[ROZDZIAŁ 58](#)

[ROZDZIAŁ 59](#)

[ROZDZIAŁ 60](#)

[ROZDZIAŁ 61](#)

[ROZDZIAŁ 62](#)

[ROZDZIAŁ 63](#)

[ROZDZIAŁ 64](#)

[ROZDZIAŁ 65](#)

[ROZDZIAŁ 66](#)

[ROZDZIAŁ 67](#)

[ROZDZIAŁ 68](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[PYTANIA DO DYSKUSJI](#)